

CHELSEA QUINN YARBRO

KRWAWE
IGRZYSKA



Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

OD AUTORKI

CZĘŚĆ PIERWSZA

ACJA OLIWIA KLEMENS, ŻONA SYLIUSZA 9

. 2 .

. 3 .

. 4 .

. 5 .

. 6 .

. 7 .

. 8 .

. 9 .

. 10 .

. 11 .

. 12 .

. 13 .

. 14 .

. 15 .

. 16 .

. 17 .

. 18 .

. 19 .

CZĘŚĆ DRUGA

RAKOCZY SAINT GERMAIN, FRANCISKUS 253

.1.

.2.

.3.

.4.

.5.

.6.

.7.

.8.

.9.

.10.

.11.

.12.

.13.

.14.

.15.

.16.

.17.

.18.

.19.

.20.

.21.

.22.

.23.

EPILOG

CHELSEA QUINN YARBRO

KRWAWE IGRZYSKA



Przełożył: Radosław Kot



2010

Dla
MICHAELA MOORCOCKA
z miłością i muzyką

OD AUTORKI

Osadzając powieść w realiach historycznych, starałam się w miarę możliwości odtworzyć jak najwierniej scenerię Rzymu z pierwszego wieku naszej ery, sięgając przy tym do autentycznych postaci, które wówczas żyły. Przedstawiając zdarzenia z tamtego okresu, opierałam się na różnych zachowanych do dzisiaj źródłach i relacjach, a gdy nie były one dostępne albo okazywały się sprzeczne, podążałam raczej za wymogami akcji, na bok odkładając akademickie rozważania.

Warto zaznaczyć przy tym, że takie wynalazki, jak zamontowane na rydwanach drogomierze, lektyki, centralne ogrzewanie, armatura wodna, okulary, linie montażowe czy bary szybkiej obsługi naprawdę istniały już w tamtych czasach, chociaż wielu czytelnikom ich obecność w książce może się wydać anachronizmem.

Poza tym jest to jednak fikcja literacka, zatem cechy charakteru opisywanych postaci, zarówno tych powołanych prozą do życia, jak i znanych z kart podręczników, są w całości wytworem pisarskiej wyobraźni i w żadnym przypadku nie należy postrzegać ich inaczej.

List od egipskiego aptekarza i handlarza ziołami do Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa, przebywającego w Rzymie:

Do tego, który zwie się obecnie Rakoczym Sanct' Germainem Franciskusem, od sługi Imhotepa z pozdrowieniami.

Doszła do mnie Twa pyrośba i zrobię, co w mojej mocy, aby dostarczyć Ci potrzebne przyprawy i medykamenty. Jednak zdobycie co rzadszych spośród nich może okazać się trudne, zwłaszcza teraz, gdy w kraju pojawili się Rzymianie. Proszę Cię więc, mistrzu, o cierpliwość. Dostaniesz,

o co pisałeś, jednak zgromadzenie wszystkiego może potrwać i rok z górą, jako że dwie spośród wymienionych substancji przyjdzie mi sprowadzić Jedwabnym Szlakiem. Informuję o tym, jako że sam zaznaczałeś wcześniej, iż gotów jesteś czekać tyle tylko, ile naprawdę okażą się konieczne. Pewien, że pragniesz szczegóły swego zamówienia zachować w tajemnicy, nie wymienię tu nazwy żadnej z oczekiwanych przez ciebie rzeczy.

Ziemia z Dacji to całkiem inna sprawa. Możemy dostarczyć ją w dowolnej ilości, chociaż jestem zdumiony, że Ci jej zabrakło. Przekazując ten list, wyślę dziewięć dużych beczek. Piszesz, że budujesz sobie willę, wybrawszy dla niej miejsce w pobliżu koszar pretorianów, za murami Rzymu. Przypuszczam zatem, że ziemia potrzebna będzie Ci do wypełnienia fundamentów domu. Spełniając częściowo pozostałe Twoje prośby, wysyłamy także elementy mozaiki dobrane wedle opisu oraz farbowaną bawełnę i płótno, wszystko w zamówionych przez Ciebie barwach. Wspomniane w piśmie cynobry, turkusy, kameole, jaspisy, agaty, onyksy i alabastry zgromadzę w interesujących Cię ilościach do końca żniw i też niezwłocznie je wtedy wyślę. Znalezienie selenitu może potrwać trochę dłużej, niełatwo bowiem o kamienie księżycowe upragnionej przez Ciebie jakości. Wyślę ludzi, aby poszukali ich w Partii oraz w Hindustanie. Bardzo Cię proszę, abyś nie dał do siebie przystępu rozczarowaniu, jeśli niczego jednak nie znajdą. O rubinach i diamentach wspomniałeś, że sam masz do nich dostęp, nie będę ich zatem szukał. Gdyby jednak coś się zmieniło, starczy, że przyślesz słówko, a postaram się o takie klejnoty, jakich tylko zapragniesz.

W swoim liście wspomniałeś, że nie przewidujesz, aby zdarzyło Ci się odwiedzić mój kraj w najbliższych latach. Smutna to wiadomość, albowiem ta garstka pozostałych tu jeszcze naszych braci bardzo liczy na Twój powrót. Obecnie musimy prowadzić nasze nauczanie w tajemnicy i nie ma szans, aby się to zmieniło. Nie tylko Rzymianie nam nie ufają, ale

nawet nasi pobratymcy, nasłuchawszy się Greków i Rzymian, uważają nas za przeżytek. Kapłani Imhotepa trudnią się obecnie kupiectwem, boją się bowiem uzdrawiać.! Gdybyś do nas wrócił, może byłoby inaczej.

Wybacz, mistrzu, te żale, ale to rozpacz przeze mnie przemawia i nie są one wyrzutem wobec Ciebie. Dobrze, że mieszkasz w Rzymie, a nie tutaj. W Aleksandrii straszą już tylko żalosne cienie dawnej chwały, Luksor popadł w zapomnienie. Powiedziałeś kiedyś, że gdybym poszedł na pustynię, nie znajdę tam spokojnej śmierci, a jedynie do zguby przywodzące szaleństwo. Nie wyruszę zatem ku piaskom, chociaż wydaje mi się, że za długo już żyję na tym świecie.

O cokolwiek poprosisz, zostanie spełnione, albo moimi siłami, albo siłami nas wszystkich. Nie potępiaj mnie, że tak bardzo upadłem na duchu.

*Z pozdrowieniami dla Ciebie i mojego brata Aumtehoutepe
Sennistis, arcykapłan*

CZĘŚĆ PIERWSZA

ACJA OLIWIA KLEMENS, ŻONA SYLIUSZA 9

. 1 .

W zapadającym zmierzchu cały Rzym przybrał niebieskawy odcień. Dzień nieubłaganie przegrywał z nocą, wieczór był jednak ciepły i tym samym ciężki od miejskich woni, jednak utrzymane w greckim stylu atrium wypełniał zapach cynamonu palonego w kilkunastu niewielkich kadzielnicach. Niewolnicy pospiesznie zawieszali ostatnie latarnie i ustawiali niskie stoły obok łóż, na których spocząć mieli goście.

Przechodzący przez atrium Petroniusz uśmiechnął się na widok tej krzątaczki. Był wysoki jak na Rzymianina, z modnie przyciętymi brązowymi włosami, które naznaczyła już lekko siwizna. Mimo trzydziestu czterech lat jego atrakcyjna twarz wydawała się jakby nie do końca dorosła, chociaż skryte pod prostymi brwiami granatowe oczy zdradzały zmęczenie upływem czasu. Zamiast togi miał na sobie tunikę rydwannika, tyle że uszytą z białego jedwabiu, a nie z prostego płótna. Zatrzymał się przy fontannie, zaczerpnął dłonią wody. Pachniała lekko jaśminem. Odsunął się usatysfakcjonowany. Obok, na kwitnącej brzoskwini odzywały się kołysane lekkim podmuchem falliczne dzwoneczki. Petroniusz dotknął gałęzi, pobudzając srebrne tintinnabulum do bardziej zdecydowanej wypowiedzi. Miał już odejść do mieszczącej się na tyłach domu kuchni, gdy obok pojawił się stary, grecki służący imieniem Artemidor.

— Panie, ktoś pragnie cię widzieć — powiedział bez wstępów.

— Ktoś? Czyli to żaden z gości?

Uczta miała się zacząć za godzinę i rzadko zdarzało się, aby ktokolwiek przybył wcześniej. O wiele częściej się spóźniano.

Służący skłonił się lekko.

— To jeden z senatorów.

Petroniusz westchnął.

— Czego chce? — Czegoś musiał chcieć. Pozostawanie w łaskach u młodego cesarza miało swoją cenę.

— Nie powiedział, panie. Czy mam go odprawić? — spytał stary Grek z jednoznacznym uśmiechem.

— Nie, lepiej nie. Wróci i będzie jeszcze bardziej natarczywy. Zaprowadź go do... hm... do pokoju dla gości i powiedz, że zaraz do niego przyjdę. Chętnie kazałbym mu czekać, ale uczta... — dodał z rezygnacją. — Wiesz, co to za senator?

Służący zawahał się.

— Tak, znam go — powiedział z niechęcią i lekką nutą strachu.

— Aa... — mruknął Petroniusz. — To powiedz kto.

— To Korneliusz Justus Syliusz — odparł Grek z jeszcze większą niechęcią.

— Czego ten stary lis może ode mnie chcieć? No to przyprowadź go tutaj. Nie będę ukrywał przed nim, co się szykuje. Na pewno zapragnie zostać na uczcie i z wielką przyjemnością go odprawię. Idź po niego — powiedział i dał znak jednemu z niewolników, aby przyniósł z domu krzesło.

— Tylko jedno? — spytał mężczyzna, przerywając nacieranie stołów skórkami cytryny.

— Jedno, dla senatora — odparł Petroniusz z uśmiechem i spoczął wygodnie na najbliższym łożu.

Nie musiał długo czekać.

— Dobry wieczór, Justusie — powiedział, widząc wprowadzanego

natręta, i wskazał na samotne krzesło.

Justus spojrział na mebel ze złością, pojmując przytyk.

Był mistrzem w odczytywaniu podobnych sygnałów. Zbliżał się już do pięćdziesiątki i przez dwadzieścia trzy lata pełnienia funkcji senatora przetrwał trzy poważne polityczne zawieruchy. Wzruszywszy lekko ramionami, zajął miejsce i uśmiechnął się fałszywie.

— Słyszałem, że oczekujesz gości, nie zabawię więc długo.

Petroniusz wyciągnął się na łożu i spojrział na Justusa spod przymrużonych powiek.

— Mam pewną sprawę. Drobną na tyle, że normalnie nie zwracałbym ci głowy, ale niewiele przebywałem ostatnio w otoczeniu cesarza, ty zaś znasz wszystkie najnowsze...

— Plotki, skandale i romanse? — spytał Petroniusz.

— Nie, gusta cesarza! — wyrzucił z siebie Justus. — Zamierzam sfinansować kilkudniowe igrzyska i chciałbym tak je zaplanować, aby spodobały się cesarzowi. Dlatego próbuję się dowiedzieć, co najbardziej ostatnio interesuje Nerona. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mi pomógł. Ostatecznie nie jestem bogaty...

— Nie? To kto wobec ciebie zasługuje na miano bogatego? — przerwał mu z uśmiechem Petroniusz. — Masz osiem majątków ziemskich, a twoja rodzina zawsze cieszyła się dostatkiem, prawda? Nie słyszałem, aby los ostatnio ci nie sprzyjał.

Justus poruszył się niespokojnie i poprawił togę.

— To prawda, że dysponuję pewnymi środkami, ale mój żaloszny kuzyn zrobił, co mógł, aby nas skompromitować. Gajusz niemądrze uczynił, wiążąc się z Messaliną. Powinien przewidzieć, że Klaudiusz jej tego nie daruje — dodał i spojrział bacznie na Petroniusza.

— To było lata temu — odparł gospodarz ze znużeniem w głosie. — Neron nie przywiązuje aż tak wielkiej wagi do ubóstwienia Klaudiusza. Jestem pewien, że osoba o twojej pozycji nie potrzebuje

mojego wsparcia.

— Wsparcia nie — odparł ciężko Justus. — Jednak wielkie igrzyska muszą być na tyle udane i oryginalne, abym wrócił do łask.

— Po co? Znowu coś knujesz? — rzucił lekkim tonem Petroniusz, sztydząc taktownie z gościem, pytał jednak poważnie.

— Ja? — Justus pokręcił głową. — Nie. Moja rodzina chyba zrozumiała już swój błąd. Wiemy, do czego prowadzą spiski.

— A jednak chcesz ponownie zwrócić na siebie uwagę Nerona — zauważył uprzejmie Petroniusz.

— To co innego — odparł Justus, spoglądając uważnie na gospodarza. Słyszał, że Tytus Petroniusz Niger jest w rzeczywistości o wiele bardziej inteligentny, niż się powszechnie sądzi. Ostatecznie to on napisał podobno tę dziwną i pełną sarkazmu opowieść. Justus postanowił zmienić taktykę. — Nic mi nie przyjdzie z majątku ani stanowiska senatora, jeśli nie uda mi się zbliżyć do Nerona. Zastanów się tylko. Obecnie w każdej chwili może odebrać mi posiadłości, uwięzić mnie albo moją żonę, albo nawet nas oboje, czyniąc mnie może niezupełnie żebrakiem, ale różnica byłaby niewielka. Gdyby się okazało, że jest wobec mnie dobrze nastawiony, wielki ciężar spadłby mi z serca. Zależy mi na odbudowaniu poczucia bezpieczeństwa, zwłaszcza że znowu się ożeniłem. Chcę ochronić Oliwię, która na pewno przeżyje mnie o wiele lat.

— Twoim dwóm wcześniejszym żonom jakoś się to nie udało — zauważył Petroniusz.

— Korynna przecież żyje. Być może postąpiłem okrutnie, rozwodząc się z kobietą, która postradała zmysły, ale co innego mogłem uczynić? Nie miałem spadkobierców i nikłe były szanse, że mi ich dostarczy. Jest pod dobrą opieką, otrzymuję na bieżąco informacje na temat stanu jej zdrowia. — Wolałby nie poruszać tematu swoich poprzednich żon, niemądrze byłoby jednak tak

całkiem od niego uciekać. Wiedział, że Rzym nastawia ucha na wszelkie plotki i pogłoski, i że to one decydują o aktualnej pozycji każdego, kto cokolwiek znaczy. Nie mógł sobie pozwolić na kolejne sugestie, jakoby przyczynił się do śmierci Walentyny i szaleństwa Korynny. — Walentyna zaś zmarła z naturalnych przyczyn. Była młoda, ale los jej nie sprzyjał.

— Na pewno wszyscy twoi przyjaciele żywią wielką nadzieję, że Oliwia będzie miała więcej szczęścia. — Petroniusz pomyślał, że naprawdę nie lubi Korneliusza Justusa Syliusza. Od dawna miał go za człowieka samolubnego i niemilego w obejściu, jednak hipokryzja, którą okazał, mówiąc o swoich żonach, to już było za wiele. Chyba tylko najbardziej cyniczni Rzymianie nie współczuli Acji Oliwii Klemens, która w wieku dwudziestu lat została tak naprawdę sprzedana Justusowi przez swoją wysoko urodzoną, ale podupadłą finansowo rodzinę.

— Troszczę się o dobro mojej żony — powiedział z przejęciem Justus.

— Tak, oczywiście — zgodził się Petroniusz. — Ale wracając do tych igrzysk, które myślisz zorganizować...

— Planuję je na czerwiec, kiedy upał nie będzie nam jeszcze przeszkadzał. Może trochę późno się do tego zabieram, ale jestem pewien, że z twoją pomocą zdołam zgromadzić wystarczającą liczbę uczestników. Rozmawiałem już z nauczycielami gladiatorów z Wielkiej Szkoły i Szkoły Dackiej i usłyszałem, że ich podopieczni stawiają się na arenie. Oglądałem nawet, jak pewien retiarius uporał się z secutorem. Chociaż stracił trójzab, tak wprawnie posługiwał się siecią, że zdołał ostatecznie unieruchomić przeciwnika. Dacka to prawie tak samo dobra szkoła jak Wielka. A tego secutora widziałem nawet później bez pancerza. Bestia, nie człowiek, podobno z Germanii. Aż się palił do prawdziwej walki. Pewnie jeszcze bliżej mu

się przyjrzę. Mówią na niego Arnaks, ale domyślam się, że to przezwisko. Jego prawdziwe imię jest pewnie nie do powtórzenia. — Zapatrzył się gdzieś w dal, wspominając twarde mięśnie i grubo ciosaną twarz Germanina.

— Nie możesz uzależniać powodzenia igrzysk tylko od gladiatorów — powiedział od niechcena Petroniusz, przerywając tok myśli gościa. Justus skrzywił się lekko, potwierdzając mimowolnie domysły gospodarza. — Mistrzowie z jednej czy drugiej szkoły na pewno cię pokierują. Chociażby do bestiarium, gdzie też muszą mieć już coś nowego. Sam słyszałem o pewnym Luzytaninie pracującym z tresowanymi niedźwiedziami. Dotąd mało gdzie się pokazywał. Podobno jest własnością Marka Sekstusa Markona, ale mogę się mylić. — W rzeczywistości wiedział, że luzytański treser został kilka dni wcześniej sprzedany nieznanemu z imienia kupcowi, ale nie miał zamiaru ułatwiać Justusowi roboty.

— Niedźwiedzie? To byłoby pewnie dobre na początek — mruknął gość, coraz bardziej tęskniąc za pucharem wina, którego gospodarz najwyraźniej postanowił mu poskąpić.

— Ten cudzoziemiec, Rakoczy Sanct' Germain Franciskus... na pewno go już poznałeś? — spytał Petroniusz protekcyjnym tonem. — On z kolei ma niezwykłą rydwanniczkę, Ormiankę z własnym zaprzęgiem. Raz tylko ją widziałem. Możesz sprawdzić, czy nie byłby skłonny jej użyczyć. No i ma dostęp do wielu różnych zwierząt. Powszechnie występujące dzikie bestie nie wzbudzają już większego zainteresowania, chyba że postarasz się dodatkowo o jakieś plemię pigmejów, które zapoluje na nie na arenie. Może Franciskus załatwiłby dla ciebie coś szczególnego.

Justus pokiwał powoli głową. Wcześniej myślał, aby otworzyć igrzyska czymś innym niż polowanie, zawsze jednak mógł powrócić do tradycyjnego porządku zabawy.

— Nie, nie znam tego człowieka. Mówisz, że to cudzoziemiec?

— Zdaje się, że pochodzi z Dacji, chociaż sam nie jest Dakiem. Ma najbardziej aroganckich niewolników w Rzymie. Wszyscy są Egipcjanami. Gdzieś ty bywał, senatorze? Franciskus mieszka w Rzymie od ponad roku, a ty jeszcze na niego nie trafiłeś? — Petroniusz bez wahania korzystał z okazji, aby dokuczyć Justusowi. — Nawet sam cesarz poprosił go o lekcje gry na egipskiej harfie — dodał ze złośliwą satysfakcją.

— Neron i muzyka! — parsknął Justus, krzywiąc się z niechęcią. — Szybko mu się to znudzi i cały ten cudzoziemiec będzie musiał poszukać sobie innego możnego towarzystwa.

— Być może — stwierdził Petroniusz, unosząc się na łokciu. Artemidor machał na niego niecierpliwie z drugiego końca ogrodu. Lada chwila można było oczekiwać pierwszych gości.

Justus najchętniej zaprotestowałby żywo przeciwko tak pełnemu pogardy traktowaniu, nie mógł jednak tego uczynić. Komuś innemu nie wahałby się okazać gniewu, tylko nie Petroniuszowi. To byłoby nazbyt zgubne działanie.

— Mówisz, że ma dostęp do różnych zwierząt?

— Bachus jeden wie, skąd je zdobywa. Konie o tygrysim umaszczeniu, białe niedźwiedzie, wszelkie odmiany tygrysów, długowłose pantery aż zza Hindustanu, wielbłądy, scytyjskie psy myśliwskie, wielkorogie jelenie z dalekiej Północy, rosłe łosie z Brytanii. Wszystko, czego zapragniesz, i nawet jeszcze więcej. Powiada, że wszędzie ma krewnych gotowych pomóc mu w potrzebie — dodał Petroniusz i roześmiał się na całe gardło.

Zdumiony tak długą listą Justus uśmiechnął się nieśmiało. Zaczął się już zastanawiać, jak wkraść się w łaski cudzoziemca.

— Z takimi okazami igrzyska byłyby nadzwyczaj udane — powiedział w zamyśleniu.

— Na pewno jakiś twój przyjaciel ze stronnictwa niebieskich zdoła cię przedstawić — zapewnił obłudnie Petroniusz. — Nie, żeby niebieskim dobrze się ostatnio wiodło, bo zieloni...

— Neron należy do zielonych — rzucił Justus. — Nikt nie śmie przez to nazbyt nagradzać innych stronnictw. Niebiescy mieli swoje dni za życia Klaudiusza. — Wspomniał łaski, które spływały na jego frakcję ze strony młodego cesarza. Stronnictwa liczyły już wiele lat, były nawet starsze niż instytucja cesarza.

— Oczywiście — powiedział uspokajająco Petroniusz. — Chciałem tylko przypomnieć ci o tym na wszelki wypadek. — Poczekał, czy Justus się wtrąci, ale gdy nic takiego nie nastąpiło, mówił dalej: — Bo cokolwiek zrobisz, pozostając z niebieskimi, narazisz się na niechęć Nerona. On naprawdę ceni zielonych.

— Żyje wspomnieniami z młodości — parsknął Justus.

— Może. Ale dla niego to nie błahostka. Nadal trefi włosy jak rydwannik. Jeśli tego nie uszanujesz, może nie warto w ogóle zaczynać starań. — Zaczął się bawić jedwabnymi frędzlami zdobnego sznura, którym był obwiązany w pasie. — Czy to już wszystko, senatorze?

Gdy Klaudiusz był cezarem, nikt nie śmiał zwracać się do Justusa w ten sposób, świat się jednak zmieniał. Niechciany gość stłumił złość.

— Wszystko pilne. Oczywiście wdzięczny jestem za wskazówki, które mi przekazałeś.

Petroniusz nie był skłonny mu wierzyć, ale skinął głową. Czekał, aż Justus wstanie i całe to żenujące spotkanie dobiegnie końca.

— Chociaż... jeszcze jedno — powiedział gość, wykonując dłonią taki gest, jakby chodziło naprawdę o drobiazg.

— Tak też przypuszczałem — odparł Petroniusz, powstrzymując się od westchnienia. — Z żalem muszę zaznaczyć, że nie mam już wiele czasu, ale co to takiego, senatorze?

Jakby dla podkreślenia jego słów, do atrium wszedł pośpiesznie Artemidor.

— Panie, wybacz, że ci przeszkadzam, ale przyszła już grupa greckich mimów.

— Zaprowadź ich do pomieszczenia dla gości. Niebawem przyjdę. Jeśli będą chcieli się przygotować, mogą skorzystać z solarium. — Spojrzał ponownie na Justusa. — Czego jeszcze chciałeś?

— Na ognie Marsa, nazbyt jestem impulsywny! — rzucił Justus i oparł dłonie na okrytych togą kolanach. — Wybacz mi, proszę. To w zasadzie dość delikatna sprawa.

— Innego zachowania po tobie nie oczekiwałem — zauważył Petroniusz, domyślając się, co usłyszy.

— Nie jestem już młody — powiedział ze smutkiem gość. — Odczuwam to coraz mocniej. Mam jednak młodą żonę. — Przerwał znacząco. — Jest prawdziwie... nienasycona. W młodości to częste. Stwierdzam jednak, że brak mi sił, aby sprostać jej oczekiwaniom.

Petroniusz przypomniał sobie ze wstrętem wszystkie plotki, które słyszał ostatnio na temat Justusa.

— Jeśli marzy ci się, że przydasz sobie sił, oglądając, jak wynajęty do tego mężczyzna gwałci twoją żonę, to musisz poszukać kogoś innego, aby pomógł ci to zorganizować — odpowiedział zdecydowanie Petroniusz, ignorując pełne oburzenia protesty Justusa, który w końcu przestał nad sobą panować.

— I ty to mówisz?! — wybuchnął. — Przy całej swej reputacji odmawiasz pomocy w czymś, co...

— Uchodzę w Rzymie za arbitra w sprawach elegancji. Elegancji, senatorze. Opłacanie gladiatorów, aby zmuszali twoją żonę do współżycia, nie ma z tym nic wspólnego. Porozmawiaj z właścicielem tego Germanina, jakkolwiek się zwie. On powinien się nadać. — Petroniusz był równie zaskoczony swoją gwałtowną reakcją jak

Justus. — Uwierz mi, senatorze, nie mam najmniejszej ochoty ingerować w cudze życie małżeńskie. Musisz mi zatem wybaczyć — dodał i wstał jednym płynnym ruchem.

Justus nie podniósł się od razu.

— Niesłusznie mnie oskarżasz — mruknął pod nosem.

— Naprawdę? Cóż, plotki bywają przesadzone. Mogły skrzywdzić i ciebie — powiedział Petroniusz bez przekonania i spojrział z góry na senatora. — Ale teraz naprawdę muszę cię już opuścić, senatorze. Mimowie czekają.

— Zniewieściali Grecy! Podobni do dawnych malowideł i posągów — parsknął Justus, krzyżując masywne ręce na piersi. — Jakby chcieli dorównać kapłanom Attisa...

— Chyba muszę ci przypomnieć, że Neron ceni greckich mimów niemal tak samo jak rydwanników — powiedział słodkim, niemal pieścotliwym głosem Petroniusz.

— Chwilowa słabostka — odparł z przekonaniem Justus. — Nie ma jeszcze trzydziestki. Za kilka lat zapomni o podobnych sprawach.

— A jeśli nie? — rzucił Petroniusz, nie oczekując odpowiedzi, i ruszył zaraz przez atrium. Po drodze przystanął jednak. — Gdy będziesz wiedział już coś więcej o swoich igrzyskach, przyjdź znów, a poszukam dla ciebie jakiegoś zespołu mimów, którymi tak pogardzasz, aby zabawiał publiczność pomiędzy rozgrywkami. Wielu Rzymian podziela upodobania cesarza.

Podczas niedawnego występu zespołu, który dzisiaj goszczę, doszło wręcz do zamieszek.

Justus wstał niechętnie. Nie był zadowolony z przebiegu rozmowy.

— To nie będzie konieczne.

— Jeśli naprawdę chcesz zjednać sobie Nerona, sam się przekonasz, że nie masz racji. — Petroniusz zerwał z brzoskwini okrytą kwiatami gałązkę i pobudził przy okazji dzwonki do życia.

— Czy ktoś jeszcze planuje igrzyska na lato? — spytał Justus, chociaż wolałby nie poruszać tej kwestii. Zwłaszcza w tym miejscu i czasie. Musiał jednak wiedzieć, czy ma jakiegoś rywala.

— Nie w Circus Maximus. I nie w lipcu. Cztery dni zabawy będą miłym urozmaiceniem i może uda ci się przyćmić igrzyska Italikusa Fulcyniusza Grakchusa. — Uśmiechnął się ironicznie. — Chociaż wątpię, aby ci się udało. A teraz przepraszam, senatorze. — I zaraz opuścił atrium.

Justus spojrzął za nim wściekły. Bardzo żałował, że nie może pobiec za zuchwalcem, aby wybatożyć jak bezczelnego niewolnika, jednak sama myśl o zemście przywołała wilczy uśmiech na jego twarz i niepokojący błysk w dużych, piwnych oczach. I na to przyjdzie pora, gdy wkradnie się ponownie w łaski cesarza. Wielka szkoda, że Neron zwykł wysłuchiwać Petroniusza, ale z czasem może zawierzy komuś mądrzejszemu, z bogatszym znacznie doświadczeniem. Justus spojrzął ze złością na niewolników wnoszących misy z pachnącą wodą i ruszył wolno w kierunku Artemidom, który czekał już, aby odprowadzić gościa. Zatrzymał się przy . fontannie i wyobraził sobie, że pluje do wonnej sadzawki. Kiedy indziej, powtórzył sobie. Po igrzyskach, gdy lato przeminie i cesarz sam go wyróżni.

Z tą myślą wszedł energicznie między drzewa brzoskwińowe.

List od. greckiego kamieniarza Mnastydosa do cesarza Nerona:

Do mego szlachetnego cesarza w dwudziesty dzień października 816 roku od założenia Miasta, z uniżonymi pozdrowieniami!

Nazbyt wielki zaszczyt mi uczyniłeś, o Neronie, zezwalając mi, abym zwrócił się bezpośrednio do Ciebie, jednak zgodnie z Twoją wolą, którą staram się wypełnić ze wszystkich sił, muszę poinformować Cię o tym, co zauważyłem w mieście po strasznym pożarze, który ogarnął je w środku

lata.

Zniszczenia są potworne, co widoczne jest dla każdego, kto przeszedł wypalonymi ulicami. Widu zabudowań rzemieślników w pobliżu Circus Maximus nie da się uratować, zbyt długo bowiem pozostawały w płomieniach. Niemniej ich strata to nic w porównaniu z katastrofą, która dotknęła wiele starszych i bardziej cennych budynków. Skarby dawnej świątyni Minerwy, o którą specjalnie pytałeś, przepadły bezpowrotnie. Bardzo nad tym boleję, wiem bowiem, jak bardzo je ceniałeś. To prawda, że kolumny budowli nadal stoją, ale utraciły swoją moc. Starczy surowa zima, długotrwały deszcz albo gwałtowna burza, aby całość się zawaliła. Ponieważ pytałeś mnie o zdanie, oto ono: należy rozebrać świątynię Minerwy i wykorzystać nadający się jeszcze do tego marmur przy budowie Twojego nowego, wspaniałego pałacu. Samej świątyni nie odtworzymy w jej świetności, budulec może się jednak przydać. Szczęściem znalazła się ona poza centrum pożaru, tak więc chociaż skryte w niej skarby przepadły, sam marmur częściowo ocalał.

Stanowiące ów skarb łupy wojenne stopiły się w poskręcane kawałki metalu. Udało się wśród nich wygrzebać kilka całych przedmiotów, ale i one okazały się popękane i poczerniałe od ognia. Tak jak kazałeś, zaniósłem je do cudzoziemca Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa mieszkającego w willi poza murami miasta. Zapewnił mnie, że jeśli tylko można będzie je uratować, napewno to uczyni. Już wcześniej naprawił trzy alabastrowe urny i wykazał się przy tym takim mistrzostwem, że trudno teraz poznać, iż miały w ogóle kontakt z ogniem.

Dodatkowe rzędy ław zamontowane w cyrku na igrzyska Justusa Syliusza zawaliły się. Bez nich cyrk nie pomieści więcej niż sześćdziesiąt tysięcy widzów. Być może wskazane byłoby je odbudować, skoro podczas ostatnich igrzysk tłumy były tak wielkie, że zabrakło wolnych miejsc i słyszałem, że nawet wszystkie przejścia pełne były ludzi. Olbrzymie łosie z Brytanii, które nie zostały zabite podczas igrzysk, padły z gorąca. Wielka

to szkoda. Syliusz miał zaiste dobry pomysł, przedstawiając te zwierzęta na arenie, i gdyby nie pożar, uzyskałby za nie dobrą cenę.

Za Twoim pozwoleniem nakazę kamieniarzom zebranie wszystkich nadających się do wykorzystania kamieni ze zniszczonych budynków, tak aby Twoi architekci mogli obejrzeć je i wskazać te, które zostaną przeznaczone do budowy pałacu. Reszta może się przydać do napraw cyrku na potrzeby przyszłych igrzysk. Gdyby zależało Ci na pośpiechu, znam dwie grupy znakomitych kamieniarzy, niewolników Twojego szanowanego senatora Marcellusa Sykstusa Tredisa oraz Twojego wielkiego wodza, Gnejusza Domicjusza Korbulona. Bez wątplenia gotowi są z oddaniem dla Ciebie pracować i nie mam wątpliwości, że zarówno senator, jak i wódz nie będą mieli nic przeciwko takiemu ich wykorzystaniu.

Żydowscy niewolnicy, którzy zostali zatrudnieni przy tej pracy, nie są właściwymi ludźmi, nie znajdują się bowiem na marmurze. Znajdź dla nich inne zajęcie, wielki cesarzu, i poszukaj dla nas więcej greckich kamieniarzy, albo stracisz przez ignorancję obecnych robotników więcej jeszcze pięknego marmuru.

Niektóre z mocno uszkodzonych przez ogień insuli mogą zostać odbudowane, jeśli właściciele uznają taki wydatek za uzasadniony. Poinformowałem ich już o tym i czekam obecnie na odpowiedzi. Jeśli zażyczysz sobie, abyśmy zajęli się tymi budynkami, uczynimy to bez chwili wahania. W razie braku konkretnego polecenia, pozostawię decyzje o ich ewentualnej odbudowie w gestii właścicieli.

Najuniżej dziękuję Ci, o Neronie, za wysłuchanie mego raportu. Nie zasłużyłem na ten zaszczyt, aby zwracać się do Ciebie. W dniu, kiedy mnie wyzwolisz, tym bardziej stanę się Twym niewolnikiem. Teraz, gdy mnie właśnie polecieś przygotować meldunek, chociaż tylu masz wkoło ludzi zdolniejszych i wyżej ode mnie postawionych, moje oddanie, zawsze wielkie, wezbrało jeszcze mocniej. Cokolwiek mi rozkażesz, czy będzie to

rzecz mała, czy wielka, wykonam bez wahania z wdzięczności za zainteresowanie, które mi okazałeś.

*Do śmierci Twój sługa Mnastydos kamieniarz z Rodos
(spisane ręką Eugeniusza, skryby ze świątyni Merkurego)*

. 2 .

Pod trybunami panował ciężki smród; wydawało się, że gorące powietrze wręcz stoi w miejscu. Grube, kamienne mury tłumiły dobiegające z widowni odgłosy i niekiedy trudno było odróżnić ludzkie krzyki od ryków zwierząt. Migoczące w uchwytych pochodnie wypełniały mroczne wnętrza rudawym poblaskiem.

Nekredes, który odpowiadał tego dnia za bestiarium, przystanął obok przysadzistego kata z Dalmacji i spojrzał na rzemienie, które ten zaciskał na rękach muskularnej kobiety. Właśnie wiązał je do żelaznego pierścienia.

— Mocniej — powiedział, ignorując krzyki krępowanej. — Naciągnij porządnie, nim ją odwrócisz.

Kat skinął głową i poprawił więzy. Zaklął cicho, gdy kobieta spróbowała kopnąć go w pachwinę.

— Niech mnie bliźniaki chronią od Ormianek — mruknął, pochylając się, aby związać jej nogi.

— Uwolnijcie mnie! — krzyknęła kobieta z wściekłością w oczach i szarpnęła rzemieniami. — Nie macie prawa! Tylko mój pan to może! — Zanim pęta zacisnęły się na jej nogach, zdołała jeszcze kopnąć kata w żebra.

— Byłaś nieposłuszna — powiedział Nekredes z satysfakcją. — Nie wykonałaś polecenia.

Młoda kobieta spojrzała na niego ze złością.

— Nie po to osiem lat szkoliliam te konie, aby teraz wypuścić je na arenę z lwami. — Miała krótkie, ciemne włosy, okalające luźnymi kosmykami twarz o nieco lisich rysach. Była silna, a tunika odsłaniała dobrze umięśnione ręce i nogi. Wcale się nie bała.

Nekredes mlasnął z dezaprobatą.

— Zrobisz, co ci każe, niewolnico. — Skinął na kata i odsunął się trochę. — Dwanaście razy.

Kat podszedł do niskiej ławy, na której leżały jego narzędzia. Były tam drewniane młotki, stringile, noże i haki, wszystkie ułożone porządnie z jednej strony. Obok znajdowały się pejczy i bity: *plumbata* z długimi pękami rzemieni ujętymi w ołowiane pierścienie, *flagelli* z kawałkami kości przymocowanymi na końcach skórzanych pasów i pręty zakończone rzemieniami w drucianym oplocie. Kat wybrał ten ostatni instrument i na próbę machnął nim kilka razy w powietrzu. Pejcz zdawał się zagłuszać szalejący na górze tłum. Mężczyzna skinął głową i stanął nad kobietą.

Przy pierwszym uderzeniu zdołała stłumić krzyk, chociaż plecy zaboląły ją, jakby ktoś oblał je kwasem. Przygotowała się na drugi cios, napinając mięśnie w taki sposób, jak kiedyś, gdy ojciec uczył ją zeskakiwać z grzbietu galopującego konia. Jednak to było co innego. Miejsce kolejnego uderzenia pokryło się z poprzednim i kobieta poczuła nagle ogarniającą ją słabość. Coś spływało jej po plecach. Obróciwszy lekko głowę, ujrzała, jak rozdarta tunika nasiąka z wolna czerwienią. Czekają ją jeszcze dziesięć takich razy i po raz pierwszy w życiu zwątpiła w swoją wytrzymałość.

— Dalej — polecił Nekredes, nie kryjąc już zadowolenia.

Kat uniósł rękę i naprężył mięśnie, aby opuścić ją z właściwą siłą.

— Dość — powiedział nagle ktoś niskim, melodyjnym głosem. Zdecydowany ton zdradzał kogoś, kto przywykł do rządzenia innymi.

Nekredes i kat obrócili się, aby spojrzeć na nowo przybyłego.

Mężczyzna, który pojawił się właśnie w blasku pochodni, był trochę wyższy niż przeciętny Rzymianin, ale i bez tego można było poznać w nim cudzoziemca. Nosił czarną, sięgającą do kolan, perską togę, na karku i przy zakończeniach sięgających do łokci rękawów obszytą

czerwoną i srebrną nicią. Nogawki obcisłych, również czarnych perskich spodni kryły się w scytyjskich butach z czerwonej skóry. Arystokratyczną twarz okalały ciemne pukle włosów. Zdawał się lekko uśmiechać, ale w jego oczach płonęła złość.

— Franciskus — wymamrotał Nekredes, drętwiejąc mimowolnie.

Obcy przytaknął i skinął na kogoś, kto dopiero teraz wychynął z ciemności. Był to mężczyzna znacznie młodszy od jego pana; mimo bursztynowej obroży niewolnika postawę miał wręcz szlachecką. Był wysoki i smukły, ale z szerokimi barami i muskularnymi rękami rydwannika. Nosił tunikę wyścigową stronnictwa czerwonych, płaszcz miał przewieszony przez ramię.

— Dalej! — zawołał Nekredes do kata. Elegancki cudzoziemiec nie był w tej chwili osobą, którą pragnąłby spotkać.

Kat zawahał się.

— Powiedziałem dość. — Rakoczy Saint Germain Franciskus podszedł do mężczyzny i schwycił opadający bat. Rękojeść uderzyła głucho o jego drobną dłoń, która jednak bez trudu wyrwała instrument z ręki oprawcy.

Kat zbladł. Sam był niewolnikiem i właśnie odważył się zadać cios wolnemu.

Odziany w czerń obcy jakby czytał mu w myślach.

— Na czyj rozkaz? — spytał.

— No... — Kat zamachał rękami, pokazując na Nekredesa. Bał się mówić. Zbyt wielu ludzi zabatożył na śmierć, aby samemu pragnąć podobnego losu. Gdyby cudzoziemiec złożył na niego oficjalną skargę za uderzenie, morderczy pejcz zakończyłby jego żywot.

Saint Germain spojrział na mistrza bestiariusium.

— Kto dał ci zgodę, aby karać moją niewolnicę? — spytał spokojnie, o wiele za uprzejmie jak na podobne okoliczności.

Nekredes wolałby już, aby obcy okazał mu otwartą wrogość.

— Ona... — zaczął Nekredes i musiał odchrząknąć, aby odzyskać zdecydowane brzmienie głosu. — Ona odmówiła wykonania rozkazu samego organizatora igrzysk.

— Jakiego rozkazu? — Saint Germain raz tylko spojrział przelotnie na kobietę, ale stanął tuż obok niej i dotknął jej boku. — Kto ci dał prawo? — spytał ze złością, odrzucając daleko bat. — Słucham.

— Odmówiła... — zaczął znowu Nekredes, ale suchość w gardle nie pozwoliła mu kontynuować.

— Wykonania rozkazu — dokończył za niego obcy. — Kto ci dał prawo rozkazywać cokolwiek mojej niewolnicy! — Przeszedł przez cuchnące pomieszczenie. — Odpowiadaj!

— Mam prawo to czynić jako mistrz bestiarium i gdy organizator czegoś zażąda... — Nekredes poczuł, że jego słowa brzmią mało przekonująco, i mimowolnie cofnął się przed przybyszem.

Saint Germain nie dał się zbyć.

— Ta kobieta należy do mnie, Nekredesie. Do mnie. Zrobi to, co ja rozkażę. Nikt inny nie ma prawa wydawać jej poleceń. Nikt inny. — Niemal przyparł już mistrza bestiarium do ściany i wbijał w niego spojrzenie palące niewiele mniej dotkliwie niż grecki ogień.

Nekredes z każdym słowem obcego drętwiał coraz bardziej.

— Jako mistrz bestiarium...

— Mistrz? Byle szczur jest bardziej godzien tego tytułu. — Obcy odwrócił z pogardą głowę. — Odetnij ją — polecił katu. Wystraszony mężczyzna zaczął niezdarnie szarpać się z więzami. Rakoczy wrócił do kobiety spojrzawszy uważnie w oczy. — Tisztry? — spytał łagodnie.

— Jestem przytomna... — O ironio, właśnie teraz, gdy najgorsze już minęło, oczy kobiety wypełniły się łzami. Gdy krępujące ją rzemienie puściły, ku własnemu przerażeniu nie zdołała utrzymać się na nogach i upadła u stóp swojego pana.

Ujął ją mocnymi ramionami, podniósł i przytrzymał, by odzyskała

choć trochę siły. Nie patrzył na nią, sam jego dotyk jednak dodawał jej ducha.

— Franciskusie... — odezwał się stojący wciąż w oddaleniu Nekredes.

Germainowi nawet powieka nie drgnęła na znak, że usłyszał cokolwiek. Obrócił się do rydwannika.

— Daj jej swój płaszcz, Kosrozdzie.

Młodzieniec rozłożył materię i otulił nim kobietę.

— Ostrożnie. Krwawi. Aumtehoutep będzie musiał uważnie się nią zająć. — Pomógł Kosrozdowi, nie zwracając przy tym najmniejszej uwagi na ciągle mamrotanie Nekredesa.

Tisztry odzyskała w końcu panowanie nad sobą i uniosła głowę. Bursztynowa obroża z wyrytym imieniem pana zaśniła w blasku pochodni.

— Moje konie...?

— Kosrozd o nie zadba. Będą bezpieczne — powiedział Sanct' Germain, głaszcząc kobietę po włosach. — Gdy wieczorem opuszczę cyrk, zabiorę je do mojej willi.

To nie uspokoiło jednak kobiety. Ścisnęła mocniej ramię Sanct' Germaina i rozejrzała się po kamiennym pomieszczeniu.

— Muszę iść? On... — Rzuciła pogardliwie spojrzenie Nekredesowi. — On może kazać komuś wyprowadzić je dla lwów.

— Wątpię, aby był taki głupi — powiedział cicho Sanct' Germain.

— Ale on chce widzieć je na arenie — odparła głośniejszą Tisztry i spojrzała błagalnie na swojego pana, potem na Kosrozda.

— Daję ci moje słowo, że nikt oprócz ciebie nie będzie nimi rozporządzał. Czy to ci wystarczy? — spytał Sanct' Germain ze współczuciem, ale i wyraźną stanowczością w głosie.

Jego niewolnicy znali ten ton i wiedzieli, że oznaczał on koniec wszelkich dyskusji. Tisztry opuściła oczy.

— Idź zatem. Najpierw do Aumtehoutepa. — Poczekał, aż kobieta odsunie się od niego. Uczyniła to, aczkolwiek niechętnie, i wsparła się na ramieniu Kosrozda. — Gdy tam już trafi, wracaj do mnie — dodał, patrząc na młodzieńca.

Gdy niewolnicy wyszli, kat odsunął się głębiej w cień, Nekredes jednak poczuł przypływ odwagi. Wyprostował się i podszedł do cudzoziemca.

— Nie jesteś Rzymianinem, Franciskusie...

— I dzięki za to bogom — rzucił Sanct' Germain.

— Może z tego powodu nie rozumiesz, że mistrzowie mają prawo wydawać rozkazy w imieniu organizatorów wielkich igrzysk. Skoro zadysponował tak a nie inaczej twoją Ormianką i jej końmi, nie możesz mu się sprzeciwić.

Saint Germain spojrzał na niego jak na żebraka, który wdarł się do kuchni.

— Ilu zdołałeś oszukać takim gadaniem? — spytał, unosząc brwi. — Naprawdę aż tak bardzo nie znasz prawa? Mam ci je przypomnieć? Gdybyś zmusił ją do wyjścia na arenę, chociaż nie została na to skazana, i gdyby straciła przez to swoje zwierzęta, mogłaby wnieść przeciwko tobie oskarżenie i każdy sąd uznałby cię za winnego. Musiałbyś nie tylko zapłacić za konie, ale też wyrównać wszystkie straty związane z latami szkolenia nowych zwierząt. I to niezależnie od odszkodowań, których ja bym od ciebie zażądał. Tak właśnie stanowi rzymskie prawo, Nekredesie, i to już od czasów boskiego Juliusza.

Nekredes uznał, że nie może się teraz poddać. Uniósł pokrytą szczeciną zarostu twarz.

— Znasz też chyba kary przewidziane za bunt niewolników? Ta twoja kobieta próbowała zabić rzymskiego obywatela. Gdyby jej się udało, to zarówno ona, jak i wszyscy twoi niewolnicy straciliby życie.

Zapewne na arenie — dodał i spojrzął cudzoziemcowi zaczepnie w oczy.

— To nie tak. Podobna kara mogłaby ich spotkać, gdy to mnie zabiła — poprawił go spokojnie Sanct' Germain i z jakiegoś powodu zaśmiał się cicho. — Ty za mało znaczysz. I lepiej trzymaj się z daleka od moich niewolników, Nekredesie.

Mistrz bestiarium umilkł, ale gniew wezbrał w nim jeszcze silniej. Gdy obcy odwrócił się, aby odejść, Nekredes poprzysiągł sobie, że pewnego dnia znajdzie sposób, aby zemścić się za to poniżenie. Nie wiedział jeszcze jak, ale zamierzał starannie zaplanować odwet, nawet gdyby miało mu to zabrać wiele czasu. Spojrzął na ławę z narzędziami tortur, potem na samego kata, który nadal chował się w cieniu i zerkał niepewnie na Nekredesa.

— Ty tam! — krzyknął mistrz. — Jedno słowo o tym, co tu widziałeś i słyszałeś, a skończysz na arenie!

Kat pokiwał głową, ale pozostał w swoim kącie.

Rakoczy Sanct' Germain wyszedł szybko z cuchnącego pomieszczenia. Nie ochłonął jeszcze na tyle, aby ryzykować rozmowę z ludźmi, do których nie żywił żadnych uraz. W podobnych sytuacjach jego obce pochodzenie okazywało się sporą zaletą, mógł sobie bowiem pozwolić na osobliwe zachowania, które w przypadku miejscowego musiałyby zwrócić uwagę, a może nawet zostałyby poczytane za obraźliwe.

Na drugim końcu korytarza ujrzał trzech Libijczyków z kilkoma prowadzonymi na smyczy karakallami. Mężczyźni śpiewali coś cicho swoim zwierzętom, uspokajając je przed następnym punktem programu.

Saint Germain podszedł bliżej i pozdrowił jednego z hodowców w jego własnej mowie.

— Na co dzisiaj polujecie?

Libijczyk spojrział na niego zaskoczony i obrócił się najpierw do towarzyszy, dopiero później odpowiedział.

— Powiedzieli nam, że na małe dzikie świnie z Germanii i Galii. — Pokręcił głową i zmarszczył brwi. — Nie podoba mi się to. Nasze koty są za małe na dziki. Moi kuzyni i ja — wskazał na pozostałych mężczyzn — obawiamy się, że nasi mali bracia mogą ucierpieć. Są szkoleni do przynoszenia lekkiej zdobyczy, jak ptaki i drobne antylopy. Dzików nie znają.

— Próbowaliśmy przekonywać, ale... — dodał inny hodowca i wzruszył bezradnie ramionami. Pogłaskał najbliższego piaskowego karakalla między uszami, on zaś uniósł głowę, przymknął oczy i przytuliwszy krótki ogon do boku, zamruczał rozgłośnie.

— Piękne stworzenia — powiedział Sanct' Germain i przyklęknął. Nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie wypowiedziane szybko przez jednego z Libijczyków. — Wspaniały jesteś — szepnął, wyciągając dłoń do zakończonych pędzelkami uszu zwierzęcia, które podsunęło mu głowę, dopraszając się podrapania. Poczuvszy pod palcami ciepłą sierść karakalla, Franciskus uświadomił sobie, że gniew go wreszcie opuszcza.

— Zwykle nie pozwala podejść do siebie obcym — powiedział hodowca ze zdumieniem i podziwem w głosie.

— Może nie jestem aż tak obcy — odparł Saint Germain i wstał niechętnie.

Libijczycy wymienili spojrzenia, a jeden z nich uczynił jakiś znak palcami.

— To nie będzie konieczne — stwierdził Franciskus, odsuwając się o krok. Przez chwilę czuł się bardzo nie na miejscu.

Stojący najbliżej hodowca zdobył się na wymuszony uśmiech.

— Nie chcemy nikogo urazić, ale dla nas te koty są jak rodzina i... — Urwał, jakby nie wiedział, co powiedzieć. — Naprawdę nie lubią

obcych.

Saint Germain nie potrafił mu odpowiedzieć. Stał w milczeniu, podczas gdy Libijczycy odeszli ze swoimi karakallami.

— Nie sądzę, aby zrozumieli — rozległo się nagle za plecami Franciskusa. Obrócił się szybko i ujrzał Kosroзда. — Koty lubią cię, mój panie, a ich hodowcy są zazdrośni.

— Może — odparł Sanct' Germain, patrząc na niewolnika z uwagą.

Chwilę później musieli zejść z drogi oddziałowi hoplitów. Grecy maszerowali z pełnym uzbrojeniem, ich kapitan ochrypłym głosem nadawał tempo.

— Mają walczyć z ormiańskimi łucznikami na rydwanach — powiedział obojętnym tonem Kosrozd.

— Na kogo byś stawiał? — spytał Sanct' Germain, spoglądając na młodego Persa.

— Hoplitom nie będzie łatwo — odparł Kosrozd po chwili namysłu. — Jeśli jednak Ormianom nie uda się rozbić ich szyku, to Grecy mogą wygrać. Co innego, jeśli utrzymają dystans. Używając wyłącznie łuków, nie dadzą im pola do popisu.

Saint Germain pokiwał głową.

— Ale Ormianie rzadko zachowują dyscyplinę w walce.

Rozmowę przerwał im nagły wybuch hałasu na arenie. Spojrzeli przez wychodzące na cyrk okno, ale wąska szczelina nie pozwalała dojrzeć wiele poza czerwonym blaskiem słońca przeświecającego przez rozpięte nad widownią osłony.

— Co tam się teraz dzieje? — spytał Sanct' Germain.

Kosrozd skrzywił się lekko, nie będąc w stanie całkiem ukryć odrazy.

— Pokaz osłów wytresowanych do gwałcenia skazanych kobiet.

Hałas narastał, aż przedarł się przezeń wypełniony ogromnym bólem krzyk, który jednak urwał się raptownie.

— Cóż, już po wszystkim — powiedział Sanct' Germain, odwracając się od okna. Położył młodzieńcowi dłoń na ramieniu. — Masz dzisiaj jeszcze jeden wyścig?

— Tak. I jeden jutro. Czerwoni nie radzą sobie dobrze na tych igrzyskach i bardzo liczą, że wygram. — Z ulgą wrócił do tematu wyścigów. Mimo siedmiu lat spędzonych w Rzymie nie potrafił zaakceptować gustów tutejszej publiczności.

— Nie chcesz dla nich jechać? Nie jestem obywatelem i dlatego nie mogę przystąpić do żadnego stronnictwa. Tym samym nie ma żadnego powodu, abys ścigał się dla czerwonych. Może wolałbyś niebieskich, zielonych albo białych?

— Albo złotych czy purpurowych — dodał fatalistycznie nastawiony Kosrozd, wymieniając nazwy dwóch świeżo utworzonych stronnictw. — Nie, dla mnie to bez różnicy, jakie barwy noszę. Jedzie się zawsze tak samo.

— Mógłbyś wybrać zielonych, stronnictwo cesarza. Hojnie nagradza rydwanników. — Ruszyli labiryntem korytarzy i schodów ku tej części cyrku, która była przeznaczona dla rydwanów.

— Gdy wygrywają. W razie przegranej równie surowo ich karze. Cegelliona z Gades kazał włóczyć jego własnej drużynie, aż wyzionął ducha. — Kosrozd zamilkł na chwilę i spojrzał na swego pana. — Ci, co się tutaj ścigają, nie mogą liczyć na długie życie.

— To okrucieństwo jest czymś nowym — mruknął Sanct' Germain. — Jeszcze kilka lat temu Neron zakazywał zabijania ludzi i zwierząt na arenie, wyjątek czyniąc tylko w wypadku skazanych w sprawach politycznych. Teraz... — Skrzywił się i dalej szedł w milczeniu.

Byli już niemal na miejscu, gdy Kosrozd złapał go za rękę. Sanct' Germain zatrzymał się i spojrzał bez słowa na długopalcą dłoń obejmującą jego łokieć.

— Muszę... muszę o czymś porozmawiać — wyszeptał

zdesperowanym tonem młodzieniec.

W końcu Franciskus spojrział mu w oczy.

— Tak?

— Czy... czy zamierzasz, panie, znowu brać Tisztry do łożnicy? — wyrzucił z siebie Kosrozd.

Saint Germain sam był kiedyś niewolnikiem i nie zaskoczyło go, że młodzieniec wie tyle o jego życiu. Uwolnił łagodnie ramię.

— Nie od razu. Jest ranna.

— Czy będziesz sypiał sam? — Kosrozd pojmował, że nie ma prawa zadawać podobnego pytania i że może spotkać się z ostrą odprawą albo nawet czymś gorszym.

— Sypiał? — spytał Sanct' Germain z ironią w głosie.

— Czy jest jeszcze ktoś, kogo bardziej pragniesz? — Teraz młodzieniec ryzykował już naprawdę wiele, ale nie mógł się wycofać.

Saint Germain spoważniał w jednej chwili, a jego oczy posmutniały, wpatrzone jakby w wielką dal.

— Nie. Nikogo już nie śmiem naprawdę pragnąć.

Kosrozda przebiegł dreszcz i młodzieniec omal nie poniechał całej rozmowy.

— Czy... czy zatem... może byś... pragnął mnie? — Wiedział, że równie wielka impertynencja może skończyć się jego sprzedażą albo wysłaniem na prowincję, aby ściagał się odtąd w Trewirze, Diwodurum czy Poetowium, daleko od Rzymu i Saint Germaina.

— Jestem bardzo stary, Kosrozdzie. O wiele starszy, niż sądzisz — odparł spokojnie Saint Germain. — Wiem dobrze, że za każdą bliskość płaci się z czasem bólem straty. Ja dość już straciłem.

— Jesteś sam — mruknął Kosrozd. — Ja też.

— Jestem bardziej sam niż ty — rzucił z uśmiechem Saint Germain. — Chociaż obaj jesteście księżęcej krwi i obaj straciliśmy nasze królestwa, Kosrozdzie Kajwanie. Tak, znam twoje pełne imię — dodał,

zobaczywszy zdumienie odbijające się w oczach młodzieńca. — Wiem, kim jesteś. Wielka szkoda, że twoi stryjowie nie znaleźli bardziej zaufanych konspiratorów. Ty zaś miałeś szczęście; że jedynie sprzedano cię w niewolę. Inny król mógłby się obejść z tobą gorzej.

— Mojego ojca kazał upiec na rożnie! — wybuchnął Kosrozd.

— Ale oszczędził jego dzieci. I ciebie pozostawił mężczyzną. Nie zapominaj o tym. Persja łagodnieje z upływem wieków.

Jeden z aurigorów dojrzał Kosrozda i podszedł do niego przez wozownię.

— Już prawie pora. Twój rydwan jest gotowy.

— Chwilę, Brikusie. — Młodzieniec spojrział na swego pana. — Sprzedasz mnie, panie? Czy może raczej odeślesz?

Saint Germain zastanowił się chwilę.

— Zapewne powinienem coś zrobić, ale nie chcę. Twoje słowa mnie poruszyły. — Nagle zmienił ton. — Dalej, musisz przygotować się do wyścigu.

Kosrozd spróbował jednak raz jeszcze.

— Tisztry powiedziała mi kiedyś, że nie zachowywałeś się tak, jak się spodziewała.

— Bardzo możliwe — odparł oschle Saint Germain.

— To by nie miało znaczenia — powiedział młodzieniec.

— Naprawdę? — W cyrku dał się słyszeć krzyk sześćdziesięciu tysięcy gardeł, który zagłuszył na kilka chwil wszystko inne. — Niektórzy uważają, że wszystko, co robię, naznaczone jest śmiercią — powiedział Saint Germain, po części do siebie, gdy zrobiło się ciszej. W jego głosie pobrzmiwała wyraźna gorycz.

Kosrozd zaśmiał się smutno i obejrzał na czekający rydwan.

— Śmierć. To ja jestem z nią na ty. — Nie spojrzawszy już na Saint Germaina, podszedł do swojego pomocnika, który zaczął wyprowadzać czterokonny zaprzęg w stronę Bramy Życia.

List do cesarza Nerona:

Chwała Neronowi, który jest naszym cezarem, panem świata!

Jako obywatel rzymski, nieważne jak skromnego stanu, zwracam się do Twojej boskiej osoby w imieniu tych, którzy są mymi braćmi i którzy niesprawiedliwie zostali skazani na śmierć z powodu swojej religii.

Powiadasz, że Rzym przyjmuje wszystkie wyznania jak swoje i znakiem tego są obecne w mieście najróżniejsze świątynie. Jednak to pozór, okazałeś się bowiem zdecydowanym przeciwnikiem tych, którzy czczą jedyne prawdziwego przedstawiciela Boga na ziemi, i nastawiłeś całe państwo rzymskie przeciwko nam.

Być może nadal mylisz nas z tymi buntowniczymi Żydami, którzy wznieśli w swoim kraju rewoltę przeciwko Twojej władzy. To prawda, że kierujemy się naukami człowieka, który był Żydem, ale nie godzi się nas potępiać podobnie jak ich, nie występujemy bowiem przeciwko władzy doczesnej i nie kwestionujemy rzymskich praw do obecności na ich ziemi. My, którzy żyjemy zgodnie z naukami Joszui syna Józefa i jego uczniów, nie zgadzamy się z pozostałymi Żydami. Owszem, istnieje wiele żydowskich sekt i brak zgody między nimi, wszakże pod jednym istotnym względem różnimy się od nich wszystkich: większość Żydów zgadza się z pismami wielkich, dawnych nauczycieli i wierzy, że pewnego dnia zjawi się na tym świecie ktoś, kto wyzwoli ich z wszelkich więzów, wskazując narodowi drogę do wolności. My, zwączy siebie chrześcijanami, wierzymy, że to proroctwo spełniło się z chwilą narodzin Joszui bar Józefa sześćdziesiąt pięć lat temu. Nie odrzucamy jak reszta Żydów zbawienia, które nam zaoferował, ale uznajemy w nim naszego wyzwoliciela i oddajemy mu cześć jako żywemu świadectwu Bożej obecności na ziemi.

Jeśli skłonny jesteś nas prześladować, niewiele możemy zrobić, aby Ci się sprzeciwić, błagam jednak w imieniu swoim i moich braci, abyś nie

utożsamiał nas z Żydami, ponieważ nimi nie jesteśmy. Wielu z nas cierpi w więzieniach i przy wiosłach trirem, ponieważ ani Ty, ani Twoi urzędnicy nie zadaliście sobie trudu, aby pojąć różnicę między nami a Żydami.

Błagam Cię, abyś wejrzał w swoje serce i tak odmienił swoje prawa, o cesarze, aby nikt nie musiał cierpieć przez Twą niewiedzę oraz niewiedzę innych Rzymian. Bez oporów zaakceptowałeś w Rzymie obecność wszystkich fałszywych bożków świata, całe zło napotkane wszędzie, gdzie zbłądziły rzymskie legiony. Dlaczego zatem bronisz nam, którzy podążają ścieżką zbawienia i czczą prawdziwego Boga, wyznawać naszą wiarę równie otwarcie, jak robią to kobiety zwiedzione fałszywymi obietnicami usłyszanymi w świątyni Izydy? Z całą pewnością nie jesteśmy w Rzymie bardziej obcy niż egipska Izyda. Dlaczego nie jesteś skłonny chronić nas podobnie jak wszystkich innych? Jeśli nie zaprzestaniesz prześladowań, jasne się stanie, że rzymska sprawiedliwość to kłamstwo, Ciebie zaś otoczy nienawiść i gdy umrzesz, ciśnięty zostaniesz w ciemność za nienawiść okazywaną tym, którzy żyją zgodnie z przykazaniami prawdziwego Boga.

Chociaż możesz zabić me ciało w tym świecie, nadal będę się za Ciebie modlił tutaj i przed tronem naszego Pana.

*Pokornie, z imieniem Chrystusa, Filip,
wolny obywatel rzymski*

. 3 .

Arnaks leżał pod ścianą bogato wyposażonego pokoju i chrapał, własną wymiętą tunikę tuląc pod głową jak poduszkę.

We wnętrzu unosił się lekki zapach perfum, wiszące po bokach lampy oświetlały go łagodnym blaskiem, ukazując skotłowane łoże i dwie postacie, które uczyniły ten bałagan.

Acja Oliwia Klemens spojrzała na swego męża i na jej posiniaczonej twarzy odbił się wyraźny niesmak.

—Justusie... — powiedziała niepewnie. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, i gdyby Korneliusz Justus Syliusz nie opadł na nią całym ciężarem swego świeżo pobudzonego ciała, pewnie zacisnęłaby je w pięści. Tak wpiła po prostu palce w fałdy jedwabnego prześcieradła. Cała była pokryta śladami żądzы Arnaksa i ledwie powstrzymała się od krzyku, gdy mąż w nią wszedł.

— Leż spokojnie! — warknął, gdy wzdrygnęła się gwałtownie.

Posłuchała, bo tak pewnie było lepiej. Wpatrzyła się ponad jego ramieniem w sufit i podobnie jak niemal każdej nocy od dwóch lat, zapragnęła śmierci, która uwolniłaby ją od tego znieawidzonego małżeństwa.

Chwilę później zsunął się z niej, wyraźnie niezadowolony.

— Nie jesteś w tym dobra — mruknął, patrząc na swój przywiedły organ.

Rozdarta między ulgą a nowymi obawami Oliwia owinęła się prześcieradłem.

— Poddałam się — zaprotestowała. — Nawet wtedy, gdy mnie bił. Chcesz, abym umarła? Czy to ci wystarczy?

Jej pytanie przypomniało Justusowi różne plotki, które krążyły na

temat jego trzeciego małżeństwa.

— Nie, oczywiście, że nie chcę twojej śmierci. Myślę jednak, że da się znaleźć kogoś, kto zaradzi kłopotom.

— Myślałam, że on — wskazała na Arnaksa — był właśnie kim takim. Sam kazałeś mu być bardziej gwałtownym. Ile jeszcze mam wytrzymać?

— Brutalna siła to jedno, ale nie tylko tego można się bać — powiedział Justus, mierząc śpiącego spojrzeniem. — Musisz poszukać mężczyzny innego od wszystkich, takiego z odmiennym całkiem gustem. — Uśmiechnął się lekko do swoich myśli. — Wiem, że są tacy. Na pewno trafisz na chociaż jednego.

— Jak bardzo odmiennym? — spytała słabym głosem Oliwia, aż skurczywszy się pod okryciem.

— To już sama zdecydujesz. Ale ostrzegam cię, dobrze wybieraj. Nie ścierpię kolejnego rozczarowania. — Wstał i sięgnął po swój nocny strój partyjskiego kroju, który leżał na podłodze.

Oliwia chciała skinąć głową, ale nie mogła się poruszyć. Jej ciało zdawało się należeć do kogoś całkiem innego, na pewno nie do niej. Nie panowała nad nim.

—Justusie — wykrztusiła wreszcie, wpatrując się w męża. — Dość tego. Błagam cię. Odeślij mnie gdzieś daleko. Odejdę bez sprzeciwu, gdziekolwiek to będzie. Będę żyła prostym życiem. Nie poproszę cię o żadną pomoc. Pozwól mi odejść. Proszę.

Słyszając jej błaganie, otworzył szeroko swoje małe oczy. W tym blasku wydawały się niemal piaskowe i tak jasne, że mogły przerażać.

—Jeśli, tego właśnie chcesz, Oliwio, oczywiście mogę na to pozwolić — powiedział, naciągając togę i obwiązując się jaskrawym sznurem.

— Och, dziękuję. — Zacisnęła pod prześcieradłem dłonie. — Kiedy mogę ruszać?

— Kiedy tylko zechcesz — powiedział. — Jestem pewien, że rodzina cię zrozumie. Zwłaszcza gdy poślę twojego ojca do więzienia. — Spojrzał na żonę, rozkoszując się jej przerażeniem.

— Ale... — Nie wiedziała zupełnie, co powiedzieć. Jej oczy napełniły się łzami, ona jednak jakby tego nie zauważyła.

— Uprzedzałem się — rzucił Justus tonem cierpliwego wyjaśnienia. — Jak długo jesteś ze mną i pozostajesz posłuszną, twoja rodzina jest bezpieczna. Mam z twoim ojcem rachunki do wyrównania. Teraz starcza, że twoi bracia spłacają swoje długi, jemu zaś pozwalam zatrzymać majątek i na znak dobrej woli pobłażam jego drobnym ekstrawagancjom. Starczy jednak, że mnie opuścisz, kochana żono, a będzie musiał wywiązać się ze wszystkich ciężących na nim zobowiązań. Twoi bracia stracą obecną pozycję i będą mieli szczęście, jeśli znajdą kątek w domostwach mężów twoich sióstr. — Zaśmiał się nieprzyjemnie, tak jak zamierzał.

— Nie! — krzyknęła Oliwia i Arnaks poruszył się przez sen, ale się nie obudził.

— Uważaj — powiedział Justus, grożąc jej palcem. — Nie chcę żadnych plotek wśród niewolników. Niech lepiej mają cię za rozpustną. W przeciwnym razie mogliby nie być tacy chętni, aby tu przychodzić, co mocno by mnie zmartwiło. — Ujął ją pod brodę. — Czy wiesz, jak to jest, gdy muszę patrzeć, co ci robią, żono? Wyobrażasz sobie to poniżenie, którego bym doświadczył, gdyby wieści o tym się rozniosły?

— Boski Klaudiusz też był taki jak ty — powiedziała Oliwia, zebrawszy się na odwagę.

— Boski Klaudiusz był cezarem! — Ujął mocniej jej żuchwę. — Uczynił ze swojej żony kurwę, nauczył ją odurzać się mężczyznami. Taka właśnie była, gdy mój kuzyn ją poznał. Gajusz głupio postąpił, że ją zmienił. — Oddychał szybko, oczy miał rozbiegane. Oliwia

poznała te objawy i przygotowała się na kolejny wybuch. — A ten galijski żołnierz — wyszeptał. — Pragnęłaś go. Pomogłaś mu wejść w ciebie.

Nie było to nowe oskarżenie i Oliwii zostało tylko powtórzyć raz jeszcze całą nużącą scenę.

— Sam mi kazałeś, abym mu pomogła, Justusie. Byłeś przekonany, że on może nie chcieć kobiety, i dlatego miałam go pobudzić. — Po roku innych, coraz bardziej poniżających doświadczeń, tamto wspomnienie nie robiło już na niej większego wrażenia.

— Pamiętasz go. — Justus pochylił się nad nią i ujął jej rękę.

— Wszystko pamiętam, Justusie — powiedziała, nie kryjąc obrzydzenia.

Pchnął ją na poduszki.

— Myślisz o zemście, Oliwio? — Szarpnięciem rozchylił togę. — Nie zapominaj o swoim ojcu. I o braciach oraz siostrach. Jak długo mnie zadowalasz, pozostają bezpieczni. — Brutalnym gestem zmusił ją do rozłożenia kolan.

Gniew wezbrał ponownie w sercu Oliwii i chociaż wiedziała, że narazi się tym mężowi, zaczęła z nim walczyć. Uderzała go pięściami i rzucała się nawet wtedy, gdy przycisnął ją swym ciężarem.

Gdy skończył, nie od razu się od niej odsunął.

— Chcesz, abym znowu zawołał Tingitaniana ze stajni?

Ze wszystkiego, czego doświadczyła, Tingitanian był chyba najgorszy. Przypomniła sobie jego niespożyte okrucieństwo i ciało śmierdzące zjełczalym olejem, nawozem i czymś jeszcze, co było tak przytłaczająco słodkie, że Oliwia prawie się dusiła.

— Nie masz ochoty, żono? — spytał Justus, złącząc z niej w końcu. — Stajenny niewolnik ci nie odpowiada? Gdybym wysłał cię do lupanaru, trafiłabyś na jeszcze gorszych od niego. — Dojrzał na jej twarzy grymas obrzydzenia, którego nie udało się jej ukryć. — A

może dojść i do tego. Chyba że znajdziesz kogoś, kto spełni moje oczekiwania. Pomyśl o tym, gdy będziesz wybierać. — Ponownie zawiązał sznur. — Ciekawe, jak wyglądałabyś w żółtej peruce? — dodał, krzywiąc się złośliwie.

— Tylko nierządnicę noszą takie peruki — zaprotestowała Oliwia. — Jestem żoną, nie kurwą. — Gniew zaczynał w niej wygrywać ze strachem. — Wykorzystujesz mnie bezlitośnie, Justusie. Gdybyś nie miał takiej władzy nad moją rodziną, podałabym cię do sądu, żądając rozwodu i środków na utrzymanie. Możesz poniżać mnie i grozić, ale ciągle jestem twoją żoną i nie zmienię się w miejską dziwkę. Sprowadzaj, kogo chcesz, do tego domu i praktykuj tu dowolne niegodziwości, ale powiadam ci, że jeżeli zmusisz mnie, abym poddała się temu gdziekolwiek indziej, zabiję się, i to tak, aby wszyscy wiedzieli, dlaczego to uczyniłam. — Powiedziała to spokojnie, jakby nie chciała drażnić swego prześladowcy, ale tonem zdecydowanym niczym przy ślubowaniu.

— Jestem pewien, że trafiwszy do więzienia, twój ojciec doceni tak wielki heroizm. Jeśli w ogóle się o tym dowie. — Justus wstał i ponownie spojrzął na Oliwię z góry. — Każę Sybiniuszowi zabrać tego gladiatora — dodał obojętnie. — Jest zbyt brutalny.

— I tobie to przeszkadza? — spytała Oliwia z niedowierzaniem.

— Oczywiście. Dość mam takich typów. Musisz znaleźć innego typu kochanka. — Założył grube ramiona na piersi. — Chcę kogoś, kto nad tobą zapanuje. Bicie to nie metoda.

Oliwia chwyciła poduszkę i przytuliła ją do siebie. Pewniej się czuła, gdy między nią a mężem było coś jeszcze.

— Wezmę twoje życzenie pod uwagę, mój mężu — stwierdziła z tak wyraźnym sarkazmem, że Justus raz jeszcze się do niej odwrócił.

— Nie zapomnij o nich, Oliwio. Przyznaję, bawi mnie, gdy się sprzeciwiasz, ale nie wyciągaj z tego zbyt pochopnych wniosków. Na

przykład takich, że masz prawo do jakiegoś sprzeciwu. — Dotknął delikatnych zasłon, które można było zaciągnąć wkoło całego łoża. — Los twojej rodziny jest całkowicie w twoich rękach. Niemądrze byś postąpiła, czyniąc ze mnie swego wroga.

— Już nim jesteś — odparła bez namysłu.

— Tak uważasz? Niewinna z ciebie istota. — Zachichotał. — Pewnego dnia ujrzysz, jak radzę sobie z wrogami, i wtedy zrozumiesz, że miałaś szczęście. — Pochylił się i pocałował ją w czoło. — Przecież twoje obecne życie wcale nie jest takie straszne, prawda? Masz całe moje bogactwo do dyspozycji, nosisz dobre nazwisko. Gdybym nie poprosił o ciebie, twój ojciec nie zdołałby znaleźć ci nikogo lepszego niż oficer. I to z liniowej jednostki. Powiedz sama, czy naprawdę wolałabyś marznąć lub pocić się w jakimś odległym garnizonie z byle wojakiem u boku i półtuzinem głodnych dzieci na utrzymaniu? I żyć nadzieją, że uzyskacie nadanie ziemi, zanim twój mąż zginie w walce?

— Tak, Justusie. — Na jego twarzy odbiło się niedowierzanie. — Gdyby ten żołnierz traktował mnie godziwie, miałabym się za szczęśliwą.

— Dziwnie pojmujesz godziwość — mruknął Justus, odwracając się od niej. — Jutro wyjeżdżam na kilka dni. Oczekuję, że po powrocie znajdę tu kogoś odpowiadającego moim oczekiwaniom. — Ruszył do wyjścia, zamiatając obrąbkiem szaty po marmurowej podłodze. Nim wyszedł, klasnął w dłonie. — Sybiniuszu, sekutor jest już niepotrzebny. Zadbaj, aby szybko opuścił mój dom z odpowiednim wynagrodzeniem.

Sybiniusz wśliznął się do pokoju. Oliwia nie знаła wcześniej nikogo, kto aż tak bardzo przypominałby łąsicę. Nigdy nie czuła się dobrze w jego obecności. Sługa zamachał długimi rękami i spojrzał szybko na Justusa, gladiatora i na nią.

— Z odpowiednim wynagrodzeniem — powtórzył.

— Nie mów mu oczywiście, że to ja mu zapłaciłem. Niech myśli, że dostał te pieniądze od mojej żony. — Justus wydawał podobne polecenia już wcześniej i Sybiniusz świetnie je pamiętał, wygłaszanie ich było kolejnym narzędziem poniżania Oliwii.

— Owinę monety w jej nową woalkę — powiedział sługa z czymś na kształt uśmiechu.

— Doskonale. Ufam, że załatwisz to, jak trzeba. — Położył monetę na dłoni Sybiniusza i wyszedł.

Sługa wkroczył do pokoju. Poruszał się dziwnie, jakby w każdej chwili oczekiwał, że coś się na niego rzuci. Zatrzymał się na moment, aby zerknąć na Oliwię, potem podszedł do nagiego gladiatora. Pochylił się nad śpiącym mężczyzną i potrząsnął nim łagodnie, mówiąc cicho coś, czego Oliwia nie dosłyszała.

Arnaks poruszył się, otworzył oczy i zaklął głośno. Szybko złapał ubranie i zaczął rozglądać się za bronią.

— Nie, dobry sekutorze — szepnęła Sybiniusz. — Nie hałasuj tak, bo ktoś może powiedzieć memu panu, co robiłeś dzisiaj u jego żony.

Ostrzeżenie przyniosło natychmiastowy skutek. Arnaks uspokoił się. Tylko raz spojrzął na łoże, uśmiechając się lękliwie do Oliwii.

— Moja pani nagrodzi cię za dzielność i dyskrecję. Gdy tylko wyjdiesz. — Sybiniusz pomógł mężczyźnie wstać. Przytrzymał mu tunikę i płaszcz, czekając, aż gladiator upora się z rzemieniami sandałów.

Chwilę później wyprowadził ubranego gladiatora z pokoju, po drodze ukradkiem zgarniając ze skrzyni jedną z woalek Oliwii.

Kobieta została sama i dopiero teraz poczuła przepelniający ją wstyd. Przez wzgląd na rodzinę starała się być posłuszna Justusowi, jednak każda kolejna noc przydawała wątpliwości. Krótco po ślubie wspomniała matce o swoim problemie. Matka wysłuchała jej ze współczuciem i doradziła, aby Oliwia nie myślała o tym za wiele. No i

żeby złożyła ofiarę w świątyni Wenus w intencji zmiany męzowskich przyzwyczajień. Od tamtej pory Oliwia nieustannie zadawała sobie pytanie, czy matka zareagowałaby tak samo również wtedy, gdyby bezpieczeństwo rodziny nie zależało od posłuszeństwa Oliwii. Pamiętała o tym przy każdym spotkaniu z matką i robiła, co mogła, aby nie poruszać więcej tematu.

Nie miała nikogo, komu mogłaby zaufać. Nie mogła liczyć na matkę ani ojca, także na braci czy siostry. Była całkiem sama. Z irytacją otarła napływające do oczu łzy. Wstała i wygasila napełniające powietrze aromatami lampy, potem owinęła się prześcieradłem i podeszła do okna.

Nowy rok zaczął się ledwie siedem dni temu i ostatnia zimowa burza odchodziła powoli do przeszłości. Chmury zniknęły już wcześniej i tylko lodowaty wiatr przypominał, jaka to pora roku. Nad miastem wisiał księżyc, który spowijał świat w zwodniczy blask, sprawiający, że nawet nieodbudowane jeszcze do końca po letnim pożarze budynki wyglądały dostojnie. Za nimi widać było srebrzystą wstążkę wijącego się wkoło miasta Tybru.

Ilu ludzi spało wokoło? W takiej ich liczbie powinna przecież znaleźć sojusznika. Odwróciła się od okna. Mąż kazał jej znaleźć kochanka. Nie przyjaciela, ale kogoś... niezwykłego. Poczowała gęsią skórkę, ale powiedziała sobie, że to od zimna. Wróciła do łóżka. Nagle zrobiło się jej słabo, pobladła tak bardzo, że sińce stały się lepiej widoczne. Przypomniała sobie, jak rok po ślubie wszystko się zmieniło. Wcześniej sądziła, że Justus nie zdecyduje się na krańcowe poniżenie matki swojego dziedzica. Skończyło się jednak na bólu i krwi, a jej grecki lekarz orzekł, że najpewniej nigdy nie zdoła donosić ciąży. Justus deklarował wówczas rozczarowanie, ale Oliwia coraz bardziej była skłonna sądzić, że tak naprawdę tylko się ucieszył.

Położyła się i podciągnęła koc pod szyję. Woń jaśminu nie była w

stanie stłumić całkowicie odoru potu Arnaksa. Oliwia wstała i podeszła do drzwi. W alkowie obok powinna spać Nestulia, jej osobista służąca, chociaż Justus czasem odprawiał ją na całą noc.

Alkowa była pusta. Oliwia wróciła do siebie, zamknęła drzwi i oparła się o nie w geście bezradności. Potem, nie mając wyboru, sama ściągnęła z łoża prześcieradła i koce i zaciągnęła wkoło zasłony, które nie pachniały niczym więcej, jak tylko dodawanymi do oleju lamp wonnościami.

Ulotka rozpowszechniana przez Teatr Marcellusa z informacją o występie planowanym na pierwszy tydzień marca 817 roku od założenia Miasta:

*Teatr Marcellusa ogłasza
że w oczekiwaniu na wspaniałe igrzyska Nerona cesarz postanowił
przedstawić epos NIOBE samodzielnie akompaniując sobie na greckiej lirze
Sześciu greckich mimów będzie ilustrować epos tańcem*

Dodatkowa notka na ulotce:

*Cesarz nie zaszczycał Rzymu występem od czasu serenady, którą uczcił
letni pożar, pokaz potęg, większej niż jego moc.
Wówczas śpiewał o upadku Troi.*

. 4 .

Ciepły podmuch niósł przez plac treningowy zapach kwiatów. Wiosna rozkwitała obiecująco, ożywiając ciągnące się równymi rzędami na wzgórzach winnice, sady za stajniami i cały majątek wkoło willi Rakoczego.

Z placu korzystała tylko Tisztry, ujeżdżając na nim wałacha w specjalnej uprzęży i z małym siodłem, składającym się przede wszystkim z masywnego, przedniego łuku. Tisztry korzystała z niego, aby przesuwac się podczas biegu z jednej strony wierzchowca na drugą. Krzykami ponaglała go nawet do skoków.

Gdy uznała, że starczy, powściągnęła wałacha i skierowała go uściskiem kolan do bramy.

Saint Germain czekał już na nią, wspierając but o niższą belkę ogrodzenia. Miał na sobie dacką tunikę do jazdy i nogawice, jedno i drugie czarne. Uśmiechnął się na widok dziewczyny.

— Lepiej?

— Jestem już prawie taka jak dawniej — odparła radośnie Tisztry.
— Tyle że Szirdas wyszedł z formy.

— Wcale źle nie wygląda — zapewnił ją Saint Germain. Mówił po ormiańsku jak ktoś, kto kształcił się w tym języku, tyle że z lekkim akcentem, który dawał się wysłyszeć także w jego łacinie. Dla Tisztry brzmiało to dziwnie archaicznie.

— Bo go zmusiłam. — Zeskoczyła z wprawą z grzbietu wałacha. — Sam widzisz, jestem już dość silna. Kiedy wrócę na arenę? Do igrzysk Nerona nie zostało już wiele czasu. Będzie można zdobyć cenne nagrody.

— Za cenę wielkiego ryzyka — ostrzegł ją Saint Germain,

wyciągając rękę nad ogrodzeniem i kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny.

— Bez ryzyka nie ma nic — stwierdziła beztrąsko. — Jeździectwo to moje życie. Urodziłam się dla niego, jak mój ojciec i jego ojciec. — Otworzyła bramę. — Muszę wytrzeć Szirdasa.

— Jakiś inny niewolnik się tym zajmie — powiedział Sanct' Germain, przytrzymując wrota.

— Sama dbam o moje konie — odparła zdecydowanie Tisztry i spojrzała na drugą stronę dziedzińca, gdzie stał wierzchowiec jej pana. — Ty też tak robisz, prawda?

Kiwnął głową i oboje ruszyli przed siebie.

— Co o nim sądzisz? — spytał, wskazując na czarnego ogiera uwiązanego przy poręczy.

Było to wspaniałe i dobrze zbudowane zwierzę z prostym karkiem, szeroką, znamionującą inteligencję głową i spokojnym spojrzeniem. Miało długą grzywę i takież ogon, a nad kopytami wyrastały gęste, lekko pierzaste kłęby sierści. Koń zastrzygł uszami, słysząc zbliżającego się pana.

— Podoba ci się? — Saint Germain położył dłoń na lśniącem boku. — Przysłali mi go z Gallii Belgiki.

— Jest piękny. Jak u niego z kopytami? — Pobył na arenie zawsze źle wpływał na stan kopyt.

— Lepiej niż u iberyjczyków, ale nie tak dobrze jak u koni z Libii. Urodził się na podmokłych terenach, tak więc podkowy ma mocne. — Odsunął się, aby Tisztry mogła lepiej obejrzeć wierzchowca. — Jest zrównoważony i bardzo wytrzymały.

— Tak też wygląda. — Przebiegła wprawnie dłońmi po korpusie konia, który zniósł to ze stoickim spokojem. — Pewnie jesteś z niego dumy. Wiele bym dała za takie zwierzę.

Żadne z nich nie widziało nic dziwnego w fakcie, że niewolnica

rozmawia w ten sposób ze swoim panem. Ci niewolnicy, którzy brali udział w igrzyskach, często gromadzili własne fortuny. Tisztry, chociaż nie była bardzo bogata, miała swoje pieniądze i była prawną właścicielką dziesięciu koni. Wielu wolnych Rzymian nie mogło się z nią równać pod tym względem.

— Nie musisz nic dawać. Jest twój. — Sanct' Germain odwiązał wodze i podał je dziewczynie. — Dwie z twoich klaczy są gotowe do pokrycia.

Tisztry spojrzała na swojego panai na wierzchowca.

— Nie mówisz poważnie.

— Bardzo poważnie — odparł Sanct' Germain z uśmiechem. — Chciałem dać ci prezent z okazji twojego wyzdrowienia. Taki wydał mi się najwłaściwszy. Jeśli marzysz o czymś innym, powiedz.

Z wahaniem przyjęła wodze.

— Mój? Naprawdę? — Tym razem dotknęła ogiera wręcz pieszcotliwie. — To książęcy dar, panie.

Saint Germain nic nie powiedział. Ucieszył się, widząc ją uradowaną, ale nie czuł nic więcej. To przecież tak niewiele, dać konia niewolnikowi. Jej wdzięczność wprawiła go niemal w zakłopotanie. Skinął na Szirdasa.

— Wytrzymaj go, a potem zaprowadź na tyły. Pewnie będziesz sama chciała sprawdzić mu kopyta i zęby.

— Są w porządku. Jestem pewna, że są w porządku — powiedziała radośnie.

— Mam nadzieję — stwierdził Sanct' Germain, chociaż wcześniej obejrzał już wierzchowca i wiedział, że nie rozczaruje Tisztry.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Chciałabym wypróbować go na placu, panie. Żeby zobaczyć, jak się rusza.

— Jest twój, rób, co chcesz. Plac będzie jeszcze przez kilka chwil

otwarty. Ja pojedę zobaczyć, jak radzą sobie rydwannicy. Są na torze treningowym. Przede wszystkim chcę się przyjrzeć Glynnthowi. To ten nowy Bryt. — Odkąd zamieszkał w majątku, zwykł podążać za swoimi zawodnikami przez winnice i sady, zwłaszcza gdy do drużyny trafiał ktoś nowy.

— Glynnth jest niezgrabny — powiedziała lekceważąco Tisztry. — Obserwowałam go rano. Aurigor złościł się na niego, bo nie potrafił stanąć należycie w rydwanie.

— Trudno się dziwić — przyznał Sanct' Germain. — Widziałaś kiedyś rydwany Brytów? Przypominają raczej zwykłe wózki.

— Ale z końmi sobie radzi — dodała dziewczyna. — Dobrze trzyma lejce. Jak na barbarzyńcę, oczywiście.

— Jak na barbarzyńcę — powtórzył Franciskus, patrząc na mocno zbudowaną kobietę w potarganych skórzanych spodniach, luźnej płóciennej tunice, z miedzianymi bransoletami na rękach i trzema amuletami ochronnymi na szyi.

— Brytania to dziwne miejsce — powiedziała poważnie. — Słyszałam od pewnego trybuna, że malują się tam na niebiesko.

— Też o tym słyszałem. — Dotknął lekko jej ręki. — Gdy wrócisz, chciałbym z tobą porozmawiać.

Tym razem spojrzała na niego podejrzliwie.

— Dlaczego? Uraziłam cię? — To by było do niego podobne, pomyślała, dać taki prezent na pożegnanie. — Nie czułam się na tyle dobrze, aby do ciebie przychodzić, ale jeśli...

— Tak czy tak, teraz czujesz się już lepiej i to jest jedna ze spraw, które musimy przedyskutować. Ale nie jedyna. — Spojrzał na jej szczerą twarz. — Czy odwiedzanie mego łóża byłoby dla ciebie problemem?

— Jesteś moim panem — powiedziała, wzruszając ramionami. — Dobrze jest sypiać w łóżu pana.

— Rozumiem. — Tego właśnie po niej oczekiwał i chociaż wiedział, że to z serca płynąca odpowiedź, poczuł się trochę rozczarowany. — Wolałabyś kogoś innego?

— Z czasem — odparła, zastanowiwszy się chwilę. — Lubię to, co ze mną robisz... — dodała, ale urwała w pół zdania.

Sanct' Germain uśmiechnął się smutno.

— Zatem później. Będę zapewne w bibliotece. Powiem Aumtehoutepowi, aby cię oczekiwał. Szybko cię przyjmie.

Tisztry zmarszczyła brwi na wspomnienie poważnego Egipcjanina, który był osobistym sługą Sanct' Germaina. I chociaż miała go za dziwaka, z którym nie dawało się nawiązać kontaktu, pamiętała, z jakim oddaniem ją leczył. Zrobił wszystko, aby nie straciła sił, a jego maści pozwoliły zapomnieć o bólu. Nawet potem Sanct' Germain kazał mu dbać o jej zdrowie. Mimo że go nie polubiła przy tej okazji, zaczęła jednak szanować, może wręcz podziwiać.

— Czy coś jeszcze? — spytał Franciskus, patrząc uważnie na dziewczynę. — Jeśli tak, to słucham.

— Nic takiego. Wspomniałam, jak Aumtehoutep dbał o mnie po pobiciu. — Machnęła rękami, jakby odganiała coś przykrego. — Ale to już minęło. — Nie była to do końca prawda. Dwie blizny, które przecinały jej plecy, miały pozostać tam do końca życia.

Sanct' Germain dotknął twarzy dziewczyny. Jego palce wydawały się niewiarygodnie lekkie, a ich dotyk odczuwało się niczym pieśczętą promieni słońca.

— Czy zastanawiałaś się kiedyś, kim się staniesz?

— Powiedziałeś mi o tym, gdy pierwszy raz wzięłeś mnie do łóżka. Ale to ciągle wydaje się takie nierealne. Może uwierzę, gdy się stanie. — Poklepała bok czarnego konia. — Na razie to jest prawdziwe. Tamto... — Tylko wzruszyła ramionami.

Przyjął jej odpowiedź.

— Później zatem cię oczekuję.

— Oczywiście. — W tej chwili koń interesował ją bardziej niż Saint Germain, którego nieco bawiła cała ta sytuacja. Zwłaszcza szczerść dziewczyny, z jednej strony godna szacunku, z drugiej niekiedy trochę bolesna. Machnąwszy ręką na pożegnanie, poszedł dosiąść swojego wierzchowca.

Wracając do willi, uznał, że z rydwannikami nie jest źle. Owszem, Tisztry miała rację co do Glyntha. Był niezgrabny, ale obiecujący. Świetnie poradził sobie z czterema nerwowymi końmi i Sanct' Germain uznał, że trzeba będzie przydać tempa jego treningowi. Pozostałych dwudziestu dwóch młodzieńców znał już wcześniej i tylko jeden z nich budził lekki niepokój. No i był jeszcze Kosrozd, najlepszy z całej grupy. Bez najmniejszego trudu obejmował prowadzenie na trudnej trasie. Młody Pers wykazywał się taką wprawą w prowadzeniu rydwanu, że można było rozpoznać w nim byłego wojownika.

Gdy Rakoczy zsiadł na dziedzińcu willi, zmierzch łagodził już złocisty blask dnia. Długa droga okryła jeźdźca kurzem i o niczym tak nie marzył, jak o ciepłej wodzie. Najpierw jednak rozsiodłał siwego ogiera i zawołał niewolnika, by zabrał siodło. Potem wziął się do wycierania wierzchowca, posławszy polecenie, aby przygotowano mu kąpiel. Pracował oszczędnymi ruchami i już wkrótce mógł skierować kroki do tylnego wejścia do willi.

Niewolnik Aumtehoutep czekał na niego przy drzwiach.

— Kąpiel gotowa, mój panie — powiedział w swoim języku.

— Świetnie — odparł Sanct' Germain w tej samej mowie. — Bardzo jej potrzebuję, stary przyjacielu. — Od razu zaczął się rozbierać. Ściągnął przez głowę dacką tunikę i wręczył ją smukłemu Egipcjaninowi.

— Przyszły jeszcze dwie skrzynie z Ostii — oznajmił sługa, zbierając rzeczy swego pana.

— Kamienie? — spytał Sanct' Germain, sięgając po płaszcz. Jak zawsze, gdy był nagi, stał tyłem do Aumtehoutepa i nie odwrócił się, póki nie zawiązał szaty.

— Tak, i jeszcze ziemia z Dacji — odparł Egipcjanin takim tonem, jakby nic nie mogło go zdziwić.

— Od Sennistisa? — Minął już prawie rok, odkąd ostatni raz otrzymał jakieś wieści na temat arcykapłana Imhotepa.

— Tak. — Sługa spojrział z powagą na Sanct' Germaina. — Nie jest z nim dobrze, panie. Sądzi, że jest bliski śmierci.

Saint Germain zakrył oczy dłonią. Biedny, wierny Sennistis, który zawsze okazywał takie oddanie.

— Tego się obawiałem.

— Ja też. — Twarz Aumtehoutepa nie zdradzała zwykle żadnych emocji, ale Rakoczy nauczył się przez wieki wyczytywać w niej prawdę.

— Chcesz się do niego udać? — Stał w drzwiach między sypialnią a łaźnią i wpatrzył się w Egipcjanina. — Starczy, że powiesz. Nie odmówię ci tego. Jeśli zechcesz, możesz wrócić do Egiptu jako wolny człowiek. Objąłbyś jeden z moich starych majątków, aby mieć z czego żyć.

Aumtehoutep odwrócił wzrok.

— Co by z tego przyszło? Jeśli chce umrzeć, nie ma na to rady. Egipt jest zaś już dla mnie obcym krajem. Bardziej obcym niż Rzym.

Trudno było cokolwiek odpowiedzieć. Germain sam znał dobrze to poczucie obcości, przenikało go na wylot. Przymknął oczy, wspomniawszy tę wielką samotność.

— Czy chcesz czegoś jeszcze, panie? — spytał Egipcjanin, zawsze i wszędzie nad wyraz uprzejmy.

Sanct' Germain był mu wdzięczny za ten takt.

— Chyba nie... chociaż, czekaj. Gdy przyjdzie Tisztry, przyślij ją tutaj, do mnie. — Wskazał na pomieszczenie, z którego ulatywały obłoki pary.

— Wedle życzenia. — Skłoniwszy się lekko, Aumtehoutep wyszedł z łaźni.

Zostawiony samemu sobie, Sanct' Germain podszedł do basenu. Jego scytyjskie buty stukały lekko na posadzce z kamieni półszlachetnych. Pogasił lampy, zostawiając tylko dwie, i pomieszczenie pogrążyło się w półmroku.

Siadł na ławie pod wąskim oknem, aby ściągnąć buty. Słońce już zaszło i, noc przejmowała władanie nad światem. Sanct' Germain poruszał trochę zdrętwiałymi od długiej jazdy stopami. Potem wstał, zrzucił okrycie i wszedł do basenu. Woda sięgała mu do pasa. Westchnął z zadowolenia. Kiedyś, dawno temu, nawet taka jej ilość wprowadziłaby go w przerażenie, nauczył się już jednak budować baseny z ochronną warstwą rodzimej ziemi. Napętniał nią też podwójne podeszwy wszystkich swoich butów, dzięki czemu żadna inna woda również nie była dla niego groźna.

Ułożył się na plecach i unosząc się na powierzchni, zamknął oczy. Napięcie opuszczało z wolna jego ciało, wprowadzając w stan lekkiego podniecenia.

Drzwi za nim otworzyły się i usłyszał niepewne kroki.

Staął na dnie basenu.

— Tisztry?

— Panie? — dobiegło go z mroku.

Uśmiechnął się.

— Chodź. Wykąp się ze mną. — Uniósł rękę w geście zaproszenia, rozchlapując przy tym wodę.

Dziewczyna wyszła z cienia i stanęła z wahaniem na skraju basenu.

— Chciałeś ze mną rozmawiać?

— Tak. — Przysunął się do miejsca, gdzie stała, i pociągnął za skraj jej wełnianego płaszcza. — Nie bój się, Tisztry.

— Nie obawiam się ciebie — powiedziała niemal z urazą. — Chociaż nie kąpałam się jeszcze z mężczyznami. — Całkiem naturalnie i ani trochę zalotnie rozwiązała rzemień u pasa i ściągnęła strój przez głowę. Nie wykonała przy tym ani jednego zbytecznego ruchu. Starannie złożyła ubranie przy drzwiach, z dala od basenu.

— Tisztry. — Podał jej rękę, gdy wchodziła ostrożnie do wody. Całkiem jakby była dzieckiem. Zaprowadził ją na środek, gdzie cienie były najgłębsze.

— Duży ten basen — powiedziała z podziwem.

— Trzy razy mojego wzrostu z każdego boku. — Puścił jej rękę. — A teraz połóż się. Woda cię utrzyma.

— Nie umiem pływać — wyznała, ale spróbowała się położyć. Zbyt nerwowo jednak, bo utraciłszy kontakt z dnem, zaraz się rzucić.

Sanct' Germain był już przy niej, podtrzymując lekko za ramię.

— Połóż się tak, jakbyś chciała spać.

Odsunął się, aby mogła spróbować ponownie.

Tym razem poszło jej znacznie lepiej. Z początku wyglądała na zdezorientowaną, ale ciepła woda szybko ukoїła obawy, a półmrok oszczędził zakłopotania. Rozłożyła ręce i poczuła, że woda faktycznie ją unosi. To było tak przyjemne jak we śnie i prawie nie poczuła, że Sanct' Germain znowu się do niej przybliżył. Poruszył dłońmi, pieszcząc ją za pośrednictwem wody. Powoli, lekko i delikatnie, zawsze jednak znajdując właściwe miejsce.

Gdy wziął ją w ramiona, jej pożądanie urosło od słodkich dreszczy do coraz bardziej zdecydowanego pragnienia. Czowała teraz na sobie jego dłonie, badające każdy skrawek budzącego się ciała. Westchnęła. Ożywała z każdą chwilą coraz bardziej, stawała się wrażliwa na dotyk

niczym harfa eolska. Poszukał jej ust, napełniając ją czymś, czego wcześniej nie znała.

Rozchlapywali wodę w różnych miejscach, pozwalając swoim ciałom zmagać się ze sobą nawzajem. Tisztry czuła, że coś w niej wzbiera, ale nie umiała tego wyzwolić. Oparła dłonie na jego ramionach.

— Rob, co tylko zechcesz — wyszeptała bez tchu. — Już mi dobrze. Z siłą, jakiej wcześniej nie okazywał, wziął ją w ramiona.

— Na wszystkich zapomnianych bogów — szepnął jej wprost do ucha. — Zaczynj czerpać rozkosz ze mnie, kobieto.

Gwałtowność tych słów ostatecznie uwolniła jej głód doznań. Odpowiadając mu z żarliwością, o jaką wcześniej nawet siebie nie podejrzewała, poddała się rozkoszy.

Gdy jakiś czas później wyniósł ją z basenu, czuła się naprawdę spełniona. Nie wahała się więcej. Stała cicho, gdy ją wycierał i ubierał w jedwabną szatę podobną do tej, którą sam nosił.

Wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni, gdzie delikatnie ją położył. Uśmiechnęła się do niego.

— Nie robiłeś tego wcześniej.

— Wcześniej tego nie chciałaś. — Usiadł obok niej na łożu. — Dopiero uczysz się swojego spełnienia.

— A ty? — spytała z lekkim poczuciem winy.

— Na to jest jeszcze sporo czasu — powiedział, rozchylając jej płaszcz.

Tym razem rozgrzała się szybko i chętnie, z apetytami rozbudzonymi po niedawnej radości. Podstawiała się pod jego dłonie i wargi, mając nadzieję wyzwolić go z tajemniczej bezsily. Gdy była już pewna, że nie zniesie więcej rozkoszy, usłyszała cichy szep:

— Chodź do mnie.

Poczuła, jak jego usta dotykają jej szyi, a chwilę później świat

zniknął w powodzi blasku i cudownego odrętwienia.

List od Subriusza Flawiusza do senatora Korneliusza Justusa Syliusza:

Do senatora Syliusza z pozdrowieniami.

Ja i moi towarzysze mamy powody sądzić że podobnie jak my bardzo niepokoisz się obecnym stanem naszego państwa. Z tego powodu chcemy Cię prosić, aby zastanowił się nad tym, co zamierzamy Ci przekazać. Gdybyś zdecydował się przyłączyć do nas, chętnie Cię powitamy. Jeśli postanowisz inaczej, na honor prosimy Cię, abyś nie ujawniał nikomu treści tego listu, jako że stawką jest o wiele więcej niż tylko nasze własne życie.

To, co Juliusz i August z trudem zbudowali, obraca się obecnie w gruzy za sprawą działań Lucjusza Domicjusza Ahenobarbusa, który wdział purpurową szatę i kazał zwać się Neronem. Możesz powiedzieć, że z początku jawił się jako szlachetny, i nikt nie zaprzeczy, że gdy miał dwadzieścia lat, trudno było nie uznać go za czarującego. Widać jednak w jego młodości nie wszystko było takie, jak powinno, skoro z latami zmienił się i obecnie nie potrafi, już odróżnić dobra od zła, jak czynił to kiedyś. Sam kochałem go, gdy był młody, podobnie jak wszyscy waleczni żołnierze. Zastępował na pełen szacunek należny cesarzowi i byłem wówczas najbardziej lojalnym jego sługą, wszystkie me przysięgi wobec niego uznając za po dwakroćświęte. Jednak czy którykolwiek z Rzymian, od najwyżej urodzonego po nędznego niewolnika, może czuć dzisiaj do niego cokolwiek innego oprócz obrzydzenia? Jego ojczym, matka i żona zginęli na jego rozkaz. Już to wystarczyłoby, aby wzbudzić nienawiść. Ta jednak rosta z każdą kolejną podłością, którą popełniał. Patrzyłem, jak mój cesarz zmienia się z inteligentnego i szanowanego młodzieńca w chciwego i przeżartego zgnilizną moralną tyrana. Komedianta i pieśniarza rozmiłowanego w greckich nonsensach, rydwannika i podpalacza miast.

Jeśli cesarstwo ma przetrwać, ten człowiek musi zostać usunięty ze swego urzędu. Jego Rzym nie jest naszym Rzymem. Filozof Seneka, który był nauczycielem Nerona, też się do nas przyłączył. Lepiej niż ktokolwiek inny wie, jak bardzo cesarz zszedł z właściwej dróg.. Jeśli nawet Seneka jest przeciwko Neronowi, chociaż kiedyś kochał go jak syna, to znaczy, że ten cesarz nie zasługuje już na lojalność i miłość swoich poddanych.

Są z nami jeszcze inni, ludzie prawi i zdecydowani, którzy poświęcili siebie i swe majątki dla zaprowadzenia zmian, które są nam tak potrzebne.

W miejsce Nerona chcemy zaproponować Gajusza Kalpumiusza Pisma. Owszem, są tacy, którzy mają go za nijakiego z charakteru młodzieńca bez prawdziwego celu w życiu. Nie da się zaprzeczyć, że oddaje się hazardowi i chętnie występuje jako pieśniarz, czyni to jednak za sprawą wymogów mody. Gdyby nie jej dyktat, wybrałby godniejszy styl życia. Zapewnił nas, że będzie nastawiał ucha na nasze rady i liczył na nasze wsparcie. Jest łubiany, zarówno dzięki odniesionym dotąd sukcesom, jak i przystojnej prezencji. Są wprawdzie i tacy, którzy podziwiają go jedynie za urodę, jednak niższe warstwy mają to do siebie, że rzadko kiedy potrafią dostrzec przymioty ducha. Zapewniam cię, że Kalpumiusz jest właściwym kandydatem do purpury, skromniejszym przy tym i mniej nieobliczalnym niż Neron.

Za niecały miesiąc zaczną się igrzyska, przy których Neron tak się uparł, co da nam sposobność, aby uderzyć w cesarza, który czyni nam tyle złego. Wykorzystamy towarzyszące zawsze igrzyskom zamieszanie. Usunięcie Nerona podczas jego własnej uroczystości w szczególny sposób zaakcentuje nasze zamiary, aby pozbyć się nie tylko jego, ale wszystkiego, co obecnie reprezentuje.

Oczekuję, że pomożesz nam w dziele odrodzenia ładu i oczyszczenia purpury z tego, co niegodne. Wierzymy w Ciebie, Justusie. Przyłącz się do nas i uwolnij się od Nerona. To prawda, że igramy z ogniem, ale pomyśl o

nagrodzie, którą będzie nie tylko odzyskanie godności, ale i możliwość ponownego przybliżenia się do źródła władzy. Wiele wycierpiełeś za sprawą cesarza. Weź więc swój los we własne ręce i pomóż nam zatriumfować nad Neronem. Nie ma niczego szczytniejszego ponad służbę cesarstwu i trudno o większą zasługę niż położenie kresu rządowi Nerona.

*W nadziei, że jesteś już po naszej stronie, z niepłatną ufnością,
Subriusz Flawiusz*

. 5 .

Przyjęcie było przewidziane na dwadzieścia siedem osób i Petroniusz starał się, jak mógł, aby niczego im nie zabrakło. Łoża ustawiono w arboretum, wkoło zaś zbudowano aż sześć fontann, które miały ochłodzić upalny, majowy wieczór.

Artemidor ubrany był z grecka, co miało stanowić ukłon wobec cesarza. Sprawdzał po raz ostatni trzy ustawione w podkowy stoły, każdy z dziewięcioma dostawionymi miejscami do leżenia. Marszczył przy tym czoło, pełen obaw, aby o niczym nie zapomnieć.

— Kurczaki już utopione? — spytał Petroniusz, kichnąwszy porządnie. — Mówiłem ci chyba, żeby usunąć róże.

— Już wzięte. Ale w sąsiednim ogrodzie są ich aż cztery krzewy. Wszystkie właśnie kwitną — odparł ze smutkiem Grek. — Byłem porozmawiać z Korrastusem, ale nie chce odciąć kwiatów. Nawet za zapłatą.

Petroniusz westchnął.

— Przez cały wieczór będę kichał. Takie zachowanie nie przystoi gospodarzowi, zwłaszcza gdy gości cesarza, ale za późno już na zmianę planów. Tygellin nigdy by mi tego nie zapomniał. Może zdążę wysłać umyślnego do Sanct' Germaina. Kiedyś przygotował dla mnie miksturę, która powstrzymywała podobne sensacje.

— Zaraz kogoś poślę — powiedział Artemidor.

— To może być dobry pomysł. — Petroniusz uniósł skraj togi i otarł oczy. — Tak. Zrób to. Sanct' Germain przebywa akurat w mieście, w domu tego greckiego medyka. Wracając zaś do kurczaków...

— Triges utopił je pół godziny temu. Użył czerwonego wina z Luzytanii. Kazałem mu obiecać, że nie użyje ani kropli likwamenu.

— Dobrze. Zatem sos ze sfermentowanych ryb mamy z głowy. — Petroniusz z trudem powstrzymał się od kolejnego kichnięcia. — Róże to przekleństwo bogów! Niech pomyślę. Tarty z winem i miodem, szparagi, koźlecina w mleku, galijska szynka z mauretańskimi granatami, ostrygi z Brytanii, marynowane warzywa z Betyki, wina z Jury i Panonii, kurczaki, minogi w ziołach, ikra łososa w kremie... — wyliczał, odhaczając kolejne pozycje na palcach. — Popielice zapiekane w chlebie serowym, wątroby cielęce z grzybami, gęsi z czosnkiem i ślimakami, gruszki, jabłka, winogrona, jagody... Czy to wystarczy? Wprawdzie Neron zarzekał się, że woli obecnie proste jadło, ale nigdy nic nie wiadomo. — Petroniusz przybrał zatroskany wyraz twarzy. Gusta Nerona zmieniały się z dnia na dzień i danie mu wiary, że nie oczekuje wystawnego obiadu, mogło okazać się błędem. Zaprosił tylko tych gości, których cesarz życzył sobie widzieć, włącznie z Korneliuszem Justusem Syliuszem i jego żoną, co nie wróżyło miłego wieczoru. Zęby chociaż tancerze z Hindustanu okazali się tak dobrzy, jak Sanct' Germain obiecywał. Bez niecodziennej rozrywki najbardziej nawet pomysłowe przyjęcie mogło się okazać porażką, co w tej akurat chwili miałyby zapewne katastrofalne skutki. Petroniusz tracił na znaczeniu w oczach cesarza, który zainteresował się ostatnio kapitanem pretorianów, niejakim Tygellinem. Gdyby coś poszło nie tak, najpewniej przypieczętowałyby niekorzystną zmianę.

— Panie? — odezwał się Artemidor, przerywając gospodarzowi tok myśli. — Mam posłać umyślnego?

— Tak. Oczywiście, że tak. Ja schowam się na trochę do domu. Przekaż też mojej żonie, że chcę porozmawiać z nią jeszcze przed przyjęciem. — Spojrzał znów z aprobatą na ławy i specjalnie stworzone arboretum, potem pospieszył przez ogród w kierunku tylnego wejścia do domu.

Siedział przy biurku, gdy jego żona zapukała do otwartych drzwi.

Uśmiechnął się i odłożył pióro.

— Wejdz, Myrtale.

— Chciałeś ze mną rozmawiać? — Była kobietą niemal równie wysoką jak jej mąż, i bardzo atrakcyjną, chociaż nie uchodziła za piękną. Uwagę zwracały przede wszystkim ciemnokasztanowe włosy, które nosiła prosto upięte. Jej spokojna twarz kontrastowała z obliczem Petroniusza.

— Niepokoję się. — Jak zawsze był z nią szczery. — Obawiam się, że dzisiejsze przyjęcie okaże się pomyłką.

— Dlaczego? — Usiadła na krześle naprzeciwko niego. — Spodziewasz się kłopotów?

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale szykuję się na najgorsze. — Potarł brodę. — Chcę cię ostrzec. Wiem, że niewolnicy będą plotkować, cokolwiek się stanie. Chcę, abyś była na to gotowa.

— Miło z twojej strony. — Spojrzeli na siebie z uczuciem, ale bez śladu namiętności. Ich małżeństwo należało do zaaranżowanych i chociaż darzyli się wzajemnym szacunkiem, każde żyło w innym świecie. Myrtale poświęciła się religii, Petroniusz zaś, chociaż uczony, troszczył się przede wszystkim o rozrywki i przyjemności.

— Neron dziś będzie. Zaplanowałem kolację w ogrodzie, nic nazbyt wymyślnego. Potem pojawią się tancerze, nie Grecy, lecz nowi niewolnicy z Hindustanu. — Sięgnął po pióro, ale chwycił je tylko, nie podejmując pisania.

— Będzie coś nowego. Tym lepiej dla ciebie.

— Tak też sobie powtarzałem — odparł ze smutnym uśmiechem. — Jeśli zabawa skończy się wcześniej, będziesz wiedziała, że coś się nie udało.

Myrtale spojrzała na swoje smukłe dłonie.

— Jestem pewna, że postąpiłeś, jak mogłeś najlepiej, mój mężu. Nie podejrzewam cię o nieprzemyślane działanie. Niemniej jeśli uznasz to

za właściwe, możemy przenieść się do mojego majątku w Dalmacji, wyjaśniając to moją chorobą. Tak rzadko się ostatnio pokazuję, że nikt nie będzie tego kwestionował. — Uśmiechnęła się, porzucając powagę. — To może być najlepsze wyjście. Zawsze chciałeś mieć więcej czasu na pisanie.

— Zastanowię się — odparł, zdecydowany jednak odmówić wyjazdu. — Na razie powinnaś chyba przygotować się na niezbyt miły czas.

— Miło, że uprzedzasz.

— Od czasu wykrycia spisku Subriusza Flawiusza Neron widzi wrogów na każdym drzewie. — Ponownie odłożył pióro. — Trudno mu się dziwić. Podeszli bardzo blisko. Gdyby nie został ostrzeżony...

Zona spojrzała na niego uważnie.

— Czy utrata Nerona naprawdę byłaby czyś aż tak strasznym? Sam mówiłeś, że to już nie ten sam człowiek co pięć lat temu.

— Och, to prawda, i bardzo nad tym boleję. Nie sądzę jednak, aby Kalpuniusz był lepszy. To tylko marionetka. — Wstał nagle. — Muszę iść. Nie przypuszczam, aby jakiś bóg skłonny był się za mną wstawić, ale nie zaszkodzi, gdybyś złożyła ofiarę.

Myrtale spróbowała złagodzić atmosferę.

— Może grecki Dionizos. Jest patronem uczt, przedstawień i wina.

— I szaleństwa — dopowiedział Petroniusz, odwracając twarz. — Nie obawiaj się, Myrtale. Najpewniej przesadzam. Wybacz, że obciążam cię niemądrze takimi sprawami. — Wyszedł z pokoju, niezdolny spojrzeć jej w oczy. Co stanie się z nią i dwójką dzieci, jeśli naprawdę straci łaski cesarza? Nie chciał nawet o tym myśleć.

Był już prawie u bram ogrodu, gdy dogonił go zdyszany i lekko zarumieniony na twarzy Artemidor.

— Panie, wrócił niewolnik wysłany do Sanct' Germaina.

Petroniusz przystanął.

— I?

Artemidor pokazał mały, alabastrowy flakon.

— Sanct' Germain powiedział, że połowa tego zmieszana z winem powinna starczyć na całą ucztę.

Petroniuszowi ulżyło tak bardzo, jakby chodziło o coś zdecydowanie ważniejszego. Wziął naczynie. Jedno dobre, że nie będzie kichał przez cały wieczór.

— Pozwoliłem sobie posłać już po wino — powiedział Artemidor, oglądając się na kuchnię.

— Świetnie. — Po raz pierwszy od kilku dni Tytus Petroniusz Niger pomyślał, że może jednak nie będzie aż tak źle.

Większość gości spóźniała się, czego jednak należało oczekiwać. Pierwszy przybył Sekundus Marcellus. Nie krył zdziwienia, że gospodarz jest jeszcze sam. W ciągu półgodziny zjawiała się ponad połowa pozostałych, nikt jednak nie śmiał sugerować rozpoczęcia uczy, jak długo brakowało cesarza.

Sanct' Germain pokazał się jeszcze trochę później i tak jak obiecał, przyprowadził ze sobą troje niewolników z Hindustanu.

— Tysięczne dzięki — przywitał go Petroniusz.

— Za co? Wiedziałaś, że ich sprowadzę. — Rakoczy ubrany był z perska, w czarny jedwab sprowadzony z legendarnych krain na Wschodzie. Przebycie szlaku, który od tych właśnie tkanin zwano Jedwabnym, zajmowało kupcom ponad rok. Prawa przeciwko zbytkowi nie pozwalały nosić się zbyt strojnie, a ponieważ dotyczyły także tych bogatych i wysoko urodzonych, Sanct' Germain założył jedynie dekoracyjny ryngraf z onyksu i sygnet z białego złota, na którym widniał jego znak, symbol zaćmienia.

— Za flakon. Od godziny ani razu mnie kichnąłem — wyjaśnił uradowany Petroniusz. — Absurdalna dolegliwość.

Saint Germain zbył to lekkim machnięciem dłoni.

— Zdarza się, z wielu powodów. Obejrzyj się tylko. Hadrian Tulian, którego tam widzisz, nie może jeść niczego, co pochodzi z morza. U ciebie zaś problemem jest zapach róż. — Wszedł wraz z Petroniuszem do ogrodu. — Piękne miejsce. Noc, fontanny, tyle lamp...

To właśnie Petroniusz pragnął usłyszeć.

— Chciałem uniknąć przesady. Ta coraz ostrzejsza rywalizacja, kto zorganizuje wystawniejsze przyjęcie...

— Niewiele ma wspólnego z elegancją. W pełni się z tobą zgadzam — powiedział Sanct' Germain, patrząc na trawę w sztucznym gaju. — Arkadyjsko miły widok.

Petroniusz wychwycił w głosie lekki ton sarkazmu i zamarł.

— Nie podoba ci się?

— Nie w tym rzecz. — Saint Germain zaśmiał się cicho. Rzadko mu się to zdarzało. — Myślałem o prawdziwej Arkadii. Trudno o bardziej nijaką i opuszczoną krainę, ponieważ jednak tamtejsi pasterze zwykli zabijać nudę grą na fletach, zyskała szczególną reputację, chociaż wcale, możesz mi wierzyć, na nią nie zasługuje.

Była to intrygująca kwestia i Petroniusz chętnie dłużej by o tym porozmawiał, jednak trąbki obwieściły właśnie przybycie cesarza. Przeprosił Rakoczego i ruszył powitać dostojnego gościa.

Neron musiał chyba nadal gustować w prostocie. Nie dość, że przygotowane przez Petroniusza otoczenie zyskało jego aprobatę, to jeszcze sam zrezygnował na ten wieczór z bogatych szat na rzecz ostentacyjnie skromnego jońskiego chitonu i chlamidy. Były całkiem zwyczajne, jeśli nie liczyć przeszycia złotą nicią.

Towarzyszyli mu trzej pretorianie w paradnych, zdobnych zbrojach i czerwonym płaszczach narzuconych na ramiona. Milczący i czujni rozstawili się po ogrodzie.

— Przykro mi, ale muszę uważać — powiedział Neron zrezygnowanym tonem. Jego głos, chociaż od lat trenowany, nadal

brzmiał trochę głucho, jakby dobiegał z dna beczki.

— Godna pożałowania konieczność — zgodził się Petroniusz, przeklinając w duchu swego sprytnego rywala, Tygellina. Nie miał wątpliwości, że żołnierze szczegółowo zrelacjonują tamtemu całe przyjęcie.

Cesarz rozejrzał się po ogrodzie.

— Widzę, że wyświadczyłeś mi tę uprzejmość, aby zaprosić Justusa Syljusza. Miły gest. Oddał mi ostatnio wielką przysługę.

— W rzeczy samej. — Petroniusz dostosował swój krok do kroku cesarza i dał skrycie znak Artemidorowi, że pora uprzedzić muzyków.

— Mamy tu dzisiaj także cudzoziemca z Dacji, który jednak sam nie jest Dakiem — ciągnął Neron, zerkając na Sanct' Germaina. — Pokazał mi ostatnio projekt nowego rodzaju organów hydraulicznych. Pasowałyby idealnie do zamontowania w Circus Maximus. Przypomnij mi, abym później z nim porozmawiał — dodał, unosząc arogancko głowę.

Petroniusz mruknął, że oczywiście, przypomni. Widok dwudziestosiedmioletniego Nerona nie należał do przyjemnych. Dziesięć lat wcześniej, gdy wdziewał dopiero purpurę, był przystojnym cherubinem ze skórą gładką jak płatki róż i pełnymi wyrozumiałości oczami. Teraz spojrzenie mu stwardniało, pogoń za przyjemnościami odmieniła sylwetkę, a dawny entuzjazm ustąpił gwałtowności. Kiedy właściwie, spytał się w duchu Petroniusz, zacząłem nienawidzić tego człowieka, po którym tyle sobie obiecywaliśmy?

— Leśna polana! — wykrzyknął radośnie Neron, ujrzawszy miejsce uczy. — Zawsze potrafisz wynaleźć coś nowego — powiedział do Petroniusza. — Zobojętniałem już ostatnio na luksusy i straciłbym chyba cały smak, gdyby nie ty.

Petroniusz miał nadzieję, że żołnierze opowiedzą swojemu dowódcy

także o tym. Podziękował uprzejmie i postarał się ukryć satysfakcję. Być może niepotrzebnie tak się martwił. Ukryty zespół zaczął grać.

Gdy Neron opadł na swoje łożo, ustawione oczywiście na podwyższeniu, wszyscy pozostali też pospieszyli, aby zająć miejsca, i tylko jeden Sanct' Germain jakoś się do tego nie kwapił.

Petroniusz spojrział na niego zdziwiony, bo cudzoziemski gość wydawał się niezainteresowany daniami.

— Pomyślałem, że zajrzę do tancerzy. Jestem pewien, że mi to wybaczysz. To ich pierwszy raz w Rzymie, i to przed samym cesarzem, zależy mi więc, aby byli naprawdę dobrze przygotowani. — Uśmiechnął się lekko, a Petroniusz pomyślał, że chyba niemądrze byłoby wypytywać gościa o cokolwiek więcej.

— Posłać ci coś do jedzenia? — Uważał, że winien jest Rakoczemu specjalne traktowanie.

— Potem coś zjem.

Petroniusz pożałował, że nie potrafi przeniknąć myśli kryjących się za tymi ciemnymi i wyrazistymi oczami.

— To może wina?

— Nie pijam wina.

— Jak uważasz — stwierdził gospodarz, wyczerpawszy pomysły. — Twoje łożo będzie czekać, aż zdecydujesz się do nas dołączyć.

— Dziękuję — odparł krótko Sanct' Germain.

Odwracając się do reszty gości, Petroniusz spojrział jeszcze badawczo na Sanct' Germaina. Cóż mogło sprawić, że uczta go nie zainteresowała? Odłożył jednak rozważania na później i skupił uwagę na cesarzu.

Sanct' Germain wrócił do ogrodu niemal pod sam koniec biesiady. Przez godzinę towarzystwo ożywiło się znacznie dzięki winu podawanemu w najpiękniejszych pucharach, jakie można było kupić. Cudzoziemiec zajął swoje łożo i skinął na niewolnika.

Neron leżał na swoim podwyższeniu, a na jego twarzy miast zwykłego grymasu irytacji malował się pogodny uśmiech. Na brzuchu trzymał małą lirę i brzdąkał na niej niepewnie do taktu dolatującej z zarośli muzyki fletów. Pozostali goście mieli już chyba dość podziwiania talentu cesarza, ale nikt nie palił się do tego, aby mu przerwać.

W końcu jeden z nich podniósł swe masywne ciało. Był to Justus Syliusz, który zaraz podszedł do Nerona.

— Całkiem jak Apollo — powiedział przypochlebnie.

— Apollo? — Neron zostawił lirę w połowie taktu.

— Bóg radości i muzyki — wyjaśnił Justus, gotów wykorzystać sytuację.

— I medycyny — dodał z namysłem Neron. — Sądzę, że zwykły zapewne leczyć muzyką. To najdoskonalsza ze sztuk. — Ponownie trącił struny liry.

Oliwia skinęła na męża, aby się cofnął. Nie ufała skłonnemu do fanaberii cesarzowi, została jednak zignorowana. Całe popołudnie upłynęło jej na wysłuchiwanie mężowskich wyrzutów, że nie zdołała znaleźć dość oryginalnego kochanka. Syryjski kupiec był zdaniem Justusa nudny, maga z Brytanii uznał za szalbierza, a pewien wolny człowiek z Recji okazał się na tyle pomyłony, że wyznał Oliwii swą miłość. Kobieta rozejrzała się wkoło i przygryzła dolną wargę. Justus poważnie zagroził ponownym przywołaniem Tingitaniana ze stajni. Samo wspomnienie niewolnika sprawiało, że jedzenie traciło smak. Przebiegała spojrzeniem po gościach. Zastanawiała się, czy Justus wolałby kogoś wysoko urodzonego, czy starczyłby żołnierz albo niewolnik. Nagle drgnęła, usłyszawszy głos Petroniusza.

— Stosowne jest, aby w takim czasie i miejscu, które wyzwala w nas to, co najlepsze, towarzyszyła odpowiednia do sytuacji rozrywka. — Stał obok swojego łoża, elegancki, światowy i nader czujny. — Tak

zatem, dzięki pomocy obecnego tu Rakoczego Saint Germaina Franciskusa... — wskazał na cudzoziemca — pragnę przedstawić wam coś, czego nigdy jeszcze w Rzymie nie widziano.

Mocno zainteresowany Neron oparł się na łokciu.

— Nigdy? — spytał z zachłannym zaciekawieniem.

— Ani razu — zapewnił go Petroniusz. — Nie będzie to grecka pantomima, która zawładnęła ostatnio sercami Rzymian, ale tancerze całkiem innego rodzaju. — Wspomniał, jak energicznie wypytywał Rakoczego o nowe rozrywki pod koniec jesieni. Sanct' Germain okazał niejaki rozbawienie, obiecał jednak poszukać czegoś, co zaskoczyłoby miejscowych. — Ich taniec ma znaczenie religijne — wyjaśnił teraz i mężnie zniósł jęk rozczarowania. — To co innego, niż sądzicie. Pochodzą z Hindustanu, gdzie wielu oddaje bogom cześć w sposób, który spodoba się najbardziej nawet wybrednym Rzymianom.

— Co to za sposób? — spytał niecierpliwie coraz bardziej rozdrażniony Neron.

— Czynią to swoimi ciałami, poprzez rytualne stosunki. Poświęcają temu tematowi sporo swoich tekstów. Ci tancerze uczyli się od wczesnego dzieciństwa oddawać tańcem każdy rodzaj żądy.

Rakoczy nie czekał na koniec przemowy Petroniusza. Podeszedł to trojga niewolników z Hindustanu.

— Pora na wasz taniec — odezwał się w ich mowie. — Ten mężczyzna na podwyższeniu to władca wielu krain. Lepiej dla was, abyście mu się spodobali.

Niski i smukły mężczyzna spojrział na Sanct' Germaina. Miał bardzo jasne i czyste oczy.

— To nie będzie tak samo jak w świątyni.

— Zapewne nie — zgodził się Rakoczy. — Niemniej, jeśli zaciekawicie go, zostaniecie nagrodzeni. Poza tym on bardzo nie lubi rozczarowań.

Dwie drobne kobiety wymieniły spojrzenie.

— To wielki mąż — wyszeptwała jedna z nich.

— Tak — przytaknął Sanct' Germain. — Zajmijcie miejsca. — Cofnął się w cień i wrócił do swego łóża. Rozległy się pierwsze tony fletów.

Już pierwsze powolne i zmysłowe poruszenia tancerzy przykuły uwagę Rzymian. Cała trójka miała ciemną skórę przypominającą wypolerowany do gładkości metal. Wyginali się, obejmowali i rozdzielali, przedstawiając coraz to nowe i bardziej pomysłowe pozycje współżycia, aż goście całkiem umilkli, śledząc w napięciu każdy ruch.

Justus Sylusz pochylił się do żony.

— Właśnie czegoś takiego chcę, Oliwio. Tyle że szybciej i mocniej.

Oliwia przełknęła ciężko. Już wcześniej trudno było jej patrzeć na tancerzy. Teraz najchętniej odwróciłaby spojrzenie od widowiska wydobywającego piękno z czegoś, co dla niej było odrażającym obowiązkiem. Co gorsza, czuła w głębi ducha, że sama nigdy nie zazna niczego podobnego. To piękno zawsze miało pozostać poza jej zasięgiem.

Neron pożerał tancerzy wzrokiem. Każdy ich gest był dlań zmysłową pokusą. Gdyby był bardziej pijany, przyłączyłby się do nich, aby poczuć ich smukłe ciała. Pożałował nawet, że Poppea jest akurat w ciąży. Gdyby nie to, posiadałby ją na różne sposoby, demonstrowane przez tancerzy. To, że odmawiała mu siebie z powodu dziecka, doprowadzało go do szału. Był ciężko zazdrosny. Zacisnął zęby. Zazdrość o nienarodzone jeszcze dziecko... Co za głupota! — powiedział sobie. Ale tak właśnie to odczuwał.

Petroniusz był zachwycony. Dostrzegął zainteresowanie cesarza. Tancerze byli dokładnie tacy, jak Sanct' Germain obiecał. Obawiał się wcześniej, że nie przedstawią nic ponad egzotyczną, ale zwykłą

seksua lną gimnastykę. Lęki okazały się jednak bezzasadne. To było coś więcej niż zmysłowe przedstawienie, którego poszukiwał. Ci ludzie przemienili wyznanie wiary w prawdziwą sztukę. Ułożył się wygodnie i oddał się obserwowaniu ich miękkich ruchów.

Gdy spektakl zbliżał się do końca, Saint Germain, który przyglądał się tancerzom z dziwnym, trochę nieobecny uśmiechem na ustach, wstał i wymknął się z arboretum. Wiedział, że wielu będzie chciało skorzystać z usług tancerzy, i należało ich o tym uprzedzić. Gdy przechodził przez trawę, zauważył, że jedna z kobiet wpatruje się w niego wielkimi, jakby nawiedzonymi oczami. Zaskoczyło go jednak, że nie było w nich widać namiętności, a jedynie rozpacz. Trwało chwilę, nim przypomniał sobie, kto to jest: Acja Oliwia Klemens, młoda żona Justusa Syliusza.

Dźwięki fletu ucichły pośród ciepłego wieczoru i goście zerwali się, aby głośno wyrazić aplauz. Petroniusz uprzejmie pokazywał, że to nie jego zasługa, ale pozostawał na widoku. Zależało mu, aby wszyscy zapamiętali, że to u niego nowi tancerze pojawili się po raz pierwszy.

— Bardzo poruszające! — zawołał Neron ponad chórem głosów. — Nigdy nie doświadczyłem niczego podobnego. — Nie musiał dodawać, ile znaczyła taka pochwała przy jego doświadczeniu. Rzym od lat huczał od plotek na temat seksualnych podbojów cesarza.

Goście natychmiast się z nim zgodzili, tym razem całkiem szczerze. Byli wyraźnie pobudzeni widowiskiem, mówili dużo i szybko i pragnęli kogoś dotknąć, kontynuować z kimś to, co właśnie zobaczyli.

Oliwia też poczuła coś z tego, jednak najchętniej rozplynęłaby się w ciemności. Nowa całkiem tęsknota była nie do pogodzenia z obecnością Justusa. Gdyby miała ją przed nim obnażyć, oznaczałoby to wstyd większy niż kiedykolwiek wcześniej.

— Zainspirowali mnie — oznajmił cesarz, zrywając się na równe nogi. W bladym świetle jego włosy lśniły srebrzyście, twarz wydawała

się młoda. Sięgnął niepewnie po lirę. — Pozwólcie, że śpiewem wyrażę podziw dla tych niezwykłych tancerzy. Niech sztuka nagrodzi sztukę.

Tym razem reakcja była mniej entuzjastyczna i paru gości wymieniło nawet szybkie spojrzenia. Nikt jednak nie ważył się ryzykować braku zachwytu dla pomysłu Nerona, cokolwiek ten zamierzał śpiewać. Muzyka była jedną z jego miłości.

Petroniusz poszedł za Sanct' Germainem za osłonę zarośli, gdzie wydzielono miejsce odpoczynku dla tancerzy. Obejrzał się przez ramię. Zza drzew dobiegały pobrzękiwania strojonej liry.

— Nie najlepszy to pomysł — mruknął pod nosem.

— Co? — spytał rzeczowo Rakoczy. — Tamto? Zapewne masz rację.

— Nie chodzi o to, jak gra i śpiewa. Ma pewien talent i gdy mu się chce, potrafi naprawdę wiele. Tyle że ten dar nie znaczy wiele wobec władzy, która mu przypadła, i przez to... — Urwał raptownie.

— Władza jest ważniejsza? — Sanct' Germain nie raz widział, co dostęp do władzy potrafi uczynić z ludźmi, sam poznał to też kiedyś na własnej skórze. Zapłacił wtedy bardzo wysoką cenę i pamięć tamtych zdarzeń nadal tkwiła w nim jak cierń.

Petroniusz odwrócił oczy.

— Agrypina... to była jego matka...

— Tak, wiem.

— Nauczyła go nie uznawać ograniczeń. Sama nigdy mu niczego nie odmawiała, a w pewnej chwili miała większą władzę niż on teraz. W końcu przekonał się, że nikt nie potrafi mu się sprzeciwić. Od tamtej pory szuka chyba granic własnej władzy. Czasem skłonny jestem sądzić, że ukochał tak muzykę, ponieważ ona jedyna mu się nie poddaje — powiedział, spoglądając w przenikliwe oczy Sanct' Germaina. — Nawet więcej. Stawia mu swoje żądania.

— Ale czy on to rozumie? — spytał Rakoczy.

— Kiedyś pewnie tak. Teraz, sam nie wiem. — Petroniusza ogarnęło nagle poczucie bezradności i zmusił się, aby przybrać ponownie postawę kogoś bardzo pewnego siebie. — Zawdzięczam ci wielki sukces.

Sanct' Germain nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko z lekka. To był przecież drobiazg.

— Czy mam kazać im wrócić do arboretum? A może uważasz, że to nie byłoby w tej chwili rozsądne?

— Rozsądne nie będzie zapewne ani trochę, ale bez wątpienia konieczne. Niebawem.

Falujący nieco baryton podjął pieśń wykonywaną w całkiem przyzwoitej grece.

— Zaczął. Muszę wracać, aby okazać zachwyty — wyszeptał Petroniusz, jakby i na ten dystans mógł urazić cesarza odezwaniem się w trakcie jego śpiewu. — Gdy skończy, przyprowadź tancerzy. Chętnie ich zobaczą.

— Jak sobie życzysz. — Saint Germain spojrział w ślad za odchodzącym w mrok Petroniuszem. Nie było mu do śmiechu, ale jego twarz pozostawała obojętna, jakby nic nie mogło go dotknąć.

Jeden z wielu listów wystosowanych przez architektów Sewerusa i Celera, datowany na 24 sierpnia 817 roku od założenia Miasta:

Szanowni i szlachetni mieszkańcy Rzymu,

Wraz z całym miastem patrzycie na pewno z podziwem, jak rośnie Złoty Dom Nerona. Ta wspaniała budowla stanie się po ukończeniu najznakomitszą wzniesioną kiedykolwiek konstrukcją i z nią będzie porównywane wszystko, co powstanie później. Same ogrody już teraz budzą podziw całego świata.

Wielu spośród was miało okazję obejrzeć wnętrza domu i zgodzicie się chyba z nami, że nie stworzono dotąd równie wspaniałego i przestronnego westybulu.

Jako architekci czuwający nad tym wielkim przedsięwzięciem chętnie wysłuchamy waszych sugestii i propozycji, jak ozdobić pałac, który stanie się po wsze czasy świadectwem tego, co najlepsze w Rzymie. Czy wiecie może o jakichś pięknych dziełach, które mogłyby stosownie dodać splendoru murom? Może sami macie w domu coś, co chcielibyście ofiarować? Jeśli tak, nie wstyďte się powiedzieć nam o tym tylko dlatego, że być może powątpiewacie, czy wasz dar godzien będzie najpiękniejszego miejsca na ziemi. Może chodzić nawet o drobiazgi. To one wszakże decydują ostatecznie o tym, że jakaś budowla staje się dziełem sztuki.

Cesarz zapewnił nas, że każdy obywatel, który przyczyni się w ten sposób do dzieła, zyska jego wdzięczność i pochwałę. Kto szczerze kocha cesarza, nie potrzebuje większej nagrody. Jego względy oraz świadomość, że przydało się splendoru jego siedzibie, to najwyższy zaszczyt, o którym może marzyć prawdziwy Rzymianin.

Jesteśmy przekonani, że okażecie szczerą oddanie sprawie i pomożecie nam uczynić Złoty Dom największym świadectwem chwały, potęg i dokonań cesarstwa powstałego nad naszym kochanym Tybrem.

Dziękujemy wam w imieniu własnym oraz tysiący tych, którzy działają nieustraszenie dla realizacji marzenia naszego cesarza. Wasza hojna reakcja będzie dla nas wszystkich prawdziwą radością.

*Sewerus i Celer,
architekci cesarza Nerona*

. 6 .

Widownia Circus Maximus zapełniała się już od ponad trzech godzin. Marynarze ustawili nad ławkami wysokie maszty, aby rozpiąć na nich barwne połacie płótna chroniące przed intensywnym blaskiem rzymskiego słońca. W gęstej ciżbie kręcili się sprzedawcy jadła i napojów, przekrzykując ile sił w płucach nieustanny szum tłumu.

Na niżej położonych miejscach gromadziła się arystokracja, co oznaczało, że igrzyska naprawdę niebawem miały się rozpocząć. Czasem ktoś wykrzyknął coś obraźliwego pod adresem tego czy tamtego senatora albo mniej ważnej, wysoko urodzonej osoby, z zasady ignorowano jednak podobne zaczepki, uznając, że byłoby to poniżej godności szlachetnego Rzymianina.

Nagły dźwięk trąb, dwóch nadających ton i jednej podkreślającej brzmienie całości w niższych tonacjach, obwieścił przybycie cesarza. Wielki stadion przycichł na chwilę. W przypominającym brzęczenie pszczoł poszumie trąby odezwały się ponownie, nie tyle pięknie może, ile głośno. Gdy umilkły, w loży pojawił się Neron. Wystroił się na ten dzień niczym wychodzący na scenę aktor, w pełną uroczystą szatę z zielonego jedwabiu.

Zewsząd rozległy się powitania. Okrzyki „Ave! Ave! Ave!” wypełniły okolicę.

Nero uśmiechnął się i uniósł rękę, aby podziękować tłumom.

Krzyk nasilił się jeszcze, kolejne „Ave!” padały coraz szybciej. Neron stał samotnie w cesarskiej loży, na jego niemal chłopięcej twarzy malował się wyraz wielkiej dumy. Gdy uniósł obie ręce, jak zwykli to czynić aktorzy przyjmujący owację, zgiełk wezbrał niczym fala oceanu.

Gdy w końcu szczyt entuzjazmu przeminął, Neron skinął na pozostałych, aby do niego dołączyli. Czterech niewolników przyniosło zielone poduszki, aby ułożyć je na marmurowym krześle cesarza. Jeden z greckich asystentów podał opracowane w drut płytki zielonego kryształu, stosowane dla ochrony oczu przed blaskiem słońca.

Gdy usiadł już wygodnie, pozwolił zająć miejsca świcie. Tygellin wraz z dwoma pretorianami i jednym trybunem stanęli wkoło tronu cesarza. Po lewej Wibiusz Kryspus dzielił się zimną kuropatwą z Aulusem Witeliuszem, którego kariera polityczna właśnie znacząco przyspieszyła, jak zwykle w przypadku tych, którym cesarz powierzył nadzór nad swoimi igrzyskami. Po prawej Nerona siedział wielce zasłużony przy rozpracowywaniu niedawnego spisku młody Marek Kokcejusz Nerwa, pogrążony właśnie w rozmowie ze sławnym wodzem Gnejuszem Domicjuszem Korbulonem. Gdy tłum ponownie zaczął wiwatować, na wrażliwym obliczu wodza wykwitł cyniczny uśmiezek. Odwrócił się od Nerwy i powiedział coś cesarzowi. Musiał trafić z uwagą, ponieważ Neron odrzucił głowę i zaśmiał się serdecznie.

Przykuwszy uwagę cesarza, Korbulon zagadnął o jeszcze jedno.

— Gdzie Petroniusz? Widzę Tygellina, ale Arbitra brakuje.

Neron skrzywił się niechętnie.

— Petroniusz nie ogląda igrzysk od czasu, gdy zniósłem zakaz zabijania gladiatorów i zwierząt.

Tygellin uśmiechnął się złośliwie.

— Petroniuszowi nie w smak rozrywki prawdziwych Rzymian.

Tego było już za wiele. Cesarz uznał, że pora udzielić podwładnemu łagodnej reprimendy.

— Pozwolę sobie przypomnieć, mój dobry prefekcie, że ten zakaz też ja wprowadziłem. W swoim czasie wydawało mi się, że takie mordowanie to czyste marnotrawstwo.

Aluzja została zrozumiana. Tygellin wyprostował się i zamknął usta.

Kolejne granie trąb oznajmiło o przybyciu grupy westalek. Tłum ucichł, patrząc, jak kobiety zajmują miejsca w swojej łoży. Nie witano ich entuzjastycznie, cieszyły się jednak ogromnym i szczerym szacunkiem.

Ostatni akord był sygnałem do uruchomienia organów hydraulicznych, zamontowanych na spinie pośrodku stadionu. Rozległy się głośnie takty żwawego marsza i w Bramie Życia ukazali się pierwsi uczestnicy parady.

Organizatorem tych igrzysk był Wiwianus Septimus Korwin, dwudziestodwuletni senator. Do stanowiska doszedł niedawno. Podobnie jak i majątek, odziedziczył je po ojcu i za wszelką cenę starał się obecnie zaistnieć w towarzystwie. Rzymianie nie przepadali za szybko awansującymi szarakami i tym razem nie było inaczej. Jadącego na fantastycznie zdobionym rydwanie Korwina przywitały gwizdy i mało wybredne okrzyki dochodzące z najwyższych rzędów widowni. Młody arystokrata, który już wcześniej zerkał lękliwie na dwa zaprzężone do rydwanu lwy, teraz oblał się zimnym potem. Do czasu, gdy okrążył spinę i zatrzymał się, aby wysiąść i wejść na podium, gdzie też miał prawo zasiadać, był wręcz wściekły. Tłum nie dawał mu spokoju, ale cóż było czynić. Korwin wdrapał się na górę i zajął miejsce, zerkając przy tym niechętnie na cesarza.

Przy dźwiękach zarówno organów, jak i trąb z bramy wyłaniali się kolejni uczestnicy oraz kombatanci igrzysk. Znając rzymski temperament, organizator jako pierwszych ustawił rydwanników, chociaż ich wyścigi miały się odbyć trochę później. Rydwany jechały w, trzech rzędach, po cztery w rzędzie, co wywołało kolejną falę entuzjazmu, znaczyło bowiem, że tym razem zamiast dwóch, należy oczekiwać aż trzech wyścigów.

Jadący w drugim szeregu Kosrozd trzymał lejce pewną ręką. Konie

były zdenerwowane, przez co w każdej chwili można było spodziewać się kłopotów, on jednak przywykł już i do takich sytuacji. Kątem oka obserwował sąsiedniego rydwannika, starając się znaleźć jego słaby punkt, jeśli takowy posiadał, co mogłoby zwiększyć szanse na wygraną w wyścigu. Rydwannik niebieskich odwzajemniał badawcze spojrzenie.

Za nimi postępowali gladiatorzy. *Retiarii* z sieciami i trójzębami, chronieni pancerzami *secutori*, którzy mieli przed zachodem słońca spróbować pozabijać sieciarzy, dalej *bestiarii* i *venatori*, wielu ze swoimi specjalnie tresowanymi zwierzętami. Dwóch olbrzymich Nubijczyków szło w pewnym oddaleniu od reszty zawodników, prowadzili bowiem strusie, które służyły z gwałtownego usposobienia.

Jak dotąd tłum był zadowolony. Szykowały się trzy pasjonujące dni. Wiele do zobaczenia, sporo prawdziwych walk.

Korbulon wyciągnął szyję na widok przejeżdżającego przed cesarską lożą oddziału *essedariuszów* na bojowych rydwanach.

— Ciekawią cię, wodzu? — zainteresował się uprzejmie Neron.

— Szkoda, że nie miałem ich w Armenii — odparł z namysłem Korbulon. — Przydaliby się do złamania szyku piechoty. Kilka takich oddziałów i Persowie nie mieliby szans. — Oparł się wygodnie i założył ręce na piersi. — Ale cóż, już po wszystkim.

— Chciałbyś wrócić do Armenii? — spytał cesarz podejrzenie słodkim głosem.

— Jestem wojownikiem, Neronie. Chciałbym być z moimi żołnierzami. Ze nie jestem, wynika z głupoty mojego zięcia. Nie mogę cię winić, że w tej sytuacji wolisz trzymać mnie przy boku. To dobra strategia, nawet jeśli w tym przypadku nie jest konieczna. — Była to dobra odpowiedź. Pozwalała przestać bawić się w aluzje.

— Twój zięć powinien trzymać się z dala od spisków. Dlaczego nie nauczyłeś go rozumu? — Neron zaczynał się irytować, jak zawsze,

gdy przychodziło do rozmowy o niedawnym zamachu na jego życie. — Gdyby nie odwaga Justusa Syliusza, który mnie ostrzegł, krzyczałbyś teraz „Ave” Pizonowi. Być może z areny.

— Nazwałeś Syliusza odważnym, panie? — odciął się Korbulon, ale bez specjalnego zapału. — Ludzie nazbyt cię kochają, aby zamienić cię z dnia na dzień na innego cesarza. — To była akurat prawda, nie puste schlebianie Neronowi.

Parada dobiegła już prawie końca. Większość uczestników opuściła wysypaną białym piaskiem arenę i zniknęła w Bramie Życia. Kolumnę zamykali jeźdźcy na bykach i gromada karłów. Trąby i organy hydrauliczne dogrywały ostatnie takty marsza.

Saint Germain czekał na Kosroзда przy stajniach.

— I jak z nimi? — spytał, gdy młody Pers znalazł się blisko.

— Dadzą radę. Tytan jest bardzo silny. — Wskazał na największego konia, który został zaprzężony jako lewy skrajny. Jego zadaniem było prowadzić cały zaprzęg na ostrych zakrętach wokół spiny. — Sporo z nim ćwiczyłem i sądzę, że nie na darmo. — Wręczył lejce jednemu ze stajennych i zsiadł z rydwanu.

— Kiedy twój wyścig?

— Jako czwarty czy piąty punkt programu. Tuż przed południową przerwą. Nie najgorszy czas. Nie będzie jeszcze tak gorąco. Najgorzej trafił Jeost. Ma ścigać się godzinę przed zachodem słońca. Wtedy powietrze będzie pewnie stało w miejscu. — Zrównał się z Saint Germainem, który odprowadził go kawałek na bok.

Gdy byli już dość daleko od pozostałych rydwaników, Rakoczy spojrzął na niego z powagą.

— Rozmawiałem z Druzusem Stelidą. Słyszał, że podobno niebiescy nakazali swoim rydwanikom wygrać dzisiaj niezależnie od ceny.

Kosrozd przypomniał sobie spojrzenie, którym obdarzył go zawodnik niebieskich podczas parady. Kiwnął krótko głową.

— Będę miał to na uwadze.

— Możliwe, że biali będą im w tym pomagać. I jedni, i drudzy chcą wyciąć zielonych. — Saint Germain zatrzymał się. — Znajdziesz się w osobliwej sytuacji, Kosrozdzie. Nie należysz do żadnego z czterech stronnictw, co oznacza, że jeśli ciebie też zaatakują, będą bezkarni. Czerwoni trzymają się w tym przypadku z boku.

Obok przetruchtała oddział galijskiej jazdy. Kosrozd odprowadził go spojrzeniem.

— Mają walczyć z Partami. Godni siebie przeciwnicy.

Saint Germain zwrócił uwagę najeźdźców.

— Większe szanse dałbym Partom. Mają lepsze konie i lżejsze pancerze. Wątpię, czy Galowie dadzą radę podejść na tyle blisko, aby zrobić użytek z włóczni i toporów. — Spojrzał ponownie na Kosrozda. — Wiem, że to nie całkiem zgodne z regulaminem, ale jeśli będziesz nosił to na nodze, zawsze możesz powiedzieć, że to do cięcia lejców, gdyby zaszła taka potrzeba. — Pochylił się i wyciągnął z buta nóż o długim i cienkim ostrzu. — Pamiętaj, że niebiescy dają swoim rydwannikom bicze. Nie pozwól, aby podszedł cię z boku, bo dostaniesz po plecach.

Kosrozd przyjął nóż z poważną miną.

— Nie wiem, jak ci dziękować.

— Dziękować? — spytał sardonicznie Saint Germain. — Zapłaciłem za ciebie całą górę pieniędzy i nie pozwolę, aby polityczne intrygi zepsuły...

Resztę jego słów zagłuszyło granie trąb, co pozwoliło porzucić temat. Wkoło zrobił się ruch, słychać było trzeszczenie lin, za pomocą których ustawiano masywne klatki u wejścia na arenę.

— Pierwsze jest polowanie? — spytał Rakoczy, wychwyciwszy w zgiełku ryki rozdrażnionych zwierząt.

— Tak. Białe niedźwiedzie, wilki i dzikie woły. Senator Sylusz

sprowadził kilku hiperborejskich myśliwych. Dobrze sobie radzą.

Saint Germain nie zdołał ukryć niechęci.

— Teraz, gdy Sylusz wrócił do łask cesarza, wykorzystuje to, jak tylko może.

— A twoi treserzy? — spytał Kosrozd. Miał wrażenie, że nie spotkał ich w cyrku, gdy zjawił się tu poprzedniego wieczoru.

— Oni będą jutro. Głównie z lwami, tylko jeden z wielkim, azjatyckim bykiem. Przyślę ich tutaj dzisiaj wieczorem. — Rakoczy posiadał ponad piętnastu treserów. Wielu, jak na cudzoziemca, jednak nie mógł równać się pod tym względem z rzymską arystokracją.

— Muszę się przygotować, panie. Polowanie zaraz się zacznie. Zaraz potem będzie jakiś wyścig, potem walki czterdziestu par gladiatorów i już moja kolej. — Jak wielu rydwanników, Kosrozd starał się nie zaniedbywać nigdy gimnastyki wzmacniającej ręce i barki.

— Powodzenia na arenie — powiedział Rakoczy i odwrócił się od Persa. Przeszedł labiryntem korytarzy do schodów, które miały doprowadzić go na widownię. Nie spieszył się. Polowanie miało najpewniej trochę potrwać, a Saint Germain zdążył odkryć, że mdli go od podobnych widowisk.

Gdy dotarł ostatecznie do łoża Donatusa Egnatusza Balbona, niemal wszystkie zwierzęta leżały już martwe na piasku. Myśliwym nie wiodło się wiele lepiej. Zostało ich tylko siedmiu. Siedmiu przeciwko dwóm białym niedźwiedziami i jednemu wołu.

— Szkoda, że nie przyszedłeś wcześniej — powiedział gospodarz łoża. — Naprawdę sporo się działo. Wilki dopadły trzech ludzi i rozdarły ich na strzępy. — Mówiąc to, nie odwracał spojrzenia od areny, gdzie niedźwiedzie stały na tylnych łapach i czekały z pazurami na myśliwych, którzy w swej głupocie spróbowaliby podejść za blisko.

— Musiałem porozmawiać z moim rydwannikiem — odparł krótko Rakoczy i siadł na kamiennej ławie.

Cyrk nagrzewał się z wolna i odór rzezi mieszał się coraz wyraźniej z miazmatami tłumu. Było gorzej niż na znanych Saint Germainowi polach bitewnych, których nie ogradzano wszak ze wszystkich stron obwałowaniami.

Po paru chwilach na arenie pozostał tylko jeden niedźwiedź. Niewolnicy otworzyli już Bramę Śmierci i szykowali się z linami i hakami, aby ściągnąć ciała zwierząt i ludzi.

Niedźwiedź upadł ze strasznym rykiem, trafiony dwoma oszczepami.

— Świetna robota! — zakrzyknął Egnatiusz. Saint Germain ledwie to dosłyszał przy nasilającym się wyciu tłumu.

Gdy usunięto ciała, arenę objechały specjalnie wozy, narzucając świeżą warstwę piasku na plamy krwi. Niewolnicy rozprowadzili go starannie, aby nazbyt silna woń posoki nie płoszyła koni podczas wyścigu. Wierzchowce nie chciały przebiegać przez miejsca naznaczone odorem śmierci.

— Potem, po południowym posiłku, będą wodne łowy. Krokodyle i hipopotamy. Egipcjanie i Numidyjczycy będą polować na nie z tratw. Na to zawsze warto popatrzeć, zwłaszcza jeśli któryś z myśliwych wpadnie do wody. — Egnatiusz był aż czerwony na twarzy. Po części z gorąca, ale nie wyłącznie. Wyraźnie rozkoszował się spektaklem.

— W rzeczy samej — mruknął Sanct' Germain i zastanowił się nad jak najbardziej polityczną wymówką, aby się oddalić.

Młoda żona Egnatiusza siedziała obok nadąsana i głośno narzekała na pechowe zrządzenie losu.

— Podobno Telkordes dzisiaj nie wystąpi. Mówią, że nie doszedł jeszcze do siebie po zranieniu w ramię.

Trybun zaśmiał się i poklepał żonę po udzie.

— Celia podziwia gladiatorów — powiedział do Rakoczego. — Wspomniany osiłek z Cypru to jej ulubieniec. Osobiście nie rozumiem, jak dobrze urodzone damy mogą tak się nimi fascynować. Niektóre gotowe są nawet zapraszać ich do łożnicy, obiecując sobie po tym nie wiadomo jakie cuda.

Celia zapatrzyła się markotnie na mur spiny.

— Słyszałam od mojej niewolnicy, że według Mokantora Oliwia, żona Justusa Syliusza, spała z Telkordesem.

Jej mąż tylko parsknął.

— Gdyby choć połowa tego, co gadają niewolnicy, była prawdą, Rzymianie w ogóle nie wstawaliby z pościeli.

Arena była już gotowa do pierwszego wyścigu. Łoża trybuna znajdowała się na zakręcie, z dala od linii startowej, nie mieli więc szansy śledzić wyścigu od samego początku. Dojrzeli jednak cztery rydwany, które wyjechały z Bramy Życia i ustawiły się równą linią obok spiny.

— Biali mają dziś dobry zaprzęg — powiedział Egnatiusz. — Co o tym sądzisz, Franciskusie? Same rasowe konie.

— Efektowne — stwierdził Saint Germain, rzuciwszy fachowym okiem na rumaki. — Piękne są, ale nie dobiegną do mety.

Jego przewidywania okazały się nader trafne. Do czasu, gdy na spinie opuszczono pięć delfinów i cztery jaja, co oznaczało, że zawodnicy wykonali cztery i pół okrążenia, zaprzęg białych został mocno w tyle, chociaż woźnica okładał wytrwale konie lekkim batem służącym normalnie do kierowania zwierzętami, nie do poganiania ich. Na czele znajdował się zaprzęg niebieskich, rydwan zielonych jechał zaraz za nim. Zawodnik czerwonych próbował wysunąć się do przodu, zakręcając tuż przy spinie. Zbliżył się do niej za bardzo. Lewym kołem zahaczył o najbliższy z trzech marmurowych słupków u krańca spiny, które pełniły rolę ochronną wobec muru i wyznaczały

jedną z dwóch met stadionu.

Tłum ryknął, gdy rydwan czerwonych skręcił gwałtownie i przez chwilę zdawało się, że woźnica wypadnie prosto na koło pojazdu białych. W ostatniej chwili zdołał rozkołysać rydwan tak, aby powrócić na prostą. Głośny aplauz zmieszał się z jękiem zawodu dochodzącym z najwyższych trybun.

Neron, który bacznie obserwował wyścig, nie krył radości, gdy zaprzęg zielonych samotnie wychynął z za spiny. Tłum szalał. Po ostatnim okrążeniu zwycięski rydwannik zatrzymał się przed lożą cesarza.

— Hiacynt! — zawołał Neron i poczekał, aż publiczność przycichnie. — Oto twoje piętnaste zwycięstwo dla zielonych, Hiacyncie. — Reakcja tłumu była zróżnicowana. Niektórzy wiwatowali, powtarzając imię rydwannika, inni buczeli. Neron uniósł rękę, domagając się ciszy. — W podzięcie za te dokonania stajesz się dziś wolnym człowiekiem, obywatelem Rzymu!

Reakcją była ogłuszająca wrzawa, która nie umilkła nawet wtedy, gdy zawodnik opuścił arenę Bramą Życia.

— Neron wie, co ludzie kochają najbardziej — zauważył Egnatiusz. — Wieczorem będą śpiewać o tym w tawernach, a każda kurwa w lupanarze zacznie przysięgać, że spała z Hiacyntem w noc po jego wyzwoleniu.

— Myślałam, że Hiacynt należy do Kryspusa — rzuciła zdumiona Celia.

Egnatiusz machnął ręką.

— Kryspus dostanie rekompensatę. Jeśli sam tego nie zaaranżował.

Na arenie ponownie pojawili się niewolnicy. Tym razem wyrównywali głębokie koleiny, którymi rydwany poznały piasek.

Trąby zagrały wezwanie dla gladiatorów. Osiemdziesięciu uzbrojonych mężczyzn pomaszerowało pod podium, aby pozdrowić

cesarza i organizatora igrzysk.

— Ty nie masz żadnych gladiatorów? — spytał Egnatiusz Saint Germaina, gdy walki już się zaczęły.

— Gladiatorzy są bardzo kosztowni. Ich szkolenie trwa całe lata i trzeba bardziej o nich dbać niż o treserów. A potem starczy jedno pechowe popołudnie, aby zostać bankrutem. — Odwrócił się, aby nie widzieć dwóch mężów walczących dokładnie naprzeciwko nich tradycyjnymi mieczami o szerokich ostrzach. Za całą osłonę mieli tylko małe tarcze. Zgodnie z decyzją organizatora nosili korynckie hełmy, które sprawiały się znacznie gorzej niż ich tradycyjne nakrycie głowy. — Ponadto jestem cudzoziemcem — dodał Saint Germain. — Rzymscy urzędnicy podejrzliwie traktują obcych dysponujących nazbyt wieloma wyszkolonymi wojownikami.

— Szczyt cynizmu — rzucił Egnatiusz, wychylając się, aby lepiej widzieć arenę.

— Patrzcie! — zawołała Celia. — Jest Plaudes, ten, który w zeszłym miesiącu zabił Maurena.

Zanim zapadł wieczór, Plaudes opuścił cyrk tą samą drogą, co Mauren, przez Bramę Śmierci.

Gdy ponownie oczyszczono i wyrównano piasek, na arenie pojawiła się druga grupa rydwanników. Kosrozd zajął stanowisko najbardziej oddalone od spiny. Uprzywilejowane miejsce przypadło zawodnikowi niebieskich. Pers zawiązał już końce lejców wokół pasa i sprawdzał, ile luzu zostało.

— Trzymaj się z tyłu — rzucił mu rydwannik zielonych.

— To zależy od szybkości moich koni — warknął Kosrozd.

Po kilku chwilach krzątania koło linii startu wyścig wreszcie się zaczął. Przez pierwsze okrążenia Pers nie wyrywał się do przodu, oszczędzając rumaki na finał. Musiały wytrzymać siedem okrążeń i nie chciał, aby zbyt szybko się zmęczyły.

Sanct' Germain przyjrzał mu się, gdy Kosrozd przejeżdżał przed jego lożą. Młodzieniec jechał pewnie i panował nad sobą, jakby zdążył do bitwy.

Po kolejnych dwóch okrążeniach wysunął się przed rydwan jadący po wewnętrznej. Nie na tyle, aby zająć od razu jego miejsce, ale zaczął wyraźnie zagrażać zawodnikowi niebieskich.

— Dobry ten twój rydwanik — powiedział Egnatiusz, gdy Kosrozd zaczął w końcu wyprzedzać rywala. — Jeszcze okrążenie, a będzie pierwszy na zakręcie.

— Może — rzucił Rakoczy, widząc, jak kolejny delfin skłania się w dół.

Rydwany znajdowały się po drugiej stronie spiny, poza zasięgiem wzroku Sanct' Germaina, gdy nagle widzowie zakrzyknęli podnieceni i całe ich rzędy zerwały się z miejsc. Ci siedzący dalej wyciągali nerwowo szyje, chcąc dojrzeć, co się właściwie stało.

Nie musieli długo czekać. Gdy rydwany minęły słupki na końcu spiny, zabrakło wśród nich pojazdu stronnictwa niebieskich, Kosrozd zaś starał się ze wszystkich sił utrzymać kierunek. Koło jego rydwanu ledwie trzymało się na osi. Miał już skrócić, gdy ostatecznie urwało się i pojazd runął ciężko na bok.

Na moment zapadła głucha cisza, w której słychać było tylko uderzenia końskich kopyt. Po czasie, który byłby potrzebny, aby doliczyć do pięciu, gwar wrócił. Kosrozd wypadł z rydwanu i konie, do których był uwiązany lejcami, ciągnęły go po białym piasku.

Sanct' Germain odruchowo zerwał się z miejsca. Poblądł, obserwując, jak młodzieniec zwija się, próbując wyszarpnąć zza rzemieni sandała nóż i przeciąć pasy.

Przez chwilę wydawało się, że da radę. Zdołał chwycić wszystkie lejce jedną dłonią, jednak był już przy końcu spiny i przywykłe do trasy konie skrzyły gwałtownie, aby przebiec jak najbliżej słupków.

Wrzaski tłumu zagłuszyły bolesny krzyk Kosrozda, jednak Sanct' Germain widział jego zderzenie z kamiennymi przeszkodami, zanim konie pobiegły dalej.

Jak najszybciej pożegnał się z Egnatiuszem i wybiegł z łoży. Błyskawicznie pokonał schody i torując sobie drogę wśród treserów i różnych gladiatorów, skierował się prosto do stajni.

Dwóch porządkowych wybiegło już przez Bramę Życia, aby złapać oszalałe konie Kosrozda. Czekający już medyk przywitał zdawkowo Rakoczego.

— Pan jest właścicielem? — spytał, wkładając mocno zużyte już narzędzia do wiszącego nad ogniem kociołka z wodą.

— Owszem, jestem właścicielem rydwannika czerwonych. — Silniejszy niż zwykle obcy akcent w jego głosie zdradzał zdenerwowanie.

Medyk pokiwał głową.

— Woźnica niebieskich opuści cyrk przez Bramę Śmierci. — Medyk był mężczyzną w średnim wieku i jako weteran wielu kampanii miał obecną pracę za rodzaj degradacji.

Konie dały się wreszcie złapać, nadal jednak stawiały opór, gdy ciągnięto je do bramy.

— Trudną robotę tu mają — mruknął medyk, wskazując na porządkowych.

Saint Germain nie słuchał. Pospieszył do bramy, minął całe zamieszanie i podszedł wprost do Kosrozda.

Miłosiernym zrzędzeniem losu Pers stracił przytomność. Przez skórę z lewej strony przebijała się kość złamanego obojczyka. Całe ciało było pokryte szramami i siniakami, a z głębokiej rany w lewej nodze tryskała miarowo krew.

Wytracony z równowagi Rakoczy wyjął nóż zza pasków sandałowycy Persa i odciął ostatecznie lejce. Ruchem ręki odpędził

pomocnika, który chciał zaciągnąć rannego do medyka, i sam uniósł młodzieńca, jakby chodziło o małe dziecko. Z uwagą przeniósł go przez całą stajnię.

— Ale ma pan krzepę — zauważył medyk, gdy ranny znalazł się już na niskim blacie pod ścianą.

Sanct' Germain nie zareagował na uwagę.

— Jest w ciężkim stanie.

— Sam widzę — mruknął chirurg. — Gdzie ja mam piłę... Muszę obciąć mu rękę.

— Nie! — Rakoczy położył mężczyźnie dłoń na ramieniu. — Zabraniam.

Medyk westchnął ciężko.

— Słuchaj, cudzoziemcze. To nie tak, aby mi na tym zależało, ale sam popatrz. To aż trzy złamania kości obojczyka. I tak nie mógłby w przyszłości używać tej ręki. Taka rana zacznie szybko gnicić i na pewno go zabije. Chcę mu dać Szansę na przeżycie. Na nic więcej nie można liczyć.

— Powiedziałem nie — stwierdził Sanct' Germain, nie puszczając medyka.

— Nie ma żadnego wyboru. — Mężczyzna nadal był spokojny, ale nie podobało mu się, że jakiś cudzoziemiec wtrąca się do jego pracy. — Jeśli uważa pan, że lepiej sobie poradzi...

Rakoczy opuścił rękę. Medyk odchrząknął, zamierzając polecić obcemu, aby sobie poszedł, gdy ten nagle przyklęknął przy rannym i ponownie wziął go na rękę.

— Niech się pan odsunie — powiedział do medyka.

— Jeśli go stąd zabierzesz, weźmiesz na siebie całą odpowiedzialność za jego los — odezwał się nagle nowy głos. To był Nekredes, który przystanął z boku i obserwował bieg zdarzeń z kwaśną miną.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Franciskus, pragnąc uniknąć jakiegokolwiek zwłoki. — Podpiszę stosowny dokument, aby nikt was nie oskarżył o nieudzielenie mu pomocy. Najpierw jednak umieszczę go w lektyce i odprawię do mojej willi.

— Skąd mogę wiedzieć, że nie zmienisz zdania? Najpierw dokument, potem reszta. — Nekredes niemal się uśmiechnął i skinął medykowi, że może odejść.

— Masz na to moje słowo — powiedział Sanct' Germain i ruszył do wyjścia na ulicę.

Nekredes pospieszył za nim.

— Nie dam się oszukać, jak kiedyś. Potem powiesz, że straciłeś przeze mnie niewolnika albo że nikt się tu nim nie chciał zająć.

Rakoczy spojrział na niego surowo.

— Masz moje słowo — powtórzył z naciskiem. — A teraz zejdz mi z drogi!

Nie wiadomo, jak by to się skończyło, gdyby w stajni nie pojawił się nagle wzburzony nadzorca zwierząt.

— Nekredesie, wielki krokodyl wyrwał się z klatki. Potrzebujemy pomocy!

— Gdzie to się stało?

— Na drugiej kondygnacji piwnic. Drzwi klatki się otworzyły. Nie możemy zagonić go z powrotem...

Rakoczy nie słyszał ciągu dalszego. Czym prędzej wyszedł na ulicę.

Niedaleko czekało kilka grup tragarzy spodziewających się ruchu w czasie południowej przerwy. Sanct' Germain wybrał czterech wylegających się obok lektyki z wygodnymi poduszkami i zasłonami pozwalającymi odizolować wnętrze.

— Wy tam! — krzyknął.

— My? — spytał najroślejszy z ekipy.

— Tak. Przygotujcie lektykę. — Podeszedł i ułożył Kosrozda na

poduszkach.

— Ale on krwawi! Zniszczy nam pan wszystko.

— Zapłacę. — Przekonawszy się, że ranny leży bezpiecznie, sięgnął po najmniejszą poduszkę i przywiązał ją mocno do nogi w miejscu zranienia. Wypływ krwi zmalął, ale nie dało się go całkowicie powstrzymać.

— Proszę go stąd wziąć! — zażądał tragarz.

Sanct' Germain wyprostował się.

— Wynajmuję was. Nie możecie odmówić wykonania usługi.

Mężczyzna spojrział na niego ze złością.

— A skąd mam wiedzieć, czy to nie jakaś awantura?

Saint Germain miał już dość tego próżnego gadania.

— Widzisz, kim jestem. Noszę pierścień z herbem, a ten niewolnik ma obrożę z wyrytym moim imieniem. Wasza stawka poza murami Rzymu...

— Poza murami? Chyba nie mówi pan poważnie...

— Wynosi dwie sestercje za tysiąc kroków. Jeśli zanieście też mężczyznę do mojej willi, trzy tysiące kroków poza koszary pretorianów, mój sługa wypłaci wam po trzykroć tyle. Starczy, że wspomnicie moją pieczęć, zaćmienie. — Sięgnął do mieszka u pasa i wyjął cztery złote monety. — To zaliczka. Pospieszcie się.

Mruczając coś pod nosem, tragarz skinął na swoich ludzi, aby zajęli miejsca.

— Ruszamy, chłopaki — powiedział tonem starego żołnierza, którym bez wątpienia był.

Gdy lektyka zniknęła na zakurzonej ulicy, Sanct' Germain wrócił do stajni i skręcił w długi korytarz, który doprowadził go z powrotem do łoży Egnatiusza. Wyszedł właśnie na słońce, gdy nagle ktoś zawołał go z cienia.

— Sanct' Germainie Franciskusie. — Głos był niski, bez wątpienia

jednak kobiecy, lekko drżący.

Rakoczy zatrzymał się, oślepiiony jasnym światłem.

— Chcę z panem porozmawiać. — Kobieta przysunęła się, nie wychodząc jednak na słońce. — Chciałabym pana lepiej poznać.

— Lepiej? — Sanct' Germain czekał, aż wzrok mu się przyzwyczai. W końcu rozpoznał kobietę. Ku jego zaskoczeniu była to Oliwia, żona Justusa Syliusza. Wspomnił jej osobliwe, pełne strachu spojrzenie, którym obdarzyła go w ogrodzie Petroniusza.

— Chcę... aby przyszedł pan do mnie. Wieczorem. Niebawem. — Oblała się rumieńcem, w jej spojrzeniu pojawił się dziwny lęk.

Saint Germain myślami był wciąż przy Kosrozdzie i jego obrażeniach i trudno mu było skupić się na Oliwii. W zwykłych okolicznościach bez zbędnych słów odrzuciłby po prostu jej propozycję, teraz jednak wdał się w rozmowę.

— Przykro mi, ale rozczaruję cię, pani. Cudzoziemiec nie uczyniłby mądrze, akceptując podobne zaproszenie. — Zacisnął usta. — Pozwól mi przejść, pani.

— Nie — powiedziała, stając tuż przed nim. — Nie wolno panu odmawiać. Nie może pan. — W jej głosie pobrzmiwała trudna do pojęcia desperacja. Kobieta uniosła błagająco ręce, jakby prosiła o pomoc. Zachowywała się odmiennie niż większość uwodzicielek.

Rakoczy wspomnił plotki, które słyszał od gladiatorów i innych uczestników igrzysk. Podobno Oliwia szukała wciąż nowych i bardziej gwałtownych kochanków. Jednak skoro tak, dlaczego w jej oczach czaił się lęk?

— Kiedy, pani? — spytał oschle, nie do końca wiedząc, co właściwie czyni.

Odetchnęła, jakby naprawdę jej ulżyło.

— Za trzy dni. Dwie godziny po zachodzie słońca. Proszę zjawić się przy bramie do ogrodu. Niewolnik pana wpuści. — Opuściła kącki

ust, jakby ze smutkiem. — Będę oczekiwać pana w sypialni. — Odwróciła się nagle, wykonując taki gest, jakby coś od siebie odpychała.

Na arenie piski, wycia i krzyki powitały początek wodnego polowania, jednak Sanct' Germain mało co słyszał. Patrzył w ślad za odchodzącą Oliwią i nie wiedział, co myśleć o jej słowach. W dali korytarza kobieta przeszła przez dwie smugi słonecznego blasku. Spieszyła się, jakby chciała czym prędzej uciec z mrocznego wnętrza cyrku, gdzie wszelki gwałt był na porządku dziennym. Jednak jeśli tak, to dlaczego zapraszała tylu mężczyzn? I dlaczego zaprosiła jego? Nie potrafił powiedzieć, dlaczego uległ błaganiu, i im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej miał ochotę to ustalić. Pojmował, że niebezpiecznie było ją znać. Zona wpływowego senatora to nie towarzystwo dla cudzoziemca. W pewnej chwili dotarło do niego, w czym rzecz. Była przerażona i jego działanie wynikało ze współczucia.

List od Nimfidiusza Sabinusa, wspólnie z Tygellinem prefekta pretorianów, do wodza Gnejusza Domicjusza Korbulona:

Do dostojnego wodza, Gnejusza Domicjusza Korbulona, z wyrazami szacunku,

Odkąd ręka losu i dłoń cesarza wyniosły mnie, wraz z Ofoniuszem Tygellinem, na stanowisko prefekta pretorianów, poczuwam się do odpowiedzialności dyktowanej przez tę godność i staram się należycie wypełniać moje obowiązki.

Cesarz, jak zapewne dobrze jest wiadomym, wiele wycierpiał w tym roku. Nie chodzi tylko o sam spisek Gajusza Kalpurniusza Pizona, który był bolesnym doświadczeniem, ale i fakt, że wśród konspiratorów znaleźli się ludzie, których cesarz ukochał. Seneka i Lukan przyjęli swój los i sami wymierzili sobie sprawiedliwość, pozbawiając się życia. Pociuszające jest,

że chociaż zdradzili cesarza, pozostali Rzymianami i odeszli z godnością.

Również niedawna śmierć Poppei, bliskiej już wydania na świat dziecka Nerona, była dla cesarza ciężkim ciosem. Bardzo ją oplatuje, winiąc się za jej tragiczne odejście.

Wyrażał pan nie raz żywe pragnienie, aby powrócić do swojego legionu, co nie uszło naszej uwadze. Aż do teraz musieliśmy jednak postępować w pana przypadku bardzo rozważnie w związku z rolą, jaką odegrał pana szwagier w niedawnym spisku. Wiele się jednak zmieniło przez ostatnie miesiące i uważamy, że właściwe będzie, a nawet pożyteczne, jeśli ponownie zyska pan sposobność obrony honoru Rzymu na polu walki, na którym tak bardzo chce się pan znaleźć.

Cesarzowi bardzo zależy na jakimś zwycięstwie. Wcześniej często dawał pan dowód swoich zdolności, był wodzem kochanym przez żołnierzy i zawsze oddanym cesarzowi, senatowi i ludowi rzymskiemu. Z tego powodu oczekujemy, iż poświęci nam pan trochę swojego czasu, abyśmy mogli przeznaczyć go na rozmowę, która pozwoli panu lepiej zrozumieć życzenia cesarza i senatu. Nie ma sensu, aby tak zdolny wódz marnował swój czas w Rzymie, podam gdy cesarstwo go potrzebuje.

Zwycięskie podboje i triumfalny pochód same w sobie są najwyższą nagrodą dla każdego dowódcy, niemniej zwykło się nagradzać publicznie tych, którzy służą cesarzowi. Mogę pana zapewnić, że jeśli zdecyduje się pan poprowadzić ponownie swoich ludzi do walki, Neron będzie skłonny już teraz zadbać właściwie o pana i pańską rodzinę, odsuwając w cień wszystkie oskarżenia o nielojalność, które dotknęły pański dom.

Odpowiedź proszę przekazać posłańcowi, który zjawi się u pana z tym listem. Potem spotkamy się przy pierwszej sposobności. Jestem przekonany, że skorzysta pan z przedstawionej właśnie propozycji.

W oczekiwaniu na pozytywną odpowiedź i z wojskowym pozdrowieniem,

Nimfidiusz Sabinus wraz z Tygellinem

prefekt pretorianów

. 7 .

Chociaż był już środek nocy, w północnym atrium willi Rakoczego nadal widać było światło. Mieściły się tam nie tylko osobiste pokoje gospodarza, ale i pomieszczenia, do których wstęp miał jedynie ponury Egipcjanin Aumtehoutep. Mieszkający w pawilonach między domem a stajnią niewolnicy często i bezskutecznie zastanawiali się, co może się znajdować w tej nietypowej dla rzymskiego domostwa części.

Saint Germain przebywał właśnie w jednym z niedostępnych pokoi, pochylając się nad bladym ciałem Kosrozda. Ze smutkiem spoglądał na zaognione rany.

— Jesteś pewien, że usunąłeś wszystkie odłamki kości? — spytał cicho.

— Wszystkie, które udało mi się znaleźć — odparł chłodno Aumtehoutep.

— Nie obwiniam cię, przyjacielu. Biorąc pod uwagę jego obrażenia, podziwiam, że zdołałeś zrobić aż tyle. — Nie oderwał spojrzenia od ciała młodzieńca. — Oddycha płytko, puls ma szybki i słaby. Wprawdzie udało się zatrzymać krwawienie, ale... — Uniósł ręce w geście bezradności.

— Żaden medyk nie jest cudotwórcą — zgodził się Egipcjanin. — Wiesz o tym lepiej niż ja.

— Nawet gdybyśmy mieli tu Sennistisa i wszystkich kapłanów Imhotepa, zapewne nie zdołaliby go uratować. Nie po dwóch dniach w takim stanie. — W oczach Rakoczego odbiło się cierpienie. — Jak myślisz, ile on może mieć lat?

— Siedemnaście, osiemnaście, na pewno nie więcej niż

dwadzieścia. — Aumtehoutep podszedł do stojącej w kącie intarsjowanej skrzyni. — Chcesz narzędzia?

— Tak młody? — mruknął Sanct' Germain. — Nie pamiętam już, kiedy miałem siedemnaście, osiemnaście czy dwadzieścia lat. Ani nawet dziesięć razy tyle. — Położył dłoń na czole Kosrozda. — Gorączka narasta.

— Jak sądzisz, ile czasu mu zostało? — Egipcjanin otworzył skrzynię. — Mamy kordiały do uśmierzenia bólu.

— Jeśli odzyska przytomność, będziemy musieli ich użyć. — Rakoczy wyprostował się i przetarł oczy. — Wielka szkoda.

— Tak — przyznał matowym głosem Aumtehoutep, nie spoglądając swemu panu w oczy.

— Uważasz, że powinienem go uratować? — spytał Saint Germain z chłodnym uśmiechem na ustach. — Aumtehoutepie?

Na kilka chwil zapadła niezręczna cisza.

— Chyba dobrze byłoby nastawić mu kości — odparł w końcu Egipcjanin ze wzrokiem wbitym w głąb skrzyni. — Jeśli go... uleczysz, będzie chciał się znowu ścigać.

— Na pewno. Ale jak wyjaśnimy jego ozdrowienie? — Potrząsnął zirytowany głową. — Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć?

Aumtehoutep nie odpowiedział na drugie pytanie.

— Blizny zostaną, wyjdzie więc naturalnie. A ludzie dochodzą czasem do siebie i po gorszych zdarzeniach i wracają potem na arenę.

— Nie rydwannicy — rzucił Saint Germain.

— Może nie. Jednak sam wspomniałeś, że medyk nie zdążył go obejrzeć. Nie wiedzą, jak ciężko naprawdę jest ranny, a niekiedy łagodne skaleczenia potrafią wyglądać o wiele gorzej niż te śmiertelne. — Opuścił wieko skrzyni i wrócił, stając wreszcie naprzeciwko Rakoczego. — On nie jest gotów na śmierć.

— Ani ja — odparł ze smutkiem Saint Germain. — Czy myślisz, że

zaakceptuje... przemianę?

Egipcjanin zrobił nagle krok w stronę Rakoczego.

— Nastaw mu kości. Obudź go i powiedz mu prawdę. Przyjmie wszystko, co otrzyma od ciebie. Tyle samo darowałeś temu asyryjskiemu dowódcy...

Sanct' Germain uśmiechnął się z sarkazmem.

— To było wieki temu. Teraz jest inaczej.

— Może i tak, ale on jest w ciebie wpatrzony... — Sanct' Germain drgnął, usłyszawszy to słowo. — Może jednak się zastanowisz?

Rakoczy spojrzał na swego niezmiennie poważnego towarzysza.

— Zwykle nie prosisz mnie o to. Dlaczego teraz to czynisz, przyjacielu?

— Zbyt długo byłeś sam — powiedział powoli Aumtehoutep i rysujące się w blasku lamp oliwnych zmarszczki na jego twarzy jakby jeszcze się pogłębiły.

— Sam? — Saint Germain chciał się zaśmiać, ale niezbyt mu się to udało. — Trudno. Jestem sam. Ale jaki mam wybór?

— Miłość innych — odparł Egipcjanin z wysiłkiem.

— Miłość? — powtórzył Rakoczy. — Czy sądzisz, dobry przyjacielu, że ujawniając moją prawdziwą naturę, mogę spotkać się z czymkolwiek innym prócz odrazy i odrzucenia? — W jego głosie było więcej cierpienia niż złości. Spojrzał na Kosrozda. — Ten pechowy młodzieniec chciał mi się oddać z ignorancji. Owszem, szczerze, w to nie wątpię, ale bez najmniejszego pojęcia, kim naprawdę jestem. Myślisz, że jego... miłość przetrwa próbę prawdy?

— Podczas zarazy w Luksorze zabrałeś mnie ze świątyni Tota i choroba mnie oszczędziła. Dlaczego teraz nie chcesz uratować Kosrozda? — Położył Rakoczemu dłoń na ramieniu. — Przez te wszystkie lata byłeś dla mnie bardzo dobrym panem. Traktowałeś mnie po... ludzku.

— Aumtehoutepie...

— Dlaczego utrzymujesz dystans? — spytał, starając się nie podnosić głosu, ale dość emocjonalnie, aby jego słowa zabrzmiały ze szczególną mocą.

— Ponieważ się boję — odparł Sanct' Germain, uważnie dobierając słowa. — Skłonni do zbytków Rzymianie godzą się z moimi cudzoziemskimi zwyczajami, ponieważ nie rozumieją tak naprawdę, jak bardzo jestem odmienny. Zresztą tak kochają rozlew krwi, że pewnie nie widzieliby w moich nawykach nic dziwnego.

— Jednak wiele razy wspominałeś, że pożywić się możesz tylko wtedy, gdy towarzyszą temu emocje. — Egipcjanin założył ręce na piersi, zdecydowany wydobyć z Rakoczego odpowiedź.

— Oczywiście, ale starczy jakakolwiek silna emocja. Przerazenie na przykład, chociaż nie jest tak trwałe jak miłość. Dobra jest też żądza, która zastępuje prawdziwą bliskość, a i łatwiej ją znaleźć. Tisztry służy mi dobrze w ten sposób i nie narzeka. — Pod lekkim szyderstwem z samego siebie znowu krył się ból, Rakoczy jednak nie zamierzał go uwalniać. — Jutro mam odwiedzić pewną szlachetnie urodzoną Rzymiankę. W jej przypadku chodzi zapewne o strach. Niczego innego wobec mnie nie okazała.

Aumtehoutep, słuchając go, czuł, jak narasta w nim bolesne wręcz współczucie dla Rakoczego.

— I to wszystko?

Saint Germain zamknął oczy.

— Chyba oddałbym połowę swoich dni za kogoś, kto chciałby mnie poznać takim, jaki jestem — powiedział cicho. — Kogoś, kto zaakceptowałby mnie bez zastrzeżeń. Przez ponad dwa tysiące lat nie zdarzyło mi się poznać nikogo takiego. Od jakiegoś czasu już nawet nie szukam — dodał innym tonem i spojrzał Egipcjaninowi w oczy. — Czy mamy tu perską ziemię?

Aumtehoutep nie zwykł się uśmiechać, ale światło zabłysło na chwilę w jego oczach.

— Trochę, w laboratorium. Chciałeś uzyskać z niej pewne pierwiastki.

— Do tego mogę potem zamówić nową. — Skoro już się zdecydował, szybko wydał niezbędne instrukcje. — Weź tę ziemię, wypełnij nią moje łoże w bibliotece i przygotuj na nim posłanie dla Kosrozda. Gdy skończę, będę potrzebował dla niego środka nasennego, soli trzeźwiących, czystego płótna do przewiązania barku, pasty ziołowej do zasuszenia gnijących ran i wywaru z maków dla złagodzenia bólu podczas nastawiania kości. Wszystkie narzędzia muszą zostać wygotowane z dodatkiem liści jagód. Będę też potrzebował dwóch zmian odzieży, niech będą to moje szaty kapłańskie. Wolałbym nie budzić Kosrozda umazany cały jego krwią. — Podszedł szybko do drzwi. — Idę się umyć. Oczekuj mnie za godzinę. Najpierw przygotuj krótką szatę, bez rękawów, i dopilnuj, aby woda i mydło były pod ręką.

Aumtehoutep kiwał głową, słysząc znajome polecenia. Ulżyło mu, że jego pan zgodził się uratować młodego Persa. Szybko i z wprawą wziął się do przygotowań. Co jakiś czas podchodził do Kosrozda, aby dotknąć jego czoła i posłuchać oddechu.

Nim Saint Germain wrócił, wszystko już na niego czekało. Obok łóżka rannego pojawiło się przenośne palenisko, na którym stał garnek z wrzącą wodą. Narzędzia leżały na małym stoliku wraz z długimi pasami czystego płótna.

— Moje szaty? — spytał Saint Germain, spojrzawszy z aprobatą na wynik przygotowań.

— W sąsiednim pokoju. Krótka jest biała, ta druga czarna. Lepiej to przyjmie, jeśli ujrzy cię w czerni. — Egipcjanin pochylił się, aby umyć ręce w przyniesionym właśnie cebrzyku.

— Oczywiście — powiedział Rakoczy i poszedł do niewielkiego, przyległego pomieszczenia. Zrzucił perską tunikę i włożył przez głowę białą szatę egipskiego kapłana. Zapiął jeszcze przynależny do niej pas i wrócił do chorego.

— Mam go unieruchomić? — spytał Aumtehoutep.

— To pewnie dobry pomysł. Jest bardzo silny, nawet teraz. Nie chcę z nim walczyć. — Egipcjanin zaczął przywiązywać Kosrozda rzemiennymi pasami do łóżka, Rakoczy zaś po raz ostatni sprawdził narzędzia. — Gdzie jest żegadło?

— Myślałem, że raczej zabandażujesz mu ranę.

Saint Germain spojrział na sługę spod zmarszczonych brwi.

— Owszem, ale przy dużym krwawieniu będę musiał ją przypalić. I tak stracił już zbyt wiele krwi.

Egipcjanin podszedł do skrzyni i wyciągnął trzy cienkie i podłużne żelazne przedmioty.

— Wsunę je do ognia. Tyle starczy?

— Jeśli nie, to nawet ja nie zdołam go uratować. — Rakoczy okrążył łożo, przyglądając się rannemu. — Potrzebuję więcej światła. Przynies jeszcze kilka lamp. Cztery albo pięć. Daweś mu jakieś zioła na sen?

— Mieszankę, która jest w dzbanie na najniższej półce. Podobnie jak inne potrzebne ci składniki, panie — powiedział Aumtehoutep i wyszedł, żeby poszukać lamp.

Gdy wszystko było już gotowe, Saint Germain dał sobie jeszcze chwilę na koncentrację. Przez wieki przeprowadził setki podobnych operacji, nie stały się jednak one dla niego rutyną. Zawsze pamiętał, że okaleczone ciało należy do człowieka, że to kości i mięśnie istoty śmiertelnej, ale i jedynej w swym rodzaju. Wypuścił powoli powietrze.

— Dobrze. Jestem gotowy.

Minęła ponad godzina, zanim zaczął bandażować bark Kosrozda

pasami płótna, układając je ciasnymi, równymi pętłami. Dokładnie tak, jak nauczono go ponad tysiąc lat wcześniej. Gdy uznał, że wystarczy, odstąpił od łoża.

— Sądzę, że będzie dobrze. Jeśli tylko zaakceptuje... zmianę, ramię nie powinno sprawiać mu kłopotów.

Aumtehoutep pochylił się, żeby umyć ręce w cebrzyku. Woda była teraz czerwona od krwi i piana powstała od żrącego mydła przejęła kolor.

— Ile ma odpoczywać?

— Najlepiej byłoby dać mu kilka godzin, ale nie mamy tyle czasu. Za trzy godziny świt. Musi przedtem przyjąć moją krew, w przeciwnym razie przyjdzie nam czekać do następnej nocy — dodał, rozwiązując sznur przy szacie. — Muszę się umyć, nim się przebiorę. Zostaw go na godzinę, potem obudź. Upewnij się, że nie odczuwa zbyt silnego bólu. W razie czego nie dawaj mu makowin, zbyt mocno oszłamiają. Użyj silnego wyciągu z kory wierzby i fiołków. Daj mu go już teraz, aby działał w pełni, gdy ranny się obudzi.

— Będzie, jak mówisz, mój panie. — Aumtehoutep zebrał zakrwawione narzędzia i umieścił je w cebrzyku. — Najpierw nastawię je, żeby wygotowały się z ziołami.

— Dobrze. — Rakoczy przystanął w drzwiach do sąsiedniego pomieszczenia. — To nie potrwa długo, ale gdyby działo się coś złego, wywołaj mnie z łaźni. Nadal istnieje ryzyko silnego krwawienia.

Egipcjanin pokiwał głową i wrócił do pracy. Precyzyjne ruchy wskazywały na dużą praktykę. Nie marnował czasu na nic zbędnego, ale równocześnie wszystko robił niespiesznie, systematycznie. Gdy zebrał wszystko, co powinien wynieść z pokoju, podszedł do półki i zdjął z niej butelkę z roztworem środka przeciwbólowego. Odkorkował ją i marszcząc nos, nalał do kubka trochę płynu. Nie więcej niż na kciuk. Potem wrócił do Kosrozda. Młodzieniec był

bardzo blady, oddychał nierówno. Aumtehoutep uniósł mu głowę i przytknął kubek do ust. Podanie środka nie było łatwe, ponieważ usta Persa nie reagowały zwykłymi odruchami. Ostatecznie jednak udało się wlać wszystko do gardła, przy czym Kosrozd nie zakrztusił się i nawet nie zakaszłał.

Przed wyjściem z pokoju Egipcjanin poluźnił rzemienie, którymi ranny został przywiązany do łoża.

Gdy jakiś czas później Kosrozd odzyskał przytomność, najpierw poczuł ostrą i niemiłą woń atakującą jego nozdrza. Chciał potrząsnąć głową, ale odkrył, że brak mu sił. Spróbował odsunąć flakon, który ktoś trzymał tuż przy jego twarzy, ręce okazały się jednak zbyt ciężkie i lekkie jednocześnie. Na tyle lekkie, że nie chciały go słuchać. Pamiętał, że miał wypadek, i na dodatek odczuwał ból, którego można było się spodziewać w takiej sytuacji, tyle że ból ów był dziwnie stłumiony. Całkiem jak krzyk kogoś, kto wtulił usta w poduszkę. Zamrugał powiekami, próbując odzyskać ostrość spojrzenia.

— Kosrozdzie... — rozległ się obok niego głos Saint Germaina, bardziej przejęty niż kiedykolwiek wcześniej.

Młodzieniec chciał odpowiedzieć, ale zamiast języka miał w ustach coś jakby sztywny kołek. Ledwie zdołał zdobyć się na szept.

— Wyścig?

— Tak. Zostałeś ranny. — Rakoczy zamknął niepotrzebną już buteleczkę z solami trzeźwiącymi.

— Jak? — Dla Kosroзда wszystko to było bardzo dziwne. Miał wrażenie, że jest kimś całkiem innym. Jakby nie przebywał w swoim ciele, a tylko z dala próbował je kontrolować. Prawe ramię miał olbrzymie niczym nadmuchany pęcherz. Spojrzał na swego pana i zdumiał się jeszcze bardziej. Saint Germain miał na sobie czarną szatę z prążkowanej tkaniny. Jedną rękę i ramię miał nagie, ale cała reszta

pozostawała okryta. Nosił też osobliwe, sztywne nakrycie głowy oraz szerokie bransolety nasunięte wysoko na nagą rękę.

— Koło odpadło od twojego rydwanu. Potem konie ciągnęły cię długo po arenie — powiedział spokojnie, rzeczowym tonem.

— Ciągnęły... — Kosrozd próbował coś sobie przypomnieć, ale nie potrafił przeniknąć mroków okrywających ostatnie chwile, które spędził na igrzyskach. — Zacząłem wyścig — powiedział niepewnie. — Podczas pierwszego okrążenia... zawodnik niebieskich... — Zaraz, co on takiego zrobił? Co tam się stało?

Saint Germain musiał wyczuć jego rozterkę.

— Nie myśl o tym teraz. To nie jest ważne. — Wiele razy widział już ludzi, których pamięć odmawiała odtwarzania najstraszniejszych chwil.

— Gdzie jestem? — Nie poznawał tego pokoju. No i Saint Germain wyglądał jakoś inaczej.

— W mojej willi. W jednym z pomieszczeń, wokół których snujecie swoje domysły. Jak sam widzisz, nie jest to izba tortur.

Brak tu pomordowanych dziewic, dziwnych ołtarzy i skrzyń z bronią. — Te przypuszczenia pojawiały się najczęściej. Kosrozd nie potrafił ukryć zdumienia, że jego pan wie, o czym mówią niewolnicy. — To mój gabinet, w którym prowadzę badania. I tutaj mieszkam. W sąsiednim pokoju znajduje się laboratorium, w którym wytwarzam lekarstwa i wiele innych rzeczy. Mam też sporą bibliotekę, godnych rozmiarów łaźnię. No i jest jeszcze sypialnia oraz pokoje, w których trzymam różne wartościowe dla mnie przedmioty. — Nie dodał, że dla innych te przedmioty także byłyby cenne. Zwłaszcza cała kolekcja wielkich klejnotów, dzieł sztuki oraz stopów metali, z którymi eksperymentował.

Kosrozd kiwnął głową. Zastanawiał się, dlaczego Saint Germain mówi mu aż tyle.

— Chcę, abyś zrozumiał coś, zanim... — Przerwał i zaczął raz jeszcze, ostrzejszym tonem. — Przez głupotę twego ojca jesteś niewolnikiem, nie księciem. Tkwisz w Rzymie, zamiast władać Persją. Zostałeś woźnicą rydwanu, nie dowódcą armii. Masz świetne powody, żeby podejrzewać wszystkich wkoło, mnie nie wyłączając, o nieżyczliwość i złą wolę. Niemniej posłuchaj uważnie i zastanów się nad tym, co ci powiem.

Kosrozd bardzo chciał cokolwiek zrozumieć, na razie jednak był przede wszystkim skrajnie zdumiony.

— Mój panie...

— Gdy konie ciągnęły cię po arenie, doznałeś bardzo poważnych obrażeń. Trzykrotne złamanie kości barku, dwie głębokie rany lewego uda, silne otarcia skóry od piasku, ogólne posiniaczenie. Zrobiłem, co tylko w mojej mocy, aby cię uratować, oprócz jednego. Ty sam musisz zdecydować, czy tego chcesz...

—Jeśli-się nie zgodzę, umrę? — Śmierć nie przerażała go. Sam pomyślał, iż może nazbyt głęboko zwykł ukrywać wszystkie lęki, od obawy przed bólem począwszy.

— To możliwe. — Odpowiedź na to pytanie nigdy nie była dla Rakoczego łatwa, jednak musiał je zadać.

— Co to jest? — Młodzieniec spróbował się poruszyć, jednak ciało nadal go nie słuchało, a na dodatek próba zmuszenia go do posłuszeństwa okazała się bardzo wyczerpująca.

— W sumie niewiele — odparł Sanct' Germain, przesuwając palcem po jednej ze swoich bransolet. — Rzecz w tym, że nie jestem kimś, za kogo mnie masz.

—Jesteś moim panem — powiedział Kosrozd i oczy lekko mu zwilgotniały.

Rakoczy uniósł dłoń, jakby chciał odsunąć ten temat.

— Powiedziałem ci kiedyś, że we wszystkim, co czynię, kryje się

śmierć. Czasem jednak pojawia się także pierwiastek życia.

— Czy to coś, przez co byś cierpiał, panie? — spytał szybko Kosrozd.

— Nie. Mi nic się nie stanie. — Uśmiechnął się smutno i wyciągnął niewielki nóż tkwiący za jedną z bransolet. — Moja krew oraz krew takich jak ja ma pewne właściwości. Ci, którzy ją wypiją, też je uzyskują. Śmierć nie będzie miała do ciebie przystępu. Prawie nic, poza bardzo gwałtownymi zdarzeniami, nie będzie mogło cię zabić. Praktycznie przestaniesz się starzeć. Zyskasz na sile i wytrzymałości. Ale też zostaniesz potępiony, jeśli ludzie się o tym dowiedzą. Zaczнешz unikać palących promieni słońca. Będziesz musiał sypiać na pościeli z twojej ojczystej ziemi, chociaż samego snu będziesz potrzebował bardzo niewiele. Przyjdzie ci też unikać wody, chyba że zniesiesz jej działanie za pomocą ojczystej ziemi. Nie będziesz już żył, jak żyją inni. Żywić się będziesz jedynie krwią. Zwierzęcą albo ludzką, ale darowaną... dobrowolnie. Będziesz potrzebował ludzi, stracisz jednak zdolność do męskich czynności, chyba że opijesz się krwią. I będziesz bardzo, bardzo samotny — dodał, wciąż trzymając nóż w dłoni. — Jaka jest twoja decyzja?

— Czy żałujesz, że jesteś tym, kim jesteś? — spytał Kosrozd. Chociaż bliski śmierci, nadal patrzył na swego pana z uwielbieniem.

— Czasem wszyscy tego żałujemy — odparł Saint Germain, odpychając gęstwę nieprzyjemnych wspomnień.

— Ofiarowujesz mi to, ponieważ jedynym wyborem jest śmierć? — Rakoczy przytaknął. — Nawet gdyby wyborem było życie i wolność, też przyjąłbym ten dar, skoro jest darem od ciebie.

Sanct' Germain odwrócił spojrzenie. Kosrozd był rozbijająco niemądry. Potem jednak Rakoczy uniósł ostrze i wykonał małe, płytkie nacięcie na swoim przedramieniu. Gdy krew wezbrała na skórze, pochylił się nad młodym Persem i uniósł lekko jego głowę.

List od Ofoniusza Tygellina do cesarza Nerona:

Niech będzie pozdrowiony dostojny cesarz Neron.

Zgodnie z upoważnieniem, którym byłeś łaskaw mnie obdarzyć, podjąłem uzgodnione śledztwo w sprawie osób podejrzanych o zdradę cesarstwa i narażenie na szwank dobrego imienia cesarza.

Słyszałem, że zdaniem widu ludzi moja czujność przemieniła Rzym w miasto pełne oczu i uszu. Jeśli miałyby to oznaczać, że niegodziwcy stracili szansę ukrywania się w jego murach, byłbym tylko rad podobnemu stwierdzeniu i miał je za wyraz daremny złości tych, których dwulicowość obnażyłem.

Jesteś mężem nazbyt pobłażliwym, wielki Neronie, nazbyt skłonny do wybaczenia. Odmawiasz przyjęcia do wiadomości, jak zepsuci mogą być ludzie z Twego najbliższego otoczenia. Wiele razy wspominałem, że pobłażanie i miłosierdzie, które leżą w Twojej naturze, sprzyjają niestety niegodnym naruszeniom lojalności i oddania wobec Ciebie. W tym przypadku może być jeszcze trudniej, człowiek, co do którego moje podejrzenia potwierdziły się, cieszy się bowiem Twoimi względami w stopniu nie mniejszym, niż w moich oczach zasłużył na potępienie. Oczywiście jest, że nadał będziesz wolał myśleć o nim dobrze, wiadomo też powszechnie, że w kręgach towarzyskich jest on moim rywalem i osobiście mogę zyskać, jeśli straci Twe łaski. Tak to jednak bywa, że w przypadku spisków zawsze trudno jest o jednoznaczne dowody, zwłaszcza gdy chodzi o osoby otoczone chroniącymi przed oskarżeniami względami cesarza.

Przykro mi sprawiać Ci ból, ale taka już rola posłańca przynoszącego złe wieści. Nie mam jednak wyboru, jeśli chcę ochronić Cię przed większym niebezpieczeństwem. Nie zniósłbym myśli, że za moją przyczyną przeoczyłbyś zdradę lęgnącą się w Twoim najbliższym otoczeniu.

Przez wiele lat okazywałeś swoje względy Tytusowi Petroniuszowi

Nigrowi, pozwalając mu korzystać w pełni z Twojego patronatu. Często cieszyłeś się jego towarzystwem i wyróżniałeś go, czyniąc Petroniusza arbitrem w sprawie tego, co godzi się czynić i lubić. Jego serce winno być przepelnione wdzięcznością wobec Ciebie, sprzymierzył się jednak z tymi, którzy występują przeciwko osobie cesarza. Najpierw odniósł się z sympatią do knoń Gajusza Kalpumiusza Piźma, obecnie zaś, nieusatysfakcjonowany tamtą zdradą, rozgląda się za nowymi spiskowcami, aby przywieść Cię do zguby.

Nie kieruję się osobistym pragnieniem zemsty, ale zamiarem ochrony cesarskiej purpury. Stąd proszę Cię, abys wydał rozkaz aresztowania i ukarania tego człowieka. Ile jeszcze złego musi uczynić, zanim zdasz sobie sprawę ze skali jego niegodziwości? Jego uśmiech, godna postawa i umiłowanie przyjemności to maska skrywająca zło, którego w swej szlachetności nie dostrzegasz.

Wiedząc, jak bardzo nie lubisz działać pochopnie, będę czekał na Twą odpowiedź tak długo, jak długo okaże się to konieczne. Być może zechcesz spytać jeszcze innych o zdanie o tym człowieku, być może znajdziesz inne rozwiązanie problemu. Mocno sugerowałbym, aby nie było to jego wygnanie, bo kto wie, jakie działania może rozpocząć, znajdując się daleko od baczного oka Rzymu? Na prowincji jest wielu nierozważnych ludzi, którzy gotowi będą wesprzeć go, także finansowo, przy planowaniu podobnego spisku jak ten zamyślony przez Piźma.

Gdy rozważysz już wszystko, przekaż mi swą decyzję, abym mógł przeprowadzić to, co uznasz za najwłaściwsze. Być może dobrze by było nie roztrząsać sprawy w senacie, gdzie człowiek ów ma wielu przyjaciół gotowych ostrzec go przed tym, co go czeka, by umożliwić mu ucieczkę dla odbudowania swojej pozycji gdzie indziej.

Zapewniam Cię, o cesarzu, że zawsze i wszędzie kieruje mną myśl o tym, co dla Ciebie jest najlepsze, i nic nie powstrzyma mnie od

nieustannego chronienia Twojej osoby przed zdradą.

Służba Tobie zawsze i niezmiennie jest i będzie dla mnie zaszczytem.

Z wyrazami szacunku, G. Ofoniusz Tygellin, wraz z Nimjidiuszem Sabinusem prefekt pretorianów, dziesiątego dnia listopada 817 roku od założenia Miasta

. 8 .

Saint Germain niechętnie kierował się do domu Justusa Syliusza. W pełnej złości, gniewnej wręcz notce sprzed dwóch tygodni, w której Oliwia zbeształa go za niedotrzymanie umówionego terminu spotkania, ten właśnie wieczór wyznaczyła mu na wizytę. Niewiele brakło, a ponownie wysłałby jedynie list z przeprosinami, coś jednak poruszyło go w pisaniu Oliwii. Ostatecznie włożył bogaty perski strój, zaprzągnął dwa konie do swego najlepszego rydwanu i pojechał przez miasto w stronę imponującego domu na Awentynie.

Tak jak obiecano, brama do ogrodu była lekko uchylona i czekał przy niej niewolnik w średnim wieku, chudeusz o dziwnie szczurzej twarzy. Skłonił się uniżenie.

— Pani oczekuje pana. Jeden ze stajennych zajmie się pańskim zaprzęgiem. Proszę zachować ciszę i podążać za mną.

Saint Germain nie miał wcale ochoty, aby jakiś obcy stajenny, zwłaszcza z gospodarstwa Justusa Syliusza, podchodził do jego koni, ale ruszył za sługą. Wiedział, że gdyby teraz wywołał scenę, zemściłoby się to na nim później na gruncie towarzyskim.

— Dobrze. Zachowam milczenie.

Sługa ponownie się skłonił i uniósł lampę, aby oświetlić drogę przez mroczny korytarz.

Pokój Oliwii znajdował się w północno-zachodniej części domu, która musiała zostać niedawno dobudowana. Drzwi zrobiono z rzeźbionego, malowanego drewna gruszy, podłogi wyłożono zielonym marmurem. Sługa zapukał raz i wpuścił gościa do środka.

Oliwia wstała z zarzuconego poduszkami łoża. Jedną rękę przyłożyła do piersi i spojrzała ku wejściu. Saint Germain odnotował z

zaskoczeniem, że jej oczy były pełne łez.

— Przybył pan jednak.

— Nie wydaje mi się, aby zostawiła mi pani wielki wybór — zauważył chłodnym tonem.

Uciekła przed jego przenikliwym spojrzeniem, udając, że musi poprawić zasłony przy łożu i przywiązać je do rzeźbionych w kształty satyrów podpór baldachimu.

— W rzeczy samej, nie zostawiłam — powiedziała cicho.

Rakoczy rozejrzał się szybko po pokoju. Ściany ozdabiały starannie wykonane freski o jednoznacznej tematyce. Na jednym Mars łączył się z Wenus tuż obok zrzuconej pospiesznie zbroi, na innym Parys unosił ku Troi uwodzicielską Helenę, a na przeciwległej ścianie przedstawiony w pełnej chwale Jowisz oddawał cześć Semele.

— Skoro nie przyszedł pan wcześniej, musiałam być natarczywa. Nie miałam wyjścia — powiedziała Oliwia. — To było naprawdę konieczne — dodała i spróbowała nieco zmniejszyć dystans między nimi. — Ostatecznie atrakcyjni mężczyźni nie są częstym zjawiskiem. — To, co miało zapoczątkować flirt, zabrzmiało jak krzyk o pomoc.

— Jeśli lubisz rozkazywać, masz niewolników, którzy muszą cię słuchać — stwierdził cicho, ale zdecydowanie Sanct' Germain. — Nie lubię, gdy ktoś mi grozi.

Podniosła jedną z poduszek, aby opanować drżenie rąk. Jej gość był bardziej przerażający, niż się spodziewała. W pewien sposób przerastał nawet gospodarza tego domu. Ubrany na czarno cudzoziemiec samą swoją obecnością pozbawił ją odwagi.

— Podejdz do mnie — powiedziała nieśmiało.

— Tego właśnie chcesz? — Wyczuwał jej lęk i niepokoila go ta determinacja, aby zaciągnąć go do łóżka.

— Chyba nie odmówisz mi ponownie? — spytała z lekką melancholią.

O co chodzi tej kobiecie? — zastanowił się Saint Germain, stojąc z założonymi na piersi rękami. Ona tymczasem ułożyła się na poduszkach i skinęła na niego. Wyczuwał w niej napięcie, na dodatek odwracała wciąż od niego twarz. Poznał w Rzymie wiele pięknych i uwodzicielskich kobiet, żadna jednak nie była podobna w swym zachowaniu do zagubionej Oliwii.

— Czego dokładnie ode mnie chcesz?

— Czy to nie oczywiste? — odpowiedziała pytaniem. Musiała jakoś skłonić go do działania. Justus zapowiedział jej, że jeśli nie uda się z tym cudzoziemcem, sprowadzi nie tylko niewolnika ze stajni, ale i wielkiego beockiego stróża, którego aktualnie zatrudniał, i każe im wziąć ją równocześnie. Nie udało się jej opanować drżenia rąk, gdy uniosła szatę, aby pokazać mu swoje ciało.

— Gladiatorzy i cudzoziemcy — rzucił pogardliwie. — Czy jesteśmy bezpieczniejszym towarzystwem, bo nie zagrozimy nigdy twojemu mężowi? — Jego płaszcz zaszeleścił, scytyjskie buty zastukały na marmurowej posadzce, gdy podchodził bliżej. — Dlaczego mnie chcesz? — spytał wprost. — Dlaczego? Czy gladiatorzy ci nie wystarczają?

Jej twarz drgnęła na to pytanie.

— Oni... już mnie nie interesują. — Nadal nie potrafiła spojrzeć w te czarne, nieprzeniknione oczy. Najchętniej by go odprawiła. Dłonie miała lodowate, serce tłukło się jej w piersi, głowa zaczęła pulsować bólem. Przygryzła dolną wargę, przeklinając siebie za brak odwagi, aby wyprosić Sanct' Germaina i stawić godnie czoło losowi, który szykował dla niej Justus.

— Nie lubię być wykorzystywany — powiedział gość głosem cichym, ale przeszywającym niczym nóż. Wiedział już, że ta kobieta naprawdę się go boi, i uznał, że jeśli wystarczająco ją wystraszy, więcej nie będzie go nagabywała. Nie będzie miała mu za złe, że jej

nie chciał.

— Wykorzystywany? — Zaśmiała się gorzko. — Ty?

W końcu podszedł do łoża. Szybko, w kilku krokach, i zaraz nakrył sobą jej ciało. Przypadł ustami do jej ust, a natrafiwszy na zaciśnięte wargi, chwycił ją za włosy i odciągnął głowę, aby ponownie złożyć pocałunek. Drugą rękę wsunął między ich ciała, by pociągnąć szatę okrywającą nagość Oliwii, która leżała pod nim całkiem obojętna. Nie napotkał żadnego śladu oczekiwanego zapachu, chęci do zaznania rozkoszy czy bólu. Zdumiony wsparł się na łokciu i spojrzał z bliska na dziewczynę. Czyżby czekała, aż ją zgwałci? Aby zamaskować zmieszanie, zaczął gasić otaczające łoża lampy.

— Nie — powiedziała nagle, wstrzymując jego rękę.

— Nie masz wyboru. — Zdusił palcami jeden knot, potem następny.

Nigdy nie czuła się równie bezradna. Żaden inny mężczyzna nie upierał się przy ciemności. Jeśli obcy wygasi wszystkie lampy, Justus będzie wściekły...

— Mój mąż... — szepnęła tak cicho, że sama prawie nie dosłyszała swojego głosu.

— Przyjdzie? — spytał Sanct' Germain, również szeptem. Justus znany był ze swojego okrucieństwa i spotkanie z nim nie byłoby przyjemne. Nie mówiąc o tym, że wściekły gospodarz chętnie utrudniłby cudzoziemcowi życie w Rzymie.

Oliwia potrząsnęła głową i oblała się rumieńcem.

Dłoń Rakoczego zamarła przy następnej lampie.

— Co zatem? — Nagle zrozumiał i wszystko stało się dlań oczywiste. — Patrzy?

Zakryła mu dłonią usta, jakby chciała cofnąć to słowo, chociaż sama ledwo je słyszała. Pokiwała gwałtownie głową i odwróciła spojrzenie, marząc tylko o tym, aby noc ogarnęła ją niczym fale morza. To było jeszcze gorsze niż wcześniejsze zakłopotanie.

Spróbowała zapanować nad sobą, jak robiła to już wiele razy, ale jakkolwiek się starała, nie zdołała powstrzymać łez.

— Oliwio? — Drobną dłonią dotknął jej policzka. Przerazało go to, co musiała przejść. Znał gladiatorów, którzy prywatnie byli równie brutalni jak na arenie. Uczynienie z niej ofiary ludzi, którzy na co dzień zabijali się nawzajem dla uciechy Rzymian, było obsceniczne. Jak zdołała przetrwać tak długo? — Oliwio.

W końcu spojrzała na niego i dostrzegła w jego oczach czułość, której tak długo daremnie szukała. Przerazenie i całe poniżenie, które gromadziły się w niej od dawna, stały się nagle zbyt wielkim ciężarem. Wtuliwszy twarz w przykrywającą ją postać zaniósł się zdławionym łkaniem. Wcześniejszy strach przed jego obcością oraz wyczuwalną w nim zdolnością do przemocy zniknął prawie wobec okazanego zrozumienia. Jeszcze chwilę wcześniej potrafiłaby znieść wykorzystywanie i bicie, jak to już było w przeszłości, raz jednak doświadczywszy współczucia, zrozumiała, że nie zdoła więcej do tego wrócić.

Przytulił ją, kiedy pojęła, że nie ma powodu się wyrywać. Potem przysunął usta do jej ucha.

— Niech patrzy — szepnął. Pocałował ją, tym razem spokojnie i czule.

— Nie, nie mogę — zaprotestowała. — Nie.

— Tak. — Pocałował jej wilgotne powieki, brwi, ucho. Trzymał ją zamkniętą w ramionach, nieruchomą, ale otoczoną jakby tarczą. Przesunął palcami po linii jej kręgosłupa. Skórę miała gładką i delikatną. Wyczuwał w niej znużenie, pod którym kryły się z dawna tłamszone tęsknoty. — Odpoczywaj, Oliwio.

Ostatecznie spróbowała mu się wyrwać, ale bez przekonania. Westchnęła więc i tylko leżała dalej bez ruchu. Nie chciała stawiać mu oporu. Najchętniej zostałaby w jego ramionach na zawsze.

Musiła nabrać sił do tego, czego jeszcze zażąda od niej mąż, musiała wykorzystać po temu każdą lepszą chwilę. Dotyk jedwabnej szaty Sanct' Germaina był miły, jeszcze miłsze były jego dłonie. Zanim zrozumiała, co czyni, objęła go i zwróciła ku niemu usta.

Nagle poczuli, że są sobie bardzo bliscy. Żadne z nich nie oczekiwało czegoś podobnego i oboje nie od razu w to uwierzyli, wstrząśnięci siłą doznania. Sanct' Germain od wieków nie doświadczył równie gwałtownego zniesienia dystansu. Nie chodziło przy tym o to, co robili, ale o samą Oliwię. To go zaniepokoiło, czyniło go bowiem szczególnie podatnym na ewentualne ciosy. Przestał gładzić jej biodro i spojrzał na tę młodą kobietę.

Tym razem nie uciekła przed jego spojrzeniem.

— Co? — spytała, dotykając jego ust palcem. Doszła do wniosku, że podoba jej się ta twarz. Zaczynała lubić jego duże, przenikliwe oczy, szerokie czoło i wysokie, mocno naznaczone kości policzkowe, klasyczny nos, który nie był jednak całkiem prosty, naznaczone lekko ironią usta i wyraźnie zarysowane szczęki. To dobra twarz, pomyślała, twarz przyjaciela.

Saint Germain czekał cierpliwie, aż Oliwia się napatrzy. Czuł, że jego rezerwa wobec dziewczyny szybko maleje. Coraz bardziej pragnął powiedzieć jej wprost wszystko o sobie, nie wiedział jednak, jak może zareagować. Nie było mu już wszystko jedno, za nic nie chciałby jej zrazić do siebie, milczał zatem.

— Pozwól się kochać — tylko tyle rzekł cicho.

Oliwia nie zdołała mu odpowiedzieć. Poprowadziła jego dłonie, nagle omdlała prawie od pożądania. Poczuvszy jego dotyk, oddała mu się cała i bez reszty.

Sanct' Germain z radością odebrał przebudzenie się jej namiętności. Oliwia zaczęła oddychać głębiej, sprawiając mu niemal tyle samo satysfakcji, ile sama odczuła. Położyła się potem zarumieniona, z

rozchylonymi ustami, całym ciałem wyrażając spełnienie, gotowa odwzajemnić się tym samym. Musiała przy tym wyczuć, co działo się z Rakoczym.

— A ty... Ty nie...

— Nie. Jestem trochę inny. — Pogłaskał ją po udzie, wyczuwając lekkie drzenie. — Ale nie chcę, byś cierpiała.

Spojrzała na niego spokojnie.

— Nie możesz zrobić nic gorszego niż to, czego już zaznałam. — Zastanowiła się, co pomyśli o tym jej mąż. Zaskoczyło ją, jak łatwo o nim zapomniała.

Saint Germain odebrał boleśnie jej słowa.

— Nie zamierzam być nikim takim — powiedział, chociaż nie miał jeszcze pojęcia, czy cieszyć się z tego nowego uczucia.

Oliwia zamrugała, zdumiona własną reakcją.

— Nie to chciałam powiedzieć...

Atmosfera straciła trochę ze swojej pogody, zmacona brzmieniem jego głosu. Rakoczy spróbował ją uratować.

— Wiem, Oliwio. Posłuchaj mnie przez moment. Nie chcę cię zranić, ale to, co mogę zrobić, zapewne cię zaniepokoi. Wstrzymam się, gdyby okazało się, że budzi to twoją odrazę. — Wiedział, że wróciwszy do domu, może zawsze wezwać Tisztry, ale w tej chwili nie był skłonny nawet o tym myśleć.

Wyraz twarzy Oliwii złagodniał, wyciągnęła do niego rękę.

— Cokolwiek zamierzasz, jestem gotowa.

Tym razem rozpałił ją szybciej i w szczycie jej spełnienia przysunął twarz do jej szyi.

Wyszedł nieco ponad godzinę później. Odprowadziła go do drzwi. Mocno trzymała go przy tym za rękę.

— Nie zapomnę o tobie — szepnęła.

— Nie dam ci szansy, byś o mnie zapomniała — powiedział z

uśmiechem.

Nagle pokręciła z rozpaczą głową.

— Mój mąż na to nie pozwoli. — Już teraz oczekiwała jego złości i zemsty. Na samą myśl o stajennym robiło się jej niedobrze.

— O co chodzi, Oliwio? — spytał Sanct' Germain, dostrzegając jej strach. Zaczynał naprawdę się o nią obawiać.

— Nic. Mój mąż... — Co miała powiedzieć temu cudzoziemcowi? Ułożyła głowę na jego piersi.

— Twój mąż nie ma prawa traktować cię tak, jak to robi — stwierdził całkiem niepotrzebnie. Zaczynał nienawidzić Justusa Syliusza.

Oliwia pokiwała głową.

— On nie gustuje w zwykłych przyjemnościach. Nie pobudzają go — dodała, powstrzymując łzy. Była zbyt dumna, żeby teraz zapłakać. — Zrobi, co w jego mocy, aby utrzymać cię z dala od tego domu.

— Nie uda mu się. Obiecuję ci to, Oliwio. — Raz jeszcze ją pocałował i przytulił.

Gdy wyszedł, Oliwia przeszła powoli przez pokój. Jej nagie ciało lśniło w blasku lamp. Była gotowa stawić czoło mężowi.

Chwilę później drzwi otworzyły się gwałtownie i Justus wpadł do jej sypialni z poważnym wyrazem twarzy i zaczerwienionymi policzkami.

— Co to było, na Priapa? — warknął, wymierzając żonie siarczysty policzek.

Zachwiała się pod jego uderzeniem, ale tym razem nie skapitulowała.

— To była moja satysfakcja, Justusie.

— Dlaczego na to pozwoliłaś? — Złapał ją za ramiona, chcąc zaciągnąć do łóżka.

— Nie! — krzyknęła. Przejdzie z objęć Sanct' Germaina w łapy tego

brutala — tego było już za wiele.

— Nie możesz mi odmówić! — ryknął Justus. — Jeszcze jeden taki wieczór, a twój ojciec i bracia poczują moją zemstę! — Był niemal gotów odpłacić żonie od razu, wzywając swojego ochroniarza.

— Nie wiedziałam, że on będzie taki — zaprotestowała, gdy rzucił ją na posłanie.

Spojrzał na nią i nagle się uśmiechnął. Na poduszkach widać było ślady krwi. Może więc jednak cudzoziemiec nie okazał się tak całkiem łagodny.

Oliwia też dojrzała krew.

— Skaleczyłam się broszą. — Było to przekonujące kłamstwo.

— Tylko tyle? Dlaczego go nie prowokowałaś? — Stał nad nią, wielkie dłonie zaciskając w pięści.

— Jak? — Wiedziała, że jej mąż nie będzie umiał odpowiedzieć na to pytanie. — Nie wiedziałam, że jest taki. Co mogłam zrobić? — Oddychając gwałtownie, otuliła się prześcieradłem.

Justus odciągnął materię.

— Powinnaś go więc odprawić.

— Czyli wezwać niewolników, aby go wyrzucili? Czy może powiedzieć, że spodziewam się twojego powrotu? Nie wiedziałam, że jest taki, Justusie. Nie wiedziałam! — W jej słowach było sporo prawdy. — To ty kazałeś go zaprosić.

— Kłamiesz! — krzyknął, policzkując ją raz za razem.

— Ty kazałeś! — krzyknęła, unosząc ręce, żeby się osłonić. — Tego wieczoru w domu Petroniusza, gdy tancerze wrócili po występie. Petroniusz powiedział, że to Saint Germain sprowadził zespół, a ty kazałeś mi nawiązać z nim znajomość. Kazałeś! — Wiedziała, że niewolnicy usłyszą jej krzyki, ale przestała już się tym przejmować.

Oczywiście pamiętał. Pamiętał, jak w chwili, gdy Neron objął mniejszą tancerkę w talii, dojrzał w oczach swojej żony przerażenie.

Oliwia współczuła tamtej kobiecie i nie chciała przyjąć do wiadomości, że podobny gest był oznaką względów cesarza.

— To było miesiąc temu.

— Za pierwszym razem nie przyszedł. Byłeś wtedy zły. Nie, nie bij mnie więcej — dodała, wyciągając ku niemu rękę. — Ostrzegłeś, co będzie, jeśli nie poczujesz się zadowolony, ale skąd miałam wiedzieć? No skąd?

— Różne wieści o nim krążą — powiedział Justus i opierając jedno kolano na łóżku, zaczął metodycznie okładać żonę. Najpierw po twarzy i ramionach, potem po brzuchu i piersiach. — Kładź się — rzucił, rozchylając swoją szatę.

Oliwia odruchowo się cofnęła i uniosła rękę, jakby chciała go odepchnąć. To wszystko dzieje się za szybko, pomyślała z rozpaczą. Nie miała czasu, aby ochłonąć po tych wspaniałych chwilach. Nadal nimi żyła i myśl o dotyku Justusa była bardzo trudna do zniesienia.

— Twoi bracia, Oliwio — przypomniał jej z uśmiechem mąż i wciągnął ją pod swoje masywne ciało. Może jednak cudzoziemcowi udało się coś zdziałać, pomyślał. Na pewno ożywił Oliwię. Justus zachichotał. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz stawiała mu opór. Zawsze to coś nowego, z czego można się cieszyć.

Oliwia starała się leżeć nieruchomo i w milczeniu znosić ruchy męża. Obawiała się, że jeśli jeszcze raz otworzy usta, by zaprotestować, najzwyczajniej w świecie zwymiotuje. Niecałą godzinę wcześniej przeżywała tu coś całkiem odmiennego, a teraz to. Była cała spocona, ręce miała jak z ołowiu. Matko Izydo, pomyślała, niech on skończy jak najszybciej.

List od Rakoczego Saint Germaina Franciskusa, napisany w jego rodzimym języku, do niewolnika Aumtehoutepa:

Aumtehoutepie, stary przyjacielu,

Wybieram się jednak do Kurne. Petroniusz bardzo się niepokoi i ponowił zaproszenie. Nie chciałem teraz Cię zostawiać, gdy tyle dzieje się wkoło, ale trudno.

Twój pomysł budowy małych domów dla niewolników bardzo mi się podoba. Sam powinienem był na to wpaść. Dopilnuj wzniesienia dwuizbowych domów dla wszystkich treserów i osobnych dla własnego użytku Tisztry i Kosrozda. Jeśli przyznasz podobne wygody jeszcze kilku innym, nie powinno wzbudzić to niczyich podejrzeń. Pierwsze powinny powstać przed upływem miesiąca, ja zaś wrócę do tego czasu.

Większe klatki dla tygrysów są już gotowe i powinny nadeść w ciągu kilku najbliższych dni. Zadbaj o to, aby nie postawili ich zbyt blisko stajni. Konie niechybnie wpadłyby w panikę. Obiecałem Tisztry, że będzie mogła wybrać sobie tygrysiątko. Musi trafić do niej najpóźniej pół dnia po przyjsciu na świat, w przeciwnym razie nigdy się do niej naprawdę nie przywiąże.

W drodze do Kurne zatrzymam się w Ostii i zajmę naborem nowych marynarzy od Sennistisa. Potem przyślę ich do ciebie. Wzory mozaikowe do ułożenia w przejściach znajdują się w mojej bibliotece. Gdy tylko kamienie będą na miejscu, niech Protuos weźmie się ze swoimi ludźmi do pracy.

Dołączam do listu notkę, która ma zostać dostarczona Oliwii, żonie Syliusza. Musisz zachować ostrożność, ponieważ mąż zabronił jej kontaktować się ze mną, grożąc biciem i gorszymi jeszcze konsekwencjami. Nie ufaj jej niewolnikom. Sprawdź raczej, czy nie da się zaaranżować spotkania podczas igrzysk. Może wówczas, gdy Justus wyśle ją pod trybuny, aby poszukała nowych gladiatorów.

Oczekuj mnie z powrotem za trzy tygodnie. Wątpię, aby udało mi się bardziej skrócić tę wizytę. Wszędzie słyhać plotki, że Neron zamierza wygnać Petroniusza, który szykuje się już do wyjazdu na wskazane przez

cesarza pustkowie. Niewiele mogę zrobić, prócz godnego pożegnania przyjaciela, i to zrobić muszę.

Niezmiennie wdzięczny za Twoją lojalność i odwagę,

R. Saint Germain Franciskus

(jego pieczęć: zaćmienie)

. 9 .

Willa Petroniusza stała nad morzem, na wysokim brzegu niewielkiego półwyspu, z tyłu mając przygięte wiatrami do ziemi cyprysy, z przodu łatwe zejście na położną niżej plażę. Pięknego położenia dopełniał ogród okolony ocienionymi kolumnadą przejściami i łączący się z nietypowym atrium. Dom pomalowano na barwę koralu i w wieczornym świetle zdawał się jaśnieć złocistą czerwienią.

Petroniusz spoglądał ze swego gabinetu na morze, które przybrało już kolor indygo. Jego biurko stało pod wielkim i pozbawionym zasłony oknem. Siedział przy nim przez cały uwodzicielski zachód słońca, w jednej dłoni ściskając pióro, w drugiej zaś oficjalny dokument ze złamaną pieczęcią.

Drgnął, usłyszawszy pukanie do drzwi.

— Tak?

— Saint Germain. Twój niewolnik przekazał mi, że chcesz ze mną rozmawiać.

— Wejdz. — Petroniusz oderwał spojrzenie od okna i wstał, żeby powitać gościa. — Siadaj. Pewnie już słyszałeś?

Nie było sensu zaprzeczać.

— O żołnierzach? Tak. Widziałem ich. Trybun zostawił sześciu u stóp wzgórza i jednego na dole urwiska. — Rakoczy sam niedawno poszedł to sprawdzić.

Petroniusz westchnął.

— Mam już rozkaz cesarski. — Uniósł dokument. — Więzienie, potem śmierć. Dla całej mojej rodziny. Tygellin dopiął swego. — Gospodarz odłożył pióro i przetrął twarz dłonią. — A to są moje

dyspozycje. Przygotowałem kopię dla ciebie. Na wypadek, gdyby potem pojawiły się jakieś wątpliwości.

Sanct' Germain spojrział na równe linijki pisma.

— To nie jest konieczne, Petroniuszu.

— Ależ jest. Ktoś powinien to mieć. Najlepiej ktoś, kto sam nie będzie tym zainteresowany. W przeciwnym razie wykonanie mojej woli będzie w całości zależeć od chęci lub niechęci Nerona. On zaś ostatnio niezbyt mnie lubi.

Na to Sanct' Germain nie znał odpowiedzi. Wziął gęsto zapisane arkusze do ręki.

— Co mam z tym zrobić?

Petroniusz spojrział na niego, potem znów na morze. Słońce zsunęło się już za horyzont, zostawiając po sobie tylko srebrzystą smugę.

— Na razie po prostu przechowaj. Wszystkie dokumenty są datowane i noszą moją pieczęć. Trzy z nich to akty wyzwolenia dla kilku moich niewolników. Jeśli się zgodzisz, chciałbym, abyś dopilnował wykonania mojej decyzji. Nie raz zdarzało się, że Neron przejmował wszystkich domowników niebezpiecznych kryminalistów. Takich jak ja. — Znowu sięgnął po pióro. — Przygotowałem też kilka zdań adresowanych do cesarza. Wyślę je przez trybuna. Byłbym wdzięczny, gdybyś dopilnował, żeby Neron naprawdę dostał je do ręki.

— Twój hołd dla niego? — spytał Sanct' Germain, wiedząc o zwyczaju nakazującym, aby ktoś o pozycji Petroniusza pożegnał się z cesarzem pismem wychwalającym cnoty władcy i uwalniającym go od wszelkiej winy za swoje odejście.

— Tak, poniekąd hołd — odparł Petroniusz szyderczo. — Raz chcę zrobić coś uczciwego, Sanct' Germain. Obawiam się, że Neron znajdzie tu więcej pszczoł niż miodu, jednak na ile go poznałem... — Opadł ciężko na krzesło, jakby nagle ogarnęło go zmęczenie. Skinął na

gościa, pokazując mu miejsce na wyściełanej leżance pod ścianą. — Przykro mi, że właśnie ciebie muszę prosić o to wszystko, ale nie ma nikogo innego, kto byłby w tej sytuacji bezpieczny. Wszyscy pozostali są Rzymianami i jako tacy pozostają we władzy Nerona. Żaden nie jest w stanie naprawdę mi pomóc, dlatego zwróciłem się do ciebie. Nie mam nikogo innego.

— Rozumiem — odparł cicho Rakoczy. — Dobrze. Jeśli jest coś jeszcze, przekaz mi to przed porankiem. Chcę wyjechać przed powrotem żołnierzy. Mogliby zażądać ode mnie wszystkiego, co mi przekazałeś, i musiałbym posłuchać. — Zwinął dokumenty razem i obwiązał je podaną przez Petroniusza wstążką. — Kiedy jedziesz?

— Nigdzie nie jadę — odparł gospodarz trochę nieobecny tonem, gdy dokumenty zostały należycie zabezpieczone. — Trzymaj to w ukryciu, żeby nie ściągnąć na siebie kłopotów.

— Nie jedziesz? — spytał Sanct' Germain, spoglądając na niego przez ciemniejący pokój.

— Cesarz chciałby ujrzeć mnie zachłostanego na śmierć za pomocą bicia śmierci. Rozczaruję go. — Wstał i skrzesał ogień, żeby zapalić najbliższą lampę. — Zawsze uwielbiałem samotność, ale nigdy nie miałem na nią dość czasu. Powtarzałem sobie, że kiedyś jeszcze go znajdę. Wtedy mógłbym napisać coś bardziej wartościowego. Na co dzień ważniejsza była walka o względy cesarza. — Zapalił drugą lampę. — Jak mogłem się tak oszukiwać!

— Co z twoimi gośćmi? — spytał cicho Sanct' Germain.

— Nadal są moimi gośćmi. Obiecałem im dzisiaj zabawę i zabawa będzie. Także dla mnie. Zagrają nam greccy muzykanci, no i jest ta wielka egipska harfa, którą przywiozłeś. Wynająłem tancerzy z Sycylii, a ten nowy poeta z Mons Weridium przeczyta nam swoje wiersze. To będzie naprawdę miły wieczór. — Sześć lamp jaśniało już pełnym blaskiem i Petroniusz zaczął zamykać okiennice. — Zagrasz

dla mnie, prawda?

Saint Germain siedział nieruchomo.

— Tak — odparł po chwili. — Zagram dla ciebie.

— Dziękuję. — Gospodarz otworzył skrzynkę stojącą na jego biurku. — Oto moja pieczęć. — Podał okrągły przedmiot Rakoczemu. — Chcę, abyś porównał ją z odciskami na dokumentach, które ci przekazałem. Jeśli uznasz, że są autentyczne, poproszę cię o jej zniszczenie.

— Zniszczenie? — Sanct' Germain widział już wcześniej tę pieczęć i jedno spojrzenie upewniło go, że to ona została użyta do zabezpieczenia dokumentów. Były luźno zwinięte, nie musiał więc ich nawet rozpakowywać. — Wszystko się zgadza. Dlaczego chcesz, żebym ją zniszczył?

Petroniusz spojrział na swoje dłonie.

— Chyba nie muszę tego tłumaczyć. Obawiam się cesarskiego podstępu. Jeśli pieczęć trafiłaby w ręce Nerona albo żołnierzy, mogliby łatwo wykorzystać ją do swoich machinacji, posyłając moich wyzwolonych niewolników na galery. Moi przyjaciele dowiedzieliby się nagle, że wysyłałem do nich listy świadczące o zdradzie. Moje ziemie okazałyby się mocno obciążone długami hazardowymi. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej, sam widziałem. — Chociaż mówił to spokojnie, twarz miał poważną. W jego granatowych oczach odbijała się głęboka troska. Byłem nazbyt pewien siebie, pomyślał. Troszczyłem się tylko o przyjemności cesarza, pewien, że jego sympatia jest szczerą. — Może kiedyś i tak było — stwierdził głośno.

— Co kiedyś było? — spytał Saint Germain, unosząc brwi.

— Nic — rzucił niecierpliwie Petroniusz. — Zniszcz ją. Zrobisz to?

Saint Germain przyjrzał się uważnie pieczęci. Była zrobiona z sardonyksu i przedstawiała Dianę z łukiem, jeleniem i wieżą. Rzemieślnik naprawdę się postarał. — Szkoda — powiedział Rakoczy,

rzucając kamienny krążek na podłogę i przydeptując go butem.

— Dobrze — stwierdził Petroniusz, usłyszawszy trzask pękającej pieczęci. Podniósł ją i obejrzał. Kamień przełamał się na pół, a metalowa obręcz mocno się wygięła. — Tak jest bezpiecznie. Niewiele więcej zostało do zrobienia.

— Pójdę więc już — powiedział Sanct' Germain, chcąc skierować się do drzwi.

— Nie. — Petroniusz złapał go za ramię. — Muszę mieć świadka. Zostań. Potrzebuję twojej pomocy. — Nie usłyszawszy odpowiedzi, podjął temat. — Nie jest to prośba, która przychodzi łatwo. Ufam, że uszanujesz dane słowo. To już naprawdę niewiele. Poczekaj. — Czuł uciekający czas i sporo z jego ogłady zniknęło. Nawet wyrażał się inaczej niż zwykle.

— Dobrze. — Saint Germain spojrzał na niego spokojnie, próbując sobie wyobrazić gospodarza w znacznie młodszym wieku. Gdyby koleje losu ułożyły się inaczej... Ale cóż. Odegnął te myśli. Były całkiem bezużyteczne. — Rób, co musisz.

Petroniusz wypuścił powoli powietrze.

— Jestem ci bardzo wdzięczny. — Podeszedł do drzwi i zaklaskał dwa razy. W milczeniu poczekał na sekretarza. — Powiedz mojej żonie, że mam teraz czas dla niej i dla dzieci.

Sekretarzem był niewolnik, jeden z tych, którzy mieli zyskać wolność. Skłonił się lekko, w jego oczach malował się smutek.

— Natychmiast, panie.

— Co teraz? — spytał Sanct' Germain, czując narastające zmęczenie.

Petroniusz podeszedł do pomalowanej na kolor czerwieni marsowej skrzyni i otworzył ją.

— Niezbędny środek ostrożności. Nie chcę zostawiać niczego przypadkowi. — Wyjął kubek z chalcedonu z wizerunkiem Atlasa

podtrzymującego świat. Dał sobie chwilę, aby nacieszyć się jego widokiem. — Pamiętasz, gdy mi go dałeś?

— Tak. — Było to wkrótce po przybyciu Rakoczego do Rzymu, gdy Petroniusz podarował mu egzemplarz księgi z niedawno napisanymi wierszami. Nie były takie, jak inne jego dzieła. Nie przypominały prostych i przesiąkniętych cynizmem rymowanek. Mocno osobiste w treści, kojarzyć się mogły z niektórymi wierszami Katullusa albo Safony. Sanct' Germain był poruszony, zarówno samą lekturą, jak i gestem zaufania. W jednym ze swoich prywatnych pokoi zrobił potem dla Petroniusza ten kubek. — ('zasem sięgam do twoich wierszy. Są naprawdę niezwykłe.

— Też to sobie powtarzam — rzucił sardonicznie gospodarz. Postawił kubek na biurku, w świetle lamp. — Jak wiesz, bardzo spodobał się Neronowi. Niemal nakazał mi, abym mu go dał.

Saint Germain przytaknął.

— Powiedziałaś mi, kto go zrobił?

— Nie. Wtedy nalegałby, abys zrobił ich więcej. Dla niego oczywiście. Ten jeden zaś przestałby być taki... bezcenny. Ufam, że mnie rozumiesz. — Spojrzał na naczynie. — Jest wyjątkowy.

I Unikatowy. Chciałem, aby taki pozostał.

— Odbieram to jako komplement — odparł szczerze Rakoczy i nie miał wątpliwości, że Petroniusz wie, o czym mowa.

— Ufam zatem, że wybaczysz mi to, jak zamierzam go wykorzystać. — Wyjął małą butelkę skrytą w skrzynce na biurku, i istroźnie wyjął z niej korek i nalał do kubka jakiegoś gęstego i ciemnego płynu. Potem dodał jeszcze wina ze starej greckiej amfory przechowywanej w lakierowanej skrzyni. Zamieszał miksturę. — Był czas, kiedy Neron nie wydałby podobnego rozkazu. Nie z miłości do mnie — dodał ze śmiechem. — Wzdragał się przed mordowaniem. To było całkiem niedawno.

— Oczekiwałeś więc raczej wygnania — powiedział Sanct' Germain, aby wypełnić ciszę.

— Wydawało mi się prawdopodobne. — Zadowolony z osiągniętego rezultatu odstawił kubek na biurko. — Stosował to już wiele razy, często nieodpowiedzialnie. Wygnanie to wygodna metoda. Zabijanie, oficjalne zabijanie wrogów, to coś nowego. — Przeczesał dłonią miękkie włosy. — Jego matka zabijała, oczywiście, ale to było coś innego. Nie znałeś Agrypiny. Sam chętnie bym ją udusił.

— Dlaczego nie skazał cię na wygnanie? — Sanct' Germain zastanawiał się nad tym od popołudnia, gdy dowiedział się o przybyciu żołnierzy. — Utrata łask to nie jest zbrodnia warta śmierci.

— Nie o to jestem oskarżony, o nie — powiedział z goryczą w głosie Petroniusz. — Tygellin nie jest lekkomyślny. Jego szpiedzy ustalili podobno, że miałem swój udział w spisku Pizona i szykowałem się już, aby zawiązać następny. Bez wątpienia jestem zbyt niebezpieczny, żeby zostawić mnie przy życiu. Domyślam się, że musieli zgromadzić dość wiarygodnych dowodów, które skazały mnie na potępienie. Dlatego między innymi poprosiłem cię o zniszczenie mojej pieczęci. Mogliby ją wykorzystać do sfabrykowania dowolnego dokumentu. Nie mogę na to pozwolić. Nikt nie powinien cierpieć z mojego powodu. Chociaż wielu i tak ucierpi.

Saint Germain nie odpowiedział. Rozejrzał się po gustownie urządzonej pokoju. Oprócz dobranych ze smakiem mebli dojrzał też stojącą na biurku metalową figurkę służącą jako przycisk do papierów. Przedstawiała groteskowego tancerza i musiała być bardzo stara.

— Ten posążek...

— Ten? — Petroniusz podniósł figurkę.

— Tak. To chyba dzieło Etrusków, prawda? — Spodobała mu się. Przysadzista postać trwała lekko przygięta, jakby obracała się wokół

własnej osi, na jej przesadnie uwidocznionych ustach błąkał się lekki uśmieszek.

— Tak sędzę. Gdy pierwszy legion stacjonował kilka lat temu przez miesiąc nad Padem, jeden z centurionów znalazł tę figurkę i sprzedał mi ją rok później. Prawdziwe dzieło sztuki, prawda?

— Bez wątpienia. — Saint Germain wziął figurkę i postawił ją sobie na dłoni. Na pewno była etruskiego pochodzenia, musiała powstać pięćset albo sześćset lat wcześniej, niedługo po tym, gdy Etruskowie osiedlili się na ziemiach późniejszej Italii.

— Weź ją sobie, jeśli ci się podoba — odezwał się Petroniusz, przerywając tok myśli Rakoczego. — Niewiele więcej mogę zrobić, aby wyrazić moją wdzięczność.

Tancerz zdawał się kręcić piruety na dłoni Sanct' Germaina.

— Kochasz sztukę, kolekcjonujesz ją. Zatrzymaj ten drobiazg na pamiątkę. — Ogarnął otoczenie ruchem ręki. — Neron chętnie przywłaszczycy sobie wszystko. To jego prawo. Czekał na to wiele lat, teraz może to zrobić legalnie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Obaj spojrzeli zaskoczeni w kierunku wejścia.

— To Myrtale i moje dzieci — powiedział Petroniusz, jakby sam siebie chciał uspokoić. — Wejść!

Myrtale była gustownie ubrana w stolę z jasnozielonej tkaniny z Hindustanu — strój odpowiedni do swej pozycji i urodzenia. Na stolę narzuciła pallę z bardzo cienkiego płótna z Kos spiętą misterną, złotą fibulą. Spojrzała spokojnie na męża.

Dzieci nie potrafiły pójść w jej ślady. Starsza córka, która miała koło dziewięciu lat, starała się upodobnić do matki, była jednak blada i rozglądała się nerwowo wkoło. Założyła, co miała najlepszego, a przez to wyglądała na jeszcze bardziej zagubioną. Gdy Petroniusz wyciągnął do niej rękę, wczepiła się w nią obiema dłońmi. Jej

młodszy brat stanął przy drzwiach, założywszy ze złością małe ręce na piersi. Tunika leżała na nim krzywo, z ledwo zawiązanym paskiem. W oczach miał łzy. Gdy ojciec skinął na niego, chłopiec odwrócił się i jawnie zapłakał.

Nie wypuszczając dłoni córki, Petroniusz przeszedł przez pokój.

— Marcelusie — powiedział, odwracając sześciolatka ku sobie. — To nie potrwa długo. Niebawem wszystko się skończy i już nie będzie się czego bać. Żołnierze nie zabiorą ciebie ani Fausty. Twojej matki i mnie także nie. Oszukamy ich. — Przerwał, aby odchrząknąć. Chwilę później mógł mówić dalej. — Dam ci coś do picia. Zrobisz się od tego senny, tak że pójdziesz do swojego pokoju i położysz się... na chwilę. — Poczul, że dłonie Fausty zacisnęły się mocniej, i przytulił córkę. — Sześć lat to jeszcze niewiele, Marcelusie, ale chciałbym, abyś postarał się zachować dorośle.

Chłopiec odpowiedział głośniejszym płaczem. Wtulił twarz w ojca. Fausta próbowała zachowywać się lepiej niż brat, ale broda jej drżała i łzy płynęły po twarzy.

Sanct' Germain pożałował z całego serca, że nie może wyjść.

To była zbyt prywatna sprawa, aby ktokolwiek obcy był jej świadkiem. Odwrócił się, gdy Petroniusz obejmował rodzinę, i wbił spojrzenie w etruską figurkę.

Pierwsza odsunęła się Myrtale, z twarzą nadal spokojną, ale oczami mokrymi od łez. Gdy się odezwała, słyhać było w jej głosie napięcie, ale nie strach.

— Gdzie jest napój, mój mężu? Nie ma co dłużej zwlekać.

Petroniuszowi serce się ścisnęło. Słabym gestem pokazał na biurko.

— Jest — stwierdził nieswoim głosem. — Po trochu dla wszystkich.

Myrtale wzięła kubek.

— Nieprzyjemny?

— Smak? — spytał Petroniusz, udając, że nie rozumie. — Podobno

trochę gorzki, ale do wypicia.

— Odpowiedz na moje pytanie, Petroniuszu.

Gospodarz zacisnął usta.

— Powiedziano mi, że nie wywołuje bóleści. Zaznaczyłem to, gdy go zamawiałem. Dość przeze mnie wycierpieliście...

Patrzył, jak Myrtale unosi kubek do ust i wypija kilka łyków. Tyle jeszcze chciał jej powiedzieć, ale nigdy już nie zdoła tego zrobić.

— Nie jesteśmy tacy sami, Myrtale. Nigdy nie byłaś tak energiczna jak ja. Zawsze cię jednak ceniłem i żałuję, że moja głupota przywiodła was do... tego. — Niedokładnie o to mu chodziło, ale chyba zrozumiała. Oddała mu kubek i przysunęła się, aby pocałować męża w policzek.

— To nieważne, mój mężu. Wcześniej czy później śmierć przychodzi, po każdego. Cieszę się, że nie zostawiłeś nas na pastwę cesarza.

— Sądzisz, że mógłbym to zrobić? — spytał poważnie Petroniusz, nie kryjąc rozczarowania.

— Nie, nie sądzę. — Spojrzała na dzieci. — Fausto, Marcellusie, chodźcie spróbować wina, które ojciec dla was przygotował.

Chłopiec wziął kubek i szybko wypił łyk.

— Kwaśne — powiedział, ocierając usta wierzchem dłoni.

— To nieistotne — powiedziała łagodnym tonem Myrtale. — Wino jest dobre. — Położyła dłoń na ramieniu syna. — Za chwilę zaprowadzę cię do twojego pokoju, gdzie porozmawiamy jeszcze krótko, aż zaśniesz.

Fausta zajrzała do kubka.

— Niewiele zostało, ojczy.

Petroniusz pogłaskał ją po jasnych włosach, które zaczęły już ciemnieć.

— Nie przejmuj się. Znajdę sobie potem coś innego do picia.

Dokończ, co tam jest. — Był już spokojny. Patrząc na swoich najbliższych, czuł, że oddalają się od niego i nigdy więcej nie zazna ich obecności. — Kochałem was — powiedział, muskając dłonią wszystkich po kolei i biorąc na końcu kubek od Fausty. Przyklęknął jeszcze i objął syna i córkę. Wiedział, że w chwili, gdy w jego tętnicach zabraknie krwi, oni będą już zimni. Sprawa została przesądzona. Chciałby kiedyś jeszcze móc przeprosić ich, poprosić o zrozumienie, ale kiedyś właśnie się skończyło. Wstał powoli i ucałował żonę. Bez namiętności. Teraz stali się już tylko przyjaciółmi i Petroniusz pojął nagle, że zawsze nimi byli.

— Zostawię cię teraz, mój mężu. Masz wiele do zrobienia i tylko byśmy przeszkadzali. — Uśmiechem dodała mu odwagi i wzięła dzieci za ręce. — Chodźcie. Przejdziemy się po ogrodzie i opowiem wam bajkę, zanim was położę. — Wyszła, nie oglądając się na męża.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Petroniusz zakrył oczy dłonią i z drzeniem wciągnął głęboko powietrze. Potem opanował się i wziął kubek.

— Wybacz mi, Sanct' Germain — powiedział i cisnął naczynie na podłogę, gdzie pękło na kawałki.

Rakoczy siedział bez ruchu, podczas gdy Petroniusz po raz ostatni sprawdzał zawartość czerwonej skrzyni. Sanct' Germain współczuł mu z całego serca, ale nic nie mówił. Arbiter pragnął tylko jego chłodnej obecności, nie uczucia, nie przyjaźni, i chociaż Rakoczy od stuleci zwykł utrzymywać dystans wobec innych ludzi, tym razem było to dla niego bardzo trudne.

— Moja żona i dzieci umrą wieczorem — powiedział Petroniusz tonem zwykłej konwersacji, podchodząc do drzwi. Stwierdził to tak, jakby chodziło o coś, co stało się dawno temu i komuś całkiem innemu. — To oszczędzi im wiele złego. — Klasnął w dłonie, przyzywając sługę. — Przyślij do mnie Ksenofona.

Saint Germain wstał z leżanki.

— Jestem jeszcze potrzebny? Jeśli mam śpiewać na przyjęciu, muszę nastroić harfę. — Nie skłamał, jednak samo nastrojenie instrumentu nie zabierało nigdy wiele czasu. Gdy dawno temu przeszedł przemianę, poza wszystkim innym stracił też zdolność do płaczu. Żal, cierpienie czy złość musiał przeżywać bez miłosiernie łagodzących łez.

— Jeszcze chwilę, Sanct' Germain. Jedna sprawa i będziesz wolny — powiedział Petroniusz z sardonicznym uśmiechem. — Wcale nie tak dawno senatorowie i wodzowie przychodzili prosić mnie o różne przysługi. Zastanawiam się, czy wszyscy oni już o tym zapomnieli, skoro żaden nie podjął się mediacji.

— Być może też stali się podejrzany — zasugerował Sanct' Germain bez przekonania.

— Nie jestem głupcem, Sanct' Germain. Ty też nie. Uchodzę za trędowatego, którego nikt nie śmie dotknąć z obawy przed zarażeniem. Nie postępuję właściwie, oczekując od ciebie aż tyle, ale trzeba to zrobić. — Opadł ciężko na krzesło. — Za miesiąc ogród będzie pełen kwiatów. Szkoda, że tego nie zobaczę.

— Tak. — Rakoczy podniósł ponownie figurkę tancerza. — Zatrzymam ją, Petroniuszu. Zajmie honorowe miejsce.

Gospodarz nie był już zainteresowany tą sprawą.

— Jak uważasz.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

— Przyszedł Ksenofon, panie — powiedział z greckim akcentem stary służący.

Petroniusz nie odwrócił się.

— Wejdz, Ksenofonie.

Wiekowy niewolnik przyniósł drewniane pudełko, miskę oraz długie pasy płótna. Podeszedł do swojego pana i stanął bez ruchu.

— Zrobię, czego chcesz, panie.

Petroniusz wahał się przez chwilę, potem wyciągnął przed siebie rękę.

— Czyń zatem i nie zwlekaj. Zaciśnij mocno pasy. Chcę mieć czas na zabawę.

Grecki lekarz ustawił skrzynkę i miskę na biurku, obok położył bandaż.

— To stara tradycja — powiedział Petroniusz, podczas gdy Ksenofon wyciągnął nóż o długim i cienkim ostrzu. — Kobiety robią to w łaźni, aby krew nie rzucała się tak w oczy. — Skrzywił się i zacisnął szczęki, gdy Grek przesunął żelazem po lewym nadgarstku. Trysnęła krew. Petroniusz poczekał obojętnie na opatrzenie rany. Ręka wydała mu się nagle dziwnie słaba, ból był jednak dokuczliwy. Może zdąży przywyknąć. — Słyszałem, że dwóch moich przodków też wybrało ten los. Z podobnych powodów. — Kolejny ruch noża otworzył tętnicę na prawym nadgarstku. Gorąca krew trysnęła aż na podłogę. Petroniusz zadrżał. — Jak sądzisz, ile to potrwa? — spytał, podczas gdy lekarz bandażował rękę.

—Jeśli nie zdejmie pan opatrunku, zapewne do późnego wieczora. Przy poluzowaniu węzłów szybciej. Gdyby zdjąć bandaż, bardzo szybko. — Grek panował nad swoimi emocjami, jednak jego oczy były pełne smutku. Odłożył nóż do miski. — Przyślę niewolnika, żeby wytarł podłogę.

— Nie trudź się — powiedział Petroniusz, wstając niepewnie. Teraz, gdy pierwszy ból minął, wróciła mu chęć do działania. Czuł dziwne uniesienie, umysł miał czysty. Oparł się jedną ręką o blat, drugą wyciągnął do Sanct' Germaina. — Nie zatrzymuję cię dłużej. Dziękuję, że wyświadczyłeś mi tę uprzejmość. Wiem, że nie będę miał innej sposobności, aby wyrazić moją wdzięczność. — Rakoczy uścisnął rękę gospodarza powyżej bandaża, Petroniusz zaś objął go

przelotnie. — Moja aprobata wobec ludzkich uczynków nie liczy się już, ale wiedz, że cenię to, co zrobiłeś.

Saint Germain nie od razu puścił jego rękę.

— I dla mnie wiele to znaczy. Nie będę szydził z twego daru. — Czuł, że Petroniusz zaczyna przechodzić na mroczną stronę, która do rana miała wchłonąć go bez reszty. Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Może poza frazesami, które jednak nie chciały mu przejść przez gardło.

Gospodarz odsunął się, uwalniając się z uścisku Rakoczego.

— Wiem, że nie będziesz. — Ukłonił się lekko Ksenofonowi, dając mu znak do odejścia. Gdy Grek zniknął, spojrział ponownie na Sanct' Germaina. — Bez sensu to wszystko.

Rakoczy drgnął, zrozumiał jednak po chwili sens komentarza i przyjął ton Petroniusza.

— W rzeczy samej. Mądrzy ludzie powtarzają to od wieków, chociaż nikt ich nie słucha.

W granatowych oczach gospodarza pojawił się błysk aprobaty.

— Kim ja jestem, aby się z nimi spierać? — powiedział tym samym tonem, jakim przez lata zwykł się odzywać. — Nie będę kłopotał cię pożegnaniem, bo zrobi się tak żałośnie, że aż przykro. Weź posążek, zajmij się moimi dokumentami i nie zapominaj o mnie zbyt szybko.

— A harfa? Nie chcesz jej posłuchać? — spytał Sanct' Germain. Mimo wysiłków nie zdołał powiedzieć tego całkiem lekko.

— To już tobie zostawiam. Do czasu twojego występu będę pewnie zbyt pijany. — Nagle nastrój mu się zmienił. — Niech Dis bierze twoją harfę. Weź, co ci dałem, i wyjeżdżaj. Dziś wieczorem. Od razu. Jeśli będę musiał patrzeć na ciebie podczas przyjęcia, od razu rozwiążę bandażę. Niech myślą o mnie to, co sobie wybrali. Niech wierzą, że jestem cynicznym sybajytą. Nie muszą znać prawdy. Idź więc. Idź. — Niemal wypchnął gościa z pokoju.

— Skoro tego chcesz — powiedział Sanct' Germain od drzwi.

— Tak. Twoje rzeczy zostaną przysłane później. Idź. W imię nieznanym mi bogów, którzy cię chronią, idź już — powiedział chrapliwie. Twarz miał bladą.

Rakoczy skinął głową.

— Wyruszę przed upływem godziny. Niech będzie tak, jak tego chcesz. — Odwrócił się i odszedł krótkim korytarzem wiodącym do pokoi dla gości w południowym skrzydle domu.

— Zegnaj, prawdziwy przyjacielu — powiedział Petroniusz, gdy ucichł już odgłos kroków Rakoczego. Potem poszedł w swoją stronę, by powitać uczestników przyjęcia.

List od trybuna Donatusa Egnatusza Balbona do przyjaciela, dowódcy Lucyniusza Ursusa Statilona stacjonującego w Ariminum:

Ursusie, ty stary niedźwiedziu!

Krążą pogłoski, że najbardziej zaufany legion cesarza ma zostać na jesieni skierowany do Grecji. Nasz wódz słyszał, jak mówili o tym w pałacu, i jest przekonany, że Neron zamierza wziąć udział w igrzyskach olimpijskich. Cesarz z dawna powtarzał, że chciałby je zobaczyć, ale nic nie sugerowało, iżby myślał o uczestnictwie. Najwyraźniej musiało się to zmienić.

Słyszałeś już zapewne, że w zeszłym miesiącu Petroniusz popełnił samobójstwo. Powiadają, że wydał przy tym najlepsze ze wszystkich swoich przyjęć. Jeden z moich kuzynków też tam był i pod koniec otrzymał od Petroniusza srebrny puchar. Petroniusz rozdawał wszystkim podarunki i żartował z gośćmi aż do chwili śmierci. Wiem, że był podejrzany o udział w spisku na życie Nerona. Tygellin potępia go przy każdej okazji, jednak Tygellin nigdy nie cierpiał Petroniusza, przez co nie

ufałbym obecnie jego ocenie sytuacji.

Korbulon nie został jeszcze uznany za całkiem pewnego, ostatnio wszakże mniej mu się przyglądają. Dlatego przypuszcza, że może zostaniemy wyprawieni wraz z cesarzem. Patronat zawsze lepiej służy legionowi niż wojna czy inna zaraza, a mniej się przy tym trzeba napocić. Czekam niecierpliwie na te igrzyska. Być może cesarz postanowi wreszcie uznać zasługi Korbulona. Grecja byłaby do tego świetnym miejscem. Wódz nie jest takim optymistą, ale i trudno mu się dziwić. Po tym szaleństwie, na które porwał się jego zięć, i wszystkich późniejszych kłopotach wódz stara się zachować ostrożność. Całkowicie go rozumiem.

Inne plotki, na które często ostatnio się trafia, dotyczą Statilii Messaliny, byłej żony Westynusa. Po śmierci Westynusa, związanej z niemądrym sprzymierzeniem się z Seneką i Pizonem, Statilia może znowu wyjść za mąż. Nie pomnę już, czwarty czy piąty raz. Niezbyt jednak rozumiem, dlaczego właśnie za cesarza. Przecież i tak sypiają ze sobą od miesięcy. Chyba że chodzi jej o władzę, wówczas byłby to najlepszy sposób, aby ją osiągnąć, chociaż przy Neronie trudno być czegokolwiek do końca pewnym.

Zadukkur, należący do Arwala kapadocki gladiator, wykupił się i został partnerem w Wielkiej Szkołę. Na pewno go pamiętasz. To on zabił w zeszłym roku dziewięćdziesięciu siedmiu ludzi w jedną godzinę. To prawdziwa strata dla igrzysk, chociaż zapewne mądrz# zrobił. Nie jest już tak młody, ma prawie dwadzieścia pięć lat, i oczekiwano, że niebawem wycofa się z walk. Po jego wyzwoleniu westalki dały mu w prezencie wieniec z liści dębowych. Neron był wściekły, czemu trudno się dziwić.

Trwają prace nad Złotym Domem i naprawdę niezwykły to widok. Główny budynek jest po prostu gigantyczny, a ogrody z roku na rok rosną coraz bardziej fantastyczne. Są tam lasy i pola, całkiem jak na wsi, chociaż to przecież środek Rzymu. Największe z jezior w pobliżu via Sacra przecięło kilka ulic i trzeba było wytyczać nowe. Pod nowe skrzydło

pałacu wyburzono aż trzy kwartały domów czynszowych. Byłbyś zdumiony, widząc wszystko, co zgromadzono w środku domu, chociaż nie jest jeszcze gotowy. Budowę murów i dachów cesarz zlecił Fabullusowi. Podziwiam jego dzieło, ale zachowanie tego człowieka mnie oburza. Nie chce pracować więcej niż dwie godziny dziennie i żąda za te dwie godziny pełnej stawki dziennej. I zawsze nosi w pracy togę. Taki jest pretensjonalny!

Oczekuj mnie pod koniec maja. Obiecałem ojcu, że przed powrotem do służby odwiedzę go w majątku pod Mutiną, ale nie zabawię u niego długo. Chętnie cię znowu zobaczę. Brakuje mi twoich barwnych przechwałek, ile to kobiet zdobyłeś.

Do maja zatem i niech ci szczęście sprzyja.

Donatus Egnatiusz Balbo trybun XIV legionu dziewiętnastego dnia kwietnia 818 roku od założenia Miasta

. 10 .

Para unosząca się z basenu w termach Klaudiusza spowijała woalem całe skąpo oświetlone pomieszczenie. Wokół największych zbiorników, w których nie brakło męskich amatorów kąpeli, unosił się cichy szmer rozmów.

Z boku znajdował się jeszcze jeden, mniejszy basen, w którym siedział Gajusz Ofoniusz Tygellin. Nad nim stało dwóch pretorianów z jego osobistej ochrony. Odziani w metal i skórę nie narzekali, chociaż po wyrazie ich poczerwieniałych twarzy można było poznać, że nie czują się tu dobrze.

W gorącej wodzie zaś, niedaleko Tygellina, siedział jeszcze Justus Syliusz. Ścierając pot z twarzy, słuchał pilnie prefekta pretorianów.

— Źle się stało, że Petroniusz uniknął sprawiedliwości, ale nic już nie da się zrobić. Inne problemy wymagają naszej uwagi i zgodzisz się chyba, że trafiła się doskonała chwila, aby o nich porozmawiać.

Prawdę mówiąc, dla Justusa nie było nic ważniejszego niż bezczelne samobójstwo Arbitra, wolał się jednak nie sprzeciwiać.

— Z pewnością mamy tu trochę prywatności.

— Wszyscy Rzymianie chadzają do term i nie ma w tym nic niezwykłego. Poza tym mój medyk kazał mi się kąpać dwa razy dziennie w gorącej wodzie i czuję, że powinienem go posłuchać. — Tygellin westchnął i poruszył się lekko. Od gorąca skórę wciąż miał wyraźnie różową.

— I to przynosi ulgę? — spytał Justus, udając troskliwe zainteresowanie.

— Czasami. Niekiedy jednak nic nie pomaga. Cóż, i tak wszystko w rękach Apolla i Jowisza i nie ma co się zamartwiać na darmo — dodał

Tygellin zdecydowanym tonem. — Wspomniałeś, że chcesz się czymś ze mną podzielić. O co chodzi?

Justus spojrział niepewnie na pretorianów i lekko ściszył głos.

— Mam pewne powody do niepokoju.

— Jak my wszyscy — westchnął Tygellin.

— To co innego, Ofoniuszu. — Pochylił się w stronę rozmówcy, wywołując lekką falę. W tych okolicznościach nie mógł należycie przedstawić swoich podejrzeń, musiał jednak spróbować. Mimo gorąca, pary i odbierającej dostojeństwo nagości. — Dobięły mnie słuchy, które trudno zlekceważyć. Jak wiesz, wyższe warstwy obywateli nie są zadowolone z cesarza i należy oczekiwać, że prędzej czy później zawiążą kolejny spisek. To nieuniknione. Gdy już do tego dojdzie, skutki będą groźniejsze niż dotychczas.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odparł znudzonym głosem Tygellin.

— Dwa razy zdarzyło się ostatnio, że próbowali nawiązać ze mną kontakt pewni senatorowie szukający właściwego przywódcy dla wzniecenia otwartego buntu.

— Mów dalej. — To było już bardziej interesujące.

— Na razie nie wiem nic pewnego, ale zanim zacznę się dowiadywać, chciałbym uzyskać pewność, że kontakt z tymi ludźmi nie ściągnie na mnie oficjalnych oskarżeń. Gotów jestem zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby ochronić cesarza, sam też jednak potrzebuję ochrony. Gdyby ci ludzie zostali zdemaskowani już teraz i podali moje nazwisko jako ich współnika, znalazłbym się w niebezpieczeństwie. Jeśli jednak uzgodnimy teraz, że uczynię to za twoją wiedzą i zgodą, na pewno będę mógł bardzo ci pomóc. Raz już to uczyniłem.

— Wiem. — Tygellin dysponował największą siatką szpiegów, jaką kiedykolwiek stworzono w Rzymie. Prawie nic nie mogło mu umknąć. Niemniej ktoś o pozycji Justusa Syliusza był zdobyczą nie do

pogardzenia. Prefekt westchnął i ponownie poruszył się w wodzie, która nie przynosiła mu tego dnia większej ulgi. — Zastanowię się nad twoją propozycją. Niezależnie od tego, co zdecyduję, nie wątpię w twoją lojalność. Niemniej jeśli zyskasz możliwość wejścia między zdrajców, bez wahania upoważnię cię do działania bez ryzyka późniejszej kary.

— Dziękuję — odparł entuzjastycznie Justus. — Bardzo mi pomagasz. Udzielenie wsparcia cesarzowi, nawet takiego drobnego, to największy zaszczyt dla każdego Rzymianina.

Tygellin skrzywił się w myślach. Im dłużej miał do czynienia z Justusem Syliuszem, tym mniej go lubił i mniej mu ufał, nie mógł jednak sobie pozwolić na utratę kogoś równie użytecznego, zachowywał więc podobne przemyślenia dla siebie.

— Nigdy dość ludzi prawych — powiedział z powagą.

Justus nie dał się zwieść i aż się w środku zagotował. Już wcześniej czuł się upokorzony koniecznością prawienia miłych słówek temu Sycylijczykowi, który w Grecji trudnił się rybołówstwem, w Italii zaś uprawą roli i doszedł do władzy i poważania tylko dzięki szczęściu w hodowli koni wyścigowych.

— Jeśli dowiem się czegoś, wszystko ci przekażę. Ale może się zdarzyć, że otrzymasz więcej, niżbyś pragnął — dodał, nie mogąc się powstrzymać od drobnej złośliwości. — Rzymska arystokracja lubuje się w intrygach od czasów wzniesienia pierwszych gmachów na Palatynie.

— Jeśli nawet, nie upoważnia ich to do spiskowania przeciwko legalnej władzy. — Tygellin dość miał już Justusa i najchętniej kazałby mu odejść. Istniała jednak szansa, że nawet ktoś taki będzie wiedział coś istotnego. Na wszelki wypadek postanowił zadać mu jeszcze kilka pytań. — Twoja żona jest z Klemensów, prawda?

— Tak, nazywa się Acja Oliwia. Smutny to widok, gdy równie

znakomity ród popada w kłopoty. Maksymus Tarkwiniusz Klemens, mój szacowny teść, przyzwolił mi na pewną... pomoc dla jego rodziny. — Justus nie potrafił mówić o tym inaczej, jak tylko tonem przechwałki.

Tygellin przytaknął. Zatem pogłoski o przyczynach małżeństwa Justusa nie były przesadzone. Sprzedali mu dziewczynę w zamian za ocalenie majątku rodziny. Patrząc poprzez parę na Justusa, pomyślał, że nigdy nie chciałby mieć wobec niego żadnych zobowiązań. Mało kto tak go odrzucał, jak Syliusz.

— Na pewno są ci wdzięczni — powiedział, nie wątpiąc, że jego rozmówca gotów jest wykorzystać bezlitośnie każdy skrawek władzy, jaki tylko wpadnie mu w ręce.

Justusowi zostało już tylko jedno kukułcze jajo do podrzucenia i nie miał zamiaru z tym zwlekać. Marzył o chwili, gdy zdoła wyrwać się wreszcie z tego gorąca i zażyć chłodniejszej kąpieli. Poza tym w sąsiednich pomieszczeniach spotkać można było młode kobiety gotowe spędzić z klientami kilka godzin sam na sam.

— Jest jeszcze coś, co mnie niepokoi — powiedział z namysłem.

— Co? — rzucił ostrym tonem Tygellin.

— Ten cudzoziemiec, który przywiózł do Rzymu testament Petroniusza. Obawiam się, że może być bardziej niebezpieczny, niż się sądzi. — Starał się mówić spokojnie, chociaż w duchu przepełniała go radość, że może zemścić się tymi słowami na Oliwii. — Jest bardzo bogaty i trzyma się z dala od dobrego, rzymskiego towarzystwa.

— Nie całkiem z dala. Petroniusz go lubił i sam cesarz okazał mu swoje względy. — Tygellin nie miał zamiaru dać się wplątywać w prywatne kombinacje Justusa. — Nie posiada gladiatorów, ma tylko treserów i rydwanników, co dowodzi raczej braku ambicji politycznych. W stajniach trzyma tylko koło czterystu koni. To żadna inwestycja, prędzej już zabawa. Petroniusz napisał w swoim

testamencie, że Sanct' Germain zamieszkał w Rzymie, aby się zabawić. Ze polubił naszą społeczność za jej beztroskę i przekupność, a jego zamiłowanie do muzyki czyni z niego ciekawę towarzystwo. Tyle tylko i nic więcej. — Może takie słowa wystarczą, pomyślał Tygellin, zastanawiając się jednocześnie, czym cudzoziemiec mógł się tak narazić Justusowi.

— Zgrabne kłamstwo — rzucił Syliusz, rozdrażniony obojętnością rozmówcy. — Petroniusz też się tak przedstawiał i wiemy, że to była tylko maska. — Zbyt późno przypomniał sobie, że to właśnie Tygellin sfabrykował dowody przeciwko Tytusowi Petroniuszowi.

— Tak — odparł znudzonym tonem prefekt pretorianów. — Wiem świetnie, co się za nią kryło.

Justus nie dawał za wygraną.

— Może i było tam coś więcej, ale powiadam ci, że Franciskus nie jest lepszy. Wszędzie go pełno, ma dostęp do najważniejszych ludzi w cesarstwie i niemal wszyscy go przyjmują. — Przed oczami stanął mu obraz Oliwii w objęciach Sanct' Germaina. — Jest nieznośnie arogancki! Kpi sobie z nas! Gdy dojrzysz w końcu, jak bardzo jest niebezpieczny, może być za późno. Ostrzegam cię przed nim.

— Nie zaszkodzi trochę mu się przyjrzeć — powiedział z namysłem Tygellin. — Jeśli dobrze pamiętam, jego willa znajduje się za koszarami pretorianów. To żaden problem wystawić warty przy bramach Wiminalskiej i Kollińskiej, aby odnotowywały jego przejścia.

— Dlaczego tylko tam? A Kapeńska, a Porta Salutaris? — Odruchowo uderzył zaciśniętą dłońią w powierzchnię wody. Paradoksalnie, głośny plus złagodził stanowczość jego żądania.

— W murach jest siedemnaście różnych bram, senatorze. No i są jeszcze mosty. Straż naprawdę ma co robić i trudno oczekiwać, że miast strzec Rzymu, będzie pilnować jednego cudzoziemca. Zresztą wszyscy pełniący służbę przy bramach, których zapewne zwykł

używać, rozpoznają go tak czy tak. — Zanurzył się głębiej w wodzie, zostawiając nad powierzchnią tylko głowę. — Chyba przesadzasz, senatorze. Gdybyśmy nie mieli tu wielu cudzoziemców albo gdyby ten Franciskus zdradzał nieczne intencje wobec mieszkańców albo cesarstwa, to co innego. Jednak Rzym to miasto, w którym roi się obecnie od obcych. Nauczyliśmy się ich tolerować. To prawda, że ten jeden znał akurat wiadomego pechowca, ale kto z nas go nie znał?

Justus zazgrzytał zębami.

— Chciałem uprzedzić cię o zagrożeniu, ale widzę, że mogłem się nie trudzić. — Wstał, ociekając wodą. Wreszcie mógł stąd wyjść i uwolnić się od towarzystwa tego pretorianina, który w gruncie rzeczy nadal nie różnił się wiele od wieśniaka. Wspiął się na brzeg basenu i zerknął pogardliwie na obu zbrojnych. Sądząc po tym, jak bardzo przykładali się do roboty, ktoś mógłby pomyśleć, iż to właśnie Justus był tu głównym podejrzanym. Zdusił jednak złość w sobie. — Życzę poprawy stanu zdrowia, Ofoniuszu — powiedział, kierując się do frigidarium.

Gdy już sobie poszedł, Tygellin skinął na swoich strażników.

— Co wiesz o tym człowieku, Antoninusi?

— Ma opinię zmyślnego — odparł mężczyzna po krótkim namyśle.
— Nigdy nie był o nic oskarżany, nie brał udziału w żadnym spisku. Jego kuzyn był kochankiem...

— Tak — westchnął niecierpliwie Tygellin. — Był kochankiem Walerii Messaliny, żony Klaudiusza. To stare dzieje. Coś nowszego?

Antoninus zacisnął na chwilę usta.

— Mówią, że jego żona sypia z gladiatorami. Syliuszowi zdaje się to nie przeszkadzać. Klaudiusz bardzo go nie lubił i skazał nieoficjalnie na tymczasowe wygnanie. Być może z powodu kuzyna.

— Albo i bez powodu — westchnął Tygellin. Już dawno nauczył się dowierzać swojej intuicji. Teraz podpowiadała mu, że z Syliuszem jest

coś mocno nie tak, brakło jednak konkretnego punktu zaczepienia. — Ci, którzy raz wypadli z łask, rzadko o tym zapominają. To może tłumaczyć jego obecną służalczość.

Strażnik nie odpowiedział.

— A ten drugi, cudzoziemiec. Co o nim powiesz? — Tygellin odwrócił się powoli w płytkim basenie, szukając wygodniejszej pozycji.

— Hoduje konie i muły. Konie głównie na arenę, chociaż ma też zwierzęta do walki i długich przemarszów. Większość mułów kupuje od niego armia i nigdy nie było żadnych skarg. Ma willę dziwnego projektu, z dwoma atriami zamiast jednego. Większe jest raczej w greckim stylu, z długim kolumnowym portykiem, z ogrodem i wychodzącą na ogród jadalnią. Do drugiego, znacznie mniejszego, wstęp ma tylko sam gospodarz oraz jego osobisty niewolnik, który jest Egipcjaninem. Moglibyśmy przekupić któregoś z niewolników — dodał po chwili wahania. — Powiadają, że Sanct' Germain sypia z jednym ze swoich treserów.

— Z mężczyzną? — Tygellin nie słyszał, aby obcokrajowiec miał takie skłonności. Nie wspominali o tym nawet szpiedzy bywający w domu Petroniusza, którzy zwracali szczególną uwagę na podobne sprawy.

— To pewna Ormianka opiekująca się specjalnie szkolonym zaprzęgiem. Widziałeś ją, panie. — Antoninus uśmiechnął się przelotnie i zaraz znowu spowaźniał. — To trwa, od kiedy ją kupił. Sensowna suma na wykupienie będzie dla niej chyba atrakcyjniejsza niż przyrodzenie jej pana.

Tygellin pokiwał z namysłem głową.

— Można, byle ostrożnie. Nie chcę, aby się zaniepokoił. Moglibyśmy mieć kłopoty. Wybierz szpiega, który w żaden sposób nie jest związany z gwardią, najlepiej też Ormianina. Zapłać jej w dwóch

ratach, bo inaczej możemy niczego się nie dowiedzieć. — Wprawdzie noszący się na czarno cudzoziemiec nie wydawał się Tygellinowi groźny, ostrożności jednak nigdy za wiele.

— Czy ,to pilne? — spytał Antoninus. Odpowiadał za należyte wykonywanie rozkazów przełożonego, w tym i za kolejność zleconych działań. W tym wypadku wysoki priorytet sporo by skomplikował.

— Nie sądzę. Powiedzmy, że to tylko rutynowa kontrola. Niech strażę odnotowują jego wejścia i wyjścia z miasta i nazwiska wszystkich, z którymi będzie widziany. Rzuca się w oczy, więc nie powinno być z tym kłopotu. Ubiera się z cudzoziemska, ma osobliwe manieri i jest dość wysoki. Trudno zgubić go w tłumie. Gdy trafi się sposobność, zajmijcie się kobietą. — Przypomniał sobie o dokumentach, które Antoninus rano zostawił mu na biurku. One były naprawdę pilne, a nie chciał nimi kłopotać Nimfidiusza Sabinusa, należało więc wyleźć z basenu. Wstał, uzmysławiając sobie, że pobyt w caldarium stał się ostatnio jedyną jego przyjemnością. Rozejrzał się po zaparowanym pomieszczeniu i zastanowił, czy ktokolwiek z obecnych może podchodzić do tego podobnie. Otulając się ręcznikiem, przypomniał sobie o jeszcze jednej przyjemności: sondowaniu granic własnej władzy. Wyprostował się i spojrzał na Antoninusa. — Sprowadź mój rydwan. Niebawem będę gotowy do wyjścia.

Pretorianin skłonił się i wyszedł.

Tygellin zwrócił teraz uwagę na drugiego ze zbrojnych.

— Antoninus ma być śledzony. Znajdź kogoś, kto podaruje mu niewolnika, i dopilnuj, aby miał on bliski dostęp do swego pana.

— Ależ Antoninus... — zaprotestował pretorianin, nie próbując nawet ukryć zdumienia.

— Antoninus przesyła od jakiegoś czasu wiadomości Gajuszowi Juliuszowi Windeksowi, namiestnikowi Gallii Lugdunensis. Jedna

została przechwycona kilka dni temu. Gdybym ujawnił jej treść przed cesarzem albo senatem, Antoninus odebrałby śmiertelny pocałunek *piumbatae*. Bawi się w bardzo niebezpieczną grę. — Był już prawie suchy i sięgnął po rdzawą tunikę pretorianina, którą wolał nosić zamiast togi.

— To jakaś pomyłka — wyjąkał mężczyzna.

— Lucjusz Antoninus Sulper dopuścił się zdrady, Fulwiuszu, i będzie musiał za to zapłacić. Ceną za głupotę jest śmierć. Dotknie jego i jego towarzyszy. — Tygellin przyłożył zaciśniętą dłoń do swojego pozłacanego napierśnika. — Chcę ująć ich wszystkich i wykorzeńić cały ten spisek, aby nie mógł zakiełkować na nowo. — Poczekał, aż Fulwiusz pomoże mu dopiąć rzemienie pancerza. — Karakalla — powiedział, wyciągając rękę po czerwone, żołnierskie nakrycie głowy. Potem usiadł na ławie pod ścianą, aby włożyć ciężkie sandały, tak zwane *caligulae*. Pochwę z mieczem przypiął do pasa już w marszu. Nawet pretorianie nie mieli prawa nosić w murach miasta nic więcej poza krótkim ostrzem. Tygellin wiedział, że to mądra decyzja, brakowało mu jednak długiego miecza z damasceńskiej stali, który wisiał w jego koszarowej kwaterze.

W tepidarium ujrzał sześciu młodych ludzi szkolonych przez zapaśnika, wyzwolenca o wyraźnie mieszanym pochodzeniu. W innej chwili Tygellin przystanąłby, żeby popatrzeć, teraz jednak nie miał na to czasu. Wszedł na ulicę. Zanim jeszcze wsiadł do rydwana, zaliczył rozmowę z Justusem do mało istotnych i zaczął się zastanawiać, co zrobić z pretorianinem, który trzymał lejce.

List od Maksymusa Tarkwiniusza Klemensa do jego najstarszego syna, Poncjusza Wirginiusza Klemensa, zaginiony wraz ze statkiem, który wioząc pocztę do Narbo, zatonął w szkwale u wybrzeży Sardynii:

Do mojego ukochanego syna i nadziei rodziny, Poncjusza Wirginiusza, z pozdrowieniami.

Z bolącym sercem siadam do pisania, nie mam bowiem dla Ciebie dobrych wieści. Pamiętam jednak o swoich zobowiązaniach wobec Ciebie i naszej rodziny i mam nadzieję, że Lares nie będzie musiał cierpieć dalszej niełaski za moją przyczyną.

Słyszałem z różnych rodzinnych źródeł, że działasz aktywnie w sprawie Gajusza Juliusza Windeksa. Jest wprawdzie świetnym dowódcą, jednak to, co proponujesz, nie jest działaniem godnym człowieka honorowego, zwłaszcza jeśli pozycja jego rodziny pozostaje niepewna.

Twoje zarzuty wobec cesarza nie są niesprawiedliwe, muszę Ci jednak przypomnieć, że to on dzierży władzę i powstawanie przeciwko niemu to poważna i straszna zbrodnia. Nie mamy już dawnych wpływów. Zadłużyłem się u Justusa Syliusza, co było wprawdzie konieczne, nie należało jednak do postępów przyjemnych i wstydzę się tego, to wszakże, co proponujesz, wiązać się będzie z całkowitym zbrukaniem naszego nazwiska. Słyszałem wasze argumenty, jeśli jednak sprawa wyjdzie na jaw, cała rodzina będzie miała poważne kłopoty. Syliusz zasugerował jednoznacznie, że w razie gdybyś się zaplątał w jakiś kolejny spisek, czeka nas wszystkich wygnanie. Dość już zaszkodziłem rodzinie i bez Twoich pomysłów. Proszę Cię, abyś się wycofał z tej awantury. Jeśli nie możesz uszanować mojej prośby tak, jak syn winien jest posłuszeństwo ojcu, pomyśl o swoich braciach, matce, nawet o swoich siostrach, które także mogą zapłacić za Twoje postęпки. Syliusz powiedział, że nie wie, czy będzie chronił Oliwię w razie naszego wygnania. Zważ na to, ile ona dla nas do tej pory zrobiła, i nie nakładaj na jej barki większego jeszcze ciężaru.

Jeśli wytrwasz w swoim zamiarze, nie będę miał innego wyboru, jak tylko Cię wydziedziczyć, czego bardzo nie chciałbym robić. Chyba nie

muszę Ci przypominać, że jesteś moim ulubionym synem. Kocham Cię tak, jak tylko rodzic może kochać swoje dziecko. Wyparcie się Ciebie będzie dla mnie bolesne, muszę jednak chronić Twoich braci, matkę i siostry. Nie zmuszaj mnie do czynu równie okrutnego, Wirginiuszu.

*Dziewiętnastego dnia maja 818 roku Miasta,
własnoręcznie,
Maksymus Tarkwiniusz Klemens*

Poruszał się płynnie i wdzięcznie, przemykając między cieniami. Nie przypominał tancerza, który zyskał zgrabność ruchów dzięki latom ćwiczeń. Bardziej już mógł kojarzyć się z dzikim zwierzęciem, które rodzi się zwinne i takim pozostaje.

Wszedł do Rzymu o zmroku, korzystając z Porta Rudusculana w południowej części miasta. Tym razem nie chciał, żeby pretorianie dowiedzieli się o jego wizycie, a już wcześniej zorientował się, że strażnicy mają na niego oko tylko przy dwóch bramach, Wiminalskiej i Kollińskiej w północno-wschodnim odcinku murów. Na wszelki wypadek włożył jeszcze długi, czerwony płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, które były znakiem greckich kupców. Żołnierzowi przy bramie odpowiedział chropawą łaciną i klął długo i barwnie, przyzywając Aresa, gdy kazano mu oddać miecz.

W Rzymie zapanowało już lato i noc była ciepła. Chociaż słońce zaszło ponad godzinę wcześniej, ulice nadal były pełne ludzi. Sklepy z winem wciąż działały i wszelkiej maści prostytutki okupowały okolice Circus Maximus. W dali, na Oppius mons, jaśniały światła Złotego Domu.

Saint Germain zrzucił płaszcz i kapelusz przy wejściu do sklepu z plackami wypełnionymi mięsem i warzywami, gdzie w tłumie nie groziło mu rozpoznanie. Potem ruszył na Awentyn, minął świątynię Junony i skierował się ku luksusowym posiadłościom na szczycie. Jego ciemna, perska szata zlewała się z mrokiem nocy, a miękki krok ginął w szumie miasta.

Wspiąwszy się na drzewo, spojrzął ponad murem na podwórze stajni przy domu Justusa Syliusza. Przykucnąwszy na najwyższym

konarze, nastawił ucha na rozmowy niewolników, którzy sprząтали stajnię. Posługiwali się mieszkanką łaciny, cymryjskiego oraz dialektu właściwego zlatynizowanej Afryce. Sądząc po sposobie mówienia, musieli sobie wypić, co potwierdziło się chwilę później, gdy zaintonowali rykliwie dziką pieśń gladiatorów.

Przy takiej kakofonii zeskoczenie na dziedziniec nie stanowiło problemu. Przemknięcie pod nowe skrzydło domu, gdzie mieścił się pokój Oliwii, było kwestią paru chwil.

Gdy przystanął przy powykręcanej jabłoni, noc przeszło pełne boleści zawrodożenie. Sanct' Germain poczuł się, jakby to jego zraniono, był to bowiem głos Oliwii. Zaraz po nim rozległy się odgłosy szamotaniny i kolejny krzyk. Potem dał się słyszeć głos zdyszanego Justusa:

— Leż nieruchomo! Nie utrudniaj mu! Właśnie tak!

Saint Germain miał już przejść do okna, gdy dostrzegł stojącego przy bramie ogrodu niewolnika, tego samego, który kiedyś zaprowadził go do pokoju Oliwii. Ostrożnie cofnął się w cień. Potrzebowałby tylko chwili, aby przemknąć przez ogród pod samo okno.

Z pokoju dobiegł go zdyszany śmiech, potem jakieś skrobanie i znowu głos Justusa:

— Precz! Teraz ja!

Rakoczy zacisnął dłonie w pięści, aby nie zerwać się i nie wpaść do domu mimo czekającego przy drzwiach niewolnika. Obawiał się jednak o Oliwię, która przez jego nieprzemyślane działanie znalazłaby się w jeszcze gorszym położeniu niż obecne.

Jakiś czas później drzwi otworzyły się i wyszedł z nich mocno zbudowany Grek. Zataczał się lekko, a spytany o coś przez czekającego niewolnika rzucił: „On nie będzie zadowolony, jak długo jakiś osioł nie rozszczepi jej członkiem na pół”. Potem zaśmiał się

pogardliwie i obaj odeszli w kierunku stajni.

Hałasy w pokoju Oliwii nie umilkły od razu i Sanct' Germain przeszedł pod okno. Murarka była porządna, ale dość zostało szczelin między kamieniami, aby wspiąć się na górę, do wysoko położonego okna.

Justus wyszedł, gdy tylko skończył, i Oliwia leżała sama w wymiętej pościeli. Lampy nadal płonęły, przydając goryczy jej hańbie. Nie dość, że traktowano ją w ten sposób, to jeszcze ze staraniami, aby jak najlepiej było to widać. Potrząsnęła ze smutkiem głową. Justus był wreszcie zadowolony, jednak ona czuła się cała obolała po tym, co robił z nią beocki niewolnik. Spróbowała zakryć rękami piersi, ale były zbyt posiniaczone i podrapane, żeby dały się dotknąć.

Jakiś hałas przy oknie sprawił, że usiadła gwałtownie. Czego tym razem zażąda Justus? Wcisnęła pięść do ust, aby powstrzymać się od krzyku. Nie da mu tej satysfakcji.

Jednak to nie był Justus. Miała wrażenie, że noc wdarła się do pokoju, i dopiero po chwili rozpoznała schodzącego z parapetu Rakoczego. Od razu skierował się w jej stronę.

Wyciągnęła do niego ręce, nagle poczuwszy się słabo. Potem zmartwiała. Poruszał się tak cicho, jakby był tylko snem.

Sanct' Germain zauważył jej wahanie, podobnie jak i ślady pozostałe na jej ciele. Zatrzymał się.

— Oliwio? — powiedział ciszej, niż zwykł szemrać wiatr.

Ponownie uniosła ręce.

— Sanct' Germain? — odparła tylko trochę głośniej. — To naprawdę ty?

Ujął jej dłonie.

— Oczywiście. Rano dostałem twój list, w którym pisałaś, że musisz się ze mną zobaczyć. Skoro ryzykowałaś aż tyle, aby go wysłać, musi chodzić o coś naprawdę ważnego. Co to jest? — Spojrzał ponownie na

jej zadrapania i siniaki.

— Nie, to nic nowego — mruknęła rozpaczliwym tonem i pokręciła głową. — Boję się, Sanct' Germain, a nie ma nikogo innego...

— Nawet spośród twojej rodziny? — spytał szybko Rakoczy przekonany, że jej bliscy mogliby pomóc skuteczniej niż on sam.

— Nie. — Przełknęła ciężko, walcząc z rozpaczą. Naprawdę nie miała nikogo, komu mogła zaufać, ale też trudno było oczekiwać, że Sanct' Germain uzna to za ważki powód do działania. Ostatecznie łączyła ich tylko chwila przyjemności.

Rakoczy chciał spytać Oliwię, dlaczego nie może liczyć na swoją rodzinę, ostatecznie jednak przysiadł tylko obok niej.

— Na pewno nie zrobiłaś niczego, co mogłoby wywołać ich złość — powiedział. — Co cię powstrzymuje, żeby porozmawiać o tym z ojcem?

To było sensowne pytanie, nie chciała jednak na nie odpowiadać. Oblała się rumieńcem i omal nie odsunęła się od Rakoczego.

— Nie są w stanie mi pomóc.

— Nie mogą czy nie chcą? — spytał, całując jej dłonie. — Dlaczego tolerują sposób, w jaki traktuje cię Justus? Mówiłaś im o tym?

— Nie mogę — odparła tonem pełnym cierpienia.

— Chcesz, abym z nimi porozmawiał? Czy to dlatego pisałaś, abym przyszedł? — Spojrzał jej w oczy i poczuł, jak bardzo go przyciąga ta kobieta.

— Nie. Sama nie wiem, dlaczego cię o to poprosiłam. Nie ma żadnego wpływu na moją sytuację. Ty też nie. Ale czuję się strasznie. — Postanowiła, że nie będzie płakać. Ojciec nauczył ją kiedyś, że filozofia stoików to najlepsze podejście do życia, matka zaś nie raz powtarzała, że trzeba znosić swój los z godnością. Wylewanie łez przed kimś obcym z pewnością nie byłoby stosownym zachowaniem.

— Jeszcze gorzej? — spytał i w jego oczach błysnęła złość.

— Nie w tym sensie. Wyprzedaje moje niewolnice. Gdy się pobraliśmy, wprowadziłam się z pięcioma własnymi, teraz nie ma już żadnej. Zastępuje je swoimi potworami. — Głos jej zadrżał, ale zaraz się opanowała. — Ojcu obiecał, że będę miała własną służbę. Gdyby nie to, sprzedałby je już w zeszłym roku. Ale to nieważne. One nie należały do niego, tylko do mnie! Prawo mówi, że mąż nie ma prawa rozporządzać własnością żony, nawet gdy sam jest bankrutem! To zasada wprowadzona przez boskiego Klaudiusza! On zaś sprzedał moje niewolnice! — Nagle zorientowała się, że krzyczy, i zamilkła wystraszona. — Czy on...? — spytała szeptem.

Saint' Germain uniósł dłoń i nasłuchiwał. Kilka chwil minęło w ciszy i nikt się nie zjawiał. Rakoczy przysunął się bliżej do Oliwii.

— Skąd on podgląda? — spytał.

Skinęła w stronę ukrytych drzwi i spojrzała przerażona na Sanct' Germaina.

— Chyba nie sądzisz, że tam teraz siedzi?

Wiedział, że było to możliwe, nie odpowiedział więc.

— Wstań i przejdź przez pokój. Otwórz drzwi z miną, jakbyś spodziewała się go zobaczyć. Jeśli możesz, uśmiechnij się. — Rakoczy wstał i schował się w cieniu rzucanym przez kotary baldachimu.

Idąc przez pokój, który wydał się jej nagle wielki, Oliwia powtarzała sobie, że to tylko zwykły i wcale niekonieczny środek ostrożności, w głębi ducha była jednak przerażona. Zbyt wiele zła zaznała od Justusa, aby mogła uwierzyć, że jeszcze coś mogłoby ją ochronić. W końcu zwolniła zatrzask i otworzyła drzwi. Gdy się uchylały, wstrzymała oddech i wykrzywiła usta w coś podobnego do uśmiechu.

Małe pomieszczenie było puste. Weszła do środka i sprawdziła zasuwę na drzwiach wiodących do pokoi Justusa, ale była zamknięta. Odetchnąwszy z ulgą, zamknęła drzwi. Aż do tej chwili nie zdawała

sobie sprawy z tego, jak bardzo bała się konfrontacji. Obróciła się w stronę Rakoczego.

— Nie ma go — powiedziała.

Usłyszawszy to, wyszedł zza kotary.

— Jak długo już tak żyjesz? — spytał ze smutkiem w głosie. Sądząc po tym, że Justus wybudował nowe skrzydło domu, i po sposobie, w jaki je urządził, musiał sobie to planować od dłuższego czasu.

— Z początku podobne wieczory nie zdarzały się często — odparła. — Czasem tylko chciał, abym przespała się z tym czy tamtym. Zawsze jednak chodziło o mężczyzn, których sama bym nie zaprosiła. — Zamilkła nagle i spojrzała na Sanct' Germaina, gotowa przeprosić, ale zobaczywszy, że ją rozumie, podjęła opowieść: — Myślałam, że albo jemu przejdzie, albo ja przywyknę, jednak... on nigdy nie przychodzi do mego łóżka, jeśli ktoś go nie poprzedzi. Mówi, że inaczej nie może. Ja zaś bałam się pokazać mu, że to niekoniecznie prawda. — Raz jeszcze się zawahała. Współczucie, które malowało się na twarzy Rakoczego, bardzo ją onieśmiało. — Chce, bym uprawiała seks bez troski o moje odczucia i przyjemności. Liczy się tylko to, czego on chce. Dziś pierwszy raz się włączył. Przytrzymał mnie, aby niewolnik mógł mnie wziąć — dodała, okrywając się bladością.

— Zatem następnym razem musimy bardziej uważać — powiedział Sanct' Germain, zduszając knoty lamp. — Nie zdołam cofnąć tego, co ci uczynił, ale jeśli mi pozwolisz, zrobię, co w mojej mocy, aby uczucie, czułość i rozkosz też zagościły w twoim życiu.

Otworzywszy ramiona, w trzech krokach podszedł do niej. Przytuliła się do niego. Był ponad głowę wyższy od Oliwii, dobrze zbudowany i muskularny. Poczwała, jak pochyla się ku niej.

Przez jakiś czas trwali tak w bezruchu. Sanct' Germain czuł wreszcie Oliwię tuż przy sobie, a rytm jej oddechu uzmysławiał mu, jak bardzo jest realna. Zdawał sobie sprawę z nacisku jej biodra, z jej

ręki spoczywającej na jego ramieniu. To był ten rodzaj bliskości, której od dawna już nie śmiał szukać.

W końcu ją pocałował. Jej ciało zadrzało, jej wargi się rozchyliły i wpiły się w niego z nieoczekiwanym zapałem. Uniósł lekko głowę i spojrzał na jej twarz.

— Pragnę cię, Oliwio — powiedział powoli, z namysłem. — Wiesz o tym.

W odpowiedzi mocniej się do niego przytuliła. Nie potrafiłaby wyrazić swoich odczuć słowami, ale też nie musiała tego robić. Połóżniła uścisk, gdy podniósł ją i bez trudu przeniósł na łożo. Nogą odsunął pomietą pościel i położył Oliwię na czystym prześcieradle. Potem pochylił się nad nią i lekko ją pocałował. Cieszył się, że może ofiarować jej coś całkiem innego niż Justus. Gdy położył się obok niej, zamknęła oczy.

Gdy Sanct' Germain doświadczał podobnego pożądanego w przeszłości, było ono ściśle związane z rytuałem, który służył konkretnemu celowi. Obecnie wszystko, co robił, robił z własnej inicjatywy. Gdzie tylko dotykał Oliwii, wyczuwał jej reakcję. Była coraz gorętsza i starała się przysunąć bliżej. Rakoczy nie miał nic przeciwko temu. Przyjmował jej wezbraną tęsknotę i czule prowadził Oliwię do spełnienia, osłaniając ją swoimi objęciami.

Wątpliwości wróciły dopiero później. Leżał na łożu, spoglądając w mroku na zdobiony malunkami sufit. Oliwia spała obok, złożywszy ręce na jego piersi, głowę zaś wtuliwszy w zagłębienie szyi. Czyżby Aumtehoutep miał jednak rację? Może miał ją cały czas? Saint Germain przytulił mocniej Oliwię. Tak długo wmawiał sobie, że jego samotność jest stanem naturalnym, że teraz ledwie umiał sobie z nią poradzić. Co aż tak go pociągało w tej kobiecie? Jak to się stało, że nieśmiałe uśmiechy przebiły się przez jego pancerz? Gdyby jej życie potoczyło się inaczej, wyszłaby za kogoś szlachetnego i obecna

przygoda wydałaby jej się czymś odpychającym. Spojrzał na śpiącą kobietę i poprawił się trochę, żeby było jej wygodniej. Oddech Oliwii brzmiał dla niego jak cenna muzyka, płowy kolor jej włosów stał mu się nagle nader miły.

Zwinęła się ciaśniej, uśmiechnęła i zbudziła się z lekkim ziewnięciem.

— Jak dobrze — mruknęła z rozmarzeniem, pocierając głowę o jego rękę. Dawno nie zaznała czegoś tak wspianiałego, jak obudzenie się w ramionach Rakoczego.

— Śpij, Oliwio — mruknął, całując ją delikatnie w ucho. — Śpij.

Perspektywa była kusząca, wyczuła jednak w jego głosie jakiś smutny ton, który ją zaniepokoił. Uniosła głowę.

— Coś jest nie tak?

— Wszystko w porządku. — Poglaskał ją uspokajająco. — Spokojnie.

Przez jakiś czas milczała, w końcu odważyła się spytać.

— Widzę, że coś cię trapi. Jeśli chodzi o to, co mi robisz, to nie musisz się martwić. Naprawdę. — Przeczesła dłonią jego krótkie, lekko kręcone włosy.

— Nie o tym myślę. — Spojrzał w sufit, a przed jego oczami przewinął się cały ciąg obrazów, myśli i wspomnień. — Większość ludzi, gdy mnie lepiej poznawali, odnosiła się do mnie ze strachem i podziwem. Oba te uczucia mogą być przydatne. Niektórzy akceptowali mnie, ponieważ mogli dzięki temu coś zyskać. — Skrzywił się przelotnie. Tisztry była dla niego bardzo dobra, traktowała jednak ich relację dość chłodno i nie kryła, że mając wybór, wolałaby bardziej tradycyjne przyjemności. — Podziw, przerażenie albo umowa zwykle mi wystarczały. Teraz sam nie wiem. — Zamknął oczy, ale to nie pomogło. Obrazy napływały. Zbyt wiele stracił w życiu i nazbyt się z niego usunął, aby odróżnić teraz żal od

nadziei. Przytulił mocniej Oliwię, nie zdradzając tego, co się w nim kotłowało.

Niemal odruchowo odpowiedziała mu tym samym. Zamknięta w więzieniu własnej udręki niewiele pojmowała z cudzych problemów. Najważniejsze było, że koszmar, w który zmieniło się jej życie, zdawał się odstępować, dając szansę na prawdziwe wyzwolenie w przyszłości. Rozterki Sanct' Germaina były dla niej znakiem wyrwania się ze szponów własnego cierpienia.

Saint Germain poczuł nagle przyływ fali spokoju. Dopiero teraz zaczynał odczuwać, że źle uczynił, izolując się od innych ludzi. Ujął twarz Oliwii w dłonie.

— Niezależnie od tego, z jakich bolesnych powodów mnie przyjąłeś, jestem ci za to wdzięczny. Daję ci słowo, że cię nie opuszczę i nie odrzucę naszego związku.

— Ale czy na tym tylko będzie on polegał? — spytała. Dotąd w ogóle nie myślała w podobnych kategoriach, ale Rakoczego chciałyby przyjąć całą sobą.

Saint Germain wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się smutno.

— Tak. Wśród takich jak ja nic więcej nie jest możliwe.

— Ależ musi być — zaprotestowała rozsądnie. — Jak inaczej możecie przedłużyć swój rodzaj?

Rakoczy oczekiwał tego pytania i bardzo się go obawiał.

— Robimy to poprzez... zarażanie. Ci, których przyjmujemy, jeśli dołączają do nas świadomie, z czasem stają się tacy sami. Gdybyś spróbowała mojej krwi, zmiana byłaby pewna, jednak sama bliskość, oddanie się, powodują to samo, tyle że trochę później — wyjaśnił jak mógł najprościej, z trudem spoglądając jej w oczy.

— A ja? Też będę taka jak ty?

— Ostatecznie tak. Jeśli będziemy się nadal kochać. — Wyjaśnienie tego Oliwii, która patrzyła na niego niepewna, czy dobrze rozumie

słowa Rakoczego, było bardzo trudne. — Być może powinienem cię ostrzec. Nadal możesz kazać mi trzymać się z daleka od siebie i nie ucierpisz przeze mnie. Jak powiedziałem, ta przemiana nie dokonuje się od razu.

Odpędzić go? Sama myśl o tym wydała się Oliwii na tyle bolesna, że objęła go silniej.

— Nie.

—Jeśli będziemy razem jeszcze pięć czy sześć razy, najpewniej do tego dojdzie — odpowiedział, opacznie rozumiejąc jej protest. — Jeśli więcej, przemiana będzie pewna. Posłuchaj mnie, Oliwio. Jeśli zechcesz, będę twoim sojusznikiem, niczego od ciebie nie żądając. Nie zostawię cię jednak na pastwę męża. Przy więzach krwi nie mógłbym nawet tego uczynić. — Widział już piękniejsze kobiety i sypiał z nimi albo odwiedzał je niczym duch, a potem zostawiał je usatysfakcjonowane, sam syty, ale wciąż niezaspokojony. W przypadku Oliwii mógłby ucztować w blasku jej oczu. To nie więzy, o których wspomniał, tak go krępowały, nawet nie jego pożądanie. Oliwia sama w sobie, wyjątkowa dla niego jak nikt inny, była przyczyną. Byłaby taka, nawet gdyby nigdy jej nie dotknął.

— Nie zostawiaj mnie — powiedziała cicho.

— Obiecałem, że nie zostawię.

— I połów się. Kochaj mnie. — Dała się porwać w objęcia. Gdy jego drobne dłonie ponownie ją rozgrzewały, pomyślała, iż jeśli obiecana przemiana miała obdarować ją podobną wrażliwością jak ta, której właśnie zaznawała, zgodzi się na wszystko z ochotą. Potem myśl gdzieś zniknęła, ustępując poczuciu wypełniającej cały świat bliskości, uniesieniu i miłosnym spazmom.

Żadne z nich nie chciało się rozstawać, chociaż jaśniejące na wschodzie niebo zwiastowało bliskość dnia.

— Jeszcze chwilę — zamruczała wtulona w ramię Rakoczego

Oliwia.

— Jeszcze chwilę... — odparł, przerywając, aby pocałować ją w zagłębienie pod uchem — a twoi niewolnicy wstaną i zostaną zauważony.

Wiedziała, że to prawda, i niechętnie wypuściła go z objęć.

— Wracaj szybko. Albo poczekaj na wiadomość ode mnie.

Zatrzymał się w miejscu.

— Nie zwlekaj z tym za długo. Skorzystaj z pierwszej sposobności.

Postawił jedną nogę na parapecie.

— Tak. Niebawem. -Już teraz łóżko wydawało się jej puste i zimne. Zmięte prześcieradła nie dawały ciepła.

— Codziennie o zachodzie słońca przechodzi obok twojego domu pewien sprzedawca owoców — powiedział rzeczowym tonem, przypominając sobie, że muszą zachować ostrożność. — Gdy zechcesz mnie wezwać, powiedz mu, że życzysz sobie jagód z Dacji. Zrób to w dniu, w którym będziesz chciała mnie widzieć. Wieczorem przyjdę. Nie zawiodę, jeśli mnie wezwiesz. — Zobaczył, że znowu wyciągnęła ku niemu ręce, było już jednak za późno. Pomachał jej czule i zeskoczył po cichu do ogrodu.

Dotarł już prawie do drzewa przy stajni, gdy usłyszał za sobą jakiś głos.

— Chwilę! — rzucił ktoś po łacinie z afrykańskim akcentem. Gdy Sanct' Germain się odwrócił, ujrzał wielkiego mężczyznę o ciemnawej twarzy i grubo ciosanych rysach. — Co jest? — spytał Tingitania, unosząc potężną pałkę.

Rakoczy nie odpowiedział. Zaklął w duchu, że dał się zaskoczyć. Teraz nie było już czasu na misterne działanie. Albo coś zrobi, albo potężnie zaszkodzi Oliwii.

Pałka opadła gwałtownie, kierując się ku głowie Sanct' Germaina.

— Kto wysyła teraz Persów na szpiegowanie senatorów? — warknął

Tingitanian.

Zanim pałka dotarła do jego czaszki, Rakoczy obrócił się lekko i złapał rękę niewolnika, pozwalając, aby impet i masa ciała pociągnęły go jak najdalej. Jeszcze dwa kroki i znalazł się za stajennym.

Zdumiony i wściekły niewolnik przewrócił się i zaraz poszukał pałki, aby podnieść się i uniknąć drugiego kopniaka w zębra. Przed pierwszym nie miał szans się uchylić. Krzyknął coś o podłych Persach i ponownie zamierzył się pałką.

Sanct' Germain nie miał czasu na dłuższą zabawę. Okrzyk musiał zbudzić śpiących w stajni niewolników. Odsunawszy pałkę na bok, skoczył, uderzając barczystego stajennego głową w brzuch. Rosły mężczyzna złożył się we dwoje. Wówczas Rakoczy ujął jego brodę i jednym, śmiertelnie precyzyjnym ruchem pchnął ją do tyłu. Tingitanian padł bezwładnie na ziemię i więcej już się nie podniósł.

W chwili, gdy dwaj stajenni wybiegli na dziedziniec, Sanct' Germain był już dwa domy dalej. Chwilę później zszedł ze wzgórza i skierował się do cyrku, w którym miało się pojawić tego dnia kilku jego treserów.

Przechodząc przez bramę wiodącą pod widownię, usłyszał w pobliżu parsknięcie pantery. Gdzieś dalej słyhać było senne protesty spowodowanej przez gladiatorów dziwki.

List od cesarza Nerona do cudzoziemca Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa:

Do dostojnego przybysza, z Dacji, który nie jest Dakiem, Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa, z cesarskimi pozdrowieniami:

Bez wątplenia słyszałeś, że władca Armenii zaszczycił mnie i cały Rzym oficjalną wizytą, z której wagi musisz zdawać sobie sprawę. Ma ona przypieczętować po wsze czasy pokój między Rzymem a Armenią.

Z tego, co wiem, masz wśród swoich niewolników Ormiankę o imieniu Tisztry, która jest treserem z dwoma zaprzęgami przyuczonych koni. Pojawiała się wiele razy na igrzyskach i zdobyła uznanie za swoje umiejętności oraz urodę. Byłoby dobrze, gdyby przygotowała coś nowego dla uczczenia Tiridatesa, zarówno dlatego, że wiele potrafi, jak i przez fakt, że jest Ormianką. Każdy gest uczynimy pod jej adresem będzie też miły królowi Tiridatesowi. Znając Cię, wiem, że uczynisz wszystko, co w Twojej mocy, aby wesprzeć moje działania dla zgotowania najlepszego przyjęcia, jakie Rzym może zapewnić odwiedzającemu nas monarsze.

Jest jeszcze kilka spraw, które z tym się wiążą. Planuję wielkie polowanie i słyszałem, że jesteś w stanie dostarczyć wiele godnych uwagi zwierząt. Obecnie masz u siebie tuzin ryśców i powiedziano mi, że możesz zdobyć ich więcej. Te wspaniałe koty na pewno zrobią wrażenie na armeńskich i perskich gościach. Przydałoby się też kilka jeleni z rozłożystymi rogami oraz azjatyckich kozłów, tych wielkich, z bujnym jutrem. No i dziki, bo przez swoje nieprzewidywalne usposobienie i siłę zawsze urozmaicają każde polowanie. Gdybyś wiedział o jakichś, które dałoby się łatwo pozyskać, byłyby bardzo na miejscu. Szczególnie zaś byłbym wdzięczny, gdybyś znalazł jakieś pantery śnieżne. Rysce też wystarczą, ale białe koty są tak piękne, a przy tym rzadkie, że kilka tych zwierząt byłoby prawdziwą atrakcją polowania. Chętnie zobaczyłbym też te biało-czarne niedźwiedzie, które sprowadzasz ze Wschodu.

Jeśli pomyślisz, że za dużo składam na Twoje barki, wiedz, że wynika to z szacunku dla Twoich zdolności i doświadczenia. Nie wysunąłbym podobnych oczekiwań wobec większości moich Rzymian, wiedząc, iż nie podołaliby oni równie trudnemu zadaniu. W Twoim przypadku to co innego. Nie raz pokazałeś, na co Cię stać, dokonując rzeczy pozornie niemożliwych.

Nie zostało już wiele czasu i dobrze będzie, jeśli od razu się wszystkim zajmiesz. Zwracam się do Ciebie później, niż powinienem, zawierzyłem

jednak zapewnieniom moich ludzi, którzy do tej pory zdołali dostarczyć zaledwie piętnaście hipopotamów, jednego białego nosorożca i kilka tuzinów lwów, które trzeba wszakże dopiero wytresować, aby jadły podawane im mięso. Czekam na wieści o postępach w realizacji mojej prośby.

Spisane własnoręcznie szóstego dnia czerwca 818 roku Miasta.

Neron

. 12 .

Justus poczekał, aż niewolnik się odsunie, i powitał gościa.

— Przykro mi, Druzyllusie, że twoja siostra nie może się z tobą zobaczyć. Pojechała dzisiaj do źródła Feliusa, aby zażyć leczniczej kąpieli. Czy mogę służyć ci jakoś w jej zastępstwie. Może coś jej przekazać?

Druzyllus, który w wieku dziewiętnastu lat nadal czuł się niepewnie w towarzystwie szwagra, przestąpił z nogi na nogę. Nie było to stosowne zachowanie w przypadku nowo awansowanego trybuna IX legionu, jednak jeszcze nie tak dawno jego rodzina była w tak złym położeniu, że Druzyllus poważnie się zastanawiał, czy nie zaciągnąć się jako zwykły żołnierz. Teraz, dzięki pomocy męża siostry, zdobył wreszcie rangę, o jakiej marzył. No i sposobność dalszych awansów, na którą w przeciwnym razie nie mógłby Uczyć.

— Czy moglibyśmy porozmawiać? — spytał w końcu.

Atrium domu Justusa utrzymane było w starym stylu, jako wielkie, kwadratowe pomieszczenie z otworem w suficie. W nowszych domach nawiązywano do greckich wzorów, tworząc czasem wręcz wewnętrzne ogrody. Justus wskazał drogę do jednego z przyległych pokoi.

— Skoro chcesz porozmawiać, to może usiądźmy. — Klasnął dwa razy i zaraz obok pojawiło się aż trzech niewolników. — 1 Yzynieście wino i ciasto do mojego gabinetu.

Idąc w ślad za gospodarzem, Druzyllus nie mógł powstrzymać się od porównywania tego domu do ubogiej siedziby własnej rodziny. Domy zostały wzniesione mniej więcej w tym samym czasie, ale tutaj mury nie były popękane ani wyblakłe, drzwi zrobiono z gładko

obrobionego drewna różanego i wyposażono w złote klamki. W gabinecie Justusa stały otwarte od frontu skrzynie z drogimi woluminami oraz ułożonymi równo stosami „Acta Diurna”, sprzedawanego codziennie w Rzymie rządowego informatora. Otwarte okiennice ukazywały część ogrodu oraz nowe skrzydło, które gospodarz kazał dobudować sześć lat temu. Powietrze było ciepłe i lepkie.

— Może spoczniesz? — zaproponował Justus, wskazując na jedno z wyściełanych krzeseł przy oknie.

Druzyllus usiadł, podzwaniając przy tym nową zbroją.

— Postaram się streszczać — obiecał.

Niechby orzeł Prometeusza pożarł mu wątrobę, pomyślał ze złością Justus i uśmiechnął się do młodzieńca.

— Chodzi o tego perskiego szpiega, który zabił mi stajennego? — spytał. — Rozmawiałem o tym z Tygellinem, on jednak, jak można się było spodziewać, nic nie zrobił. Niemniej niewolnicy przysięgają, że słyszeli, jak Tingitanian krzyczał, że ma przed sobą perskiego zdrajcę. Potem dobiegły ich tylko odgłosy walki. Chcę, żeby złapano tego szpiega, i chcę widzieć, jak głowa spada mu z karku. — Złożył tłuście ręce na piersi i spojrzał na młodzieńca, który był jego szwagrem.

— Nie z tym przyszedłem — powiedział zmieszany Druzyllus. — Takimi sprawami zajmują się straż i pretorianie. — Uśmiechnął się przepraszająco. — O czym innym chciałem porozmawiać.

— Dobrze — odparł kwaśnym tonem Justus, celowo okazując niezadowolenie. — Porozmawiajmy zatem. Ciekaw jestem, co masz mi do powiedzenia.

Druzyllus przygotował się starannie do tego spotkania, jednak teraz, gdy miał już przed sobą Syliusza, właściwe słowa gdzieś mu uciekły. Wbił spojrzenie w swoje sandały.

— Znasz, panie, mojego brata, Wirginiusza?

— To ten, który przebywa w Galii? Spotkałem go parę razy.

Dlaczego pytasz? — To mogło być ciekawe. Ostatnimi czasy pojawiły się znowu niejasne plotki o szykowanym spisku. Niektóre pochodziły z Galii.

— Owszem, jest tam właśnie. W Narbo. Wyszło ostatnio kilka rzeczy... — Zawahał się, po raz pierwszy wając, czy powinien wspominać gospodarzowi o sprawach brata, który bardzo prosił o zachowanie ich w tajemnicy. — To prywatna kwestia...

— Chcesz przez to powiedzieć, że chodzi o swego rodzaju sekret? — Justus był zachwycony. Oto trafiała mu się kolejna szansa zdemaskowania spiskowców i zyskania jeszcze większych względów cesarza. Pokiwał poważnie głową i pochylił się ku rozmówcy. — Czy dotyczy on Lucjusza Domicjusza Ahenobarbusa? — Takie imiona nosił Neron, zanim został adoptowany przez swojego ojczyma, cesarza Klaudiusza. — Minęło ledwie kilka tygodni od aresztowania Wincjana i jego grupy. Chyba nie sugerujesz, że już pojawiła się następna? Lato dopiero się zaczęło. — Przyjrzał się młodzieńcowi świdrującymi oczami.

— Wiesz, panie, że Juliusz Windeks szuka sojuszników do kolejnego buntu? — spytał ciężko zdumiony Druzyllus. — Poplecznicy Pizona i Anniusza Wincjana byli zbyt beztroscy. Dali się zdemaskować. Organizowali wszystko za blisko Rzymu i centrum władzy. Ale Windeks jest w Galii i ma za sobą legiony gotowe walczyć w jego sprawie. Mój brat zdeklarował się już po jego stronie i nakłania mnie, bym się przyłączył. — Młodzieniec wyrzucał z siebie zdanie za zdaniem, patrząc z nadzieją na Justusa.

Gospodarz udał, że się namyśla.

— Idzie w ślady Wincjana. Może nawet za bardzo. Zapewne łatwo byłoby mu zaskoczyć Nerona, gdyby nie wszystkie niedawne próby. — Celowo nie nazwał Nerona cesarzem. — Jest młody i myśli ciągle o

głupstwach. Niestety, stał się podejrzliwy. — Spojrzał ponad ramieniem młodzieńca na otwarte skrzynie. — Na razie codzienne biuletyny nie wspominają o tym ani słowem. Podają tylko, że Windeks aktywnie działa w Galii. Jeśli marzy o purpurze, wyznaczył sobie niełatwy cel.

— Powiadasz, panie, że Neron jest młody i przez to chwiejny — Druzyllus poczuł się zachęcony do dalszych wynurzeń. — Ja jestem młodszy od niego, znacznie młodszy, a mimo to potrafię układać sobie życie i nie usprawiedliwiam się wiekiem. — Mówiąc to, był świadom, że sytuacja rodziny nigdy nie dała mu szansy, aby postępować inaczej. — Neron spędza noce na biesiadach i buduje wielki pałac, pod który wyburzane są kolejne dzielnice miasta. Śpiewa greckie pieśni i gości władcę Armenii, zamiast kazać Korbulonowi ruszyć z legionem i... rozgościć się w Armenii — dodał z rumieńcem na twarzy.

— Neron nie lubi wojny — rzucił Justus szyderczym tonem. — Mawia, że pokój wart jest każdej ceny. Uwierzył w greckie nonsensy, bo chociaż Seneka był stoikiem, uczył Nerona prawdziwych rzymskich cnót.

— Które odrzucił dla niemęskich greckich bajdurzeń — odezwał się Druzyllus, zrywając się na nogi i zaciskając pięści. — Przez niego musimy bić pokłony przed tymi cudzoziemcami, chociaż jesteśmy Rzymianami. Zwycięskimi Rzymianami. Windeksowi może brakować manier i wykształcenia, ale jest bardziej cesarski w swoich galijskich uczynkach niż Neron tutaj, w wielkim Rzymie! — Ostatnie słowa wymówił niemalże chłopięcym dyszkantem, ale nagle się zreflektował. — Jak możesz, panie, to wszystko wytrzymać?

Justus uśmiechnął się łagodnie.

— Nie możemy zostawić całego Rzymu Neronowi. Wtedy Rzym stałby się greckim miastem. Kto mógł się spodziewać, że aż tylu ich

znajdzie się na wysokich stanowiskach? Można by pomyśleć, że nigdy nie podbiliśmy Grecji. — Justus był zaskoczony, jak prosto przyszło mu wyprowadzić tego dzieciaka w pole. — Są i tacy, którzy rozumieją, że Rzym musi przetrwać niezależnie od nieroztropności naszych władców.

— Nieroztropności? Raczej szaleństw — rzucił z zapalem młodzieniec.

— Może — zgodził się gładko Justus. — Nie nam to osądzać. I nie mów o szaleństwie. Nie znałeś Gajusza Kaliguli — dodał, unosząc dłonie. — To był szaleniec, mój chłopcze. Neron nie może się z nim równać. Aż dziwne, że nasza arystokracja całkiem nie wyginęła, tylu dobrych ludzi wymordował. — Spojrzał z uwagą na Druzyllusa. — Czego oczekujesz ode mnie? Pieniędzy? Zapewnień? Wsparcia? Ochrony? Czego?

Druzyllus czekał na podobne pytania. Usiadł ponownie i oparł łokcie na kolanach.

— Chcemy, abyś się, panie, do nas przyłączył. Chcemy cię w naszych szeregach. Szeregach tych, którzy wyniosą Windeksa do władzy i położą kres tym...

— Jestem ostrożnym człowiekiem, Druzyllusie. Tylko dzięki temu przetrwałem gorsze czasy. Rozumiem powody, dla których odrzucasz Nerona, i jestem z wami sercem. Wyłożę to w ten sposób: opowiem się po stronie Windeksa, gdy pomaszeruje na Rzym. Wcześniej wspieranie was byłoby zbyt ryzykowne. Nie tylko dla mnie, ale i dla całej twojej rodziny, ojca, braci, sióstr i matki. W przypadku zdemaskowania nic was nie uratuje. — Przekonanie chłopaka, że wstrzyma się od działania jedynie ze względu na jego bliskich, wydało się Justusowi nader zmyślne. — Sam nie wiesz, ile znaczy dla mnie twoje zaufanie, ale tu chodzi o coś więcej niż tylko mój honor. Jak mógłbym narazić tyle osób na niebezpieczeństwo? To byłoby

niegodne Rzymianina — dodał, rozkładając szeroko tłuste ręce.

— Tak — przytaknął poruszony jego troską Druzyllus. — Rzymianin powinien pamiętać o wszystkich swoich obowiązkach. — Był teraz pełen podziwu dla swego znamienitego szwagra. Wcześniej żywił wobec niego pewne wątpliwości, ale to minęło. Gotów był wychwalać go pod niebiosa. Dodatkowo był wdzięczny za takie zrozumienie i zainteresowanie.

Na ognistego Marsa, ależ też chłopak jest naiwny, pomyślał Justus, uśmiechając się z satysfakcją, zaraz jednak spoważniał.

— Gdybym mógł jakoś wam odpowiedzieć, nie narażając tych, którzy pozostają ode mnie zależni, uczyniłbym to bez wahania.

Nie wiem, co robić. — Złączył dłonie i wygiął je w jedną i drugą stronę.

Druzyllus nie pozwolił na przerwę w rozmowie.

— Chętnie będę cię, panie, informował o naszych zamiarach i postępach. Za kilka miesięcy nasze nadzieje się ziszczą. Uprzedzę cię, panie, o tym, abyś mógł z czystym sumieniem opowiedzieć się po naszej stronie. — Wstał bardzo zadowolony z przebiegu spotkania.

Dziecinnie łatwe. To było aż za proste, westchnął w duchu Justus. Ten naiwniak podał mi wszystko jak na tacy.

— Skoro zbieracie zwolenników, czy możesz powiedzieć mi, kim oni są? — spytał ostrożnie, jakby świetnie rozumiał, że to nietaktowne pytanie. — Gdy przyjdzie czas, może mógłbym zacząć z nimi współdziałać?

Upojony sukcesem Druzyllus nie miał żadnych wątpliwości.

— Oczywiście — odparł takim tonem, jakby chodziło o drobiazg.

— Dobrze, jeśli nastąpi to niebawem, żebym mógł zacząć przygotowywać tutaj przyszłe wsparcie dla Windeksa — dodał. Gdyby rozmawiał z kimś bardziej doświadczonym, nie zaryzykowałby takiego pytania. Druzyllusem nie musiał się przejmować.

Młodzieniec pomyślał, że sam powinien wpaść na ten pomysł, i zrobiło mu się wstyd.

— Naturalnie. Dopilnuję, abyś dostał, panie, dzisiaj listę. Przyślę ją przez niewolnika.

— Sądzisz, że to będzie bezpieczne? — spytał Justus, patrząc na młodzieńca z ukosa. Jeśli wszyscy spiskowcy Windeksa są tacy sami, jego rebelia jest z góry skazana na porażkę.

— Tak, Cynkadis jest mi całkowicie oddany. — Dostał tego grecko-syryjskiego niewolnika, gdy miał dziesięć lat, i od tamtego czasu żyli razem jak bracia. Druzyllus nigdy nie zastanawiał się nad dzielącą ich przepaścią. Miał ją za całkiem nieistotną i byłby szczerze zdumiony, gdyby usłyszał, że Cynkadis darzy go nienawiścią.

— Chyba będzie lepiej, jeśli przyślę któregoś z niewolników twojej siostry — powiedział z namysłem Justus. — Może nie wiesz, ale kupiłem jej nową służbę. — Swój zdradziecki czyn gotów był przedstawiać jako przejaw szczodrości. — To będzie kobieta. Nie wzbudzi podejrzeń, ostatecznie siostry i bracia zwykle przesyłają sobie różne rzeczy, prawda?

Druzyllus uznał, że to sprytny pomysł.

— Tak. Nikt nie dojrzy w tym niczego niezwykłego. Dobrze, że jesteś, panie, tak ostrożny. Nikt niczego nie zauważy. — Poprawił swój pancerz, pobrzękując metalowymi łuskami.

— Miejmy nadzieję — powiedział poważnie Justus. Wiedział, ilu szpiegów ma w mieście Tygellin i że armia też jest pod obserwacją, podobnie jak rodziny co znaczniejszych i niezadowolonych z obecnych rządów obywateli. Był pewien, że ktoś sporządzi notatkę o dzisiejszej wizycie Druzyllusa i może doda też, że niewolnica jego siostry odwiedziła potem dom brata. W sumie jednak rzeczywiście nie powinno wzbudzić to podejrzeń. — Lepiej przesadzać z ostrożnością, niż jej zaniedbywać.

— Tak — zgodził się gorliwie młodzieniec. — Muszę już iść. Będę czekał na niewolnicę siostry. Kiedy się zjawi?

— Godzinę przed zachodem słońca, jeśli można. Większość twoich towarzyszy uda się wtedy na kolację. — Justus wstał i położył ciężką dłoń na ramieniu Druzyllusa. — Wielka to odpowiedzialność dla kogoś tak młodego.

— Młodzi ludzie zmieniali już losy narodów — odparł chłopak z rumieńcem na twarzy. — Wielu jest dowódców w moim wieku.

— To prawda — mruknął Justus, wspominając, jak wielu starszych dowódców zostało wymordowanych przez ogarniętego lękami przed spiskiem Kaligulę. — Ostatnio szybko się awansuje.

— To się zmienia — odparł z troską Druzyllus. — Neron nie chce prowadzić wojen. Być może dojdzie do kolejnego powstania Żydów, ale i wtedy nie starczy zajęcia dla wszystkich dowódców. O sposobnościach awansu nie mówiąc.

— Palisz się do walki? — Nie musiał pytać. Sprawa była oczywista.

— Jestem do niej gotów — zapewnił gorliwie Druzyllus, okłamując samego siebie.

— Z pewnością—mruknął Justus, współczując przez chwilę żołnierzom służącym pod tak niedoświadczonym dowódcą. Po chwili jednak pomyślał, że wobec udziału w spisku młodzieniec nie dożyje chwili, gdy mógłby poprowadzić podwładnych do walki. — Niemniej konspiracja to nie wojna. Trudno jest podążać sekretną ścieżką do władzy. Starsi i mądrzejsi od nas stracili na niej wszystko. Pomyśl o Pizonie i Wincjanie. Obaj mieli wsparcie najpotężniejszych osób w cesarstwie, ludzi bliskich cesarzowi i cieszących się jego szacunkiem, i gdzie są teraz? Seneka, który bez wątplenia był winien, nie żyje. Podobnie Petroniusz, który winien nie był. — Westchnął ponownie i spojrzał na Druzyllusa z poważną miną. — Pokładam w tobie nadzieję, ale ostrzegam, że to zwycięstwo będzie trudniejsze niż

podbój Persji z połową legionu. — Opadł na krzesło, jakby nagle poczuł zmęczenie.

— Nie zawiodę cię, panie — obiecał Druzyllus z młodzieńczym zapałem. Odwrócił się na pięcie i opuścił gabinet. Długimi krokami przeszedł przez dom i minął rosnącego Beocjanina, który strzegł bramy o tej porze.

Justus siedział na krześle z palcem przyciśniętym do dolnej wargi. Jak najlepiej to rozegrać? Miał ochotę poczekać, aż zobaczy listę Druzyllusa, ale mogłoby to sugerować, że naprawdę popiera Windeksa. Lepiej będzie od razu wysłać notatkę Tygellinowi z obietnicą, że potem przekaże więcej szczegółów. Zwróci na siebie uwagę pretoriańskich szpiegów, ale trudno. Rozejrzał się po pokoju i nagle dotarło do niego, że nikt nie przyniósł ciasta i wina. Zlekceważono jego rozkaz. Wstał z irytacją i zaklaskał głośno.

— Panie? — Niewolnica, która stanęła w drzwiach, skłoniła się nisko, zamiatając splecionymi w grube warkocze jasnymi włosami.

— Kazałem przynieść ciasto i wino. Nie ma ich tutaj — powiedział wypranym z emocji głosem. Wszyscy domownicy wiedzieli, że nie wróży on nic dobrego.

— Posłano po nie. Widziałam, że Nyso się tym zajął — odparła cicho.

— Gdzie on jest? — spytał Justus słodkim tonem.

— Jeszcze nie wrócił. Może nie mógł dostać wina od kuchmistrza. Ustaliłeś, panie, że tylko on sam może je podawać.

Justus nagroził ją błyskawicznie za bezczelność silnym uderzeniem w głowę. Upadła i zaczęła się od niego odczołgiwać, kopnął ją więc w żebra z takim impetem, że bezgłośnie znieruchomiała na mozaikowej podłodze.

Jego wcześniejsze klaskanie ściągnęło do atrium jeszcze trzech niewolników. Zawahali się, widząc nieprzytomną kobietę, której krew

sącyła się z kącika ust.

— Gdzie ciasto i wino, które kazałem przynieść? — spytał Justus.
— Gdzie jest Nyso?

— W... w kuchni — wyjąkał najbliższy niewolnik. — Mam go przysłać, panie?

— Nie, spryciarzu. — Justus znalazł się w swoim żywiole. — Tylko tego brakuje, żebyście go ostrzegli, dranie. Weźcie to. — Trącił nieprzytomną kobietą stopą. — Wyciągnijcie ją stąd. Nie powiedziałem, że macie ją wynieść, tylko wywlec. Zostawcie ją w stajni, aż dojdzie do siebie. — Poczekał, aż dwóch niewolników złapie blondynkę za stopy i zabierze ją z atrium. Nie próbowali narzekać, wymienili tylko lodowate spojrzenia.

Czekając na Nysona, Justus chodził tam i z powrotem, czasem zerkając na trzeciego niewolnika, który trzymał się z dala od swojego pana, wyraźnie w nadziei, że w razie czego da radę uciec.

— Przynieś mi pejcz — polecił mu w końcu Syliusz. — Potrójny, z długimi plecionymi rzemieniami.

Niewolnik skłonił głowę. Musiał być bardzo wystraszony. Znał ten pejcz z własnego doświadczenia.

— Pospiesz się, albo dołączysz do Nysona. — Widok niewolnika biegnącego do pokoju gospodarza poprawił Justusowi humor. Splótł ręce za plecami i kołysząc się na piętach, zagwizdał melodyjnie.

Gdy niewolnik wrócił z pejczem, trzymał go ostrożnie, jakby chodziło o jadowitego węża.

— Muszę ostrzec cię, panie — powiedział ze spokojem, który brał się z jego desperacji. — To, co zamierzasz, jest niezgodne z prawem. Jeśli wybatożysz Nysona, wniesie przeciwko tobie oskarżenie. Jeśli mnie wybatożysz, ja wniosę oskarżenie. Nie próbowaliśmy się buntować, wykonywaliśmy twoje polecenia, panie. Niczego nie ukradliśmy, nie zaszkożdziliśmy temu domowi, nie przysporzyliśmy ci

strat, nie zrobiliśmy nic złego nikomu mieszkającemu w tych murach — zakończył i założywszy ręce na piersi, czekał w milczeniu na cios, być może śmiertelny.

Justus patrzył na niego z niedowierzaniem od chwili, gdy niewolnik zaczął mówić o swoich prawach. Wściekłość wezbrała w nim na tyle, że najchętniej rozciąłby śmiałka niczym tuszę i powiesił na haku dla wykrwawienia. Ledwo zdołał się opanować i przez myśl przebiegło mu, że inni niewolnicy też mogli już usłyszeć, że istnieją chroniące ich prawa.

— Nie chcecie, żebym był waszym panem? — rzucił szyderczo Justus, gdy odzyskał już zdolność mowy.

— Nie chcemy — usłyszał. Niewolnik powiedział to pewnie, jakby już się nie bał.

— Dobrze. Wasza wola. Nie myślę trzymać tu kogoś, kto nie jest i nie zamierza być posłuszny. Marzy wam się nowy pan? Spełnię to życzenie. — Obrócił się gwałtownie i wrócił do gabinetu, gdzie wyciągnął arkusz pergaminu i naczynie z atramentem i usiadł przy biurku. Chcą nowego pana, będą go mieli. Zaczął szybko pisać, uśmiechając się pod nosem. Nyso i... jak mu tam? Fidelis. Tak, Fidelis. Dostaną, czego pragną. Bardzo żałował, że nie ma uprawnień do wysyłania na galery, ale były jeszcze inne miejsca, równie nieprzyjemne. Tytus Flawiusz Wespazjan potrzebował tysięcy niewolników do pracy w kamieniołomach Syrii i Egiptu. Chętnie przyjmie jeszcze dwóch, zwłaszcza młodych i silnych. Justus skończył spisywanie aktu prawnego, złożył na nim zamaszystą parafkę i skreślił jeszcze krótki list przewodni, który miał towarzyszyć niewolnikom. W końcu wstał. — Spełniłem waszą prośbę — powiedział, nie odwracając się do niewolnika. — Macie nowego pana. Za pięć dni odpływa kolejny transport żołnierzy do Egiptu. Zabierzcie się z nimi. Jutro wyślę was pod strażą do Ostii.

Fidelis milczał. Z wolna zaczynał rozumieć, że ma się czego bać.

— Gdy będziecie pocić się z kamieniami i linami w pełnym blasku słońca, pomyślcie czasem o tym domu i pamiętajcie, że sami chcieliście go opuścić. — Spojrzał na Fidelisa i wyraz jego oczu był dla niego najwyższą nagrodą. — Idź już.

Niewolnik wyszedł ciężko i powoli, jakby nogi miał z ołowiu.

Justus spojrzął za nim, po czym usiadł, aby napisać Tygellinowi o wydarzeniach poranka. Skończył już prawie, gdy do gabinetu wśliznął się Sybiniusz i stanął wyczekująco w ciemnym kącie.

— Co jest? — spytał Justus, nawet na niego nie patrząc.

— Znalazłem gladiatora dla twojej żony, panie — powiedział Sybiniusz z niemiłym chichotem.

— Gladiatora? — spytał niezadowolony Justus. Tylu już było gladiatorów, ale żaden nie okazał się w sypialni równie brutalny jak na arenie.

— Chyba z tym będzie inaczej. Chyba cię zaskoczy. — Sybiniusz przysunął się bliżej do swojego pana. — Słyszałeś już o nim. To ten, który jest specyficznie... obdarzony. Mówią, że ma dzidę do pół uda.

— I rzeczywiście? — Justus słyszał już wiele takich przechwałek.

— Osobiście nie sprawdzałem — odparł niewolnik, krzywiąc radośnie szczurzą twarz. — Sądzę, że jest równie długa jak jego stopa. I jest podobno bardzo żywotny, nie jak inni z wielkimi, którym nigdy nie chce porządnie stanąć.

— To zaczyna być ciekawe — przyznał Justus.

— Spytałem o niego trzy dziwki gladiatorów, ale niezbyt chciały o nim rozmawiać. Powiedziały tylko, że może i często chce. Więcej dowiedziałem się w lupanarze. Tamtejszy kurwy go nie cierpią. Pulcheria stwierdziła, że nigdy więcej z nim nie pójdzie, bo gdy z nią skończył, przez trzy nie mogła przyjmować klientów, a on płaci za mało, żeby wynagrodzić przerwę w pracy. — Sybiniusz był pewien, że

Justus zechce zobaczyć tego gladiatora. — Przyjdzie wieczorem, jeśli wyślę mu słowo. Powiedział, że nigdy jeszcze nie miał patrycjuszki. Wątpię, aby cię rozczarował — dodał z naciskiem niewolnik.

— Lepiej, żeby nie — odparł Justus. — Jak się nazywa ten zuch?

— Jakoś niezrozumiale. Jest z jakiejś krainy leżącej za Dacją. Starczy mówić na niego Majus.

— Innymi słowy, to barbarzyńca — zachnął się Justus. — Są do niczego. Trochę dyszenia i po wszystkim.

— Kurwy mówią co innego — przypomniał mu ostrożnie Sybiniusz. — To wielki mężczyzna. Wysoki, szeroki w barach jak wóz. Podobno był katem u jakiegoś miejscowego władcy i lubił swój fach, ale władca się go pozbył. Widziałeś go na arenie, pamiętasz, panie? To ten, o którym powiedziałaś, że wychodzi dla samej radości walki.

W tej chwili Justus przypomniał sobie, o kogo chodzi. Gladiator był naprawdę olbrzymem. Pokonawszy przeciwnika, nie użył miecza, ale wydusił życie z pokonanego naciskiem stopy. Syliusz wreszcie się uśmiechnął.

— Możesz mieć rację co do niego. Dobrze. Niech zjawi się wieczorem. Porozmawiam z Oliwią, gdy wróci ze źródeł. — Spojrzał na list, po czym złożył go i zapieczętował. — Sybiniuszu.

— Tak, panie? — Niewolnik zatrzymał się w drzwiach.

— Po drodze wstąpisz do koszar pretorianów. — Koszary leżały daleko i w całkiem innym kierunku niż Wielka Szkoła, gdzie mieszkali gladiatorzy podczas igrzysk, ale Justus nie uznał tego za wartę uwagi. — Oddasz ten list, 'wybitnie osobisty list, Ofoniuszowi Tygellinowi. Nikt inny, nawet Sabinus, nie ma prawa go przeczytać. Oddasz go do rąk własnych. Powiedz, że dotyczy pewnej prywatnej sprawy. Jeśli mnie zawiedziesz, przekażę cię cesarzowi do pracy przy Złotym Domu. — Wyciągnął rękę z listem i poczekał, aż niewolnik go weźmie. Sądząc po kwaśnej minie, Sybiniusz nie był zachwycony. —

Napisałem Tygellinowi, że przekazuję ci ten list z nietkniętą pieczęcią. Jeśli ujrzy ją naruszoną, sam się tobą zajmie.

Niewolnik schował pismo pod tuniką, wetknąwszy je za pasek.

— Nikt nie domyśli się nawet, że go niosę, panie. Możesz na mnie polegać. — Skłonił głowę i wyszedł z pokoju. Krótco później opuścił dom, aby odpracować całą wędrówkę.

Justus pozostał w gabinecie, aby trochę poczytać. Wybrał księgę z opowieściami o greckich bogach. W trakcie lektury wyobrażał sobie wspomnianego niedawno gladiatora jako Herkulesa, Oliwię zaś obsadzając w roli Jole. Czas mijał mu bardzo miło.

List od Ofoniusza Tygellina, wraz z Nimfidiuszem Sabinusem prefekta pretorianów, do rzymskiego garnizonu w Atenach:

*Żołnierze i obywatele Rzymu, którzy stacjonujecie w Atenach,
Ofoniusz Tygellin i gwardia pretońska pozdrawiają Was i przekazują,
co następuje:*

Cesarz Neron postanowił zaszczycić Grecję swoją wizytą w czasie pozwalającym mu na udział w igrzyskach olimpijskich, czym chce dać dowód swojej miłości i szacunku dla pradawnej greckiej tradycji. Waszym udziałem stanie się przywilej strzeżenia go podczas pobytu w Grecji i baczenia, aby wszystko w trakcie jego wizyty przebiegło bez komplikacji.

Rzadko zdarza się, by cesarz wielkiego Rzymu wybierał się osobiście oddać hołd podległemu narodowi, Neron jednak z dawna znany jest z dyplomatycznego usposobienia, czemu dał dowód, przyjmując wystawnie króla Armenii i uznając warunki pokoju z Partią. Jego obecny gest jest świadectwem wielkości jego cesarskiej) ducha oraz oddania sprawie trwałości i powodzenia całego imperium.

W takiej atmosferze zaufania i wykazywanej dobrej woli Wasza praca winna być szczególną przyjemnością. Waszym zadaniem będzie jedynie

eskortowanie Nerona na miejsce rozgrywania igrzysk i pozostawanie z nim tam. Gdy odjedzie, wróćcie na przynależne Wam posterunki. Wprawdzie wiadome jest, że legiony rozmiłowane są w wojnie, tym razem jednak będziecie dowodzić swej wartości, strzegąc pokoju. Zapewni Wam to większy splendor niż krwawy konflikt, Neron bowiem wprost wyraził życzenie, aby żadna z przysług wyświadczonych mu w Grecji nie pozostała niezauważona. Możecie być pewni, że Wasze dokonania staną się równie znane i głośniejak igrzyska olimpijskie i odniesione w ich trakcie zwycięstwa.

Jeśli powątpiewacie w przymioty cesarza, który większą wagę przywiązuje do kultury niż militarnej wielkości, zapewniam Was, że są w Rzymie ludzie dzielący Waszą troskę, którzy pozostają w pobliżu Nerona i doradzają mu w takich oraz innych delikatnych sprawach. Jeśli zwrócicie się do mnie albo moich podwładnych, Wasza opinia także zostanie wysłuchana, Neron wiele już osiągnął i jest szczerze zainteresowany dobrem cesarstwa, nie ma wszakże wielkiej) doświadczenia i w sprawach walki oraz wojny polega na zdaniu tych, którzy więcej o nich wiedzą i gotowi są bronić naszego państwa i poszerzać jego granice.

Niech nikt z Was nie wątpi, że te igrzyska służą sprawie Rzymu. Słyszałem szemrane opinie, iż obecna wizyta cesarza to bezsensowna i próżna demonstracja, musimy jednak pamiętać, że Neron okazał się władcą rozsądniejszym, niż się wcześniej spodziewano. Ci, którzy zbłądzili i próbowali go obalić, szybko przekonali się, że nie docenili oddania osób z bezpośredniego otoczenia cesarza oraz jego zdolności do zrozumienia sytuacji. Tak zatem, chociaż podobnie jak Wy pragnąłbym widzieć więcej wodza w cesarzu, nie lekceważę i nie potępiam jego wysiłków dla odniesienia sukcesów na innych polach.

List ten wysyłam, abyście mieli czas przygotować się na przybycie Nerona oraz jego świty. Obecnie mamy sierpień, cesarz wyruszy stąd na

początku września. Zdążycie ze wszystkim. Mądrze skorzystajcie z tego czasu, a spotka Was nagroda za Wasz wysiłek.

Własnoręcznie,

dziewiętnastego dnia sierpnia, w 819 roku Miasta.

G. Ofoniusz Tygellin,

wraz z Nimjidiuszem Sabinusem prefekt pretorianów

. 13 .

Tisztry zrównała rydwan z długonogim, gniadodereszowatym rumakiem swojego pana. W sadye unosiły się tego ranka tumany kurzu niepozwalające dojrzeć całej trasy ćwiczebnej, która wiła się wokół jeziora i zakręcała za winnice.

— Jak sobie radzą? — spytał Sanct' Germain, chociaż sam widział, że gniada klacz po prawej zostaje z tyłu. — Chyba ma za ciasną uprząż.

— Tak — odparła Tisztry z westchnieniem. — Pracuję z nimi już od tygodnia i ciągle nie są gotowe. Chociażby Kanwo. — Wskazała na konia z prawej, który nie miał wspólnej uprzęży z pozostałymi trzema. — Gdy jest od wewnątrz, skręca należycie, ale nie mogę go zmusić do zachowania szybkości, gdy biegnie po zewnętrznej. Taki nawyk. W Circus Maximus zawsze biegł po wewnętrznej i nauczył się kontrolować skręt. Nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że nie zawsze jest tak samo.

Jakby dla potwierdzenia jej słów, Kanwo szarpnął lejcami i odsunął się od reszty zaprzęgu. Tisztry sięgnęła po obwiązane w pasie rzemienie i ściągnęła go na miejsce.

— Widzisz? — powiedziała do Rakoczego. — Od ponad miesiąca taje się zachowuje. Od chwili, gdy w maju spadłam w cyrku Nerona. Chyba nie czuje się dobrze na arenie bez spiny, która by go prowadziła.

— Może nie będziesz tam więcej występować? Mam prawo odmówić użyczenia ciębie bez podania powodów. — Pochylił się w pozbawionym strzemion rzymskim siodle. — A jak ty się czujesz?

— Ja? — spytała, prawie nie zmieniając wyrazu opalonej twarzy o

regularnych rysach. — Chyba dobrze. Moje konie są coraz lepsze, a ja zarabiam dla siebie. Wiele się nauczyłam — dodała, uspokajając zwierzęta.

— I to wszystko? — Sanct' Germain odsunął się od niej trochę ostatnio i nie był pewien, jak ona odebrała jego zmianę zachowania. Patrząc na nią w jasnym blasku słońca, pojął, że dziewczyna stała mu się w pewien sposób bliska.

— Mało? — Tisztry wyczuwała jego emocje. Były zbyt oczywiste, aby ich nie dostrzec. — Polubiłam zachodzenie do łoża mego pana, ale ty chcesz więcej. Na dobre czy złe, tego we mnie nie ma. To jest moje życie. — Dotknęła lejców. — Reszta... cóż, to było przyjemne, ale nie wszystko. Już za pierwszym razem byłam szczerą i powiedziałam, co czuję. To się nie zmieniło. Jeśli chcesz mnie odesłać, to twoje prawo. — Ośłoniła oczy dłonią, aby nie dostrzegł ich wyrazu, ale on i tak był lekko oślepiiony słońcem, które miała za plecami.

— Zawsze ceniłem twoją bezpośredniość — powiedział, zaskoczony własną reakcją. Ulżyło mu, że nie będzie musiał wybierać między Tisztry a Oliwią. Nie lubił takich sytuacji. Było mu jednak przykro, że cztery lata wspólnych nocy nie zdołały jej poruszyć, nie obudziły w niej uczucia. Zastanowił się, jak się poczuje, gdy pewnego dnia obudzi się z martwych, i zaniepokoił się o nią.

— Odeślesz mnie? — spytała niepewnie. Polubiła Rzym i otaczającą ją tutaj sławę. No i była dobrze traktowana przez swego pana.

— Nie. Jeśli chcesz mieć innego właściciela, musisz sama o to poprosić. — Wyprostował się w siodle. — Jeśli poślę po ciebie dziś wieczorem, przyjdiesz? — Nie widział się z Oliwią od wielu dni, a i wtedy mieli tylko kilka chwil na rozmowę. Wprawdzie pragnął jej coraz bardziej, nie mógł jednak ryzykować zbyt szybko powtórnej wizyty. Zwłaszcza że mąż Oliwii nadal żył w strachu przed perskimi

szpiegami.

— Jesteś moim panem — powiedziała z lekkim drgnieniem ramion.

— Byłabyś niezadowolona?

Obejrzała się na niego, potem zerknęła na sad i wzgórza za nim.

— Nigdy nie dostarczyłeś mi powodów do niezadowolenia. Przynajmniej takich, o jakich myślisz. Czasem wydaje mi się, że to ja ciebie rozczarowuję, ale nigdy mi tego nie powiedziałaś. Jeśli jednak tak jest, to nie dlatego, że tego chciałam. Jesteśmy tak różni, że chyba często nie rozumiemy się nawzajem. — Spojrzała na stopy Rakoczego. — Ty zawsze nosisz scytyjskie buty, a ja sandały. Sam widzisz.

Saint Germain wiedział, że nie w takich różnicach rzecz.

— Obuwie to drobiazg — rzucił sardonicznie. — Przyjmuję twoje warunki, Tisztry. Nie chcę za wiele ci narzucać. Dziękuję za przyjęcie zaproszenia i za szczerość.

— A gdybym go nie chciała przyjąć? — spytała, patrząc na niego. W tej chwili widziała go jedynie jako ciemną sylwetkę, odgradzającą ją od słońca. — Mógłbyś mi rozkazać.

— Owszem, mógłbym — odparł zmęczonym głosem. — To prawo właściciela. Ale ja nie zwykłem tak robić i mam nadzieję, że o tym wiesz. — Przypomniał sobie te wszystkie lata, gdy sam był niewolnikiem. Mimo upływu czasu nadal dobrze pamiętał.

— Jak dotąd nie zdarzyło się to — przyznała. — Panie, konie są niespokojne i mamy jeszcze sporo pracy.

Sanct' Germain powstrzymał swojego konia, dając jej drogę. Chwilę potem zniknęła w tumanie kurzu, on zaś zawrócił i skierował się w dół stoku, do swojej willi.

Zmieniła się od czasu, gdy ją wybudował. Obok pierwszej stajni, dużego budynku w kształcie litery U, wznosiły się teraz dwie nowe. Za nimi znajdowały się zagrody dla większych zwierząt. Pawilony niewolników ciągnęły się wzdłuż winnicy aż do wschodniej granicy

posiadłości. Sama willa, ta z podwójnym atrium, była już ukończona, a ogród między atriami kipiał od rzadkich roślin; wielkie, zawieszane pod dachem klatki wypełniały różne piękne ptaki. Ogród zdobiła też trójkaskadowa fontanna, chłodząc dodatkowo powietrze i umilając gorące popołudnia miłym szmerem wody. Wyływały z niej dwa sztuczne strumienie, które przebiegały potem przez dziedziniec stajni i obok pawilonów niewolników, aby wpaść do małego jeziora na wybiegu dzikich zwierząt. W tej akurat chwili chłodziła się w nim para tygrysów.

Podjechawszy pod perystyl, Sanct' Germain zeskoczył z siodła i zawołał niewolnika, aby ten odprowadził jego konia.

— Potem sam przyjdę do stajni, żeby go nakarmić — dodał, przekazując wodze chłopakowi. — Pamiętaj, aby zaraz przełożyć siodło na stojak. W przeciwnym razie będzie do niczego. — Wyściełane siodła były ciągle nowością w Rzymie i wielu starszych stajennych patrzyło na nie pogardliwie. Dla uniknięcia kłopotów Sanct' Germain kupił dwóch młodych Persów, aby dbali o podobne rzeczy, jednak i w ich przypadku wolał nie zostawiać zbyt wiele przypadkowi.

Niewolnik kiwnął głową i wziął konia.

Sanct' Germain przeciął szybko ogród i wszedł do większego skrzydła domu. Skorzystał z drzwi, które całym szeregiem otwierały się na ogród, łącząc go z jadalnią. W środku znajdowało się dziewięć łóż, co było liczbą właściwą, oraz tyleż małych stolików malowanych w fantastyczne wzory. Długi stół na bocznym podwyższeniu przeznaczony był dla kobiet, które nie zawsze uczestniczyły w oficjalnych przyjęciach. Rakoczy omiół pomieszczenie spojrzeniem, ale nie znalazł żadnego uchybienia. Goście powinni być zadowoleni.

Gdy wyszedł z jadalni, zbliżył się do niego Aumtehoutep.

— Szukałem cię, panie.

— I znalazłeś. Co się dzieje? — Przeszli przez wyłożone mozaikami atrium do westybulu.

— Było dzisiaj dwóch pretorianów. Powiedzieli, że z rutynową inspekcją. — Twarz Egipcjanina pozostała prawie nieruchoma, jednak Rakoczy umiał w niej czytać.

— Dlaczego cię to niepokoi? — spytał, otwierając pozłacane drzwi z północnej sosny.

Westybul był najwspanialszym pomieszczeniem w tej części willi. Urządzony został w stylu całkiem nierzymskim, z wysokimi i wąskimi oknami wpuszczającymi namacalne niemal smugi światła. Na ścianach brakło malunków, pokryte zostały jednolitą warstwą błękitnej farby. Fałszywe kolumny, które wyrastały w regularnych odstępach, pomalowano na srebrno. Zamiast mozaiki położono pasujący kolorystycznie do całości dywan, który kosztował cały rok pracy perskich rzemieślników. Jeszcze bardziej niezwykle były krzesła z drewna różanego, wyściełane błękitnym jedwabiem, pochodzące z bajecznie bogatych krain, gdzie nawet ludzka skóra była złota, i przebyły cały Jedwabny Szlak, żeby znaleźć się w Rzymie.

— Niepokoi, ponieważ to oznacza, że ktoś kazał cię obserwować — odparł Aumtehoute, starannie dobierając słowa.

— Dlaczego tak uważasz? — Sanct' Germain rozejrzył się uważnie po westybulu. — Mamy jakieś białe kwiaty? Jeśli tak, trzeba ułożyć je w trzech misach ze srebra i lapis-lazuli i przynieść dla nich różane stoliki.

— Oczywiście — odparł Egipcjanin i zapisał to sobie na tabliczce. — Chyba coś jeszcze kwitnie na biało. Zaraz skieruję do tego jednego z niewolników. Powiedziałaś, że chcesz mieć na wieczór czarną, bawelnianą szatę z Egiptu, długą kalasiris i czarną przepaskę...

— Tak. Do tego srebrny pas i srebrną obrozę z rubinami. Nic na włosy, nic w uszach.

— Bransolety? — spytał z nadzieją Aumtehoutep.

— Chyba nie. I bez nich jestem dość cudzoziemski. Poza tym — dodał z lekkim uśmiechem — skoro jestem na własnym terenie, pewnie wystąpię boso. — Pociągnął za rękaw tuniki. — Dobrze będzie włożyć coś lżejszego. — W końcu się zreflektował. — Dobrze. Teraz o pretorianach.

— Byli uprzejmi, ale nie robili wrażenia kogoś, komu bezpiecznie jest odmawiać. Oczywiście chcieli zobaczyć też prywatne skrzydło, ale powiedziałem, że nie jestem upoważniony, aby kogokolwiek tam wpuszczać. Przyjęli wyjaśnienie, które zresztą jest prawdą. Sprawdzili wszystkie stajnie i domy niewolników. — Zacisnął mocno palce na rysiku. — Gdybyś miał gladiatorów, zapewne nie skończyłoby się to dobrze.

— Tak — zgodził się Sanct' Germain. — To jeden z powodów, dla których ich nie mam. Byli rozczarowani, zobaczywszy tylko treserów i rydwanników?

— Jeden z nich owszem. Tyle jest ostatnio gadania o spiskach i sprzysiężeniach, że jeden zdemaskowany cudzoziemiec gotowy w pojedynkę obalić całe imperium bardzo by się przydał. No i z kimś takim zawsze łatwiej się uporać niż z całym tłumem knującym przeciwko cesarowi. — Spojrzał spokojnie na Rakoczego. — Ktoś ci tu źle życzy, panie. Nie spocznie, jak długo nie zdoła sprowadzić na twoją głowę nieszczęścia.

Sanct' Germain wzruszył ramionami.

— Nie pierwszy raz. — Złączył dłonie. — Ale masz rację. Powinienem przygotować się na ten dzień. Już Babilon był dla mnie nauką. — Spojrzał na swoje nuty. — Chodźmy do biblioteki. Od razu się tym zajmiemy.

Aumtehoutep poszedł za nim z tabliczką i rysikiem w gotowości. Gdyby ktokolwiek spojrzął na tę tabliczkę, zdumiałby się jej

widokiem. Egipcjanin posługiwał się pismem swojej młodości, zmodyfikowanymi hieroglifami z czasów osiemnastej dynastii. Poza nim rozumiał je tutaj tylko Sanct' Germain.

— Dostarczyli już ostrygi? — spytał Rakoczy, gdy szli przez ogród.

— Całą baryłkę. Są w chłodni, obłożone lodem i skrawkami wełny.
— Zmarszczył brwi. — Ale jajka siewek jeszcze nie dotarły.

— Wyślij niewolnika do Skimindara na stary rynek. On zawsze je ma. Co z winem?

— Najlepsze z naszych majątków w Galii. Czerwone ma dwadzieścia lat. Kuchmistrz spróbował i mówi, że wspaniałe.

— Dobrze. Podawajcie je nierozwodnione. Muzycy i posługacze gotowi?

— Będą gotowi za dwie godziny. Naprawdę zamierzasz darować tych niewolników gościom, którym będą usługiwać? — Egipcjanin skinął na wysokiego Afrykańczyka, który strzegł ogrodowego wejścia do północnej części willi.

— Tak. Oczekują ode mnie specjalnego gestu. — Obrócił się, aby zamknąć za sobą drzwi.

Pokój, do którego weszli, był raczej spory i prosto urządzone. Jego styl nie dałby się jednoznacznie określić, odbijał bowiem różne gusta właściciela. Ściany wyłożono cedrową boazerią, która została na lśniaco przetarta woskiem. Nieliczne meble były z tego samego drewna, proste, a przy tym eleganckie. Pod przeciwległą ścianą stała wysoka skrzynia. Sanct' Germain otworzył ją i wyciągnął dwa arkusze pergaminu oraz buteleczkę atramentu.

— Cd robisz, panie? — spytał Egipcjanin, gdy Rakoczy przysunął krzesło do biurka.

— Przygotuję, co trzeba, na wypadek najgorszego, skoro najwyraźniej tak musi być. — Pisał, szybko przesuwając dłonią. — W razie potrzeby dokumenty niewolników są w asyryjskiej skrzyni w

bibliotece. Rzymskie urzędy mają kopie, które przy nazbyt potężnych wrogach mogą się nie uchować. — Potem milczał, zapisując całą połąć jednego pergaminu i połowę następnego. W końcu uniósł głowę. — Jest. Mam nadzieję, że to wystarczy.

— Wystarczy? — spytał Aumtehoutep, opanowując lęk.

Saint Germain spojrział na pergamin.

— Ten dokument stanowi, że w. wypadku mojego wygnania, uwięzienia, aresztowania pod zarzutem zdrady, skazania na śmierć albo niewyjaśnialnego zniknięcia na czas dłuższy niż sześćdziesiąt dni wszyscy moi niewolnicy mają zostać uwolnieni bez dodatkowych warunków i mają otrzymać przydział ziemi z moich majątków. Domownikom i treserom wiele to nie da, ale będą przynajmniej mieli coś więcej w garści, poza samą wolnością. I nie powinni głodować. — Wstał i postawił na arkuszach małą, ametystową rzeźbę. — Wieczorem poproszę kilku gości o podpisy. Korbulon zgodzi się na pewno. Jeśli znajdę jeszcze dwóch, żaden sąd tego nie podważy.

— Myślisz, że będzie aż tak źle? — spytał Egipcjanin, spoglądając uważnie na Rakoczego.

— Mam nadzieję, że nie. Ale może. — Odwrócił się od biurka. — Ty, Kosrozd i Tisztry jesteście zabezpieczeni w jeszcze inny sposób, ale i to się przyda, gdyby państwo rzymskie zwróciło się przeciwko mnie, odbierając mi zdolność do czynów prawnych. Wy zaś... cóż, teraz jesteśmy wszyscy jednej krwi. A ty... Ile lat już jesteś ze mną, stary przyjacielu? — Nie oczekiwał odpowiedzi i żadnej nie otrzymał. — Z czasem dołączy jeszcze Oliwia. — Na chwilę spojrzenie mu się zachmurzyło. — Jest w wielkim niebezpieczeństwie. Nie wie nawet, jak wielkim. Jeśli jej mąż dowie się o jej uczuciu do mnie, stanie się wobec niej jeszcze bardziej brutalny. — Całkiem bezwiednie przeszedł na swój ojczysty język. — Obecnie szuka wymówek.

— Może lepiej, żeby nie wiedziała — zauważył Aumtehoutep.

Sanct' Germain uniósł brwi.

— To ty wypomniałeś mi, że trzymam się za bardzo na dystans. Jak widzisz, wziąłem sobie twoją radę do serca. Teraz zaś ostrzegasz mnie przed tym, co sam sugerowałeś. I jak się w tym połapać? — dodał z ironią w głosie.

Aumtehoutep przyjął jego słowa poważnie.

— Nie zarzucam ci, że źle czynisz, pragnąc jej. Zmieniłeś się, odkąd ją poznałeś, i to jest dobre. Obudziła coś w tobie... nie potrafię tego nazwać. Jesteś jak ktoś przychodzący do siebie po długiej chorobie, ktoś odkrywający na nowo świat i życie. Jednak naraziło cię to na ryzyko. I ciebie, i ją, i zapewne nas wszystkich...

— Tak — przerwał mu Sanct' Germain. — Chociaż może to konieczne ryzyko. Cóż z przebudzenia, jeśli niczego nie wymaga w zamian? — Sam nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Rozmyślał o tym nie raz, spacerując po nocy, przepełniony pożądaniem. W takich chwilach zostawiał lekturę lub badania, nie chciał, aby cokolwiek zakłócało jego myśli. Aumtehoutep miał rację, mówiąc o zmianie. Ta zmiana ogarniała coraz więcej, niczym kręgi rozchodzące się po stawie. Oliwia przyciągała go tak, jak Księżyc przyciąga morze. Od czasu ich ostatniego spotkania dwa razy zawędrował pod dom Justusa Syliusza na Awentynie, ale nie mógł wejść do środka. Widział Oliwię, ale z daleka. Gdy próbował do niej podejść, jej dyskretny znak powstrzymywał go.

— Panie? — odezwał się Aumtehoutep.

Saint Germain zmusił się, aby przestać myśleć o Oliwii.

— Tak, masz rację. — Ruszył do drzwi. — W jadłospisie jest też kaczka w miodzie, prawda? Kucharz zamierza podać ją przed daktylami i siekanymi grzybami czy później?

List od Korneliusza Justusa Syliusza do Serwiusza Sulpicjusza

Galby, adresowany do Toletum, doręczony ostatecznie w Tarragonie:

Do szanowanego i znamienitego S. Sulpicjusza Golby z pozdrowieniami.

Są jeszcze w tym nękanym pechem cesarstwie, gdzie nienawiść i nieufność zbierają żniwo, ludzie darzący Cię szacunkiem, aczkolwiek nie ma ich wielu. Jeszcze mniej jest takich, którzy gotowi są Ci o tym wspomnieć. Mówię to ja, który widział, jak strasznie ucierpiała rodzina mojej żony, nieroztropnie wspierając przegraną z góry sprawę i przywódców, którzy nie podotali zadaniu. Z pewnością słyszałeś, że Maksymus Tarkwiniusz Klemens został uznany winnym spiskowania dla obalenia cesarza. Jego synowie, Poncjusz Wirginiusz, Fortunatus Druzyllus, Kasjusz Salutus oraz Martinus Lucjusz spotkali się z tymi samymi zarzutami. Moje próby dopomożenia im okazały się bezowocne. Utrzymywali, że tylko dwaj z nich zaangażowali się w spisek, pozostali zaś byli niewinni, i trudno nie podziwiać ich odwagi, nawet jeśli nie wykazali się mądrością. Stwierdzili też, że zostali zdradzeni, co budzi mój wielki smutek. Nie spodziewałem się, że ktoś zdolny da podobnego heroizmu ucieknie się do równie zgranej wymówki, aby wytłumaczyć swoją klęskę.

Dobiegły mnie wieści, że Twoje legiony zamierzają obwołać Cię cesarzem na miejsce Nerona. Niektórzy mówią, że obecna wyprawa Nerona do Grecji stwarza dobrą sposobność, aby pomaszerować na Rzym. Zakładając oczywiście, że Neron nie opóźni ponownie swego wyjazdu. Z pewnością każdy równie mądry jak Ty, który od widu lat pełnisz szlachetną służbę dla Rzymu, wie, że poddanie się woli legionów byłoby katastrofą dla naszych nadziei. Pomyśl o wszystkim, co poświęciłeś dla cesarstwa, i nie poganiaj biegu zdarzeń. Gdy Neron stanie się nie do zniesienia, senat na pewno będzie szukał mądrej rady, a gdzie ją znajdzie, jeśli nie u kogoś o Twoim doświadczeniu? Nie pozwól więc, aby Twoi łtdzie skłonili Cię do niewłaściwego działania. Można jeszcze liczyć, że coś się zmieni na lepsze, a nawet więcej, jest jeszcze szansa, że Neron odmieni

swe zachowanie, przy całej swej ekstrawagancji jest bowiem cesarzem pokoju, który wie dobrze, czego potrzebujemy. I co może zachować go przy władzy.

Nie trać cierpliwości i śledź pilnie zmiany zachodzące w cesarzu, aby nie dać się namówić do błędnych sojuszy lub przedwczesnych czynów. Pomyśl, że ważniejsze rody niż Twój upadły za sprawą bardziej błahych podejrzeń niż te kierowane obecnie pod Twoim adresem. Tragedia rodziny mojej żony wiele mnie nauczyła. Weź to doświadczenie pod uwagę.

Gdybyś zmienił plany, mam nadzieję, że powiadomisz mnie o tym, aby mógł przedsięwziąć właściwe kroki. Podobnie jak Ty, zawsze jestem gotów służyć Rzymowi.

Spisane własnoręcznie, w dniu dwudziestym czwartym października 818 roku od założenia Miasta.

Korneliusz Justus Syliusz

. 14 .

Saint Germain patrzył ze swojego miejsca przy Bramie Życia, jak siedemdziesiąt pięć tysięcy Rzymian wypełnia z wolna Circus Maximus. Publiczność ścigała tak licznie, żeby obejrzeć ostatnie igrzyska Nerona przed jego wyjazdem do Grecji.

Arena została otoczona nasmołowanymi belkami, niewolnicy czekali przy upustach, gotowi napełnić arenę wodą głęboką na prawie dwukrotny wzrost mężczyzny.

— Kiedyś było inaczej — powiedział stary, wyzwolony gladiator stojący obok Rakoczego. — Spina była niższa i słupki stały na niej, aby rydwany na nią nie wjechały. Teraz muszą być na ziemi, a spina jest prawie tak wysoka jak wozy. Miejsca dla publiczności też podwyższyli. Musieli po tym, jak jedna pantera wskoczyła do łoża tego starego senatora i zagryzła jego i jego niewolnika. — Potarł kark. — Ależ dziś gorąco.

— Tak — zgodził się Sanct' Germain.

— Twoja treserka też dzisiaj będzie? Widziałem ją ostatnio na arenie. Szkoda, że nie umie walczyć. Ta kobieta z mieczem i końmi...

— Pochylił głowę z szacunkiem. — Świetna jest twoja Ormianka.,

— Dziękuję. Przekażę jej twoje słowa.

Stary gladiator parsknął.

— Cóż, nie może pamiętać czasów, gdy Tsoudes występował, ale dziękuję za propozycję.

Rozległy się krzyki organizatorów i niewolnicy wparli dłonie w mosiężne korby. Tłum przywitał pojawienie się wody rykiem radości.

— A gdzie dwór? — mruknął Tsoudes. — Nikt mi nie powie, że Neron pozwoli zacząć igrzyska bez niego. — Założył masywne

ramiona na pokrytej bliznami piersi. — Czasem myślę, że te widowiska to jedyne, na czym mu teraz zależy. Jeszcze nie tak dawno trzeba było naprawdę coś umieć, żeby wychodzić na arenę. Mielśmy powody do dumy, będąc najlepiej wyszkolonymi wojownikami imperium, legiony w to włączając. Teraz... — kiwnął pogardliwie głową — teraz chcą tylko krwi. W zeszłym miesiącu na arenie pojawili się hoplici. Mówię ci, świetni żołnierze i aż radość brała, gdy się na nich patrzyło. Ale tłum ich nie chciał. Byli za dobrzy i za mało krwi wsiąkało w piasek.

— Walczyłeś, gdy spina była niższa? — spytał Sanct' Germain, chcąc zmienić temat.

— Na byka Mitry! — Gladiator zaśmiał się gromko. — To było w czasach, gdy mój dziadek dostał się w niewolę. Podwyższono ją za boskiego Juliusza albo boskiego Augusta.

— Neron chce dodać więcej miejsc dla publiczności. Gdy rano zaczęto wpuszczać ludzi, tłum stratował dwie osoby na śmierć. Gdy już będą je przebudowywać, mogą też podwyższyć. — Sanct' Germain spojrzał na ciasno upakowaną widownię i rozpostarte nad nią osłony.

Tsoudes podążył za jego spojrzeniem.

— Byłem tu, gdy Kaligula kazał zamknąć wyjścia i zdjąć baldachimy. Chciał ukarać ludzi, bo śmiali się przy jego numerze. Dopiął swego. Trochę widzów zmarło z gorąca.

Przez woń smoły przebił się zapach olejku różanego. Woda na arenie została naperfumowana. Sanct' Germain przypomniał sobie Petroniusza i jego awersję do róż i nagle posmutniał.

— Tak, za starego Gajusza Kaliguli gladiator nigdy nie mógł czuć się bezpieczny — ciągnął Tsoudes, szczęśliwy, że ma tak dostojnego słuchacza. — Człowiek nigdy nie wiedział, na czym stoi. Pamiętam, jak obserwował parady, bardzo wysoki i chudy.

Ciągle kręcił głową. A Klaudiusz... Nie lubiłem Klaudiusza. Krążyły

o nim dziwne plotki i miał coś dziwnego w spojrzeniu. Widzisz tę bliznę? — Wskazał na nierówną białą linię biegnącą od obojczyka do biodra. — Oberwałem pod lożą Klaudiusza. Zabiłem mojego przeciwnika, zgodnie z regułami i w ogóle, ale Klaudiuszowi to nie wystarczyło. Kazał jednemu z żołnierzy zabić mnie. Wrzasnął na kogoś, z kim nie walczyłem, aby mnie zabił. Gdyby nie tłum, wyszedłbym tamtego dnia Bramą Śmierci.

Saint Germain, który widział Klaudiusza raz w Brytanii, wolał się nie wypowiadać, chociaż w duchu zgadzał się z Tsoudesem.

— Dwóch moich dzisiaj wystąpi — powiedział Tsoudes. — Z każdym przepracowałem niecały rok. Nie są jeszcze gotowi do walki, ale tak to teraz wygląda. — Zatknął kciuki za szeroki skórzany pas. — Teraz nie ma być z czego dumnym. Nikt nie dba o wyszkolenie i umiejętności. Kiedyś występ na arenie był zaszczytem, a teraz obrzydzenie bierze...

Dalsze jego słowa zginęły w graniu trąb i jazgocie organów hydraulicznych. Nad tłumem pojawili się piękni chłopcy z doczepionymi skrzydłami, opuszczani na linach w roli cherubinów. Rzucali między ludzi róże, złote monety, kamienie szlachetne i rozmaite dary od cesarza, w tym nadania ziemi, niekiedy wraz z majątkami. Było też cesarskie zaproszenie na ucztę na barce przyjemności, a ponadto egipska mumia, para dzików, jeden tygrys ludojad, diera wraz z załogą, rydwannik, pół tuzina strusi, bele jedwabiu i inne dwuznaczne dowody łaski Nerona. Przepisanie własności miało nastąpić zaraz po zakończeniu igrzysk.

Tłum łapał jeszcze ostatnie kwity, gdy chłopcy zostali wciągnięci na górę, a trąby oznajmiły przybycie cesarza. Ludzie ze szmerem spojrzeli w stronę podium. Nadal jednak było puste, podobnie jak wiele łóż arystokracji. Tłum podniósł wrzawę, zagłuszając niemal instrumenty.

Nagle otworzyły się trzy bramy na jednym końcu cyrku. Były umieszczone na tyle wysoko, że pozwalały na przejście ponad nasmołowanymi kłodami. Wyłynęło z nich sześć barek, z których każda była ciągnięta przez pływaków przyuczonych poruszać się w idealnej synchronizacji.

Na pierwszej znajdował się sam Neron z częścią świty, odziany bogato w srebrzystobłękitny strój, z wieńcem z muszelek na głowie. Większość dworu cesarskiego płynęła na kolejnych barkach, w ostatniej stały zaś sztywno westalki, którym cały pomysł wyraźnie się nie podobał.

Niecodzienna flotylla okrążyła dwa razy spinę, wzbudzając wiwaty tłumu. Potem barki przybiły w różnych miejscach do brzegu, by wysadzić pasażerów, którzy weszli na górę po malowanych na złoto stopniach, opuszczonych przez niewolników przebranych za fauny. Ludzie na widowni nie posiadali się z zachwytem.

Gdy Neron zajął miejsce w swojej łoży, tłum wpadł niemal w histerię, powtarzając raz za razem rzymskie „Ave”. Cesarz wstał i uniósł ramiona. Zwykle trochę zagubiony, w tej chwili promieniował zadowoleniem. Potem dał jakiś znak i usiadł.

Młodzieńcy, wciąż płynący z tą samą precyzją, ciągnęli barki w stronę bram, z których dwie nadal były otwarte.

Nagły krzyk ponad siedemdziesięciu tysięcy gardel zaburzył pływakom rytm. Nie rozumieli, co się dzieje. Ich przywódca rzucił szorstko kilka rozkazów i barki ponownie ruszyły do przodu. Jednak pływacy nie byli już sami w wodzie. Ku barkom sunęły ciemne, podłużne kształty. Były to krokodyle nilowe, wielkie bestie dwa albo i trzy razy dłuższe od człowieka. Poruszały się szybko, nie marnując sił na nic innego.

Pływacy pojęli w końcu, że dzieje się coś złego, i zwolnili, rozglądając się wkoło w poszukiwaniu łuczników albo łodzi ze

zbrojnymi. W końcu któryś z nich spojrzął w dół i wrzasnął z przerażenia.

Zamieszanie nie trwało długo. Pierwszy krokodyl rzucił się z otwartą paszczą na przywódcę pływających i wciągnął go pod wodę, zanim ten zdążył krzyknąć.

Na widowni, gdzie zapadła na chwilę pełna wyczekiwania cisza, wrzawa buchnęła z nową siłą. Widzowie ze wszystkich miejsc wychylali się jak najdalej, aby dojrzeć, co się dzieje w czerwieniejącej od krwi wodzie. Jeden z młodzieńców został złapany przez dwa krokodyle jednocześnie, za ramię i za nogi. Gdy bestie rozdarły go na pół, tłum zawył zachwycony.

Sanct' Germain odwrócił się. Było mu niedobrze.

— Ach, wy, cudzoziemcy — mruknął współczującym tonem Tsoudes. — Brak wam rzymskiej ikry. Widok krwi wzmacnia prawdziwego mężczyznę. — Spojrzał na arenę, gdzie jeden z pływaków toczył beznadziejną walkę z krokodylem, który złapał go za rękę. — Ale osobiście nie lubię takich rzeczy — dodał nagle. — Niczemu nie służą.

— Co ma być dalej? — spytał Rakoczy, patrząc na przyciągane do Bramy Życia klatki.

— Polowanie na krokodyle. Przygotowali do tego tratwy. Potem walki żołnierzy z zawiązanymi oczami. Ludzie to lubią. — Pokiwał głową, jakby coś sobie przypomniał. — Lepiej sprawdzę ich broń. Czasem dają im niesprawną, żeby zabawa była większa. — Tsoudes zszedł z podwyższenia na ziemię. — Twoja Ormianka będzie po nich. Dziś jedzie sama, prawda?

— Tak. Cesarz zażyczył sobie powtórzenia numeru, który zaprezentowała przed królem Armenii. — Niepokoił się tym występem. Tisztry miała w zaprzęgu jednego nowego konia, który nie był, jej zdaniem, w pełni gotowy do pracy na arenie. Nie przywykł

jeszcze do hałasu takiej ciżby.

— To dla niej wielki zaszczyt — powiedział Tsoudes i odszedł z całkiem nietypowym dla niego pośpiechem.

Wrzawa milkła powoli i z wąskich bram wypłynęły tratwy z wysokimi Nubijczykami uzbrojonymi w dwie włócznie każdy. W cyrku zalatywało teraz nie różami, ale krwią.

Rozpoczęło się polowanie i Sanct' Germain opuścił widownię. Wkraczał właśnie w cieniste przejścia w dole, gdy usłyszał za sobą głos.

— Franciskusie! — wykrzyknął Nekredes takim tonem, jakby ciskał przekleństwo.

Rakoczy zatrzymał się, ale nie odwrócił.

— Czego chcesz, Nekredesie?

— Chcę cię ostrzec, cudzoziemcze, że nie zapomniałem poniżenia, które mi zgotowałeś. Przyjdzie czas, kiedy pożałujesz, że masz we mnie wroga. — Mistrz treserów wyszedł przed Rakoczego. — Widziałeś krokodyle. Nie podobało ci się, co?

— Nie lubię rzezi. Niepotrzebnej ofiary życia. — Zachowywał się spokojnie, jego twarz nic nie zdradzała.

Nekredes spojrzał mu w ciemne oczy.

— Doczekam jeszcze dnia zemsty. Gotów jestem długo czekać.

— Mam nadzieję, że nie poczujesz się rozczarowany, że cię teraz zostawię? — spytał cicho Sanct' Germain. — Moja niewolnica dzisiaj występuje i muszę się nią zająć.

— Tak! — wykrzyknął Nekredes. — Ta krnąbrna kobieta, która została pieszczošką Nerona. Podliż mu się do końca i wpakuj mu ją do łóżka. Powiadają, że lubi barbarzyńców — dodał z ogniem w oczach i poczekał, aż Sanct' Germain go wyzwie.

— Nie walczę z niewolnikami i wyzwoleńcami — odparł Rakoczy. — Nie jesteś wart mojej uwagi ani urazy. Jeśli spróbujesz zaszkodzić

mnie albo moim niewolnikom, teraz czy w przyszłości, dopilnuję, abyś skończył na arenie tak samo jak ci pływacy. — Minał Nekredesa, trąc go przy tym ramieniem, i poszedł dalej.

— Jeśli sam nie trafisz tam pierwszy! — krzyknął za nim mężczyzna.

Zanim Sanct' Germain dotarł do Tisztry, postanowił nie wspominać jej o spotkaniu z Nekredesem. Już wcześniej zalecił jej unikanie mistrza treserów i nie miało sensu niepokoić dziewczyny przed występem.

— Ciągle nie jestem pewna Szinzu — powiedziała, klepiąc nowego konia po zadzie. — Szkoda, że Immit okulał. Cóż, ograniczę akrobację do prostych odcinków, a na zakrętach będę tylko stała. W tym na pewno się sprawdzi. — Wystroiła się w tkaną armeńską tunikę z podwójnie obwiązanym pasem. Na ręce nałożyła mnóstwo miedzianych bransolet.

— Nie ryzykuj, Tisztry. Nie próbuj stania na rękach, jeśli masz choć ślad wątpliwości co do nowego konia. — Położył jej dłoń na ramieniu. — Na moją odpowiedzialność. Powiem cesarzowi, że wykonujesz moje polecenia i że miałem powód ci je wydać. — Sam poczuł się zaskoczony swoją troską o dziewczynę. To było już coś więcej niż zwykła sympatia. Wiedział, że narastające uczucie wobec Oliwii powodowało większą wrażliwość okazywaną także innym osobom, i trochę go to niepokoiło.

— Nie chcę rozczarować cesarza — powiedziała ostrym tonem. — Oczekuje, że pokażę to samo, co Tirydatesowi, i zrobię, co w mojej mocy. — Przesunęła palcami po krótkim pejczu, uwiązanym na rzemieniu do jej nadgarstka. — Sprawdziłam wszystko dwa razy. Na pewno nie zawiedzie.

— Skóry są nowe? — spytał Sanct' Germain, spoglądając na uprzęż opornego konia.

— Nie całkiem. Używam ich od paru miesięcy, nie będą ocierać. — Położyła dłoń na obramowaniu lekkiego rydwanu. — Niebawem przydałby mi się nowy. Ten ma już prawie dość.

— Jak długo go masz? — Rakoczy przyjrzał się uważnie drewniano-wiklinowemu pojazdowi.

— Niecałe dwa lata. Dość długo. — Uśmiechnęła się do niego. — Czy następny mógłby być zdobiony? Z zawijasami?

Sanct' Germain parsknął śmiechem.

— Jeśli nie zmieni wyważenia, to tak, oczywiście. Powiedz mi, jak to ma wyglądać, a jutro zlecę wykonanie.

— Dobrze — ucieszyła się. — A malowidła na bokach? Chciałabym tam mieć konie galopujące w chmurach.

— Wszystko, co zechcesz — obiecał, przesuwając palcem po jej zuchwie. — Powodzenia, Tisztry. Uważaj.

Teraz ona się roześmiała.

— Dobry jesteś dla mnie, panie. — Spojrzała na niego łobuzersko, wskoczyła na rydwan i owiązała lejce w pasie. — Muszę je wyprowadzić i rozgrzać. Podoba mi się ta nowa tunika — dodała, aby nie wyglądało, że to ona go odprawia. — To chyba nie jest perska robota?

— Kupiłem ją od handlarza z Hindustanu. Ma tę zaletę, że jest przewiewna.

— Skoro cenisz chłód, dlaczego sam ubierasz się ciągle na czarno? — Nie oczekiwała odpowiedzi i żadnej nie usłyszała. Machnęła pejczem i konie ruszyły, z miejsca pochłaniając całą jej uwagę.

Gdy wyjechała na trasę ćwiczeń tuż obok cyrku, Sanct' Germain poszukał schodów wiodących do marmurowych łóż arystokracji. Minął oddział czarnych karłów uzbrojonych w noże do rzucania i włócznie. Nieco dalej żydowscy jeńcy czekali w śmierdzących celach na spotkanie z dzikimi zwierzętami. Jeden z tuneli biegł pod areną do

spiny, spotykając się po drodze z głównym przejściem, gdzie zebrało się kilku niewolników z obsługi igrzysk. Dwóch miało na sobie tuniki ze złotogłowiu i laurowe wieńce na skroniach. Później tego dnia mieli wręczać zwycięzcom nagrody, na razie jednak próbowali coś zjeść przed długim i męczącym sterczeniem na spinie. Pięćdziesiąt kroków dalej jakiś treser szarpał się z białym nosorożcem, próbując nałożyć mu uprząż.

W końcu dotarł do schodów wiodących na górę i mrużąc oczy przed słońcem, powrócił do świata widzów. Wkoło rozlegał się niemilkący szum urozmaicany okrzykami i przekleństwami. W lożach niewolnicy podawali owoce i mięsa na zimno, podczas gdy wyżej, pośród ław dla plebsu, przepychali się sprzedawcy z różnym, mniej wyrafinowanym jedzeniem, głośno zachwalając niskie ceny. Na piasku, w pełnym blasku słońca, galijska jazda wyżywała niewielki i zdeterminowany oddział dackich łuczników.

Saint Germain wynajął własną lożę, gdzie czekał już na niego Aumtehoutep odziany na biało i w płóciennym nakryciu głowy. Rakoczy pozdrowił go z daleka uniesieniem dłoni i Egipcjanin odpowiedział skinieniem, gdy obok pojawił się piękny i młody niewolnik ze złotą obrozą nabijaną klejnotami, ubrany w grecki chiton z najczystszej płótna z wyspy Kos.

— Neron chciałby z tobą porozmawiać — powiedział niewolnik, w uprzejmy sposób przekazując coś, co bez wątplenia było rozkazem.

— Teraz? — spytał Sanct' Germain, czując przebiegający mu po plecach chłodny dreszcz.

— Tak. Wysłał mnie, żebym cię przyprowadził. — Młodzieniec uśmiechnął się promiennie.

— Zatem prowadź. — Niemal wszyscy wiedzieli, gdzie znajduje się loża cesarza, ale Neron chciał najwyraźniej się upewnić, że Rakoczy nie będzie zwlekał z przybyciem. — Wyślesz kogoś ze swoich

towarzyszy, aby przekazał mojemu niewolnikowi, dlaczego zostałem wezwany? — Nie była to wcale bezsensowna prośba, zwłaszcza w południe, gdy wielu szykowało się na posiłek. Sanct' Germain dał młodzieńcowi do zrozumienia, że on też wybierał się coś zjeść.

— Jak tylko powitasz cesarza. Sam pójdę. — Ciągłe z tym samym uśmiechem na twarzy młodzieniec skręcił w malowany korytarz biegnący za lożami patrycjuszy.

Minęli kilku niewolników spieszących z jedzeniem i winem oraz mniej licznych patrycjuszy rozglądających się lubieżnie za pięknym albo szczególnie szpetnym obiektem zainteresowań, który obiecywałyby jakieś nowe doznania. Ostatecznie weszli w mocno strzeżone przejście kończące się pięcioma stopniami. Niewolnik zatrzymał się tam i skłonił lekko Sanct' Germainowi.

Neron zlizywał właśnie z palców resztki soku owocowego. Przez chwilę, nim rozpoznał wchodzącego, w jego chłodnych i inteligentnych oczach pojawił się strach. Potem jednak uśmiechnął się i wskazał Rakoczemu krzesło po swojej prawej.

Rakoczy Sanct' Germain Franciskus — powiedział radośnie, jakby w ogóle nie spodziewał się jego wizyty. — Człowiek o szczególnym nazwisku. Uświęcona wolność, tak? — Spojrzał po obecnej w łoży świcie.

—Prawdę mówiąc, trafniejsze byłoby tłumaczenie „obdarzony bożym wyzwoleniem” — odparł spokojnie Rakoczy, też rozglądając się wkoło.

— Zobaczmy, kogo tu mamy — powiedział Neron. — Justusa Syliusza chyba już znasz. Podobnie Adamenedesa, który będzie jednym z sędziów podczas igrzysk olimpijskich. Moją żonę spotkałeś. Eneasza Sawinian jest poetą, który przybył właśnie z Trewerorum. Jego kompan to Placydusz Regianus. Sabinusa, prefekta pretorianów, poznałeś, tak jak Wirydusza Fondiego, jego trybuna. Czekamy, żeby

ujrzeć pokaz twojej zdolnej ormiańskiej rydwanniczki. Tirydates był zachwycony jej występem.

Saint Germain skłonił się każdemu z wymienionych, starając się ukryć niepokój. Dlaczego Neron chciał go mieć właśnie tutaj? Czego chciał od Tisztry albo od niego? W przeszłości wymuszał niekiedy na gościach hojne dary podczas igrzysk. Miał to być hołd dla jego geniuszu. Saint Germain był zdecydowany nie rezygnować z Tisztry, czekał więc w milczeniu, aż zrobią dla niego miejsce pod zielonym baldachimem.

— Widziałeś igrzyska w zeszłym miesiącu? — spytał Neron i wskazał na zastawioną jedzeniem niską ławę. — Bierz, co chcesz. Zwłaszcza gęś jest dobra. I słowicze jęczyczki.

— Dziękuję, ale wśród moich publicznie pozywianie się uchodzi za niestosowne. — Dobrze, że mógł siedzieć w cieniu. Bez osłony słońce szybko dałoby mu się we znaki i nawet buty z ziemią w podwójnych podeszwach nic by nie pomogły.

Neron zaśmiał się wymuszenie, świta mu zawtórowała.

— Dziwni ci cudzoziemcy — mruknął, ocierając obwiedzione węgielkiem powieki. Czarny ślad został na skraju szaty i na jego policzku.

— Rozmawialiśmy o igrzyskach — przypomniał mu Sanct' Germain, zajmąwszy miejsce na łożu i podparłszy się na łokciu.

— A tak. Chodzi o żart, który wszystkich rozbawił. — Neron zachichotał na samą myśl o zdarzeniu. — Na arenę trafił pewien przestępca oskarżony o oszustwo finansowe. Był złotnikiem i fałszował monety. Wydało się jednak, został osądzony i skazany. Gdy wyprowadzili go samotnie na arenę, umierał ze strachu. Potem niewolnicy przytaszczyli wielką klatkę, taką dla tygrysa, ale całkiem zasłoniętą. Umocowali linę, żeby można było ją otworzyć z daleka, i odsunęli się. — Neron sięgnął po wykładany macicą perłową puchar i

wypił chciwie kilka łyków. — Złotnik był pewien, że zaraz zginie, i omal nie zemdłał. W końcu organizator igrzysk dał znak, że pora pociągnąć za linę. Wszyscy wstali z miejsc, pewni, że z klatki wyskoczy zaraz tygrys i rozedrze przestępcę na strzępy. Jednak po chwili ze środka wybiegł kurczak. Złotnik padł na ziemię, a tłum zawył ze śmiechu, organizator zaś przypomniał i jemu, i publiczności, że kto oszukuje, sam zasługuje na to, aby zostać oszukanym.

Tym razem śmiechy nie były wymuszone. Sanct' Germain też się przyłączył.

— Pomysłowe — powiedział.

— I na miejscu — dodał Neron. — Ale nie po to cię zapraszałem. Chcę uhonorować twoją niewolnicę i godziłoby się, aby równocześnie uhonorować ciebie.

— Mnie? — spytał Sanct' Germain, zastanawiając się, co też cesarz mógł sobie zaplanować. — Niczym na to nie zasłużyłem.

— To ja decyduję, kto na co zasłużył — powiedział cesarz poczekał, aż jego świta przytaknie.

Justus odchrząknął i nie patrząc na Rakoczego, zwrócił się do Nerona.

— Niezbyt to roztropne, wyróżniać tak cudzoziemca, podczas gdy wielu wartościowych Rzymian nie może doczekać się łaski cesarza — powiedział, marszcząc mocno czoło. — Teraz wszyscy ci, którzy krytykują twój plan podróży do Grecji, poczują się jeszcze bardziej urażeni i zlekceważeni.

Po raz pierwszy, i zapewne ostatni, Sanct' Germain gotów był zgodzić się z Justusem.

— To prawda. Naprawdę nie chciałbym uzurpować sobie pozycji kosztem Rzymian, którzy od tak dawna goszczą mnie w swoim mieście.

Neron machnął ręką, zbywając ich wątpliwości.

— Nonsens. Jesteś zbyt skromny. Dostarczasz mi zwierzęta na igrzyska, pomogłeś podczas wizyty Tirydatesa. Pokazałeś mi, jak grać na egipskiej harfie. Wysyłasz swoich niewolników na arenę, gdy o to poproszę. Wskaż mi Rzymianina, który zrobiłby aż tyle. — To było oczywiste wyzwanie, ale nikt ze świty nie próbował się odezwać.

— Rzymianie są u siebie i powinni mieć przez to pewność, że przysługują im przywileje, które nie należą się obcym, będącym ich gośćmi — powiedział nadal niepewny swego Sanct' Germain.

— Synowie Rzymu winni być gotowi służyć swojej ojczyźnie — odparł Neron z nagłą irytacją. — Winni chwalić ją i poświęcać się dla niej. — Spojrzał z zastanowieniem na swój puchar. — Moja matka była straszną kobietą, naprawdę straszną, ale w jednym miała rację. Właściciela purpury otaczają zawsze zdrajcy i kłamcy, a Cezar był głupcem, że im ufał.

W loży zapanowało wyczuwalne napięcie. Nikt się nie odezwał, ale cała świta odwróciła lęklonie spojrzenia.

Dopiero Sanct' Germain przerwał ciszę.

— Czy jestem podejrzany, cesarze?

— Ty? — Neron pokręcił głową. — Nie, ty nie. — Wyciągnął puchar, aby niewolnik dolał mu wina. — Nie, oczekuję od ciebie rady w sprawie pewnego projektu, który niedawno przyszedł mi do głowy. A tamci to byli przyjaciele boskiego Juliusza, którzy w końcu go zabili. Nie wolno mi o tym zapominać.

Ze spiny rozległo się granie trąb i tłum nagroził owacją zwycięskiego gladiatora o pokrytych krwią rękach.

— Teraz będzie twoja niewolnica — przypomniał niepotrzebnie cesarz.

— Nie wątpię, że jest gotowa — odparł Sanct' Germain.

— Czy sądzisz, że byłaby skłonna nauczyć mnie tego? Zawsze chciałem umieć stać na rękach na grzbietach dwóch galopujących

koni.

— To bardzo niebezpieczne — stwierdził natychmiast Rakoczy, który wiedział, że miłość do wyścigów już wcześniej nie raz naraziła Nerona na szwank. Wolałby uniknąć jakichkolwiek kłopotów związanych z kapryсами cesarza. — Tisztry uczyła się tego od wczesnego dzieciństwa. W jej rodzinie to tradycja pielęgnowana od trzech pokoleń. Dzieci sadzano tam na konia, ledwie nauczyły się chodzić. Nikt nie oczekuje takich wyczynów po przywódcy — dodał, starając się mówić jak najspokojniej. — Wódz powinien umieć powozić rydwanem na wojnie, bawienie tłumu zostawiając innym.

— Oczywiście masz rację — mruknął Neron, zastanowiwszy się chwilę. — Ale to i tak wyśmienita sztuczka. — Spojrzał na resztę obecnych w loży. — A wy? Chcielibyście zobaczyć, jak próbuję i spadam? Dla was byłoby łatwiej, gdybym zginął, prowadząc rydwan. Moglibyście przejąć rządy bez spisków i intryg. Oczywiście zaraz potem skoczylibyście sobie do gardeł, żałując, że zabrakło Nerona. Nienawiść wobec mnie to jedyne, co was jednoczy. — Spojrzał każdemu po kolei w oczy i obrócił głowę ku arenie’.

Chwilę potem pochylił się, aby śledzić tęsknym spojrzeniem poczynania ormiańskiej niewolnicy.

Oficjalna odezwa do ludu i senatu rzymskiego przesłana z Grecji:

Szlachetni senatorowie, wojownicy i ty, ludu rzymski! Garnizon Aten przekazuje Wam pozdrowienia!

Na rozkaz cesarza, Nerona Cezara, zdradziecki generał Gnejusz Domicjusz Korbulon pozbawił się życia zaraz po przybyciu do Grecji na igrzyska olimpijskie. Dawny bohater wojen na wschodniej granicy imperium uratował swój honor, wypełniając posłusznie wolę cesarza, i umarł dobrą śmiercią od własnego miecza.

Jego ostatnie słowo brzmiało Axios, co jest okrzykiem wydawanym podczas igrzysk olimpijskich na cześć zwycięzcy, który wygrali w uczciwej walce. W ten sposób Korbulon uznał prawo cesarza do osądzenia jego życia. Ci, którzy zwiedzeni albo źle poinformowani twierdzili co innego, kalając w ten sposób pamięć dzielnego męża, który w prawdzie uległ zgubnej iluzji, ale wcześniej uczynił wiele dla imperium.

Polecam grecki garnizon Waszej wdzięcznej pamięci i pamięci wszystkich Rzymian.

Tytianus Sasjusz Bursa

centurion garnizonu ateńskiego

czternastego dnia maja 819 roku Miasta

. 15 .

Gdy Oliwia wysiadła z osłoniętego, dwukołowego powozu, żaden niewolnik nie wyszedł jej na spotkanie. Stary dom wyglądał jak opuszczony. Suche liście zalegały przed drzwiami, okiennice ledwie trzymały się na miejscu. Jednak to był dom, w którym się urodziła. Zasłużony w dziejach rodziny dom, który jej praprapradziadek wzniósł na Palatynie za dni republiki. Już za rządów Augusta był to jeden z najstarszych budynków w mieście. Wczesnowiosenne słońce bezlitośnie obnażało ślady obecnego zaniedbania. Choroba ubóstwa dotknęła i jego.

Zasmucona widokiem Oliwia zawahała się przed progiem. Po raz pierwszy od śmierci ojca i skazania braci Justus pozwolił jej odwiedzić matkę. Obok drzwi wisiał łańcuszek dzwonka. Pociągnęła, aby wezwać odźwiernego. Przypomniała sobie, że za jej dzieciństwa nikt nie musiał używać dzwonka, ponieważ przy drzwiach zawsze czuwał niewolnik. Usłyszała przytłumione dzwonienie dobiegające z głębi domu. Obróciła się do niewolnika, który powoził jej rydwanem.

— Blokujesz ulicę, Joab. Podjedź na tyły, do stajni. Przyjdę do ciebie, gdy skończę rozmowę z matką.

Joab machnął niechętnie lejcami, jednak Oliwia miała rację. Ulica, jak większość rzymskich ulic, była na tyle wąska, że inny wóz ani nawet lektyka nie miały szansy przecisnąć się obok.

Gdy już pojechał, Oliwia ponownie pociągnęła za łańcuszek. Zaczynała się już niepokoić i gotowa była pchnąć drzwi na próbę, gdy usłyszała kroki i zgrzyt rygli.

— Och, to Oliwia! — powiedział stary sługa, otwierając szeroko drzwi i pokazując jej z przyzwyczajenia, że powinna przekroczyć prób

prawą nogą.

— Tak, Eteoklesie, to Oliwia. — Uśmiechnęła się, aby ukryć zdumienie wywołane strojem greckiego niewolnika. Miał na sobie znoszoną tunikę i sandały ze śladami wielu napraw.

Eteokles westchnął, rozumiejąc jej odczucia.

— Tak, smutno się ułożyło — powiedział. — Oszczędzono tylko tych, którzy należeli do twojej matki. Cała reszta została stracona razem z twoim ojcem i braćmi. Wszyscy. Dokładnie wszyscy. — Zamknął za nią drzwi i zakaszał.

Oliwia słyszała, że cała sprawa zemściła się też na służbie, ale nie miała pojęcia, że aż tak bardzo.

— Oszczędzono tylko niewolników mojej matki? — spytała. To by znaczyło, że w domu mieszkało teraz nie więcej niż kilka osób.

— Prawo stawia to jasno. Każdy bunt trzeba wypalić do cna, aby nic nie zostało, i tak...

— Ale niewolnicy nie mogą być za nic odpowiedzialni — odezwała się Oliwia podniesionym głosem. — Od czasu republiki nikt nie robił takich rzeczy. Teraz sprzedaje się takich niewolników, zamiast ich skazywać. — Spojrzała w stronę biblioteki, gdzie jej ojciec zwykł zagłębiać się w pracy. Podłoga w przejściu od dawna nie była zamiatana i tylko jedna lampa paliła się tam, gdzie kiedyś były cztery. Poczowała, że coś ściska ją w gardle. — Kto był tym barbarzyńcą, który skazał niewolników za grzechy ich pana? Cesarz nie jest aż taki. — Zwykle nie był, ale czasem, gdy napadał go szczególny strach, ku któremu miał zresztą powody, stawał się niebezpieczny w swej impulsywności.

— Nie wiem. Słyszałem tylko, że tak się stało, i nikt nam nie pomógł.

Oliwii zrobiło się bardzo przykro. Chciała wyjaśnić, że Justus kazał jej unikać rodziny i nadal nie pochwalał jej próby kontaktu z domem

zdrajców. Domyślała się, że Eteokles do pewnego stopnia może ją winić za to, co ich spotkało. Sama czuła się za to odpowiedzialna i była pewna, że w innych okolicznościach zdołałaby sporo zdziałać dla ojca i braci. Teraz jednak nie wiedziała, co powiedzieć.

— Nikt cię nie wini — powiedział łagodnym tonem Eteokles, prowadząc ją do pokoju matki.

Większość mebli zniknęła na mocy cesarskiego rozkazu. Zostały sprzedane na aukcji. Brakowało stołów, które jej pradziadek przysłał z Egiptu, oraz pasujących do nich krzeseł zrobionych z drewna północnych sosen. Została tylko jedna ze starych skrzyń, wszystkie większe i nowsze, w których ojciec trzymał zwoje z domowymi rachunkami, przepadły.

— To jest... — Oliwia nie znalazła słów dość ostrych słów. — Kiedy to się stało?

— Miesiąc po uwięzieniu twojego ojca. Z początku zabrali tylko trochę, potem z wolna zabierali coraz więcej, a twoja matka nie miała się do kogo zwrócić. Jej brat bał się z nią rozmawiać, siostra przebywa ciągle w Galii razem z mężem, twoim siostrom zabroniono pisać, a twój mąż nie odpowiedział na żadną z wysłanych do niego wiadomości. — W głosie starego niewolnika zabrzmiał żal, który ukłuł boleśnie Oliwię, jednak rozumiała jego przyczyny.

— Mój mąż nigdy nie wspomniał mi, że pisaliście do mnie. Gdyby to zrobił, na pewno spróbowałabym wam pomóc. Powiedział mi, że moja rodzina otrzymała zakaz korespondencji. — Zacisnęła mocno dłonie. Takie kłamstwo pasowało do Justusa.

Eteokles przytrzymał jej drzwi i poczekał, aż Oliwia wejdzie do pokoju matki.

Tutaj niewiele zginęło, atmosfera była jednak podobnie przykra. Decyma Romola Nolas stała przy oknie i układała świeże kwiaty w wazonie, żeby chociaż trochę rozjaśnić wnętrze. Włosy, które lubiła

nosić zwinięte w pukle, związała teraz z tyłu głowy. Nie były już ciemnomiodowe, ale naznaczone siwizną. Dla ochrony przed chłodem nosiła starą wełnianą stolę. Gdy ułożyła ostatnią różę, obróciła się ku drzwiom i wykrzykując imię córki, rzuciła się w jej stronę z otwartymi ramionami.

Obie poczuły się zakłopotane z powodu łez, ale żadna z nich nie mogła powstrzymać się od płaczu. Objęły się, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy, aż w końcu odzyskały panowanie nad emocjami.

Romola pierwsza doszła do siebie. Przetarła twarz dłonią, wygładziła ubranie i odsunęła się o krok.

— Dobrze cię znowu widzieć — powiedziała, starając się nadać słowom naturalne brzmienie. — Przepraszam za stan domu. Niewiele nam zostawili i nie mamy dość drewna do ogrzewania, więc podłogi są zimne i przeciągi dają się we znaki. — Podeszła do jednego z trzech krzeseł stojących w pokoju. — Te meble są moje, więc ich nie wzięli, ale reszta zniknęła. Nawet z kuchni. Gedrika dalej mi gotuje, ale jest bardzo stara i nie mogę jej o wiele prosić. Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona, jeśli zaoferuję ci tylko sok i chleb. — Splotła mocno dłonie. — Wino też wzięli, inaczej bym cię poczęstowała.

Oliwia stłumiła wzbierające w niej wzburzenie. Teraz nie było już sensu wracać do tamtych spraw. Właściwy po temu czas minął.

— Postaram się, abyście znowu mieli wino. Justus powinien zrobić dla mnie choć tyle.

— Nie! — wykrzyknęła Romola, unosząc ręce, jakby osłaniała się przed uderzeniem. — Nie chcę niczego od tego człowieka. Dość już wycierpiałam przez niego.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Oliwia, pełna obaw, że jej przypuszczenia mogą się potwierdzić.

— Przepraszam — powiedziała z zaciśniętym gardłem Romola. — Nie mam oczywiście żadnych dowodów, a ten mężczyzna jest twoim mężem. — Skinęła ku krzesłom. — Siadaj. Powiem Eteoklesowi, aby coś nam przyniósł.

— Nie chcę jeść — zaprotestowała Oliwia. — Przyjechałam zobaczyć się z tobą. Justus jest zły, że się do ciebie wybrałam, ale wolę już jego złość niż dłuższe rozstanie z tobą. — Głos zaczął się jej łamać i umilkła na chwilę. — Chciałam być z tobą. Błagałam Justusa, aby mi pozwolił, ale nie chciał. Zakazywał mi przyjazdu. Gdyby nie to, że sprzedał moich niewolników i zastąpił ich swoimi, coś bym wymyśliła, ale jego niewolnicy nie chcą mnie słuchać — dodała z westchnieniem.

— Sprzedał twoich niewolników? — spytała Romola, jakby tylko to usłyszała z wypowiedzi córki. — Jakim prawem? Dlaczego mu pozwoliłaś?

— Pozwoliłam? — powtórzyła drżącym głosem Oliwia. — Nie spytał mnie nawet o zdanie. Nie miał mojego pozwolenia. Zapowiedział, że to zrobi, a jeśli zaprotestuję, zażąda od ojca natychmiastowej spłaty wszystkich zobowiązań wobec niego. Groził też, że doprowadzi do wygnania całej naszej rodziny za długi. — Przycisnęła dłoń do ust. — Nie wiedziałam, co robić. Nigdy nie pozwolił mi rozmawiać z ojcem sam na sam. Zmusił mnie, aby zgodziła się z nim w sprawie... Ale nieważne. Gdybym odmówiła, ryzykowałabym wpędzenie rodziny w kłopoty.

Romola przytaknęła.

— Rozumiem. Tego się obawiałam. Twój ojciec nigdy nie podejrzewał Justusa o podobne zamiary. Uważał, że skoro chodzi o tak stary i szanowany ród...

— A przynajmniej jego młodszą gałąź — dodała Oliwia. Kuzyni powtarzali jej to nieustannie przez całe dzieciństwo.

— Owszem, młodszą gałąź. Ja jednak nie miałam złudzeń. Byłam przekonana, że przy byle sposobności twój mąż spróbuje nas zniszczyć. — Powiedziała to zdecydowanym tonem, patrząc Oliwii w oczy. Jej uroda przeminęła, ale pomarszczona twarz nabrała swoistego majestatu, spojrzenie zaś siły typowej dla kogoś, kto przeszedł przez rzekę cierpienia.

— Tak — zgodziła się Oliwia. — Lubi sprawiać ludziom ból.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

— Wejść — zawołała Romola.

Eteokles przyniósł tacę z ciastkami polanymi syropem daktylowym, plackami z przyprawionym na ostro mielonym mięsem, przekrojonymi na pół bułeczkami z farszem mięsny z cząbrem i orzechami w cieście, smażonymi w oleju. Ponieważ w pokoju było chłodno, dzban soku jabłkowego z przyprawami został podgrzany i parował teraz na środku tacy. Na wierzchu unosiła się piana z ubitego białka.

— Ależ to ucztą! — zaprotestowała Oliwia, gdy służący postawił tacę na stole przy drzwiach.

— Gedrika stwierdziła, że skoro przyjechała Oliwia, nie może być mowy o żadnych suchych ciastkach. Tak uroczysta chwila wymaga odpowiedniej oprawy. — Eteokles założył zdecydowanym gestem ręce na piersi. — Kazała przekazać, że w kuchni jest tego więcej, i zabroniła mi odnosić pełną tacę.

Oliwia splonęła się i spojrzała pytająco na matkę.

— Przekaż Gedrice, że bardzo brakowało mi jej gotowania i dziękuję, że zechciała to wszystko przygotować. Nie mogła mi zrobić większej przyjemności.

Najwyraźniej to była odpowiedź, której Eteokles oczekiwał. Opuścił ramiona i trochę się rozluźnił.

— Powiem. Na pewno będzie jej przyjemnie to usłyszeć. — Wyszedł

z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Sądysz, że zostało w kuchni dość, aby mogli się najeść? — spytała Oliwia, patrząc na tacę.

— Zapewne nie. — Romola westchnęła. — Nie mamy wiele i brak pieniędzy na wszystko. Myślałam o sprzedaży któregoś z niewolników, ale są już starzy i nie uzyskałabym dobrej ceny. Poza tym są ze mną tak długo, że przekazywanie ich do nowego pana byłoby okrucieństwem.

Wiedziona impulsem Oliwia ujęła dłoń matki.

— Dopilnuję, abyście mieli pieniądze. Wiem, skąd je zdobyć.

— Nie chcę niczego od twojego męża — powtórzyła ostrym tonem Romola. — Doceniam, że chcesz mi pomóc, ale nie przyjmę niczego od tego człowieka. Za wiele zła przez niego wycierpiałam.

— Jeśli nie od Justusa, to może od kogoś innego? — spytała Oliwia, chociaż wcale nie była pewna, że Sanct' Germain zechce ją wesprzeć. Rzadko go widywała, a ich spotkania były krótkie, ledwo na kilka słów i pocałunków. Pamiętała jednak, że jest bogaty, i już wcześniej oferował swoją pomoc.

— Kogo innego? — spytała Romola.

— Przyjaciela — odparła Oliwia, odwracając spojrzenie.

— Kochanka? — rzuciła krytycznym tonem jej matka. — Już teraz, przed urodzeniem potomka?

Oliwia wybuchła nagłym śmiechem, który nawet w jej uszach zabrzmiał osobliwie. Widząc głębokie zdumienie matki, niemal równie raptownie zamilkła.

— Mam niezliczonych kochanków, matko. — Pokręciła głową. — Chociaż nie. Gdybym chciała o nich pamiętać, mogłabym ich policzyć.

— Justus wie? — spytała wstrząśnięta Romola, czując wzbierający w niej gniew. — Czy to dlatego tak się na nas wziął?

— O tak, Justus wie. Sam ich do mnie sprowadza. — Oliwia mówiła coraz głośniejszym głosem i tym razem nie potrafiła się opanować. — Każe mi ich zagadywać. To straszni mężczyźni, matko. Niektórych nie wpuszczają już do lupanaru, bo prostytutki się ich boją. Gdy przychodzą, Justus ukrywa się w specjalnym miejscu, skąd może nas obserwować. Chociaż ostatnio zaczął im pomagać. — Twarz jej płonęła i ostatnie słowa zdołała tylko wyszeptać.

— Rozumiem — powiedziała Romola, siedząc nieruchomo. Jej twarz przypominała zastygłą w lodowatym majestacie grecką maskę. — Jak długo to już trwa?

— Od początku. — Wstyd jej było to przyznać i nie śmiała spojrzeć matce w oczy. — Raz próbowałam ci o tym powiedzieć.

— Niech mu matka Izyda odbierze męskość! — zakrzyknęła Romola, splatając dłonie na podolku. — Zniszczył nasz ród!

Oliwia pokiwała ze smutkiem głową.

— Próbowałam z nim rozmawiać, ale nie chciał słuchać. Powiedział, że kupił mnie jak niewolnicę i oczekuje ode mnie posłuszeństwa jak od niewolnicy. — Ujęła skrawek stoli i zaczęła zawijać go w palcach. — Chciałam powiedzieć ci już wcześniej, ale się bałam. Groził mi i wiedziałam, że mówi poważnie.

— Ale mówisz mi teraz — powiedziała matowym tonem Romola. — Dlaczego teraz, po tym wszystkim?

— Bo już się stało. Nie może więcej grozić, że zgubi ojca i braci, bo ich już nie ma. Zginęli, a wraz z nimi służba. Pokazał mi wyliczenia. Trzystu czterdziestu ośmiu niewolników skończyło na arenie, ponieważ należeli do mojego ojca. Nie zostali osądzeni i nie dano im szansy skorzystania z praw ustanowionych przez boskiego Juliusza. Zostali posłani na śmierć. — Nigdy jeszcze nie czuła się równie bezradna jak w tej chwili, rozmawiając z matką w pustym domu.

— Justus był przy tym, jak ścięli twojego ojca. Wszystko

obserwował. — Spojrzała na stół. — Jedzenie stygnie.

— Nie chcę jeść.

— Musisz. W przeciwnym razie biedna Gedrika wpadnie w rozpacz. Wypij trochę soku, póki jest ciepły, potem zjemy resztę. Masz czas? Nie musisz od razu wracać?

— Od razu nie. — Przyjęła sok, który matka podała jej w szklanym kuflu.

— Srebrne i złote puchary zostały sprzedane — wyjaśniła prawie obojętnym tonem Romola. — Zostało szkło i gliniane naczynia dla niewolników.

— Ile pieniędzy potrzebujecie? — spytała wprost Oliwia, spróbowałszy soku.

— Nie wiem. Może Eteokles zdoła ci odpowiedzieć. Jest nas tutaj tak mało, a nasza pozycja tak niepewna.

— Dowiedz się i daj mi znać. Dopilnuję, abyś je dostała. — Nadal nie wiedziała, jak poprosić o to Sanct' Germaina, wierzyła jednak, że nie odmówi.

— Twój kochanek mnie nie interesuje — powiedziała Romola, obserwując twarz córki.

— Ale dla mnie jest ważny. I bogaty. — Zdumiała się, jak chłodno zabrzmiały jej słowa. Trudno było mówić o nim tak obojętnie, jak o nowej zabawce. Był przecież kimś, kto obudził ją do życia i dał szansę na zmianę.

— Nie chcę widzieć, kto to jest. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć. Jeśli zechce pomóc, obawiam się, że będę musiała przyjąć, co mi dasz. Nic już nie mam. — Zamilkła, czując ogarniające ją drzenie. — Żeby Decyma Romola Nola znalazła się w takiej sytuacji! Równie dobrze mogłabym dołączyć do kobiet czekających co rano na rozdawnictwo ziarna. Podobno już jedna trzecia miasta z tego korzysta. Co mnie powstrzymuje?

Oliwia nie miała na to odpowiedzi. Dopiła sok i zaczęła skubać ciastko. Chociaż nie czuła smaku, mogła w ten sposób wycofać się na chwilę z rozmowy. Obiecała sobie w duchu, że od tej pory będzie bardziej dbać o matkę. Tego Justus nie mógł jej zabronić.

— To' twój mąż wydał naszą rodzinę — powiedziała w pewnej chwili Romola, nie patrząc na córkę. — Myślałam, że wiesz o tym, ale chyba jednak nie. Wirginiusz poznał prawdę i przekazał mi ją, zanim zginął.

— Justus? — spytała niedowierzająco Oliwia. Myślała, że jej mąż wstrzymuje się od kontaktów z jej rodziną, obawiając się oskarżenia. — Skąd Wirginiusz wiedział?

— Usłyszał od Tygellina, gdy chłostano Druzyllusa. Tygellin stwierdził wprost, że dowiedział się o zdradzie od ich szwagra, który podobno nie chciał od razu donosić, bo zbyt mu było za nich wstyd, ale uczynił to, zrozumiałwszy, że nie kierują się honorem, ale żądzą zysku. — Romola wstała i podeszła do okna, musnęła ułożone w wazonie kwiaty.

Oliwia siedziała bez ruchu. Miała wrażenie, że jeśli tylko drgnie, ziemia się pod nią otworzy albo dom runie jej na głowę. Sądziła, że Justus pokazał jej już swoje najgorsze oblicze. Nauczyła się znosić jego okrucieństwa ze względu na rodzinę. Teraz taka ofiara nie miała już żadnego sensu. Strach i gniew zlały się w jedno. Najchętniej wzięłaby długi sztylet i wpakowała go sapiącemu mężowi w pierś. Chciałaby ujrzeć, jak się wykrwawia. Wiedziała już, że śmiałaby się, widząc go konającego.

Romola wyrwała się z zamyślenia.

— Należę ci jeszcze soku, a potem zjemy bułeczki i porozmawiamy.

Oficjalna odezwa Nerona do senatu i ludu rzymskiego:

Do senatu i ludu, który jest duszą Rzymu, od cesarza, który przebywa w Grecji.

Dwudziestego ósmego listopada 819 roku Miasta, będąc w Koryncie, ogłosiłem Grecję niepodległym państwem. Nie godziło się, aby Rzym, który tyle zawdzięcza Grecji, trzymał swą stopę na karku tego wspaniałego narodu. Wolność tego kraju jest hołdem dla Rzymu, naprawiamy bowiem w ten sposób błąd, który uczyniliśmy jako jego zdobywcy, chociaż winni jesteśmy mu przede wszystkim podziw.

Igrzyska olimpijskie dobiegły końca i gotowy jestem wracać do Rzymu. Powiadamiam Was, że wyruszę w drogę w ciągu miesiąca od podpisania tego dokumentu. Igrzyska stały się wielkim triumfem Rzymu, ukazując niewątpliwą wyższość naszych umiejętności i talentów. Sam uczestniczyłem w rywalizacji i zdobyłem 1808 nagród we wszystkich rozgrywkach, w których wziąłem udział w Olimpii, Delfach, Istmii i Nemei. Nie tylko mnie uhonorowano w ten sposób, ale i cały potężny Rzym.

Mój przedstawiciel Helios błaga mnie, aby wracał szybko. Biorę sobie jego słowa do serca i zjawię się przed końcem lutego. Chcę znowu ujrzeć moje miasto, przekonać się na własne oczy, jak posunęła się budowa Złotego Domu, i z nowym oddaniem dotknąć rzymskiej ziemi.

Bądźcie gotowi na powitanie tego, który przydaje Wam takiej chwały. Powiedzcie wszystkim, że moja miłość dla ludu wezbrała jeszcze silniej i pragnę być z nim tak, jak kochanek pragnie przytulić swą lubą do piersi. Na razie jeszcze zimowe sztormy wstrzymują mnie przed powrotem, ale wkrótce i ich będzie za mało, by utrzymać mnie z dala od najdroższego dla mnie miejsca.

Oczekując gorącego powitania, żyję oczekiwaniem na nasze radosne spotkanie.

Neron

trzeciego dnia lutego 820 roku Miasta

. 16 .

Kosrozd przystanął przed drzwiami prywatnego skrzydła willi Rakoczego. Od czasu wypadku zdołał poznać już trochę tajne pomieszczenia, gdzie był leczony. Zapukał dwa razy. Pilnujący wejścia niewolnik obserwował go uważnie.

Kilka chwil później Aumtehoutep uchylił ostrożnie drzwi.

— Tak?

— To ja, Kosrozd. Muszę zobaczyć się z moim panem. — Był niespokojny, co rusz zerkał na stojącego obok niewolnika. — To ważne. Nie przychodziłbym tutaj z drobiazgami. Wpuść mnie.

Egipcjanin przyjrzał się przystojnemu Persowi. Doszedł całkowicie do siebie po obrażeniach, których doznał ponad dwa lata wcześniej, i tylko głębokie blizny na ramieniu świadczyły, że coś takiego w ogóle się zdarzyło.

— Wchodź.

— Dziękuję — odpowiedział ze szczerą wdzięcznością Kosrozd i przekroczył próg. — Gdzie jest mój pan?

— W pokoju zegarowym. Chyba tam jeszcze nie byłeś. To za basenem. Mam cię zaprowadzić? — Egipcjanin trzymał w rękach woskowe tabliczki, nad którymi akurat pracował.

— Za basenem. Znajdę. — Kosrozd ruszył długim korytarzem. Jego scytyjskie buty, które nosił teraz zamiast sandałów, uderzały głośno o mozaiki i marmur.

Sanct' Germain siedział skupiony nad złożonym w harmonijkę manuskryptem. Był w swoim zwykłym perskim stroju, czarnej tunice i czarnych spodniach. Z biżuterii nosił jedynie swój pierścień z herbem. Był na tyle zajęty, że nie uniósł głowy, póki Kosrozd nie zawołał go po

imieniu.

Młodzieniec rozejrzał się niepewnie po pełnym zegarów pokoju. Były tu rzymskie zegary z ciężarkami, dzielące noc i dzień na równą liczbę godzin, jak i takie, które dostosowywały się do zmiany długości dnia. Były zegary wodne, piaskowe i zapadkowe. Większość działała cicho, niektóre jednak potrafiły odzywać się w wyznaczonych porach.

— Kosrozd? — powiedział cicho Sanct' Germain.

Pers spojrzał na swego pana.

— Jestem zaniepokojony. Chciałem ci o czymś powiedzieć.

— O czym? — Sanct' Germain złożył starannie manuskrypt. — Chyba powinienem wziąć niewolnika, aby zajął się biblioteką, ale obawiam się, że mógłby coś zniszczyć. Te pisma są bardzo stare i kruche.

Stanąwszy wreszcie przed Rakoczym, Kosrozd nie wiedział, od czego zacząć.

— Słyszałem coś. Chyba powinieneś wiedzieć...

— Jeśli chodzi o powrót Nerona, słyszałem już pewnie wszystkie plotki na ten temat. Większość kilka razy. Część z nich znalazła potwierdzenie w innych źródłach. — Odłożył papirus na biurko i wstał. — Szykuje się rebelia.

— Niejedna — powiedział Kosrozd.

— Oczywiście. Zbyt długo Nerona nie było w Rzymie. Gdyby wyjechał na kilka miesięcy, opozycja nie zdążyłaby się zorganizować. Ale to już ponad rok. — Spojrzał na zegary stojące na półkach i ławach, z solidarną nieodwołalnością odmierzające upływ czasu. — Dał swoim wrogom szansę stawienia oporu. Głupio uczynił, zmuszając Korbulona do samobójstwa. Legiony poszłyby za nim, a tak nie ma nikogo, kto uczyniłby z nich oparcie dla cesarza. Pójdą za pierwszym silnym człowiekiem, który zajmie miejsce Korbulona.

— Jest jeszcze gorzej — powiedział z przejęciem Kosrozd. — Plotki

były zawsze. Odkąd zacząłem się ścigać, zawsze słyszałem coś o spiskach i buntach. Ale legiony trzymały się od tego z daleka. Teraz podobno jest inaczej. Mam wrażenie, że to nie jest zwykłe gadanie, tylko coś, co dzieje się naprawdę. Brak zwykłego przechwalania się i bałwanienia. Wcześniej zawsze się z tym stykałem. Teraz spotykam konkretnych ludzi mówiących o konkretnych przywódcach. To nie jest garstka niezadowolonych żołnierzy ani banda gladiatorów, która dała się ponieść marzeniom. Wielu tych ludzi to legionieści z Galii i Luzytanii. Przybywają tu na trochę, rozmawiają z kimś szeptem w mrocznych zaułkach, wracają do swoich garnizonów i nikt nie wie dokładnie dlaczego. — Rozłożył bezradnie ręce. Miał nadzieję, że Sanct' Germain, którego reakcja ograniczała się na razie do uprzejmego zainteresowania, bardziej się przejmie.

— A ty jesteś podejrzliwy, co zresztą i dobrze. — Rakoczy położył Kosrozdowi rękę na ramieniu, przykrywając palcami część blizn. — Nie ma co się przejmować. Jeszcze nie. Zgadza się, że w powietrzu wisi coś więcej niż zwykły ferment. Niebawem dojdzie zapewne do paru zamachów na życie Nerona, po nich nadejdzie kolejna fala egzekucji. To zwykły bieg rzeczy. Nie będzie prawdziwych kłopotów, jak długo senat nie obróci się przeciwko Neronowi. Gdy to się stanie, w Rzymie zapanuje chaos.

— Mówisz tak, jakbyś tego oczekiwał! — Kosrozd wyszarpnął się z uścisku Rakoczego. — Czy wiesz, co może się z tobą stać, jeśli dojdzie do tej rebelii?

— Domyślam się — odparł oschle Sanct' Germain. — Sądzę, że będą tacy, którzy spróbują swojego szczęścia. — Odsunął się od Kosrozda. — Gdy będziesz starszy, tak jak nasz rodzaj jest stary, zrozumiesz moje podejście. — Otworzył jedną ze skrzyń, w której znajdowało się kilka pojemników ze zwojami oraz stare, nie działające egipskie czasomierze. — Na tych zwojach opisano bardzo podobną

historię, która zdarzyła się ponad tysiąc lat temu. Były jeszcze inne. Nie dałoby się zliczyć ile. Twoja rodzina odegrała swoją rolę w jednej z nich. Moja padła ofiarą pewnej wcześniejszej, w którą zaangażowany był też król sąsiedniego państwa. — Spojrzał nieobecny wzrokiem na zegary. — Trudno je wszystkie spamiętać, chociaż sądziłem, że coś tak ważnego zawsze będzie mi stało jasno przed oczami.

— Ale to Rzym — zaprotestował Kosrozd. — Rzym jest bogaty i włada połową świata.

— Nie całkiem połową — odparł Sanct' Germain z uśmiechem. — Bogactwo, dostatek i władza rodzą specyficzne nienasycenie i gdy osiąga ono szczyt, dochodzi do buntu, który obala przywódców. Jeśli nie uleczy to choroby, a zwykle nie leczy, bo nowi przywódcy są podobni do wcześniejszych, lud zwraca się ku religii. Aż do fanatyzmu. Za sto lat, jeśli Rzym nie napotka godnego siebie przeciwnika, także zapanuje tu fanatyzm religijny. Podboje są łańcuchem, który wiąże z czasem zwycięzcę. — Podeszedł do okna, otworzył okiennice, wpuszczając wiosenny blask. Podwórzec był w mieszanym stylu grecko-rzymskim, z kwitnącymi krzewami dokoła fontanny.

— Nie zamierzasz nic robić? — spytał Kosrozd, dając krok w kierunku Rakoczego.

— Nie ma nic, co mógłbym zrobić. Nie jestem Rzymianinem. Nie mam żadnej władzy poza tym, na co pozwala bogactwo. To, że jestem cudzoziemcem, daje mi pewną ochronę, która powinna rozciągać się także na moich ludzi. Gdybym nawet dysponował wpływami politycznymi, nie wiedziałbym, jak ich użyć. — Zamilkł na chwilę. — Jeszcze nie tak dawno nie obchodziłoby mnie, co się stanie z Rzymem, i myślałbym tylko o tym, jak samemu uniknąć najgorszego. — Zmarszczył lekko brwi. — Ale teraz jest inaczej.

— Panie? — W takim nastroju Sanct' Germain był dla Kosrozda kimś obcym i trudnym do zrozumienia.

— Wybacz, ale nie jestem do końca sobą. — Odwrócił się od okna. — Dobrze robisz, mówiąc mi o tym, co słyszałeś. Muszę to wiedzieć, jeśli mam chronić ciebie i innych. Nie lekceważę tego, co usłyszałem, ale przywykłem do różnych rebelii i przewrotów na tyle, że trudno mi się ich bać. Owszem, odczuwam lęk — dodał, widząc niepokój w oczach Kosrozda. — My też mamy słabe strony. Miecz, który ściął Maksymusa Tarkwiniusza, byłby dla nas tak samo zabójczy jak dla niego. Starczy przeciąć nam kręgosłup i umieramy. Można nas spalić równie łatwo jak każdego innego. Nie na wszystko jesteśmy odporni. Zdejmij buty i przejdź się w pełnym słońcu, a sam się przekonasz. Doznasz oparzeń, jakbyś tulił się do gorącego żelaza. Noc i ziemia są naszymi przyjaciółkami, ale nie potrafią ocalić nas od prawdziwej śmierci. Jak wszyscy, my też musimy o siebie dbać i potrzebujemy odrobiny szczęścia.

— A te wszystkie względy, którymi Neron obdarzył cię przed wyjazdem? Ludzie o nich nie zapomnieli. Możesz zostać wciągnięty w konflikt niezależnie od swojej woli. Niektórzy mówią, że powinieneś zostać stracony razem z cesarzem. — Kosrozd przysunął się na wszelki wypadek do drzwi. — To realne niebezpieczeństwo. Mamy tu wrogów.

Sanct' Germain założył ręce na piersi i wbił w nie spojrzenie.

— Jednym z nich jest Nekredes, mistrz treserów. — Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. — Chętnie posiekałby mnie na plasterki za ten dzień, kiedy nie pozwoliłem mu wybatożyć Tisztry. Nie wybaczył mi ponizenia i zapewne nigdy nie wybaczy. Cóż. Neron zaś, jak mówisz, okazał mi publicznie swą łaskę. Dwuznaczny to zaszczyt. Są jeszcze inni oprócz Nekredesa, którzy chętnie zaliczą mnie do zwolenników Nerona, ponieważ jestem cudzoziemcem, a cesarz mimo

to mnie wyróżnił. — Spojrzał na Kosroзда, szukając w nim oznak zmiany. Były subtelne, ale obecne. Skryte pod prostymi brwiami oczy stały się bardziej przenikliwe, poruszał się teraz bardziej zdecydowanie niż przed trzema laty, jakby przybyło mu sił. Rysy nie zmieniły się i miały pozostać takie same aż do dnia jego prawdziwej śmierci, jednak w wyrazie twarzy pojawiło się coś nowego, co musiał dopiero z czasem opanować. — Przyznaję, że myślałem o opuszczeniu Rzymu. Mam jeszcze inne domy, w innych stronach. Ale w ten sposób narażałbym na większe ryzyko tych, którzy tu zostaną. — Pomyślał o Oliwii. — Nie mogę pozwolić... żeby cierpieli przeze mnie. Jeśli chcesz, uwolnię cię i wyślę do majątku w Partii. Będiesz mógł tam mieszkać, jak długo zechcesz, byłeś zachował podstawowe środki ostrożności. Mógłbyś też wrócić do Persji, jeśli uważasz, że warto.

— Wyjechać? — spytał z niedowierzaniem Kosrozd, patrząc potępiająco na Rakoczego. — Nie jestem tchórzem.

— Nie powiedziałem, że nim jesteś — odparł Sanct' Germain. Nie wiedział, jak wytłumaczyć temu młodzieńcowi coś, co sam zrozumiał dopiero po wielu stuleciach. Mimo więzów krwi nie potrafił przeskoczyć przepaści lat. — Posłuchaj, przyjacielu. Jesteś dzielny i rwiesz się do czynu. To godne podziwu, pod warunkiem że nie będziesz działał pochopnie. Być może uważasz, że warto by zaryzykować i opowiedzieć się po stronie rebeliantów. Oczywiście zakładasz, że wybralibyśmy kogoś, kto ostatecznie wygra. To nie takie łatwe. — Westchnął i wsparł dłonie na biodrach. — Uwierz, że dobrze jest unikać podobnych wyborów.

— Mówisz tak, ale sam nie chcesz wyjechać. — Było to niemal wyzwanie i Kosrozd odruchowo przygotował się na uderzenie, chociaż Sanct' Germain nigdy nie podniósł na niego ręki.

— Nie mogę. A gdybym nawet mógł, pewnie bym nie chciał. Wiele trzyma mnie w Rzymie. — Spojrzał w okno, na kwitnący ogród.

— Będą inne — powiedział Kosrozd, wzruszając ramionami.

—Już do tego doszedłeś? — spytał ze smutkiem Sanct' Germain. Sam też kiedyś tak myślał.

—Niektóre są bardziej pociągające — przyznał po chwili młodzieniec. — Jedna prawie zemdląca ze strachu, kolejna pewnie by się pocięła z rozkoszy, gdybym nie przestał. — Mimo tonu przechwałki czuł się zakłopotany i nie potrafił spojrzeć Rakoczemu w oczy. — Czy z tobą było inaczej?

Sanct' Germain pokręcił głową. Słabo, ledwo zauważalnie.

— Nie wiem. Nie wiem.

Kosrozd przeszedł przez pokój. Ponownie zaczynała wzbierać w nim złość.

— Zamierzasz więc po prostu czekać? Potem wyjazd może być trudniejszy.

— Owszem — zgodził się cicho Rakoczy. — Nie nalegam, abyś został. Masz moją zgodę na wyjazd, kiedy tylko zechcesz. Wątpię, aby coś naprawdę zaczęło się dziać przed latem. A gdy już się zacznie, pogłoski uprzedzą o zagrożeniu. Jeśli Neron zadziała szybko, opozycji się nie uda. Jeśli działać nie zacznie, senat może opóźnić zmiany. Wiele rzeczy może się zdarzyć.

Jeden z zegarów zazgrzytał i mały gong obudził się do życia. Dźwięczny odgłos rozładował napięcie narastające między Rakoczym a Sanct' Germainem.

— Masz niebawem wyścigi? — spytał Rakoczy innym głosem, jakby młodzieniec dopiero wszedł.

— Za dziesięć dni. Tym razem będę jechał dla niebieskich, nie czerwonych. To stronnictwo chciałoby mnie kupić, abym zawsze się dla nich ścigał. — Strzepnął kurz z tuniki i przetarł nagie przedramiona. — Wracam z toru treningowego.

— Będziesz musiał powiedzieć niebieskim, że niestety nie

zamierzam cię sprzedawać. — Sanct' Germain usiadł ponownie przy stole. — Niech wszyscy zapomniani bogowie mają Rzym w swej opiece, jeśli stronnictwa nabiorą kiedyś politycznego charakteru. Wtedy zaczną się prawdziwe kłopoty. Ludzie zaczną typować zwycięzców według sympatii politycznych, a wyścigi przestaną być pokazem umiejętności woźniców, stając się elementem walki o władzę. Takie rzeczy zdarzały się już na małą skalę i mogą wrócić.

Kosrozd uśmiechnął się nagle, odzyskując młodzieńczy urok.

— Niech Mitra broni. Dobrze, idę się wykąpać. Ale wrócę.

— Wiem — odparł z smutkiem Sanct' Germain. — Naprawdę cenię twoją troskę. Teraz idź już się wykąpać, a potem, jeśli zechcesz, możemy porozmawiać. Ale nie o Neronie i Rzymie.

Kosrozd zachichotał i wyszedł. Oddalając się korytarzem, zaczął gwizdać pod nosem.

Sanct' Germain nie ruszył się z miejsca i dopiero gdy był pewny, że młodzieniec opuścił jego prywatne pomieszczenia, zawołał Aumtehoutepe. Egipcjanin zjawił się chwilę później.

— Kosrozd twierdzi, że krąży coraz więcej plotek. Możliwe, że zaspaliśmy sprawę — powiedział z poważnym wyrazem twarzy, tonem, którego nie używał w rozmowie z młodzieńcem.

— Wydawały się niewarte poważnego traktowania — zdumiał się Aumtehoutepe. — Sam się spodziewałeś, że wraz z powrotem Nerona pojawi się ich więcej.

— Możliwe, że to już nie tylko plotki. Krążą pogłoski o zaangażowaniu legionów, a to niezwykle. — Sanct' Germain wstał nagle. — Chcę wiedzieć, co mówią. Chcę wiedzieć, jakie słuchy krążą między pretorianami. Jeśli szykuje się prawdziwa zawierucha, potrzebujemy czasu, żeby się przygotować. — Wziął laskę zakończoną rzeźbą uskrzydłonego byka i postukał nią w otwartą dłoń. — Kosrozd słyszał o wysłannikach z Galii i Luzytanii. Stacjonujące tam legiony

należą do bardzo silnych. Jeśli postanowiły powstać przeciwko cesarzowi albo osadzić w Rzymie własnego, przed upływem roku może dojść do walk na ulicach. Wybierz kilku niewolników, tylko uważnie. Podaruj ich ważnym osobom i niech się dowiedzą, ile tylko zdołają. Tych dwóch niewolników, których za twoją radą kupiłem zeszłej zimy do biblioteki, też weź. Może będą chcieli pomóc. Stajenny z Północy byłby dobrym obserwatorem i jakiś młody trybun na pewno go zechce. Jeśli potem porozmawia czasem z Tisztry, na pewno nie wzbudzi to podejrzeń.

—Jak szybko mam ich wybrać? — spytał spokojnie Egipcjanin.

—Jak najszybciej. Chciałbym, aby byli już względnie zasiedzali, gdy Neron przejdzie przez nową bramę, którą właśnie wybijają dla niego w murach. — Cisnął laskę na ławę, aż zegary podskoczyły. — Ależ oni są głupi! Wszyscy, co do sztuki!

— W odróżnieniu od ciebie, panie — powiedział Aumtehoutep z kamienną twarzą.

Sanct' Germain uniósł brwi w sardonicznym grymasie.

—Ja też jestem głupcem. Nie mam złudzeń w tej materii. — Ponownie wziął laskę. — Tyle że ja o tym wiem.

— Jak uważasz, panie. — Egipcjanin patrzył w milczeniu, jak Rakoczy podchodzi ponownie do okna.

— Ile razy obiecywałem sobie, że będę się uczył na błędach? Tymczasem Rzym znalazł się na skraju wojny domowej, a ja nie mogę wyjechać. Tyle pożytku z mojej ciężko zdobytej mądrości.

— Różne są rodzaje mądrości, panie — powiedział cicho sługa.

— Też sobie to powtarzam, przyjacielu. Czasem, gdy nie jestem wobec siebie szczery, zdarza mi się nawet w to uwierzyć. — Otrząsnął się z ironii. — Co do niewolników. Za dwa dni chcę dostać listę tych, których uznasz za przydatnych. Wtedy zdecydujemy.

Egipcjanin wysłyszał w tonie Rakoczego znajomy ton samokrytyki,

ale nie nawiązał do tego.

— Co z Kosrozdem? Też chcesz go do tego włączyć?

— Na wieczny Styks, w żadnym razie. — Zaśmiał się smutno. — Starczy to, co robi obecnie. Gdybym powiedział mu, że szukamy informacji, zaczęłyby nagabywać wszystkich niewolników na arenie. Ten, który naprawdę coś wie, uciekłby przed nim, reszta zaczęłaby fantazjować, a gdyby naprawdę doszło do buntu, mielibyśmy dodatkowe kłopoty, bo wszyscy pamiętaliby o ciekawości Kosrozda. Tak więc, jeśli ma trafić na coś ważnego, zdarzyć się to może wyłącznie przypadkiem. Prawdziwi konspiratorzy nie rozpowiadają o swoich planach. Niech myśli, że się nie przejmuję, i robi swoje. W ten sposób więcej się dowiemy.

— Dobrze. Za dwa dni przedstawię listę. — Egipcjanin skinął głową i ruszył wziąć się do dzieła.

List do Korneliusza Justusa Syliusza od prefekta pretorianów, Nimfidiusza Sabinusa:

*Do szanowanego i szlachetnego senatora, Korneliusza Justusa Syliusza:
Zostałem poproszony przez mojego towarzysza, C. Ofoniusza Tygellina, o przekazanie ci, panie, informacji o jego ustąpieniu ze stanowiska. Stan zdrowia zmusza go do opuszczenia Rzymu i poszukania spokojnego schronienia w majątku na Północy, gdzie ma nadzieję odzyskać dawny wigor dzięki odpoczynkowi i opiece medyków. Z pewnością podobnie jak ja uważasz, panie, że gwardia pretoriańska traci w tej trudnej chwili zdolnego i szanowanego dowódcę. Gdyby nie jego kondycja, bez wątpienia byłby teraz ze mną, pomagając zreorganizować naszych ludzi dla większej efektywności.*

Powrót cesarza po bardzo długiej nieobecności postawił nas w niełatwej

sytuacji. Mamy wielu nowych pretorianów, którzy muszą dopiero nauczyć się służyć cesarzowi, i czeka nas wiele pracy, zanim zdołamy wrócić w pełni do wykonywania naszych obowiązków. Stawiane przed nami wymagania zawsze należały do najwyższych, a tym razem mamy bardzo mało czasu, aby im sprostać. Stąd szczególnie zależy nam teraz na pomocy i radach ludzi takich jak Ty, panie.

Tygellin powiedział mi, że służyłeś już mu pomocą w przeszłości, chcę zatem spytać, czy byłbyś tak uprzejmy, aby i mnie wesprzeć, zwłaszcza teraz, gdy cały ciężar dowodzenia spoczął na moich barkach. Wielce cenię tych szlachetnych i znających poczucie honoru Rzymian, który biorą sobie dobro cesarstwa do serca i gotowi są chronić wszystko, co zdobyliśmy tutaj oraz poza granicami, i nie dają się zwieść kolejnym spiskom, które podkradają się do bram Rzymu. Wrogowie owi, działający od wewnątrz, są bardziej niebezpieczni niż ci atakujący nas otwarcie, ranią bowiem samo serce imperium.

Być może dobiegły Cię, panie, wieści, że kilka legionów stacjonujących daleko od Rzymu zaczęło szemrać o buncie i pragnie wynieść do władzy swoich namiestników lub dowódców. Dwa dni temu otrzymaliśmy z wiarygodnego źródła informację, że legiony w Tarragonie i Betyce, a zapewne także te w Luzytanii, chcą obwołać swojego namiestnika, Serwiusza Sulpicjusza Golbę, cesarzem imperium rzymskiego. Wydaje się mało prawdopodobne, aby ktoś w wieku Galby, który jak wiesz, dobiega siedemdziesięciu lat, gotów był wziąć udział w równie niegodnej awanturze. To prawda, że wiele legionów nie kocha Nerona i że jego przedłużony pobyt w Grecji przyczynił się do niepokojów w prowincjach oraz przyspieszył obecne wydarzenia.

Znasz Rzym, od dawna będąc świadkiem różnych zdarzeń, a Tygellin zapewniał mnie o Twojej głębokiej lojalności. Z tych powodów mam nadzieję i oczekuję, iż jeśli w jakiejś chwili otrzymasz wieści od legionów, czy tych wspomnianych, czy innych, również snujących plany obalenia

prawowitego cesarza i osadzenia kogoś innego w pałacu, poinformujesz mnie o tym, czego się dowiedziałeś, żeby pretorianie mogli wypełnić swoje ślubowanie i ochronić cesarza.

Dziesiątego dnia kwietnia 820 roku Miasta, własnoręcznie spisane i zapieczętowane.

Nimfidiusz Sabinus prefekt pretorianów

. 17 .

Jeziro Złotego Domu pełne było łodzi z muzykantami i śpiewakami, którzy wykonywali greckie pieśni dla zebranych na brzegach gości. Wieczór był łagodnie ciepły, zapach kwiatów i ziół unosił się w powietrzu. Na niebie gwiazdy zaczynały przebijać się przez gasnącą z wolna poświatę odchodzącego dnia. Po murawie przechadzały się oswojone jelonki, goście karmili je owocami specjalnie rozdawanymi w tym celu przez niewolników. Neron spacerował nad samym brzegiem jeziora i szarpiąc struny liry, śpiewał pieśni, których nauczył się podczas pobytu w Olimpi i innych greckich miastach.

— Tak, Grecy dalece wyprzedzają nas w rozwoju kultury — powiedział Neron do idącego obok mężczyzny, przerywając wykonywanie pieśni *Ariadna na Naksos*. — Ich pałace rozbrzmiewają muzyką, ich rzeźby żyją. Nasze wydają się przy nich bezwartościowe i martwe. Gdy Grecy rozmawiają, zawsze czynią to ze swadą, nawiązując do filozofii. Dopóki nie pomieszkałem między nimi, nie miałem pojęcia, jak rozległe jest ich dziedzictwo.

— Możesz nam je udostępnić — odparł Justus Sylusz, a trzy inne osoby, idące nieco dalej, pokiwały energicznie głowami. — Niewielu los dał taką sposobność.

— Gdyby nie brzemię mego tytułu. — Neron westchnął i przesunął palcami po strunach liry. — Czasem zazdroszczę byle greckiemu pastuszkowi, że ma czas nastawiać policzki na wiatr i śledzić bieg swoich myśli.

— Twój geniusz manifestuje się w inny sposób — zapewnił go Nimfidusz Sabinus. — Twój Złoty Dom sprawia, że czuję się tu

niczym na wsi, chociaż znajduję się przecież w sercu największego miasta świata.

Kolejnym mężczyzną był Konstantyn Modestyn Datus, który dopiero co przybył z Gallii Belgiki i nie mógł się jeszcze odnaleźć w równie egzaltowanym towarzystwie.

— Zaiste, cesarze, słyszałem o Złotym Domu, ale nic nie przygotowywało mnie na coś tak... przewspaniałego.

Neron uśmiechnął się szeroko.

— To mój hołd dla cesarstwa — powiedział i wydobył niski akord z liry.

Modestyn przytaknął z poważną miną.

— Tylko bogate cesarstwo może sobie pozwolić na podobną wystawność.

— A mój posąg? — spytał z zapalem Neron. — Widziałeś go? Czyż nie robi wrażenia? Niektórzy porównują go z rzeźbami Apolla. — Zachichotał, dając do zrozumienia, że nie podziela w pełni ich bałwochwalczego podejścia. — Pochlebia mi to, bo Apollo jest bogiem muzyki, mojej pierwszej miłości.

— Nikt nie może kwestionować głębi twego oddania — powiedział szybko Justus. — Stałeś się pierwszym akolitą na ołtarzu sztuki.

Neron spojrzał na czwartego mężczyznę z grupy, który trzymał się trochę osobno.

— Zgodzisz się z senatorem, Sanct' Germain?

— Takie oddanie rzadkie jest u cesarzy — powiedział spokojnie Rakoczy. — Znacznie przydaje ci autorytetu. Jednak gdybyś był tylko pieśniarzem, nie cesarem, byłoby dwudziestokrotnie większe i wtedy dopiero rozwinąłbyś swoją sztukę w pełni.

— Proszę, dobry towarzysz i szczerzy człowiek — zawołał z radością Neron. — Nagrody, które otrzymałem, świadczą, że zbyt surowo mnie oceniasz, ale wierzę, że wiesz, co mówisz.

— Nagrody daje się nie tylko za sztukę, ale i za umiejętność jej przedstawienia — powiedział z przejęciem Justus. — Wywierasz taki wpływ na tych, którzy cię podziwiają, że nikt nie może odmówić wartości twym nagrodom.

Sanct' Germain nie chciał dać się wciągnąć w podobną wymianę zdań. Uniósł ręce, jakby się poddawał.

— Nie widziałem żadnego konkursowego występu cezara i nie mogę wypowiadać się w tej sprawie.

Justus posłał mu gniewne spojrzenie i ponownie zwrócił się do Nerona.

— Posąg jest prawdziwym cudem. Kto go ujrzy, jest pod wrażeniem jego piękna i bogactwa. To złoto starczyłoby na zaopatrzenie skarbców trzech albo czterech królów.

Albo na wyżywienie kilku tysięcy niewolników i wyzwoleńców przez pięć lat, pomyślał Sanct' Germain. Spojrzał na Modestyna.

— Jakie rozrywki macie w Galii? — spytał. — Słyszałem, że są tam wspaniałe areny i trochę teatrów, ale nie jestem pewien, gdzie dokładnie się znajdują.

— Nie tak wspaniałe, oczywiście — odparł Modestyn, zadowolony ze zmiany tematu. — Areny nie mogą się równać z rzymskimi i nie jest ich tak wiele. Do teatru mamy z garnizonu dzień drogi i czasem tam jeżdżę, ale brakuje dobrych aktorów i przedstawienia są często słabe. Kilka lat temu zjawili się wędrowni Żonglerzy i akrobaci i oni byli świetni. Dla kogoś, kto mieszka w Rzymie, to nic niezwykłego, jednak w Galii to naprawdę wiele.

— Myślę odwiedzić Galię pod koniec przyszłego roku — powiedział Neron. — Chcę zobaczyć, jak żyją tamtejsze garnizony. Mogę nawet dla nich wystąpić. Pamiętam, jak bardzo tamtejsze legiony polubiły pieśń, którą dla nich napisałem.

— Nadal ją śpiewają, cesarze — zapewnił szczerze Modestyn.

— Naprawdę? — uradował się Neron. — Miło z ich strony. To była przyjemność, pisać pieśń dla żołnierzy.

— Czasem śpiewają ją podczas marszu — zapewnił go Modestyn, nie dodając jednak, że żołnierze wzbogacili ją o wiele samodzielnie ułożonych zwrotek, które nie były już tak podniosłe patriotyczne jak oryginalny utwór cesarza.

— Tak? Moją pieśń? — Neron trącił palcami struny i zaczął pierwszą zwrotkę.

Jak daleko orzeł dotrze, tak daleko Rzym dosięgnie, od Afryki po Hiperborei lodowe głębie.

Słyszycie, jak dudni krok legionów?

Równy marsz tysięcy stóp.

Słyszycie, jak zbliża się krok legionów, przed którym pierzcha każdy wróg?!

Modestyn śpiewał razem z nim, co na tyle poruszyło cesarza, że zaproponował wspólne wykonanie wszystkich piętnastu zwrotek.

— Obawiam się, że nie mam równie świetnej pamięci jak twoja, cesarzu — wymówił się natychmiast Modestyn z unizonym ukłonem. — Nigdy nie miałem głowy do pieśni. To bardzo wymowne, że zapamiętałem ten fragment.

Neron był zbyt zadowolony, by się oburzać.

— Dobrze wiedzieć, że legiony doceniają mój wysiłek. — Obrócił się do Sanct' Germaina. — Od chwili mojego powrotu chciałem z tobą porozmawiać.

— Tisztry nie jest na sprzedaż — odpowiedział krótko Rakoczy, nie wdając się w wyjaśnienia.

— Wspaniale! — Neron roześmiał się, odrzucając głowę i zamiatając ciemnoblond włosami splątanymi ze srebrnym wieńcem.

— Ale nie, nie chodzi mi o tę twoją cudowną rydwanniczkę, chociaż gdyby była na sprzedaż, pierwszy zaoferowałbym dobrą cenę.

— W tej sytuacji, gdybym kiedykolwiek chciał się jej pozbyć, podaruję ją tobie, bo nikt nie ośmieli się licytować z cesarzem.

Jeśli Neron wysłyszał sardoniczny ton wypowiedzi Rakoczego, nijak się z tym nie zdradził.

— Zaiste, to byłby szczególny dar. Będę o tym pamiętał, a gdybym zapomniał, to mi przypomnisz. — Uśmiechnął się do pozostałych towarzyszy. — To zdumiewająca kobieta. Ormianka. Nawet w Grecji nie widziałem podobnej. — Potem zwrócił się znów do Sanct' Germaina. — Kilka miesięcy temu wpadłem na pewien pomysł i sądzę, że jesteś właściwym człowiekiem, aby dopomóc mi w jego realizacji.

Sanct' Germain poczuł ukłucie niepokoju, ale nie pozwolił, aby odbiło się to w jego głosie.

— To wielki zaszczyt, cesarze. Chociaż zastanawiam się, dlaczego pomyślałeś właśnie o mnie, zamiast zwrócić się do jakiegoś Rzymianina.

— Przez twoją znajomość instrumentów muzycznych oraz obróbki metali — odpowiedział Neron takim tonem, jakby było to oczywiste. — Zauważyłem, że organy hydrauliczne w Circus Maximus potrzebują naprawy, a skoro i tak trzeba przy nich coś zrobić, równie dobrze można wymienić je na lepsze. Masz talent do takich spraw i chciałbym, abyś pomógł mi przy projekcie. Ustaliłem już, co będzie potrzebne, ale nie jestem pewien, czy metalowe części dadzą się wykonać. Liczę, że to ustalisz. Przejrzałem plany istniejących organów i jestem pewien, że można poprawić ich brzmienie. Są już dość głośne, ale dobrze byłoby sprawić, aby brzmiały bardziej jak dzwony niż ryczenie osła. — Była to uwaga rzucona świadomie, w oczekiwaniu na podziw.

Justus nie rozczarował cesarza.

— Trafnie dobierasz słowa, cesarze. Są mówcy starsi ode mnie, którzy do dziś nie nauczyli się przemawiać tak sprawnie jak ty.

Neron uśmiechnął się szeroko.

— To kwestia honoru, aby wypowiadać się jak najbardziej elegancko. — Nagle zamachał rękami i wskazał na niewolników niosących wysoki krzyż z przywiązany do niego człowiekiem.

— Ach! Ci Żydzi!

— Żydzi? — zdumiał się głośno Modestyn.

— Na pewno o nich słyszałeś. To ci, którzy wiecznie wszczynają wojny z garnizonem Jerozolimy. Hardzi i podzieleni jak mato kto w cesarstwie. Ta grupa złożyła petycję do organizatora igrzysk, aby oszczędzić im upokarzającej śmierci wraz z heretykami. Tak nazywają innych Żydów o odmiennych poglądach. Zostali skazani na śmierć, a ponieważ przywódca tej konkretnej sekty został ukrzyżowany, zdecydowałem się dać im szansę naśladowania go. — Patrzył z przejęciem, jak niewolnicy osadzają krzyż w przygotowanej wcześniej dziurze w ziemi.

— Ale co on ma na sobie? — spytał zaniepokojony Modestyn.

— Tunikę nasączoną smołą—wyjaśnił z radością Neron. — Jest ich więcej w ogrodach domu. Tunika zostanie podpalona, abyśmy też mogli widzieć tę światłość, którą oni podobno dojrzeli. Rozkazałem ich zakneblować, aby nie psuli przyjęcia.

Zachwyty widoczny w oczach Justusa był jeszcze gorszy niż okrutne zadowolenie Nerona.

— Twój geniusz daje znać o sobie na wszystkich polach, wielki cesarze.

— Tak — odparł odruchowo Neron. — Myślałem, aby pozwolić im biegać wolno, ale wtedy na pewno próbowaliby rzucać się na ludzi, aby zabrać ich ze sobą w płomienie. Tak będzie lepiej. — Westchnął z

afekcją. — Gdyby przestali atakować żołnierzy garnizonu, nic z tego by się nie stało. Ileż razy powtarzałem ich przedstawicielom, że mogą czcić swoich bogów, jak tylko chcą, zarówno w swoim kraju, jak i w Rzymie, oni zaś odpowiadali, że bóg jest tylko jeden — Neron prawie się roześmiał — i wszyscy pozostali muszą zostać zniszczeni. Obecność naszego garnizonu postrzegali w kategoriach religijnych. Co zrobić z takimi ludźmi? Chciałem być wobec nich sprawiedliwy i miłosierny, ale nie dali mi szansy. Nawoływałem do rozsądku, ale odrzucali moje propozycje i dalej się buntowali.

Sanct' Germain widział przez wieki wiele podobnych i jeszcze gorszych aktów barbarzyństwa, ale od kiedy znalazł się raz sam na polu bitwy z morzem trupów rozciągającym się wszędzie wkoło, napawały go jedynie przerażeniem.

— Nie sądzisz, że to, co się stanie dziś, tylko zachęci ich do dalszych aktów buntu? — spytał spokojnym tonem.

— Mam nadzieję, że nauczy ich umiarkowania i skłoni do myślenia — warknął Neron.

— Od tej pory będą cię mieli za potwora. — Nie była to groźba, a jedynie stwierdzenie faktu.

— Potwora? — powtórzył Neron, smakując słowo. — A jak inaczej mają zrozumieć, kto tutaj rządzi?

— Są i tacy, którzy uznają granice władzy — powiedział Sanct' Germain, wiedząc, że wkracza na niebezpieczny grunt. — Ci Żydzi mogą do nich należeć.

Neron spojrział na niego zdumiony.

— Jak mogę się ograniczać, skoro sam jeszcze nie poznałem granic mojej władzy? Być może mógłbym zniszczyć całą Jerozolimę jednym rozkazem. Jeśli tak, to moje obecne postępowanie jest umiarkowane, nieprawdaż? — spytał, jakby nie wiedział, o co chodzi.

— Mając całą potęgę Rzymu na swoje rozkazy, postępujesz z tym

trudnym narodem bardzo łagodnie — powiedział zaraz Justus. — To dobry pomysł, aby dać im nauczkę i potem ponownie zaproponować ich przywódcom to, o czym wcześniej wspominałeś.

Modestyn spojrział na Justusa z pogardą.

—Jeśli takich właśnie dobrych rad udzielasz cesarzowi, to dziwne, że choć jeden z tych buntowników jeszcze żyje.

— Nie prowokuj go, zapaleńcze — mruknął Sanct' Germain do młodzieńca. — Historia zna wiele opowieści o krwawych podbojach, ale najśłynniejszymi czyni tych, którzy dążyli do pokoju i wykazywali się dobrą wolą — dodał głośno. — Grecja zrodziła wojowniczych i dzielnych Spartan, ale to Ateny cieszą się największym szacunkiem przez swe umiarkowanie i sprawiedliwe rządy. — Sam pamiętał, że nie była to do końca prawda, ale Neron wierzył w taki właśnie obraz Hellady.

Cesarz upierał się jednak przy swoim.

— Gdy nie Spartanie i Termopile, Dariusz spałby w Atenach.

Saint Germain niezbyt umiał wyobrazić sobie siły Rzymu w roli osaczonych Spartan, a garstkę żydowskich buntowników jako całość militarnej potęgi Persji, ale wołał nie ruszać tematu.

— Zatem w odróżnieniu od Greków nadal masz czas, aby dojść z Żydami do porozumienia. Nie musisz dać się wciągnąć w wojnę z nimi — zwrócił się do cesarza.

— Ale to oni wszczynają bunty i jeśli nie zostaną ukarani, inni pójdą w ich ślady. Sądząc po raportach na temat legionów, które chcą uczynić Galbę cezarem, i tak jestem już zbyt pobłażliwy. Żydzi zaś zamieszkują nasze najbardziej zagrożone pogranicze. Jeśli poluźnimy tam dyscyplinę, Partowie uderzą całą siłą i będzie jeszcze gorzej. Dojdzie do wojny, przy której działania naszego garnizonu okażą się mało ważne. — Był już naprawdę zirytowany. — Nie rozumiesz tego, Sanct' Germain. Nie mieszkasz w Rzymie dość długo, żeby znać naszą

tradycję. Nie wiesz, ile trzeba się napracować, aby zapewnić bezpieczny byt cesarstwa.

— Zapewne masz rację — przyznał głośno Rakoczy, chociaż w duchu mocno w to powątpiewał. — Sam jednak wolę służyć pokojowi, gdy tylko to możliwe. — Wzruszył ramionami. — Zresztą to, co ja mówię, nie jest istotne. Jestem cudzoziemcem i jak sam powiedziałaś, to nie moje problemy.

— Ale jesteś kimś, kogo warto pytać o zdanie — rzucił Neron, chcąc okazać wspaniałomyślność, zwłaszcza że Sanct' Germain porzucił temat.

Modestyn spojrział z ukosa najpierw na Rakoczego, potem na cesarza.

—Jeśli ci ludzie są wrogami Rzymu, zasłużyli na śmierć, ale nie powinno się ich odzierać z godności, cesarze.

— Godności? — spytał Justus. — Jakiej godności? Walcząc z nami uparcie, sami się jej pozbawili.

Jeden z niewolników Nerona podszedł do nich w milczeniu i poczekał, aż cesarz zwróci na niego uwagę.

— Tak? Co jest?

— Prośba do ciebie, wielki cesarze. Nie możemy zaczynać z... pochodniami... bez twojego rozkazu.

Neron mlasnął niecierpliwie.

— Obawiam się, że muszę się tym zająć — powiedział do trzech towarzyszy. — Być może uda nam się kontynuować rozmowę po posiłku.

—Jedzenie też będzie? — spytał Modestyn.

— Oczywiście. Kazałem rozstawić stoły w ogrodzie, a tam są gongi do wzywania niewolników, gdy ktoś poczuje się głodny. — Neron zachichotał. — Kazałem zorganizować wszystko na zewnątrz z wielu powodów, ale przede wszystkim aby pokazać, że wszystko ze mną w

porządku. Ostatnia uczta odbyła się we wnętrzu i podczas burzy piorun uderzył w mój stół. Jeśli któryś z bogów znowu chciałby mi dopiec, ma okazję. Niemniej noc jest pogodna. — Skinął głową i oddalił się z niewoźnikiem.

— Nie wiedziałem, że Neron jest... takim człowiekiem. — Modestyn spojrział na drugi brzeg jeziora. — To piękne ogrody, a Złoty Dom robi wrażenie. — W jego głosie pobrzmiwała jednak nuta wątpliwości i spojrział na Sanct' Germaina, oczekując pomocy. — Nie mam nic przeciwko karaniu więźniów i egzekucjom buntowników, ale...

— Za długo nie było cię w Rzymie, i tyle — przerwał mu Justus. — Żyłeś sobie w Galii, Syrii czy Egipcie i zapomniałeś, czego Rzym żąda od swoich obywateli. Na cesarzu spoczywa olbrzymia odpowiedzialność i trzeba chwalić Nerona, że z takim oddaniem dba o nasze dobro.

— Twój szwagier tak nie uważał — powiedział Modestyn. — Miałem sposobność rozmawiać z Wirginiuszem, zanim został stracony. Nie podzielał twojej opinii. — Spojrział na postać przywiązaną do krzyża. — Buntownik czy nie, nie zasłużył na coś takiego.

— Wolałbyś oglądać, jak dzikie zwierzęta rozdzierają go na arenie? — spytał Sanct' Germain, nie poczekał jednak na odpowiedź. Doszli właśnie do rozwidlenia ścieżki i skinąwszy głową obu Rzymianom, skręcił w węższą odnogę wiodącą do sztucznego strumienia. Odchodząc, usłyszał jeszcze, jak Justus tłumaczy młodzieńcowi, że w podobnych sytuacjach nie należy ufać cudzoziemcom, którzy nie są prawdziwie zainteresowani obroną Rzymu. Sanct' Germain uśmiechnął się krzywo, wiedząc, że nim skończy się ten wieczór, Justus odmaluje go w najczarniejszych barwach. Nie wiedział tylko, czy Modestyn uwierzy senatorowi.

Miły dla ucha szum stawał się coraz głośniejszy. Strumyk brał

początek w grocie, gdzie znajdowało się jego zmyślnie skonstruowane źródło. Budowniczo wie ogrodu podłączyli je do akweduktu, ostatnie kilkaset łokci rur kryjąc sześć dłoni pod ziemią. Grotę zrobiono ze skał kwarcowych, które nadal jaśniały w mdłej poświacie wieczoru. Saint' Germain zszedł ze ścieżki i schował się w zagajniku drzew laurowych.

Nagły rozbłysk światła od strony ogrodu podpowiedział mu, że zapalono pierwszą z ludzkich pochodni. Zamknął oczy, nie cierpiał bowiem tego blasku. Gdy je otworzył, paliła się już druga pochodnia.

Usłyszawszy odgłos kroków na ścieżce, wsunął się głębiej w cień między drzewami i przykucnął.

Przy strumieniu pojawiła się zwabiona łagodnie płynącą wodą łania. Strzygąc uszami, obróciła się wdzięcznie, pochyliła głowę i zaczęła pić. Po chwili wyczuła jednak niesiony wiatrem odór palonego mięsa i zerwała się do ucieczki przez niskie zarośla.

W międzyczasie kroki umilkły. Teraz znowu zaczęły się zbliżać, chociaż dość niepewnie. Sanct' Germain pozostawał w ukryciu, obserwując ścieżkę.

Gdy Oliwia wreszcie zbliżyła się do strumienia, westchnęła ciężko. Była blada, a obok jej ust widniał ciemny siniak. Schudła ostatnio, a jej włosy straciły połysk. Przysiadła na niskim głazie i schowała twarz w dłoniach.

Saint Germain cicho niczym cień wyszedł z zagajnika i stanął obok niej. Wystraszona odwróciła głowę i cofnęła się. Uniosła jedną rękę, jakby chciała się osłonić.

— Oliwio? — spytał Rakoczy, przerażony tym, co ujrzał.

Z ulgą otworzyła ramiona.

— To ty. Przyszedłeś.

Uniół ją i przytulił szczęśliwy, że znowu jest blisko.

— Tęskniłem za tobą, Oliwio — powiedział cicho, pochylając głowę, aby ją ucałować. Ich usta spotkały się na krótko, ale

namiętnie. Potem pociągnął ją w mrok zagajnika.

— Bałam się, że nie przyjdiesz. Widziałam, jak rozmawiałeś z Justusem, i pomyślałam, że może wykrył... — Mówiła szybko szeptem.

— Ode mnie niczego się nie dowie — odparł Rakoczy i poprowadził Oliwię tam, gdzie drzewa rosły najgęściej. — Chyba starczy. Przez chwilę nikt nie będzie nam przeszkadzał. Wszyscy oglądają pochodnie.

— To nie pochodnie, to ludzie! — powiedziała, starając się nie podnosić głosu. — Obrzydliwy widok.

— Ale na igrzyska chodzisz — stwierdził bez wyrzutu. — Dlaczego to widzisz inaczej?

— Nie wiem dlaczego, ale tak jest. — Oparła głowę na jego ramieniu i poczuła, jak ogarniają błogi spokój.

— Tak, to jest inne. — Ucałował jej czoło. — Co on ci zrobił, Oliwio? Skąd ten ślad? — Starał się zachować spokój, co w tym przypadku nie było łatwe.

— Stawiałam opór kapadockiemu żołnierzowi, którego sprowadził. To go rozzłościło. Zwłaszcza gdy żołnierz odmówił zgwałcenia mnie. — Przygryzła dolną wargę. — W pewien sposób to było zwycięstwo. Justus nie zaznał tego wieczoru przyjemności.

— I pobił cię. — W tejże chwili Sanct' Germain chętnie uwiązałby Justusa do jednego z krzyży i własnoręcznie podpalił.

— To zrobił wcześniej. — Czuła się tak zmęczona. Najchętniej zostałaaby tutaj z Rakoczym, zapominając o ryzyku wiążącym się z ich spotkaniem. — Chcę się z nim rozwieść. Mam podstawę. Gdyby nie moja matka i siostry, od razu bym to zrobiła. — Okręciła kosmyk włosów wkoło palca. — Ciągle grozi, że im zaszkodzi. Straciłam ojca i braci, gdy ich zdradził, ale są jeszcze one.

— To on wydał twojego ojca i braci? Jesteś pewna?

— Moja matka tak uważa i nie sędzę, aby dała się zwieść byle pogłoskom. — Położyła mu dłonie na ramionach. — Nie rozmawiajmy o tym. To zawsze jest ze mną, ty zaś rzadko. — Pocałowała go, dając mu odczuć swoje pragnienie.

— Chcę, byś była ze mną, Oliwio. Byś została z dala od Justusa. Bezpieczna ze mną. — Wyczuwał jej rosnące pożądanie, delikatnie gładząc jej ciało. Rzucił okiem w stronę grotty, która nadal była pusta. Niemądrze byłoby zostawać razem zbyt długo i narażać się na odkrycie. Jednak między gęsto rosnącymi drzewami brakło miejsca, aby się położyć. — Oprzyj się o pień — szepnął i poluźnił jej strój, aż została tylko w cienkiej bawełnianej koszulce spiętej wąskim, nabijanym klejnotami paskiem. Rozwiązał go i zsunął dalmatykę z jej ramion.

Jęknęła cicho, trochę oczekująco, trochę jakby protestując, i przyciągnęła go do siebie, czując, że nie wytrzyma już dłużej. Odbierał jej drzenie i świadom był zagarniających go chciwie ramion, silniej jednak odczuwał jej pożądanie. Zapomniał o niebezpieczeństwie i ryzyku zdemaskowania, zajęty jej twarzą, piersiami i szyją. Kilka chwil później ich namiętności połączyły się i listowie wawrzynu zaszeleściło nad głowami kochanków.

Na murawie dopalała się z wolna ostatnia straszna pochodnia.

List do rzymskiego Urzędu Rozdawnictwa Żywności napisany przez Statiliusa Drakona, kapitana statku zaopatrzeniowego kursującego między Ostią a Aleksandrią:

Do urzędnika odpowiedzialnego za dostawę pszenicy dla Urzędu Rozdawnictwa Żywności, z pozdrowieniami.

Postanowiłem zwrócić się do Was w sprawie, która bardzo mnie niepokoi, i mam nadzieję, że znajdziecie właściwe rozwiązanie problemu.

Mój statek, Niezawodny, jest Wam zapewne znany, ponieważ odbył już wiele rejsów ze sprowadzaniem do Rzymu egipskim ziarnem. Nieduża, ale dzielna jednostka, z jednym rzędem wiosł i dużą ładownią. Chociaż nie jest szybki, w pełni zasłużył na swoje miano.

Gdy ostatni raz zawinąłem do Aleksandrii, skąd zwykle bierzemy frach, zamiast ładunku ziarna czekał na mnie biały piasek przeznaczony na arenę Circus Maximus. Woziliśmy już wcześniej piasek, ale nigdy jako jedyny towar. Usłyszeliśmy, że to rozkaz samego namiestnika prefekta, T. Flawiusza Wespazjana. W takiej sytuacji nie pytałem więcej, tylko załadowaliśmy piasek, jak nam kazano, i przywieźliśmy go do Ostii.

Gdy weszliśmy do portu, wybrałem się do Rzymu, aby zadbać o dostarczenie ładunku. Wjechawszy do miasta, odkryłem ze zdumieniem, że rozdawnictwo zboża kuleje od ponad trzech tygodni z powodu braków w zaopatrzeniu. Gdybym wiedział o tym w Aleksandrii, bardziej drążyłbym sprawę, dlaczego kazano nam brać piasek zamiast ziarna.

Po zastanowieniu uznałem, że jedyne, co mogę zrobić, to poinformować Was o tym, co zaszło w Egipcie. Skłonny jestem przypuszczać, że to kwestia jakiegoś nieporozumienia między Wami a prefekturą Egiptu. Nikt z pewnością nie próbuje odmawiać mieszkańcom Rzymu zboża, które zapewniamie im od tylu lat. Gdyby Wespazjan znał trudną sytuację Miasta, bez wątpienia natychmiast podjąłby kroki, aby ją poprawić.

Dwa dni temu byłem świadkiem zamieszek wśród ludzi czekających na ziarno i słyszałem, że stało się to nie pierwszy raz. Bez wątpienia jest to niebezpieczna sytuacja. W związku z tym stawiam siebie i mój statek do Waszej dyspozycji. Nie czekając na towar, wyruszamy natychmiast do Egiptu, aby załadować tam pszenicę, jeśli tylko otrzymamy właściwe dokumenty do przedstawienia tamtejszym władzom. To hańba dla największej miasta świata, gdy jego mieszkańcy głodują.

Pozostajemy do Waszej dyspozycji i czekamy na rozkaz wypłynięcia.

Statilius Drako kapitan i właściciel Niezawodnego obecnie w porcie

Ostii

drugiego dnia maja 820 roku Miasta

. 18 .

Na zachodzie gromadziły się ciemne chmury i po niebie niosły już echa grzmotów przypominające odległy przemarsz wielkiej armii. Dzień był upalny i męczący, z ledwo odczuwalnym wiatrem od morza. Duchota wisiała nad Rzymem niczym nieznane jeszcze, ale coraz wyraźniej odczuwane zagrożenie.

Tego dnia nie było igrzysk w cyrku.

— Jestem za to serdecznie wdzięczny losowi — powiedział zarządca wielkiej areny. — Przy takiej pogodzie mielibyśmy koło południa zamieszki na trybunach. — Stał na spinie i spoglądał na rzędy siedzeń i ław. W dole treserzy pracowali z niedźwiedziami, a niewolnicy rozrzucali świeży piasek.

Sanct' Germain, który sprawdzał stan organów hydraulicznych, nie mógł się z nim nie zgodzić.

— Jest jeszcze coś gorszego niż burza — powiedział. Miał na sobie egipski strój z krótką wojskową kalasiris z czarnego płótna i czerwone scytyjskie buty z cholewkami sięgającymi prawie do kolan.

— Znowu obcięli racje ziarna, a przedwczoraj przestali wydawać oliwę — stwierdził spokojnie mężczyzna, chociaż wiedział, co może wyniknąć z podobnych ograniczeń.

— A co mówi cesarz? — To akurat bardzo interesowało Rakoczego. Jeśli Neron nie zareaguje na głos ludu, lud obróci się przeciwko niemu niezależnie od wszystkich wcześniejszych wyrazów poparcia i miłości.

— Mówi, że stara się ściągnąć zboże, ale Wespazjan nie chce go wysyłać. — Zarządca przechylił się przez niską barierkę spiny, żeby zawołać do jednego z treserów. — Zmusz je do biegu, idioto! Jeśli nie

potrafisz, poszczuję cię tygrysami!

Treser odpowiedział dzikim wrzaskiem i niedźwiedzie przyspieszyły kroku.

— I co o tym myślisz? — spytał zarządca, odwracając się do Rakoczego. — Wiem, że cesarz chce udoskonalić te organy, ale nie wydaje mi się to możliwe.

— Parę rzeczy chyba da się zrobić — odparł z namysłem Sanct' Germain. — Piszczalki są stare i straciły kształt. Potrzebne będą nowe odlewy. To powinno poprawić brzmienie. Poza tym tonacje zostały źle ustawione, ale to na pewno mogę zmienić. Praca trochę potrwa, oczywiście, ale mam specjalistyczne narzędzia, które są do tego potrzebne. Odlewanie mosiężnych piszczałek tej długości zawsze wiąże się z problemami. Myślę jednak, że dam radę zrobić, co trzeba.

Zarządca, grecki wyzwolieniec, klasnął w dłonie ponad swoim okazałym brzuchem.

— Przyznam, że każda zmiana będzie pożądana. Organy już od jakiegoś czasu proszą się o naprawę, ale dotychczas nikt nie chciał się tego podjąć.

— To już nie problem, prawda? — rzucił Sanct' Germain i wskazał na schody wiodące do przejść pod areną. — Dość już widziałem. Wykonam obliczenia i wrócę, by porobić konkretne pomiary. Dam znać z wyprzedzeniem, kiedy będę mógł się zabrać do pracy.

— Tak, tak — rzucił zarządca, schodząc przodem po stromych stopniach. — Będę musiał tak ustawić rozkład, aby cyrk był wolny i nikt więcej nie przebywał na spinie. Wtedy będziesz mógł pracować w spokoju. Niebawem będzie coroczne czyszczenie delfinów i jaj, ale nie powinno to wejść ci w paradę.

Saint Germain machnął lekceważąco ręką.

— Nie sądzę, abyśmy sobie przeszkadzali, ale będzie, jak uznasz za właściwe. Wiadomość prześlę przez mojego osobistego niewolnika.

Jest tu dzisiaj ze mną, spotkałeś go wcześniej.

Zarządca trochę się skrzywił.

— Ten Egipcjanin.

— Sprawdza teraz rydwan, który dostarczyłem na najbliższe wyścigi. To nowy wzór, ze scytyjskimi zapożyczeniami. Ma głębokie wyłobienia w podłodze. Trzeba nosić buty na obcasach, takie ja te, aby nim jeździć. — Mówiąc to, pokazał na własne obuwie. — Stopy pozostają wtedy nieruchome. Jeden z moich rydwanników już na nim ćwiczył. Mówi, że w ten sposób pewniej powozi.

W podziemnym przejściu panował miły chłód, chociaż powietrze załatywało wonią dzikich zwierząt i zastarzałym odorem krwi.

— Mówisz o tym Persie?

— Tak — odparł Sanct' Germain. — Od tamtego wypadku sprzed trzech lat szukał sposobu, aby uczynić rydwan stabilniejszym, jednak bez utraty manewrowości. Przyznaję, że ciekawi mnie jego projekt.

— Poszcęściło mu się, że ma takiego pana — powiedział zarządca z dziwną irytacją. — Większość chce tylko, aby ich rydwany były szybkie, a gdy woźnica zginie przez to albo ulegnie okaleczeniu, jest obwiniany o brak umiejętności.

Ta deklaracja zaskoczyła Sanct' Germaina. Nie spodziewał się, że zarządca będzie tak wrażliwy na los rydwanników.

— Nowy wzór, jeśli się sprawdzi, będzie dostępny dla każdego, kto chciałby go wykorzystać.

Byli już przy końcu tunelu i powietrze znów zrobiło się lepkie, niemal duszące. Krążąca leniwie z kąta w kąt w stojącej niedaleko klatce pantera zakaszłała. W tle pojawił się jeszcze jeden dźwięk, który Sanct' Germain rozpoznał jako skowyt zdziczałych psów.

— Powiem o tym ludziom, ale nie oczekuj za wiele. Wszyscy przywykli do starych rydwanów. — Zatrzymał się przy korytarzu prowadzącym do stajni. — Chyba muszę cię tutaj pożegnać.

Mam jeszcze inne obowiązki. Cieszę się jednak, że ktoś weźmie się wreszcie do tego instrumentu. Zrobił się taki chimeryczny, że trębacze nie mogą za nim nadążyć. — Skinął głową niczym gigantyczny ptak i pospieszył w mrok pod trybunami.

Sanct' Germain poszedł dalej. Myślami był przy organach i problemach związanych z przeróbką i dopiero po wyjściu na zewnątrz zwrócił uwagę na odgłos, który musiał mieć swoje źródło gdzieś całkiem blisko. Zatrzymał się, nasłuchując. Wiedział, co słyszy, zetknął się już z tym bowiem setki razy. Była to chaotyczna wrzawa tłumu, identyczna z tą, która wypełniała cyrk w czasie igrzysk. Tym razem jednak nie chodziło o igrzyska, a odbijające się echem ludzkie głosy zdawały się brzmieć coraz bardziej gniewnie.

Aumtehoutep stał obok nowego rydwanu i uczył stajennego niewolnika mocowania upręży wynalezionej przez Rakoczego, która zmniejszała ucisk na końską szyję. Czasem zerkał przy tym nerwowo na bramę. On też słyszał ten zgiełk.

Stajenny był wyraźnie wystraszony i nie zwracał większej uwagi na instrukcje. Był młody, prawie jeszcze dzieciak, a nowa obroża identyfikowała go jako własność cesarza.

— To tutaj też jest nowe — powiedział Egipcjanin, przesuwając palcami po jednym z rzemieni na stojącym najbliżej koniu. — Biegnie od chomąta do popręgu i nie pozwala chomątu przesuwać się do góry oraz zatrzymuje popręg w miejscu. Sam możesz zobaczyć, jak pracuje z nowym, mniejszym chomątem, które mniej naciska przez to na łopatki i ułatwia zwierzęciu oddychanie podczas biegu.

Stajenny chyba niczego nie widział. Wrzawa na zewnątrz narastała. Tłum musiał podejść już pod Circus Maximus.

— Przekazuję ci instrukcje — przypomniał ostrym tonem Aumtehoutep.

Niewolnik krzyknął wystraszony i uciekł z dziedzińca do pozornie

bezpieczniejszych stajen.

— W ogóle cię nie słuchał. — Sanct' Germain musiał prawie krzyknąć, aby sługa go usłyszał. — Jest przerażony.

— Mury są mocne — odparł z powagą Egipcjanin. — On zaś miał się nauczyć, jak działa ta nowa uprzęż.

— Postaw się na jego miejscu — zaproponował Rakoczy. — Tam na zewnątrz zebrała się nie wiadomo jak liczna ciżba. Hałasują gorzej niż głodne lwy. Lwy zna dość dobrze, aby rozpoznać je także w ludzkiej postaci. Daj mu spokój.

Wielkie drewniane wrota zamykające dziedziniec rozbrzmiały od uderzeń pięści, kamieni i wszystkiego, czym ludzie w nie rzucali.

— Mogą się tu przedostać — zauważył cicho Aumtehoutep, jakby się w ogóle nie bał.

— Chcą pewnie splądrować magazyny z żywnością dla zwierząt. Tu jest sporo zboża zgromadzonego specjalnie dla koni. — Sanct' Germain rozejrzał się szybko po pustym nagle dziedzińcu. — Chyba o to im chodzi, jeśli o cokolwiek. Chcą ziarna.

Jakby dla potwierdzenia jego słów, łomotanie w bramę nasiliło się i wielkie belki jęknęły pod naporem. Tłum wył już niczym legendarny potwór polujący na ofiarę.

Rozległ się głośny trzask i jeden z zawiasów puścił. Za murami rozległ się radosny wrzask i napastnicy zdwoili wysiłki.

— Do rydwanu — rzucił Sanct' Germain. Sam wskoczył do środka i posunął się, robiąc miejsce dla swojego niewolnika, który wiedział, że w takich chwilach nie należy zadawać żadnych pytań.

Konie niespokojnie rzucały łbami i tańczyły na tyle, na ile uprzęż im pozwalała. Gdy trzasnęła belka przy drugim zawiasie, wielki gniadosz z lewej strony, koń, który prowadził zaprzęg na zakrętach areny, zarżał głośno i skoczył, pociągając resztę zwierząt za sobą iomal nie przewracając rydwanu.

Brama zaskrzybiała przeraźliwie i zaczęła się poddawać. Pewien sukcesu tłum naparł na chwiejące się belki.

Gdy pierwsze postaci pojawiły się na dziedzińcu, Sanct' Germain trzymał lejce w dłoniach. Obrócił zaprzęg przodem do nadciągającej hordy zdesperowanych Rzymian, którzy wlewali się przez bramę i gdy byli już bliżej, pogonił konie prosto na ludzi. Niektórzy z nich biegli już do stajen i korytarzy pod areną.

Konie zerwały się. Były jak oszalałe, z widocznymi białkami oczu i toczoną z pysków pianą, sierścią ciemną od potu. Sanct' Germain trzymał je mocną ręką, nawet gdy rydwan zakołysał się od pierwszych zderzeń z ludźmi. Niektórzy próbowali się go złapać, żeby nie upaść.

Młody człowiek w taniej i podartej tunice chciał się wspiąć na grzbiet gniadosza, ale koń stanął na tylnych nogach, machając przednimi w powietrzu. Pozostałe gotowe były pójść w jego ślady.

Sanct' Germain sięgnął po lekki bat używany do prowadzenia zewnętrznych zwierząt na zakrętach i szybkim ruchem smagnął rękę śmiałka, który uczepił się gniadosza. Młodzieniec krzyknął, zsunął się z konia i niemal upadł pod naporem ludzi.

Przejazd do bramy zdawał się trwać całe godziny. Sanct' Germain nie pozwalał koniom zboczyć, ale posuwali się w żółwym tempie. Konie reagowały niechętnie, bardziej z przyzwyczajenia, tłum gęstniał z każdą chwilą. Przy samej bramie było jeszcze gorzej i rydwan zakołysał się niebezpiecznie. Wszędzie widać było uniesione ręce, nierzadko z pałkami, kijami i inną przypadkową bronią. Hałas zdawał się napierać równie namacalnie jak ludzka ciżba.

Spojrząwszy na drugą stronę, Sanct' Germain zobaczył równie liczny tłum jak ten, który już wdarł się na teren cyrku. Na wąskich ulicach miało być jeszcze trudniej. Aumtehoutep krzyknął i przycisnął dłoń do twarzy.

— Nie puszczaj! — zawołał Rakoczy, nie odwracając głowy. —

Jesteś ranny?

— Dostałem kamieniem. — Egipcjanin ponownie zacisnął dłoń na obramowaniu rydwanu. Palce miał czerwone od krwi.

Rakoczy wypatrzył niewielką lukę w tłumie i skierował tam zaprzęg. Pilnował, żeby nazbyt nie poluzować rzemieni, aby wędzidła nie przesunęły się koniom między zęby. Wówczas zwierzęta mogłyby na oślep runąć między ludzi.

Gdy byli już prawie przy bramie, tłum podjął skandowanie: „Chleba! Chleba! Chleba! Chleba! Chleba!” Po paru chwilach okrzyk stał się na tyle niewyraźny, że utonął w ogólnej wrzawie.

Przy samym wyjeździe kilku młodych ludzi omal nie wywróciło rydwanu, rzuciwszy się na niego z pałkami. Krzyczeli coś niezrozumiale i wymachiwali bronią, jakby chcieli zabić wszystkich wokoło. Gdy Sanct' Germain ujrzał zdążającą ku niemu pałkę, uniósł rękę, żeby odbić cios, i przewrócił napastnika. To było skalkulowane ryzyko, na moment bowiem przestał panować nad wodzami i konie mogły ponieść.

Chwilę później wyjechali na ulicę, gdzie rozgrywało się prawdziwe pandemonium. Ludzie tłoczyli się przed bramą, morze ludzkich głów falowało, czasem tworzyło wiry, całkiem jak na prawdziwym oceanie. Wszyscy chcieli się wbić w wąską bramę cyrku. W tłumie były nawet kobiety z niemowlętami; w oczach tych nieszczęśnic widać było szaleństwo. Wielu młodych ludzi próbowało za wszelką cenę wywalczyć sobie drogę do magazynów, które wedle stugębnej plotki miały być wypchane zbożem i chlebem przeznaczonymi dla zwierząt oraz pracujących w cyrku niewolników. Kilka osób rzuciło się w stronę rydwanu, większość jednak pierzchała na widok czterech niemal oszalałych koni i pełnych gniewu oczu cudzoziemca, który nimi powoził.

— Panie! — zawołał ledwie słyszalny Aumtehoutep. — Nadciga

ich jeszcze więcej!

Saint Germain skinął głową na znak, że usłyszał. Widział kolejne grupy ludzi przepychających się w kierunku cyrku. Walka z ich przyływem nie byłaby mądra. Została jeszcze jedna droga, prawie równie niebezpieczna, ale jeśli ją wybierze, nie zdoła się wycofać. Zastanawiał się przez moment. Tłum wkoło gęstniał i w ciągu kilku chwil miał im całkiem uniemożliwić wszelki ruch.

— Trzymaj się! — rzucił Egipcjaninowi i powoli, uważnie zaczął ustawiać zaprzęg bokiem do ludzkiego nurtu.

Konie drżały, a gniadosz niemal przysiadł na zadzie, kładąc uszy po sobie i pokazując zęby. Rakoczy widział to wszystko, ale nie ustępował.

Zdało mu się dziwne, że jeszcze ich nie przewrócono ani że rydwan nie rozpadł się od niezliczonych zderzeń z ludzkimi ciałami. Był lekkim pojazdem, zaprojektowanym do jak najszybszego wykonania kilku okrążeń wkoło cyrkowej spiny. Rama trzeszczała i jedno z wielkich kół omal nie odpadło pod naporem, jednak rydwan skręcał powoli, a Sanct' Germain nie pozwalał zaprzęgowi na panikę. Nie miał wszakże wiele czasu. Jeszcze trochę, a prąd tłumu zniesie ich z powrotem do bramy.

Najbardziej niebezpieczna była chwila, gdy pogonił wreszcie zwierzęta, kierując je w wąską uliczkę biegnącą pod murami cyrku. Tutaj ludzi było mniej, za to poruszali się szybciej, bardziej nieobliczalnie. Sanct' Germain zmusił jednak konie do biegu.

Ulice Rzymu z reguły były wąskie, a ich bruk nierówny. Gdy zaprzęg przyspieszył, rydwan zaczął podskakiwać i zataczać się jak pijany.

Mijali tych, którzy nie mieli szansy dostać się do środka. Tutaj też zgromadził się półświatek, obecny zawsze pod trybunami. Hazardziści, prostytutki służące gladiatorom oraz tym spośród

patrycjuszy, których podniecało zlegnięcie z kobietą, mężczyzną albo dzieckiem w chwili, gdy na arenie lała się krew, starzy i niedołęźni, a często też pomyleni zawodnicy, która sława przeminęła. Były tam również porzucone dzieci, żyjące z żebractwa, byli dewianci czerpiący rozkosz z widoku cudzego cierpienia, wszelkiej maści szemrane typy przekupujące niewolników i sługi dla uwiedzenia i zniszczenia ich właścicieli. Rzymscy wykolejeńcy dołączyli z entuzjazmem do ogólnego szaleństwa, zamierzając wykorzystać okazję.

Zaprząg Sanct' Germaina sunął przez tę lawinę, klucząc, parskając i chwilami stając dęba, ale wciąż ciągnąc rydwan. Ostatecznie były to konie hodowane dla szybkości, tyle że tłum wkoło doprowadził je do stanu paniki. Oddychały ciężko, pienisty pot spływał im po bokach, biegły jednak, a Rakoczy utrzymywał je na drodze.

Na niebie zabłysła błyskawica i huknął grom. Konie omal nie zmyliły kroku i Sanct' Germain musiał na nie krzyknąć, sięgając po bat, żeby mu się nie wymknęły. Ostatnim wysiłkiem skrzył w boczną ulicę, oddalając się od cyrku. Tutaj ludzi było mniej, za to jakiś właściciel winiarni stojący beczynnie przed swoim lokalem odległym ledwie o sto kroków od miejsca zamieszek przeklął głośno Rakoczego za psucie mu interesów takimi jazdami. Zrobił to, chociaż ulica była prawie pusta.

Następny grom był jeszcze głośniejszy. Przetaczający się przez niebiosy huk zagłuszył nawet ryk tłumu. Ciemne chmury sunęły nisko nad miastem, zakrywając słońce.

Saint Germain zaczął zwalniać. Szybka jazda po wąskich uliczkach groziła zszarganiem nerwów. W każdej chwili coś albo ktoś mógł pojawić im się na drodze. Rydwan pewnie by przejechał, ale nie wiadomo, czy przez każdą przeszkodę. Konie jednak próbowały gnać jak najszybciej, w tej chwili spłoszone coraz bardziej dającą o sobie znać burzą.

W końcu, gdy byli już kilka przecznic od cyrku, Rakoczy zdołał zwolnić do tempa spacerowego. Ujął wodze w jedną dłoń i spojrzał na Aumtehoutepa, który słaniał się na nogach i musiał się wesprzeć na swym panu. Po raz pierwszy dostrzegł rozcięcie skóry na głowie niewolnika i krew pokrywającą mu twarz na podobieństwo maski pogrzebowej. Sięgnął wolną ręką i objął przyjaciela.

Egipcjanin próbował coś powiedzieć, ale uczynił to niewyraźnie i w języku, który nigdy nie rozbrzmiewał nad Tybrem. W końcu opadł na kolana.

— Jedź — wymamrotał.

Sanct' Germain spojrzał na spłoszone i parujące konie. Mimo ciężkiego oddechu były w dobrej formie, bieg nie był dla nich niczym nadzwyczajnym. Gdyby było trzeba, dałyby radę wrócić do domu galopem, chociaż przy takiej odległości nie obyłyby się bez zmęczenia. Bardziej martwił się o ich kopyta, które mogły nie wytrzymać na bruku.

Siedzący na podłodze rydwanu Egipcjanin jęknął cicho. Sanct' Germain widział już kiedyś, jak Aumtehoutep dostał strzałą w przedramię i tylko się skrzywił. Musiało być naprawdę źle, sięgnął zatem po bat i strzelił nim nad prowadzącym koniem.

Gniadosz drgnął i potknął się, potem jednak zebrał się w sobie i nadał zaprzęgowi tempo, przechodząc w trucht.

Jechali vicus Patricus, jedną z głównych ulic Rzymu między Wiminalem a Cispiusem, gdy do uszu Rakoczego dobiegł całkiem nowy dźwięk, uporządkowane kroki wielu stóp zbliżające się od północy. Ściągnął lejce, zjechał na bok i czekał niepewny, co przyniesie los.

W ciągu kilku minut pojawił się przed nim oddział pretorianów maszerujący po czterech ludzi w rzędzie, tak że nikt praktycznie nie mógł prześliznąć się obok. Widząc stojący rydwan, centurion wydał

rozkaz i kolumna zwięzła się do dwóch ludzi w rzędzie, żeby minąć przeszkodę. Sam centurion przystanął przy pojeździe.

—Jedziesz z cyrku, cudzoziemcze?

— Tak. Uciekliśmy, gdy tłum wyłamał bramę od strony stajni — odparł Sanct' Germain lekko wyniosłym tonem.

— Wy?

— Tak. Mój niewolnik leży na podłodze rydwanu z raną twarzy. Gorzej by było, gdybyśmy się nie wyrwali. — Rakoczy nie próbował nawet skrywać zniecierpliwienia.

Centurion jakby tego nie zauważył.

— To wyścigowy rydwan. Nie wolno takimi wyjeżdżać na ulice, chociaż ten jest akurat na tyle mały, że nie naruszacie prawa.

— Nie zamierzałem jeździć nim ulicami — rzucił sardonicznie Sanct' Germain, pragnąc jak najszybciej ruszyć do domu.

— Powiadają, że to największe zamieszki w dziejach Rzymu — ciągnął centurion. — Mamy trzy szacunki, dwadzieścia, trzydzieści i siedemdziesiąt tysięcy. W rzeczywistości jest pewnie koło trzydziestu. — Skrzywił się. — Ale jak ich winić? Od blisko miesiąca nie dostają ziarna, od dziesięciu dni także oliwy. Są głodni. — Uderzył dłonią w obramowanie rydwanu, które aż się wygięło. — Skoro twój niewolnik jest ranny, pewnie chcesz go zabrać do medyka. Jeśli uważasz, że warto, oczywiście. Nie zatrzymuję cię. Ale wiesz — dodał, jakby teraz to do niego dotarło — gdy Galba zostanie cezarem, znowu zacznie wydawać zboże. — Machnął ręką i gdy ostatnich dwunastu pretorianów minęło rydwan, dołączył do swojej kolumny.

Sanct' Germain strzelił z bata i zastanowił się, ilu Rzymian może myśleć podobnie jak centurion i gotowych jest wspierać Galbę w staraniach o purpurę. Potem zajął się powożeniem. Musiał przejechać przez Bramę Wiminalską i skręcić na drogę do swojej willi.

Meldunek złożony przez trybuna Marka Antoninusa Dewę przed rzymskim senatem:

Szanowni i szlachetni senatorowie Rzymu, ave!

Powiada się, że brązowe brody rodu Ahenobarbusów pasują do ich żelaznych twarzy i ołowianych serc, chociaż w przypadku Lucjusza Domicjusza Ahenobarbusa, który rządził jako Neron Klaudiusz Cezar Druzus Germanik, sprawa pozostaje otwarta. Jego śmierć, gdy wreszcie się dokonała, pokazała, że zachowały się w nim ślady cnót i nie uległ całkiem zniewieścieniu pod wpływem kultury Greków.

Gdy kilka dni temu, siódmego czerwca, doszły wieści o bitwie pod Vesontio, ucieszył się, słysząc o śmierci Windeksa, zrozumiał wszakże, iż jego sytuacja jest o wiele poważniejsza, niż wcześniej sądził. Aż do tamtej chwili zamierzał wybrać się do Galii i na zachód, być może aż do Luzytanii, żeby spotkać się z żołnierzami, zaśpiewać im swoje nowe pieśni i zapewne zdobyć ponownie ich przychylność, jak czynił to już wcześniej. Nie wziął jednak pod uwagę poczynań legionu z Nowej Kartaginy, który obwołał już cesarzem Galbę. Onże, chociaż Neron próbował przejąć jego dobra i majątek, ogłosił się już wcześniej legatem i znalazł dość popleczników w senacie, aby otwarciu przeciwstawić się Neronowi.

Pozbawiony pomocy Tygellina Nimjadiusz Sabinus nie potrafił zająć stanowiska, przez co gwardia pretońska nie podjęła zdecydowanych działań, a obecni w jej szeregach przeciwnicy Nerona zyskali większość.

Wieczorem ósmego oddziały strzegące Nerona opuściły swoje posterunki, a jego osobisty strażnik zabrał ze sobą pudełko z trucizną. Według niewolników i innych obecnych w Złotym Domu, wyzwoleniec Nerona Faon zaproponował opuszczenie pałacu i schronienie się w jego domu poza miastem. Faon słyszał wcześniejsze rozmowy żołnierzy, którzy mieli zamiar zabić Nerona we śnie, i uznał, że tak będzie można uniknąć niebezpieczeństwa.

Jeden z pretorianów utrzymuje, że zapłacił Faonowi za ujawnienie kryjówki Nerona, która znajdowała się w szopie za domem wyzwoleńca, ale to może być czcza przechwałka. Sam Faon nie poszedł z cesarzem, ale wysłał mu dwie wiadomości. W pierwszej zapewniał, że wszystko się dobrze ułoży, w drugiej informował o wydanym przez Was wyroku: że Neron ma zostać odarty z odzienia i załuczony na śmierć ciężkimi pałkami. Według Epajroditusa, jego ministra, który towarzyszył mu ze Sporussem do domu Fama, otrzymawszy tę drugą, Neron postanowił odebrać sobie życie, co przysporzyło nowych problemów. Brakło mu odwagi, aby rzucić się do rzeki, chociaż Sporus powiada, że słyszał żart na temat zimnej wody, która była zawsze ulubionym napojem cesarza. Zaśpiewał kilka pieśni po grecku, potępiając się za brak odwagi i niezdecydowanie, i pozalił się na okrutną odmianę losu. Epajroditus powiada, że szczególnym żalem napętniała go niemożność dalszego uprawiania sztuki. Był pewien, że gdyby udało mu się przywrócić dostawę ziarna i usunąć Wespazjana z urzędu w Egipcie, ludzie ponownie by go pokochali.

Wtedy to usłyszał tętent zbliżających się koni i zdecydował się sięgnąć po noże, a w każdym razie tak twierdzi Sporus.

Pojechałem na Wasz rozkaz wraz z czterema pretorianami, gotów arestować Nerona i doprowadzić go na ustaloną przez Was śmierć. Blisko godzinę zabrało mi ustalenie, gdzie się znajduje. Wreszcie pojechaliśmy tam czym prędzej, obawiając się, że ucieknie.

Gdy go znaleźliśmy, umierał już od rany na szyi. Zobaczywszy mnie, uniósł głowę, spojrzał na mnie z pogardą i wykonując obsceniczny gest, powiedział: „Spóźniłeś się, mój lojalny pretorianinie”. Moi trzej towarzysze przybyli krótko potem, by arestować towarzyszących Neronowi urzędników. Znacnie już ich relacje o przebiegu zdarzeń.

Proponuję, aby odpowiedzieć pozytywnie na petycję Akte, dawnej kochanki Nerona, i pozwolić jej zabrać ciało Ma zorganizowania

należytego pogrzebu. Mimo wszystkich jego win wielu ludzi kochało Nerona i będą chcieli oddać mu hołd. Nie godzi się ciskać jego ciała do rzeki jak żebraka ani palić wraz ze śmieciami na polach. Ciało leży już dwa dni i należy jak najszybciej zdecydować o jego losie.

Sporus uważa, że Fam został zwiedzimy i dlatego wyjawiał kryjówkę Nerona, jeśli jednak tak było, wątpię, aby naprawdę nie wiedział, co czyni. Słyszałem pogłoski, jakoby Fam miał poszukiwać jakiegoś oficera skłonnego wyprowadzić Nerona z Rzymu. Pozostając gdzieś daleko, miałby odbudować swoją pozycję i triumfalnie wrócić do Miasta. Możliwe, że wiedziony desperacją Fam porwał się na równie szalony czyn. Każdy oficer, który napotkałby tamtego ranka, dziesiątego czerwca, wyzwolenca Nerona, wiedziałby dobrze, co się szykuje, i poszedłby natychmiast zameldować o spotkaniu pretorianom albo przedstawicielom senatu. Panująca w mieście atmosfera wykluczała inną reakcję. Niemniej ja wiem tylko, że Nimfidiusz Sabinus przekazał nam rozkaz pojmania Nerona późniejszym rankiem i poszukiwany ukrywał się tam, gdzie powiedziano nam, że go znajdziemy.

Własnoręcznie spisane i opatrzone pieczęcią, jedenastego dnia czerwca 820 roku Miasta.

Niech żyje Galba!

Marek Antminus Dewa trybun, gwardia pretoriańska

. 19 .

Mężczyzna w przedziwnej peruce przystanął pod oknem gabinetu Justusa. Miał głęboko osadzone oczy, długi nos i wiecznie wykrzywione w grymasie niezadowolenia usta.

— Przyznaję, że twoja ostrożność jest uzasadniona, Justusie. Plotki z Germanii są niepokojące i to bezwzględnie prawda, że Aulus Witeliusz jest człowiekiem ambitnym. Przyznaję, że Galba jest stary. Ja nie jestem, a cesarz zapewnia, że wyznaczy mnie na swojego następcę.

— Ale jeszcze tego nie zrobił — zaznaczył Justus. Rozmawiał z Markiem Salwiuszem Otonem już ponad pół godziny i nadal nie był przekonany do udzielenia poparcia nowemu cesarzowi, Serwiuszowi Sulpicjuszowi Galbie.

— Masz na to moje słowo — powiedział z złością Salwiusz.

Justus nie mógł się powstrzymać przed sprowokowaniem gościa.

— A jeśli nie? Jeśli wybierze innego następcę?

Salwiusz zgromił Justusa spojrzeniem.

— Jeśli wybierze kogoś innego, pożałuje.

— Dlaczego miałby pożałować? — spytał Justus, po raz pierwszy naprawdę zainteresowany tematem rozmowy.

— Ponieważ jeśli nie dotrzyma słowa, zwrócę się przeciwko niemu. Wielu cesarzy upadło już przez fałszywe obietnice. Mam za sobą większość oddziałów, które staną do walki, jeśli będzie trzeba. — Zaczął chodzić po pokoju.

— Wiesz to na pewno? Pytałeś? — Justus zaczynał mieć dość przytłaczającej próżności Salwiusza. Peruka, szkła noszone jedynie prywatnie, nigdy publicznie, chociaż bez nich nie widział dalej niż na

kilka kroków, bogato zdobiony pancerz, jedwabne ubranie. Wszystko to nastawiło Justusa przeciwko rozmówcy, chociaż gotów był szanować jego ambicję.

— Tak — przyznał po chwili Salwiusz. — Wydaje się, że w czasie, gdy Neron ogłosił Galbę wrogiem i przejął jego własność, Galba był przekonany, że gdyby musiał zrezygnować ze swoich zamiarów, zdołałby przenieść całe poparcie na mnie. Teraz już wiem, że to możliwe. Mam gwarancje. — Poklepał się po pancerzu z podobizną Marsa czczącego Reę Sylwię, z unoszącymi się nad nimi dzieciółem i sępem.

— I na tej podstawie chcesz ryzykować? Galba mocno trzyma się w Rzymie.

— Galba jest stary! — wykrzyknął Salwiusz. — Ma siedemdziesiąt lat! Ja mam trzydzieści sześć i doświadczenie. Gotów jestem poczekać na moją kolej. Muszę jednak być pewny, że otrzymam poparcie, tak aby państwo mogło działać bez zakłóceń. — Spojrzał na jedno z niskich krzeseł, na którym leżały dwie miękkie poduszki, i usiadł z westchnieniem. — Posłuchaj mnie, Justusie. Możesz teraz sporo zyskać. Galba uhonoruje tych, którzy udzielą mi poparcia jako jego następcy. W ten sposób zyskasz nie tylko jego względy, ale i moje.

— Zakładając, że jesteś jego następcą, że kłopoty w Germanii ustaną oraz że uda się wam rozwiązać problem z egipskim ziarnem. Kradzieże wody stały się tak powszechne, że akwedukt Klaudiusza traci jedną trzecią tego, co powinien dostarczać do miasta. Jest jeszcze sprawa wypłaty legionom zaległego żołdu. — Justus wyliczał kolejne sprawy na palcach. — Sytuacja w Rzymie daleka jest od stabilizacji.

— Ale to się niebawem zmieni — powiedział zdecydowanie Salwiusz.

— Mam na to tylko twoje słowo — przypomniał mu spokojnie

Justus. Uznał, że nie ma co bardziej drażnić gościa. — Nie było cię w Rzymie pod koniec rządów Nerona. Och, rozumiem dlaczego, i nie zazdroszczę ci tamtej sytuacji. Twój związek z Poppeą i późniejsze jej porzucenie, aby Neron mógł ją poślubić, nie pozwoliły ci pozostać. Wiem o tym. Wydaje mi się jednak, że nie wiesz, jakie były tutaj te ostatnie lata. Wszyscy nauczyliśmy się ostrożności. Mój teść, jak zapewne wiesz, został stracony, a jego synowie skazani na śmierć na arenie, ponieważ niemądrze wybrali sojuszników. — Machnął ręką w fatalistycznym geście. — Zacząłem naprawdę uważać, Salwiuszu. Nie wyobrażasz sobie, jak wstrząsnął mną los rodziny mojej żony. Ród Klemensów należał do najstarszych i najbardziej szanowanych, a tu coś takiego...

Salwiusz zawahał się.

— Zapomniałem o tym. Tak, rozumiem twoją ostrożność. — Podał Justusowi zwinięty zwój. — Może znajdziesz chwilę, aby na to zerknąć. To planowane przez Galbę reformy. Gdybyś chciał coś dodać albo ująć, zanotuj to i porozmawiamy za kilka dni. Będę mógł do ciebie zajrzeć?

— Oczywiście, oczywiście. Jestem zaszczycony, że myślisz o mnie w takich okolicznościach. Uwierz, że nie jestem przeciwny tobie ani Galbie, ale tyle się ostatnio zmieniło, że nie miałem jeszcze czasu przywyknąć. — Wstał, poprawił togę i skłonił głowę. — Dobrze, że przyszedłeś. Przepraszam, że nie mogę od razu przekazać ci mojej decyzji, ale muszę mieć pewność, jak sprawy stoją. — Uśmiechnął się jak ktoś, kto poczuwa się do winy.

Sylwiusz wstał powoli.

— Rozumiem twoje stanowisko. Czy mogę jednak przekazać cesarzowi, że nie jesteś jego przeciwnikiem?

— Oczywiście, że możesz — powiedział wylewnie Justus i klepnął swoją wielką dłonią Salwiusza w plecy. — Podjąłeś się zaszczytnego

zadania, z taką troską i zaangażowaniem zabiegając o poparcie dla cesarza.

— Nie jestem w tym całkiem bezinteresowny — rzucił Sylwiusz w przypływie humoru. — Można wszakże powiedzieć, że dbam nie tyle o swoją terażniejszość, ile o przyszłość.

Justus nie wypadł z roli i zachichotał. W duchu odnotował z satysfakcją, że zdobył chyba względy Marka Salwiusza. Odprowadził go do drzwi.

— Mój odźwierny pokaże ci drogę. Chętnie to przeczytam — dodał, patrząc z powagą na otrzymany zwój. — To dobrze, że ten cesarz nie jest taki jak poprzedni i bierze pod uwagę zdanie senatu.

Salwiusz wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

— Możesz być pewny, że następny cesarz też o tym nie zapomni. — Odwrócił się i wyszedł do atrium.

Gdyby obejrzał się wtedy i ujrzał twarz Justusa, jego radość zapewne mocno by zmaląła. Oczy gospodarza zwężyły się, a uśmiech stracił nagle cały blask. Justus uderzył kilka razy zwojem o udo i wrócił do biblioteki.

— Monostadesie! — zawołał swojego nowego sekretarza. — Teraz zobaczę się z centurionem z Germanii.

Monostades skłonił głowę.

— W gabinecie czy gdzie indziej? — spytał od progu.

— Tutaj będzie dobrze. Zadbaj, abyśmy byli sami. — Ruchem ręki odprawił sekretarza. Zatem Marek Salwiusz Oton marzy o purpurze? I liczy na śmierć wiekowego Galby, aby przejąć spadek po nim. Niepewna droga. Jeśli jednak Salwiusz zdaje sobie z tego sprawę, nadal może wygrać. Justus zastanowił się nad tym na chłodno. Jakiegokolwiek bezpośrednie korzyści mogłoby dać wsparcie Salwiusza, pozostawała kwestia siły i publicznego odbioru Galby. Po młodym i rozbuchanym Neronie stary i kostyczny Galba rozczaruje tych, którzy

przywykli do przedstawień i rozrywek. Salwiusz to co innego, on miał w sobie sporo tej samej próżności i zamiłowania do luksusu co Neron. Tyle że nie był znany w Rzymie. Z czasem mogło się to zmienić, oczywiście, Justus nie był jednak pewien, czy młodzieniec będzie miał dość czasu.

Przybycie Monostadesa przerwało mu tok myśli. Razem z sekretarzem zjawił się drugi z gości.

— Panie, oto Kajusz Tuller, centurion wodza Aulusa Cecyny Alienusa z Germanii.

Tuller wszedł ciężkim krokiem. Można było poznać w nim zawodowego żołnierza, który awansował od samego dołu. Był potężnie zbudowany i chociaż nosił teraz togę, wyraźnie bardziej przywykł do loriki, karakalli i broni u pasa. Zgodnie z modą panującą wśród oddziałów na Północy nosił krótką brodę i włosy trochę dłuższe, niż dyktowała rzymska moda.

— Powiedz mi, czy twój wódz nadal bierze ze sobą żonę na kampanie? — spytał Justus, wstając i uśmiechając się do gościa, jakby byli starymi znajomymi, którzy spotkali się po latach. — I czy ona ciągle nosi długie, purpurowe płaszcze?

Na twarzy centuriona odmalowała się wyraźna ulga.

— Tak. Cecyna także nadal gustuje w jaskrawych kolorach.

Justus zaśmiał się życzliwie.

— Nie widziałem go od lat, ale pamiętam jego przemowy. Twój wódz jest świetnym mówcą.

— Jest — zgodził się Tuller. Nie czuł się dobrze w tym obcym otoczeniu. Spojrzał pytająco na Justusa i gospodarz wskazał mu krzesło, które kilka minut wcześniej służyło Salwiuszowi.

— Domyślam się, że masz dla mnie wiadomość od Cecyny. Bardzo jestem jej ciekaw. — Justus także usiadł wygodnie.

— Cecyna martwi się o nowego cesarza. Lubi Galbę, ale

powątpiewa, czy podoła on obowiązkowi imperatora. — Tuller przeczesał swoją przyciętą w kwadrat brodę.—Wcale mu się nie dziwię.

— Aha — przytaknął gładko Justus. — Jednak z tego, co wiem, Galba zamierza wyznaczyć na ten urząd Marka Salwiusza Otona, który niewątpliwie da sobie radę. — Poczekał, jakie wrażenie zrobi ta nowina na centurionie.

— Oton... — Tuller spojrzał na Justusa. — Oton będzie następcą Galby? Nikt tego na razie nie ogłosił.

— Przypuszczam, że niebawem stanie się to powszechnie wiadome. Czy to komplikuje twoje zadanie? — Justus dotknął dłonią leżącego na biurku manuskryptu.

— Może. — Centurion pokiwał powoli głową. — Ale przybyłem, aby z tobą porozmawiać, i zrobię to. — Wciągnął głęboko powietrze i zaczął przemowę, którą musiał wcześniej dokładnie przećwiczyć. — Wiesz, jak wielkich nadużyć dopuszczono się w ostatnich latach w imię władzy cesarskiej. Jeśli nasze imperium ma pozostać najpotężniejszym na świecie, nie można na to więcej pozwalać. Musimy znaleźć przywódcę, który będzie łączył w sobie umiejętność nawiązywania kontaktu ze zwykłymi obywatelami i wyzwolencami, jak czynił to Neron, oraz przemawiania głosem patrycjuszy, co pozwoli mu zjednać sobie senat. Cecyna uważa, że mimo wszystkich zaszczytów, jakich dostąpił Galba, nie jest on człowiekiem, którego lud mógłby zaakceptować, i tym samym nie będzie dobrym władcą. Uważa, że Aulus Witeliusz, który sprawuje obecnie urząd namiestnika Germanii, byłby lepszym wyborem i Rzym zyskałby, gdyby ogłosić go cesarzem.

— A Cecyna mógłby w ten sposób bez ryzyka zostać namiestnikiem? — Justus dostrzegł błysk niepokoju w oczach centuriona i wiedział, że jest bardzo bliski prawdy. — No tak.

Zaczynam rozumieć. Z iloma senatorami zamierzasz się spotkać przed powrotem do Germanii?

Tuller spojrzał z ukosa na rozmówcę.

— Na liście mam piętnastu. Odwiedziłem już sześciu.

— Dobrze, dobrze. Daj mi znać, jakie będą wyniki. — Justus wstał, sygnalizując, że krótka wizyta dobiegła końca.

— Nie zamierzasz ze mną rozmawiać? — spytał Tuller urażonym tonem.

— Nie, nie teraz. Ponieważ widziałeś się już z tyloma senatorami, możesz być pewien, że znajdujesz się pod obserwacją pretoriańskich szpiegów, którzy zameldują, gdzie i kiedy się udałeś. Jeśli nie powiesz mi nic więcej, niewiele będę mógł przekazać, gdy przyjdą spytać mnie o treść naszej rozmowy.

— Pretoriańscy szpiegowie—powtórzył ze smutkiem Tuller. — Nie sądziłem, że będą skłonni śledzić innego żołnierza.

— Pretorianie nie są żołnierzami, Kajuszu Tullerze. To bardzo specjalne oddziały i nikt nie wie więcej niż oni. Uważaj na nich. Wynosili cesarzy do władzy częściej, niż legiony mogłyby zamarzyć. — Justus zatrzymał się przy drzwiach i położył dłoń na klamce. — Wyślę po ciebie za kilka dni i spotkamy się w bezpieczny sposób.

Centurion nie miał innego wyboru, jak opuścić gabinet. Przyjął to jednak ze zrozumieniem.

— Dziękuję za ostrzeżenie. Pojmuję, że muszę zachować większą ostrożność. Szkoda, że nikt wcześniej nie powiedział mi o tych szpiegach.

— Nie lubimy wspominać o tym w Rzymie — skłamał gładko Justus. — Gdzie mam cię szukać?

— Zamieszkałem w zajeździe Pod Tańczącym Niedźwiedziem, blisko starego forum. Umiem czytać, możesz mi więc zostawić zapieczętowaną wiadomość.

— Wspaniale. Oczekuj listu ode mnie za trzy dni. — Odsunął się, by wypuścić centuriona. Gdy usłyszał, że żołnierz odchodzi przez atrium, wrócił do biurka i wyciągnął ze skrzyni arkusz czystego pergaminu. Przygotował pióro i zaczął pisać list do Tytusa Flawiusza Wespazjana, namiestnika Egiptu.

Prawie skończył, gdy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi za jego plecami.

— Nie przeszkadzaj mi, Monostadesie — powiedział, nie odwracając głowy.

— Nie jestem Monostadesem — odpowiedziała cicho Oliwia.

— Proszę — zawołał Justus, nadal pisząc. — Od miesiący nie zaglądałaś do mojego gabinetu. Ciekawe, o co poprosisz mnie tym razem? — Było to jawne szyderstwo. Samo jego wygłoszenie sprawiło mu sporo przyjemności.

— Chcę usłyszeć od ciebie, co się dzieje z moją matką. — Niełatwo było powstrzymać się od krzyku, ale wiedziała, że tego właśnie po niej oczekiwał. Sanct' Germain nauczył ją odmawiać mu tych drobnych zwycięstw.

— Twoją matką? — Przerwał, aby złożyć podpis na pergaminie, i sięgnął po swój sygnet.

— Musisz ją pamiętać — powiedziała z sarkazmem Oliwia. — To żona człowieka, którego zdradziłeś. Matka synów, których kaźń oglądałeś. Nazywa się Romola. Może to ci coś powie. — Nadal stała przy drzwiach. Towarzystwo męża było jej wstrętne i starała się trzymać jak najdalej od niego. — Co jej zrobiłeś? Gdzie jest?

Justus obrócił się ku niej z wyrazem absolutnej niewinności na twarzy.

— Od tak dawna wyrażała życzenie, aby zamieszkać z dala od Rzymu, że w końcu posłuchałem. Została przeprowadzona do mojego majątku w Briksellum nad Padem. Możesz nie pamiętać tego majątku.

Przyznaję, że nie jest to najlepsza z moich posiadłości.

— Zapewne najgorsza. Bo wiesz, pamiętam ją. Kiedyś chciałeś oddać ją za dwa zaprzęgi wyścigowych koni. — Złość rozpaliała się w niej coraz mocniej, dając jej siłę, aby przewyciężyć wstręt.

— I szczęśliwie się składa, że tego nie zrobiłem. — Spojrzał na nią. — Po co ci matka, Oliwio?

— Po co? Tylko ona została mi na świecie. Chcę ją odwiedzić, chcę z nią być... — Głos jej się załamał, ale zaraz się opanowała. — Choćbyś wysłał ją w największą głuszę, chcę do niej dołączyć.

— Pechowo się złożyło, że nie chciała pozostać w Rzymie — powiedział Justus, jakby w ogóle nie słyszał słów Oliwii. — Pragnąłem wyremontować jej dom, wysłałem nawet robotników, ale nie chciała ich przyjąć. Powiedziała, że nie chce ode mnie niczego. — Zaczął się bawić trzymanym w dłoni piórem.

— Nie zniechęcisz mnie, Justusie. Chcę do niej jechać. Chcę opuścić Rzym. Chcę się z tobą rozstać. — Kusila los, mówiąc takie rzeczy i przebywając z nim w jednym pokoju. Najchętniej rzuciłaby się na niego z dowolną bronią, aby odpłacić chociaż za część tego cierpienia, które było jej udziałem.

— Ale jeśli tam pojedziesz, nie poznasz nowego żołnierza, którego dla ciebie znalazłem. Cieszy się naprawdę dobrą reputacją. Pomyśl, ile stracisz, Oliwio. — Odłożył pióro. — Zamierzasz mi się sprzeciwić. Pozwól, że cię ostrzeżę. To, że twoja matka opuściła Rzym, nie znaczy, że znalazła się poza moim zasięgiem. Może potrwa to trochę dłużej, ale nadal mam wpływ na jej los, na los twojej siostry i jej rodziny. — Wstał powoli i podszedł do Oliwii.

Mimo postanowień stchórzyła i uniosła rękę, żeby się przed nim osłonić.

— Wyślij mnie do niej — powiedziała.

Justus położył dłoń na ramieniu Oliwii i z radością wyczuł jej

drżenie.

— Powiedziałem ci już, że nie. Owszem, to prawda, że możesz złożyć w senacie wniosek o rozwód albo separację, będzie to znaczyło tyle, że obie z matką umrzecie z głodu. Twoja siostra może zostać przeniesiona z Galii do Armenii. Ty zaś stracisz reputację podczas kolejnych procesów nigdy już nie zdołasz wyjść za mąż. Naprawdę sądzisz, że znajdzie się mężczyzna chętny na kobietę, która lubi sypiać z gladiatorami, ludźmi z nizin, i to tak brutalnymi, że nawet kurwy w lupanarze ich nie przyjmują? A obiecuję ci, żonko, to wszystko wyjdzie na jaw. Jest mnóstwo świadków, włączając tych ludzi. — Z satysfakcją odnotował, że w jej oczach błysnęła żywa nienawiść. — Rób, jak uważasz. Jeśli wolisz odrzec cały swój ród z godności i skazać nasze małżeństwo na marną śmierć, starczy, że mi o tym powiesz.

— Pewnego dnia to zrobię. Wtedy, gdy nie będziesz mógł już zagrozić mojej matce. Tego dnia ujawnię wszystko, co mi zrobiłeś, i nie przejmę się, co o mnie powiedzą. Ważne, że uwolnię się od ciebie i nigdy więcej nie będę musiała cię oglądać. — Przemawiała spokojnie, wpatrując się w niego stanowczo. W duchu myślała o Sanct' Germainie i ostatnim razie, gdy go widziała. Udało im się spotkać kilka miesięcy po śmierci Nerona, a korzystając z zamieszania, spędzili ze sobą kilka krótkich godzin. Nawet teraz pamiętała jego czuły dotyk i muśnięcia jego warg.

— Taką cię wolę, Oliwio — powiedział Justus ze złośliwym uśmiechem. — Nie bawisz mnie, gdy jesteś załamana i bierna. Musisz mi opowiedzieć kiedyś, co mi zrobisz. To będzie ciekawe. — Jego dłoń zacisnęła się, a kąciki ust pobieleły. — Chcesz, aby teraz cię uderzył? Na pewno nie. Prowokujesz mnie jednak swoim uporem. Dziś jest to zabawne, ale innym razem może nie być.

Mimo bólu Oliwia nie odwróciła spojrzenia.

—Jesteś obrzydliwy — wyszeptała z przejęciem. — Nie jesteś wart mojej nienawiści. Zasługujesz tylko na pogardę. —Jednym ruchem wyrwała mu się, otworzyła drzwi i wyszła z gabinetu. — Robi mi się niedobrze na twój widok, mój mężu. — Potem trzasnęła drzwiami i obojętna na spojrzenia niewolników odeszła do swojego skrzydła domu.

Gdy jakiś czas później Justus zawołał Monostadesa, był wyraźnie nie w humorze. Wręczył mu zwój i przekazał instrukcje, co należy z nim zrobić.

— Idź. Zrób, co ci kazałem. Nie chcę, aby ktokolwiek więcej mi dzisiaj przeszkadzał — warknął, gdy sekretarz zdążył do drzwi. — Nikt, czy to jasne? Absolutnie nikt!

Tekst proklamacji cesarza Galby:

Do lojalnych obywateli Rzymu i imperium, do wysoko urodzonych i wyzwoleńców. Pozdrawiam Was wszystkich!

Zbliża się czas Saturnaliów, czas prezentów i radości. Będę radował się razem z Wami, mając przy sobie mojego spadkobiercę, dzielącęp wraz ze mną odpowiedzialność i władzę, aby nie wdział w przyszłości purpury nieprzygotowany i wam nieznaną.

Lucjusz Kalpumiusz Pizon Licynianus został moim oficjalnym następcą i wiem, że będziecie dumni, iż tak szlachetny młody człowiek przejmie część powinności i obejmie po mnie urząd cezara.

Wybór następcy to zawsze trudne zadanie. Niektórzy uważają, że zasłużyli na taki zaszczyt bardziej niż inni, znajdują się i tacy, którzy uznają, że przez wcześniejsze zasługi im się to należy. Jakkolwiek wszelkie przysługi oddane cesarstwu godne są pochwały, to jednak za mało. Pizon Licynianus odda do dyspozycji imperium nie tylko swój charakter, prawy i szlachetny, ale także dziedzictwo krwi.

Skoro zbliża się nowy rok, pozwólcie, że Wam przypomnę, iż stoi przed nami mnóstwo zadań i musimy zdwoić nasze oddanie cesarstwu, żeby wielkie rany przeszłości mogły się zagoić. Wzywam Was też, abyście ostrożnie podchodzili do plotek, które zawsze można usłyszeć w Rzymie. To prawda, że niektórzy nie są zadowoleni z ostatnich zmian, ale te kwestie zastaną niebawem z honorem rozstrzygnięte. Pogłoski dochodzące z Germanii nie są dość ważne, aby zwracać na nie uwagę. Jako stary żołnierz wiem, że podobne opowieści zawsze bywają przesadzone. Nie dajcie się zwieść tym, którzy zapowiadają bunt w tej czy innej prowincji. Wielka niesprawiedliwość, która dotknęła Was za rządów Nerona, zostanie naprawiona i wszyscy znowu wrócimy do praktykowania tych cnót, które uczyniły imperium tak potężnym, jak jest teraz.

Mam nadzieję, że dzielicie ze mną satysfakcję z trafnego wyboru następcy i pomożecie mi wydzwignąć Rzym z bagna zepsucia, dogadzania przyjemnościom i próżności, które prawie nas pochłonęło.

Następny rok będzie 821 rokiem Miasta. Uczyńmy go najlepszym rokiem w dziejach Rzymu.

Serwiusz Sulpicjusz

Galba

dziewiętnastego dnia listopada 820 roku Miasta

CZĘŚĆ DRUGA

RAKOCZY SAINT GERMAIN, FRANCISKUS 253

List centuriona Kajusza Tullera do jego dowódcy, Aulusa Cecyny Alienusa, przebywającego w Germanii:

Do wodza A. Cecyny Alienusa, pozdrowienia.

Niecały miesiąc minął, odkąd Galba i jego następca Pizon zostali zabici tutaj, w Rzymie. Stało się to piętnastego stycznia, a purpura została już przyznana Markowi Salwiuszowi Otonowi. Ludzie lubią go bardziej niż Golbę. Stary wódz był dla nich zbyt surowy i za wiele mówił o cnotach, za mało zaś o przyjemnościach. Pizon Licynianus, biedny głupiec, wyszedł na tym najgorzej. Galba próbował zrezygnować na jego rzecz dla uśmierzenia buntu, który go obalił. Pizon władał jako cesarz przez pięć dni, co starczyło akurat, żeby zdążyć wybić własną monetę. Umarli razem w chłodny poranek, gdy wiatr hulał nad Tybrem.

O ton usłyszał już o ruchach w Germanii i zamierza pomaszerować ze swoimi legionami na północ, żeby spotkać nadchodzące wojska, zanim dotrą do Rzymu. Barwna z niego postać i ludzie są z niego zadowoleni. Jak dotąd senat nie zareagował na jego żądania i Oton poprowadzi do walki oddziały, które nie otrzymywały ostatnio żołdu, co może mieć wpływ na ich lojalność. Ogłosił, że spór zostanie rozstrzygnięty do maja i że dostawy ziarna wrócą do zwykłego poziomu. Na razie zorganizował rozdawnictwo chleba i dwa razy w tygodniu po kawałku wieprzowiny. Senat uważa, że to niebezpieczny precedens, i może mieć rację, Oton jednak wie, że musi zdobyć poważanie ludzi, a wypełnienie obietnicy jest po temu najlepszym sposobem.

Igrzyska zostały na jakiś czas zawieszane, ale Oton obiecał całe pięć dni

igrzysk w terminie późniejszym, z nagrodami i podarunkami każdego dnia. Obiecał już, że część cesarskich darów będą stanowić pewne obiekty wcześniej należące do Nerona.

Wstrzymano całkiem prace przy Złotym Domu. Galba go nie cierpiał, Pizon chciał go zburzyć, a Oton za krótko jest cezarem, aby mieć wyrobione zdanie. Wielu Rzymian patrzy na budynek niechętnie, ale sentyment związany z Neronem robi swoje i lud byłby przeciwny burzeniu pałacu tylko dlatego, że Neron go uwielbiał.

W senacie sporo znowu mówiono o kradzieżach wody. W samym akwedukcie Klaudiusza znaleziono dwanaście nielegalnych kranów, a inspekcja innych jeszcze się nie zaczęła. Ceny za dostarczaną wodę wzrosły drastycznie w zeszłym roku i niektórzy budowniczowie kamienic dla biedoty zagrozili, że nie podejmą robót, jak długo sytuacja się nie poprawi. Gdyby Witeliusz chciał się tym zająć, znajdzie wielu sojuszników i bardzo skromną opozycję, bo sprzeciw reformom w tej kwestii byłby praktycznie równy przyznaniu się do kradzieży wody.

Próbowałem kontaktować się z senatorami, których listę otrzymałem, ale okazało się to trudne. Trzech pretorian obserwuje mnie cały czas, meldując o każdym moim kroku. Kilku patrycjuszy nadmieniło, że gwardia pretoriańska jest obecnie państwem w państwie i nikt nie śmie się jej sprzeciwić. Wszyscy ostrzegali, że gdyby Witeliusz wygrał, będzie musiał uwzględnić jej żądania, jeśli chce rządzić dłużej niż miesiąc. Wielu wyższych dowódców jawnie cieszy się pozycją pomniejszych władców, a cała gwardia zadziera potężnie nosa i gardzi legionami oraz wszystkimi żołnierzami, którzy nie wywodzą się co najmniej z ekwitów. Są niebezpieczni i potężniejsi, niż byłbym skłonny sądzić. Niech Witeliusz na nich uważa.

Szpiegowanie stało się bardzo powszechne, czego można było jednak oczekiwać. Mało kto odważa się mówić otwarcie, jednak mury miasta są świadectwem niezadowolenia. Na każdej ulicy widać wypisane groźby i

hasła. Dudzie czytają je, śmieją się i kiwają głowami.

Konflikt z Otonem musi szybko zostać rozstrzygnięty, ponieważ Rzym jest już zmęczony rebeliami i towarzyszącym im zamieszaniem. W żadnym wypadku nie należy dozwolnić mu doprowadzenia walki w mieście, porzuć zatem plan, aby zapędzić go z powrotem do Rzymu i tutaj zabić. Tę się na Tobie zemściło. Oton musi umrzeć z dala od miasta, gdzie nie będzie ryzyka, że Rzymianie wezmą jego stronę. Postaraj się, aby cesarz zginął na polu bitwy na Północy, stawiając Miasto przed faktem dokonanym.

Oczekuję tego dobrego dnia, gdy wejdiesz z nowym władcą przez pradawną bramę, zapowiadając świt nowego i wspanialszego imperium. Poświęcę wszystkie siły, aby ten dzień nadszedł. Wynająłem nawet ludzi, aby chodzili po ulicach i malowali nocą na murach pochwały dla Witeliusza.

Kajusz Tuller

centurion XI legionu piątego

dnia lutego 821 roku Miasta

PS: Dwa dni temu byłem na przyjęciu w stylu dawnych, wystawnych uczt Nerona, z egipskimi tancerkami i jakimiś afrykańskimi muzykami. Podawano nierozwodnione greckie wina, każde danie składało się z piętnastu potraw. Bardzo wystawnie. Oton czuł się nader swobodnie, chociaż był gospodarzem. Po czwartym pucharze wina zrzucił perukę i natarł sobie łysinę oliwą, aby się świeciła. Wszyscy ciągle się z tego śmieją, poza samym Otonem naturalnie.

. 1 .

Woda wypływająca z ogrodu stojącej na wzgórzu willi Konstantyna Modestyna Datusa tworzyła ciemną plamę na bruku, plamę tym dziwniejszą, że w wieczornym świetle, gdy cienie rosły coraz dłuższe, przypominała ona postać wysokiego człowieka w długim płaszczu. Co gorsza, ciemny kształt skierowany był w stronę zachodzącego słońca, miast odwrotnie, jak kładą się zwykłe cienie. Niektórzy przechodnie spieszący o tej porze ku bramom Rzymu zwalniali zaniepokojeni, aż przekonywali się, że to tylko woda, i przechodzili nad płynącym leniwie strumykiem. Z willi wiatr przynosił woń ogrodowych kwiatów.

Saint Germain zbliżył się do willi krótko po wieczornym zamknięciu bram. Zsiadł z konia w pewnej odległości od domu. Oczekiwał tego wezwania od ponad roku. Ostatni list od Sennistisa ostrzegał go przed wizytą pewnego człowieka, który utrzymywał, że jest uczonym z Armenii, mówił jednak z wyczuwalnym perskim akcentem. Arcykapłan Imhotepa pisał, że ów uczony poszukiwał informacji o Sanct' Germainie i Kosrozdzie. Potem listy z Egiptu nagle przestały napływać. Gdy dzień wcześniej Rakoczy otrzymał uprzejme zaproszenie, przyjął je bez wahania. W końcu trafiała się okazja, aby bliżej zbadać sprawę. Armeński uczony napisał w swojej notatce, że słyszał o Sanct' Germainie w Egipcie. Ciekawe było, od kogo i ile właściwie usłyszał.

Idąc vikus Tuskulis, Rakoczy przyjrzał się stojącej ponad ulicą willi. Wyczuwał, że jest obserwowany, jednak na górze nic się nie poruszało. Gdy dotarł do strumyka wypływającego z ogrodu, uśmiechnął się krzywo.

— Płynąca woda — powiedział cicho. Czyżby ktoś naprawdę wierzył, że to go zatrzyma? Przeszedł przez płamę; rozchlapując wodę podeszwami scytyjskich butów i zostawiając mokre ślady, skierował się do willi Datusa.

Niewolnik, który otworzył mu drzwi, nie był dość bystry, aby ukryć w porę wyraz strachu, i jąkał się trochę, witając gościa.

— Cudzoziemski uczoney i jego towarzysze przebywają w ogrodzie. To na końcu korytarza. Czy mam cię zaprowadzić, panie?

— Dziękuję, znam drogę. — Sanct' Germain skinął lekko głową i wszedł do środka. Tym razem zrezygnował z perskiego i egipskiego stroju na rzecz togi. Była trochę krótsza, niż przewidywała moda, czarna i obszyta nie greckimi ani rzymskimi wzorami, ale srebrnym znakiem z jego sygnetu, przedstawiającym zaćmienie z uniesionymi skrzydłami.

W ogrodzie czekało na niego trzech ludzi. Dwóch nosiło mundury gwardii pałacowej Tirydatesa, króla Armenii, mieli jednak przy boku miecze wzoru używanego przez Partów. To samo dotyczyło ich sandałów. Obaj byli wysocy i wpatrywali się w jakiś niewidoczny punkt tuż nad horyzontem. Sanct' Germain uniósł brwi ze zdumienia.

Trzeci mężczyzna wstał z ławy przy fontannie. I on nosił armeński strój, jednak nie był żołnierzem. Długa tunika i peleryna sugerowały, że jest on uczonym. Twarz miał młodą, inteligentną i raczej niezbyt gładką. Wprawdzie uśmiechał się, jego oczy pozostawały jednak czujne.

— Rakoczy Sanct' Germain Franciskus? — spytał niepotrzebnie.

— Rozumiem, że jestem tu oczekiwany. — Gość rozejrzał się wkoło.

— Nie ma Modestyna? — Był zadowolony, że spotkanie odbywa się na terenie prywatnym, jednak brak gospodarza był czymś osobliwym.

— Szkoda. — Jego formalne podejście nie uszło uwagi Ormian.

— Niemile obowiązki zatrzymały go na Północy. Przyszły wieści, że

szukuje się bitwa między Otonem a wodzami Witeliusza. Modestyn postanowił zaprzyjaźnić się z Otonem i chronić jego interesy w Galii. Sądziś, że mądrze wybrał? — spytał uczony cynicznie i zaśmiał się krótko.

— Moja opinia nie ma żadnego znaczenia ani wpływu na działania Modestyna. — Sanct' Germain postanowił oddać rozmówcy inicjatywę. Może w ten sposób ujawni więcej, niż zamierza. Podeszedł do ławy po drugiej stronie fontanny. — Interesujesz się, panie, rzymską polityką? Ostatnio to chyba mało bezpieczne zajęcie.

— Nie dla mnie — odparł Ormianin. — Jestem cudzoziemcem.

— Tym gorzej. Dowiedziałaś się czegoś, co warte było ryzyka? — Dostrzegł, że pozostali dwaj mężczyźni zmierzili go uważnym spojrzeniem. — Wojna nie jest sprawą uczonych — dodał spokojnie.

— Intryguje mnie polityka, a rzymska polityka jest obecnie wręcz fascynująca. Trzech cesarów od stycznia. Zdumiewające. — Usiadł po drugiej stronie fontanny i spojrzał na Sanct' Germaina przez spływającą wodę.

— Szczególnie ciekawa dla Partii i Persji? — spytał z ironią Rakoczy.

Uczony przymrużył oczy.

— Partia i Persja są równie ważne dla Armenii jak Rzym. Chyba zgodzisz się, panie, że obecny... — zawahał się — że obecny konflikt, którego nie chciałbym nazywać wojną domową, chociaż skojarzenia same się nasuwają, może mieć swoje skutki także dla Armenii.

— I dla Persji, i Partii. Wojują z Rzymem od czasów republiki. — Sanct' Germain przeszedł na ormiański i zauważył z satysfakcją, że zaskoczył tym uczonego. — Persja powinna być raczej zainteresowana podtrzymaniem tej wojny.

— Nic nie wiem o Persji — powiedział szybko uczony. Zbyt szybko. Uchylił się przed ironicznym spojrzeniem Sanct' Germaina.

— Ktoś z dworu Tirydatesa musi z pewnością... — zaczął Rakoczy i urwał.

— Nie wiem o niej więcej niż inni. Jestem uczonym, nie dyplomata. Owszem, są w Partii i Persji wielkie szkoły, które mnie interesują — dodał pospiesznie. — Spędziłem w nich trochę czasu, badając te kraje. Ale jeśli chodzi o konflikt z Rzymem...

Sanct' Germain przytaknął poważnie.

— Jak mówisz, panie, to nie temat dla uczonych. Niemniej dziwi mnie, że mówisz po ormiańsku z perskim akcentem — powiedział Sanct' Germain, spoglądając obojętnie gdzieś za ogród. — To musi być jakaś nowa dworska moda. — Był pewien, że nie o to chodziło. W innych okolicznościach być może bawiłyby się sytuacją i pozwoliłyby uczonemu jeszcze bardziej uwikłać się w kłamstwa, ale nie teraz.

Tamten spojrział na Rakoczego jadowicie, ale zdobył się na uprzejmą odpowiedź.

— Mój pierwszy mistrz był Persem i odziedziczyłem po nim akcent. Jestem synem z drugiego małżeństwa mego ojca — zaimprovizował, całkiem zresztą niepotrzebnie. — Nie mam braci ani sióstr w moim wieku.

Saint Germain skłonny był zaliczyć uczonego do ludzi inteligentnych, stało się jednak oczywiste, że cierpi on także na typową przywarę kłamców, gotowych nazbyt komplikować rzeczy proste i wyjaśniać to, co nie wymagało objaśnienia.

— Bez wątpienia to właśnie pchnęło cię, panie, do uprawiania nauki — powiedział z powagą. — Musisz mi wybaczyć, ale sądziłem, że znam wszystkich uczonych przybywających w te strony z Armenii. Modestyn gościł ich już wielu, a oni często wspominali o swoich kolegach. Dzisiejsze zaproszenie, panie, zaskoczyło mnie, a twoje imię nic mi nie powiedziało. Bez wątpienia to kwestia zawodnej pamięci. Led Arasznur... — zastanawiał się chwilę. — Nie, obawiam się, że nie

kojarzę cię, panie.

— Ja... nie planowałem wizyty w Rzymie już teraz. Trafiła się jednak sposobność i postanowiłem skorzystać. — Arasznur był coraz bardziej zdenerwowany, a jego perski akcent wyraźniejszy. — Zdarza się czasem.

— Z pewnością — powiedział Sanct' Germain z przepraszającym uśmiechem. — Ale co badasz, panie, że tak szybko przyjechałeś?

Uczony zacisnął wargi.

— Zajmuję się matematyką stosowaną. Studiuję konstrukcje mostów i gmachów...

Czyli specjalista od fortyfikacji, pomyślał Sanct' Germain.

— I udało ci się coś obejrzyć przy tym całym zamieszaniu?

Samozwańczy Ormianin jęknął i skrzywił się ze złością.

— Muszę korzystać ze sposobności, gdy się trafiają. Zamieszanie nie pomaga, ale nie daję się zniechęcić.

— W rzeczy samej — mruknął Sanct' Germain. — A tak dokładnie, za jak wielkiego głupca mnie masz, Led Arasznurze?

Uczony spojrzał niespokojnie na swą milczącą obstawę.

— Zawołaj ich, a pożałujesz — powiedział cicho Sanct' Germain z przyjaznym wyrazem twarzy. Nie spuszczać oczu z pełnego napięcia oblicza rozmówcy, poprawił się na ławie i oparł na łokciu.

— Jest ich dwóch i są uzbrojeni — odezwał się w końcu Arasznur.

— Naprawdę myślisz, że to coś zmieni? — spytał z rozbawieniem Rakoczy. — Zawsze możesz spróbować.

Uczony zawahał się.

— Nie — odparł powoli. — Nie sędzę, aby zdołali cię pokonać.

— Mądry wniosek. — Sanct' Germain poprawił tokę. — A teraz, czego chce ode mnie perski szpieg z Armenii?

— Nie jestem szpiegiem! — zaprotestował głośno Arasznur. — Jestem uczonym.

— Prosiłem, abys nie traktował mnie jak głupca — przypomniał mu słodkim głosem Sanct' Germain. — Chcesz czegoś ode mnie, prawda?

Arasznur wyraźnie się pogubił. Widać nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby ktoś tak dalece zlekceważył groźną siłę, która za nim stała.

— To nic wielkiego... — zaczął i dojrzał sardoniczny błysk w oczach rozmówcy. — Masz pewnego niewolnika.

— Mam trzy setki niewolników — zaznaczył Sanct' Germain. Liczył na to, że szpieg nie ucieknie się ponownie do kłamstw, bo rozmowa zaczynała się robić niebezpieczna.

— Mnie i moich... towarzyszy interesuje tylko jeden z nich — odparł krótko Arasznur.

— Raczej twoich panów, nie ciebie — mruknął Sanct' Germain. — Który z ponad trzystu moich niewolników zasłużył sobie na taki zaszczyt? — Wiedział, o kogo musiało chodzić, ale nie chciał się z tym zdradzać. — Chyba nie moja ormiańska treserka? Tisztry nie jest na sprzedaż. Ani dla was, ani dla nikogo innego, niezależnie od ceny. Jeśli twój pan chce wkupić się w łaski Tirydatesa, musi poszukać innego prezentu.

Arasznur spojrział na niego z niechęcią.

— Nie interesują nas sztukmistrze z areny. W każdym razie nie tacy.

Przyjechali zatem po Kosrozda. Sanct' Germain od dawna obawiał się, że w końcu do tego dojdzie.

— Mam ponad sześćdziesięciu treserów i trzynastu rydwanników. Kogo spośród nich sobie upatrzyliście?

— Kpisz sobie z nas — warknął Arasznur.

— Owszem — odparł zdecydowanym tonem Sanct' Germain. — Obawiam się, że rozczarujesz swoich mocodawców. Żaden z moich niewolników nie jest na sprzedaż.

—Jeden z nich jest perskim księciem! — wybuchnął w końcu

uczony, aż zbrojni zwrócili się w jego stronę, a jeden z nich sięgnął po miecz. Arasznur spojrział na niego surowo i strażnik zostawił broń. Nadal milczeli, tyle że teraz nie wpatrywali się już w horyzont. Cała ich uwaga skupiona była na osobach przy fontannie.

— Nie, Arasznurze — powiedział cicho Sanct' Germain. — Jeden z moich niewolników był perskim księciem. Teraz nosi obrożę i powozi kwadrygą w cyrku.

Domowi niewolnicy zapalili w ogrodzie pochodnie. Kołysane wiatrem płomienie zabarwiły spływającą wodę złotem, bursztynem i czerwienią.

— Kosrozd Kajwan jest najstarszym synem...

— Księcia Sraoszy, trzeciego dziedzica tronu perskiego, który zginął jednak, oskarżony o zdradę. — Dojrzał błysk przebiegłości w oczach rozmówcy. — Nie, szpiegu. Mój niewolnik nie wyjawiał mi tego. Wiedziałem to, gdy go kupowałem. Niech zgadnę... — dodał i zaśmiał się sardonicznie. — Szykuje się kolejny spisek i zamierzacie skorzystać na nim niezależnie od tego, kto wygra. Jeśli konspiratorzy będą mieli szczęście, podsuniecie im prawowitego dziedzica. Jeśli nie, zyskacie łaskę króla, oddając mu Kosrozda. To właśnie zamierzacie, prawda?

Led Arasznur milczał i tylko jego oczy miotały zimne błyski.

— Tak — powiedział w końcu.

— Ty zaś przybyłeś do Rzymu nie z powodu matematyki stosowanej, ale chcąc przekonać się na własne oczy, jakie zniszczenia pociągnęła za sobą wojna domowa, aby Persja mogła się zastanowić, czy warto zrywać obecny rozejm z Rzymem, czy może jednak niekoniecznie.

— Tak — warknął Arasznur.

Sanct' Germain nie był zdumiony takimi nowinami. Oczekiwał czegoś podobnego, od kiedy Galba i Pizon zginęli w styczniu.

— Zastanawiam się, dlaczego przyznajesz się do tego przede mną — rzekł z namysłem.

— Dowiedziałem się tego i owego w Egipcie — odparł Arasznur zdecydowanie nieprzyjemnym tonem.

— O dostawach pszenicy? — spytał niewinnym tonem Sanct' Germain.

— Dopóki nie zostaną wznowione, wojna domowa w Rzymie nie wygaśnie — rzucił pogardliwie szpieg. — To nie kwestia braku ziarna w Egipcie, ale ambicji pewnego namiestnika zwanego Wespazjanem.

— Z tym mogę się zgodzić. Czego jeszcze dowiedziałeś się w Egipcie? — Nadal przemawiał szyderczym tonem, ale w duchu coraz bardziej się niepokoił. Arasznur mógł się okazać groźniejszy, niż się wydawało na początku.

— Żył tam pewien stary człowiek — wyjaśnił Arasznur. — Sprzedawał zioła i przyprawy i uchodził za biegłego w medycynie. Niektórzy nazywali go kapłanem. Nazywał się Sennistis.

— Nazywał się? — wyrwało się Sanct' Germainowi. Oczami wyobraźni ujrzał zaraz dumną postać Sennistisa w białych szatach i z pektorałem.

Arasznur wzruszył ramionami.

— Słaby był, a pod koniec również umysł zaczął mu szwankować. Myślał, że znowu jest w świątyni Imhotepa. Mówił wiele o swoim poprzedniku. Ciekawa to była opowieść. Być może ją słyszałeś?

Ile Sennistis wyjawiał im przed śmiercią? Stary kapłan wiele o nim wiedział, ale sam by tego nie wyjawiał. Sanct' Germain spojrzał na pełne usta Arasznura i zapragnął odrzeć je do kości, tak żeby nic nie przesłaniało zębów. To nie była jednak dobra chwila na gniew.

— Lubię ciekawe historie — powiedział spokojnie.

— Poprzedni arcykapłan był cudzoziemcem. Już to było niezwykle, ale i osoba okazała się nietuzinkowa. Jak mówił Sennistis, człowiek

ten miał sporo dziwnych nawyków. Nigdy nie pił niczego ani nie jadł przy innych, a gdy już coś przyjmował, to tylko eliksir życia. Słynął z cudów. Podobno przyniesiono mu kiedyś jego osobistego niewolnika, który zmarł od zarazy, jednak po dwóch dniach ten nowicjusz ze świątyni Tota wrócił między żywych.

— Widać też napił się eliksiru życia — powiedział znudzonym tonem Sanct' Germain. Jeśli Arasznur zmusił Sennistisa do mówienia, mógł usłyszeć więcej, niż Sanct' Germain skłonny był przypuszczać.

— Nie według Sennistisa. Powiedział, że ten niewolnik był inny niż jego pan, na czym jednak polegała ta różnica, nie wyjawiał. — Spojrzał wyczekująco na Sanct' Germaina. — Słyszałem, że twój osobisty niewolnik jest Egipcjaninem.

— Tak.

Arasznur czekał, ale Sanct' Germain niczego nie dodał.

— Stary zmarł, zanim powiedział nam coś więcej — przyznał szpieg.

Sanct' Germain spojrzał na niego surowo.

— Jak zmarł ten dobry człowiek?

— Dzielnie, jeśli to cię uspokoi. Prawie rok temu. Trafiłem na niego przypadkiem, dowiedziawszy się o kimś, kto kupił Kosrozda. Dłużej by trwało, gdyby nie miał twojego portretu. Podpis pod nim jest nad wyraz interesujący. Jak stary jesteś, Franciskusie? Jeśli to twoje prawdziwe imię.

— Jestem starszy, niż myślisz — odparł poważnie Sanct' Germain. — Imię jest równie prawdziwe jak inne znane Sennistisowi. — Spojrzał przenikliwie na Arasznura. — Zdumiewa mnie, że wiedząc, kim jestem, postanowiłeś się jednak ze mną spotkać.

Led Arasznur zerwał się na równe nogi.

— Wiem coś jeszcze o tobie i spisałem to. Jeśli nie dojdziemy dziś do porozumienia, wyślę rano ten list Otonowi. Powinien dostać go

około połowy kwietnia. Wojna czy nie, zażąda od senatu zdecydowanego działania.

— A jeśli odmówię? — Sanct' Germain zmusił się do zachowania pozorów, rozluźnienia. — Za dziesięć dni mogę być daleko od Rzymu.

— Daleko od miasta, ale nadal w imperium. Rzymskie prawo działa czasem powoli, ale działa — powiedział szpieg z satysfakcją. — Masz słabe strony i jeśli nie dasz się przekonać, pożałujesz. Na przykład jeden z twoich kapitanów, Grek, często wykorzystuje swój statek do przemytu. Być może zechce zeznać, że wykonywał twoje polecenia. To on znalazł dla mnie starego kapłana, który był jego stryjem. Wiedziałaś o tym?

— Nie — skłamał Sanct' Germain, nie dodając, że od dawna podejrzewał Kyrillosa o dostarczanie do Ostii nielegalnych ładunków ziarna, które na czarnym rynku było obecnie towarem bardzo chodliwym.

— Skonfiskowanie jego ładunku będzie przykre. Potem to samo może spotkać inne twoje statki. To byłby już poważny cios dla twoich finansów. Może byłbyś skłonny rozważyć raz jeszcze moją propozycję.

Sanct' Germain poznawał znajomy ton pogroźek. Postanowił wydobyć z przeciwnika jeszcze trochę informacji.

— Nie wiem, dlaczego ktokolwiek w Rzymie miałby zwracać uwagę na donos Persa, przepraszam, Ormianina, dotyczący dowolnego statku, wszystko jedno rzymskiego, greckiego, afrykańskiego czy jakiegokolwiek innego.

— To nie wyjdzie ode mnie. Składającym będzie pewien szanowany Rzymianin. — Uśmiechnął się przebiegle. — Nie, Franciskusie. Nic z tego. Nie poddam się tak łatwo. — Obszedł fontannę i stanął naprzeciwko Sanct' Germaina. Jego twarz była rumiana od blasku pochodni. — Chcę Kosrozda i będę go miał. Myślisz, że wiek i krew dają ci przewagę i zapewniają bezpieczeństwo, ale mylisz się. Spróbuj

tylko zatrzymać księcia, a zniszczę cię.

— Naprawdę? — Sanct' Germain wstał powoli. — To może się okazać bardzo trudne, szpiegu.

— Ciekawe, czy powiesz to samo, gdy stracisz wszystkich niewolników. Senat z miłą chęcią pozwoli mi kupić Kosrozda. Niewolnicy skazanych nie są mile widziani w Rzymie. Cesarz może nawet zażądać, aby zostali sprzedani gdzieś daleko. Oton nie może sobie pozwolić na dalsze niepokoje. W twoim przypadku nie pójdzie na układy. Nie cierpi cudzoziemskich magów.

Pod maską brawury Sanct' Germain dojrzał w jego oczach najzwyczajniejszy strach.

— Ty zaś podzielasz chyba jego podejście.

— Ty... — Arasznur uczynił gest odpędzania zła. Oddychał coraz szybciej. — Nienaturalny potworze! — wykrzyknął i czym prędzej wycofał się za fontannę.

Sanct' Germain uśmiechnął się ironicznie.

— Wierzysz w legendę o wpływie wody. Po drodze tutaj przeszedłem kilka strumieni. — Gdyby nie grube, wypełnione ziemią podeszwy jego butów, większa ilość wody, zwłaszcza płynącej, byłaby dla niego poważną przeszkodą, której nie pokonałby bez cierpienia. Uznał jednak, że lepiej będzie nie wspominać o tym przeciwnikowi. — Mam przejść przez fontannę, szpiegu?

Arasznur zbladł wyraźnie.

— Nie możesz.

Blask pochodni sprawiał, że wąski strumień wypływający z fontanny wił się ku ogrodowym zaroślom niczym smuga płynnego metalu. Sanct' Germain przeszedł go, a potem ruszył w głąb ogrodu, przekraczając strumyk przy każdym zakolu. Potem wrócił do Arasznura i spojrzał na niego z góry.

— Źle wybrałeś przeciwnika, szpiegu.

Rzekomy uczoney szybkim gestem wezwał jednego z żołnierzy, zanim jednak rosły strażnik zdołał dojść do swego pana, Sanct' Germain stanął mu na drodze i błyskawicznym ruchem przycisnął dłonie do okolic obojczyka. Mężczyzna zachwiał się, a jego miecz zadzwonił na mozaikowej ścieżce. Rakoczy odstąpił krok i pozornie słabym ciosem posłał żołnierza na ziemię. Drugi strażnik skoczył w jego kierunku, nie zdążył jednak wyciągnąć miecza, gdy Sanct' Germain ścisnął mu rękę tuż nad łokciem.

Zdumiony żołnierz spróbował się uwolnić, ale zamiast tego krzyknął boleśnie. Dłoń zwiśla mu bezwładnie i opadł na kolana, tuląc promieniującą bólem rękę do piersi.

Sanct' Germain obrócił się do Araszura.

— Radziłem sobie w pojedynkę z przeciwnikiem dwadzieścia razy liczniejszym. I to nie jest przechwałka — powiedział ze śmiechem.

Bładolicy Led Araszur odsunął się o krok.

—Ja... ja... — Poszukał dłonią zawieszzonego przy pasie sztyletu.

— Skoro byłeś tak niemądry, aby zdradzić mi swoje plany, chyba najlepiej będzie, jeśli opuścisz Rzym. A jeśli tego nie zrobisz, pretorianie mogą otrzymać wiadomość o szpiegu ukrywającym się w domu Modestyna Datusa. — Spojrzał na niego znacząco. — Trzy dni powinny wystarczyć.

— Nie odważysz się! Powiem Otonowi, kim jesteś! — wykrzyknął szpieg. Cuchnął strachem.

— Możesz przekazać swój list, jeśli ci to pomoże. Oton ma teraz inne sprawy na głowie. Nie sądzę, żeby się przejął jakimś... nienaturalnym potworem w moim rodzaju. — Ponownie przyjrzał się szpiegowi. — Nie zmuszaj mnie, bym cię zabił. Ciesz się, że daję ci szansę uciec. — Zwrócił się do żołnierza, który jęczał nad złamaną ręką. — Dopilnuj porządnego złożenia kości, bo inaczej nie będzie miał z niej pożytku. Ten drugi... cóż, przykro mi. Umrze przed

upływem miesiąca, zapewne za jakieś piętnaście dni. — Dojrzał przerażenie malujące się na twarzy Arasznura. — Nie, nie ma w tym nic nienaturalnego. Nawet śmiertelnik taki jak ty może się nauczyć zadawania podobnych ciosów. Jego organy wewnętrzne zostały uszkodzone i niebawem przestaną funkcjonować. Gdy to się stanie, umrze. Pomyśl o tym, kiedy będziesz z powrotem w Persji — dodał sardonicznie. — Zwłaszcza gdyby przyszło ci do głowy ponownie wybrać się do Rzymu albo wysłać kogoś innego po Kosrozda. Wspomnij sobie wtedy śmierć tego żołnierza.

Led Arasznur spróbował mimo wszystko uratować resztki godności.

— Nie odważysz się zaryzykować procesu przed sądem!

— A kto mnie oskarży? Ty? — Zanim Pers zdołał odpowiedzieć, Sanct' Germain odwrócił się i poszedł przez ogród do muru, wprawnie przeszedł na drugą jego stronę i zniknął w mroku nocy, zostawiając willę Modestyna i skąpany w blasku ogród daleko za sobą.

List od Korneliusza Justusa Syliusza do Tytusa Flawiusza Wespazjana urzędującego w Egipcie:

Do T. Flawiusza Wespazjana, pozdrowienia.

Wiele miesięcy minęło, odkąd do Ciebie pisałem, muszę Cię więc prosić o pobłażliwość. Bez wątpienia wiesz o ostatnich kłopotach, które dotknęły to miasto, wywołując tyle politycznych trzęsień ziemi. Wszędzie słyhać najbardziej fantastyczne pogłoski i trudno się rozeznać, co jest prawdą. Ostatnia rewelacja jest poniekąd powtórką tego, co zdarzyło się już wcześniej. Dowiedziałem się, że ledwie kilka dni temu Oton zginął z własnej ręki. Na razie mało kto o tym wie, ale do jutrzejszego zachodu słońca wiadomość bez wątpienia rozejdzie się po całym mieście. Senat jest gotów ogłosić cesarzem Aulusa Witeliusza. Co za rok: Galbą, jego następcą Pizm, a teraz Oton. I już wszyscy oni nie żyją, a wiosna się jeszcze nie

skończyła.

Witeliusz cieszy się oczywiście poparciem swoich wodzów, a i Aulus Cecyna Alienus jest bardzo ambitnym człowiekiem. Nie wiem wiele o Fabiuszu Walensie, chociaż gotów byłbym założyć się o sporą część mojego majątku, że to człowiek Cecyny. Na Cecynę w ogóle należy uważać. Jest bystry, przystojny i potrafi przekonująco przemawiać. Chyba postrzega Witeliusza jako stopień do władzy. Nie byłaby to pierwsza taka próba.

Zakładając, że nie pojawią się nowe przeszkody, Witeliusz powinien przybyć do Rzymu w czerwcu, chociaż może zwlekać, aby miasto się uspokoiło, nim do niego wjedzie.

Hipopotamy, które przysłałeś na igrzyska w zaszłym miesiącu, zrobiły furorę. Nie wiem, skąd bierzesz te olbrzymie zwierzęta, ale tłum był zachwycony i widu dobrze o Tobie mówiło. Nie wykorzystaliśmy jeszcze wszystkich i uzgodniłem z Nekredesem, mistrzem treserów, że w maju, podczas następnych igrzysk, urządzi się wodne polowanie. Te nowe łowy stały się bardzo popularne i ludzie cenią sobie różnorodność stworzeń, które pojawiają się w wodzie. Jeden z treserów powiedział nam, że tygrysy też umieją pływać, i stwierdziliśmy, że dodanie ich kilku do kolejnego polowania będzie bardzo interesujące. Jak dotąd nie udało nam się pozyskać morświnów, ale one są bardzo trudne w transporcie. Próbowaliśmy wpuścić do wody kilka rekinów, jednak skrzynia rozpadła się po drodze i wielka ryba wypadła z niej, zabijając ośmiu niewolników, zanim sama zdechła. Mamy jeszcze węgorze i płaszczyki, ale one nie są już nowością i nie radzą sobie dobrze w słodkiej wodzie.

Przyjmij mą pochwałę za sposób, jaki zastosowałeś w kwestii dostaw ziarna. Domyślałam się, że kryzys potrwa jeszcze trochę, a gdy się zakończy, lud będzie bardzo Cię poważał. Oczywiście trochę zboża dociera do miasta z ziem na wschodzie i z Galii, jednak za mało, aby wyrównać braki spowodowane wstrzymaniem dostaw z Egiptu. Drobni kupcy przeżywają wielkie dni, których w żaden sposób nie oczekiwali, a pszenica jest na tyle

droga, że opłaca się ją kraść. Wyobrażam sobie, że na jesieni każda poprawa sytuacji będzie traktowana jak dar bogów.

Rozmawiałem przy okazji z twoim krewniakiem Tuliuszem. Zapewnił mnie, że nie zaniechał planów, o których dyskutowaliśmy w zeszłym roku. Jestem pewien, że Ci się uda, i już tylko z tego powodu chętnie przyłożę rękę do wszystkiego, co może przyczynić się do sukcesu.

Doszło ostatnio do dwóch pożarów w dzielnicy biedoty. Jak sam wiesz, tamtejsze domy nie są zbyt starannie wznoszone. W tych najgorszych połowa pomieszczeń znajduje się pod ziemią, co nie zapewnia dobrej cyrkulacji powietrza. Ci, którzy tam mieszkają, wiecznie narzekają na wodę kapiącą z przeciekających rur. Teraz jeszcze co rusz rozpalają piecyki własnej roboty, aby przyrządzić trochę zdobywanej na różne sposoby pszenicy, i należy się zapewne spodziewać dalszych pożarów. Większość biedoty nie nosi już zboża do publicznych młynów, bojąc się, że nie dostaną go z powrotem. W przyszłym roku czeka nas wielka przebudowa ich dzielnicy. Postanowiono, że nigdzie nie może być więcej niż siedem mieszkań na budynek, sądzę jednak, że da się tę liczbę bez znaczącego ryzyka zwiększyć do dziesięciu albo jedenastu. Czynszówki zawsze były problemem w Rzymie. Tym bardziej ważne są teraz i może też zechcesz się nad tym zastanowić.

Czekam niecierpliwie na spotkanie za kilka miesięcy. Nie jesteśmy już tacy młodzi, żeby odsuwać je bez końca. Niebawem skończę pięćdziesiąt dwa lata. Trzeźwiąca myśl, prawda? Mam jednak nadzieję, że schyłek mego życia będzie bardziej satysfakcjonujący niż wcześniejsze lata.

Do spotkania zatem.

Spisane własną ręką dwudziestego trzeciego dnia kwietnia 821 roku
Miasta.

Korneliusz Justus Syliusz

Senator

. 2 .

Witeliusz beknął, masując się po masywnym brzuchu. Na sąsiednich łóżach spoczywali inni goście, tak mężczyźni, jak i kobiety, ponieważ nowy cesarz nie lubił zbytniego formalizmu zaburzającego proces przyswajania jedzenia.

— Nigdy nie jadłem lepszego — powiedział, grożąc palcem jakiemuś niezadowolonemu patrycjuszowi po drugiej stronie sali. — Gdybym nie przegonił pretorianów, wprowadziliby swojego człowieka do pałacu i potem któryś z nich sięgnąłby po purpurę. — Skinął na niewolnika, aby zabrał tacę z pieczonym prosiakiem, która leżała pośrodku uczających. W wielkiej sali było jeszcze siedem podobnych, ustawionych w kształt litery U grup łóż, każda z podobnym daniem w centrum.

Patrycjusz, do którego zwracał się Witeliusz, nie przejął się uwagą.

— Twoi wodzowie są bardzo mądrzy, cesarzu. Z wielu rzeczy zdają sobie sprawę. — Zamilkł, aby zlizać miód z palców. — Jednak gwardia pretorianów to część Rzymu i ludzie do niej przywykli. Ustanowienie nowej formacji nie ułatwi ci przejęcia rządów.

Witeliusz aż się skrzywił.

— Remigiuszu, cały Rzym wie o twoich sympatiach. Dziewięciu członków twojej rodziny to pretorianie. Tym razem wybaczę, że opowiadasz się głośno po ich stronie, ale dla twojego dobra odmawiam kontynuowania tematu. — Skinął na najbliższego niewolnika z dzbanem. — Napełnij Remigiuszowi puchar. Niech przestanie o tym myśleć.

Senator na łożu obok Remigiusza uznał, że pora się włączyć.

— On ma rację, cesarzu — powiedział z mądrą miną. — Lud

rzymski przywykł do pewnych rzeczy...

Tym razem Witeliusz nie był już taki pobłażliwy.

— Zrobiłem, co zrobiłem, Fabrycjuszu. Nie ma o czym rozmawiać.
— Skinął na dwóch pomocników czekających przy jego łożu. — Muszę sobie ulżyć, aby zrobić miejsce na kolejne danie. Pawie jęczyczki, cielece mózdzki i rybia ikra. Danie mojego pomysłu. Gdyby ktoś wpadł na pomysł, jak je udoskonalić... Nie jestem z niego jeszcze zadowolony. — Dźwignął się na nogi i poszedł wsparty na niewolnikach do womitorium.

Remigiusz spojrział na Fabrycjusza.

— Pożałuje swojej decyzji. Pretorianie mu tego nie wybaczą.

— Na pewno — zgodził się Fabrycjusz. — Są jakieś nowe wieści z Egiptu?

— Porozmawiaj z Justusem. On jeden wie chyba wszystko. — Remigiusz spojrział lekko nieprzytomnie na stolik, z którego zabrano prosiaka. — Ile jeszcze dań nas czeka?

— Cztery. Oraz kolacja po części artystycznej.

Fabrycjusz westchnął.

— Jak za dawnych dni. Tyle że Witeliusz woli wino zamiast wody z lodem. — Była to oczywista aluzja do gustów Nerona. Fabrycjusz na wszelki wypadek rozejrzał się wkoło. — Nie wiem, co się z nami stanie, jeśli dalej będziemy tak żyli.

Remigiusz roześmiał się wymuszenie.

— W tym roku pożegnaliśmy już trzech cesarów. Czterech, jeśli liczyć Pizona. Jako senatorowie dobrzy jesteśmy tylko w jednym: utrzymywaniu się przy władzy. Cesarze przychodzą i odchodzą, a senat trwa niezmienny.

Jeden ze stojących za nim niewolników przysunął się bliżej.

— Tak sobie tylko gadamy — rzucił pod jego adresem Fabrycjusz i ujrzał z ulgą, że na sali pojawiło się już kolejne danie. — Wspaniale!

— zawołał służalczo.

Witeliusz potrzebował aż dwóch piór, żeby móc wrócić na ucztę. Niewolnik podał mu mokry ręcznik dla wytarcia twarzy i dłoni. Cesarz poprawił togę, która wisiała na nim potargana, i wszedł do sali, od razu natykając się ze zdumieniem na jednego ze swoich gości.

— Jak ci smakuje? — odezwał się do cudzoziemca.

Saint Germain skłonił się cesarzowi.

— Byłem pewien, że wiesz o tym, że nigdy nie jadam publicznie. Wśród mojego narodu jest to uważane za zbyt intymną czynność, aby wykonywać ją w sali pełnej ludzi. — Tego wieczoru odział się wytwornie, ale swobodnie. Miał na sobie marszczoną tunikę z czarnego jedwabiu z głębokim wycięciem na karku. Na piersi nosił szeroki srebrny pektorał z czarnymi, polerowanymi rubinami tworzącymi znak z jego sygnetu, dysk zaćmienia z uniesionymi skrzydłami. Stopy wsunął w sandały na grubej podeszwie, wybrane zamiast zwykle noszonych butów.

Witeliusz w ogóle tego nie zauważył. Spojrzał na gościa z uśmiechem lekkiej irytacji.

— Z pewnością możesz zrobić wyjątek dla cesarza.

— Cóż, cesarze, nie jesteś moim cesarzem. Nie jestem obywatelem Rzymu — powiedział to tak naturalnym tonem, że Witeliusz nie mógł praktycznie znaleźć powodu do obrazy. — Tym samym twoje zaproszenie jest dla mnie wielkim zaszczytem.

Witeliusz poczuł się trochę udobruchany.

— To niezwykle, ale zważywszy na to, ile zrobiłeś dla mnie i dla moich... poprzedników, twoja obecność jest uzasadniona. O, jest ikra — dodał z radością.

Jeden z niewolników oddalił się i wrócił z pucharem wina, który wręczył cesarzowi.

— Dobrze. — Witeliusz wypił potężnie i jego rumiana już wcześniej

twarz zrobiła się jeszcze ciemniejsza. — Nie wiedziałem o tym, Franciskusie. Nie wiedziałem, że odmawiasz poczęstunku.

— Moje zwyczaje mogą się niewątpliwie wydać dziwne, ale jako Rzymianin na pewno rozumiesz, jak ważna jest wierność tradycji. — Sanct' Germain doszedł do wniosku, że nie polubi tego wysokiego i kulawego mężczyzny, który stał przed nim w zmiętej todze. — Sam nawiązujesz do niej podczas dzisiejszej uczy, prawda?

Przyjęcie zostało wydane na cześć Remusa i Romulusa, legendarnych założycieli Rzymu.

— Cóż, zapomnieliśmy o tej tradycji i dobrze by było ją odrodzić. To znak, że Rzymianie cenią swoje dziedzictwo.

Sanct' Germain chętnie zanegowałby prawdziwość tych słów i powiedział, że zadaniem cesarza jest wprowadzać element stałości w niepewnych czasach, wiedział jednak, że nie ma co się wyrywać.

— To dobry czas na jej przywrócenie — stwierdził nieszczercze. — Ludzie wiwatują na twą cześć, a senat nazywa cię mężem stanu.

Zirytowany wyraźnie Witeliusz zamilkł i zajął się poprawianiem togi. W końcu znalazł jednak sposób, aby odplacić cudzoziemcowi jego monetą.

— Wiem, że pracujesz przy nowych organach hydraulicznych. Kiedy będziesz gotowy je zainstalować?

— Przypuszczam, że ukończę pracę za miesiąc, może dwa — odparł Sanct' Germain z lekkim uśmiechem. — Wtedy je zamontujemy, ale będę potrzebował jeszcze kilku dni na poprawki. — Jeśli nawet przeszkadzało mu sprowadzenie do roli wynajętego rzemieślnika, nie dał tego po sobie poznać. — Czy chcesz przeprowadzić inspekcję?

— Za dwadzieścia dni zaczynają się igrzyska. Będą gotowe do tego czasu? — Wbił małe, jasne oczy w Sanct' Germaina i czekał, pewien swego.

— Mogą być gotowe, oczywiście — odparł Sanct' Germain bez

cienia niepokoju. — Skoro tak sobie życzysz, zrobię wszystko, aby zainstalować je przed igrzyskami. Niemniej w tej sytuacji instrument nie zdąży przejść wszystkich prób i jego brzmienie może ci się nie spodobać. Takie organy są bardzo delikatne, równie delikatne jak lira. To właśnie przez brak należytej konserwacji dźwięk poprzednich zaczął w pewnej chwili przypominać ryczenie osła — dodał, przypomniawszy sobie porównanie Nerona. — Bez wątpienia nowy instrument okaże się lepszy niż stary. — Uśmiechał się lekko i mówił jak najspokojniej, ale Witeliusz nie czuł się usatysfakcjonowany. Wyczuwał w słowach rozmówcy dobrze zamaskowane szyderstwo.

— Chcesz powiedzieć, że nie zdążysz ich dla mnie zainstalować? — spytał ze złością i bardzo głośno.

— Nie, cesarze — odpowiedział Rakoczy z należyтым szacunkiem. — Mówię tylko, że skoro życzysz sobie, żeby instrument znalazł się na miejscu, zanim zostanie sprawdzony i poddany koniecznym zawsze poprawkom oraz nastroszeniu, może nie okazać się tak udany jak po wszystkich koniecznych przygotowaniach. Jeśli zechcesz poczekać, jego brzmienie będzie ciekawsze. Jednak niezależnie od wszystkiego wykonam twoje polecenie.

Witeliusz przygryzł dolną wargę, rozważając argumenty Rakoczego.

— Dobrze zatem — odpowiedział krótko. — Rób to, co twoim zdaniem będzie najlepsze. Ale nie zwlekaj za długo. — Odwrócił się między niewolnikami i odszedł ciężko do sali, w której odbywała się uczta.

Sanct' Germain miał już podążyć za nim, gdy obok pojawił się dowódca nowej cesarskiej gwardii. Gość pojął, że był przez cały czas obserwowany i że żołnierz czekał na okazję, aby do niego podejść.

— Tak, strażniku? — spytał, maskując arogancją zaskoczenie.

Nowo awansowany na trybuna żołnierz, którego poznaczona bliznami twarz nie pasowała do obecnego, wytwornego rynsztunku,

odchrząknął znacząco.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam kilka pytań, na które jesteś, panie, zobowiązany odpowiedzieć.

— Tak? — Sanct' Germain wyteńczył uwagę. — Czego dotyczą? — Nie chciał oddawać pola i stał przed dowódcą wyprostowany, patrząc mu prosto w oczy.

— Jestem tutaj na rozkaz mojego wodza. Musisz, panie, zdawać sobie sprawę z faktu, że wraz ze zmianą rządów zaczęto zwracać uwagę na pewne sprawy... — Mówiąc to, położył dłoń na rękojeści krótkiego miecza, jakby się spodziewał, że będzie musiał wywalczyć sobie drogę.

— Pewne sprawy? — powtórzył powoli Sanct' Germain, zastanawiając się gorączkowo, co też się mogło stać. Czyżby jego niewolnicy mieli jednak jakieś kłopoty przez tego szpiega Arasznura? Czyżby znalazł jakiś sposób na zagarnięcie Kosrozda? Może wysłał jednak donos Otonowi? Albo ktoś włamał się do tajnego skrzydła willi i znalazł tam więcej, niż oczekiwał? A może Justus zmusił Oliwię do wyjawienia prawdy o ich znajomości? Powiedziałyby mu o wszystkim? Wciągnął powietrze. Czy jest bezpieczna?

Trybunowi nie podobało się takie załatwianie sprawy. Nie powinno się tego robić podczas oficjalnego przyjęcia u cesarza. Zwłaszcza że podejrzany najpewniej o niczym nie wiedział. Zresztą, co to za rozmowa pośród powszechnej zabawy i śmiechów odbijających się echem od marmurów Złotego Domu. Przesunął spojrzeniem po pustym cokole, na którym jeszcze rok temu stało popiersie Nerona. Potem pojawiły się na nim popiersia Galby i Otona, teraz zaś czekał na decyzję Witeliusza.

— I co, trybunie? — przypomniał mu o sobie Sanct' Germain.

— Kapitan jednego z pańskich statków przemycał zboże. Został przyłapany w Ostii z piętnastoma baryłkami, które nie zostały ujęte w

spisie i na których przywóz nie miał zgody. — Dowódca wyrzucił słowa szybko, nie rozwodząc się nad sprawą. — Jeśli miał twoje pozwolenie na tę działalność, zostaniesz, panie, oskarżony wraz z nim o naruszenie rzymskiego prawa.

Sanct' Germain spojrział na żołnierza z uśmiechem, chociaż w duchu wcale nie było mu do śmiechu.

— A czy on twierdzi, że działał na moje polecenie?

— Nie został jeszcze przesłuchany. Na razie przebywa w areszcie garnizonowym. — Odchrząknął i rozłożył bezradnie ręce. — Ten człowiek jest Grekiem i wyzwoleniec. Aby go przesłuchać, musimy otrzymać oficjalny rozkaz.

Co za głupiec z tego Kyrillosa, pomyślał ze złością Sanct' Germain. Żeby dać się przekupić Persowi!

— Skąd się o tym dowiedzieliście? Mam wiele statków i tak dokładna inspekcja to coś niezwykłego. Chyba musieliście dysponować jakąś informacją. *Mewa Bizancjum* ma nośność dwustu trzydziestu baryłek. Żeby trafić akurat na te piętnaście...

— Otrzymaliśmy notatkę.

— Anonimową? — spytał Sanct' Germain, chociaż znał odpowiedź.

— Tak — przyznał słabym głosem trybun.

— Rozumiem. Cóż, trybunie, wszyscy moi kapitanowie mają prawo zabierać własny ładunek i sprzedawać go z zyskiem, ale byłbym bardzo niemądry, gdybym zachęcał własnych podwładnych do łamania prawa. Zwłaszcza tego prawa. Proszę powiedzieć mi, z kim powinienem porozmawiać. Chcę jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę.

Podejście trybuna zmieniło się diametralnie. Porzucił oficjalny ton na rzecz życzliwego zrozumienia.

— Jasne, na morzu różnie bywa. Kapitanowie zawsze nadużywali swojej pozycji i to może być właśnie taki przypadek.

— Czy jeszcze jakiś kapitan mojego statku złamał prawo? — spytał

Sanct' Germain, mając wielką nadzieję, że do tego nie doszło. — Posiadam trzydzieści osiem jednostek różnej wielkości. Jeśli doszło do jakiejś zмовy kapitanów, proszę od razu mi o tym powiedzieć, abym mógł udzielić im reprimendy.

— Trzydzieści osiem statków? — powtórzył zdumiony trybun. — Nie wiedziałem, że aż tyle. Trzydzieści osiem, powiadasz, panie?

— Tak. — Sanct' Germain też trochę zmienił podejście. — Czy mogę poznać pańskie imię, trybunie? Gdyby doszło do śledztwa, chciałbym wiedzieć, z kim rozmawiałem.

— Nazywam się Kajus Tuller. Do zeszłego miesiąca byłem centurionem jedenastego legionu. Gdy Wit... Gdy cesarz powołał nową gwardię, awansowałem.

— Bez wątpienia to spóźniony awans. — Sanct' Germain wiedział, że każdy żołnierz tak myśli o swojej karierze. — Proszę zaprowadzić mnie do pańskiego przełożonego, abym mógł wyjaśnić tę fatalną sprawę. — Nie czekając na trybuna, ruszył do wyjścia.

— Możliwe, że rozmowa z Fabiuszem nie będzie dzisiaj konieczna — powiedział Tuller trochę do siebie, trochę do Sanct' Germaina. — Nie wiedzieliśmy, że posiada pan aż tyle statków i...

— I wolicie to zbadać, zanim zaczniecie ze mną rozmawiać, tak? — spytał natychmiast Sanct' Germain. — To byłoby mądre. Byłbym wdzięczny za przekazanie mi tego, co uda wam się ustalić. — Postanowił, że jeszcze tego wieczoru wyśle jednego z niewolników do Ostii, by dopilnował, żeby Kyrillos jak najszybciej wyszedł w morze. Jeśli tylko będzie mógł, oczywiście. Należało się spodziewać, że jego willa znajdzie się pod obserwacją. Trzeba będzie wykorzystać jednego z treserów, którzy często jeździli do portu po nowe zwierzęta.

— Będę pana informował — zgodził się trybun. Znalazł się w niezręcznym położeniu, nie wiedząc, co powinien zrobić z cudzoziemcem. Gdyby tylko wiedział wcześniej o tych wszystkich

statkach. Cesarz już teraz był wściekły z powodu ilości ziarna docierającego nielegalnymi drogami do Rzymu. Wydawało im się, że znaleźli kogoś, kto nadawałby się na ofiarę tego gniewu, ale sprawa się skomplikowała.

— Czy chce mnie pan zatrzymać? — spytał Sanct' Germain bez wrogości w głosie. Skoro trybun Tuller stracił pewność siebie, należało skłonić go do współpracy.

— Nie, w żadnym przypadku. — Tuller spojrzał w spokojne oczy cudzoziemca. — Może po zakończeniu śledztwa, ale nie teraz.

— Oczywiście jestem do waszej dyspozycji — zapewnił go Sanct' Germain. — Proszę to przekazać ode mnie dowódcy. Albo, jeśli wolisz, sam mu to powiem, skoro jest obecny na sali.

Tuller zacisnął zęby.

— Nie, to nie będzie konieczne. — Nigdy jeszcze nie trafił mu się nikt, kto zgłaszałby się na ochotnika do aresztu. — Porozmawiam z nim jutro.

— Czy zatem mogę wrócić na ucztę? — Nie uzyskał odpowiedzi, ale poczekał trochę, zanim przerwał niezręczną ciszę. — Trybunie Tuller, zdaję sobie sprawę, że macie więcej pracy, niż jesteście w stanie wykonać. Jeśli to pomoże, chętnie udostępnię wam do wglądu wszystkie oficjalne listy ładunkowe moich kapitanów. Może w ten sposób łatwiej będzie wykryć nieprawidłowości.

Kajus Tuller był szczerze wdzięczny za tę propozycję, która mogła uratować mu twarz.

— Tak, to by się bardzo przydało. — Odsunął się, przepuszczając pijanego senatora zmierzającego do womitorium. — Czy mam wysłać po nie człowieka?

— Jeśli uznasz to za stosowne. Albo ja każę jednemu z moich niewolników zanieść je do Złotego Domu. — Szybko zauważył, że źle ocenił trybuna. — Gdybyś chciał obejrzeć mój gabinet, zapraszam. —

Uśmiechnął się lekko. — Będiesz miał szczęście. Mało kto ma wstęp do moich prywatnych apartamentów.

Odwrócili się obaj, usłyszawszy głośny krzyk dochodzący z sali. Zaraz potem rozległ się chór bełkotliwych głosów.

— Co tam się dzieje? — spytał głośno Sanct' Germain, nie zdając sobie sprawy z pogardy, która zabrzmiała w jego głosie.

Trybun nie wyglądał na uszczęśliwionego.

— To cesarz. Wraz z wodzami zamierza opuścić pałac w przebraniu.

Saint Germain spojrzał na Tullera.

— Tak, jak robił to Neron?

Żołnierz był już prawdziwie zakłopotany.

— Nie całkiem. Obecny cesarz chadza na kurwy do lupanaru i do tawern gladiatorów, aby posłuchać, jak rozmawiają o krwawych walkach.

— Z eskortą czy bez?

Nim zdążył usłyszeć odpowiedź, w przejściu pojawił Witeliusz w towarzystwie przystojnego Cecyny. Obaj byli całkiem pijani, a zataczający się wódz intonował jakąś wesołą piosenkę.

— Ty! — krzyknął cesarz, ujrzawszy Sanct' Germaina. — Nadal tu jesteś! Chodź z nami!

Rakoczy spojrzał na stojącego obok trybuna, który wyglądał w tej chwili jak uosobienie nieszczęścia.

— To twój szczęśliwy wieczór. Będiesz towarzyszył cesarzowi.

— Przypuszczam, że to o ciebie, panie, mu chodzi — szepnął Tuller.

— To nie byłoby godne cesarza, pokazać się gdzieś z cudzoziemcem o mojej reputacji — zaprotestował Sanct' Germain.

Witeliusz podszedł do gościa i pomachał mu przed nosem grubym palcem.

— Nie, nie. Idę w przebraniu. Ty też. Cecyna, to ten tutaj, ma

wszystko opracowane. Płócienna tunika. Skórzane pasy. Nikt nas nie pozna.

Sanct' Germain powątpiewał w to. Wprawdzie Witeliusz przebywał w Rzymie dopiero od dwóch miesięcy, ale jego regularne wyprawy do lupanaru stały się już legendarne.

— Wielki cesarze — powiedział, kontrolując brzmienie głosu. — Ty możesz się przebrać, ale ja jestem zbyt znany gladiatorom i treserom, aby jakiegokolwiek przebranie pomogło. Byłoby mi nad wyraz przykro, gdybym niechcący was zdemaskował.

Argument musiał dotrzeć jakoś do otumanionego winem umysłu cesarza. Objął szerokim gestem Cecynę.

— Może lepiej go nie brać — stwierdził niepewnie.

— Może lepiej nie — zgodził się Cecyna, przerywając piosenkę.

— Weźmiemy trybuna — stwierdził Witeliusz z pijacką satysfakcją.
— Tuller to dobry kompan. Niech wybierze sobie kurwy i je wygrzmoci. To dobra zabawa.

Sądząc po wyrazie oczu trybuna, wycieczka w towarzystwie dwóch pijanych dostojników była ostatnią rzeczą, o jakiej marzył. Nawet jeśli przygoda mogła przynieść mu awans i korzystniejsze relacje z ulubionym wodzem. Spojrzał na swoje wielkie, kanciaste dłonie.

— Nie jestem godzien...

— Bzdura! — rzucił Witeliusz, zagarniając trybuna ręką. — Jeśli zaraz wyjdziemy — dodał konspiracyjnym szeptem, od którego echo szło po pałacu — to zanim uczta się skończy, będziemy daleko od tej stodoły. Weźmiemy sobie kurwy i posłuchamy przechwałek gladiatorów.

Cecyna znowu podjął piosenkę, którą przetykał wybuchami śmiechu, jako że śpiewka robiła się coraz bardziej sprośna.

Sanct' Germain odsunął się, a trio ruszyło zygzakami przez hol. Patrzył na nimi, aż wcelowali w szerokie drzwi westybulu, potem

skręcił do bocznego pokoju, który wychodził na rozległe ogrody. Zarośniętymi ścieżkami dotarł do muru.

Zanim cesarz i jego dwaj towarzysze znaleźli się w lupanarze, Sanct' Germain wyszedł poza mury miasta i skierował się szybkim krokiem do swojej willi.

Notatka skreślona na chustce upuszczonej przed Aumtehoutepem i skierowana do jego pana:

Siat' Germain:

Nie miałam szansy zmylić służby Justusa. Tęsknię za Tobą, ale nie śmiem nic zrobić. Ale teraz muszę się z tobą zobaczyć. Muszę porozmawiać. Muszę znowu być z Tobą.

Za sześć dni Justus jedzie do cesarskiej willi pod Ancjum. Zostawi niewolników, żeby mnie pilnowali i szpiegowali, ale musi się znaleźć jakiś sposób. Powiedziałaś, że mnie nie opuścisz. Przyjdź do mnie, gdy go nie będzie.

Czasem obawiam się, że oszaleję, jak jego pierwsza żona. Ona nadal żyje, ale trzymają ją w odosobnieniu. Niewolnicy mówią, że postradała zmysły. Biedna Korynna. Jeśli wykorzystywał ją tak jak mnie, bardzo jej współczuję. Ale w końcu uwolniła się od niego. Uciekła mu.

Oliwia

Jeśli mnie kochasz, pomóż mi.

. 3 .

Ciepła jesień zegnała czułym pocałunkiem siedem wzgórz przed nadejściem przenikliwych, północnych wiatrów. Dobra pogoda pozwoliła w tym roku na dłuższe świętowanie dożynek. Cesarz rozkazał wydłużyć także igrzyska, więc Rzym nie posiadał się ze szczęścia. Ostatniego dnia igrzysk miały się wreszcie odezwać nowe organy, a Witeliusz ogłosił, że wieczorem wszyscy zwycięzcy zostaną nagrodzeni wolnością, i już z tego powodu, innych nie licząc, publiczność ogarnął szczególny szal zakładów.

Kosrozd, nadal z częściowo sztywną ręką po niedawnym wypadku, pracował przy uprzedzonym wynalezionym przez Sanct' Germaina do wyścigowych rydwanów.

— Nie przywykłem jeszcze do operowania ośmioma rzemieniami zamiast czterech, ale to naprawdę duża różnica, gdy można kontrolować konie z obu stron — powiedział do swojego pana, klepiąc uspokajająco lewego ogiera. — Cenna rzecz dla wojska. Czas poświęcony na naukę opłaciłby się w większej zwrotności rydwanu na polu walki.

— Jeśli dzisiaj wygrasz, podejmiesz się szkolenia legionowych rydwaników? — spytał Saint Germain, rozbawiony entuzjazmem Kosrozda.

— Chcesz powiedzieć, że uwolnisz mnie, jeśli wygram? — Pytanie zostało zadane poważnie i młodzieniec wpatrzył się w napięciu w twarz swego pana.

— Nie sądzę, abym miał wybór. Witeliusz ogłosił, że wszyscy zwycięzcy staną się wolnymi ludźmi, i wątpię, aby przewidywał jakieś wyjątki. Tłum by mu nie pozwolił. — Nagle zorientował się, że

Kosrozd posmutniał. — Ale to nie znaczy, że cię zwolnię. Możesz zostać u mnie na służbie, jak długo chcesz. Teraz jesteśmy jednej krwi. Nic tego nie zmieni oprócz prawdziwej śmierci.

— Zatem nie mam się czym martwić — powiedział z uśmiechem młodzieniec.

— Niezupełnie — odparł Saint Germain z poważnym wyrazem twarzy.

— Nie? — Kosrozd obejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje. — Nie wiem, czy przeżyłbym ten upadek latem, gdyby nie... zmiana. Ale i tak nie jest jeszcze dobrze.

— Jak sądzisz, z ilu fatalnych wypadków zdołasz się wykaraskać, zanim ludzie zaczną zadawać pytania? Nie, nie odpowiadaj. Chcę tylko, żebyś o tym pomyślał. Uczysz się szybciej, niż oczekiwałem, to dobrze. Ale jest jeszcze coś. Musisz pamiętać o ostrożności. Są na tym świecie zagrożenia, z którymi możesz sobie nie poradzić.

— Co masz na myśli? Nie przyjmuję od nikogo krwi wbrew jego woli. Nie związałem się z nikim. Gdzie kryje się niebezpieczeństwo?

— Wszędzie wkoło, przyjacielu — powiedział cicho Sanct' Germain. — Zawsze ktoś cię widzi. Zawsze jesteś obserwowany. Już to powinno skłaniać do uwagi. Zwłaszcza teraz. Powiedzmy, że ktoś cię porwie i uwięzi. Jak wytłumaczysz wtedy, czego ci trzeba? Gdzie się pożywisz? Co powiesz porywaczom, gdy będą chcieli zrobić ci krzywdę, a ty niczego nie poczujesz? Jak przekonasz ich, że musisz nosić buty z warstwą rodzinnej ziemi, bo inaczej nie zdołasz przejść ponad płynącą wodą ani uniknąć potwornych oparzeń, pozostając na słońcu? Czy myślałeś o tym? — Sanct' Germain czekał na odpowiedź.

— Tamten szpieg już wyjechał. — Kosrozd był rozdarty. Wiedział, że jego pan ma rację, krytykując jego lekkomyślność, ale nie chciał się do tego przyznać.

— Nie wiemy tego na pewno. Wiemy tylko, że kilka dni po tamtym

spotkaniu ktoś mówiący po ormiańsku wsiadł na statek w Ostii i że był w towarzystwie wysokiego ochroniarza. Ktoś jednak doniósł na Kyrillosa, który do teraz siedzi przez to w więzieniu. Arasznur może się mnie bać, ale raczej nie podda się tak łatwo. Chce ciebie i zrobi wszystko, aby dopiąć swego. Nie próbuj w to wątpić.

Kosrozd spojrzął na swoje stopy.

— Pewnie masz rację, panie. Zapominasz jednak, jak to jest przejść zmianę. Tobie zdarzyła się bardzo dawno temu, a dla mnie to ledwie kilka krótkich lat. — Spróbował się zaśmiać. — Co mam zatem zrobić? Przegrać?

Saint Germain był zbyt przejęty, aby też się uśmiechnąć.

— Sam wybierz. Cokolwiek postanowisz, nie powinieneś ostentacyjnie korzystać ze swoich zdolności. Gdyby jednak doszło do kolejnego wypadku na arenie, nie mógłbyś wrócić potem jak gdyby nigdy nic. Skieruję cię do szkolenia innych rydwanników i ich zaprzęgów. — Położył dłoń na ramieniu Kosrozda. — Jeśli wygrasz wolność, to tym lepiej. Naprawdę jednak od trzech lat jesteś już wolny. Starczy słowo.

Za nimi rozległy się ostrzegawcze krzyki. To zmierzały do Bramy Życia zaprzęgi całkiem nowego rodzaju.

Kosrozd spojrzął na nie pogardliwie. Pierwszy jechał wysoki rydwan zaprzężony w dwa strusie. Woźnica trzymał mocno lejce, znając nieprzyjemny charakter tych ptaków. Następny był przytrzymywany przez sześciu niespokojnych treserów, a ciągnęła go para brunatnych scytyjskich niedźwiedzi, które warczały nieustannie na siebie wzajem i szarpały się w uprzęży.

— Od kiedy Neron wprowadził zaprzęgi wielbłądów, ta głupia nowinka zyskuje na popularności — powiedział z niesmakiem Kosrozd i potrząsnął głową. — To degradacja naszej sztuki. Takim zaprzęgiem nie da się powozić i wszystko zależy od ślepego szczęścia.

Tłumowi zależy tylko na widoku spłoszonych zwierząt. Marnotrawstwo i zwierząt, i rydwanów. A prawdziwe wyścigi tylko na tym tracą.

— Zasadniczy jesteś — powiedział Sanct' Germain. — Mnie już tak to nie porusza, ale zgadzam się z tobą. Co jeszcze wypuszczają na arenę? — Osobiście uważał, że strusie i niedźwiedzie to już dość, ale w każdym wyścigu uczestniczyły zawsze co najmniej cztery rydwany. — Przypuszczam, że coś równie uroczego.

— Są jeszcze zaprzęgi panter i oryksów. Na swój sposób pomysłowe. Będą mieli szczęście, jeśli ktokolwiek wróci tu przez Bramę Życia. — Kosrozd położył dłoń na boku prowadzącego konia. — Poci się. — Skinął na jednej ze stajennych. — Zabierz mój zaprzęg pod dach. Te bestie płoszą konie. — Gdy stajenny posłuchał, młodzieniec obejrzał się na Rakoczego. — Będę unikał kolizji, na ile zdołam.

— Proszę cię tylko o to, abyś patrzył, co robisz — odparł jego pan. — No i uważaj na obcych. Nauczyłem się ufać intuicji, a od czasu spotkania w ogrodzie Modestyna ciągle czuję dziwne łaskotanie między łopatkami.

— To było wiele miesięcy temu — rzucił zbywająco młodzieniec.

— Skoro Arasznur poświęcił wiele lat, żeby cię odnaleźć i dotrzeć do mnie, kilka miesięcy nie zrobi mu różnicy. — Założył ręce na piersi i jego srebrne bransolety błysnęły w pełnym słońcu. — Uważaj, Kosrozdzie.

— Będę. Będę. — Dotknął bursztynowej obroży niewolnika. — Ale chciałbym zdjąć to przed całym Rzymem.

— To może się stać w każdej chwili. Starczy słowo. Czerwonym spodoba się, jeśli wygrasz, i będziesz miał swoją chwilę triumfu. Pamiętaj jednak, że tracąc obrozę, możesz stracić też inne rzeczy, z upragnioną wolnością włącznie. — Obejrzał się przez ramię. Gdzieś w

poblizu ryknęła pantera. — Lepiej już pójdę. Robi się tu tłoczno. — Pomachał treserom zmagającym się z rydwanem zaprzężonym w wielkie koty.

Kosrozd przyjrzał się im bliżej.

— Widziałem je już. To ludojady. Nekredes chce krwi na piasku.

Sanct' Germain przytaknął. Wyczuwał żądze tłumu. Tłum czekał na rzeź. Dwa lata wcześniej Neron zakazałby podobnego wyścigu, ale cesarz się zmienił i zmieniły się gusta. Witeliusz uwielbiał rozlew krwi, a Rzymianie radośnie szli za jego przykładem.

— Dostarcza im tylko tego, czego pragną.

— Czasem myślę, że pewnego dnia nic już tu nie będzie, prócz krwi i śmierci. — Kosrozd otrząsnął się i uśmiechnął szeroko do swojego pana. — Ale do tego czasu ja już stąd zniknę.

— Starczy słowo. Nie zapominaj o niebezpieczeństwie. — Odsunął się o krok.

— Będziesz w łoży cesarskiej? — zawołał jeszcze młodzieniec.

— Tak.

Saint Germain odwrócił się i po kilku krokach znalazł się w przejściu wiodącym pod trybuny. Przemykał szybko przez mroczne korytarze, mijając treserów i zwierzęta, cele, w których stłoczeni skazani oczekiwali na ostatnią okazję, żeby ujrzeć słońce, zawodowych bojowników, zawsze zazdrosnych o cudze sukcesy i dumnych ze swej umiejętności zabijania. Bywał tu zbyt często, aby ich zauważać. Myślami był przy Oliwii. Podczas wyjazdu Justusa zdołał spotkać się z nią dwa razy i chociaż nie narzekał, zawsze mieli za mało czasu i wystawiali się na zbyt wielkie ryzyko. Nie starczało już, że dawał jej rozkosz. Bolało go, że nie może ochronić jej przed brutalnością męża. Niewiele mu o tym mówiła, ale samo milczenie było wystarczającym dowodem na to, co musiała przeżywać.

Cesarski niewolnik przywitał go u wejścia do pokrytego malunkami

korytarza.

—Witeliusz oczekuje cię, panie.

—Jestem zaszczycony — odparł odruchowo Sanct' Germain. Równając krok z niewolnikiem, przeszedł między żołnierzami nowej gwardii. Ryk tłumu odbijał się w wąskim korytarzu niczym szum morza.

Niewolnik odsunął się, a Sanct' Germain wszedł do loży cesarza i skłonił głowę przed Aulusem Witeliuszem.

— Witam, Franciskusie! — wykrzyknął cesarz, wyciągając mocno upierścienioną dłoń. Spoczywał pośród poduszek na marmurowym tronie ze zmiętą togą i przekrzywionym cudacznie wieńcem laurowym na głowie. Obok dwóch niewolników czuwało nad stolikiem z winem i zimnym mięsem. — Napij się wina, jeśli chcesz. — Zaraz jednak dał sobie spokój z obowiązkami gospodarza i pochylił się gwałtownie, wskazując z radością na spinę.

Pantery dopadły rydwan zaprzężony w oryksy. Jedna wspięła się już na grzbiet rogatej antylopy i właśnie miała ją zabić. Obaj woźnice ciągnęli bezskutecznie za lejce, na ich twarzach malował się wyraz paniki. Drugi oryks próbował daremnie odsunąć rydwan od drapieżników. Chwilę później oba pojazdy szczepiły się i krew popłynęła na piasek.

Drżący ze strachu woźnica oryksów wyskoczył z rydwanu i pobiegł ku odległej Bramie Życia. Nie uciekł daleko. Zaraz przy końcu spiny trafił na wyjeżdżający z drugiej strony rydwan strusi. Krzyczał do jego woźnicy i machał rękami, aby tamten zwolnił, i może by mu się nawet udało wskoczyć, gdyby niejeden z ptaków, który machnął pazurastą łapą tak fatalnie, że rozpruł mężczyźnie brzuch. Ranny upadł i ptaki przebiegły po nim. Tłum ryknął śmiechem.

— Wielkie przedstawienie! Mam nadzieję, że niedźwiedzie wytrwają na tyle długo, aby spotkać się z panterami — powiedział

Witeliusz, ocierając łzawiące oczy skrajem togi.

Po prawej ręce cesarza ułożył się między czterema gwardzistami Aulus Cecyna Alienus. Wyglądał wspaniale w złotym pancerzu i jedwabnej karakalli, z licznymi niczym brodawki pierścieniami na palcach. Był chyba jeszcze bardziej pijany niż cesarz. Mrugnął ostentacyjnie do Saint Germaina.

— Genialną zabawę mamy dzisiaj — wybełkotał.

— Na to wygląda — powiedział oschle Sanct' Germain i zajął wskazane mu miejsce.

— Jest coś, co mnie irytuje — odezwał się cesarz, wychyliwszy kolejny puchar wina. — Coś, czego nie lubię.

— Co to takiego? — spytał Saint Germain, ignorując panującą wkoło wrzawę.

— Twoje cudzoziemskie ubranie. I to, że jest czarne. Nie pasuje do prawdziwego Rzymianina. — Uniósł puchar w stronę czekających niewolników.

— Ale ja jestem cudzoziemcem — przypomniał mu łagodnie Sanct' Germain. — Noszę je, ponieważ tak właśnie ubierałem się lata temu w moim kraju.

— W Dacji — przypomniał sobie cesarz i spojrzał na Cecynę, szukając potwierdzenia.

— Tak, ale nie jestem Dakiem — dodał Sanct' Germain.

— Z Dacji — potwierdził wódz. — Rozmawialiśmy o tym kiedyś, Witeliuszu. Powiedziałem, że wcale mi się to nie podoba.

Niedźwiedzie stanęły na tylnych łapach, aby poradzić sobie ze strusiami, zrzucając przy tym woźnicę z niezgrabnego wehikułu. Publiczność bawiła się setnie, gdy zwierzęta zaczęły szarpać się ze sobą, bo jeden chciał dopaść rydwannika, a drugi złapać wielkiego ptaka.

— Organy zagrają podczas wysypywania areny świeżym piaskiem

— cesarz poinformował wielkodusznie Sanct' Germaina. — To będzie szczególna chwila, pierwszy raz się odezwą. I niech lepiej zabrzmia, jak obiecałeś.

— Zabrzmią — powiedział z przekonaniem Sanct' Germain. Trzy noce spędził, pracując przy wielkich, mosiężnych piszczałkach, strojąc je kolejno, aby przemawiały jednym głosem z wojskowymi trąbami wzywającymi legiony do walki.

— Wszyscy na to czekamy — dorzucił z nagłym przejęciem Cecyna.

— To mi, schlebia — odparł Sanct' Germain, nie próbując nawet ukryć braku zainteresowania tematem.

Niedźwiedzie zerwały uprząż i jeden ruszył w pościg za strusiami, drugi, wlokący za sobą szczątki rydwanu, zaczął masakrować biedaka, który miał pecha być jego woźnicą. W cyrku zaległa cisza, gdy pierwsza bestia okrążyła spinę i ujrzała pantery.

— Milczeć! — wrzasnął Witeliusz, pochylając się ku arenie. — Patrzcie na to!

Niedźwiedź wystartował ku panterom, które rozdzierały właśnie oryksa. Jeden z kotów uniósł łeb i warknął ostrzegawczo. Niedźwiedź zatrzymał się, potem stanął na tylnych łapach i tak ruszył dalej, wymachując w powietrzu masywnymi pazurami.

— Dalej! Dalej! — wrzeszczał Witeliusz, trudno powiedzieć, do niedźwiedzia czy do kotów.

Zapomniane przez wszystkich strusie skryły się za spiną. Niedźwiedź tymczasem rzucił się na pantery. Rozległy się ryki, piski i charkoty, gdy zwierzęta zwały się walce. Cyrk rozbrzmiewał jak morze podczas sztormu, hałas atakował mury i prawie osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi tłoczących się na trybunach.

— Trzeba dodać więcej miejsc! — krzyknął Cecyna do cesarza.

— Co?! — Witeliusz nie słyszał go, chociaż byli od siebie nie dalej niż na wyciągnięcie ręki.

Jeden z kotów zatopił kły w barku niedźwiedzia, gdy ten rozdarł cętkowane futro pazurami. Zwierzęta upadły, kotłując się na coraz bardziej czerwieniejącym piasku. Ludzie wyli z zachwytu.

Gdy wszystko dobiegło końca, przy życiu pozostał tylko jeden struś i Witeliusz kazał nagrodzić go wieńcem jako zwycięzcę.

Potem wstał niepewnie i zapowiedział pierwszą prezentację nowych organów hydraulicznych, na których zagrać miał muzyk specjalnie sprowadzony do Rzymu na tę okazję.

Gdy nad cyrkiem rozległy się pierwsze tony *Pieśni Jowisza Triumfującego*, Witeliusz obrócił zadowoloną twarz w stronę Saint Germaina.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze.

— Tak też miało być — odpowiedział ostrożnie Saint Germain.

— Dokonanie godne Rzymianina — stwierdził przebiegle cesarz.

— Miło, że tak uważasz, cesarze. — Saint Germain spójrzył niepewnie na dziewięciu gwardzistów strzegących łoży i na pijanego Cecynę, który uśmiechnął się nieszczercze.

— Zastanawiałem się nad tym ostatnio — stwierdził Witeliusz, przesuwając wieniec na tył głowy. — Wiele zrobiłeś dla Rzymu. Nie tylko te organy. Nie. — Strzelił palcami, domagając się więcej wina. — Są jeszcze te muły, które sprzedajesz wojsku. To patriotyczne.

— Przede wszystkim dochodowe — poprawił go Saint Germain.

— Na jedno wychodzi. — Upił potężny łyk wina. — Świetny rocznik. Nie taki jak greckie żywice zaprawione miodem. To napitek dla mężczyzny. Popatrz tylko. Czerwony jak krew, słodki jak rozdzewiczana panna, mocny jak... — Przez chwilę szukał słowa. — Mocny jak dobra stal, na cycki wilczycy!

Saint' Germain przymknął na chwilę oczy.

— Czynisz wielki zaszczyt cudzoziemcowi i jestem ci wdzięczny — odezwał się w końcu. Był zmęczony całą sytuacją i zastanawiał się, co

zrobić albo powiedzieć, żeby pozwolili mu szybko opuścić lożę.

— Właśnie o to bycie cudzoziemcem mi chodzi. — Cesarz odstawił puchar. — Nie powinieneś nim być. Zostań Rzymianinem. Zrobię cię obywatelem. Tak po prostu. Senat przyklepie. Ten jeden raz — dodał stanowczo.

— Ależ nie mogę tego zrobić — powiedział Sanct' Germain jak najspokojniej. — To wielki komplement i jestem szczerze wdzięczny za tę propozycję. Muszę jednak odmówić.

— Odmówić? — Nałana twarz Witeliusza zaczęła zmieniać kolor na ciemniejszy.

— Muszę — powtórzył uprzejmym tonem Sanct' Germain. — Mam zobowiązania wobec innych mojej krwi i mojej ojczystej ziemi. Nie mogę się wyprzeć lojalności wobec tego, co było pierwsze.

Witeliusz niczego nie rozumiał.

— Lojalności wobec Dacji, chociaż nie jesteś Dakiem?

Saint Germain wolałby, aby podobna propozycja nigdy nie padła, zwłaszcza w obecności Cecyny. Westchnął, mając nadzieję, że cesarz zinterpretuje to jako wyraz żalu.

— Dację zamieszkują różne ludy. Ci mojej krwi są o wiele starsi od Daków i byłem kiedyś ich księciem. Nie mogę ich opuścić. — Przechylił głowę i spojrzał na Witeliusza. — Masz swoje oddziały, cesarzu. Czy byłbyś skłonny odwrócić się od nich dla wielkiego zaszczytu?

— Oddziały? Dowodzisz armią? — Cesarz założył ręce na piersi, rozmazując przy tym sos pieprzowy na todze.

— Od wielu lat już nie. Mam jednak swoich podkomendnych i są dla mnie tym, czym dla ciebie gwardia.

Witeliusz parsknął, ale było widać, że poczuł się ugłaskany tym porównaniem.

— Głupi jesteś, Franciskusie. Zostań Rzymianinem, a świat stanie

przed tobą otworem.

— Skalałbym honor mego rodu. — To był najskuteczniejszy argument w wielu rozmowach z Rzymianami. Zwykle kończył temat. Sanct' Germain zastosował go już raz w rozmowie z innym cesarzem, boskim Juliuszem.

Tamten cesarz, przebiegły i mądry, spojrział na niego zmęczonymi oczami i spytał: „Czy wszyscy... twojej krwi, są tak samo wygadani? Chciałbym mieć ich za sojuszników”. Obecny cesarz oczy miał przekrwione i wodniste.

— Honor rodu to święta rzecz — powiedział. — Bez niego cały Rzym by upadł.

— Zatem rozumiesz mój problem. Co sam uczyniłbyś na moim miejscu? — spytał Sanct' Germain, wykorzystując argument Witeliusza.

Cesarz pokiwał głową.

— Tak. Tak, teraz rozumiem. To czyni cię tym, kim jesteś. To jest potrzebne. Ale i tak szkoda. Przy twoich kontaktach... Pantery śnieżne, tygrysy, małpy i wszystko. Wiesz, co to znaczy dla Rzymu...

Saint Germain nie zdołał całkiem ukryć uśmiechu.

—Jestem na twoje rozkazy, cesarze. Jeśli tego właśnie ode mnie oczekujesz.

— Dobrze myślisz — powiedział Witeliusz, nie wyłapując ironii zawartej w słowach gościa. — Ale gdybyś zmienił zdanie w kwestii obywatelstwa, daj mi znać. Załatwimy to od ręki. Spodoba ci się. Mógłbyś mieć wtedy gladiatorów na tuziny.

Organy na spinie umilkły i tłum wznowił wiwaty. Muzyk wstał i odwiązał płótno, którym zakrył uszy, żeby nie ogłuchnąć od dźwięków instrumentu.

— Gdybyś pragnął coś dla mnie zrobić — powiedział Sanct' Germain, wskazując na organy — mógłbyś darować wolność temu

muzykowi. Dobrze się sprawił i zasłużył na wyróżnienie. Niewielu potrafi grać tak biegle na tym instrumencie.

Wyraz pełnej twarzy cesarza nie sugerował, aby pomysł mu się spodobał.

— Zastanowię się nad tym — rzucił bez większego zainteresowania Witeliusz i skupił uwagę na następnym punkcie programu.

Przedstawiony cesarzowi raport na temat wyników śledztwa w sprawie przemytniczej działalności niejakiego Kyrillosa, kapitana statku handlowego *Mewa Bizancjum*.

Do prokuratora generalnego:

*Zgodnie z instrukcjami wydanymi przez Wasz urząd oraz senat i w imieniu cesarza, dokonaliśmy zatrzymania kapitana Kyrillosa, który został w naszym pierwszym raporcie zidentyfikowany jako kapitan statku **Mewa Bizancjum**. Statek ten należy do szanowanego cudzoziemca Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa, który mieszka w Rzymie.*

Działając na podstawie informacji dostarczonej przez nieznanego obywatela, urzędnicy portowi dokonali przeszukania statku i odkryli, że przewoził on pszenicę, która nie została wymieniona na liście.

Kilkakrotne przesłuchanie kapitana, przeprowadzone z umiarkowanym użyciem tortur, pozwoliło ustalić odpowiedzi na trzy zasadnicze pytania postawione w chwili jego aresztowania.

I) Zakup pszenicy miał jednorazowy charakter i nie był częścią długotrwałej działalności polegającej na nielegalnym przywozie do rzymskich portów zakazanych przez prawo towarów.

II) Sposobność do jego zakupu stworzył człowiek, który skontaktował się z kapitanem, przedstawiając się jako Ormianin. Przekazał informację o dostępności ziarna. Ponieważ Kyrillos zdawał sobie sprawę z panującą w Rzymie sytuacji, twierdzi, że postanowił

wykorzystać okazję i sprzedać skrycie ziarno po przybyciu do Ostii. Utrzymuje teraz, że całe zdarzenie zostało zaplanowane przez innych marynarzy, którzy zazdroszczą mu sukcesów handlowych.

III) Jego patron, wspomniany Rakoczy Sanct' Germain Franciskus, nie był w żadnej chwili ani w żaden sposób zamieszany w nielegalny przywóz ziarna i nie wiedział o tej transakcji, ponieważ kapitan działał całkowicie na własną rękę i bez instrukcji od armatora. Co więcej, stwierdził, że Rakoczy Sanct' Germain Franciskus często przypominał mu o konieczności skrupulatnego przestrzegania praw Rzymu i szkodliwości ich naruszania. Rozmowy z kapitanami innych statków posiadanych przez tego człowieka potwierdziły słowa Kyrillosa.

Tym samym czekamy na dyspozycje, jak zakończyć sprawę. Kyrillos otrzymał zakaz wyptywania z Ostii i innych rzymskich portów, jednak to, jak ma wyglądać dalsze postępowanie wobec niego, rozstrzygnie się dopiero wówczas, gdy stawi się w sądzie. Ponieważ to jego pierwsze wykroczenie i cieszy się on dobrą opinią, proponujemy łagodny wyrok. Można obciążyć go grzywną i uzależnić zakończenie kary od spłacenia pełnej wartości kontrabandy. Wydaje się, że wysyłanie go na galery byłoby bezcelowe, ponieważ umarłby tam przed upływem roku od ciężkiej pracy. Wykorzystanie na arenie byłoby zaś zbyt surową karą wobec wagi jego przestępstwa.

Czekamy na Wasze orzeczenie, które niezwłocznie wykonamy. Do listu dołączony został wiemy przekład zeznań złożonych przez Kyrillosa.

Do wyłącznej wiadomości prokuratora i cesarza, jako podstawa do ich działań.

Niech żyje Witeliusz!

Cyprius Leteur Urząd Celny portu w Ostii

dwudziestego trzeciego dnia września 821 roku Miasta

. 4 .

Od pełni minęły dopiero trzy dni i księżyc nadal puchł na niebie, przeświecając przez cienką warstwę chmur. Nadchodziła zima i noce były coraz chłodniejsze, dni zaś groziły deszczem.

Sanct' Germain stał w oknie sypialni i spoglądał na matowosrebrzyste niebo. Narzuconą na ramiona szatę związał niedbale w pasie, tak że zostawała częściowo otwarta. Dla niego noc wydobywała całe piękno, które ginęło w blasku dnia. Ta właśnie pora, gdy sowy krążyły nad miastem, a koty przemykały w zaułkach, była jego prawdziwym czasem. Kochał noc, był jej częścią.

— Panie? — spytała z łóżka Tisztry, przerywając mu kontemplację.

— Tak? — Nie odwrócił się, ale jego głos był pełen uczucia. — Podejdź do okna, Tisztry.

Wstała posłusznie i podreptała bosymi stopami po mozaikowej podłodze.

— Co się stało?

— Popatrz na noc. — Jego ciemne oczy przenikały bez trudu zalany księżycowym blaskiem mrok. Objął dziewczynę ramieniem. — Tam. Obok sadu. Nietoperz krąży jak płatek sadzy. Spójrz na drzewa. Są niczym zakotwiczone w ziemi chmury burzowe. Podobne w tym do nas. — Pochylił się i ucałował jej lśniące włosy, nadal jednak patrzył w okno. — Och, Tisztry, nie chciałem być tak okrutny.

— Nie byłeś — odpowiedziała od serca. — Mało kto okazał mi w życiu tyle względów. — Była naga i odczuwała chłód, ale mimo drżenia trwała obok niego.

— Czy to takie ważne, że to już koniec? — Ciemność była mu droga, dzisiaj jednak podkreślała tylko poczucie osamotnienia.

— Koniec z łóżem? — Oparła głowę na jego ramieniu. — Wiesz, co czuję. To moja decyzja, nie twoja. Jesteś moim panem i jesteś dla mnie dobry. Inny niż ja, ale to twoje prawo. — Objęła go silną ręką w pasie. — Dawałeś mi rozkosz i byłeś wobec mnie nawet bardziej niż dobry.

— Żałujesz? — Musnął dłonią krzywiznę jej piersi, biodra. Jak zwykle czule.

— Nie. Nie wykorzystywałeś mnie jak inni. Nie będę powtarzać, że lepiej bym się czuła, gdybyś był taki jak inni mężczyźni, bo wiesz o tym od początku. Ale ostatecznie nie było to ważne. — Chłód sprawił, że okryła się gęsią skórką.

— Naprawdę? — W końcu na nią spojrzął.

— Naprawdę. Pomyśl, ile czasu nam to zajmuje, nawet po twojemu. Godzinę, może dwie. I tyle. Byłam z tobą dwa razy w miesiącu, razem na pewno nie więcej niż kilkanaście godzin. Resztę czasu mogłam spędzać z moimi końmi, na arenie, czyszcząc uprzęż i robiąc to wszystko, co jest ważne w moim życiu. Dlaczego miałabym zamieniać to na kilkanaście godzin, choćby nawet najprzyjemniejszych? — Pocałowała go z uczuciem. — Będzie mi ciebie brakowało, bo tak o mnie dbałeś.

Uśmiechnął się smutno, z ironią, ale w ciemności pozostało to niedostrzeżone.

— Zmarzniesz, Tisztry.

— Robi się chłodno — przyznała. — Ale to nic.

Sanct' Germain odwiązał pasek i wciągnął dziewczynę pod obszerną szatę.

— Lepiej?

— Oczywiście — odparła z chichotem.

Raz jeszcze spojrzął w noc.

— Piękna — powiedział z rozmarzeniem w głosie.

— Zawsze wolisz ją od dnia — przypomniała Tisztry, kładąc mu dłoń na piersi.

— Noc i ja przenikamy się nawzajem. — Było tak, od kiedy sięgał pamięcią. Nawet w legendach jego rodzaj był zawsze kojarzoną z nocą. Wtedy nie potrzebował swoich butów, chyba że chciał przejść przez strumień lub rzekę. Nigdy indziej nie czuł tego łagodzącego przyływu siły, zwodniczego spokoju. — Ty też kiedyś ją poznasz.

Tisztry przytuliła się mocniej.

— Zostało kilka godzin do świtu. Skoro to ostatni raz, może wrócimy do łoża?

Uwielbiał jej bezpośredniość, jakkolwiek nie zawsze była łatwa do przyjęcia. Nawet gdy poprosiła, żeby skończyć ze spotkaniami, nie poczuł wobec niej żalu ani złości. W jej przypadku nie były możliwe.

— Chcesz? — Pogładził ją po włosach i pocałował.

Wzruszyła ramionami.

— Lubię to, co robisz. Skoro to ostatni raz, tym bardziej. — Odsunęła się trochę i spojrzała mu w oczy. — Dlaczego się zgodziłeś? Dlaczego pozwalasz, aby to się skończyło? Jesteś moim właścicielem i mógłbyś kazać mi tu przychodzić.

— Żeby spędzać czas z kimś, kto mnie nie chce? — Pytanie kobiety nie zaskoczyło go, ale i tak westchnął. — Wiele mi ofiarowałaś, Tisztry, i chociaż na razie jesteśmy jeszcze tak odmienni, nauczyłaś się czerpać przyjemność z naszych nocy. Dla mnie to wiele i lubię cię. Przypuszczam jednak, że teraz pragnę już czegoś więcej. Nie tak dawno starczało mi to przerażenie, którym napępiałem innych. Byłem może nie zadowolony z życia, ale co najmniej zrezygnowany. Teraz... — Zamilkł, nie dokończywszy.

— Chodzi o tę patrycjuszkę? — spytała całkiem naturalnie, nie próbując go winić. Poczekała, aż znajdzie odpowiedź, której nie musiałby się wstydzić.

— Gdyby coś się wcześniej nie zmieniło, nie zainteresowałbym się Oliwią. Żyję już dość długo, żeby umieć akceptować skutki zmiany. — Mówiąc to, wiedział, że nie była to cała prawda. Nigdy nie nauczył się godzić z nieuniknioną stratą. Bywało, że odcinał się od wszystkich ludzi, pogrążając się w samotności, której zaznał jeszcze jako chłopiec, później jako książę. Nie chciał ponownie przeżywać tego samego bólu opuszczenia. Oliwia zaskoczyła go i stała się kimś bliskim, zanim zdał sobie z tego sprawę. Wspomnienie ich ostatniego spotkania sprzed dwóch miesięcy nadał stało mu żywo przed oczami. Wszystko, co robili, każde spojrzenie, słowo..,

— Oddasz mnie Kosrozdowi? — spytała Tisztry niepewna, czy ją usłyszysz.

— Kosrozdowi? Dlaczego? Chcesz go? Odkąd się zmienił, jest taki jak ja. — Myślał, że dziewczyna to rozumie.

— Wiem. Wydawało mi się to możliwe. — Zawahała się.

— To w czym rzecz? Jest ktoś, kogo byś wolała? — Uniósł łagodnie jej brodę i uśmiechnął się do kobiety. — Jako twój pan mogę przynajmniej dopilnować, abyś miała coś na początek. Rzymskie prawo nakłada na mnie nawet taki obowiązek.

Teraz, gdy mogłaby poprosić go o przysługę, dopadła ją nieśmiałość.

— Nie chcę, abyś sądził, że wolę jakiegoś niewolnika od ciebie.

— Ale tak jest, prawda? — Przytulił ją mocniej. — Kto to jest? Jeśli tylko będę mógł, uwolnię was oboje.

— Uwolnisz? — Wydała odgłos przypominający prychnięcie. — Wolności zapragnę dopiero wtedy, gdy zejdem z areny. Do tego czasu wolę przebywać pod opieką pana, który dba o mnie i mnie szanuje, pozwalając, bym zachwycała świat swoim talentem.

— Dobrze zatem — obiecał jej Sanct' Germain. — Gdy będziesz gotowa zrezygnować z występów, powiedz mi o tym, a wyzwolę

ciebie i mężczyznę, którego wskażesz. Zadbam, abyś miała własny dom i stajnię. — Przytulił ją impulsywnie. — Dałaś mi wiele radości, Tisztry. Jestem ci za to wdzięczny i chcę, abyś o tym wiedziała.

— Nie musisz mi o tym mówić — powiedziała, chociaż jej uśmiech sugerował co innego.

Otulił ciaśniej ich oboje, broniąc się przed ogarniającą go melancholią.

— Czego oczekujesz ode mnie przy tej ostatniej okazji?

— Nie wiem — powiedziała powoli. — Miło byłoby spróbować czegoś niezwykłego, ale nie wiem, co by to mogło być. — Ścisnęła go coraz mocniej silnymi ramionami. — Chcę... chcę... — mruczała, muskając ustami jego pierś. W końcu mogła naprawdę wybierać. — Chcę leżeć na tobie i mieć cię pod sobą, aby nic, nawet twój dotyk, nie mąciło mi przyjemności. — Zaśmiała się z własnej śmiałości, wiedząc, że może jej odmówić. Nawet jeśli on o tym zapomniał, ona zawsze pamiętała o swoim statusie niewolnicy i mając wybór, wolałaby kogoś, kto potraktowałby ją jak zwykłą kobietę i dał jej dzieci.

Sanct' Germain uniósł brwi. Był wyraźnie rozbawiony.

— Dobrze, skoro tak chcesz. — Nadal otuleni jego szatą przeszli razem do ciemnej sypialni. — Powiedz, jak mam się położyć, a spełnię twoje życzenie.

— Naprawdę? — Nigdy żaden mężczyzna jej tego nie zaproponował i była to chwila, którą należało smakować. — Połóż się na plecach. Możesz wziąć poduszkę, jeśli chcesz — dodała wielkodusznie. — W poprzek łóżka, tak aby twoje stopy dotykały podłogi.

Obrócił się zrzucił szatę i położył się.

— W ten sposób?

— Trochę wyżej, panie. Tak lepiej. — Stała obok łóżka,

przyglądając mu się w mroku. — Masz całować i pieścić mnie, aż powiem dosyć. — Przelotnie uświadomiła sobie, że to zapewne jedyny raz, kiedy będzie mogła mieć kochanka tylko dla swojej satysfakcji. Nigdy w życiu już jej się to nie zdarzy. Kontynuowała z wahaniem, jakby się obawiała, że zbyt wielka rozkosz może zachwiać jej postanowieniem, aby skończyć ze spotkaniami. Sanct' Germain był szczególnym partnerem, starał się, aby ona wyniosła z każdej nocy tyle samo co on. Tisztry nie przypuszczała, aby spotkała jeszcze kiedyś równie doświadczonego mężczyznę. Zresztą nie tylko o doświadczenie chodziło. Sama zaczynała odczuwać już upływ czasu, co w jej wieku, dwudziestu ośmiu lat, nie było niczym zaskakującym. Dobrze byłoby się ustabilizować i mieć dzieci, co jednak nie było możliwe z jej obecnym panem. Westchnąwszy fatalistycznie, zdecydowała się wykorzystać tę ostatnią noc. — Chcę, aby nasze wargi się spotkały — powiedziała, idąc za dyktatem zmysłów. — Całuj mnie na różne sposoby. Powiem ci, kiedy przestać.

— Dobrze — odparł z powagą, chociaż w jego oczach czaiła się wesołość.

— Potem powiem ci, co dalej — uprzedziła, jakby obawiała się, że może się rozmyślić.

— Jak chcesz. — Jego głos w ciemności działał na nią pobudzająco.

— Jeśli przyjdzie ci do głowy coś jeszcze, najpierw spytaj mnie, czy tego chcę. Pozwól mi decydować o wszystkim. — Chyba nie była pewna, czy rzeczywistość dorośnie do oczekiwań z wyobraźni. — Jestem już gotowa.

— To chodź — powiedział, otwierając ramiona.

Powoli i leniwie wyciągnęła się na nim. Muskularne i sprawne ciało bez trudu dopasowało się do sytuacji, a nowe doświadczenie jeszcze bardziej rozpałiło zmysły. Czuła się prawie tak, jak podczas wyścigu, gdy stała na grzbietach koni galopujących wokół spiny, z ryczącym w

górze tłumem. Sanct' Germain był mocno zbudowany i wiedziała, że dysponuje niezwykłą siłą. Nie obawiała się, że go przygniecie albo jakoś uszkodzi. Rozchyliła wargi i dotknęła jego ust.

Poruszała się na nim niespiesznie, przyjmując każdy pocałunek, gdy dotykał ustami nowych miejsc, by odkrywać przed nią nieznane dotąd doznania i jeszcze głębszą satysfakcję. Przesunęła się trochę wyżej i wygięła ciało, rozchylając przy tym uda.

Nagle w ogrodzie rozległ się jakiś dźwięk i oboje zastygli na chwilę, nasłuchując.

— Co to było? — szepnęła Tisztry.

— Nie wiem. Ale to nieważne. — Objął ją ponownie.

— Ja... — zaczęła, czując umykające podniecenie.

— Cii... — Jego dłonie wiedziały dokładnie, co robią, i rozpały ją na nowo. Usta wyszukiwały najbardziej wrażliwe miejsca, dobywając z niej fale rozkoszy tak, jak wydobywa się wodę ze studni.

Tisztry nie mogła wykrztusić ani słowa, ledwo udawało się jej łapać powietrze. Obawiała się, że gdy nadejdzie ten największy spazm, nie wytrzyma i po prostu się rozpadnie. Oczy miała półzamknięte, z jej gardła wydobywało się coś pośredniego między śmiechem a jękiem. Cała stała się spełnieniem, wielkim wirem rozkoszy wokół jednego, nieziemsko wrażliwie pulsującego punktu.

Gdy ułożyła się w końcu obok niego, jej oddech wrócił niemal do normy. Milczała i wpatrywała się w rozjaśnioną księżycem noc za oknem. W głowie krążyły jej myśli, które chciałyby przekazać swemu panu, ale nie znajdowała słów, aby je wyrazić.

Sanct' Germain musiał to rozumieć, bo przyjmował jej milczenie. Wsłuchiwał się w tak dobrze mu znane brzmienia nocy.

— Będzie mi ciebie brakować, Tisztry—odezwał się w końcu.

Obróciła ku niemu zaskoczoną twarz.

— I mi będzie brakować ciebie, panie.

— Ale nie zmienisz swojej decyzji? — Nie oczekiwał tego od niej, choć nie szkodziło zapytać.

— Nie — odparła po chwili. — To było... więcej, niż kiedykolwiek otrzymałam. Obawiam się jednak, że nie zniosłabym tego zbyt często. Jesteś jak egipskie ciastko figowe, takie z miodem, migdałami i cynamonem. Pierwszych kilka kęsów smakuje bosko, potem jednak słodycz staje się zbyt intensywna i zaczyna dławić, zamiast sprawiać przyjemność. Gdybym robiła to za często, stałabym się jak ci perscy żołnierze, którzy jedzą mak. Nic by nie zostało oprócz głodu i wiecznego nienasycenia, a przyjemność gdzieś by przepadła. Nie tylko ta, ale i każda inna.

Jej przenikliwość zaskoczyła go.

— Może tak się zdarzyć — przyznał, pamiętając aż zbyt wiele podobnych przypadków. Jemu też zdarzało się nie zachowywać umiaru, jednak było to, zanim jeszcze król Salmanasar wzniósł mury Kalchu. Wtedy było w nim wszakże więcej gniewu niż poczucia osamotnienia.

Tisztry poszukała jego dłoni.

— Dziwnie będzie nie być twoją...

— Zawsze pozostaniesz mojej krwi — powiedział poważnie.

— To nie to samo. Nie wiem, czy będę z kimś więcej. Pewnie tak, z wielu powodów. Powinnam. — Nagle ogarnęła ją złość. — Dlaczego nie miałeś nas więcej? Wtedy nie musiałabym przywykać do myśli, że jesteś z inną kobietą. Nigdy nie gościłeś tu żadnej patrycjuszki.

— Przeciwno Kosrozdowi nic nie miałaś — przypomniał.

— Kosrozd to co innego. Nie zlegałeś z nim, od kiedy się zmienił. Powiedziałaś, że to się nie zdarza, że po zmianie możecie utrzymywać kontakty tylko z niezmienionymi, nie między sobą. — W jej słowach pobrzmiwało oskarżenie i czekała, czy spróbuje ją jakoś udobruchać.

— Sam nigdy tego nie doświadczyłem, ale słyszałem w młodości, że

przy głębokiej miłości może się zdarzyć i to — powiedział w ciemność, odwróciwszy głowę. — Po tylu wiekach wątpię, aby podobna bliskość naprawdę mogła zaistnieć, ale tęsknota za nią pozostaje. — Z trudem odsunął nieprzyjemne myśli.

Tisztry znała go dość dobrze, aby wyczuć jego ból, i wiedziała, że dotknęła czegoś, co powinna zostawić w spokoju.

— Nie chciałam, panie...

— Wiem. — Znowu na nią spojrzął. — Cóż, musimy sobie z tym poradzić. Co chcesz zrobić? Myślisz opuścić Rzym? — spytał cicho. — Może wolałabyś wyjechać. Mam jeszcze inne majątki, mogłabyś mieszkać w którymś aż do chwili, gdybyś uznała, że pora wrócić i uzyskać wolność.

— Jeśli chcesz mnie gdzieś wysłać, twoje prawo — powiedziała po chwili tak cicho, że ledwie ją słyszał. — Możesz mną rozporządzać. I nie winiłabym cię za to, naprawdę nie. Ale byłoby mi bardzo smutno. — Nie chciała płakać przed tym dziwnym mężczyzną. Wiedziała, że Rzymianie pogardzają łzami. Sanct' (iermain nie był Rzymianinem, ale nigdy nie widziała wilgoci w jego oczach.

— Oczywiście, że nie chcę cię odsyłać — zapewnił ją lekko zirytowany. Tisztry była ogólnie wrażliwą kobietą. To ona chciała, by przestali się spotykać. Poprosiła go, aby pozwolił jej wybrać rydwannika albo tresera, który by ją lubił i mógł dać jej dzieci. A teraz to. Oparł się na łokciu i przyjrzał się kobiecie. — Powiedz mi, co cię dręczy — spytał zwykłym tonem, jakby rozmawiali o zaletach jego nowej uprzęży, w rzeczywistości był to jednak rozkaz i oczekiwał, że Tisztry go posłucha.

— Nic — odparła natychmiast.

Zastanowił się chwilę, przypomniał sobie to i owo z jej życia i zadał następne pytanie:

— Chciałabyś wrócić do Armenii? Nadal tęsknisz za rodziną?

Powiedz mi. — Dotknął jej policzka, na którym pojawiła się smuga wilgoci.

Nie odpowiedziała mu wprost. Nie chciała przyznać się, że Rzym stał się jej miłszy niż jej własny górzysty kraj.

— Po ostatnim wyścigu zaczepił mnie jakiś uczonec z Armenii. Wychwalał mnie i mój zaprzęg. Zadał mi wiele pytań na temat wyścigów i szkolenia. Powiedział, że popełniono wielką pomyłkę, sprzedając taki skarb do Rzymu. — Wpatrywała się w niemal niewidoczny sufit, w myślach przywołując obraz zalanego słońcem cyrku.

Saint Germain poczuł ogarniający go chłód.

— Armeński uczonec? — spytał zwykłym głosem.

— Bardzo dystyngowany. Rozmawiał z Nekredesem. Nie siwy i przygięty do ziemi, ale całkiem przystojny, raczej młody, z wyrazistą twarzą. — Zastanowiła się, dlaczego Sanct' Germain zainteresował się tym człowiekiem. Z odrobiną satysfakcji pomyślała, że może jest zazdrosny. — Odnosił się do mnie z szacunkiem.

— Nie dziwię się — powiedział suchym tonem Sanct' Germain. — Czy mówił z jakimś obcym akcentem?

Tisztry zaśmiała się.

— Wszyscy dworzanie mówią z jakimś akcentem. Oni zawsze dziwnie mówią.

To też prawda, pomyślał Sanct' Germain. Tisztry bez trudu mogła poznać sposób mówienia kogoś z dworu, podobnie jak i wychwycić perski akcent. Próbował przekonać siebie, że nie ma się czym martwić, że Led Araszur opuścił Rzym wiele miesięcy temu. — Powiedz mi coś więcej. Jakie pytania zadawał?

— Och — westchnęła, zaczynając bawić się tą rozmową — pytał o wszystko. Powiedział, że chce przygotować raport dla króla. Wspomniałam więc, że występowałam przed Tirydatesem, gdy był w

Rzymie na zaproszenie Nerona. To zrobiło na nim wrażenie i spytał, jak tu trafiłam i od jak dawna występuję na arenie. Sporo mu o tym opowiedziałam. Nawet o tym, jak Nekredes chciał oddać mój zaprząg lwom i jak mnie obroniłeś, gdy odmówiłam. To jeszcze bardziej go zdumiało.

— Naprawdę? — spytał ironicznie Sanct' Germain.

— Tak. Powiedziałam mu wszystko o tobie. Nie chciał wierzyć.

— Wszystko?

Stłumiła chichot.

— No, nie całkiem. Ale dość, aby zrozumiał, że nie wykorzystujesz niewolników i że chociaż nie jesteś patrycjuszem ani obywatelem rzymskim, lepiej z tobą. nie zadzierać.

Saint Germain przyciągnął sobie poduszkę.

— Jestem ci wdzięczny. Ciekawe jednak, dlaczego dopytywał się o takie rzeczy. Przecież o nich nie będzie chyba pisał królowi.

— W Rzymie nie ma wielu Ormian — powiedziała, zapomniawszy o zranionej dumie. Cieszyło ją, że zwróciła uwagę dostojnego uczonego, i chciała, aby Sanct' Germain zrozumiał, jakie to było dla niej ważne i zasłużone. Wielu ją podziwiałało i często mierzono ją pożądanym spojrzeniem. Ten uczoney był inny. Interesowało go jej życie. — Spróbuj zrozumieć, panie, że byłam dla niego kimś całkiem nowym. Mój ojciec i bracia często występowali przed królem, ale to było lata temu, zanim moi bracia zostali wysłani do wojska, aby szkolić rydwanników. Od tamtej pory na dworze Tirydatesa nie pojawił się nikt podobny. Był ciekaw. Chciał wiedzieć, jak się tego wszystkiego nauczyłam, jak doszłam do biegłości, kto i dlaczego mnie kupił, jak jestem traktowana. I czy są jeszcze inni, którzy potrafią to co ja. Powiedziałam, że w Rzymie nikogo takiego nie widziałam. Wcześniej nikogo to nie interesowało.

— Tak. — Sanct' Germain pocałował ją lekko w czoło.

— Czy nie powinnam mu tego mówić? — spytała z nagłym niepokojem.

— Możliwe, że nie było to całkiem mądre — powiedział po chwili. — Nie przejmuj się. To dobrze, że ktoś cię docenił. Ciesz się, że był dość szlachetny, aby ci o tym powiedzieć. Ale na przyszłość uważaj z takimi obcymi — dodał bardziej zdecydowanym tonem. — Nawet jeśli przybywają z Armenii.

Tisztry przytuliła się do niego.

— Chciałam cię tylko pochwalić, panie.

Objął ją ramieniem.

— Miło mi — odparł uprzejmie. — Bądź jednak ostrożna. W obecnej sytuacji, przy takich kłopotach i tłumach gotowych zburzyć mury miasta, aby tylko zdobyć zboże, wielu może próbować upiec własną pieczeń. Obcy, nawet tacy prawiący prawdziwe komplementy, mogą mieć po temu ukryte powody. Skoro sami też jesteśmy tu obcy, musimy szczególnie uważać. W razie czego będziemy pierwszymi do obwiniania. — Nie chciał kończyć w przykry sposób swojej ostatniej nocy z Tisztry. Czule wziął ją w ramiona. — Lata nauczyły mnie ostrożności. Ale nie myśl teraz o tym. — Pocałował ją ponownie, z jeszcze większym zaangażowaniem.

— Jesteś zły na mnie? — spytała wciąż przejęta.

— Nie. Dlaczego miałbym być? Jeśli ktoś zasłużył na naganę, to ja sam. Nie przejmuj się za bardzo moim niepokojem. — Przesunął dłońmi po jej piersiach i biodrach.

— Coś nam grozi? — spytała szybko, jakby wypowiadała jedno słowo.

— Takim jak ja zawsze coś zagraża. Z czasem przywykniesz do tego. Nauczę cię, gdy przejdiesz zmianę.

Następny pocałunek przerwały im odgłosy dobiegające ze znajdujących się za domem zagród dla zwierząt. Sanct' Germain

uniósł gwałtownie głowę.

— Co tam się dzieje? — spytała Tisztry, słysząc wyraźne szczekanie.

— Coś zaniepokoiło wilki — odparł, marszcząc czoło. Wilki przybyły dwa miesiące wcześniej z Carnuntum i chociaż z początku były bardzo spłoszone, szybko nauczyły się nie otwierać paszczy z byle powodu.

Hałas narastał. Do poszczekiwania wilków dołączyły ryki panter.

Sanct' Germain wstał i włożył ubranie.

— Lepiej sprawdzę, o co chodzi.

— Strażnicy mogą to zrobić.

— Gdyby twoje konie rżały, powiedziałaś to samo? — spytał bez wyrzutu i pochylił się, aby włożyć miękkie buty z wysokimi cholewkami.

Na to nie miała odpowiedzi, poza tym jej też się wszystkie te hałasy nie podobały. Zwinęła się w kłębek pośrodku łoża. Sanct' Germain wyszedł, wołając po drodze Aumtehoutepa.

Nagle Tisztry przyciągnęła do siebie największą poduchę i otoczyła ją ramionami, próbując ocalić choć trochę splendoru ich ostatniej wspólnej nocy.

List od Cecylii Medy Klemens, żony Januzjana, do jej siostry, Acji Oliwii Klemens, żony Syliusza:

Do Oliwii, żony Syliusza, z rodzinnymi pozdrowieniami.

Przyznaję, że zdumiał mnie Twój list z 2 października, który dotarł do mnie dopiero po niemal dwóch miesiącach, czemu winna była zła i niesprzyjająca podróżom pogoda. Wojskowe pisma są niezmiennie szybko przekazywane, ale zwykłe listy, nawet Twój, chociaż jesteś żoną znacznego senatora, musiał poczekać, aż wyprawiono najpierw raporty do ostatniego

z trybunów. Poza tym były jeszcze pewne kłopoty na granicach, co jednak tutaj, w Gallii Lugdunensis, jest rzeczą normalną. Lutecja nie jest najgorszym miastem, ale za mało się tu dzieje, aby uczynić ją prawdziwie znośną. Zima na Północy zaczyna się wcześniej i odkąd zostaliśmy tu umieszczeni po nieszczęściu, które dotknęło naszego ojca i braci, tęsknię ciągle za słońcem, które nad Rzymem świeci zawsze znacznie jaśniej. Poznawszy takie miejsce, zaczyna się rozumieć, jak wspaniała jest Rzym. Nazwać go centrum świata to za mało.

Dlatego też, droga siostrze, zaskakuje mnie Twój pomysł, aby nas odwiedzić. Jak możesz myśleć o wyjeździe z Rzymu, choćby tylko na sześć miesięcy? A jeśli już, dlaczego chcesz zjawić się u nas w środku zimy, gdy nie ma co robić i panuje wszechobecna nuda?

Opowiedziałam mężowi o Tobie, chociaż przyznaję, że minęło blisko czternaście lat, od kiedy ostatni raz Cię widziałam. Na pewno nie przypominasz już tej dziewczynki, która chodziła wiecznie z plamami od jagód na swojej najlepszej pedli. Dziwne, że właśnie ten obraz pamiętam najlepiej. A czy Ty pamiętasz te dni pod Neapolis, gdzie odwiedzaliśmy wuja matki? Miał całkiem spory majątek (a przynajmniej takim go pamiętam, chociażpo Lutecji nawet biedna Ostia albo najgorsza zaszczurzona nora w insuli za Forum Augusta może uchodzić zapalać). Blisko stamtąd było do morza i często chodziliśmy pływać. Wydaje się, że to było tak dawno. Musiałś mieć osiem albo dziewięć lat. Szkoda, że nie spędziłyśmy razem więcej czasu w dzieciństwie. Nawet jeśli mogłoby to być niełatwe, jestem bowiem dwanaście lat starsza od ciebie i nic dziwnego, że nasze losy potoczyły się inaczej. Pamiętam, jakim wstrząsem była dla mnie wiadomość, że nasz ojciec stracił tyle pieniędzy i ziemi. Szczęśliwie się złożyło, że Syliusz zechciał wziąć cię wówczas za żonę.

Piszesz w swoim liście, że Twój mąż jest dla ciebie niemiły, chociaż to on dał schronienie naszej matce i osłonił ją przed niełaską, którą nasz ojciec i nasi bracia sprowadzili na rodzinę. Zapewne poślubienie kogoś o

wiele starszego nie jest ciekawym doświadczeniem, ale w jednym z listów wysłanych do mojego męża wspomniał, że nie miał nigdy nic przeciwko Twoim kochankom. Niemądrze jest oczerniać tak dobrego człowieka. Musisz nauczyć się panować nad swoimi pragnieniami i wypracować jakieś porozumienie ze swoim mężem. Nie miał szczęścia w dwóch poprzednich małżeństwach, a teraz Ty traktujesz go niełaskawie. Nie tak zostałeś wychowana. Wiem to, bo miałyśmy te same niańki i tych samych nauczycieli. Isidoros i Bion wpajali nam zasady dobrego zachowania oraz grekę, chyba też ich pamiętasz. Chociaż od lat już nie używałam tamtego języka, poznanie jego zasad bardzo mi się przydało.

Nie wyobrażasz sobie, jak tu jest niewygodnie. Przez cztery miesiące w roku nie sposób nagrzać porządnie naszej willi. Mamy oczywiście ogrzewane podłogi, ale w tym klimacie to za mało, ja zaś nie zdecyduję się na mieszkanie z niskim sufitem ani otwartym ogniem w pokoju, jak mieszkają tubylcy. Rzymianie muszą jednak utrzymywać pewien poziom. Zaczęłam więc zamawiać odzież z grubszych tkanin. Tubylcy robią całkiem dobrą wełnę, która barwi się jednak nierówno i z tego powodu, gdy trafia nam się gość, co dzieje się jednak rzadko, nalegam na witanie go w porządnym strojach niezależnie od pory roku. Nie przyjmę przecież nikogo w grubo tkanej wełnie. Do tego trzeba porządnego płótna albo bawełny. Druzus traci czasem przez to do mnie cierpliwość, muszę mu przypominać, że jesteśmy rzymskimi patrycjuszami i musimy zachowywać się stosownie do naszej pozycji.

Chociaż niewiele wieści tutaj dociera, krążą uporczywe pogłoski, że Witeliusz zostanie obalony. Czyżby Rzym nie był zadowolony z najnowszego cesarza? Chyba nie czujesz się bezpieczna, pozostając tak blisko tych wszystkich zdarzeń. Być może nie możesz już tego znieść. Jeśli tak, rozumiem, że chcesz przyjechać do mnie na kilka miesięcy, aż sytuacja się uspokoi. Przez ostatni rok ledwie nadążaliśmy zmieniać napisy w całym garnizonie, co jest konieczne za każdym razem, gdy nowy

cesarz wstępuje na tron.

Jakże inaczej było, gdy mieszkaliśmy w Antiochii. Tam można było się rozwijać, a mój mąż miał szanse na awans. Neron mówił, że po kilku następnych latach spędzonych w Syrii i Grecji mój mąż byłby gotowy, żeby zostać senatorem. Teraz nie ma na to najmniejszej szansy. Ta może się pojawić, jeśli zostaniemy przeniesieni z Galii do Brytanii czy Mauretanii. Oczywiście Druzus mógłby zrezygnować ze służby, ma majątek pod Syrakuzami, ale wszyscy wiedzą, że się poddał i nie chce o tym słyszeć.

Nie widziałaś nigdy moich dzieci, ale myślę, że mogę być z nich dumna. Hilarius ma dwanaście lat i jest bardzo rozwinięty, jak na swój wiek. Jeden z wujów Druzusa ma go zaadoptować i dopilnować, aby chłopak się rozwijał. Fontanus ma prawie dziesięć lat i jego nauczyciele mówią, że jest bardzo zdolny, znacznie bardziej inteligentny niż inne dzieci. Chcą oczywiście wystać go do Grecji, żeby tam się uczył, sądzę jednak, że więcej mógłby skorzystać w Rzymie. Musimy jeszcze z mężem podjąć decyzję w tej sprawie. Być może Druzus napisze niebawem do Twojego męża i spyta go o radę. Majus ma dopiero sześć lat i trudno na razie powiedzieć, co z niego wyrośnie. Tymczasem bardzo lubi żołnierzy, ale też nie ma tu wiele więcej ciekawych zjawisk. Flora ma dziewięć lat i przy pewnym moim staraniu może wyrosnąć na piękność, chociaż na razie nie ma pojęcia, jak się dobrze ubierać, i nie chce mnie słuchać, gdy jej coś podpowiadam. Gdybyś zechciała przyjąć ją u siebie za kilka lat, miałabyś towarzystwo w swej samotności i zrobiłabyś coś dla rodziny. Salwina ma siedem lat i jest bardzo żywa i uparta, co nie jest jednak dobre w przypadku dziewczynki. Najmniejsza Kornelia ma dwa lata. Bardzo dobre dziecko, mimo chorej stopy. Tutejszy medyk próbuje ją leczyć, bo jako kulawa nigdy nie znajdzie sobie miejsca w świecie. Szkoda by było, gdybyśmy musieli wydać ją kiepsko za mąż przez ten niewielki defekt.

Ze smutkiem dowiedziałam się o śmierci naszej siostry. Arianus, bardzo przygnębiony, napisał o tym w zeszłym roku. Byłyśmy sobie bardzo bliskie

z Wiridis. Wiesz, dzieliły nas tylko dwa lata różnicy. Wyobraź sobie, że została potrącona przez rydwan na drodze do Patawium. Doznała tylko złamania ręki i kość dało się łatwo nastawić, potem jednak ręka jej poczerniała. Zmarła od gorączki. Byłam wstrząśnięta. Jak Arianus mógł powierzyć ją miejscowym medykom ? To sami rzeźnicy. Teraz już tylko my dwie zostałyśmy, Oliwio. Czterech braci i siostra opuścili nas przedwcześnie.

Napisz do mnie jeszcze. Lata minęły od Twojego poprzedniego listu, ale to zapewne przez niełaskę, w którą popadła nasza rodzina. Wielka w tym ironia, że gdyby wszystko potoczyło się tak, jak pragnął tego ojciec, ja byłabym w tej chwili w Rzymie jako przedstawicielka możnego rodu i cieszyłabym się tymi wszystkimi zaszczytami, na które mój mąż tak ciężko pracuje. Nie narzekam jednak, bo urągałoby to naszemu ojcu i dziedzictwu rodziny. Oczywiście chciałabym, aby było inaczej, ale niewiele da się z tym zrobić, jeśli nie znasz kogoś, kto byłby gotów nam pomóc. Nie poproszę Cię teraz, abys porozmawiała z mężem, skoro nie układa się akurat między Wami najlepiej, ale gdy się polepszy, byłabym wdzięczna za kilka słów. Zakładając oczywiście, że nadal będzie się cieszył wpływami u purpury i pojawi się cesarz, który porządzi dłużej niż rok.

Ile Ci napisałam! To dowodzi, jak bardzo za Tobą tęsknię. Pozwól sobie coś doradzić, siostrzyczko. Postaraj się być bardziej tolerancyjna wobec Justusa. Niestety, mężczyźni są próżni, ale jeśli im pobłażamy i nie jesteśmy wobec nich zbyt krytyczne, z czasem spotyka nas nagroda pod postacią władzy nad nimi, z której możemy wówczas swobodnie korzystać. Zastanów się nad tym. Uwierz mi, że te trudności miną. Zanim mój list do Ciebie dotrze, sama będziesz się dziwiła, jak mogłaś tak źle o nim napisać. Mężowie są czasem ciężarem, ale Ty masz przynajmniej Rzym ze wszystkimi jego atrakcjami i tego, muszę przyznać, bardzo ci zazdroszczę.

Oczekując chwili, gdy zobaczymy się w Rzymie, pozdrawiam Cię od

mojej rodziny i siebie.

Cecylia Meda Klemens, żona Januzjana

dwudziestego pierwszego dnia listopada w 821 roku Miasta

Lutecja, Gallia Lugdunensis

. 5 .

Nad wzgórzami Rzymu szalała styczniowa burza. Woda lała się z nieba strumieniami, przemakając wszystko i czyniąc świat jednolicie szarym. Zalewała i podmywała bruk ulic w niżej położonych miejscach, a tam, gdzie nie było bruku, ludziom i wozom groziło ugrzeźnięcie w błocie. Przez szum deszczu przebijały niekiedy krzyki i przekleństwa ludzi odciętych przez zbyt głęboką wodę albo tkwiących w grząskich pułapkach. Kto mógł, starał się nie wychodzić z domu, zwłaszcza że miasto nie doszło jeszcze do siebie po ostatniej zmianie rządów i niejeden dziękował pogodzie za wymówkę, żeby nie pokazywać się publicznie.

W domu Justusa Syliusza niewolnicy uwijali się przy usuwaniu wody gromadzącej się na płytach atrium. Tu i ówdzie, pod wpływem gorącego powietrza krążącego tuż pod marmurowymi podłogami i ogrzewającego dom, unosiła się para. Centralnie umieszczony piec służył również do grzania wody w łaźni. W pokojach było więc w miarę ciepło, jeśli nie liczyć dokuczliwych przeciągów. Trzaskający okiennicami wiatr nie dawał za wygraną, przez co Justus polecił zakryć okna w mniejszej z dwóch jadalni ciężkimi kotarami we wschodnim stylu. Niewielkie, wychodzące na wschód pomieszczenie znajdowało się po zawietrznej i miało na ścianach szczególnie udane malowidła. Poza tym zostało bogato urządzone, a czegoś takiego właśnie potrzebował w to deszczowe popołudnie.

— Tam, ty tępy durniu! — krzyknął Justus, wskazując po raz trzeci, gdzie pochodzący z Azji niewolnik ma wbić hak.

— Ależ panie, to nie wystarczy... — zaczął rozsądnie mężczyzna.

— Nie zamierzam cię słuchać — poinformował go cichym głosem

Justus. — Hak musi być tam albo kotara nie zakryje obu okien i będzie wiało gościom w plecy.

— Wybacz, panie, ale hak musi znaleźć się w lewo albo w prawo od tego miejsca, bo inaczej nie trafi na drewno pod tynkiem i nie będzie trzymał. To właśnie chciałem wyjaśnić... — Uniósł rękę, aby pokazać, o czym mówi.

— Próba kłótni ze mną kończy się użyciem pejcza — ostrzegł go Justus. — Kupiłem cię, bo podobno jesteś cieślą. Teraz okazuje się, że nie umiesz wbić gwoźdźca. Ostatni niewolnik, który mnie oszukał, pożył akurat tyle, aby pożałować swego czynu.

Azjata zbladł.

— Wbiję hak, jak sobie życzysz, panie — powiedział. — Ale nie będzie ‘trzymał.

— Lepiej będzie dla ciebie, jeśli nie wypadnie — stwierdził stanowczo Justus. — Pokój musi być doskonale przygotowany. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, nie zawaham się surowo ukarać sprawcy.

Niewolnik opuścił głowę i spróbował zrobić niemożliwe. Przesunął hak o szerokość dłoni i zamachnął się młotkiem.

Justus obserwował go z dołu, bawiąc się trzymanym za plecami pejczem i machając nim od czasu do czasu.

Monostades wszedł do pokoju i stanął kilka kroków za swoim panem.

— W sprawie obiadu... — powiedział cicho, aby zwrócić na siebie uwagę.

— Co z obiadem? — Justus obrócił się i spojrzał na niewolnika. — Jakieś kłopoty? — spytał takim tonem, jakby wręcz życzył sobie potwierdzenia.

— Nie — zapewnił go Monostades. — Żadnych. Jest tylko kwestia wyboru wina. Miałem przyjść po instrukcje. — Trzy lata służby w tym domu nauczyły Monostadesa zachowywać się w sposób będący

osobliwym połączeniem służalczości i arogancji.

— Oczywiście — powiedział Justus i podszedł do niewolnika. — W taki dzień będziemy musieli je pewnie ogrzać. Nie ma co podawać zimnego wina równie znakomitemu gościowi.

Monostades uśmiechnął się kwaśno.

— Kucharz ma kilka propozycji i chciałby, żebyś je, panie, ocenił.

W normalnej sytuacji Justus nie zawracałby sobie tym głowy, jednak dzisiaj wolał osobiście dopilnować wszystkiego. Ten obiad był dla niego bardzo ważny i mógł mieć wpływ na jego przyszłość.

— Kucharz na zbyt wiele sobie pozwala — warknął i wyszedł z pokoju. Po drodze spojrzał gniewnie na wodę na podłodze atrium.

— Twoja żona jest w swoim pokoju, panie — powiedział Monostades, uprzedzając kolejne pytanie. — Sybiniusz jej pilnuje.

— Dobrze — rzucił szorstko Justus, gdy skręcili w korytarz wiodący do kuchni. — Nie chcę żadnych niespodzianek.

— Ma wiele do zrobienia. Nie ma się czym martwić. — Niewolnik zadrżał. W korytarzu było bardzo zimno.

— Zająłeś się obsadzeniem domu jej ojca, jak kazałem? — spytał Justus tonem niedopuszczającym innej odpowiedzi niż twierdząca.

— Zgodnie z poleceniem. Można będzie wysłać ją tam za kilka dni. Sybiniusz przygotował już stanowiska dla strażników. Nikt nie zdoła dostać się do niej bez twojej wiedzy. Trzech niewolników będzie pilnować jej dzień i noc, z czego jeden zawsze w pokoju obok. Spać będą na zmianę, więc nie uda jej się ściągnąć nikogo późnym wieczorem albo w nocy tak, by nie został zauważony. — Wchodząc do kuchni, Monostades był bliski utraty tchu.

Triges, kucharz Justusa, uniósł głowę znad powoli obracanego różna.

— Panie — powiedział, nie odrywając spojrzenia od młodego dzika, który dochodził z dodatkiem oliwy i miodu.

— Rozumiem, że chcesz doradzać mi w kwestii win — rzucił gniewnie Justus.

Kucharz słyszał już ten ton, wszyscy w domu go znali.

— Chciałem coś zasugerować — zaczął ostrożnie. — Nie sądziłem, że tak drobna kwestia okaże się...

— Wino to nie drobiazg — przerwał mu słodkim tonem Justus. — Zwłaszcza gdy mój gość jest synem nowego cesarza.

Kucharz wzdrygnął się lekko. Przez ostatni rok było aż czterech nowych cesarzy i jeden więcej nie robił już na nim wrażenia. Znał jednak swojego pana, spróbował więc go uspokoić.

— To ważne, aby podawać wszystko, co najlepsze, panie. Dla mnie jest to równie istotne przez wzgląd na moją reputację. Nie chciałbym, aby niewłaściwie podane wino zepsuło ucztę. Wśród przygotowanych przez mnie sosów są dwa całkiem nowe, które najlepsze będą z konkretnymi winami. Ich dobór należy do moich obowiązków.

Normalnie jego pan machnąłby ręką, tego dnia jednak nic nie przebiegało jak zwykle.

— Naucz się, niewolniku, że w tym domu ja o wszystkim decyduję. Ja i nikt inny. Wszystko, co robisz, robisz dla mnie. Te nowe sosy to dobry pomysł, chociaż Domicjan nie jest smakoszem. Wino musi być najlepsze i sam je wybiorę.

Triges westchnął.

— Tak, panie, ale czy mogę zasugerować, żeby do drozdów z granatami podać raczej słodkawe, białe wino? Ptaki zostały przyprawione muszkatem, cynamonem i pieprzem, uduszone zaś na oliwie czosnkowej i sos straci na bukicie, jeśli nie pojawi się doń słodkie, słomkowojasne wino. Przyprawy pochodzą aż z Hindustanu i kosztowały więcej niż cała reszta jedzenia. Wstyd byłoby zagłuszyć je zbyt intensywnym w smaku winem. — Gdy wszystko inne zawiodło, kucharz odwołał się do chciwości Justusa i jego zamiłowania do

wszelkiego zbytku.

— Z Hindustanu? Kiedy je kupiłeś? — spytał gospodarz, jednocześnie zaciekawiony i oburzony, że podobnie kosztowny zakup odbył się bez jego zgody.

— Sześć dni temu zjawił się kupiec ze statku cumującego w Ostii — skłamał Triges, rzucając wyraziste spojrzenie swoim podwładnym. — Miał rzadkie przyprawy z Hindustanu i krain leżących na Jedwabnym Szlaku. Takie przyprawy są zawsze cenniejsze niż klejnoty. Dał mi powąchać te najlepsze. Wiedząc, że spodziewasz się dostojnego gościa, uznałem, że dobrze będzie podać coś szczególnego. Nie godzi się przecież przyjmować syna cesarza czymś, co może zjeść wszędzie. — Zamilkł, niepewny, czy pejcz Justusa nie spadnie zaraz na jego plecy.

— Ile one kosztowały? — spytał Justus, mimo wszystko zaintrygowany. Kucharz miał rację. Podanie czegoś nieznanego gościowi było bardzo pożądane.

— Sporo, panie — przyznał Triges. Były droższe niż sam kucharz, gdy Justus kupował go sześć lat temu. — Szesnaście złotych denarów.

— Szesnaście złotych denarów? — powtórzył Justus. — Te przyprawy są warte więcej niż koń wyścigowy?

Trigesowi przyszło do głowy kilka odpowiedzi, które aż prosiły się w tej sytuacji, ale nie wymówił ich głośno.

— Są znacznie rzadsze niż konie wyścigowe — powiedział w końcu.

— Dobrze zatem — stwierdził wspaniałomyślnie Justus. — Jeśli uczta będzie tak wspaniała, jak obiecujesz, uwolnię cię i dostaniesz szesnaście złotych denarów. Jeśli wyjdzie inaczej, otrzymasz szesnaście batów, po jednym uderzeniu za każdego denara. Jeśli potem wciąż będziesz się do czegoś nadawał, wystawię cię na aukcji albo wyślę do ciężkiej pracy w którymś z moich majątków. — Sądząc

po pełnym satysfakcji uśmiechu, Justus nie miał najmniejszego zamiaru uczynić kucharza wyzwolencem.

— Wedle życzenia — mruknął Triges. Podobnie jak wszyscy pracujący w kuchni niewolnicy wiedział, że otrzymał wyrok śmierci w zawieszeniu albo względnie szybkiej śmierci od bata, albo powolnej od znojnego trudu. Aż go kusilo, aby zatruć pewnego dnia jedzenie. Pożałował, że nie wziął paczuszki podsuwanej mu przez pewnego cudzoziemca. Kogoś, kto nie zszedł ze statku w Ostii, ale był niewolnikiem dalekich krewnych jego pana. Triges uznał teraz, że głupio postąpił, odmawiając.

— Czy to cię zadowala, niewolniku? — spytał Justus.

— Zawsze jestem zadowolony, wypełniając rozkazy mego pana. — Może by tak otworzyć sobie żyły po podaniu ostatniego dania? — pomyślał. Czego jak czego, ale noży miał pod dostatkiem.

Monostades chrząknął znacząco.

— Syn cesarza zjawi się za niecałą godzinę — powiedział. — A czeka cię jeszcze golenie i perfumowanie, panie.

To odwróciło uwagę Justusa od kucharza.

— Tak. Robi się późno. Podczas golenia zrobię zestawienie win, a ty przekażesz je przez niewolnika do kuchni. Ty zaś — wskazał palcem na Trigesę — podasz je tak, jak każę. Nierozwodnione.

— Będzie, jak mówisz, panie — odparł z kamienną twarzą Triges.

— Oby nie inaczej — rzucił Justus, obrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni obojętny na przerażenie, które wzbudził swoim zachowaniem.

Osobisty niewolnik Justusa otarł mu twarz z pachnącej cytryną wody i sięgnął po perfumy łączące w sobie zapachy róży, drzewa sandałowego i hiacyntu, gdy doniesiono, że syn cesarza już jest.

Justus obrócił się na krześle.

— Dobrze. Za moment do niego przyjdę. Zaprowadźcie jego służbę do skrzydła niewolników i dajcie mu suchy płaszcz. Ten ze złocistego

jedwabiu, żebym mógł mu go potem darować.

Do obsługiwanego młodemu Tytusowi Flawiuszowi Domicjanowi wyznaczono niewolnika imieniem Iksjon, który chętnie podjął się zadania, przekonany, że i jego Justus daruje gośdowi. Takie prezenty nie były niczym niezwykłym, a Iksjon pragnął wyrwania się z tego domu bardziej niż wolności.

Gospodarz zjawił się w atrium chwilę później w wyjściowej toczce z różowego płótna, obręzionej wyszywanymi złotem orłami. Włożył na tę okazję całą kolekcję pierścieni oraz jedną szeroką bransoletę, w ostatniej jednak chwili zrezygnował z umalowania twarzy. To mogło być dobre za Nerona i Otona, jak będzie widziane teraz, nikt jeszcze nie wiedział. Przywitał się zamaszyście.

— To zaszczyt dla mego domu, Domicjanie! Zwłaszcza w tym czasie zwycięstwa i smutku czuję się wyróżniony, że zechciałeś mnie odwiedzić. I jeszcze w taką pogodę.

Tytus Flawiusz był podobny do swojego ojca, chociaż na jego ustach gościł wiecznie grymas niezadowolenia, a wielkie oczy zdradzały niepokój duszy. Już teraz zaczynała się nad nimi tworzyć wyraźna zmarszczka. W odróżnieniu od starszego brata nie był przystojny i w wieku osiemnastu lat wydawał się raczej pozbawiony wyrazistego charakteru. Poprzestał na stroju złożonym z bladezielonej togi z wąskim bordowym obrębieniem i na jednym tylko złotym pierścieniu.

— Miło z twojej strony, że mnie zaprosiłeś, ale z tego, co wiem, zawsze znajdowałeś się w pierwszym szeregu sojuszników mojej rodziny.

Justus klepnął go w ramię.

— Ktoś dbający o dobro Rzymu nie mógł znaleźć się nigdzie indziej, chłopcze. Powiem ci, że wstrząsnęła mną wiadomość o śmierci twojego stryja. Tytus Flawiusz Sabinus był dobrym człowiekiem,

trudno było go nie cenić. Nakazałem złożyć na jego cześć ofiarę w świątyni Jowisza. — Ów gest był obliczony na to, że ktoś go zauważy i wspomni o nim nowemu cesarzowi. Z pożytkiem dla Justusa, naturalnie.

— Coś o tym słyszałem — powiedział Domicjan. Spojrzał na widoczne przez otwór w dachu atrium chmury i smugi deszczu skłaniające się ku ziemi niczym falujące łany zbóż. — Te opady spowodowały wiele kłopotów.

— Jestem pewien, że nawet bardzo wiele. — Justus wskazał drogę do mniejszej jadalni. — Proszę, tam będzie wygodnie. Bardzo chciałbym usłyszeć o twoich planach, ale najpierw proponuję trochę grzanego wina z przyprawami. Będzie okazja, aby przez chwilę nie myśleć o pracy. — Poprowadził gościa do drzwi i otworzył je szeroko.

Efekt był zgodny z jego oczekiwaniami. Niewolnik z Azji zrobił, co do niego należało, nadając wnętrzu wschodni charakter. Na trzech ścianach wisały ozdobne gobeliny, piecyk i wiszące lampy zalewały go blaskiem. Węgiel drzewny i oliwa zostały naperfumowane, w pokoju wyczuwało się woń goździków i bzu. Na dwóch zsuniętych blisko łóżach piętrzyły się poduszki obiecujące ciepło i wygodę. Między nimi znalazł się tylko jeden stół z szerokim, zgrabnie intarsjowanym blatem. Na nim stały srebrne i złote puchary i dwie miski z ciepłą wodą różaną.

Domicjanowi łatwo było jeszcze zaimponować, a od czasu przybycia do Rzymu nikt nie ugościł go równie wystawnie, ponadto mała skala tego spotkania przydawała mu splendoru. Gdziekolwiek dotąd bywał, roiło się od ważnych gości, którzy tłoczyli się wokół niego, oczekując opinii na ten czy inny temat i próbując poprzez syna zyskać aprobatę ojca, który przebywał ciągle w Egipcie.

Gdy młodzieniec usiadł, Justus klasnął i w pokoju pojawił się Iksjon. Miał na sobie dorycki chiton z dobrej wełny. Stanął nieśmiało

trzy kroki od stołu, ale po chwili uklęknął przed Domicjanem.

— Nalej grzanego wina — rozkazał mu Justus i spojrzał na drugiego niewolnika, obecnego w pokoju, wystraszonego młodego chłopaka z Północy. Na jasnych włosach nosił wieniec ze srebrnych liści winogron. — Na początek będzie ryba — powiedział. Słyszał, że Domicjan zdradza szczególną słabość do marynowanych ryb.

Gdy Iksjon nalał wina, odsunął się, jak wcześniej mu kazano. Czuł się bardzo niezręcznie i żałował, że nie miał więcej czasu, aby nauczyć się tego wszystkiego, co powinien obecnie umieć. Ale był pewien, że cesarski syn wybaczy mu ten brak doświadczenia.

— Powiedz mi, czy myślisz o włożeniu haftowanej togi? — zagaił Justus. *Toga pieta* była zwyczajowym strojem zwycięzców i cesarzy. Sam gospodarz oddałby połowę majątku, by móc ją nosić.

— To tylko ubranie — odparł Domicjan, zanurzając palce w wodzie różanej i wycierając je w położony obok w tym celu kawałek płótna. — Najpierw mój ojciec musi wytrwać na urzędzie dłużej niż jego poprzednicy. Dopiero potem okaże się, jak będzie z moim przyodziewkiem.

Justus zmusił się do serdecznego śmiechu.

— W najgorszym razie możesz wrócić do Egiptu, do ojca.

— W żadnym wypadku! — rzucił Domicjan ze zdecydowaniem, które musiało zaskakiwać u kogoś tak skromnego. — Nic na świecie nie skłoni mnie do powrotu do Egiptu. Ta prowincja jest gorsza niż otwarty grób. Odpychający ludzie, odrażające zwyczaje. Oni żyją tam jak zwierzęta, bandytów i degeneratów mając za przywódców. A ich religia! Czysta farsa. — Machnął szeroko ręką, w której trzymał puchar, i kilka kropel wina przysło mu na togę. Gdy podkreślił swoją wypowiedź, uderzając drugą ręką w stół, miski z wodą różaną podskoczyły i wywróciły się. Domicjan opuścił głowę, speszony. A ostrzegał go Licyniusz Mucjanus, który był wodzem jego ojca, żeby

zachowywać się statecznie, przynajmniej z początku.

— Nie przejmuj się — powiedział Justus. — To drobiazg, chłopcze, i łatwo mu zaradzić. — Klasnął na jasnowłosego niewolnika. — Ferrado, zajmij się tym. Natychmiast.

Przystojny młodzieniec posłuchał, niezbyt zgrabnie zbierając miski i ręczniki.

— Po każdym daniu przynosząc świeżą różaną wodę — polecił mu Justus i spojrzał na gościa. — Te ręczniki to pomysł, który zapożyczyłem od Partów. To na swój sposób godni wrogowie i paru rzeczy nas nauczyli. Jeśli uda nam się utrzymać pokój z nimi jeszcze przez jakiś czas, możemy na tym skorzystać. — Kazał swojemu wyzwolencowi zorientować się, jakie są możliwości zakupu partyjskiej biżuterii, i dopóki nie groziła im wojna, miał szansę trochę nią pohandlować. W ciągu kilku lat powinien zarobić na niej majątek i zyskać kontakty pozwalające utrzymać działalność nawet w wypadku zerwania kruchego rozejmu.

— Cały czas nasyłają na nas szpiegów — powiedział z irytacją Domicjan. — I Partia i Persja. Czasem przez Armenię, kiedy indziej przez Jerozolimę.

— Niebawem przestaną. Przy stabilnych rządach... — powiedział Justus, chcąc okazać zadowolenie z obecnego biegu zdarzeń. — Wierzę w twego ojca i całą rodzinę. Bardzo się ucieszyłem, gdy Mucjanus przedstawił cię pretorianom jako cezara. No i świetnie, że znowu będziemy mieli gwardię pretoriańską. Prywatna gwardia Witeliusza nie była popularna.

Iksjon przyniósł półmisek marynowanej ryby. Postawił ją przed Domicjanem w taki sposób, jakby był kapłanem składającym ofiarę swemu bogu.

— Dobrze, bardzo dobrze — powiedział młodzieniec, zjadłszy dwie małe ryby.

— Sprowadziłem je z Brytanii. Na Południu nie ma równie smacznych, jak stwierdziłem. — Chwycił rybkę za ogon i wrzucił ją sobie do ust. W rzeczywistości nie lubił słonych ryb z Północy, ale przecież nie mógł się do tego przyznać przed synem cesarza.

—Bardzo dobre — powtórzył odruchowo gość, sięgając znowu do półmiska. — Czy twoja żona wyjechała? — spytał między kęsami.

— Moja żona? — powtórzył Justus z niechęcią. — Nie, ale wątpię, żeby do nas dołączyła. Przestała interesować się polityką po tym, jak jej ojciec i bracia zostali skazani za intrygi. To było jeszcze za Nerona, nie pamiętasz. Przestałem ją już przekonywać.

Może nie powinienem tak mówić, ale to w ogóle dziwna kobieta. Może słyszałeś coś o jej skłonności do różnych mężczyzn. Było trochę plotek. Wiem, że małżeństwo ze starszym mężczyzną może nie być łatwe dla młodej kobiety, i staram się jej nie krytykować. Nie, żebym popierał niewierność, ale mężczyzna musi umieć się zachować. — Westchnął ciężko, po czym uśmiechnął się niby tolerancyjnie. — Te kobiety...

Domicjan wziął właśnie kolejną rybkę do ust i nie mógł od razu odpowiedzieć.

— Odnoszę wrażenie, że zastanawiasz się nad rozwodem.

— Co? Zapominasz, że rozwodziłem się już raz, i nie wyglądałoby dobrze, gdybym zrobił to ponownie. — Sięgnął po dzban wina i nalał gościowi.

— Dlaczego? Jest mnóstwo mężczyzn, którzy mieli nawet więcej żon. Taka żona nie pasuje do ciebie — dodał, przyjmując pozę mądrzejszego. — Rozumiem, że starasz się być lojalny. Nie godzi się też zostawiać żony przez głupotę jej rodziny, ale musisz brać pod uwagę swoją pozycję. No i myśleć o przyszłości. Są kobiety, które bardziej by się dla ciebie nadawały i wokół których nie byłoby niedomówień.

Justus chciał usłyszeć coś takiego, zwłaszcza od kogoś równie naiwnego i potężnego zarazem jak Tytus Flawiusz Domicjan.

— Mam nadzieję, że z czasem się zmieni. Ogólnie nie jest nierozsądna.

Półmisek był już pusty, została na nim sama marynata. Justus skinął, żeby ją zabrano.

Jako następne pojawiły się duszone świńskie wymiona z faszerowanymi popielicami w miodzie oraz słodkimi sosami. Do przegryzania podano drobne bułeczki. Zaczęli drugi dzban wina.

W trakcie rozmowy Justus zauważył kątem oka, że Iksjon kręci się bardzo blisko stołu. Przerwał i uniósł głowę.

— Co tu tak stoisz?

Iksjon wskazał na siebie i oblał się rumieńcem.

— Kazałeś, panie, abym...

— Powiedziałem, żebyś nam usługiwał, nie dyszał nam w karki. — Odczuwał już skutki działania wina wzmocnione euforycznym zadowoleniem, że wieczór jest aż tak udany. — Podśluchiwał nas.

— Nie! — zaprotestował chłopak, cofając się tak niefortunnie, że mało brakowało, a wyrzuciłby się na skraj łoża Domicjana.

Justus spojrzał na niego z zastanowieniem.

— Jesteś tu nowy. Kupiłem cię jesienią. Niewiele za ciebie chcieli.

— Mój pan zbankrutował — powiedział mocno wystraszony Iksjon. To, co dojrzał w oczach Justusa, napełniło go prawdziwym przerażeniem. — Powiedziałeś wtedy, panie, że to dobrze, że zbankrutował. Kupiłeś piętnastu jego niewolników.

— Sykstus Murens był zwolennikiem Otona — powiedział nagle Justus.

Iksjon przytaknął, mając nadzieję, że ujdzie w ten sposób przed gniewem malującym się na twarzy gospodarza.

— Właśnie przez niego stracił majątek. Bronił tego fałszywego

cesarza. Witeliusz nie chciał honorować weksli wystawionych przez Otona. — Chłopak mówił coraz głośniej. — Nie miał innego wyjścia, jak sprzedać niewolników i ziemię. To było wszystko, co miał.

— Albo chciał sobie kupić łaskę. Może ktoś złożył mu propozycję, że w zamian za kilka przysług odbuduje jego fortunę. — Justus sam by tak postąpił w podobnej sytuacji i nie był skłonny uwierzyć, że ktoś mógłby zachować się inaczej.

— Nie! — zaprotestował Iksjon.

— Nie?. A skąd ty to możesz wiedzieć, niewolniku? — Justus wstał i podszedł do chłopaka. Jego spojrzenie nie wróżyło nic dobrego.

Domicjan dopiero teraz uniósł głowę znad talerza.

— Niech twój zarządca go stąd zabierze. Potem wypytasz go na spokojnie.

Justus nie chciał jednak odmawiać sobie przyjemności, skoro była już tak blisko.

— Przepraszam, młody cesarze. Gdyby to inny gość siedział przy tym stole, na pewno bym tak zrobił. Jesteś jednak zbyt ważny i cenny, abym mógł cię narażać na dalsze niebezpieczeństwa. Gajusz Sykstus Murens był zdrajcą, ale nadal żyje. To by było do niego podobne, aby umieścić swoje bydło wszędzie, gdzie dałoby się ciebie szpiegować, by zbierać informacje dla twoich wrogów.

— Nie — szepnął Iksjon, cofając się o krok. — Nie. Nigdy bym...

Ten wątek zainteresował Domicjana. Ledwie miesiąc wcześniej zginął jego stryj, a on sam z trudem uszedł śmierci. Dziwnie blady spojrzał na niewolnika.

— Powiedz mi, czy w słowach twego pana tkwi ziarno prawdy?

Iksjon opadł na kolana i poczołgał się ku siedzącemu na łożu młodzieńcowi.

— To nie jest prawda, cesarze. Ani trochę. Nigdy nie byłem szpiegiem. Po co miałbym nim być. Mój pan... myli się. Nie

zrobiłbym...

— Zarzucasz mi kłamstwo? — zagrmiał Justus. — Monostadesie! — krzyknął, podchodząc do Iksjona. Chwycił go za włosy i postawił na nogi. — Monostadesie, przynieś baty. Szybko!

— Panie — zaprotestował bardzo cichym głosem chłopak — nie, panie. Przysięgam, że nigdy nie zrobiłem niczego wbrew twoim rozkazom, niczego przeciwko tobie...

Monostades otworzył drzwi. W rękę niósł trzy długie, oplecione drutem rzemienie na wspólnym uchwycie.

— Co mam zrobić, panie?

— Weź tego! — Justus pchnął Iksjona, aż ten się przewrócił. — Szpiegował młodego cezara, który zaszczycił mnie wizytą. Teraz nie chce się przyznać. Spraw, żeby to zrobił. — Stał okrakiem nad niewolnikiem. — Iksjon. Właściwe imię. On cierpiał i ty też będziesz.

Podczas gdy Justus i Tytus Flawiusz Domicjan raczyli się drozdami faszerowanymi owocami granatu z nowym sosem Trigesy, Iksjon został zawleczony na dziedziniec stajni, gdzie przywiązano go między dwoma wysokimi palami. Noc zapadła, a Monostades chłostał go tak długo, aż usłyszał, co kazano. Potem odrzucił zakrwawiony pejcz i wrócił do domu zameldować o wynikach przesłuchania, zostawiając chłopaka, by umarł na deszczu.

Tekst zapisanego szyfrem listu od Led Araszura do nieznanej z nazwiska osoby; list został przekazany w stanie zapieczętowanym pewnemu podróżnemu z Selucji nad Tygrysem tuż przed jego wejściem na pokład statku odpływającego do Antiochii:

Do moich przełożonych,

Żałuję, ale nie mogę zameldować o postępach w sprawie księcia Kosrozda Kajwana. Nie tylko nie udało mi się kupić go od właściciela,

Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa, o którym dowiedziałem się w Egipcie, ale i sam Kajwan nie jest skłonny powrócić do Persji. Dwóch woźniców rydwanów przekazało mi, że Kajwan wyrażał się pogardliwie o swoim dziedzictwie, co nie jest okolicznością sprzyjającą. Może będziemy musieli sięgnąć po mniej subtelne sposoby. Rozumiem, jak ważne jest, aby nie dożył końca roku, przyjdzie mi jednak poszukać sposobu na zabicie go tutaj, w Rzymie.

Istnieje też droga związana ze zdyskredytowaniem jego pana, który nie jest Rzymianinem. Powiadają o nim, że pochodzi z Dacji, ale nie jest Dokiem. Chociaż z początku powątpiewałem w większość tego, co powiedział o nim przed śmiercią stary kapłan, wydaje się, że była w tym prawda. Gdybyśmy tylko zdołali znaleźć dowód, senat sam by się z nim uporał. Jest bardzo ostrożny i ma wielu przyjaciół na wysokich stanowiskach. Słyszałem jednak, że jeden z senatorów, osoba z bardzo starego, szanowanego i bogatego rodu, wyrażał się o nim niepochlebnie, muszę się jeszcze tylko dowiedzieć dlaczego. Ten senator, niejaki Korneliusz Justus Syliusz, jest osobą bardzo wpływową i gdybym zdołał przekonać go do działania na naszą korzyść, otworzyłoby nam to drogę do Kosrozda i pozwoliło na jego przejęcie.

Właśnie dotarł do mnie Wasz list sprzed trzech miesięcy i z radością odnotowałem, że dwóch pozostałych spadkobierców wyruszyło w drogę do mrocznego królestwa śmierci. Błędem byłoby pozostawienie ich przy życiu. Zbyt wiele moglibyśmy wówczas stracić.

Przysyłanie większej liczby żołnierzy, nawet Ormian, byłoby niewskazane. Mieszkam obecnie w bardzo ubogiej dzielnicy Rzymu, niedaleko świątyni Minerwy. Dom jest tak stary, że nikt nie śmie rozpalić w piecu centralnego ogrzewania, obawiając się pożaru. Na najniższej kondygnacji żyje wiele szczurów, które jednak nie wchodzą wyżej, ponieważ w mieszkaniach nie ma urządzeń kuchennych. Większość z nas kupuje jedzenie w małych sklepikach na ulicy. Najtańsze są butki z

gruboziarnistej mąki pszenicznej z nadzieniem z gotowanej wieprzowiny z pieprzem. Są bardzo popularne, wszyscy je tu jedzą. W takim otoczeniu każdy żołnierz rzuciłby się w oczy, a ja wolę pozostać niewidzialny. Gdybym musiał się przeprowadzić albo poszukać godniejszej siedziby, poinformuję Was o tym i wówczas żołnierze byłiby mile widziani.

Cesarz nie przybył jeszcze do Rzymu, chociaż wiosna w pełni. Nadal działa poprzez młodszego syna, który okazał się bardzo popularny wśród przywróconej gwardii pretoriańskiej. Choć jest naprawdę młody, Tytus Flawiusz Domicjan wykazuje się inteligencją i dobrym zmysłem politycznym. Jest surowy, ale może złagodnieć z wiekiem. Gdybyście mieli jakiegoś bystrego Greka zdolnego podjąć pracę w roli niewolnika bibliotecznego albo sekretarza, dałoby się ulokować go w pobliżu Domicjana. O starszym synu, który nosi to samo imię co ojciec, ale dla uniknięcia pomyłek zwany jest Tytusem, nie wiem na razie więcej niż dwa lata temu. Słyszę tylko różne plotki, ale nie zwracam na nie większej uwagi. Może Wam uda się znaleźć kogoś gadatliwego blisko niego.

Jeśli nasz plan ma się powieść, musimy działać bardzo ostrożnie. Kosrozd Kajwan to ktoś ważniejszy niż książę, ale został już tylko on. Gdyby ktokolwiek krwi królewskiej żył w chwili, gdy nasze bractwo dojdzie do władzy, wszystkie nasze wysiłki spęłyby na niczym.

Nasza sprawa jest święta, a cel jasny. Ślubuję na mą krew i życie, że nie zawiodę. Wolałbym umrzeć na perskiej ziemi, ale Rzym to też godne miejsce. Liczę na to, że Wasze oddanie jest równie niezachwiane jak moje, bo chociaż jesteście moimi wojskowymi i religijnymi przywódcami, to Wy wybraliście mnie do tej misji. Wówczas, gdy wielu z Was zaniechało działań w Egipcie, ja podążyłem dalej, by odnaleźć kapłana i wydobyć z niego prawdę, zanim zmarł. Przyjmę każdą karę, jeśli będzie zasłużona, jednak w tych okolicznościach musicie pozwolić mi na samodzielne działanie.

Oczekujcie kolejnego listu ode mnie przed letnim przesileniem. Ku czci

bogów naszych i dla osiągnięcia naszego prawego celu!

Led Arasznur

czwartego kwietnia 822 roku według rzymskiej rachuby

. 6 .

Aumtehouteq, z kamienną twarzą, wszedł do prywatnego skrzydła willi Sanct' Germaina.

— Panie?

Gospodarz oderwał się od czytanego właśnie zwoju. Żłociste światło popołudnia nie ułatwiało odczytania pajęczego i mocno już wyblakłego pisma, które wyglądało na greckie. Sanct' Germain obchodził się ze zwojem nad wyraz ostrożnie. Lata uczyniły go kruchym i już wcześniej sporo drobnych kawałków podpadało na brzegach papirusu.

— Co się dzieje? — Dostrzegł niepokój malujący się w oczach starego niewolnika. — Jakiś problem?

— Przyszło trzech pretorianów w towarzystwie członka senatu, panie. Nalegają, tak właśnie: nalegają, na natychmiastowe spotkanie z tobą. — Spojrzał gdzieś przed siebie. — Powiedziałem, że jesteś zajęty, ale to ich nie zniechęciło.

— Naprawdę? — Sanct' Germain odłożył zwój i przycisnął go figurką przedstawiającą tańczącego karła. — Zatem muszę ich przyjąć. Przekaż, że zjawię się niebawem, i przeproś za opóźnienie. Skieruj ich do głównego pokoju i każ podać wina. Dobrego białego, bo dzień jest upalny i na pewno są spragnieni po podróży tutaj. — Wstał i położył drobną dłoń na ramieniu Egipcjanina. — Spokojnie, stary przyjacielu. Przy takim zamieszaniu, jakie trwa w Rzymie od paru lat, dziwne, że dopiero teraz ktoś się zjawił. Jak sam pamiętasz, to nie pierwsza taka próba.

Aumtehouteq kiwnął głową.

— Wątpię, aby chodziło o coś trywialnego. Mam nadzieję, że to

zwykły wyraz nieufności wobec cudzoziemców. Zdarza się. Ale aż trzech pretorianów i senator?

— Zapominasz, że jestem bogaty. Rzym wolałby nie tracić moich podatków i tanich mułów, które sprzedaję legionom. — W jego głosie pobrzmiwało więcej rezygnacji niż cynizmu. — Idź, Aumtehoutepie. Idź przekazać im moje słowa i dopilnuj wina.

— Wedle życzenia — odparł stary niewolnik, chociaż nie wyglądał na przekonanego.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Sanct' Germain wstał szybko i wsunął trzy stojące na blacie, niewielkie skrzynki w różne fragmenty biurka, tak że wyglądały na dekorację raczej niż ukryte szuflady. Wiedział, że ani pretorianie, ani senatorowie nie powinni poznać ich zawartości. Wyprostował się i wygładził krótką tunikę z czarnej bawełny, którą nosił do perskich spodni. Sięgając po pectorał, który zdjął do pracy, jak często w ciągu tych prawie dwóch tysięcy lat pożałował, że nie może zobaczyć siebie w lustrze. Potem wyszedł z biblioteki i dotarł przez ogród do ogólnej części willi.

Dwóch pretorianów wstało na jego widok, gdy wkroczył do błękitno-srebrnego pokoju. Trzeci nalewał właśnie wina. Senator spojrział na niego ostro, jakby chciał powiedzieć, że jako przedstawiciel rzymskiej arystokracji nie musi być uprzejmy.

— Przepraszam, że kazałem panom czekać — powiedział Sanct' Germain z miłym uśmiechem. — Mam nadzieję, że niewolnik o panów zadbał i że zostaniecie na kolacji.

— Nie zabawimy długo — powiedział jeden ze stojących pretorianów, rzucając nerwowe spojrzenie na swoich towarzyszy.

— Sądząc po tonie, przybywacie z czymś szczególnym. — Gospodarz spojrział mu w oczy. — Szkoda tylko, że nie znam waszych nazwisk.

— Trybun Marcellus Oktawiusz Publian — przedstawił się

dowódca. — Ci dwaj to Kryspus Terencjusz Galen oraz trybun Filip Dudo, młodszy prokurator. Oraz Regiusz Eugeniusz Este Bonaro, senator z bardzo znamienitego rodu — dodał z ledwie skrywanym szyderstwem.

Senator, około dwudziestopięcioletni, odziany w togę z fioletowym pasem, tak zwaną pretekstę, do której nie miał najpewniej prawa, rzucił starszemu żołnierzowi wymowne spojrzenie, ale nie poczuł się zniechęcony, tylko zwrócił uwagę na Sanct' Germaina.

— Jesteś cudzoziemcem — wycedził.

Sanct' Germain wyczuł zakłopotanie pretorianów i uznał, że dobrze będzie je wykorzystać.

— W czym mogę panu pomóc?

Filip Dudo, młodszy prokurator, odchrząknął, próbując odwrócić uwagę od młodego aroganckiego patrycjusza.

— Otrzymaliśmy raport, który nas zaniepokoił... Dotyczący pańskiej działalności.

— Powiada on, że trudnisz się szpiegostwem i jesteś opłacany przez władców krajów, które pozostają z nami w stanie wojny — odezwał się ponownie senator. — Dowodem na to jest fakt, że trzymasz u siebie perskiego księcia, który pracuje wraz z tobą nad...

Wszyscy czterej goście spojrzeli na Sanct' Germaina, gdy roześmiał się serdecznie.

— Wybaczcie — powiedział, gdy w końcu się opanował. — Nie chciałem was urazić, panowie, ale dawać posłuch takim plotkom... — Musiał przerwać, bo znowu ogarnął go śmiech. — Jeśli to właśnie was sprowadza, nie wiem, czy powinienem być bardziej przerażony czy rozbawiony.

— Chcesz powiedzieć, że to oskarżenie nie jest prawdziwe? — spytał Filip, który jako jedyny znalazł się w tej sytuacji.

— Mówisz, panie, o tym, że jeden z moich niewolników był kiedyś

perskim księciem? Oczywiście, że to prawda. Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy. — Nigdy też nie rozpowszechniał tej informacji, ale o tym nie wspomniał.

— Zatem przyznajesz... — zaczął senator.

— Powiedziałem, że mam niewolnika, który był kiedyś perskim księciem — powtórzył Sanct' Germain poważniejszym tonem. — Jest rydwannikiem. Zapewne widzieliście go nie raz podczas wyścigów. Zwykle jeździ w barwach czerwonych, niekiedy też dla białych. Oba stronnictwa chciały go ode mnie odkupić, ale nie byłem skłonny go sprzedać.

— Dlaczego? — spytał młodszy prokurator.

— Ponieważ wygrywa — odparł cierpliwie Sanct' Germain. — Dużo dzięki niemu zarobiłem i nie widzę powodu, aby kto inny miał dostać te pieniądze. Gdy wycofa się z wyścigów, będzie szkolił następnych moich rydwanników, abym dalej mógł zarabiać. — Żaden Rzymianin nie mógł dostrzec w tym nic podejrzanego.

— Ale perski książę? — spytał z ciężkim sarkazmem senator. — Trzymasz go tylko dla wyścigów?

— Jeśli wziąć pod uwagę, że przez ostatnie dwa lata przyniósł mi dwadzieścia milionów sestercji, byłbym głupcem, gdybym go nie trzymał. — Zachichotał ironicznie. — Nie przypuszczam, żebyście postąpili inaczej na moim miejscu.

Galen, który się dotąd nie odzywał, w końcu postanowił to jednak uczynić.

— Szczęśliwie sprawdzenie wszystkiego, o czym mówisz, panie, będzie bardzo łatwe.

— Proszę to zrobić — powiedział z naciskiem Sanct' Germain. — Możecie zbadać moje księgi, a także zapiski z Circus Maximus oraz z cyrków Kaliguli i Nerona.

Filip pokiwał głową.

— Nie sądzę, aby pan kłamał. Niemniej cudzoziemiec posiadający takiego niewolnika...

— Nie przybyłem tu z Persji, dobrzy pretorianie. Jestem z Dacji. Nie interesuje mnie los moich dalekich perskich kuzynów. Skoro sugerujecie, że mój niewolnik jest kimś więcej niż tylko niewolnikiem, dlaczego go nie wyzwoliłem? Albo dlaczego nie odesłałem go do Persji, aby zyskać w oczach króla? — Zadając te pytania, spoglądał po kolei na wszystkich pretorianów, całkowicie ignorując senatora.

— To nie jest wystarczające wyjaśnienie — warknął młody polityk, urażony postępowaniem gospodarza. — Jesteś oskarżony o spiskowanie...

— Oskarżony? — Sanct' Germain uniósł brwi w grymasie uprzejmego zdumienia. — Przez kogo?

Pretorianie wyglądali na zakłopotanych.

— To anonimowe oskarżenie — odparł Publian, patrząc w sufit. — Sytuacja jest zatem dość niezręczna, jesteś bowiem, panie, cudzoziemcem i z tego powodu nie masz takich samych praw procesowych jak obywatel. Oczywiście postaramy się być jak najbardziej oględni, ale skoro nie możemy przesłuchać informatora i nie potrafimy ocenić, co naprawdę wie ani jakie są jego motywy, pozostaje nam liczyć na to, że to ty udowodnisz fałszywość oskarżenia. Nie zamierzamy zakładać sprawy na podstawie tak... wątpliwych dowodów, ale musimy zadać kilka pytań.

— Rozumiem — powiedział Sanct' Germain, odwracając na chwilę spojrzenie. — Dobrze zatem. Opowiem wam, co sam wiem o moim perskim niewolniku. Kupiłem go na aukcji osiem lat temu. Powiedział, że potrafi obchodzić się z końmi i rydwanami, a ja zamierzałem właśnie rozbudować stajnie. Kupiłem go dość tanio, bo już z samego zachowania można było wywnioskować, że jest krnąbrny i trudny w utrzymaniu. Zaciekawilo mnie to. Rzadko kiedy

ktoś z obręczą niewolniczą tak się zachowuje. Mam kilka statków, jak zapewne wiecie, poprosiłem więc ich kapitanów, aby spróbowali wywiedzieć się czegoś o tym rydwanniku. Z czasem jeden z nich znalazł odpowiedź. Przekazał mi, że Kosrozd jest synem człowieka zgładzonego za spisek przeciwko tronowi. Cała rodzina skazanego została sprzedana w niewolę. Gdybym chciał się sprzymierzyć z dworem Persji, wybrałbym inny sposób. Gdyby mój niewolnik wrócił do domu, zostałby uznany za zbiegłego niewolnika i zdrajcę. Jego rodzina rozproszyła się, nikt z jej członków nie znajduje się blisko władzy. To łatwo potwierdzić, senatorze — dodał szybko, oczekując obiekcji ze strony młodego polityka. — Starczy zrobić to samo, co ja zrobiłem sześć lat temu.

Pretorianie spojrzeli po sobie i kiwnęli głowami. Wyraźnie im ulżyło.

— To tylko formalność, ale w tej niezręcznej sytuacji muszę to zrobić — powiedział w ich imieniu Terencjusz Galen. — Nie spotkasz się, panie, z żadnymi restrykcjami, jak długo nie będziesz próbował opuszczać Rzymu ani wysyłać niczego za granicę do chwili rozstrzygnięcia wątpliwości. Jeśli uważasz, że zbytnio cię to ogranicza...

— Nie mam życzenia ani powodu, aby opuszczać obecnie Rzym — zapewnił go Sanct' Germain, przyznając w duchu, że został całkiem zgrabnie wmanewrowany. Gdyby teraz zaprotestował, nałożenie dalszych ograniczeń byłoby pewne. — Chętnie udostępnię wam wszystkie moje księgi, aby jak najszybciej zakończyć całe to pożałowania godne nieporozumienie. Powiedzcie tylko mojemu niewolnikowi Aumtehoutepowi, czego potrzebujecie, a zostanie wam dostarczone.

Filip zakaszłał niepewnie.

— Jest jeszcze coś. Otrzymałem instrukcję, aby do czasu

zakończenia postępowania umieścić tu jednego gwardzistę w charakterze strażnika. Wolelibyśmy tego nie robić — dodał pospiesznie, oblizując wargi. — To rozkaz syna cesarza, który musimy wykonać.

To był już zdecydowanie niezwykły krok.

— Ale dlaczego? Przecież sprawa niewolnika, który był perskim księciem, a teraz należy do cudzoziemca, z pewnością nie może być po temu powodem? — Chciał ich sprowokować, przypominając, że podobne postępowanie jest sprzeczne z rzymskim prawem, ale powstrzymał się. Niczego więcej by się nie dowiedział, a nastawiłby ich nieprzychylnie. Tymczasem najbardziej potrzebował, właśnie informacji.

— W zwykłych okolicznościach tak właśnie by było — przyznał z zakłopotaniem Oktawiusz Publian. — Te jednak nie należą do zwykłych. — Poszukał spojrzeniem pomocy u pozostałych pretorianów, ale żaden nie kwapił się z odsieczą. W pokoju zaległa cisza.

Za to Sanct' Germain zaczynał coś rozumieć. Z początku przyjął, że za incydem stoi perski szpieg Led Arasznur, ale teraz czuł, że musi chodzić o coś więcej. Wiedział, że bardzo wielu dobrze urodzonych Rzymian zazdrości mu bogactwa i majątku. Podobne dochodzenie mogło stworzyć im okazję, o której marzyli. Pozwolił sobie na odrobinę irytacji.

— Oczywiście podporządkuję się waszym żądaniom, ale łatwiej by było, gdybyście przekazali mi wprost, o co chodzi. To samo odnosi się do ciebie, senatorze.

Filip spojrział na puchar z winem, jakby dopiero teraz go zauważył.

— Jak wiesz, jeden z twoich kapitanów został przyłapany na przemyście... — Spojrział na senatora, który skrzywił się, ale nic nie powiedział.

— Tak — przyznał z naciskiem Sanct' Germain. — Grek Kyrillos. Był kapitanem *Mewy Bizancjum*, niewielkiego statku handlowego. Sądziłem, że to zamknięta sprawa. Zgodnie z sugestiami zwolniłem go ze służby. — Może ktoś przekupił Kyrillosa, myślał gorączkowo. Kapitan nie poczuwał się najpewniej do większej lojalności wobec byłego pracodawcy, którego widział tylko dwa razy i który go zwolnił. Możliwe nawet, że i bez łapówki gotów był mu zaszkodzić, i dlatego wymyślił oskarżenie.

— Formalnie rzecz biorąc, tak — powiedział młodszy prokurator, pociągając za ramię podtrzymujący jego czerwoną karakallę. Żałował, że nie zostawił ciężkiego płaszcza przy drzwiach, bo teraz było mu gorąco, a materia wpijała się w szyję.

— Niemniej, jak widać, to nie starczyło — zauważył z goryczą Sanct' Germain. — Co mogę dla was zrobić, panowie? Proszę mi powiedzieć. Mam niewolnika, który był kiedyś księciem, przez co jestem oskarżany o to, że próbuję mu się przysłużyć w oczekiwaniu na dzień, gdy wróci zwycięski do swojej ojczyzny, co najpewniej i tak nigdy się nie zdarzy. Odprawiłem kapitana przyłapanego na przemyście, a teraz wydaje się, że jestem tym bardziej podejrzany. Cóż takiego uczyniłem, że traktujecie mnie w podobny sposób?

Tym razem kłopotliwe milczenie trwało jeszcze dłużej. Senator Bonaro nalał sobie ponownie wina. Głos płynącego trunku wydał się bardzo donośny.

— Skoro nie upoważniono was, aby mi to powiedzieć, nie będę naciskał — powiedział cicho Sanct' Germain.

— W tych okolicznościach... — mruknął Filip.

— Jakich okolicznościach? — spytał gospodarz i zamilkł na chwilę, ale odpowiedź nie padła. — To też tajemnica? A może jest jeszcze inny powód, o którym nie możecie ze mną rozmawiać? — Teraz nie próbował już skrywać sarkazmu.

Młody senator oblał się rumieńcem, przełknął przekleństwo i w końcu nie wytrzymał.

— To odmowa współpracy!

Sanct' Germain zdołał się roześmiać.

— Gdybym odmawiał współpracy, nigdy nie przekroczyłbyś progu mojego domu, senatorze. Staram się zachowywać cierpliwość, mimo że jestem zwodzony i słyszę co najwyżej półprawdy. Nie zmienię postępowania, jak długo się nie dowiem, czego naprawdę ode mnie chcecie. Nie stanę się także elementem waszej gry. Powiedzmy sobie prawdę. Rzeczywisty powód waszej wizyty nie ma wiele wspólnego z moim perskim niewolnikiem ani moim byłym kapitanem. Chodzi o coś całkiem innego, co jednak ukrywacie przede mną. Na razie akceptuję waszą postawę, ale ostrzegam cię, senatorze, i was, dobrzy pretorianie, że nie dam się zwieść. — Skłonił się ironicznie. — Czy jeszcze coś?

Filip spojrział na przeciwległą ścianę.

— Nie my zdecydowaliśmy o rozpoczęciu śledztwa — powiedział. — Wykonujemy tylko rozkazy naszych przełożonych.

— I nie macie własnego zdania — dopowiedział Sanct' Germain z uśmiechem.

Pretorianie zeszywnieli, a Oktawiusz Publian położył dłoń na rękojeści miecza.

— Nie pomagasz sobie, panie, takim zachowaniem.

— Wam też nie zamierzam pomagać — powiedział cicho gospodarz. — Gdybyście wyjaśnili mi na początku, o co chodzi, gotów byłbym współpracować, ale skoro nie... — Uniósł bezradnie ręce. — Zdecydowaliście za mnie, panowie, i muszę odnaleźć się w tym, jak najlepiej potrafię. Gdy zdecydujecie się na szczerłość wobec mnie, będziemy mogli porozmawiać. Ale dopiero wtedy i nie wcześniej. — Nagle zaszła w nim subtelna zmiana, zdawać by się mogło, że urósł

trochę, a jego głos nabrał mocy. Czterej Rzymianie wzdrygnęli się, każdy z nich bowiem odniósł podobne wrażenie, że stoi przed nimi ktoś groźniejszy, niż wcześniej sądzili. Żaden z nich nie potrafił jednak powiedzieć, dlaczego tak pomyślał. — Jak długo nie zmienicie postępowania, nie będę wam ani pomagał, ani przeszkadzał. Jeśli oczekujecie mojego wsparcia i zainteresowania, musicie być ze mną szczerzy. — Odwrócił się w miejscu i podszedł szybko do drzwi. — Aumtehoutepie! — zawołał, stojąc w progu. — Przynieś tym ludziom moje księgi armatorskie. — Nie czekając na potwierdzenie, przeszedł przez ogród i zniknął w prywatnej części willi.

W pokoju przez jakiś czas zalegała cisza, przzerwana w końcu westchnieniem Filipa.

— Ostrzegałem, żeby tak go nie traktować. Nasz informator mylił się pod tym względem — powiedział ponurym głosem. — Skoro tak, może mylić się i w pozostałych sprawach.

— Nonsens — rzucił młody senator. — Nie mamy żadnego powodu sądzić, że te oskarżenia są fałszywe.

— Brak też dowodu na ich prawdziwość — zauważył oschle Terencjusz Galen. — Obawiam się, że muszę się zgodzić z Oktawiuszem. Zbłądziliśmy, i to potężnie. Niemądrze zrobiliśmy, ruszając sprawę już teraz.

Pozostali dwaj pretorianie pokiwali z powagą głowami. Senator ponownie nalał sobie wina.

Nie rozmawiali więcej do chwili, gdy Aumtehoutep zjawił się z jakąś skrzynką. Stał przed gośćmi i spojrzał im w oczy.

— Mój pan kazał to przynieść — powiedział neutralnym tonem i tylko jego bardzo bliscy znajomi poznaliby, że oznaczał on skrajne potępienie.

— Dobrze — westchnął Filip i podszedł, aby wziąć skrzynkę.

— Te zapiski obejmują ostatnie dziesięć lat. Gdyby wcześniejsze też

były potrzebne, starczy dać mi znać. — Podał skrzynkę młodszemu prokuratorowi. — Zależy nam na ich zwrocie, abyśmy mogli je aktualizować.

— Oczywiście — zgodził się Filip. — Nie sądzę, abyśmy potrzyмали je dłużej niż miesiąc. — Ujął skrzynkę z poczuciem dziwnej ulgi. Nie miał najmniejszej ochoty zmuszać Sanek Germaina do niczego.

Gdy tylko egipski niewolnik opuścił pokój, pozostała trójka stłoczyła się wkoło Filipa.

— Otwórzmy to — powiedział Oktawiusz. — Zobaczmy, co mamy. — Tak bardzo spieszyło mu się z otwarciem skrzynki, że omal nie wytrącił jej Filipowi z rąk.

W środku znajdowało się dziesięć równo złożonych w harmonijkę manuskryptów. Na każdym widniała pieczęć ze znakiem zaćmienia oraz wytłoczonym nad nią rokiem wedle rachuby Miasta. Księgi były ułożone w idealnym porządku.

— Przyjrzyjmy się tej jednej — powiedział senator Bonaro, wyciągając pierwszy z manuskryptów.

Terencjusz też wyciągnął rękę, ale trzymając już zwój w dłoni, zawahał się i spojrzał na pozostałych.

— Sam nie wiem. Chyba powinniśmy być wobec niego bardziej otwarci.

Filip wzruszył ramionami.

— Wiesz, co powiedział senator Syliusz, gdy Domicjan spytał go o tego człowieka.

— Wiem. Ale drugiej strony, co by szkodziło, gdybyśmy powiedzieli mu, że anonimowy informator oskarżył go o nielegalny handel z Egiptem? Jakie to ma znaczenie, że cesarz ciągle tam przebywa? Nic nie wskazuje, aby Sanct' Germain spiskował przeciwko niemu. Po co miałby to robić? Powiedział, że będzie nam pomagał, jeśli potraktujemy go poważnie. — Poluźnił pieczęć na złożonym

manuskrypcie.

— Senator Syliusz uważa, że to wszystko jest gra pozorów — przypomniał Terencjusz.

— A co on tak naprawdę wie? Ani trochę więcej niż my, tyle że rozmawiał z Domicjanem — zaznaczył Oktawiusz, rozkładając zapiski. Spojrzał na zwój i zaczął się śmiać. — Chyba jednak będziemy musieli mu zaufać — powiedział, gdy tylko się opanował, i przekazał zwój dalej.

Wszyscy oglądali go po kolei, reagując oburzeniem albo rozbawieniem. Senator Bonaro upuścił zwój na podłogę.

Zapiski były prowadzone w języku, który już w czasach założenia Rzymu uchodził za bardzo stary.

List Decymy Romoli Noli, żony Klemensa, do jej córki Acji Oliwii Klemens, żony Syliusza, przechwycony i zniszczony przez Korneliusza Justusa Syliusza:

Do mojej nieszczęsnej córki Oliwii, z pozdrowieniami.

Miałam nadzieję na wiadomości od Ciebie w zeszłym tygodniu, ale list nie przyszedł i obawiam się, że mi nie wybaczyłaś. Łatwiej by mi było, gdybym wiedziała, że nie darzysz mnie nienawiścią, chociaż wiem, że byłaby ona uzasadniona. Myliłam się, i to bardzo, namawiając Cię wraz z Twoim ojcem na małżeństwo z Justusem Syliuszem. To była inna sytuacja niż w przypadku Twoich starszych sióstr. Wtedy byliśmy majątni i wpływowi i raczej to ich mężowie mogli zyskać na związaniu się z nami. Gdy straciliśmy prawie wszystko, ogarnęło mnie przerażenie. Na pewno rozumiesz mnie, drogie dziecko. Senator Syliusz ofiarowywał nam bardzo dużo i bylibyśmy niemądrzy, gdybyśmy to odrzucili. Stojąc wobec perspektywy sprzedaży niewolników i wyjazdu do Dalmacji, gdzie musielibyśmy żyć na naszym kawałku ziemi jak wieśniacy, nagle

zyskaliśmy dzięki Twojemu mężowi szansę uratowania naszej pozycji. Twoje zastrzeżenia wydawały nam się tak oderwane od życia i trywialne, że ogłuchłam na nie i przestałam zwracać uwagę na głos serca, czego gorzko teraz żałuję.

To, co powiedziałaś mi o Syliuszu, bardzo mnie wzburzyło. Z początku nie wierzyłam Ci, a Twój ojciec uważał, że dajesz w ten sposób wyraz swojemu niezadowoleniu. Przyznaję, że i ja myślałam, że przesadzasz, opisując, jak Cię wykorzystuje. Odkąd jednak mieszkam na tym pustkowiu, które Justus nazywa swoją posiadłością, przekonałam się, co to za człowiek. Jego niewolnicy sporo mi o nim opowiedzieli. Praca tutaj jest dla nich karą, dla mnie zaś ów kawałek ziemi stał się więzieniem. Jedną z kobiet, która przebywa tu od dwóch lat, potwierdziła wszystko, co mi opowiadałaś, i dodała jeszcze sporo od siebie. Gdyby matka Izyda zechciała spełnić jedną moją prośbę, błagałabym ją teraz o cofnięcie tego zła, które Ci wyrządziłam. Musisz jednak zrozumieć. Wtedy, gdy Syliusz poprosił o Ciebie, wszystko wydawało się proste i nic nie zapowiadało problemów. Nie nalegałabym na to małżeństwo, gdybym przypuszczała, jaki on dla Ciebie będzie.

Napisałam do Twojej siostry, ale nie chce albo nie może odpowiedzieć. Podobno mąż nie pozwala jej utrzymywać z nami kontaktu. Łatwo pojąć dlaczego. Musi myśleć o swojej karierze, która dość już ucierpiąta przez nasz brak rozwagi i mściwość Twego męża. Teraz więc mogę zwrócić się tylko do Ciebie, chociaż wiem, że to niebezpieczne i nie masz żadnego powodu, aby mi pomagać. Nie liczę już na Twój szacunek, ale mam nadzieję, że okażesz się wrażliwsza niż ja kiedyś.

Słabość, o której pisałam Ci wcześniej, nasila się. Coś często kłuje mnie w boku, a niekiedy mam wrażenie, jakby jelita wiązały mi się w supeł. Pomaga mi tylko syrop makowy, ale nie mam go wiele. Gdybyś zechciała przysłać mi mały zapas, byłabym bardzo wdzięczna. Miejscowy medyk nie zna się prawie na niczym, ale w tym przypadku głośno przyznaje się do

bezradności. Uważa, że umrę zimą. Sama sędzę, że nastąpi to wcześniej. Mam nadzieję, że wcześniej.

Po mojej śmierci będziesz wreszcie wolna. Wiem, że Justus zwykł wykorzystywać Twoich bliskich jako zakładników, zmuszając Cię w ten sposób do postuszeństwa. Doprowadził do śmierci Twego ojca i braci, zostawiając tylko mnie. Cieszę się, że wreszcie będziesz mogła się z nim rozwieść i ujawnić w sądzie, jakim jest człowiekiem. Twoja siostra przetrwa skandal, jaki potem wybuchnie, nie musisz martwić się o jej bezpieczeństwo.

Nawet jeśli nie zdołasz mi wybaczyć, przyjmij, proszę, moje szczere słowa miłości i jeden jej istotny dowód: w naszym domu w Rzymie stoi posąg Minerwy. Ukryte są w nim notatki Twego ojca, będące świadectwem wszystkiego, co zrobił mu Justus. Zostały spisane w nocy tuż przed jego aresztowaniem. Potem ukrył je, aby rodzina mogła odzyskać za ich pomocą honor i pozycję. Idź tam. Posąg Minerwy stoi w niszy naprzeciwko mojego pokoju. Jest Twój, to jedyny spadek, jaki mogę Ci zostawić.

Nawet jeśli mną pogardzasz, nie odrzucaj pism ojca. To jedyny dokument, który może obnażyć podłość twego męża. Gdy ostatni raz rozmawiałyśmy w Rzymie, powiedziałaś mi, że masz pewnego przyjaciela. Zwróć się ku niemu, jeśli nadal łączy Was uczucie. Potem nigdy już nie będziesz musiała znosić cierpienia z rąk mężczyzny, którego poślubiłaś.

Błagam Cię, odpowiedz na ten list, córko moja. Śmierć pośród cierpień i bez Twojego wybaczenia to więcej, niż potrafię znieść. Daj mi przynajmniej znać, że znalazłaś zapiski ojca i że wykorzystasz je w sądzie przeciwko Justusowi. Bez tej nadziei popadam w najczarniejszą rozpacz. Gdy cała jego perfidia wyjdzie na jaw, senat na pewno go potępi, i będzie to przynajmniej jakaś zemsta. Może drobna, ale nauczyłam się już, że kto nie ma nic, musi zadowolić się okrawkami.

Wielka szkoda, że wcześniej nie umiałam Cię kochać.

Twoja matka Romola

dwunastego dnia czerwca 822 roku Miasta

. 7 .

Róże rosnące w perystylu pałacu Klaudiusza zaczęły już przekwitać. Powietrze było gorące i nawet fontanna z perfumowaną wodą nie potrafiła złagodzić palącego żaru słońca.

Dwaj mężczyźni, którzy tam przebywali, byli braćmi. Starszy pozostawał nagi, młodszy miał na sobie bawełnianą tunikę. Rodzinne podobieństwo rzucało się w oczy, chociaż Tytus Flawiusz Wespazjan był przystojny, jego brat zaś, Tytus Flawiusz Domicjan, niekoniecznie. Starszy brat nosił to samo imię co ojciec i dla uniknięcia pomyłek nazywano go Tytusem.

Podrapał się po zarośniętej piersi i mrużąc oczy, spojrzał na słońce.

— Mam nadzieję, że w nocy będzie chłodniej.

— Nie będzie — powiedział Domicjan. Jako wiecznie zazdroszczący starszemu bratu odczuwał satysfakcję z każdej, nawet drobnej jego niewygody.

— Ale gdy ojciec wróci z Egiptu, upałów na pewno już nie będzie. Mamy niecałe dwa miesiące, aby się przygotować. — Tytus był smukły i atletycznie zbudowany, obecnie dodatkowo opalony. Liczył sobie trzydzieści jeden lat.

— Wszystko będzie gotowe — odparł pewnym głosem młodszy z braci. — Masz na to moje słowo.

Tytus pokiwał głową.

— Wiem, że dobrze ci idzie — powiedział od niechcienia. — Pretorianie cię lubią. Szkoda tylko, że nie jesteś trochę starszy. Wtedy zyskałbyś też w oczach ludu. — Nie potrafił całkiem ukryć satysfakcji. Był bohaterem chwili i cieszył się sławą. — Pomyśleć, że jeszcze niedawno walczyłem z Żydami w Jerozolimie. Przynajmniej ten bunt

mamy z głowy.

— Ale Żydów polubiłeś, prawda? — spytał złośliwie Domicjan. — Co Berenika sądzi o wojnie z jej narodem?

— Nie rozmawialiśmy o tym — warknął Tytus, kładąc się na łożu i wystawiając się w pełni na blask słońca.

— Zbyt jesteście zajęci innymi sprawami? — spytał Domicjan. Teraz on miał szansę podrażnić trochę brata i nie zamierzał z niej zrezygnować. — Rzymianom nie spodoba się twój romans z obcą księżniczką. Prędzej zaakceptują twoich chłopców i eunuchów niż ją.

— Nie rób z siebie idioty — mruknął Tytus. — Berenika nie będzie nikomu przeszkadzała. To bystra i zmysłowa kobieta, dokładnie w rzymskim stylu.

— Tyle że jest Żydówką — zaznaczył Domicjan.

— Mówiłeś, że chciałbyś porozmawiać o uroczystym wkroczeniu ojca do miasta. Może byś tak zaczął? — Tytus przeciągnął się leniwie, ocierając mokre czoło z lepкими kosmykami włosów. Przesunął palcami po cofającej się linii czoła. Bardzo nie podobało mu się, że zacząłłysieć. Za kilka lat przyjdzie mu zrobić to samo, co uczynił Oton, i zamówić perukę.

Domicjan spojrzał na brata ze złością. Irytowało go, że wszyscy faworyzowali Tytusa, że żydowska księżniczka Berenika została jego kochanką, że był przystojny, że był bohaterem i wychowywał się na dworze, otoczony bogactwem i wszelkimi łaskami, podczas gdy on, Domicjan, musiał zadowolić się tym, co oferowały Egipt i Syria. Teraz zaś usłyszał jeszcze od ojca, że to Tytus zostanie dowódcą gwardii pretoriańskiej. I to było najgorsze, Domicjan poznał już bowiem smak sukcesu i władzy, którą miał utracić. Wzdragał się przed oddawaniem jej Tytusowi, który tyle już przecież zyskał.

— Miasto będzie się bawić przez dziesięć dni — powiedział takim tonem, jakby recytował wyuczony tekst. — Cztery dni igrzysk i pełny

triumf ze stosownymi obrzędami religijnymi. Gwardia cesarska wystawi wartę honorową w świątyni Jowisza Najlepszego Największego i Marsa Zwycięzcy. Legiony ojca zamieszkają w specjalnie wzniesionym dla nich obozie na południowym skraju miasta. W dniach, kiedy nie będzie igrzysk, odbędą się tam pokazy sztuki bitewnej.

— Szkoda, że nie możemy zmienić prawa dla tych legionów. To by było widowisko, gdyby wmaszerowały do miasta z ojcem na czele. Ludzie by wiwatowali. Taki gest. — Uśmiechnął się do Domicjana. — Powiedz mi, czy twoim zdaniem naprawdę nie dałoby się przekonać senatu, żeby zrobił ten jeden wyjątek.

— Wątpię. To dobre prawo i może przyjść dzień, gdy będziesz wdzięczny za jego wprowadzenie. Jak długo żaden wódz nie może wprowadzić swojego wojska do miasta, cesarz śpi spokojniej. — Osuszył czoło skrajem tuniki. Co opętało Tytusa, aby spotkać się dzisiaj właśnie tutaj? — Będą przedstawiciele wszystkich prowincji i krajów zależnych. Będziemy musieli zadbać o godne kwatery dla nich, i to szybko. Wielu senatorów też zaprasza swoich gości, aby dodatkowo skorzystać z okazji...

— Stajesz się cyniczny — zauważył Tytus.

— Gdybyś spędził tu te kilka miesięcy, kiedy szukałeś chwały pod Jerozolimą, miałbyś podobne zdanie — odciął się Domicjan. — Jeśli chcesz przejąć władzę, jak planuje to ojciec, lepiej poznaj tutejsze zwyczaje. Musisz się nauczyć, jak odróżniać tych, którym można ufać, od oszustów i kombinatorów. Większość senatorów myśli tylko o ochronie własnych majątków i wpływów, dobro Rzymu mając za nic. Musisz stawić czoło tej prawdzie.

Tytus zmienił pozycję.

— Wierzę w ciebie, braciszku. Jeśli trafi się senator niewart naszych łask, na pewno mi go wskażesz i uratujesz mnie przez

kłopotami.

Domicjan najchętniej udusiłby teraz brata. Jego pozornie serdeczne zapewnienie służyło tylko temu, aby pokazać, kto tu rządzi.

— Powiem ci, jeśli spytasz. W przeciwnym razie sam będziesz musiał sobie z tym radzić. Jeśli nasz ojciec przywróci urząd cenzora, przypadnie on prawdopodobnie tobie. Na pewno nie miałbyś ochoty co chwila latać do mnie z każdym drobiazgiem.

— Nie miałbym — zgodził się Tytus. — Zawsze jednak możesz powiedzieć mi później. Na razie muszę ustalić listę osób wartych szczególnej uwagi podczas uroczystości na cześć ojca. Domyślam się, że masz jakieś wykazy osób gotowych nam pomóc. — Tytusa irytowało samo brzmienie głosu brata.

— Kilku znasz osobiście. Urbanus Horacjan, Nigrus Marko, Flakkus Aulus Sempriusz, Justus Syliusz, Italik Liwikus, Gajusz Witens...

— Spisz mi ich — westchnął Tytus. — Przejrzę listę przed wyjazdem do Egiptu. Zabawne. Spędzam tu kilka dni, żeby popłynąć do Egiptu i żeby wrócić stamtąd do Rzymu. Dobrze, że nasz ojciec został cesarzem, ale te przygotowania stają się już nudne.

— Nie napracowałeś się przy nich jeszcze tyle, aby zacząć się nudzić — wypomniał mu Domicjan. — Większość zostawiłeś na mojej głowie.

— Bo ty tutaj byłeś. Dlaczego nie miałbyś pomóc? — spytał rzeczowo Tytus i nakrył dłonią genitalia. — Jeszcze się poparzę.

— A niech Saturn wysuszy ci jaja! — wybuchł Domicjan, zrywając się z łoża. — Od miesięcy tylko tyram! Od miesięcy! Podczas gdy ty siedziałeś sobie pod Jerozolimą ze swoją księżniczką i chłopaczkami, ja rozmawiałem z senatorami, aż mi się od tego Cloaca Maxima w gardle zrobiła! Wiele godzin spędziłem z pretorianami, odwodząc Licyniusza Mucjanusa od przejęcia władzy! Ty zaś leżysz sobie i martwisz się tylko o to, aby ci skóra z przyrodzenia nie zlazła! —

Odwrócił się gwałtownie i przeszedł przez cały ogród. Słońce wisiało niczym piec na niebie i Domicjan odkrył, że boli go głowa.

Zaskoczony Tytus obrócił się na bok i wsparł na łokciu.

— Domicjanie? — zawołał niepewnie. — Nie chciałem cię obrazić. Wiem, że ciężko dla nas pracowałeś. Też toczyłeś walkę i prawdziwe cuda zdziałałeś z senatem przez te kilka miesięcy. Wiem, że miałeś wiele niełatwej roboty. — Wiedział też o zazdrości młodszego brata, ale wolał o niej nie wspominać.

Domicjan spojrział na rosnący nieopodal krzew róży. Bardzo chciałby uwierzyć sławnemu starszemu bratu, ale nie potrafił tego uczynić.

— Nikt nie wie, ile zrobiłem dla naszego rodu. Ani ty, ani ojciec, ani nikt inny. Chyba zakładacie, że możecie mnie o wszystko poprosić, a ja wykonam to bez sprzeciwu. — Nie rozumiał, jak dziecinne jest jego zachowanie. — Mówisz, że byłeś na wojnie? Dobrze, ja też. Tyle że nie miałem Bereniki, aby przy niej wypoczywać, ani legionów, by mnie wspierały i wychwalały...

— Och, Domicjanie — westchnął Tytus. — Można by pomyśleć, że tylko ty jeden poświęcałeś się dla naszego dobra. Wszyscy musieliśmy z czegoś zrezygnować. — Uznał, że lepiej będzie nie rozwijać tematu, ponieważ w tym przypadku Domicjan miał jednak uzasadnione powody do żalu. — Byłeś dzielny i poradziłeś sobie. Zasłużyłeś na szacunek pretorianów. Dla nas wszystkich był to trudny czas. Tobie przypadła akurat robota w Rzymie, ale wszyscy walczyliśmy dla zwycięstwa. Z czasem zostanie to dostrzeżone.

— Tak? — spytał ostrym tonem Domicjan, nie odwracając się do brata. — Łatwo obiecać, trudniej dotrzymać. Dość mam już pustych słów. — Nie podobało mu się to, co mówił, ale nie mógł zamilknąć. — Ty jesteś dziedzicem. To dla ciebie to wszystko. Nietrudno o ofiarność, gdy wiadomo, że kiedyś się na tym skorzysta.

— Galba, Oton i Witeliusz też tak myśleli — przypomniał mu Tytus.
— Ojciec może przeżyć nas obu. I co wtedy?

Domicjan zerwał różę i zmiął ją w dłoni. Mimo odurzenia gorącem nie przestał myśleć.

— Sam w to nie wierzysz, Tytusie. Gdybyś tak myślał, siedziałbyś teraz z Bereniką w Jerozolimie. Cała ta podróż, oficjalnie dla ojca, została pomyślana dla ciebie, prawda? — Woń kwiatu została mu na smukłych palcach.

— Bzdura — odparł bez przekonania Tytus. — Wielu kandydowało do purpury i ilu ostatecznie ją nosiło? — Wstał, rozduszając komara, który usiadł mu na biodrze. — Nie przejmuj się, Domicjanie. Zyskasz jeszcze wszystko, o czym marzysz.

— Kolejna lekko rzucona obietnica, Tytusie? — spytał ze smutkiem Domicjan. — Powinienem być wdzięczny. — W końcu spojrzał na brata. — Rzym cię pokocha, zanim cię pozna.

— Ciebie już kocha — powiedział Tytus z fałszywym entuzjazmem.

— Nie. — Domicjan pokręcił z wahaniem głową. — Nie, Rzym nie kocha mnie i nigdy mnie nie pokocha. Zaakceptuje mnie jednak, i może to wystarczy. — Skrzywił się, patrząc na lazurowe niebo.

Tytus nie wiedział, co powiedzieć. Rzadko mu się to zdarzało. Położył dłoń na ramieniu brata, ale został odtrącony.

— Uważaj lepiej na Licyniusza. To dobry i energiczny wódz. Rzymianie go znają, żołnierze pójdą za nim wszędzie. Zrób coś, aby zaczął rywalizować z innymi wodzami, w przeciwnym razie jeszcze przed powrotem ojca będziemy tu mieli kolejny spisek. Musisz też spędzać trochę czasu w senacie, aby posłuchać, o czym mówią. Trzeba będzie niebawem zająć się podatkami i nadaniami ziemi dla kończących służbę żołnierzy. Niektóre legiony są gorzej opłacane i musisz to zmienić. Powiedziałeś, że ojciec chce mieć jakiś pomnik w Rzymie. To może być kolejny cyrk, naprawdę duży, bo Circus

Maximus nie mieści już wszystkich chętnych, poza tym nie został zaprojektowany do walk. — Wszystko to Domicjan powiedział cichym, monotonnym głosem, wpatrując się przy tym w przeciwległy koniec perystylu.

— Domicjanie? — spytał zaniepokojony zachowaniem brata Tytus.

Domicjan spojrzał mu w oczy.

— Czy nie tego właśnie ode mnie oczekujesz? — rzucił ze złością.

— Słuchaj zatem i wykorzystuj, co usłyszysz.

Rysy Tytusa złagodniały.

— Nie gniewaj się. Nie po to tyle przeszliśmy, aby skakać teraz sobie do gardeł. Nasz ojciec został cesarzem i pora zacząć korzystać z przywilejów, jak i przyjąć nową odpowiedzialność. Gdy zamieszkamy już w wybranym przez ojca pałacu, zrobisz sobie kilka miesięcy wolnego. Jesteś rozgoryczony, bo mało miałeś ostatnio przyjemności. Szydzisz z mojej Bereniki. Nie ma żadnej kobiety, z którą dzieliłbyś łożę? Jako syn cesarza musisz mieć wiele okazji do tej zabawy. Mężowie i ojcowie będą odwracać głowy, gdy zauważą, co się dzieje.

To złagodziło nieco atmosferę.

— Może i racja — mruknął pod nosem Domicjan. — Justus podsuwał mi swoją żonę...

— Proszę, sam widzisz. — Tytus uśmiechnął się szeroko. — Możesz wybierać i przebierać. Nikt nie będzie na tyle głupi, aby ci odmawiać, zwłaszcza kobiety. Czasem będziesz musiał im to wynagrodzić, ale obecnie cię na to stać. — Gdy ponownie położył mu dłoń na ramieniu, Domicjan już jej nie strząsnął. — Powiem ojcu, że należą ci się publiczne podziękowania za to, co zrobiłeś. To powinno pomóc. Zobaczysz, że tak będzie. A za jakiś rok zorganizujesz sobie prywatną willę, aby mieć gdzie się zabawić. — Zachichotał. — Musimy pamiętać o moralności publicznej. Rzymianie są dziwnie kołtuńscy.

Domicjan słuchał go tylko jednym uchem. Myślał o subtelnych

kuszeniu, które dziesięć dni wcześniej zastosował wobec niego Justus Syliusz. Powiedział, że jego żona jest namiętna i ma swoiste, poddańcze preferencje. Jakoś to sobie zapamiętał. Acja Oliwia Klemens nie należała do kobiet, które by go pociągały, ale gdyby jej upodobania okazały się lustrzanym odbiciem jego potrzeb...

— Co mówiłeś? — spytał brata.

— Nic — odparł obojętnie Tytus. — Chodź. Jest gorąco. Wejdźmy do środka. Starczy godzina we frigidarium, a pocujemy się lepiej. Potem ubierzemy się i pójdziemy odwiedzać wszystkich tych, których nasz ojciec chce poznać lepiej. — Westchnął głęboko. — Za wcześnie na odpoczynek. Obawiam się, że trochę jeszcze ponosimy to brzemie.

— Damy sobie radę. — Domicjan odsunął żal i pozwolił, żeby jego czarujący brat przejął inicjatywę. Objął go w pasie tak samo jak w chłopięcych latach. — Kąpiel to dobry pomysł.

Tytus ścisnął jego ramię.

— Jesteś najbardziej spolegliwy z nas wszystkich. Myślisz, że zaczęliby plotkować, gdybyśmy przeszli tak przez pałac?

— Niewolnicy zawsze plotkują — powiedział filozoficznie Domicjan. — Gdy nie ma o czym, to wymyślają sobie plotki. — Poszedł w stronę korytarza, który prowadził do pałacowej łaźni. Gdy znalazł się w cieniu, obejrzał się na Tytusa, który stał piękny i nagi, upozowany niczym grecka rzeźba. Domicjan westchnął i ruszył dalej.

Gdy młodszy brat zniknął w domu, Tytus porzucił pozę, nad którą tak długo pracował. Wiedział, że nie wychodzi mu jeszcze idealnie, ale z czasem powinien naprawdę upodobnić się do Apolla. Potarł pierś i pomyślał, że pora się znowu ogolić. Apollo na pewno nie był zarośnięty, stwierdził, idąc w stronę mrocznego korytarza.

Fragment meldunku złożonego cesarzowi Tytusowi Flawiuszowi Wespazjanowi przez dowódcę gwardii pretoriańskiej:

W sprawie kupca Tycjana ustaliliśmy, że wysunięte przeciwko niemu oskarżenia okazały się w większości prawdziwe. W jego magazynie znaleziono barwniki i materiały, za które nie odprowadził podatku, a w magazynie mieszczącym się w pobliżu Teatru Marcellusa przechwycono także przyprawy. Przyznał, że kłamał podczas wcześniejszego przesłuchania, i odmówił wyjawienia informacji na temat innych osób zamieszanych w proceder. Sugerujemy wyrok zgodny z literą prawa z możliwością złagodzenia, jeśli ujawni swoich współników. Jeśli odmówi, powinien trafić na arenę. Oczekujemy zgody na zastosowanie wobec niego rozciągania, co może skłonić go do wyjawienia prawdy.

W sprawie handlarza niewolników Nureksa mimo intensywnego śledztwa nie zdobyliśmy dowodów, że został oszukany przez mieszkańca Kapadocji, który kupił od niego trzech niewolników. Nie było możliwe, aby Nureks lub jego klient wiedzieli wcześniej o szczególnych umiejętnościach tych niewolników. Nureks będzie musiał się pogodzić z pechowym zrządzeniem losu.

W sprawie Rakoczego Saint Germaina Franciskusa nasze śledztwo nie wykazało, aby podejrzany uczestniczył w znanej nam działalności przemytniczej albo innych nielegalnych przedsięwzięciach. Nie znaleziono jednak też dowodów, że na pewno nie brał w nich udziału, i można powiedzieć, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Gdyby Franciskus był Rzymianinem, zaleciłibyśmy umorzenie sprawy, jest jednak cudzoziemcem, o którym niewiele wiemy, wskazana byłaby więc zapewne obserwacja przez okres co najmniej półroczny. Otrzymaliśmy jeszcze dwa anonimowe listy na jego temat, ale nadal nie wiemy, kto jest ich autorem ani co nim kieruje. Możemy się tylko domyślać, że chodzi o jakiś rodzaj zemsty. Nie chcielibyśmy podejmować na razie żadnych decyzji dotyczących tego człowieka. Gdyby udało się zdobyć na to fundusze, wskazane byłoby zebranie informacji o jego kontaktach w Egipcie i w

krajach na Wschodzie. Chcielibyśmy także ustalić, kto pisze te listy i dlaczego to robi.

W sprawie morderstwa Janariusza Oppojusza Rufusa ustaliliśmy, że za jego śmierć odpowiedzialni są dwaj jego osobiści niewolnicy, którzy zawiazali w tym celu porozumienie między sobą. Zgodnie z prawem wszyscy niewolnicy zamordowanego powinni zostać skazani na śmierć. W tym przypadku zalecamy, aby postać ich na arenę, gdzie będą przykładem skuteczności rzymskiego prawa. Podziela to również zniechęcająco na gladiatorów i innych bojowników, którzy mogą myśleć o buncie, jak każdy przykład szybkiej.

W sprawie budowniczego statków Poliklitusa ustalono, że nie popełnił błędu w sztuce, ale dostarczono mu drewno inne od zamówionej, zbyt młode i niewysezowane stosownie do wcześniej precyzowanych potrzeb. Odpowiedzialny za to jest niejaki Kradok, wyzwolenc zamieszkujący pod Bononią. Proponujemy obciążyć go grzywną i pozostawić przez rok pod obserwacją oraz ostrzec, że ponowne naruszenie prawa albo próba oszukania klienta pociągną za sobą karę publicznej chłosty.

W sprawie Cerriniusza Metellusa Decja ustalono, że rzeczywiście korzystał z pieniędzy i majątku żony bez jej zgody, naruszając tym prawa ustanowione przez boskiego Juliusza i boskiego Klaudiusza. Zalecamy nakazać mu spłacenie małżonki oraz wyrównanie poniesionych przez nią strat do wysokości połowy sumy zasadniczej spłaty. Zalecamy też, żeby w trybie natychmiastowym przychylić się do prośby małżonki o udzielenie rozwodu i umorzyć sprawę o oszczerstwa wytoczoną jej przez rodzinę męża. Śledztwo wykazało, że Decjo ma wiele długów hazardowych uczynionych na poczet majątku żony. Proponujemy przeto, aby ująć w wyroku, że nie odpowiada ona za te długi i dłużnicy męża nie mają prawa jej nachodzić. Jeśli senat zgodzi się na sprzedaż jego majątku, tak ziemi, jak i niewolników, dla spłaty jego długów i innych zobowiązań, sprawa powinna zostać załatwiona podobnie jak konflikt między mężem a żoną.

W sprawie kradzieży wody z akweduktu Klaudiusza...

. 8 .

W domu jej ojca było bardzo zimno. Oliwia siedziała w kącie dawnego pokoju matki otulona w trzy długie tuniki i korzystając z jednej lampy oliwnej, próbowała czytać zwój, który przyniosła sobie z biblioteki. Niezbyt mogła się na nim skupić, ale odwlekała chwilę, kiedy trzeba będzie przerwać lekturę i położyć się do czekającego pod ścianą łóżka, którego materac był twardy, a koce cienkie, co przy hulających przeciągach nie dawało szansy na zaśnięcie. Miała nadzieję, że zmęczy się w końcu dość, żeby złapać trochę snu w tak chłodną noc.

Westchnęła, próbując coś zrozumieć z wyblakłego greckiego rękopisu. Znała ten język, aczkolwiek nie biegle, i w słabym świetle odczytanie opowieści przychodziło jej z wielkim trudem.

Przez miesiąc zamieszkiwania w pustym domu ojca jej nadzieja doznała poważnego uszczerbku. Z początku cieszyła się, że uciekła przed coraz bardziej dokuczliwymi żądaniami męża, ale okazało się, że jednak nie, ile razy bowiem Justus odczuwał taką potrzebę, sprowadzał żonę do domu. Nie próbował się już ukrywać, tylko zawsze stał obok, przypatrując się krytycznie rozwojowi wydarzeń.

Samotna łza skapnęła na rękopis i Oliwia wytarła ją ze złością. Nie będzie płakać! Sama tak zdecydowała prawie miesiąc wcześniej, w dniu przybycia Wespazjana do Rzymu. Całe miasto mówiło o nowym początku i uznała, że to dobra chwila na porzucenie daremnych żalów. Mimo to trzymające zwój dłonie zadrżały lekko, a z gardła wydobył się zdławiony odgłos.

Rozejrzała się z nadzieją, że nikt z umyślnych pozostawionych przez męża, żeby jej pilnowali, niczego nie usłyszał. Meldowali mu o

każdym jej kroku, ona zaś coraz bardziej starała się nie zdradzać przed Justusem, ile naprawdę cierpienia jej sprawia. Oddychając płytko, czekała na blask światła w korytarzu, co byłoby znakiem pojawienia się sługi, w jej zaś pojęciu zwykłego strażnika więziennego. Za drzwiami było jednak ciemno, chociaż usłyszała dobiegający stamtąd lekki szelest. Przeraziła się, że może to Justus postanowił znowu ją odwiedzić, przygotowawszy jakąś nową, odrażającą niespodziankę.

W końcu drzwi się uchyliły. Oliwia cofnęła się w cień, pragnąc stać się jak najmniej widoczna, a najlepiej — niewidzialna.

Do pokoju wsunęła się odziana w czarny płaszcz postać. Głos, którego nie słyszała od dawna i obawiała się, że już nigdy nie usłyszy, zawołał ją po imieniu.

Rzuciła zwój i zerwała się na nogi.

— Sanct' Germain. — Powoli podeszła do niego. — Jak się tu dostałeś? — spytała, ciągle jeszcze przerażona. — Musisz zaraz iść, bo cię znajdą. Tak za tobą tęskniłam...

Wziął ją w ramiona i okrył swoim płaszczem. Poczul na twarzy jej włosy. Ona zaś mocno się w niego wtuliła.

— Oliwio, Oliwio. — Jedną dłonią uniósł ku sobie jej mokrą od łez twarz. — Oliwio — powtórzył i pocałował ją namiętnie, z uczuciem, które dziwnym trafem zrodziło się w głębi jego duszy.

Gdy znowu mogła się odezwać, zaczęła wyrzucać z siebie szeptane słowa, jej dłonie zaś błędziły pod jego tuniką, jakby chciała się przekonać, że to naprawdę on, a nie gra jej wyobraźni.

— Jak się tu dostałeś? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? Nie możesz zostać. Jak się tu dostałeś? Zrobią ci krzywdę, jeśli cię znajdą. Powiedz Justusowi. Pomóż mi, Sanct' Germain. Pomóż mi, kochany. — Całkiem nagle rozplakała się. Szloch wstrząsnął jej ciałem.

Przytulił ją, pozwalając się wypłakać, potem wziął na ręce i

przeniósł na łożo, stukając głośno na marmurowej podłodze.

Potem położył się obok niej i nakrył oboje płaszczem. Szepcząc jej do ucha, zaczął ocierać łzy z jej twarzy.

— Nie — powiedziała w pewnej chwili, próbując się od niego odsunąć. — Nie.

— Nie? — spytał, całując jej powieki. — Na wszystkich zapomnianych bogów, jesteś dla mnie skarbem, Oliwio.

Skrzywiła się, jakby z bólu.

— Nie mów tak — powiedziała trochę nazbyt głośno i zganiła sama siebie. Przecież ktoś mógł podsłuchiwać. Sanct' Germain musi to zrozumieć. — Nie. Jeśli strażnik nas zobaczy...

— To mało prawdopodobne — wymruczał, poluźniając strój, w który okutała się w daremnej próbie ucieczki przed zimnem. — Dziwnym splotem okoliczności twój strażnik leży pijany i nie obudzi się do rana. — Odsunął się na tyle, żeby się jej przyjrzeć, i przeraził się tym, co zobaczył. Twarz Oliwii była jeszcze szczuplejsza niż zwykle, wkoło oczu i ust pojawiły się nowe zmarszczki, bardziej wymowne niż jakakolwiek relacja. Coś ścisnęło go w piersi i gdy się odezwał, nie zdołał całkowicie ukryć gniewu. — Mamy dla siebie całą noc. Ani strażnicy, ani Justus, ani nawet sam Jowisz nie zdołają nas powstrzymać. Powinienem przyjść wcześniej. Już wtedy, gdy odkryłem, że tu mieszkasz. Nie chciałem ryzykować, ale widzę, że należało.

Przyłożyła mu dłoń do ust.

— Nie — wyszeptała ledwo słyszalnie. — Ciszej. Inni mogą się obudzić.

— Nie jestem taki naiwny — przypomniał jej łagodnie. — Na pewno się nie obudzą. Tylko ty i ja — Dotknął ustami jej ust i rozchylił lekko, ale zdecydowanie. Przytulił się do niej, wyczuwając przez warstwy odzieży kształty jej ciała. — Oliwio. — Pragnął jej

przez te wszystkie dni, kiedy się nie widzieli, ale teraz, gdy był już obok, jego pożądanie narastało z każdą chwilą.

— Sanct' Germain—wyszeptała, broniąc się resztkami sił. — Nie, nie mogę. Za trudno jest mi kochać się z tobą, żeby potem poddawać się mężowi. Wiesz, co zrobił ostatnio. Nie zniosę tego dłużej. Noce z tobą i jego okrucieństwa. Nie żądaj tego ode mnie, kochany.

Musnął ustami jej szyję.

— Nie porzucę cię z jego powodu. Już ci to mówiłem. Nie zrobię tego. Nie możesz tego ode mnie oczekiwać.

— To co mam zrobić? — spytała, ponownie przygnieciona brzemieniem własnego nieszczęścia. — Nie mogę dłużej żyć w ten sposób. Każdy następny dzień jest gorszy od poprzedniego i czasem obawiam się, że oszaleję. Od paru lat nie miałam żadnej wiadomości od matki. Otaczają mnie sami szpiedzy, których bawi to, co się ze mną dzieje. W bibliotece zostało tylko kilka zwojów i przeczytałam już wszystkie co najmniej dwa razy. Justus niczego mi nie zostawił. Zabrał nawet posągi, które stały w niszach. Uznał, że nie będą mi potrzebne. Powiedz, co mam zrobić. — Tym razem zdołała powstrzymać płacz.

— Musisz go opuścić. Musisz przenieść się do mnie. Powtarzam ci to od ponad roku. — Jego dłonie pracowały w ciemności, starając się rozwiązać tasiemki jej stroju.

— Ale pretorianie...

— Nawet gdyby wszyscy pretorianie i legioniści w całym Rzymie zaczęli mnie ścigać, między nami nic by to nie zmieniło. Nie rzucam słów na wiatr, Oliwio. Wyrwę cię stąd, choćbym miał cię przeciągnąć przez cały Rzym za włosy. — Mówiąc to, wyjął szpilki z jej włosów i rozpostarł je na poduszce. — Słuchaj mnie. Jesteś częścią mnie samego. Nic na świecie już tego nie zmieni, oprócz prawdziwej śmierci, która jednak stroni ode mnie od prawie dwóch tysięcy lat. —

Rozpiął zapinkę, utrzymującą jej strój na ramieniu. — Zbyt wiele razy byliśmy ze sobą, abyś mogła się ode mnie uwolnić. — Znowu ją ucałował, tym razem trochę mniej łagodnie. Gdy pocałunek się wydłużył, oddech Oliwii zaczął przyspieszać.

Znowu jednak się odsunęła, zaciskając szczęki.

— Nie mogę. Wybacz mi, najukochańszy, ale nie mogę. — Spróbowała odwrócić się od niego, co jednak nie było łatwe. —

Bierz, co chcesz. Tyle przynajmniej **mogę** zrobić. Musisz to mieć. — Zamknęła oczy, aby nie widzieć znaków namiętności na jego twarzy. — Nie zdręczaj mnie fałszywą nadzieją, bo to zbyt trudne dla mnie. Nie mogę żyć w ten sposób. Żałuję, że nie jestem silniejsza...

— Jesteś silna — powiedział, spoglądając jej w oczy. — Ile znanych ci kobiet przetrwałoby to wszystko? Pierwsza żona Justusa oszalała, druga nie żyje. Mimo wszystkiego, co ci zrobił, ocalałaś. Nie poddałaś się jego perfidii. Pozostałaś przy zdrowych zmysłach i żyjesz.

— Nie, Sanct' Germain. Proszę. — Pokręciła głową.

Ujął jej twarz w dłonie.

— Naprawdę tego chcesz? Naprawdę oczekujesz, że cię zostawię, biorąc tylko to, co jest mi potrzebne? Tutaj? Na taki los? Naprawdę tego byś chciała?

Oliwia nie potrafiła odwzajemnić jego spojrzenia.

— Nie. Nie chcę. Ale co innego mogę zrobić? — Odmowa była trudniejsza, niż Oliwia wcześniej sądziła. Ale naprawdę nie miała wyboru. Wiele o tym myślała przez ostatnie miesiące.

— Może ty uważasz, że nic nie da się zrobić, ja sędzę inaczej — powiedział cicho, tonem pieśczości.

— Nie mam wyboru — wyszeptwała, wyciągając dłoń, aby dotknąć jego dobrej, kochanej twarzy.

— Ależ masz. Nie jestem taki jak inni mężczyźni. Wiesz o tym i dlatego mnie od początku zaakceptowałaś. — Przesunął palcem po jej

ustach. — Nigdy nie zrobię z tobą tego, co mężczyźni zwykli robić. Nawet gdybyś .pragnęła.

Poniekąd wbrew sobie wparła dłonie w jego pierś.

— Ale na co możemy liczyć, Sanct' Germain?

Jeśli nawet ją zrozumiał, odpowiedział na swój sposób.

— To prawda, że nie mogę być wobec ciebie w pełni mężczyzną, ale są jeszcze inne sposoby. Czy chciałabyś spędzić całą noc na miłości? Odkrywając nowe rodzaje spełnienia, wszystkie po równi satysfakcjonujące? Zaznawać miriadów pocałunków, budzących ogień w najgłębszych zakamarkach ciała. Pomyśl o docieraniu do granic pożądania bez zmęczenia i bez rozczarowań. — Zsunął potrójną warstwę odzieży i położył dłoń na jej piersi, co wyrwało ją z zamyślenia i przywróciło chwili. — Czegokolwiek zapragniesz. Jak długo będziesz pragnąć tego, co mogę ci dać. Jestem równie wytrwały jak ty. Czy już o tym zapomniałaś? — Pochylił głowę ku jej wargom i tym razem nie odepchnęła go, tylko się poddała. — Oliwio — powiedział bardziej ze smutkiem niż pożądaniem w głosie.

— Boję się — szepnęła w końcu.

— Mnie? Po tym wszystkim? — Blask stojącej w drugim kącie pokoju lampy wydobył z ciemności zarys jego czoła, nosa i krzywiznę warg.

— Boję się tego, czego pragnę. — Tęsknota dała o sobie znać ze wzmożoną intensywnością. Oliwia zacisnęła pięści, aby jakoś ją opanować.

— Dlaczego? — Zaczął ściągać z niej resztę przyodziewku. — Czy chcesz zaczynać każdą noc nowym akordem miłości? Będzie taki, jak zapragniesz. Nigdy nie połączymy się cieleśnie, ale duszami będziemy razem.

— A krwią? — spytała Oliwia, zachowując resztki dystansu. — Zawsze jest jeszcze krew.

— Tak. — Spojrzał na nią uważnie. — I zawsze będzie. To moje życie. Co może być w tobie prawdziwszego, jeśli nie krew? — Uniósł się trochę i przytulił ją mocniej, przyciskając biodro do jej biodra. — Jedyne moja nagroda to ta, która wynika z twojej rozkoszy. Jeśli ty nic nie czujesz, jak również pozostają niespełnione.

Oliwia obróciła ku niemu głowę. W jego słowach wyczuwała ślad samotności, która towarzyszyła mu tak długo. Samotności głębszej niż wszystko, co sama poznała.

— Wiele zapomniałem, a przynajmniej powtarzałem sobie, że musiałem o nich zapomnieć, bo były zbyt ulotne wobec setek przeżytych lat. Zwykli ludzie żyją przecież tak krótko. Ale myliłem się, poddawałem się zgorzknieniu. Wieczna samotność jest straszniejsza, niż możesz sobie wyobrazić. — Objął ją mocniej. — Pozwól się kochać, Oliwio. Niewiele więcej mogę uczynić. Pozwól, abym pomógł ci się wyrwać z mocy tej bestii, twojego męża. Jeśli nie możesz zapomnieć o nim nawet wtedy, gdy jesteście razem, to jedyne wyjście. Zbyt długo jesteście kochankami. Nie mogę cię opuścić i nie opuszczę.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała zdumiona i pobudzona. Nigdy jeszcze nie słyszała w jego głosie podobnej nuty, nigdy wcześniej nie składał jej aż takich obietnic.

— Ile lat się spotykamy? Pięć? A przez te lata ile razy się kochaliśmy? Ze trzydzieści? Więcej? Starczy sześć, może siedem, aby zaszła zmiana, której nie można cofnąć.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Jaka zmiana?

— Taka, że kiedy umrzesz, a na pewno przyjdzie kiedyś taki dzień, wstaniesz z martwych podobna do mnie i będziesz żyć jak ja, ofiarowując miłość w zamian za krew. Mówiłem ci o tym kiedyś, na samym początku. Myślałem, że zrozumiałaś.

Mgliście przypomniła sobie rozmowy toczone podczas pierwszego ich spotkania. Rzeczywiście ostrzegł ją przed czymś ważnym, ale wówczas liczyła się jedynie bliskość kogoś życzliwego. Nie zwracała wtedy większej uwagi na jego słowa ani obietnice, starczało jej, że choć jeden wieczór upłynie bez zadawania tortur.

— Chyba jednak nie zrozumiałam. Będę taka jak ty? Całkiem jak ty? — Spojrzała na niego w nowy sposób, czując gotowość, aby otworzyć się przed im do końca. Otworzyć się tak, jak nigdy jeszcze tego nie robiła.

— Czy całkiem? Prawie — powiedział, odsuwając kosmyk włosów z jej czoła. — Tyle że w odróżnieniu ode mnie zachowasz zdolność przeżywania rozkoszy zmysłowych na zwykły, kobiecy sposób.

Skrzywiła się.

— Nie przypuszczam, abym kiedykolwiek zapragnęła mężczyzny. Nie tak.

— Może — odparł z odrobiną smutku. — Jednak w długim czasie wiele może się zmienić, a czasu ci nie zabraknie. — Pochylił się i pocałował jej pierś, przesuwając lekkie niczym piórko usta przez wzgórek sutka i budząc w niej na nowo pożądanie.

— Jak będę się czuła po zmianie? Jak to będzie? — Po pierwszej reakcji, niewolnej od wątpliwości i obrzydzenia, odkryła, że nowa perspektywa wcale jej nie przeraża. Zbyt długo znała Sanct' Germaina, żeby myśleć inaczej.

— W zasadzie podobnie jak teraz. Będziesz silniejsza, bo ci mojej krwi zawsze są silni. Mniej będziesz sypiać, znacznie mniej. Noc stanie się dla ciebie dniem. Nauczysz się pewnych sposobów, jak ułatwić sobie życie, i nigdy nie będziesz chciała rozstawać się z rodzinną ziemią, chociaż to nie oznacza, że będziesz musiała żyć ciągle w jednym miejscu — dodał z lekkim uśmiechem.

— Naprawdę jesteś z Dacji? — spytała, pomyślawszy, że być może

jest to wygodna opowieść stworzona na użytek innych.

— Naprawdę. Nigdy nie kłamię w tej kwestii. Tyle że mój lud żył tam dawno temu. Nazwy krajów zmieniają się z wiekami, tylko ziemia pozostaje ta sama. — Przypomniawszy sobie, że ostatni jego pobratymcy zniknęli z Dacji ponad tysiąc lat wcześniej. — Niekiedy wracam tam, aby pobyć w znajomych miejscach, na rodzinnej ziemi. Gdy ostatni raz pojechałem w moje góry, uznano mnie za cudzoziemca, tak samo jak tutaj. Ci, którzy żyli tam wcześniej, nie są już nawet wspomnieniem. Trwają tylko w legendach. Miejscowi słyszeli o greckich lamiach i mylą nas z nimi. — Gdy znowu spojrział w oczy Oliwii, był w nich szczególny smutek. — Niewielu nas zostało. Trwamy rozrzućeni jak ziarna zboża na olbrzymim polu. I mimo naszej siły nie jesteśmy niezniszczalni.

Ułożyła się wygodniej obok niego.

— Chyba będzie mi się podobało. Chcę być taka jak ty. — Mówiła prawdę. Aż do tego wieczoru mogła się wahać, czy pragnie zmiany, jednak teraz, gdy Justus zesłał ją do pustego domu i trzymał pod strażą, grożąc gorszym jeszcze losem... Ledwie kilka nocy wcześniej opisał jej ze szczegółami pewien syryjski burdel specjalizujący się w rzymskich kobietach. Próbowwała przekonywać siebie, że los prostytutki nie będzie taki straszny w porównaniu z tym, czego już zaznała od męża, ale i tak bolało. Bardzo bolało. Z burdelu nie było ucieczki, tak samo jak nie było ucieczki przed Justusem. A teraz Sanct' Germain ofiarowywał jej coś całkiem innego, coś naprawdę obiecującego. Uniosła dłoń do oczu.

Sanct' Germain obserwował raptowne zmiany jej nastroju.

— O co chodzi, Oliwio? Zasmuciłem cię? Powiedz, proszę.

— To nie ty. Ty nigdy. Mój mąż... — Wyrzucała z siebie słowo po słowie. — Powiedział, że... — Znowu odebrało jej głos. — Zyskałam prawo do własnej przyjemności, prawda? — Sama nie wiedziała, ile

prawdy jest w tym stwierdzeniu wypowiedzianym w zimnym i pustym pokoju.

— Tak. Jeśli jest to prawo, na które trzeba sobie zasłużyć. Masz je. — Pocałował jej brwi. Przerzął go ton rezygnacji, który słyszał w jej głosie, gdy mówiła o swoim życiu. — Posłuchaj, Oliwio. Nigdy nie poznałaś takiego życia, jakie bywa udziałem innych kobiet. Nie chcę, abyś się poddawała. Nie teraz. Są jednak rzeczy, o których musisz wiedzieć i z którymi musisz się pogodzić. Z czasem, zanim jeszcze zostaniesz złożona w grobie, żeby później z niego wstać, możesz znowu zapragnąć mężczyzny. Teraz temu zaprzeczasz — powiedział szybko, powstrzymując jej protest. — Jednak nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Justus. Będą i tacy, którzy cię rozpalą i sama ich zapragniesz, gdy gorycz i nienawiść osłabną. Zrozum, kochana. Powinnaś szukać ich, pragnąć. To nasze życie.

— Ale dzisiaj będziemy tylko my? — spytała cicho. Niezbyt rozumiała, o czym jej mówił, nie chciała nawet tego słuchać. Jego bliskość przyciągała niczym księżyc w pełni. — Tylko my, tak? Całą noc.

— Całą noc — obiecał jej, czując, że ciało Oliwii zaczyna ożywać. — Cokolwiek zechcesz. Czy pragnęłabyś, abym pieścił cię i obejmował, aż zaznasz spełnienia we własnym tempie? To twoje prawo i możesz mnie o to prosić. Chcesz, abym poszukał nowych wyrazów miłości? Starczy, że powiesz, a będzie tak, jak sobie zażyczysz. Zbyt długo ci rozkazywano. Naucz się samolubności, Oliwio. Wobec mnie trudno o hojniejszy dar.

— Ale czy umiem? — zastanowiła się głośno. — To coś tak obcego. Nie wiem, jak to jest... — To pytanie nie dawało jej spokoju od pierwszego razu, gdy do niej przyszedł, dając jej rozkosz w miejsce brutalności.

— Obcego... — Zaśmiał się cicho, melancholijnie. — Uważasz, że

to, czemu byłaś poddawana, jest mniej obce? Bardziej zwyczajne? Tylko dlatego, że zostaje potem ślad nasienia na pościeli? —Wieki temu jej podejście wzbudziłoby w nim złość, jednak niezliczone spotkania i rozmowy zmieniły jego nastawienie. Teraz liczyło się tylko jedno: chciał na tyle dodać Oliwii odwagi, aby przestała się bać.

— To chyba nie jest takie ważne — westchnęła. Miło było tak leżeć. Pozwoliła myślom błędzić, podczas gdy on okrywał ją pocałunkami. Była już mniej spięta, oddychała szybciej. Gdy jego aktywne dłonie skłoniły ją do rozchylenia ud, łagodny dreszcz przeszedł przez całe ciało. Nic nie działo się w pośpiechu. Jego usta i dłonie, dotyk jego ciała, wszystko płynęło niespiesznie i rytmem tak stałym jak falowanie morza. Oliwia zanurzyła palce w jego ciemnych, kręconych włosach, aby przyciągnąć bliżej twarz Sanct' Germaina. —To potrwa, ja...

— Mam czas. — Przesunął dłonią po jej udzie, biodrze, linii żeber, poprzez pierś docierając do ramienia. Wreszcie dostrzegął w niej ślady ożywienia. Pętające ją strach i napięcie odchodziły, znikwały tak samo jak zdjęta wcześniej odzież. Jego usta stały się bardziej natarczywe, wyzywające i przyzywające to pragnienie, które w niej drzemało. Nie trwało długo, a podążyły w ślad za dłonią tam, gdzie kryło się najwięcej rozkoszy.

Bezgraniczna rozpacz, w której Oliwia tkwiła od wielu dni, zaczęła się rozpraszać jak poranne mgły nad Tybrem. W końcu zniknęła i Oliwia westchnęła głęboko, przeciągle, zaciskając i rozprostowując dłonie, poddając się temu, co w niej odszukał. Słyszała ciągle, jak mówił: „Pozwól się kochać”. Powtarzał to już wcześniej i za każdym razem staczała ze sobą walkę, aby go przyjąć, pozwolić sobie na rozkosz. I jej pożądanie rosło, pragnęła go coraz bardziej. Miała wrażenie, że jej ciało jest całe ze światła, że jaśniej jak płomień, jak gwiazda, jak mgły o poranku, co znikną jak sen...

Jednak coś odpowiadało w niej silnie, silniej niż kiedykolwiek wcześniej. Krzyknęła z radości i poczucia siły. Mały, chłodny pokój płonął wkoło niej barwami płynnego złota.

Trwało trochę, zanim go puściła i jej oddech zaczął się uspokajać, a ciało znowu przybrało ziemską postać. Leżała z przymkniętymi oczami, gdy nagle poczuła, że jej pragnienie nie zostało jeszcze całkowicie zaspokojone. Spojrzała na niego pytająco.

— Sanct' Genuami

Zaśmiał się cicho, melodyjnie.

— Tak, Oliwio — powiedział tonem, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Tonem kogoś naprawdę szczęśliwego. — Teraz możemy zacząć się kochać.

Łzy napłynęły jej do oczu i otworzyła przed nim ramiona, tym razem jednak nie kierowała nią rozpacz ani beznadzieja. Płakała, czując, jak napływa w nią nowe życie. Gdy musnął ustami jej szyję, objęła łagodnie jego głowę i oboje dali się ponieść rozkoszy.

Proklamacja cesarza Tytusa Flawiusza Wespazjana:

Od cesarza do senatu i ludu rzymskiego, pozdrowienia.

Idąc za sugestią starszego syna, który nosi moje imię, ogłaszam z przyjemnością, że zamierzam uczcić moje panowanie budową nowego amfiteatru na potrzeby przyszłych wielkich igrzysk. Szukałem porad w tej sprawie u osób biegłych, budowniczych i pracujących w cyrku, i będę ich uwagi i zalecenia brał sumiennie pod rozwagę.

Na miejsce budowy wybrałem przestrzeń między Eskwilem a Palatynem, gdzie obecnie rozciąga się jezioro ogrodów Złotego Domu Nerona. Jezioro zostanie osuszone, co nie tylko pozwoli na rozpoczęcie prac nad amfiteatrem, ale usunie ślad działalności niestawnego cesarza.

Nowy amfiteatr pomieści wszystkich chętnych widzów, nie zmuszając

ich, aby tłoczyli się w tłumie, ryzykując utratę zdrowia lub wypadki, które nie raz zdarzały się w Circus Maximus, na Hipodromie oraz w cyrkach Kaliguli i Nerona. Podziwianie igrzysk będzie znacznie ułatwione, ponieważ w nowym amfiteatrze zrezygnowaliśmy ze spiny, która zawsze coś komuś zasłaniała, a specjalny tor dla rydwanów zostanie zbudowany wokół głównej areny. Ułatwi to organizowanie wyścigów, które nie będą już kolidować z innymi punktami programu.

Tym, którzy obawiają się mobilizacji niewolników, jako cesarz odpowiadam, że do niej nie dojdzie. Wykorzystamy niewolników już obecnie znajdujących się w dyspozycji imperium, więźniów pojmanych po ostatniej żydowskiej rewolcie. Oni wzniosą nasz cyrk. Przed końcem lata do Rzymu przybędzie dziesięć tysięcy żydowskich niewolników przeznaczonych do tej pracy.

Ponieważ plany są już gotowe, możemy powiedzieć, że będzie to cyrk całkiem niepodobny do wcześniejszych. Nie będzie trzeba głowić się nad jego modernizacją, ponieważ zastosujemy w nim najnowsze rozwiązania architektoniczne i wszystkie możliwe udogodnienia, które opracowaliśmy podczas uważnych przygotowań do budowy.

Osuszanie terenu rozpocznie się w kwietniu i gdy tylko grunt okaże się wystarczająco stabilny, przystąpimy do kopania dołów pod fundamenty. Ukończony cyrk stanie się ozdobą Rzymu.

Wespazjan

czternastego dnia marca 823 roku Miasta

. 9 .

Kosrozd osłonił oczy przed słońcem. Wyszedł właśnie z mrocznej stajni cyrku na słońce upalnego dnia. Nazajutrz, w dniu jego wyścigu, miało być jeszcze cieplej.

— Persie! — zawołał inny rydwannik, rozrywkowy młody człowiek z akwitańskiej Burdigali. — Chodź, wypij z nami! — Wskazał na całą grupę odpoczywających woźniców.

Kosrozd pomachał mu w odpowiedzi.

— Przykro mi, ale może po wyścigu.

— To dopiero jutro — zauważył Akwitańczyk. — Trochę wina ci nie zaszkodzi — dodał ze śmiechem.

— Może po wyścigach — powtórzył Kosrozd. — Nie mam już twoich szesnastu lat. Dwadzieścia pięć to podeszły wiek. — Wśród rydwanników rzeczywiście było to sporo, chociaż jego ciało nie zmieniało się od czasu, gdy skosztował krwi swego pana. Z początku nie dowierzał, że na zawsze już zostanie z posturą dziewiętnastolatka, ale sześć wiosen to było dość, żeby się przekonać.

— Zostaw go, Hawiuszu — krzyknął ktoś z grupy. — Pers nie pije. — Pod nosem dodał coś jeszcze, czego Kosrozd nie dosłyszał, jednak inni woźnice zachichotali, a jeden spojrzął z zastanowieniem na Persa.

Kosrozd wiedział, że stał się osobliwością wśród rydwanników, ale przestał się już tym przejmować. Dokładnie tak, jak zapowiadał Sanct' Germain. Dwa lata wcześniej wdał się w walkę na pięści ze słynnym Salamisem, który w jedno popołudnie zyskał majątek i wolność i chciał zjeść z Kosrozdem obiad. Pers naturalnie odmówił. Kiedyś bolały go takie sytuacje, potem jednak zrozumiał, że zachował się

głupio.

— Wypij raz za mnie! — zawołał do Hawiusza.

— Dwa razy! — usłyszał natychmiast.

Wzruszywszy ramionami, odwrócił się od nich i stanął twarzą w twarz z mistrzem treserów.

— Dobrego dnia, Nekredesie — powiedział uprzejmie, ale bez wylewności.

— Kosrozd — warknął Nekredes. — Waszą kobietę też tu widziałem. — Założył ręce na piersi.

— To jej ostatni występ — przypomniał Kosrozd i zrobiło mu się trochę smutno. — Od teraz będzie trenować innych. Nasz pan kupił już dla niej czterech młodych rydwanników. Za jakieś dwa lata wyjdą na arenę. — Nie wątpił, że Nekredes wie to wszystko, chciał jednak mieć wymówkę, aby przyjrzeć mu się z bliska. To, co ujrzał, zaniepokoiło go. Nekredes był z czegoś mocno zadowolony.

— Tak, ostatni — zgodził się. — Chyba że da się namówić na jeszcze jeden. — Skinął Kosrozdowi uprzejmie głową i skręcił w stronę korytarza pod widownią. — Dostaliśmy dzisiaj nowe zwierzęta. Uważaj na konie.

— Dziękuję za uprzedzenie — powiedział Kosrozd z ciężkim sarkazmem. Pokręcił głową i ruszył do stajni, sprawdzić rydwan i uprząż. Nowy rząd opracowany przez Sanct' Germaina sprawdzał się, ale wielu niewolników nie wiedziało, jak go poprawnie założyć.

— Persie! — zawołał nagle Nekredes.

— Co? — Kosrozd zatrzymał się w miejscu.

— Nie zapomniałem! — Nawet z tej odległości widać było, że wezbrała w nim złość.

— Ani ja, Nekredesie — odparł młodzieniec i poszedł dalej.

— Powiedz to swemu panu! — krzyknął Nekredes mimo braku reakcji. — Powiedz mu!

Przez chwilę Kosrozd miał ochotę wrócić do nadzorcy, chociaż Sanct' Germain zabronił mu podobnego zachowania. Stłumił jednak złość i wszedł do długiego, niskiego budynku, gdzie przechowywano rydwany.

Trochę później, gdy inni rydwannicy wrócili już do cyrku, przynosząc ze sobą dwa bukłaki wina, a nowa dostawa panter znalazła się już w klatkach, Kosrozd siedział w cieniu przed stajnią i przyglądał się trzem parom essedariuszów ćwiczących przejścia na swych rydwanach z wysokimi przodami. Zmrużył oczy, gdy jedna z obsad wykonała udany rzut liną na ćwiczebny ceł.

Hawiusz, nadal z bukłakiem w ręce, poszedł chwiejnym krokiem w stronę ćwiczących.

— Złapcie mnie! — zawołał prowokująco.

Reszta rydwanników zahukała z aprobatą, gdy najbliższy rydwan skreślił w stronę śmiałka. Woźnica poprowadził konie po krzywej, a jego towarzysz zaczął kręcić w powietrzu zapętloną liną. Hawiusz wrzasnął radośnie i pobiegł przez dziedziniec. Po chwili druga para essedariuszów dołączyła do pościgu.

Jakiś grecki rydwannik krzyknął, ile stawia i na kogo, i zaraz wszyscy poszli w jego ślady.

— Co tam się dzieje? — spytała Tisztry, stając obok Kosrozda. Miała zarumienioną twarz, a jej tunika była lekko rozdarta na ramieniu.

— Hawiusz gania się z essedariuszami — wyjaśnił Kosrozd bez wielkiej potrzeby — A to co? — Wskazał na rozdarcie.

— Kalon. Źle wyliczył skok i mało brakło, a rozwaliby sobie łeb. Może zresztą powinien — dodała, mrużąc oczy — Nauczył się jednej sztuczki i myśli, że umie już to wszystko, co ja ćwiczyłam przez całe życie. Jeśli dalej będzie tak robił, szybko się zabije. — Usiadła obok Kosrozda, poruszona jeszcze zajściem.

Trzeci dwuosobowy rydwan też gonił już za Hawiuszem, który uciekał zygzakami i jak na razie omijał wirujące wkoło liny. Rydwannicy dodawali mu krzykiem odwagi, myśląc oczywiście przede wszystkim o swoich zakładach.

— Dość widziałaś? — spytał Kosrozd, gdy Hawiusz zawrócił i pobiegł z powrotem. — Aumtehoutepep pewnie już na nas czeka. — Wstał. — Zawołam resztę.

Tisztry obciągnęła tunikę.

— Nie, czekaj. Chcę to zobaczyć. Nie powinno już długo pol rwać — dodała z uśmiechem. — Essedariusze radzą sobie coraz lepiej. Wcześniej zajeżdżali sobie drogę. Sam zobacz.

Kosrozd oparł się z rezygnacją o ścianę stajni, postanowiwszy obejrzeć pościg do końca.

— Nie potrwa — powiedział, próbując naśladować sardoniczny uśmiech swego pana.

Hawiusz podbiegł do słupa treningowego, otoczył go ramieniem i przesunął się na drugą stronę, ledwo unikając liny, która odbiła się od drewna.

— Starajcie się bardziej! — zawołał i pognął dalej.

Wkoło przybywało widzów. Widać było innych jeszcze bywalców areny, zjawiało się nawet trochę zwabionych krzykami obdartusów spod trybun. Krzyknęli radośnie, gdy Hawiusz przebiegł między dwoma rydwanami, omal nie doprowadzając do ich zderzenia.

— Dobry jest — powiedziała Tisztry, zerkając na Kosrozda.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

— Gdyby essedariusze nie bawili się z nim, dawno by już go przeciągnęli do żywego mięsa. — Musiał jednak przyznać, że widowisko było nie najgorsze. Zakłady już go nie interesowały, ale sama rywalizacja — owszem.

Tłum rósł coraz większy. Pojawił się oddział ćwiczących po

sąsiedzku gladiatorów. Zobaczywszy, kto pracuje liną, przepchnęli się do przodu. Nikt nie śmiał sprzeciwić się roslym mężczyznom, których fachem było zabijanie.

W chwili szczególnego triumfu Hawiusz przystanął, żeby napić się wina, i mało nie padł ofiarą wojownika z najbliższego rydwanu. Zawadiacki pokaz wywołał ryk publiczności, pomachał więc radośnie i skoczył, schodząc z drogi kolejnemu rydwanowi.

Jakiś egipski treser krzyknął coś niezrozumiale, potrącony przez koło rydwanu.

Wtedy Kosrozd zauważył coś jeszcze. Wstał, żeby spojrzeć ponad głowami tłumu. Skraj jego tuniki musnął ramię siedzącej nadal Tisztry.

— Co jest? — spytała, unosząc głowę.

Kosrozd pokręcił głową i gestem nakazał jej milczenie. Przesunął się kilka kroków głębiej w cień i zignorował całkowicie przemykające obok rydwany. Nagle strzelił palcami.

— Wstawaj, Tisztry.

Spojrzała na niego zdumiona.

— Co jest? — Zwykle nie zwracał się do niej w taki sposób. — Co...?

— Wstawaj — syknął i podał jej rękę.

Tisztry zmarszczyła czoło, ale posłuchała.

— Ale dlaczego...?

Przerwała jej wrzawa widzów. Jeden z wojowników złapał przypadkiem woźnicę innego rydwanu. Zanim zdążyli coś z tym zrobić, jeden z pojazdów wywrócił się na bok, a Hawiusz wskoczył na niego i uniósł ręce w zwycięskim geście. Przy okazji wylał sobie wino na twarz.

Kosrozd patrzył jednak na coś, co działo się za plecami tłumu. Nie czekając dłużej, złapał Tisztry w pól i pociągnął za sobą do stajni.

— Co jest? — spytała, widząc, jak Hawiusz spada nagle z rydwanu.

— Żołnierze — usłyszała. — Cała centuria. Pod bronią.

— Pewnie tylko usłyszeli krzyki — warknęła Tisztry i próbowała wyrwać się Kosrozdowi.

— Powiedziałem, że są uzbrojeni. Wnieśli broń do Rzymu. To nie może być przypadek.

— Ale po co...? Dlaczego? — Zaczynała rozumieć pośpiech Kosroзда. — Co się właściwie dzieje?

— Nie wiem i nie mam ochoty zostawać tu, żeby się dowiedzieć — rzucił, gdy zniknęli w najbliższym wejściu do stajni. Tuż obok jakiś koń zarżał nerwowo, grzebiąc w pokrytej słomianym pyłem podłodze.

— Gdzie jest twój zaprzęg? Szybko!

W oczach Tisztry nie było jeszcze strachu, zaczynała jednak pojmować, że sytuacja musi być poważna.

— W następnym rzędzie boksów.

— Dobrze — mruknął, puszczając jej rękę. — A rydwan? Mój jest za mały.

— Po co rydwan? Co chcesz zrobić? — Chociaż wrzawa na zewnątrz jeszcze nie ustała, zaczęła odzywać się szeptem.

— Mam nadzieję, że uda nam się stąd uciec. Sądzę, że żołnierze zostali wysłani z naszego powodu... — Przerwał, nasłuchując.

Na zewnątrz coś trzasnęło rozgłośnie, tłum odpowiedział krzykiem.

— To bez sensu! Jesteśmy niewolnikami występującymi w cyrku. I cudzoziemcami. Niemal wszyscy tutaj są cudzoziemcami. Dlaczego ktoś miałby sądzić, że jesteśmy niebezpieczni? — Każdy argument podkreślała zamaszystym gestem.

— Spartakus zgromadził całą armię takich niewolników — przypomniał jej Kosrozd.

— Ale to było... wiele lat temu — odparła niepewna, kiedy właściwie doszło do słynnego buntu.

— Prawie sto — zgodził się Kosrozd. — Ale Rzymianie ciągle o tym pamiętają. Powinni pamiętać. — Spojrzał na rząd boksów. Zwykle czuwali tu stajenni, jednak tym razem mogli pobiec na dziedziniec. — Nikogo. Ruszajmy. Weźmiemy nasze konie. Może uda nam się dotrzeć do południowego placu treningowego, o tej porze jest pusty. Spróbujemy wyjechać boczną bramą. — Planując głośno ucieczkę, pomyślał, że jeśli tylko starczy im czasu, powinno się udać.

— Myślisz, że nie będzie strzeżona? — spytała Tisztry. — Być może ucieczką tylko pogorszymy swoją sytuację.

Wrzawa na zewnątrz zmieniła się. W dotąd radosnych krzykach dała się wysłyszeć panika.

Kosrozd chwycił Tisztry za ramię i pociągnął ją między boksami. Hałas na zewnątrz narastał.

— Szybko! — Byli już blisko miejsca, gdzie znajdowały się jej konie.

Zwierzęta stawały się niespokojne. Kręciły się, rżały, kilka kopało drzwi. Hodowane dla areny, były zwykle też temperamentne, czasem wręcz nieprzewidywalne i potrafiły zaatakować bez ostrzeżenia. Kosrozd znał je dobrze i wiedział, że może polegać na zaprzęgu Tisztry. Jej konie nie wpadały łatwo w panikę.

W drzwiach na drugim końcu budynku pojawiło się kilka postaci, dały się słyszeć stłumione odległością krzyki.

Oblicze Tisztry nagle pojaśniało.

— Możemy wypuścić konie. — Bułan w sąsiednim boksie zaczął uderzać rytmicznie w furtę. — Gdy je uwolnimy, to...

— Najpierw przebiegną po nas — dopowiedział Kosrozd, zmagając się z zamknięciem pierwszej furty. — No i żołnierze zaraz tu przyjdą.

Tisztry westchnęła.

— Czego oni chcą? Po co przyszli? Nie sądzisz chyba, że...

Ponad ogólną wrzawą dało się słyszeć przeciągłe i pełne bólu

wycie. Kosrozd zamarł na chwilę i dreszcz przebiegł mu po grzbiecie.

— Essedariusze dopadli Hawiusza — powiedziała Tisztry, chociaż sama w to nie wierzyła.

— Nie sądzę. — Kosrozd zacisnął zęby i wysunął w końcu rygiel. — Jak sprawuje się w trudnych chwilach? — spytał, wskazując stojącego spokojnie w środku kasztana.

— Dobrze — odparła z dumą Tisztry. — Występuje od pięciu lat i nigdy nie miałam z nim kłopotów. Mogę owinąć go nogami i zwisnąć mu pod brzuchem w pełnym galopie. Nie ponosi go. — Pogłaskała zwierzę po ciemnych i wilgotnych nozdrzach.

— Oby nie. Co z innymi?

— Czarny, po drugiej stronie, jest bardzo spokojny. — Rysy twarzy jej złagodniały. Czarny był pierwszym potomkiem ogiera, którego dostała sześć lat wcześniej od Sanct' Germaina. Silny i wytrwały jak on, jako łżejszy był jednak szybszy. — Poniesie cię, jak długo będzie trzeba.

— Wsiadaj więc. Czy dam radę kierować czarnym głosem, czy muszę mieć wodze?

Ktoś biegł centralnym korytarzem stajni, w drzwiach tłoczyły się następne postacie. Na zewnątrz panował hałas tak potężny, że trudno było się usłyszeć. Kosrozd pobiegł do ogiera, nie wiedząc, co odpowiedziała mu Tisztry.

Dziewczyna wciągnęła się na grzbiet konia, jedną ręką złapała za grzywę, nogami ścisnęła mocno boki. Komendą w rodzinnym języku skłoniła do wyjścia z boksu i biegu ku zamkniętej bramie na przeciwległym końcu, gdzie nie było jeszcze ludzi. Z drugiej strony tłum wdierał się coraz dalej, słychać też było drewno pękające od uderzeń końskich kopyt. Rzenie oszalałych ze strachu i pragnących uciec zwierząt zwiększało jeszcze zamieszanie. Jej wierzchowiec też był przerażony i starała się uspokoić go czułymi słowami, których

pewnie nie słyszał w tym hałasie.

Kosrozd miał właśnie wskoczyć na czarnego i pogalopować za Tisztry, gdy nagle dobiegł go przeszywający jęk pękającego drewna i brama na końcu stajni, ta właśnie, przez którą zamierzali uciec, runęła do środka, gubiąc przy tym i wyginając masywne zawiasy. Zaraz pojawili się wbiegający do środka żołnierze. Tisztry wjechała wprost na nich, nie mając czasu, by wyhamować spłoszonego konia. Zbrojni zastawili się pikami, które wbiły się w ciało zwierzęcia. Wierzchowiec upadł, przygniatając Tisztry.

Kosrozd bez namysłu wraził pięty w boki czarnego, zdecydowany uwolnić ją, nim będzie za późno. Koń zatańczył pod nim i położył uszy po sobie, ostatecznie jednak ruszył niepewnie. W szerokim korytarzu kręciły się teraz także inne wierzchowce, stając na tylnych nogach i wierzgając, gdy ktoś podszedł za blisko.

Koń Tisztry ruszał jeszcze kopytami, ale były to już tylko agonalne drgawki. Krwawił z wielu głębokich ran. Żołnierze zebrali się akurat obok, aby ustawić się w zwarty szyk.

Czarny dobiegł prawie w zasięg pik, potem skręcił, rżąc głośno i zarzucając łbem.

— Dalej! — krzyknął Kosrozd, ponownie ściskając zwierzę piętami.

— Ty tam! — krzyknął jeden z żołnierzy. — Zatrzymaj się i zsiadaj!

— Odsuńcie się od mojej towarzyszki! — odpowiedział im niewolnik.

Do przodu przepchnął się oficer z grzebieniem centuriona na hełmie i uniósł laskę, wskazując na Kosrozda.

— Zsiadaj z konia i poddaj się mojemu zastępcy. — Skinieniem pokazał właściwego żołnierza. — I złaż nam z drogi.

Ten zeskoczył z konia i szybko odsunął się poza zasięg jego kopyt, gdy rumak najpierw stanął dęba, potem cofnął się przed żołnierzami i pognął z powrotem ku centrum zamieszania w głębi stajni. Ignorując

rozkaz centuriona, Kosrozd przepchnął się między żołnierzami do konia Tisztry. Widział jej głowę i rękę wystające spod ciała zwierzęcia. Leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Ujął w dłonie koński łeb i pociągnął.

— Zostaw — rzucił raczej życzliwie jeden ze zbrojnych. — Potem po nią wrócimy. Jej nigdzie się już nie spieszy.

Kosrozd odtrącił zdecydowanie rękę, która chciała go powstrzymać, i spróbował raz jeszcze, przywołując wszystkie siły.

Żołnierz, który go zaczepił, patrzył z niedowierzaniem, jak koński zewłok zsuwa się z ciała dziewczyny, uwalniając ją ostatecznie od swego ciężaru.

— Na bliźniaki! — zakrzyknął, nie wierząc własnym oczom.

Kosrozd pojął natychmiast, że popełnił błąd. Saint Germain ostrzegał go nie raz, aby unikał okazywania swej rzeczywistej siły, znaku charakterystycznego wszystkich jego krwi.

— Nie było tak trudno — spróbował złagodzić efekt. — Leżał nierówno i starczyło pociągnąć. — Nie była to prawda, ale miał nadzieję, że żołnierz nie przyglądał się dość uważnie. Przyklęknął i położył dłoń na czole towarzyszki. — Tisztry?

Nie zareagowała. Leżała bezwładnie, z jedną nogą, najpewniej złamaną, ciągle pod końskim korpusem.

— Musimy iść — powiedział zastępca centuriona, ściskając mocno ramię Kosrozda, który musiał się opanować, aby nie rzucić się na żołnierza, co byłoby w tych okolicznościach czystym szaleństwem.

— Ta kobieta żyje — powiedział cicho, ale ze złością. — Trzeba się nią zająć. Mój pan nie chciałby, abym porzucił innego jego niewolnika. — Założył ręce na piersi w sposób, jakiego uczył go kiedyś stryj odpowiedzialny za wychowanie przyszłego wodza.

Podziałało. Zastępca dowódcy rzucił okiem na Tisztry, potem znowu spojrzał na Kosrozda.

—Jeśli zostaniesz tu z jednym żołnierzem, spróbuję znaleźć medyka. Przy próbie ucieczki żołnierz zabije najpierw ją, potem ciebie. — Obrócił się i wyszedł na zalany słońcem dziedziniec.

Oddział pacyfikujący stajnię spychał niewolników i konie na drugi koniec korytarza. Towarzyszył temu potworny zgiełk, trudniejszy do zniesienia niż ryk oszalałych od zapachu krwi panter. Kosrozd odwrócił się plecami do kotłowniny i ponownie przyklęknął przy Tisztry. Teraz mogli liczyć tylko na Aumtehoutepa. Jeśli Egipcjanin widział żołnierzy, na pewno zaalarmuje czym prędzej swego pana.

Patrzył na muchy zlatujące się do rozlanej krwi, gdy poczuł nagle, że dłoń Tisztry drgnęła i zacisnęła się lekko na jego palcach. Westchnienie ulgi wyrwało mu się z piersi.

List od niewolnika Jadeusza do jego brata Nahuma:

W imię Jezusa, który był Chrystusem, witam Cię bracie.

Może potrwać, zanim mój list do Ciebie dotrze, ponieważ trudno jest przemycić cokolwiek z naszych pawilonów. Nawet w nocy, która jest jedyną porą, gdy można w ogóle próbować. Nie przejmuj się więc opóźnieniami. Widać tak musi być i nie nam oceniać Jego Wielki Plan.

Jeziro zastało już osuszone, przez co mniej jest owadów, zwłaszcza tych najgorszych. Niektórzy niewolnicy zdążyli jednak dostać gorączki i trzeba ich będzie przed końcem lata zastąpić nowymi. Jest tu bardzo wielu Żydów różnych zawodów i przekonań, jednak chrześcijan tylko garstka. Zapewne dlatego, że mało kto z nas przyłączył się do powstania w Jerozolimie. Ci, którzy to uczynili, zasłużyli na potępienie za poszukiwanie ziemskiej sprawiedliwości w miejsce osądu Niebios. To wiadomość, którą pragnę przekazać moim współwięźniom. Tak brak im nadziei, że byłoby błędem z mojej strony nie podzielić się z nimi obietnicą, którą niesie nasza wiara.

Ułożyliśmy już pierwsze kamienie fundamentów i chociaż mało co wystaje na razie ponad poziom ziemi, już gromadzą się wkoło żebracy, stare prostytutki i adepci wszelkich sztuk zakazanych. Większość z nich wydaje się dumna z miejsca swego zamieszkania, które już teraz zwać cyrkiem Flawiusza, chociaż minie jeszcze wiele lat, zanim odbędą się tu pierwsze igrzyska. Chciałbym móc pójść między tych ludzi i uświadomić im, jak ciężko błądzą, i opowiedzieć o radości, jakiej zaznają, jeśli przyjmą wiarę naszego Pana. Niestety, niewolnikom nie wolno z nimi rozmawiać i podejmowanie po temu prób byłoby niebezpieczne. Chyba że za jakiś miesiąc, gdy strażnicy przestaną być tak czujni. Może nawet znajdę kogoś, kto pomoże nam w utrzymaniu kontaktu listowego. Ale to dopiero w przyszłości, jeśli Bóg pozwoli.

Często myślę o Tobie oraz naszych Braciach i Siostrach w wierze w naszego Pana. Tyle było między nami miłości podczas ostatniego nabożeństwa. Musisz przekazać siostrze Filomenie, że jej gotowanie przypadło do serca Panu naszemu, a miłości, którą potem się obdarzyliśmy, nie zapomniałem aż do teraz. Nie godzi się oczywiście wyróżniać jednej osoby z naszego grona ponad inne, bo to sprzeczne jest z naukami Pana naszego, jednak siostra Filomena zachwyca mnie jak żadna inna. Siostra Jeremia besztala mnie i mówiła, że Pan nasz nie pochwala mnie za to. Miała rację. Jeśli mam uzyskać Jego Łaskę, nie mogę ograniczać swej miłości do jednej osoby i winien otrzymać ją ode mnie każdy, kto jej zapragnie. Pomyśl o wielkiej miłości Pana naszego i Jego apostołów, z których każdego obejmował z tą samą pasją, znaną dawno temu greckim filozofom. Jeśli uda mi się kiedyś uciec z tej pełnej chorób dziury, poproszę siostrę Jeremię o wybaczenie i potem zlegniemy razem na całą noc. Brat Adrianus też jest tutaj, ale przydzielono go do innej grupy roboczej i nie widzujemy się często, lecz to może się jeszcze zmienić.

Ku wielkiej mej przykrości spotkałem tu także tych zepsutych uczniów Pawła i Tymoteusza, którzy choć zwać siebie chrześcijanami, trwają przy

praktykach będących odwrotnością nauk naszego Pana. Jeden z nich, niejaki Kefas, powiedział mi, że tkwimy w grzechu, a nasze życie godne jest pogardy. Uważa, że Pan nasz mówił wyłącznie o miłości ducha wyzwolonego z ciała, co nie może być prawdą. Próbowałem wyprowadzić go z błędu i wskazać mu słowa Pana naszego odnoszące się także do miłości cielesnej, i przekonać, że inne ich odczytanie jest zaprzeczeniem wszystkich Jego nauk i wielką niegodziwością, czynieniem zła największego w Jego imię. Ten biedny wyznawca Pawła jest szczerze przekonany, że powinien pościć, umartwiać swe ciało i odwrócić się od życia, myśli kierując tylko ku temu, co będzie w przyszłym życiu. Kobiety nazywa siedliskiem zła. Zła, rozumiesz? Twierdzi, że Jezus nigdy nie obejmował apostołów z miłości. Co gorsza, uważa, że tylko Paweł trafnie zrozumiał słowa Pana naszego. Mam nadzieję skłonić go, aby przejrzał na oczy i zrozumiał, w jak wielkim tkwi błędzie. Módl się za powodzenie moich wysiłków.

Bardzo tęsknię za Wami i naszymi nabożeństwami. Na razie nie mam na nie nadziei, ale nie wolno mi rozpaczać, bo byłoby to równe odrzuceniu Ducha Świętego. Nie wolno mi się zbliżyć do królestwa ciemności. Pamiętam o Was w moich modlitwach i dziękuję, że jesteście bezpieczni. Czas mnie wyzwoli, czy z kajdan, czy zmęczenia cielesnego. Wcześniej czy później znów się spotkamy. Wypowiedz moje imię podczas najbliższej wieczerzy weselnej i w Imię naszego Pana przypomnij o mnie wszystkim moim narzeczonym.

z Imieniem i Znakiem,

Jadeusz

drugiego dnia lipca 823 roku Miasta

i 71 roku Pana naszego

. 10 .

Mimo pozorów beztroski cesarz był człowiekiem bystrym i przenikliwym. Lata niepewnego losu nauczyły go tolerancji wobec jednych rzeczy i całkowitej niewzruszoności, gdy przychodziło do innych. Justus wiedział, że musi na to uważać, i dostosował swoje zachowanie do nastroju czcigodnego gospodarza.

— Budowa nowego cyrku postępuje bez problemów? — spytał, zainteresowany najukochańszym projektem cesarza.

Wespazjan przystanął, aby zerwać garść rosnących w ogrodzie winogron.

— Nie tak szybko, jak bym chciał, ale nieźle. Muszę przyznać, że ci Żydzi umieją budować. Gorzej, że bardzo nie lubią rzymskich obręczy niewolniczych. — Opadł na ławkę i zaczął jeść winogrona.

Justus chętnie poszedłby w jego ślady, ale wiedział, że nie byłoby to mile widziane. Stał zatem dalej przed cesarzem, ręce złączywszy na plecami.

— Cały Rzym mówi o nowym cyrku. Kiedy może być gotowy?

Wespazjan dał sobie chwilę na przełknięcie owoców.

— Architekci obiecują pięć lat, ale znam ich nie od dzisiaj. Co najmniej siedem. Może więcej. — Uśmiechnął się krzywo. — Tytus interesuje się budową tak samo jak ja. Gdyby były jakieś problemy, dokończy ją.

— Nie wolno ci tak mówić, cesarze! — oburzył się Justus. — Chyba zbyt wiele myślałeś o wydarzeniach z ostatnich lat. Przypomnij sobie jednak Augusta...

— August nie wdział purpury w tak późnym wieku. Mam sześćdziesiąt dwa lata. Czego ja nie zdążę dokończyć, dokończą moi

synowie. Albo nawet ich synowie. Dynastia Juliusza przetrwała dość długo, ale chcę, żeby dynastia Flawiuszów ją prześcignęła — dodał tonem kogoś, kto nie mierzy czasu życiem jednego pokolenia.

— Godne podziwu — powiedział z naciskiem Justus. — Rzym potrzebuje jednego przywódcy i jednego rodu na wiele, wiele lat. Tylko wtedy nasze imperium przetrwa. — Zaryzykował poruszenie bardziej osobistego wątku. — Gdy miałem przyjemność rozmawiać z Domicjanem, też była o tym mowa. Dobrze zrobiłeś, stawiając go na czele gwardii pretoriańskiej.

— Jak i odbierając mu to stanowisko i mianując na jego miejsce Tytusa — stwierdził cesarz, sięgając po nową kiść winogron.

Było ciepło, niemal gorąco i brzęczenie pszczół wypełniało ogród na podobieństwo kociego mruczenia.

— Domicjan nie protestował? — zdziwił się głośno Justus. Widział, jak bardzo już wcześniej zraniono dumę tego młodego człowieka, i obecne zdarzenie musiało jeszcze pogorszyć sytuację.

— Domicjan zawsze protestuje — rzucił cesarz i przerwał, aby wypluć pestki. — Narzeka, że musi żyć w cieniu Tytusa, ale jest przecież młodszym synem. Ma zapewnić ciągłość dynastii, a nie przewodzić. — Sądząc po tonie, Wespazjan nie uważał tego tematu za wart dyskusji.

Justus usiadł ostatecznie na ławce naprzeciwko cesarza.

— Wspomniałeś, że myślisz o pewnych zmianach. Przypuszczam, że o tym chciałeś ze mną rozmawiać.

— Oczywiście. Zawsze byłeś pomocny i wspierałeś moje... starania. Myślałem, że dobrze byłoby spędzić prywatnie kilka chwil z każdym senatorem, ale to niemożliwe, milsze mi też spotkania z tymi, którzy mnie wspierali, niż z przeciwnikami mojej sprawy. — Zerknął spod przymrużonych powiek na Justusa. — Ty pomagałeś mi prawie od początku. Ciekaw jestem dlaczego.

Justus zastanowił się nad wyjawieniem prawdy, ale ostatecznie postanowił trochę ją zmodyfikować.

— Na pewno była kwestia dostaw pszenicy, które dawały ci silną pozycję. Chociaż gdybyśmy mieli tu sprawnego cesarza, pszenica płynęłaby i tak. Zawsze można było skierować wojsko do jej sprowadzania. Wychodziło więc, że ludzie noszący purpurę nie wiedzieli, jak sprawować swój urząd. Ty zaś, przebywając w Egipcie, wiedziałeś. Przede wszystkim kierowałem się dobrem Rzymu, co wymaga silnego cesarza. Twoje działania pokazały, że jesteś właściwą osobą niezależnie od tego, skąd się wywiodłeś. O ile się nie mylę, twój ojciec był ekwitą i poborcą podatkowym?

— Tak — oparł niespeszony Wespazjan. — Nie kryję, że gdyby nie wyzwoleniec Klaudiusza Narcyz, nie miałbym szansy osiągnąć tego, co osiągnąłem. — Skończył winogrona i wyrzucił łydźki. — Podoba mi się twoja motywacja. Sugeruje, że jesteś człowiekiem rozsądnym, a niewielu takich w Rzymie.

— Też czasem tak myślę — zgodził się Justus, kiwając ze smutkiem głową. — Mam po temu powody, poważniejsze, niż może się zdawać. — Pozwolił sobie na chwilę zamyślenia. — Ale mniejsza z tym. Nie o tym mieliśmy rozmawiać.

— Do innych spraw też jeszcze dojdziemy—powiedział Wespazjan, zaintrygowany zachowaniem gościa, o co zresztą chodziło Justusowi. — Co miałeś na myśli?

— Z czym, cesarze?

— Wspominając, że masz poważne powody sądzić, że rozsądek nie jest tu w cenie? — Wytarł palce o skraj luźnej tuniki. Strój sięgał do kostek i miał długie rękawy, uszyto go z najcieńszej egipskiej bawełny. Wyróżniał go jedynie wąski purpurowy pas, należny cesarzom *angustus davus*. — O co chodziło?

— To osobista sprawa, cesarze. Nie godzi się rozmawiać o tym z

tobą — powiedział cicho, spuszczać wzrok.

— Osobista, powiadasz? Osobiste sprawy mogą wzruszyć niekiedy fundamenty cesarstwa. Powiedz, co cię tak poruszyło. — Usiadł wygodniej na marmurowej ławce, podciągając nogi i krzyżując je w kostkach. — Cesarz powinien interesować się sprawami ludu.

Justus ponownie się zawahał, potem niechętnie zaczął mówić.

— Wiesz, że mam młodą żonę?

— Oczywiście. Jej ojciec i bracia spiskowali przeciwko Neronowi, prawda? Synowie skończyli na galerach czy na arenie, ojciec został chyba ścięty. Matka mieszka z dala od Rzymu i poza twoją żoną została jeszcze jedna córka, jeśli pamiętam, przebywa gdzieś w Galii. Nie wróciłem tak całkiem niczego nieświadom, Justusie. Nie chcę, aby czas mego panowania był zależny od woli jakichś konspiratorów. — Spojrzał na gościa. — Ale co to ma do rzeczy?

— Jak wspomniałem, moja żona jest młoda... — Machnął niedbale ręką. — Ale to nic takiego, cesarze. Porozmawiajmy o twoich planach, upale albo flocie kotwiczącej w Ostii. Temat mojej żony wolałbym zostawić na boku. — Założył ramiona i przybrał zrezygnowany wygląd. W duchu był bardzo z siebie zadowolony. Nie miał wątpliwości, że Wespazjan będzie próbował zaspokoić ciekawość innymi sposobami i usłyszy ostatecznie dokładnie to, co zdaniem Justusa powinien usłyszeć. — Muszę przyznać — powiedział innym głosem — że nie rozumiem, dlaczego aresztowano w zeszłym miesiącu aż tylu niewolników z cyrku. Bardzo się zdziwiłem, gdy mi o tym powiedziano.

Wespazjan przyjrzał się uważnie Justusowi i trwało chwilę, nim odpowiedział.

— Wydawało się to właściwym posunięciem — stwierdził chłodno. — Jest ich wielu i potrafią walczyć, mówią różnymi językami. Mają swoje sposoby na przekazywanie wiadomości. Wiem, bo moi ludzie

też z nich korzystali. Wiem też, że jest kilka rodów, którym nie podoba się, że cesarzem został syn poborcy podatkowego. Nie mogą wykorzystać legionów, które muszą pozostawać poza Rzymem, chociaż słyszałem, że w legionie spod znaku pioruna narasta od pewnego czasu niezadowolenie. W tej sytuacji moi przeciwnicy mogliby sięgnąć po niewolników cyrkowych, którzy są praktycznie gotową do wykorzystania armią.

Większość Rzymian zna ich i uwielbia. Nie chciałbym walczyć z taką siłą. Pięćdziesięciu gladiatorów i tyluż rydwanników, trochę esedariuszów zdolnych rozbić kwadrat i sieciarzy do wyłapania pojedynczych żołnierzy... To byłaby zabójcza siła, zdolna w ciągu paru miesięcy powalić Rzym na kolana. — Pochylił się ku rozmówcy, a rysy twarzy jakby mu stwardniały. — Być może uważasz, że przesadziłem z ostrożnością, decydując się na tak niepopularny krok, ale zapewniam cię, że było to konieczne. Rzymska arystokracja musi zrozumieć, że zamierzam pozostać na tronie i zostawić go mojemu synowi i jego synom. Nie pozwolę, aby ktoś nam w tym przeszkodził. Wiem, że chętnie poddaliby mnie próbie, ale tym razem to ja wykonałem pierwszy ruch. Nic lepszego nie mogłem uczynić, chyba żebym otwarcie oskarżył o zdradę członków starych i szanowanych rodów. Nie chcę kolejnego roku czterech cesarzy.

— Ale na pewno pojawią się protesty. Tacy niewolnicy sporo kosztują, wielu traktuje ich jak poważną inwestycję...

— Nie byłbyś skłonny poświęcić paru czy parunastu niewolników, aby odsunąć od siebie podejrzenia? — Cesarz zachichotał nieprzyjemnie. — Większość dobrze urodzonych Rzymian upewnia się teraz gorączkowo, że ich niewolnicy też zostali aresztowani. Trudno o lepszy dowód niewinności. Ostatecznie każdy pan ma prawo ukarać niewolnika za bunt. — Machnął na pszczołę, która podleciała zbyt blisko jego twarzy.

—A co z prawem zakazującym okrutnego traktowania niewolników? Mogą zaskarżyć swoich panów. — Justus wiedział, że zasady ustalone przez boskiego Juliusza nie odnosiły się do podobnych sytuacji, ale senat mógł spróbować innej ich interpretacji.

— To możliwe, ale jak mieliby się bronić? — spytał Wespazjan z pełnym satysfakcji uśmiechem. — Niech stwierdzą, że ich niewolnicy nie próbowali się buntować. Jak tego dowiodą? Każdy, kto walczy na arenie, jest zabójcą. Nie umie nic więcej, ale to znaczy, że wart jest więcej niż czterech żołnierzy z dowolnego legionu. Żaden regularny oddział nie chciałby walczyć ze zbuntowanymi gladiatorami i rydwannikami. Chyba mało kto byłby skłonny się ze mną nie zgodzić — dodał z lekkim uśmiechem.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — stwierdził ostrożnie Justus. — Jeśli nie, podniesie się wielka wrzawa przeciwko tobie. — Przybrał współczujący wyraz twarzy i spojrzał na cesarza badawczo. — Były już jakieś sprzeczki?

— Oczywiście — przyznał bez skrępowania Wespazjan. — Ale niewiele ze strony patrycjuszy. Najgłośniej protestuje wyzwoleniec Chylos, bo zarabia na nich krocie. Ponieważ sam też był gladiatorem i wywalczył sobie wolność, poprosiłem pretorianów, aby zbadali sprawę. Postanowiłem uczynić go obywatelem, co powinno ułatwić śledztwo. Tytus to zaproponował.

— A poza nim? — Znając nazwiska niezadowolonych, Justus mógłby wykorzystać tę wiedzę do własnych celów.

— Reszta to głównie cudzoziemcy, i tu jest pewien szkopuł natury prawnej, który musimy dobrze rozegrać. Poprosiłem senat, aby się nad tym zastanowił. Ponad piętnastu należy do Greka Hektora z Epiru. Ten Dak, Franciskus, ma tam czterech. Szabiran z Cyreny około dziesięciu. Niedobrze byłoby wypuścić ich niewolników, ale zgodnie z prawem musimy udowodnić, że buntowali się przeciwko

właścicielom, co w tym przypadku...

— Zawsze można rozciągnąć oskarżenie także na właścicieli, co rozwiązałyby problem — wtrącił się Justus, kiwając ze zrozumieniem głową. — Jeśli jednak nie da się udowodnić, że działali na szkodę Rzymu, trzeba by dowieść, iż ich niewolnicy wykonywali rozkazy osób trzecich, a to byłoby już trudne. — Uśmiechnął się jak ktoś doświadczony w podobnych sprawach. — Niezręczna sytuacja, cesarze, ale jestem przekonany, że da się znaleźć sposób zarówno na niewolników, jak i ich panów. Przychodzi mi nawet coś do głowy, ale to wymagałoby czasu.

Wespazjan nie krył zainteresowania. Usiadł prosto i spojrzał na Justusa.

— Słucham.

— Właściciele, których wymieniłeś, nie należą do dworu, chociaż Hektor i Franciskus utrzymują, że mają arystokratyczne korzenie. Na pewno jednak nie są powinowatymi władców. Wszyscy trzej utrzymują kontakty z obcymi kupcami. Wydaje się pewne, że przynajmniej niektórzy z tych kupców robią interesy z ludźmi będącymi jawnymi wrogami Rzymu-. To mogłaby być podstawa do oskarżenia tych ludzi o związki z wrogami Rzymu, za co wyrok jest jeden, a niewolnicy skazanych trafiają na arenę. Tyle że zebranie potrzebnych informacji musiałoby trochę potrwać.

— Zmyślne — powiedział powoli Wespazjan. — Miast prześladowcą cudzoziemców, którzy poszukali u nas schronienia, staje się obrońcą Rzymu, walczącym z obcymi spiskami. — Z chytrą miną zastanowił się nad propozycją. — Jednak samo przedstawienie takich związków nie będzie dowodem na wrogą działalność.

— Gdyby się okazało, że agenci handlowi i kupcy, przez których te kontakty się odbywały, z jakiegoś powodu nie żyją, nie dałoby się dowieść, że takiej działalności nie było. — Justus postanowił

zaryzykować. Gdyby cesarz przyjął jego plan, oznaczałoby to bezpieczną pozycję na dworze. Po czymś takim Wespazjan nie byłby skłonny odwrócić się od niego. Wiedza o tym, że ktoś świadomie skazał niewinnych, zawsze miała swoją wagę. Justus usiadł wygodniej. Miał nadzieję, że nic z tych myśli nie odbija się na jego obliczu.

— Nie żyją — powtórzył cicho cesarz, wpatrując się w jakiś punkt poza opłotami winorośli. — To niebezpieczne.

— A czy jest jakiś bezpieczniejszy sposób, cesarze? — Obawa, że cesarz odrzuci pomysł, nadała jego głosowi zalęknione brzmienie, co rozmówca zinterpretował jako wyraz troski o władcę.

— Zapewne masz rację. Jak sądzisz, ile może potrwać zbieranie informacji? — Wpatrywał się uważnie w Justusa. — Z zachowaniem szczególnej ostrożności, naturalnie.

— Sześć do ośmiu miesięcy powinno wystarczyć — odparł Justus takim tonem, jakby tylko komentował cudzą koncepcję. — Jeśli zlecisz poszukiwania swojemu synowi, który jest prefektem pretorianów, ograniczy to krąg wtajemniczonych. Gdy przyjdzie do przygotowania dokumentacji, ludzi bezpośrednio prowadzących śledztwo mogą spotkać nieszczęśliwe wypadki. Nikt nic nie wie, czysta sytuacja, żadnego ryzyka, cesarze.

— Nikt, oprócz ciebie — powiedział Wespazjan, unosząc brew.

— Oczywiście, cesarze... — Justus poblądł i wstał niepewnie. — Rozumiem. Obawiasz się, że działam dla własnej korzyści, i chcesz mnie usidlić. Trudno. Oddałem Rzymowi wiele lat służby i nie zawaham się oddać też życia.

Wespazjan znowu zachichotał.

— Siadaj, Justusie. Na strzały Apolla, siadaj już. — Poczekał, aż gość zajmie znowu miejsce na ławce. Teraz siedział jednak sztywno, z czujnym obliczem. — Daruj sobie podobne przedstawienia. Wiem, że

dążysz do władzy. W rodzie Syliuszów to normalne. Nie ma nic złego w podobnych pragnieniach, jak długo robi się z nich dobry użytek. Gdybyś marzył o purpurze, byłby między nami zgryz, jednak sądząc po okazywanej pomocy, to nie ten przypadek. Jeśli wystarczy ci kilka wyróżnień oraz członkostwo w mojej prywatnej radzie, dojdziemy do porozumienia. Chciałbym wcielić twój plan w życie, jeśli jednak ty nie zaakceptujesz mojej oferty, będę musiał go odrzucić, chociaż jest naprawdę dobry. Bystry jesteś, Justusie, i utrzymujesz się w senacie od wielu lat. Przyda mi się twoja rada i pomoc. Uważam, że mogę się od ciebie sporo nauczyć. Naprawdę, nie dziw się. — Oparł łokcie na kolanach i pochylił się w stronę rozmówcy. — Zastanów się, Justusie. Możesz znaleźć się bardzo blisko mnie, zaraz po moich synach. Potrzebuję kogoś takiego jak ty. Będziesz miał wielką władzę. Jeśli zapragniesz się wzbogacić, nie będę miał nic przeciwko temu, byłeś nie folgował chciwości.

— Cezarze — zaczął Justus, zaniepokojony trafnością domysłów Wespazjana. — Słusznie zakładasz, że chcę władzy. Zbyt wiele razy przyglądałem się bezsilnie, jak rujnowano ten kraj. Jestem już bogaty i nie myślę o przejmowaniu dla siebie cudzych majątków czy dóbr, ale gdybym miał tobie doradzać, oczekiwałbym czegoś w zamian.

— Co by to miało być? — spytał sceptycznie cesarz.

— Wcześniej pytałeś mnie o moją żonę. Jak wiesz, mieszkamy osobno. Nie zdobyłem jeszcze na to wystarczających dowodów, ale jestem przekonany, że ma wielu kochanków, a niewolnicy plotkują o jej rozwiązłości. Gdy będę miał podstawy, aby się z nią rozwieść, czy skłonny byłbyś poprzeć moje małżeństwo z jedną z twoich kuzynek?

— Czy koniecznie z linii dziedziczącej? — spytał z uśmiechem Wespazjan. — Jeśli chcesz związać się z rodem Flawiuszów, wystarczy ci zapewne dziewczyna z małym posagiem?

— Jak powiedziałem, jestem bogaty. Sojusz jest dla mnie ważniejszy

niż pieniądze. Jeśli zbadasz sprawę, przekonasz się, że po ślubie przekazałem sporą sumę rodzinie mojej żony — dodał tonem skromności i odchrząknął. — Wspomniałeś, że chcesz zapewnić purpurę wielu pokoleniom Flawiuszów. Skoro tak, chcę aby ród Syliuszów znalazł się blisko źródła chwały. Jak wiesz, nie mam dzieci, jednak gdyby wspomniana kuzynka okazała się nie tylko zdolna do zamięscia, ale i płodna, z czasem ród Flawiuszów stałby się dla mnie równie ważny jak własny.

— Chciałbyś, żeby twoje dzieci zyskały prawo do sukcesji tronu? — Cesarz przyjrzał się Justusowi i pokiwał głową. — Dobrze. Popytam w rodzinie. Jeśli znajdzie się odpowiednia kuzynka, dam ci znać. Gotów będę uczynić jej dzieci potencjalnymi spadkobiercami po moich synach. Czy to cię zadowala?

Justus był zachwycony, nie śmiał jednak okazać swojej radości. Wszystko to pasowało idealnie do jego planów. Wespazjan miał dwóch synów, ale dalszych potomków jak na razie brakło i trudno było przesądzać, czy się pojawią. Gdyby na dodatek Tytus i Domicjan nie dożyli przejęcia tronu, wówczas to jego dzieci, dzieci Korneliusza Justusa Syliusza, nosiłyby purpurę. Milczał przez chwilę, jakby głęboko się zastanawiał.

— Zgoda. Chętnie na to przystanę. Jednak zanim zrobię cokolwiek, muszę zamknąć obecne małżeństwo. Moja żona bardziej nadawałaby się do lupanaru niż domu patrycjusza, ale nie mam w ręku nic oprócz jej półsłówek i szeptania niewolników, którzy nie mogą zeznawać przed sądem. Daj mi czas na przeprowadzenie rozwodu z Oliwią, a potem wrócimy do tematu.

Wespazjan wstał.

— Wspaniale. Widzę, że dobrze się rozumiemy. — Klepnął Justusa po ramieniu. — Czekam zatem na wiadomość, wcześniej jednak rozejrzę się w sprawie kuzynki. Może to skłoni cię do skuteczniejszego

postępowania z żoną. Gdyby zażądała spłaty, nie rób sprawy, tylko daj, ile będzie chciała, i uwolnij się od niej.

Justus westchnął ciężko.

-Już jej to proponowałem, ale odmówiła. Powiedziała, że nie da mi tej satysfakcji. Nie chce rozwodu.

Cesarz otarł strużkę potu z czoła.

— Może warto spróbować raz jeszcze? Zwłaszcza teraz, gdy już wiesz, że rozwód ci się opłaci? — Pytanie zawisło w przesyconym zapachami owoców powietrzu między nimi.

— Spróbuję. Chociaż niełatwo okrywać kogoś niesławą. — Wiedział, że nie może okazać przesadnej gorliwości w tej sprawie. Choćby żona była nawet największą nierządnicą, rzymski mąż winien tolerować większość jej zachcianek. Niewłaściwe zachowanie mogłoby zniechęcić Wespazjana do późniejszego oddania mu kuzynki.

— To jej niesława, nie twoja. — Cesarz ponownie poklepał Justusa. — Czekam na ciebie za trzy dni. Wtedy znowu porozmawiamy. — Odwrócił się i odszedł po wyłożonej mozaiką ścieżce do zachodniego skrzydła Złotego Domu.

Patrząc za nim, Justus po raz pierwszy zdobył się na uśmiech.

List do cesarza Tytusa Flawiusza Wespazjana od Herkulesa Enniusza Peregriniana, trybuna Legionu Marsowego stacjonującego w Amisos w Poncie:

Do cesarza 'Wespazjana i senatu w Rzymie, ave:

Dziwna sytuacja się tu wytworzyła i choć mogłaby się wydać komiczna, należy potraktować ją z całkowitą powagą, może bowiem okazać się groźna. Pojawił się tu człowiek twierdzący, że jest cesarzem Neronem. Powiada, że wieść o jego śmierci była kłamstwem i że nie popełnił samobójstwa, tylko uciekł z Rzymu, zanim zdrajcy z jego świty zdołali go

zglądzić. Udać się miał do Grecji, gdzie tak został doceniony i gdzie wspominano go z miłością, i pozostawał tam aż do wyniesienia Wespazjana, kiedy to uznał, że musi się przenieść gdzieś dalej od wielkich rzymskich garnizonów. Dotarł więc tutaj z zamiarem zebrania oddziałów złożonych z jego wiernych poddanych, z którymi mógłby wrócić do Rzymu i obalić tego, kto jego zdaniem wdział purpurę nielegalnie.

Wiecie, jak lud kochał Nerona i że miłość ta urosła, miast osłabnąć, przez pięć lat, które minęły od jego śmierci. Podczas gdy wcześniej był bohaterem, teraz uchodzi niemal za boga. Tutejsi, zarówno Rzymianie, jak i rodowici mieszkańcy Pontu, chętnie za nim idą. Nawet w naszym legionie zdarzają się tacy, którzy pozdrawiają go niczym cesarza. Wielu z nich nigdy nie widziało Nerona, a tylko nieliczni mieli kiedykolwiek bliższy kontakt z byłym cesarzem, mnie wszakże zdarzyło się kiedyś lepiej go poznać. Dlatego właśnie, szanowny cesarzu i równie szanowny senacie, przebywam obecnie w Poncie, miast zawierać korzystne przyjaźnie w Rzymie. Mam nadzieję, że będziecie pamiętać o tym, gdy sprawa się rozwiąże.

Jak wspomniałem, poznałem Nerona i mogę powiedzieć, że człowiek, który podaje się za niego, ma jego spojrzenie. Włosy ma ciemne raczej niż jasne, ale to drobniejsza sprawa. Nie jest tak wysoki i nie gra tak dobrze na lirze jak Neron, nie zna też wszystkich pieśni i eposów, które Neron śpiewał. Mówi po grecku z akcentem mezyjskim, nie zaś na sposób ateński, co cechowało kulturalną grekę Nerona. Niemniej tym, którzy nigdy go nie znali, nie robi to różnicy.

Uważaj, Wespazjanie, ten człowiek może być niebezpieczny. Jest inteligentny i przebiegły. Chce przejąć tron. Już teraz nosi purpurowe pasy na odzieży, jakby miał do tego prawo, i nikt nie śmie mu tego zakazać. Pomyśl o tym i zdecyduj, co robić. Być może nie przejmiesz się tym samozwańcem, ale ostrzegam, że byłby to błąd. Jeśli legjony na Wschodzie poprą jego żądania, może mieć to poważne konsekwencje dla rodu

Flawiuszów. Przypominam, że to legiony wyniosły do władzy Galbę, Otona i Witeliusza, Ty zaś wdziałeś purpurę dzięki legionom egipskim. Legionom i pszenicy. Może Ci się wydawać niemożliwe, żeby ten człowiek spowodował jakieś kłopoty, mówię Ci jednak, że jest do tego zdolny. Jego siły rosną z każdym dniem i niewiele możemy z tym zrobić bez pomocy Rzymu. Ukarz go przykładnie, jeśli nie chcesz pojawienia się kolejnych fałszywych Neronów, przypominających ludowi ukochanego cesarza, którego śmierć wywołała taką żałobę w Rzymie.

Prześlij rozkaz, co czynić, i zrób to jak najszybciej. Rozumiem, że zbliża się zima i niewiele statków przybędzie tutaj przed wiosną, ale potrzebujemy pilnie Twojej pomocy. Każdy dzień opóźnienia oznacza wzrost jego szeregów. To pilna potrzeba i realne zagrożenie.

Spisane własnoręcznie

*dwudziestego czwartego dnia października w 823 roku Miasta,
w garnizonie legionu Marsowego w Amisos.*

Trybun Herkules Enniusz Peregrinian

Z różnych miejsc sali dobiegły oklaski i Sanct' Germain wstał od harfy, dziękując słuchaczom ukłonem i na egipski sposób przyciskając prawą dłoń do piersi. Harfa, jego maniery, biżuteria i strój, nawet pieśni, które śpiewał, wszystko miało tego wieczoru egipski klimat.

Gospodarz zażądał więcej wina, potem zawołał przez całe pomieszczenie do Saint Germaina:

— Wspaniale! Nawet w Egipcie nie słyszałem nigdy czegoś podobnego!

— Proszę mi wybaczyć, Tytusie, ale w Egipcie jest wiele rzeczy, o których Rzymianie nigdy nie słyszeli — odparł Sanct' Germain, zwracając się do starszego syna cesarza.

— Na to wygląda. — Tytus upił wina. — Proszę, zaśpiewaj jeszcze jedną. Świetnie się ciebie słucha. — Nie był to dokładnie cesarski rozkaz, jednak wyraz goszczący na przystojnym obliczu Tytusa jasno dawał do zrozumienia, że odmowa nie wchodzi w grę.

Saint Germain spojrział na cesarskiego syna i uznał, że lepiej będzie nie przesadzać z posłuszeństwem. Nie chciał, aby dziedzic Wespazjana uznał, iż może nakazać wszystko, co mu się zamarzy. Sanct' Germain już wiele razy przekonał się, że zbytnia uniżoność wobec królów i imperatorów przynosi opłakane skutki.

— Sądzę, że zamiast zanudzać twoich gości kolejnymi egipskimi pieśniami, przedstawię im coś znajomego. Oto rzymska pieśń, którą napisał podobno Gajusz Waleriusz Katullus, chociaż czy naprawdę on jest jej autorem, trudno już dzisiaj powiedzieć.

Pewna kobieta w niemal przezroczystej stoli spojrzała na Tytusa znad swojego nagiego ramienia.

— Ale on jest taki smutny — zaprotestowała. — Ciągłe tylko cierpienie, cierpienie i cierpienie. Czy on nie mógłby zaśpiewać jakiegoś utworu Owidiusza? Owidiusza lubię.

Tytus spojrział pytająco na Sanct' Germaina, zwłaszcza że jeszcze kilka osób poparło kobietę.

— I co?

— Chyba uda mi się znaleźć pieśń, która nie będzie przygnębiająca — powiedział z lekkim uśmiechem Sanct' Germain. Nie zamierzał zniżać się do gustów ucztujących. — Nie da się zaprzeczyć, że Owidiusz jest wspaniały, jednak nie zostawia wielkiego pola wyobraźni. Wypowiada zwykle wszystko już w pierwszych wersach i potem nie dodaje tak naprawdę nic nowego. Katullus miał więcej do powiedzenia.

Mimo protestów większości z grupy siedemnaściorga Rzymian Tytus skinął przyzwalająco i ponownie się ułożył.

— Jak chcesz, Sanct' Germain. Zaśpiewaj jedną z tych ponurych pieśni Katullusa.

Reszta gości wzięła przykład z cesarza i tylko kobieta, która pierwsza zgłosiła protest, zrobiła nadąsaną minę i naląła sobie wina.

Sanct' Germain patrzył na nich przez chwilę, trącając struny harfy tak delikatnie, że nie było prawie słycać ich dźwięków. Potem oparł instrument o ramię i zaczął śpiewać.

Czemuż, Lesbio, tak czuła miłość mnie dręczy?

Jakaż złośliwa słodycz twej magii sprawia,

Ze jedno przytulenie zaczyna torturę?

Ma miłość jest jak łachman podarty na wietrze:

Twoja obietnica pali mnie do głębi

I każdy twój dotyk odziera mnie z ciała.

Początkowa melodia była prosta, ale i to starczyło, aby wzbudzić zainteresowanie Tytusa. Goście też przestali się wiercić i spoglądać na Franciskusa z potępieniem. Gdy przykuł już ich uwagę, sięgnął do bardziej skomplikowanych akordów, chociaż nadal śpiewał w zwykłym, deklamacyjnym stylu.

*Jednak cóż wolność jest warta, gdy równać
Ją do szaleństwa mej namiętności?
Jaka rozkosz może równać się z tym cierpieniem?
Jaka radość daje bukiet bogatszy niżli ten ból?
Niech twoja miłość mnie strawi całego,
Wyrastając wysoko na własnych popiołach.*

Goście umilkli, a posługujący stali bez ruchu pod ścianami. Słysząc było tylko głos Saint Germaina i brzmienie strun jego harfy. Nikt się nie poruszał, nikt nie pił.

Pierwsza wariacja była lekka i odrobinę szydercza, z wysokimi tonami nawiązującymi flirt z jego głosem. W oczach gości pojawił się błysk zrozumienia, na twarzach wykwitły zmysłowe uśmiechy. Druga wariacja była gniewna i pełna dysonansów, harfa oskarżała go, gorzko wypominając każdą wyśpiewaną głoskę. Słuchacze byli zaskoczeni, a jedna z kobiet jakby trochę zbladła. Bawiła się swoimi pierścieniami i słuchała. Trzecia wariacja okazała się pieszczotliwym lamentem, wznoszącym się z wolna błaganiem, w którym jego głos i dźwięki harfy splotły się w spiralnej kadencji, pobudzając się nawzajem do coraz głębszej, rapsodycznej rozpacz.

Gdy skończył, w pokoju zaległa całkowita cisza, jakby słuchacze nawet oddechem bali się zburzyć porządek pieśni. Dopiero gdy Tytus postawił głośno puchar na stole i wykrzyczał swoją aprobatę, reszta gości poszła za jego przykładem.

— Dziękuję, Tytusie — powiedział Sanct' Germain, stawiając harfę prosto. W jego ciemnych oczach igrał tajemniczy uśmiech.

— Wspaniałe! Wspaniałe! Chciałbym, aby rzymscy muzycy tak potrafili. — Wstał i zaczął kluczyć, aby dojść do podium, na którym Sanct' Germain stał niczym antyczny posąg odziany w kalasiris z trzech warstw sztywnego płótna. Syn cesarza potknął się o skraj podwyższenia i musiał się wesprzeć na ramieniu Sanct' Germaina. — Chciałbym to usłyszeć raz jeszcze.

— Spiszę to dla ciebie, jeśli chcesz. — Przesunął się lekko, tak że Tytus musiał puścić jego ramię.

— Nie, nie. Zapisowi zabraknie artyzmu. Ale spróbuję to zapamiętać, jak najlepiej potrafię. Szkoda, że wypilem tyle wina. — Przynął się do harfy. — Jest dość duża?

— O dwie dłonie wyższa ode mnie — powiedział szybko Sanct' Germain. — Jest bardzo stara i trzeba się z nią ostrożnie obchodzić.

Tytus, który chciał już przymierzyć się do instrumentu, uśmiechnął się niewyraźnie.

— To nie będę jej dotykał. Zdumiewa mnie, ile dźwięków potrafisz z niej wydobyć. Słyszałem harfy w Egipcie, oczywiście, ale żadna nie brzmiała jak ta.

Saint Germain uśmiechnął się.

— Moja jest niezwykła. Dostałem ją na długo przed przybyciem do Rzymu. — Nie rozwodząc się nad tym, skinął głową w stronę pozostałych gości. — Sądysz, że spodobają im się akrobaci, których sprowadziłem? Są naprawdę bardzo dobrzy.

— Akrobaci? — powtórzył zdumiony Tytus. — Naprawdę masz dla nas coś jeszcze?

— To moi niewolnicy, bardzo utalentowani. Pomyślałem, że mogliby was zabawić. Jest ich czterech. Zwykle pracowali jeszcze z trzema, ale tamci zostali niestety aresztowani w cyrku. — Powiedział

to spokojnie, ale odnotował z satysfakcją, że w oczach Tytusa błysnęło coś na kształt poczucia winy.

— Oczywiście, że chciałbym ich zobaczyć — powiedział niepewnie, nie chcąc przyznać się do swoich odczuć. — Robi się jednak późno...

— Będą tutaj tak długo jak ja — zapewnił go Sanct' Germain. — Nie chciałbym psuć atmosfery, ale chętnie dowiedziałbym się, o co dokładnie zostali oskarżeni moi niewolnicy, aresztowani w czerwcu. — Odwrócił spojrzenie, żeby cesarski syn nie dojrzał wyrazu jego oczu. — Nie mogę ich zostawić, Tytusie. Są moi. Mam wobec nich zobowiązania.

— Zobowiązania wobec niewolników? — Tytus zaśmiał się, ale zamilkł, zobaczywszy, że Sanct' Germain nawet się nie uśmiechnął, chociaż kilku gości, którzy nie słyszeli nawet wypowiedzi obcokrajowca, posłusznie zachichotało wraz z cezarem. — Jak możesz mieć wobec nich jakieś zobowiązania? Są twoją własnością. Możesz zrobić z nimi, co zechcesz.

— Czy uważałbyś tak samo, gdybyś sam nosił obręcz? — spytał cicho Sanct' Germain. — Pozwól, że poślę po akrobatów. Spodobają się wam.

Tytus skinął głową.

— Akrobaci. Dobrze. Niech się zjawią.

— Są z Pantikapajonu u wylotu Jeziora Meockiego. Chyba jeszcze nie widziałeś w Rzymie nikogo do nich podobnego. — Wiedział, że Rzymianie uwielbiają nowości. — Występowali raz na arenie z tresowanymi niedźwiedziami, mają jeszcze i inny program przeznaczony dla mniej licznej publiczności.

— Wspaniale — powiedział Tytus z fałszywym entuzjazmem. — Sprowadź ich. — Zszedł z podwyższenia. — Każę moim niewolnikom wynieść harfę...

—Jeśli można, Tytusie. Jest stara i delikatna — przypomniał mu

Sanct' Germain. — Sam się nią zajmę.

— Jak uważasz. — Tytus czuł się nieswojo i lekko się zarumienił. Nie lubił, gdy o coś go proszono, jeszcze gorsze były jednak sytuacje, gdy prośba nie padała. Tak jak tym razem. — Zobaczę, co da się zrobić w sprawie twoich niewolników. To bez sensu, aby przetrzymywać ich w więzieniu. Wszystko to jest dziwne, ale musimy być ostrożni.

Sanct' Germain uniósł z pietyzmem swoją harfę.

— Oczywiście. Nie musisz mi tego tłumaczyć.

Ta zgodność uczyniła sytuację jeszcze trudniejszą dla Tytusa.

— Obecnie trwa śledztwo, chociaż to tylko formalność. Inaczej by to przebiegło, gdybyś był Rzymianinem. Wszyscy rzymscy niewolnicy zostali skazani. Twój są cudzoziemcami i to utrudnia sprawę.

Jedna z kobiet zawołała Tytusa. Spojrzał na nią zirytowany, że ktoś mu przeszkadza.

— Co jest, Statylio?

Kobieta dostrzegła irytację na jego twarzy.

— Nic — odparła szybko. — Drobiazg.

— Zaraz się tym zajmę. — Zwrócił się ponownie do Sanct' Germaina. — Myśli, że jeśli wpakuje mi się do łóża, zrobię jej męża namiestnikiem Luzytanii. Albo czegoś podobnego. Spójrz tylko na nią, dyszy udawanym pożądaniem. To mój ojciec mianuje namiestników. Jemu powinna dyszeć.

— Ale ty jesteś młody i przystojny—zauważył taktownie Sanct' Germain. — Czy można ją winić, że woli spróbować z tobą? — Była to celowa pochwała, obliczona na próżność Tytusa.

Syn cesarza zachichotał.

— Gdyby przysłała swojego syna... Widziałeś go? Czternaście lat, ale pełen wdzięku niczym tancerz, z twarzą młodego boga. Prawie jak Berenika. Nie mam ochoty gościć w swoim łóżu nikogo więcej. —

Poklepał Sanct' Germaina przyjaźnie po ramieniu. — Nie przypuszczam, abyś to rozumiał. Większość cudzoziemców tego nie potrafi. Chcą albo kobiet, albo chłopców, nigdy jednych i drugich.

— Na swój sposób cię rozumiem — odparł Sanct' Germain z ironią, która umknęła Tytusowi.

— Naprawdę? Zdumiewające. Dla Rzymian to oczywiste, ale ty jesteś...

— Cudzoziemcem? — dokończył za niego Sanct' Germain, chcąc uniknąć ewentualnego wypytywania. — Pójdę po akrobatów.

— Dobrze. — Tytus skinął na czekających przy drzwiach niewolników. — Ten człowiek dostarczył akrobatów, którzy mają przed nami wystąpić. Przyprawadźcie ich tutaj.

Sanct' Germain zszedł z podwyższenia.

— Muszę odnieść to do rydwanu. Niebawem wrócę.

— Twoje łóżko będzie gotowe. — Zawahał się chwilę. — Zrobię, co będę mógł w sprawie twoich niewolników. Jako prefekt pretorianów nie powinienem mieć z tym problemów. Musisz jednak zrozumieć, że to nie może wyglądać na towarzyską przysługę. Ojciec by się sprzeciwił. Daj mi kilka miesięcy, a wszystko będzie dobrze.

— Oni są tam już od kilku miesięcy—zauważył Sanct' Germain.

— Wiem. — Tytus zmarszczył czoło i wczepił dłoń w fałdy togi. — To nie jest prosta sprawa. Ciągłe pojawiają się pewne pytania... — Przerwał, świadom, że nie o wszystkim powinien mówić. Był jednak zbyt zakłopotany, żeby zamknąć temat. — Powiem ci, co zrobię. Gdy tylko dostanę pierwszy raport, zamknę śledztwo, a ty złożysz petycję o uwolnienie twoich niewolników. — Wolałby tego nigdy nie proponować, ale nie widział innego sposobu, by zakończyć rozmowę.

— Byłbym bardzo wdzięczny — odparł cicho Sanct' Germain, myśląc o tym, jak trudne musiały być te miesiące dla Kosrozda. Udało mu się dowiedzieć, że trafił do jednej celi z Tisztry, i dobrze, bo ona

mogła dać mu to, co niezbędne. Gdyby jej nie miał... Sanct' Germain odsunął od siebie tę myśl. Lepiej się nad tym nie zastanawiać bez potrzeby. Uczynił gest, który można było odczytać jako pozdrowienie, i wyszedł z wystawnej jadalni.

Aumtehoutep czekał przy krytym rydwanie, z woskową tabliczką w jednej i rysikiem w drugiej dłoni.

— I jak dzisiaj i — spytał Rakoczy, przekazując mu harfę.

— U cesarza jest dziesięciu gości, z czego żaden bardzo wpływowy. To chyba bardziej uprzejmościowe zaproszenie niż cokolwiek innego. Kto ucztuje z Tytusem, sam wiesz. Widziałem sześciu pretorianów wchodzących do pałacu, ale to nic niezwykłego. — Przerwał. Jakiś cień przebiegł mu po nieruchomej zwykle twarzy. — Domicjan zaszył się gdzieś z Justusem.

— Gdzie? — spytał ostro Sanct' Germain.

— Nie wiem. Próbowałem pytać niewolników kuchennych, ale usłyszałem, że to nie moja sprawa. — Postukał rysikiem w drewniane obramowanie tabliczki. — Justus pracuje nad cesarzem i jego młodszym synem. Tytus i Domicjan nie przepadają za sobą. Justus może podsycać tę animozję.

— Też tak przypuszczam — zgodził się Sanct' Germain. — Chociaż po co? Co może na tym zyskać? Nie ma rodziny i raczej nie doczeka się spadkobiercy. Wespazjan nie odda nikomu tego, co wywalczył dla rodu Flawiuszów. Czego Justus może chcieć? — spytał retorycznie.

— Rozmawiałeś z Tytusem? — spytał matowym głosem Egipcjanin.

— Na wszelki wypadek. — Sanct' Germain westchnął. — Powiedział, że pomoże, ale Tytus gotów jest obiecać wszystko, żeby kogoś nie rozczarować. Czy robi cokolwiek... Kto wie?

Aumtehoutep nie skomentował.

— Gdyby sprawa miała być rozpatrywana jutro, zapewne podjąłby jakieś działania. Nie przyspieszy jednak śledztwa i zanim przyjdzie

właściwa chwila, może zapomnieć, o co dokładnie chodziło. — Sanct' Germain oparł się o rydwan i spojrzał na zachmurzone niebo. — Rano będzie padać.

— Pójdiesz do więzienia?

— Chyba będę musiał. Ściągnę tym na siebie kolejne podejrzenia, ale trudno. Już dzisiejsza rozmowa była ryzykowna. — Poczuł się dziwnie zmęczony. To była jego reakcja na frustrację.

— Może wolisz, abym ja poszedł? — Pytanie zawisło między nimi. Obaj wiedzieli, ile by ryzykował. — Wiem, że to niebezpieczne. Mogą uwięzić mnie razem z nimi i będzie jeszcze trudniej. Ale żeby właściciel odwiedzał swoich niewolników... To będzie podejrzone. — Nie dodał nic więcej, widząc, że Sanct' Germain się zastanawia.

— Oczywiście masz rację — przyznał ze smutkiem. — Mogę jeszcze wszystko pogorszyć. Ale nie chcę cię o to prosić.

— Gdy wyniosłeś mnie ze świątyni Tota, byłem martwy — powiedział trochę nieobecny głosem Aumtehoutep. — Przywróciłeś mnie do życia i służę ci od tamtej pory. Gdybyś uczynił mnie takim jak ty, pewnie byłoby inaczej. To nie było możliwe, chociaż zrobiłeś wszystko, co mogłeś, i oszukuję Anubisa od niezliczonych lat. Nie jestem twojej krwi, ale i tak jestem trochę do ciebie podobny. Chronisz mnie i godnie traktujesz. Nie uraziłbyś mnie taką prośbą.

Tym razem Sanct' Germain milczał przez znacznie dłuższą chwilę.

— Aumtehoutepie... — zaczął, ale przerwał. — Dlaczego musisz mieć rację, stary przyjacielu? Postąp, jak uważasz, że będzie najlepiej. — Ujął barierkę rydwanu. — Ale uważaj. — Wydawało się, że nic więcej już nie powie, otworzył jednak dłonie i odsunął się. — Rozglądaj się, aż wrócę. Gdyby jeszcze udało ci się dowiedzieć, co Justus robi z Domicjanem...

— Na pewno się dowiesz.

— Wiem, ale nie jestem w stanie podejść do niego tak, jak

powiniennem. Zbyt go nienawidzę. — Machnął ręką, jakby chciał odegnąć niebezpieczne myśli. — Muszę wracać. Tytus będzie chciał pewnie dowiedzieć się czegoś więcej o akrobatach. — Uśmiechnął się dwuznacznie. — Są młodzi, piękni i atletycznie zbudowani. Zainteresują Tytusa.

— Oddasz mu ich? — spytał z pozorną obojętnością Egipcjanin.

— Nie. Ale raczej nie powiem mu tego już teraz. Może przyspieszy śledztwo, bo wspomniałem mu o pozostałych, którzy przebywają w więzieniu. Tytus jest bardziej chciwy niż jego ojciec i może to przyda mu motywacji. — Odsunął się od rydwanu. — Oczekuj mnie za dwie godziny.

— Rydwan będzie gotowy, panie — powiedział głośno Aumtehoutep na wypadek, gdyby byli podsłuchiwani. — Gdybyś zamierzał zostać dłużej, poproszę o wiadomość, żebym mógł zaprowadzić konie do stajni.

— Oczywiście — odkrzyknął mu Sanct' Germain. Przeszedł szybko długim korytarzem, z którego końca dobiegała wesoła wrzawa. Pośród niej siedział rozparty Tytus i pożerał wzrokiem akrobatów.

List od Konstantyna Modestyna Datusa do prefekta gwardii pretoriańskiej, Tytusa Flawiusza Wespazjana:

Do szanownego prefekta pretorianów, pozdrowienia.

Otrzymałem twoje pismo, panie, w sprawie niejakiego Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa, w którym pytasz mnie, czy znane są jakieś wypowiedzi albo postęпки tego człowieka, mogące sugerować, że jest on wrogiem Rzymu albo pracuje dla wrogów Rzymu.

Nie wiem, jak ci odpowiedzieć, panie. Nie dlatego, abym żywił jakieś wątpliwości dotyczące tego bogatego cudzoziemca, ale ponieważ jestem skrajnie zaskoczony tym pytaniem. Nie ulega wątpliwości, że wszystko, co

ten człowiek zrobił dla Rzymu, dowodzi, iż jego dążenia i interesy są zbieżne z naszymi. Hoduje najlepsze muły i sprzedaje je armii w lepszej cenie niż wielu naszych senatorów. Przyczynia się aktywnie do udanej organizacji igrzysk, posiada najlepszych rydwanników i pomógł wydatnie w wyposażeniu Circus Maximus w nowe organy hydrauliczne. Często zaopatruje różnych patrycjuszy w rzadkie i kosztowne dobra za ułamek tej ceny, którą musieliby zapłacić gdzie indziej. Pomaga potrzebującym, a jego niewolnicy uchodzą za najlepiej traktowanych w całym cesarstwie. Skąd zatem twoje pytanie, panie? Nasze życie byłoby znacznie lepsze, gdyby więcej Rzymian wykazywało taką troskę oraz zaangażowanie w sprawy imperium, jak czyni to ten cudzoziemiec.

Przyznaję, że wiem o jednej osobie, która ma o nim bardzo złe zdanie. To armeński uczony, niejaki Led Arasznur, który odwiedził mnie prawie dwa lata temu, przedstawiając fantastyczną opowieść, jakoby Franciskus był pewnym legendarnym egipskim medykiem, który posiadał sekret wiecznego życia. Jego zdaniem nie jest on człowiekiem i twierdził, że zdobył na to dowody w Egipcie, spotkawszy tam jakiegoś starego kapłana. Nie przedstawił jednak żadnych konkretów, czego i należało się spodziewać. Sam wiesz, panie, jacy są Ormianie. Nawet najbardziej wykształceni spośród nich często hołdują przesądom i dają się opętać własnym lękom i wyobrażeniom. Oczywiście byłoby głupotą, gdyby przyjąć jego słowa poważnie. Niewątpliwie miał swoje powody, żeby nie lubić Franciskusa, co nie jest wcale rzadkie, chociaż trudno powiedzieć, skąd się bierze. Jednak uwierzyć, iż Franciskus jest istotą żyjącą wbrew naturze, niezdolną przejść nad bieżącą wodą czy wystawić się na słońce, byłoby niedorzecznością. Wielu z nas widziało go za dnia, gdyby zaś musiał unikać wody, nigdy nie osiadłby nad Tybrem.

Jest też pytanie o jego niewolników, którzy są przetrzymywani wraz z innymi podejrzanymi o bunt. Wśród wszystkich niewolników Rzymu trudno byłoby mi znaleźć takich, którzy mieliby mniej powodów do buntu.

Niewolnicy Franciskusa są zawsze dobrze żywieni, mają przyzwoite mieszkania, nikt ich nie poniża i każdy z nich ma szansę wykazać się w tym, co robi. Oczywiście wszędzie znajdują się tacy, dla których nawet cesarska purpura to byłoby za mało, ale większość jest wdzięczna i szanuje swojego pana tak, jak powinna. Nie ma wśród jego niewolników dezertów legionowych, obcych żołnierzy, w ogóle nie posiada gladiatorów. Dlaczego ktokolwiek miałby go podejrzewać? Gdybym to ja miał sądzić tych niewolników, powiedziałbym, że zostali niesłusznie oskarżeni, i uwolniłbym ich natychmiast, wypłacając ich panu odszkodowanie za czas, gdy nie pracowali i nie przynosili mu dochodu.

Dlaczego prefekt pretorianów szuka tak usilnie powodu, aby wystąpić przeciwko temu człowiekowi, który wykazał się dotąd taką wytrwałością w pracy i prawością wprowadzonych interesach? Powiadasz, panie, że wpłynęły niepodpisane skargi na niego, których prawdziwości nie udało się jednak dotąd potwierdzić. Dlaczego dawać wiarę takim oszczerstwom? Czyżby fakt, iż człowiek ten jest cudzoziemcem, przesłaniał wszystkie jego zalety? Jeśli tak, czy musi być już zawsze uznawany za osobę niepewną i podejrzaną? Przyznaję, że niepokoi mnie to. Cóż musiałby uczynić, aby przekonać Cię, panie, do swoich intencji?

Moje własne z nim kontakty, chociaż przelotne, były zawsze satysfakcjonujące i nacechowane otwartością. Znalazł dla mnie teksty, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Chętnie pomógł w nauczaniu i studiach, gdy moje badania wkroczyły na obszar, którego dobrze nie znałem. To prawda, że spędzał dużo czasu z Neronem, ale wielu z nas tak czyniło. To nie świadczy jeszcze o jego nielojalności wobec rodu Flawiuszów. Był też, jak może pamiętasz, panie, przyjacielem Tytusa Petroniusza Nigra i nie odsunął się od niego nawet wtedy, gdy Arbiter popadł w niełaskę. Powiadają, że przebywał w Kurne w chwili śmierci Petroniusza. Jest prawdą, że Rzym nie zawsze cieszył się dobrymi kontaktami z Dacją, która jest ojczyzną Franciskusa, on sam jednak

deklaruje, że nie jest Dokiem. Jaki miałby interes we wspieraniu ich, skoro nie jest tej samej krwi?

Jeśli masz, panie, inne jeszcze pytania albo gdybym mógł jakkolwiek jeszcze pomóc, proszę o informację, a chętnie uczynię, co w mojej mocy. Zdumiewa mnie, że wspomniane pytania w ogóle zostały zadane, ale skoro najpewniej nie mogło być inaczej, spróbujmy jak najszybciej skończyć tę sprawę, najlepiej przeprosinami wobec tego szanowanego człowieka, który tyle zrobił dla naszego dobra.

Z szacunkiem,

własną ręką spisawszy

dziesiątego dnia grudnia 823 roku Miasta

Konstantyn Modestyn Datus

. 12 .

Był bardzo stary, gruby i nadęty niczym biała ropucha, nie siedział jednak na skrzyni ze skarbami, tylko na stołku, który dawał mu swoisty zakres władzy. Władzy smakowanej z namaszczeniem właściwym jedynie wyzwoleńcom. Nazywał się Alastor, tak samo jak grecki duch pomsty za zdradę.

— Pańska skarga zostanie oczywiście odnotowana — powiedział do Sanct' Germaina w swoim mrocznym gabinecie przy budynku Kurii, gdzie spotykał się senat.

— Przepraszam, ale to nie skarga — poprawił go Sanct' Germain unizonym tonem. — To petycja. Skargę na bezprawne zatrzymanie i uwięzienie moich niewolników już złożyłem. Aresztowanie niewolników cyrkowych, wśród nich także moich, to jedno, drugą zaś całkiem sprawą jest aresztowanie niewolnika, który poszedł na moje polecenie odwiedzić ich w więzieniu. Chyba że uważasz, panie, inaczej? — Sanct' Germain miał spore doświadczenie z takim ludźmi i wiedział, że okazanie irytacji oznacza przegraną, panował więc nad sobą, chociaż nie było to łatwe.

— To dość niezwykle—zgodził się Alastor, opuszczając wszystkie trzy podbródki na pierś. — Musiał być jednak po temu jakiś powód. Czy ten trzeci niewolnik był uprawniony do odwiedzenia więźniów?

— Wydałem mu taki rozkaz i otrzymałem zapewnienie od starszego syna cesarza, że jest zgoda na wizytę.

— Tak, oczywiście. — Ropucha pokiwał dostojnie głową. — Musi pan jednak zrozumieć, że Tytus od niedawna jest prefektem i nie zna jeszcze wszystkich procedur. Najpierw powinien skonsultować się ze mną. Byłem starszym prokuratorem senatu już w czasach, gdy Neron

wdział purpurę. To Klaudiusz mnie mianował. — Musiał być dumny z tak długiej służby, niebezpiecznie zresztą, skoro przetrwał dwadzieścia najbardziej burzliwych lat rzymskich walk politycznych.

— Z pewnością powinien — przyznał Sanct' Germain, ponownie zirytowany. — Czy to jednak nie dziwne, że niewolnik wykonujący moje rozkazy został uwięziony? To nie jest zgodne z procedurami. Jeśli istnieje powód do takiego aresztowania, czy nie uważa pan, że powinien mi zostać przedstawiony? Ten niewolnik to moja własność.

— Nie został pan poinformowany? — spytał zdumiony Alastor. — Powinien pan. Każdy właściciel zatrzymanego niewolnika powinien zostać poinformowany o tym jak najszybciej.

— Mieszkam trzy tysiące kroków od Bramy Wiminalskiej, prokuratorze. Trzy dni musiały minąć, zanim władze więzienia przysłały mi zawiadomienie. — Miał nadzieję, że to zjedna mu Alastora, i przez chwilę stary wyzwoleniec rzeczywiście jakby się wahał. — Przestrzegam prawa rzymskiego, szanowny prokuratorze. Odnoszę jednak wrażenie, że niektórzy Rzymianie traktują je mniej poważnie.

— To prawda — mruknął Alastor i spojrzął na pięć gęsto zapisanych arkuszy petycji. — To przykre. Bardzo przykre. Muszę się temu przyjrzeć. Takie aresztowanie to coś niecodziennego. Nie wiedziałem, że do tego doszło. — Był autentycznie poruszony i oburzony. — W ogóle to złożona kwestia. Jest pan cudzoziemcem, inkryminowani niewolnicy także. — Opanował się i ponownie uropuszył. — Inni cudzoziemcy też składają w tej sprawie petycje do senatu. Mają podobne problemy jak pan. Dopilnuję, aby pańska... petycja została należycie rozpatrzona. Bez wątpienia ktoś nadużył władzy. Może być pan pewien, że będzie musiał ponieść konsekwencje.

Saint Germain rozumiał, iż oznaczało to koniec rozmowy, nie ruszył

się jednak od razu.

— Byłbym wdzięczny za informowanie mnie o postępach. To cenni niewolnicy. Każdy dzień ich pobytu w więzieniu oznacza większe straty, ponieważ nie wygrywają na arenie. Im dłużej to potrwa, tym więcej czasu będą potrzebowali na odbudowę sił. Nie tylko ja tracę przez to pieniądze. Mój rydwannik Kosrozd jeździł regularnie dla czerwonych. Chcą wiedzieć, kiedy będzie mógł się znowu ścigać. — Stronnictwo czerwonych skupiało głównie ekwitów z senatu, co wobec braku innych argumentów mogło skłonić Alastora do niejakiego pośpiechu.

— Dla czerwonych. Tak. — Spojrzał na Sanct' Germaina znacząco, jakby nagle wszelka gnuśność mu przeszła. — Cesarz ma wielu przyjaciół wśród białych. — Znowu przygasł. — Dam ci znać, panie.

Tym razem Sanct' Germain zastosował się do sugestii. Skłonił się, chociaż majestat urzędu tego nie wymagał, otulił się czarnym płaszczem i wyszedł na plac przed Kurią. Było zimno i nie dostrzegł zbyt wielu senatorów. Trzeci dzień z rzędu przeciągały nad Rzymem zimowe deszcze i kto tylko mógł, siedział pod dachem. Nawet targ świński nie otworzył się tego ranka.

Tylko żebracy nie zniknęli z ulic. Zimą byli szczególnie dobrze widoczni, oblegając fora Juliusza i Augusta, tłocząc się pod Łukiem Triumfalnym, akweduktem Klaudiusza i wykończonymi już łukami pierwszej kondygnacji Cyrku Flawiusza. Na Awentynie zbierali się w wąskich uliczkach otaczających Circus Maximus. Gdy padało, tak jak dzisiaj, wyglądali jeszcze gorzej niż zwykle, demonstrując chude kończyny i widoczne poprzez łachmany sterczące żebra.

Lekki, jednokonny rydwan Sanct' Germaina był mokry i zabłocony, ale żebracy i tak zaczęli się tłoczyć wkoło niego, ledwie ruszył spod Kurii. Krzykiem dopominali się datków, aż Sanct' Germain rzucił im garść miedziaków i dopiero później skręcił pod Łuk Triumfalny. Nie

był zadowolony z przebiegu rozmowy z Alastorem. Uśmiechnął się ponuro, myśląc o starszym prokuratorze i jego pełnym obliczu. Był pewien, że nie ma po co wracać do senatu.

Dziewczynka w wieku może siedmiu lat złapała za poręcz rydwanu. Postrzępiona i rozciągnięta tunika ledwie sięgała jej do kolan. Na karku widniało spore rozdarcie, a materiał nasiąkł wodą niczym gąbka.

— Patrycjuszu! — zawołała piskliwie, unosząc głowę. — Dobry panie! Jestem dziewicą! Naprawdę! Dziesięć sestercji za dziewicę, dobry panie! Dziesięć sestercji! Spodoba ci się!

Sanct' Germain słyszał to już zbyt wiele razy, żeby się zdziwić, o oburzeniu nie mówiąc, jednak tym razem zrobiło mu się przykro.

— Dziesięć sestercji, dziecko?

— Pięć! — krzyknęła dziewczynka, próbując sięgnąć brudnymi palcami wolnej ręki jego płaszcza. — Pięć! Dla tak szlachetnego pana pięć! Nie więcej!

Sanct' Germain powściągnął konia, zwalniając do marszu.

— Dziewica za pięć sestercji? W lupanarze doświadczone dwunastolatki liczą sobie dziesięć razy tyle.

— Cztery! Cztery, dobry patrycjuszu! Chyba mi się podobasz. Cztery starczą. — Pociągnęła nosem, nadal próbując go złapać.

Sanct' Germain sięgnął do sakiewki i podał dziecku dwa srebrne denary i dwie miedziane sestercje, kwotę odpowiadającą jej pierwotnej cenie.

— Masz — powiedział. — Weź je. Kup sobie coś do jedzenia i miejsce do spania.

Spojrzała na niego w pomieszeniu.

— A ty?

— Nie musisz mi się sprzedawać, dziecko. — Spróbował się uśmiechnąć, ale niezbyt mu to wyszło. — Nie gustuję w dzieciach.

— Nie chcesz mnie? — spytała ze złością. — Jestem dziewicą! Naprawdę! Żadnych chorób, żadnych dzieci!

Rydwan ledwie sunął teraz do przodu.

— Weź te pieniądze i bądź wdzięczna losowi, że nie skorzystam z twojej... propozycji. Nie musisz nic dla mnie robić.

Nagle dziewczynka wykrzywiła się wściekle.

— Eunuch! Zboczeniec! — Odskoczyła od rydwanu, mało przy tym nie upadając. Koń przeszedł do truchtu. — Suchy robak! Swiniojeb! — Długo tak za nim krzyczała, chociaż nie wypuściła z zaciśniętej dłoni otrzymanych od dziwnego mężczyzny pieniędzy.

Zebrani wkoło wielkiego budynku zebracy zanosili się od śmiechu, pokazując sobie palcami odjeżdżający w kierunku cyrku rydwan. Sanct' Germain słyszał ich w szumie deszczu i z jakiegoś powodu zabolalo go to. Czym ja się tak przejmuję? — pomyślał. Po co to robię, skoro jedyną reakcją jest otwarta kpina? Jego myśli zachmurzyły się na podobieństwo zaciągniętego ołowianymi chmurami nieba. Spojrzał w lewo, gdzie na Eskwilinie wznosił się Złoty Dom. Pusty teraz, jeśli nie liczyć skrzydła zamieszkanego przez Wespazjana, który nie zdecydował jeszcze, co zrobić z olbrzymią budowlą. Jej mury ciemniały w deszczu i wydawała się bardziej obskurna niż najbiedniejsze czynszówki.

W pobliżu budowy cyrku Flawiusza ulice były błotniste od ziemi wykopywanej z terenu osuszonego jeziora. Wielkie fundamenty były praktycznie gotowe. Tworzyły olbrzymią elipsę z labiryntem pomieszczeń i korytarzy, które po ukończeniu budowli miały się skryć pod widownią. Sanct' Germain często przystawał tutaj, żeby popatrzeć na plac budowy, tym razem jednak nie myślał się zatrzymywać. Musiał jeszcze spotkać się z Juwinesem Acestesem, trybunem odpowiedzialnym za więzienie dla niewolników stojące zaraz za Porta Navalis. Poprzednie wizyty okazały się bezowocne i ta zapewne nie

miała być inna, jeśli przyjąć, że postawa Alastora odbijała ogólne podejście do sprawy. Sanct' Germain zastanawiał się, co poróżniło Tytusa i senat. Jeśli starszy prokurator rywalizował z prefektem pretorianów, niezależnie od wyniku sporu musiał on skończyć się katastrofą dla wszystkich, którzy znaleźli się pomiędzy nimi. W tym dla Aumtehoutepe, Kosrozda i Tisztry. Sanct' Germain naprawdę się o nich obawiał.

Był tak zamyślony, że nie zauważył zbiegowiska dwudziestu albo trzydziestu osób stojących wokół nieruchomej postaci leżącej pod najbliższym lukiem cyrku Flawiusza. Dopiero gdy jego koń pośliznął się na zabłoconym bruku, Sanct' Germain podniósł głowę, dojrzał i tłumek, i leżące i od razu ściągnął wodze.

Grupa składała się z mężczyzn i dzieci oraz starych i młodych kobiet w łachmanach z naznaczonymi skrajną biedą twarzami. Wszyscy patrzyli z satysfakcją na kogoś, komu przypadł w udziale los jeszcze gorszy.

Leżący u ich stóp mężczyzna przedstawiał doprawdy żaloszny widok. Pod oblepiającym twarz brudem był trupio blady, w wielu miejscach widać było sińce oraz drobne i większe zranienia. Te na rękach i stopach pociemniały złowrogo, jakby przypalano go tam gorącym żelazem. Był prawie nagi, ledwie okryty krótką i poplamioną tuniką. Ci wkoło obrzucali go śmieciami, śmiali się i szydzili z rannego.

Saint Germain wyjął bat z uchwytu i zatrzymał konia.

— Wy tam! — krzyknął w stronę zbiegowiska. Tylko kilku się odwróciło, by zmierzyć dobrze ubranego obcego obojętnym spojrzeniem, i wróciło do zabawy. — Wy! — powtórzył Sanct' Germain głośniej i poparł wołanie trzaskiem bata.

Tym razem raczyli zareagować, a jeden z obdartusów pobiegł w stronę ubranego na czarno intruza.

Saint Germain nie próbował uciekać przed rosnącym żebrakiem.

Odsunął się tylko trochę, gdy mężczyzna był już blisko, i napastnik przewrócił się i pojechał po błocie. Wściekły pozbierał się i ponownie zaatakował, tym razem podchodząc ostrożniej. Część zbiegowiska dostrzegła, co się dzieje, i ruszyła w ich stronę z nadzieją na jakąś ciekawszą zabawę.

Żebrek zamarkował uderzenie, mierząc w głowę cudzoziemca, ale Sanct' Germain złapał go za nadgarstek i pociągnął lekko, odsuwając się o krok, gdy żebrek znowu padał na ulicę.

Gdy ponownie wstał, trzymał w dłoni odłamek cegły. Zachęcany okrzykami i gwizdami tłumu rzucił się na Sanct' Germaina. Nikt już nie interesował się rannym.

— Zajdź go z tyłu, Wardos! — krzyknął żebrek do kogoś w tłumie i Sanct' Germain uznał, że sprawa robi się poważna.

Walka z jednym człowiekiem to był drobiazg, ale dwóch atakujących mogło pociągnąć za sobą cały tłum. Przez moment zastanawiał się, co go podkusiło, żeby się zatrzymywać, ale starczyło jedno spojrzenie na nieprzytomnego, i wątpliwości zniknęły jak ręką odjął.

Pierwszy żebrek zamachnął się odłamkiem cegły, mierząc w głowę obcego. Sanct' Germain uchylił się odruchowo, uważając na śliski grunt pod nogami. Poruszał się szybko, półobrotami, żeby nikt nie zaskoczył go od tyłu.

Zareagował bez namysłu. Przy kolejnym uniku złapał wpół żebraka z cegłą i cisnął go na kompana, rzeczonoego Wardosa, który upadł w milczeniu. Pierwszy z napastników zawył i przycisnął dłoń do głębokiego rozcięcia na twarzy. Sanct' Germain schylił się i podniósł bat.

— Cofnąć się — powiedział. — Wszyscy.

Kilkoma uderzeniami długiej plecionki oczyścił sobie drogę. Przeklinający żebrek pozbierał się i uciekł, Wardos leżał ciągle na

ulicy, pojękując.

— Gdyby komuś przyszło do głowy tknąć mój rydwan, kara za kradzież przewiduje ukrzyżowanie po uprzednim połamaniu rąk i nóg — przypomniał spokojnym tonem.

Usłyszał kilka wyzwisk, ale nikt z tłumu nie próbował go zaczepiać. Byli rozczarowani, że zepsuł im zabawę, ale los żebraków nikogo specjalnie nie obchodził. Zwłaszcza że sami zaczęli, a odziany na czarno obcy nie tylko nie wystraszył się ich, ale jeszcze potrafił walczyć. Należało go unikać. Nie trwało długo, a zbiegowisko stopniało, z powrotem znikając w różnych szczelinach i pod łukami wznoszonej budowli.

Gdy był już praktycznie sam na sam z nieprzytomnym, przyklęknął przy nim, nie dbając o stan perskich spodni i czarnej peleryny. Jak najłagodniej otarł mu błoto z twarzy i piersi i skrzywił się, zobaczywszy rozognione rany. Uniósł głowę mężczyzny, oparł ją sobie o kolano i otworzył żebrakowi powieki. Ujrzał nabiegłe krwią białka, przekonał się też przy okazji, że człowiek ów ledwie oddycha, bardzo płytko, jakby wielki ciężar spoczywał mu na piersi. Dalsze oględziny ujawniły trzy złamane żebra oraz silne opuchnięcie kostki, która także mogła być złamana.

Wardos ruszył się wreszcie i przy akompaniamencie niemilknących jęków odpełzał z placyku.

Sanct' Germain zwymyślał się w duchu od głupców. Niby jak miał pomóc temu biedakowi, który wyraźnie był już bliski śmierci? Ale zostawić go na ulicy, skoro już się zatrzymał... Ostatecznie wziął go na ręce i zaniósł do swojego rydwanu.

Koń parsknął i boczył się trochę, gdy Sanct' Germain próbował jakoś ułożyć rannego na podłodze. Nie było to łatwe w tak małym i lekkim rydwanie, przewidzianym tylko dla jednego stojącego woźnicy. Ostatecznie udało mu się oprzeć bezwładne ciało o przednią osłonę i

unieruchomić go nogami. Chwilę potem rydwan potoczył się przez deszcz w stronę Porta Navalis i więzienia niewolników.

Był to stary budynek z ociosanych kamieni, wznosił się nad zakrętem Tybru niczym ponury pomnik otoczony przez mauzolea różnych starych rzymskich rodów. Niskie baraki z południowej strony służyły za kwatery dla strzegących więzienia żołnierzy. Chociaż formalnie było ono podległe kohortom miejskim, służbę pełnili tu głównie legioniści odbywający karę za pomniejsze wykroczenia.

Sanct' Germain odczekał godzinę w części baraków przeznaczonej dla dowódców tylko po to, żeby ostatecznie dowiedzieć się, że Acestes go nie przyjmie. Mimo silnej pokusy nie wyładował złości na młodym i poznanym bliznami żołnierzu, który przekazał mu tę wiadomość. Ostatecznie to tutaj trzymali Aumtehoutepa, Kosrozda i Tisztry i na cokolwiek by sobie pozwolił, oni by za to zapłacili. Podziękował więc uprzejmie i wyszedł na deszcz.

Coraz silniejszy wiatr przeganiał chmury po niebie i rwał pochyłe, deszczowe smugi. Sanct' Germain był już cały mokry, a jego koń drżał z zimna i woda spływała mu po sierści. Przy takiej pogodzie ziemia w podeszwach butów była naprawdę przydatna, chroniąc Sanct' Germaina przed poczuciem dotkliwej słabości. Spojrzał na wschód i ruszył powoli w stronę swojej willi.

Gdy zatrzymał się przed stajnią, było już prawie ciemno i ledwo widział w ulewie kołyszącą się nad wejściem lampę. Wysiadł z rydwanu i podszedł do konia.

— Dobry chłopiec — powiedział, klepiąc zwierzę po karku. — Ładnie się sprawiłeś. — Obrócił się do drzwi. — Raides! Domius! Brinie! — zawołał, chociaż nie był pewny, czy stajenni usłyszą go w szumie deszczu.

Najstarszy z nich, siwy mężczyzna z Londinum w Brytanii, wyszedł powoli na zewnątrz.

— Panie! — krzyknął. — Już jesteśmy. Co za wieczór.

— Ale nie ty moknąłeś — warknął Sanct' Germain, zaskakując Raidesa. Jego pan zwykle reagował uprzejmie, cokolwiek się dla niego robiło. — Do stajni, wytrzeć, dać mu podgrzanej paszy i pilnować, żeby było mu ciepło. — Raz jeszcze poklepał konia. — Napracował się dzisiaj więcej niż zwykle.

Raides wzruszył ramionami i sięgnął po wodze, żeby wprowadzić konia do stajni, gdzie zamierzał go wyprząc, gdy Sanct' Germain zdumiał go ponownie.

— W rydwanie jest pewien człowiek. Poczekaj, aż go wezmę. — Pochylił się przy pojeździe i wyciągnął z niego bezwładną postać. — Czym sobie na to zasłużył? — zastanowił się głośno.

Raides wiedział z doświadczenia, że mało kto traktował niewolników równie łagodnie jak jego pan, i nie próbował się odzywać. Sądząc po stanie nieprzytomnego, ktoś musiał go rozmyślnie zmasakrować.

— Nie nosi obręczy — zauważył Sanct' Germain.

— Obręcz można zdjąć — mruknął filozoficznie Raides, ciągnąc za lejce.

— Owszem, można — odparł enigmatycznie jego pan i oddalił się do północnego skrzydła willi.

Trzy godziny później mężczyzna był już wykąpany i zbadany. Samo zakażenie było dość poważne, aby go zabić. Reszta obrażeń mogła co najwyżej przyspieszyć nieuniknione. Sanct' Germain usiadł przy wąskim stole, na którym leżał ranny. Niestety, nie mógł liczyć na Aumtehoutepe. Po tylu wiekach spędzonych razem rozumieli się bez słów. Tak jak jego kiedyś uratował, teraz zamierzał ocalić przed śmiercią nieznanego, który właśnie dwa razy wciągnął chrapliwie powietrze, zadrżał i znieruchomiał.

Saint' Germain wstał. Twarz mężczyzny przypominała już woskowy

odlew i do rana ciało miało być sztywne. Nie zostało wiele czasu, aby przywrócić je do życia. Sanct' Germain nie robił tego od lat, sam zapomniał już nawet od ilu. Jednak to było trudne zadanie, niezostawiające miejsca na żaden błąd.

Wyjął z egipskiej skrzyni zestaw rzadkich ziół, przypraw i żywic. Potem wspomniał jeszcze trzy inne próby, które podjął po ożywieniu Aumtehoutepe, i po krótkim wahaniu wygłosił rytualną inwokację.

Wschodni horyzont zajaśniał smugą przedświt, zanim pierś mężczyzny poruszyła się ponownie. Ciało miał nadal zimne, a dłonie i stopy lekko sine, jednak żył.

Zadowolony z powodzenia Sanct' Germain poddał się wreszcie zmęczeniu. Przeniósł mężczyznę na łożo, sam zaś skierował się do łaźni, aby obmyć się po wielu godzinach wysiłku i zastanowić, jak wyjaśnić to wszystko nieznanemu.

Odezwa wystosowana przez cesarza Tytusa Flawiusza Wespazjana:

Do senatu i ludu rzymskiego, ave:

Rozważając sprawę zbuntowanych niewolników cyrkowych, wysłuchałem wszystkich rad i opinii. Mój starszy syn, który jest prefektem pretorianów, przeprowadził wnikliwe śledztwo, żeby niczego nie zostawiać przypadkowi. Mój młodszy syn rozmawiał z wieloma spośród Was, chcąc znać Wasze zdanie, i sporo z tego, co usłyszał, miało wpływ na moją ostateczną decyzję w tej sprawie.

Ci spośród Rzymian, których niewolnicy wstali już skazani, na pewno zdawali sobie sprawę z tego, jak ciężka była dla mnie ta decyzja. Ta obecna, dotycząca niewolników będących własnością cudzoziemców, wymaga szczególnego namysłu, ponieważ prawo nie jest w ich przypadku jednoznaczne. Historia imperium nie zna podobnej sytuacji, rodnej jednak od nieszczęsnego buntu sprzed stulecia, proszę zatem senat, aby również

wypowiedział się w tej sprawie. Podporządkuję się wyrażonej w głosowaniu decyzji senatu.

Nie jest to dla mnie łatwe, podobnie jak niełatwe było skazanie rzymskich niewolników. Między innymi z tego też powodu sprawa ciągnęła się tak długo, o wiele dłużej, niż to wskazane. Nie możemy bardziej jej przeciągać.

Jeśli senat podzieli moje stanowisko, cudzoziemscy niewolnicy należący do cudzoziemskich właścicieli zostaną postani na arenę podczas najbliższych igrzysk, gdzie zostaną straceni w sposób, który organizator uzna za właściwy. Wyznaczona obecnie data igrzysk to dwudziesty kwiecień, za dwa miesiące od dzisiaj.

Wiem, że do senatu wpłynęło wiele petycji od cudzoziemskich właścicieli niewolników, z których każdy oczekuje oczywiście pozytywnego rozpatrzenia swojej prośby. Gdybyśmy mieli każdą z nich rozpatrywać wnikliwie i z osobną, zajęłoby to lata i było bardzo kosztowne. Ponieważ sami Rzymianie nie otrzymali tej szansy, wydaje mi się niestosowne, aby cudzoziemcy mieli skorzystać z tego, co pozostało niedostępne dla obywateli. Ogłaszamy tym samym, że wszystkie te petycje zostają oddalone, a właściciele niewolników, którzy je złożyli, mogą wystąpić do senatu o odszkodowania za utratę niewolników na podstawie ich pełnej ceny rynkowej oraz o wyrównania, w rozsądnych granicach, szkód wynikłych z utraty ich pracy. Bez wątplenia znajdują się wśród uwięzionych i tacy, którzy nie byli winni naruszenia rzymskiego prawa ani nie splamili się nieposłuszeństwem wobec swoich panów, jest to jednak ofiara, której nie da się uniknąć. Dla dobra ładu publicznego sprawa musi zostać jak najszybciej rozstrzygnięta i z tego powodu zwracam się do cudzoziemskich właścicieli niewolników, aby zaakceptowali ten edykt i postarali się zrozumieć problemy, z którymi cesarstwo borykało się przez ostatnie cztery lata.

Po uznaniu przez senat decyzja ta zostanie umieszczona na wszystkich

tablicach ogłoszeniowych i opublikowana w „Acta Diurna”. Wszelkie śledztwa z nią związane zostaną zawieszona na rok. Jeśli po upływie tego czasu zasadne wyda się ich wznowienie, uczynione to zostanie osobnym cesarskim rozkazem.

Wespazjan

osiemnastego dnia lutego 824 roku Miasta

. 13 .

Justus spojrział ostro na Monostadesa, ledwo ten wszedł do gabinetu swego pana.

— Gdzie byłeś? — spytał, rzucając na biurko czytany właśnie list.

Monostades skrzywił się, ale odpowiedział jak zwykle spokojnie.

— Kilka dni temu otrzymałem rozkaz, żeby ich śledzić. Próbowałem to robić. Miałem też poszukać kogoś, kto zna się na trujących ziołach. — Uśmiechnął się cynicznie. — Nie pamiętasz, panie?

Zwykle taka uwaga ściągnęłaby na niego gniew Justusa i pejcz poszedłby w ruch, ale nie tym razem.

— I co, znalazłeś?

— Jest pewna stara kobieta. Bardzo stara. Mieszka poza Rzymem, pod Tuskulum, wśród wzgórz. Usłyszałem o niej od osobistej niewolnicy pewnej bogatej wdowy. Sprowadzenie jej do Rzymu kosztowało dziesięć złotych denarów. To i zakryty rydwan.

— Zakryty? Mądrze. Gdzie jest ta kobieta? — Przesunął językiem po wargach i przez chwilę poczuł, że ogarnia go strach. Gdy wymyślił ten plan, wydawał mu się genialny, ale realizacja to druga sprawa. Przyjrzał się Monostadesowi. — Kogo po nią wysłałeś?

— Niemego — odparł takim tonem, jakby wyjaśniał coś dziecku. — Nie jestem tak głupi, aby wysłać niewolnika, który może mówić. — Samowolnie usiadł na jednej z wyściełanych ław, co było w tym domu niewybaczalną niesubordynacją. Nie doczekał się jednak reprimendy. — Potem odwiezie ją, a w drodze powrotnej spotka go wypadek. Jednak dopiero wtedy, gdy wjedzie na via Appia, tak że nie da się ustalić, skąd przybywał.

— Świetnie — rzucił Justus roztargnionym tonem. Uważał, że

Monostades poczuł się zbyt ważny, i zamierzał się tym zająć spokojnie i bez pośpiechu, gdy tylko załatwi ważniejszą sprawę. — Mogę się z nią zobaczyć?

—Siedzi teraz w kuchni. Dostała coś do zjedzenia i zastanawia się, ile jest pan wart. Z tego, co słyszałem, jest bardzo skuteczna. Może jej pan zaufać.

Ponownie wątpliwości ogarnęły Justusa. Porwał się na coś drastycznego i chociaż miało go to uwolnić od Oliwii i otworzyć mu drogę do powinowactwa z Flawiuszami, to gdyby cokolwiek poszło nie tak... Spojrzał na malowidło ściennie przedstawiające zakutą w łańcuchy Andromedę atakowaną przez potwora morskiego i przez głowę przemknęła mu oderwana myśl, że zawsze je lubił.

— Co mam zrobić z tą kobietą, panie? — spytał Monostades po dłuższej chwili ciszy.

— Przyrowadź ją tutaj. Zadbaj, aby nikt poza kuchennymi jej nie widział. Zrób to szybko. Muszę z nią wreszcie porozmawiać. — Ręce chodziły mu nerwowo i nie mógł ich uspokoić. Wprawdzie nie miał ochoty przyznawać się do tego, ale wątpliwości nie zniknęły. To dobry ruch, powiedział sobie w duchu. Wreszcie pozbędzie się Oliwii.

Monostades opuścił gabinet i wrócił niebawem z pomarszczoną i powykręcaną kobietą o małpiej twarzy. Ubrana była przedziwnie, w strój, którego każdy element był w innym kolorze, niedopasowany przy tym długością i krojem do pozostałych. Całość trzymały spinki i brosze, wśród których nie było dwóch podobnych. Zalaatywała mocno kamforą i goździkami.

— Dzień dobry, stara kobieto — przywitał ją Justus, nie wstając z miejsca, chociaż wiek wymagałby szacunku. Wskazał na jedno z wyściełanych krzeseł. — Możesz tam usiąść.

— Miło z twojej strony, senatorze — odparła ze śmiechem. Głos miała niski jak mężczyzna i bardzo dźwięczny. Zajęła miejsce i

spojrzała na Justusa. — I co to ma być, senatorze? Chcesz się pozbyć rywala do serca wybranki? Wroga politycznego? A może któraś z twoich niezamężnych córek potrzebuje lekcji? — Nie wydawała się zakłopotana, jedynie w osobliwy, gorzki sposób rozbawiona.

— Nie mam córek — odparł krótko Justus. — Mój niewolnik — wskazał pogardliwym kiwnięciem głowy na Monostadesa — mówi, że wiesz coś o truciznach.

— Chyba dlatego właśnie po mnie posłałeś, senatorze? — Założyła chude ramiona, przydając sobie godności. — Nie oszukuję i nie szantażuję. Płaci się tylko raz. Jeśli myślisz, aby na mnie donieść, może się to okazać trudne. Chronią mnie ludzie znajdujący się znacznie wyżej niż ty. Mają po temu swoje powody, oczywiście.

Justus nie odpowiedział od razu.

— Czy jest możliwe przygotowanie takiej trucizny, która po podaniu wywoła objawy jasno świadczące, że ktoś został otruty, ale nie spowoduje śmierci? — Wziął list, który niedawno czytał, i zaczął go składać.

— Oczywiście, że tak. Ale chcesz, żeby objawy wystąpiły z opóźnieniem czy od razu? Czy ta osoba jest dobrego zdrowia? Jeśli miewa duszności albo bóle żołądka, będzie trudniej. — Była zaciekawiona i patrzyła na Justusa z wyrachowaniem.

— Żadnych duszności ani bolesności. — Justus zdecydował się ostatecznie. Nie porzuci swego planu.

— Ile lat ma ta osoba? Jak jest zbudowana? Ile pije? Jaki tryb życia, prowadzi? Czy często jada w towarzystwie? — Pytania padały jedno po drugim.

— Ten człowiek ma pięćdziesiąt kilka lat, sporo się rusza, chociaż unika wysiłku, lubi dużo wypić, ale pija rzadko, często jada w towarzystwie. Chodzi o mnie. — Z przyjemnością ujrzał zaskoczenie malujące się w oczach kobiety. — Rozumiesz więc chyba, dlaczego

zależy mi na truciznie, która nie zabija.

— Nie rozumiem, dlaczego w ogóle jej chcesz.

— To złożona sprawa — zaczął, pomyślawszy, że powie jej prawdę. Gdy zrobi już swoje, usunięcie jej nie będzie problemem. — Jestem żonaty. Ona jest moją trzecią żoną. Z pierwszą rozwiodłem się, gdy dowiedziałem się o jej pomieszaniu zmysłów, chociaż nadal ją utrzymuję. Druga zmarła niecałe dwa lata po ślubie. Być może to powinno mnie czegoś nauczyć, ale jakieś dziesięć lat temu ożeniłem się ponownie. Moja żona jest znacznie młodsza i w tej chwili mieszkamy osobno. Chcę się z nią rozwieść, ponieważ okazała się nierządnicą. Mogę wykazać to w sądzie, jednak niekoniecznie z pożądanym przeze mnie skutkiem. Pozostanie wtedy w Rzymie, nadal ustosunkowana i z pozycją, która pozwalałaby mi szkodzić. Zapewniam cię, że jest do tego zdolna. Gdyby jednak dało się dowieść, że działa przeciwko mnie, rozwód byłby pewny i zostałaby co najmniej wygnana. Dlatego właśnie potrzebna mi trucizna. Zamierzam zjeść z nią za kilka dni obiad i zachorować zaraz potem. Powtórzę te spotkania kilka razy, aż będzie można obwieścić, że powodem mojej choroby była podana przez nią trucizna. W ten sposób zostanie oskarżona o przestępstwo. Wszyscy wiedzą, że nasze małżeństwo nie należy do udanych. Jeśli mój plan się powiedzie, zniknie z mojego życia i będę mógł poszukać innej...

— Zdobyczy? — wtrąciła się kobieta. — Podłe z ciebie bydło, senatorze — stwierdziła uprzejmym tonem.

Justus drgnął jak uderzony.

— Nie będę wysłuchiwać podobnych...

— Wysłuchasz wszystkiego, co zechcę ci powiedzieć, albo nie dostaniesz trucizny — odparła ostro kobieta. — Powiedziałeś, co miałeś do powiedzenia, teraz moja kolej. Albo wracam do swojej chaty i więcej mnie nie zobaczysz.

— To jakiś absurd — powiedział Justus tonem wyższości.

— To szukaj swojej trucizny gdzie indziej. — Poruszyła się, jakby chciała wstać.

— Dobrze, wiek ma swoje przywileje — westchnął Justus i uniósł oczy ku niebu. — Gadaj, stara kobieto, jeśli musisz. — Założył ręce i wbił spojrzenie w malowidło z Andromedą.

Jeśli dotknął ją swoim zachowaniem, nie dała tego po sobie poznać.

— Chcesz pewności, że uda ci się pozbać ją należnych praw, może nawet zostanie skazana na wygnanie. Po co? Czyżbyś roztrwonił jej wiano? Albo masz coś szczególnego na myśli?

— Nie miała wiana — odparł obojętnie. — Dostanę tę truciznę czy nie?

— O tak. Na pewno ją otrzymasz. O to nie musisz się martwić. Będzie dokładnie taka, jak chcesz, i nie umrzesz od niej, niestety. Przez jakiś dzień będziesz chorował na żołądek, potem nastąpi pięć albo sześć dni osłabienia, ale nic poważniejszego. Przeżyjesz.

— Przeżyję bez uszczerbku na zdrowiu? — upewnił się Justus, okazując więcej zainteresowania, niżby pragnął.

— Jak najbardziej. Tego przecież chcesz, prawda? Potem będziesz mógł oskarżyć swoją niewinną żonę o to, co sam w swej perfidii zrobiłeś, i jako człowiek niewinny poprosić o rękę cesarskiej kuzynki. — Roześmiała się, zobaczywszy jego minę. — Zdziwiony? Myślisz, że skoro żyję pod Tuskulum, to nigdy nie słyszałam o senatorze Justusie Syliuszu? Ze nie znam plotek, które o tobie krążą? Nie tylko wśród innych senatorów, ale także gladiatorów, którzy przychodzą do mnie po eliksiry na krzepę, i różnych mężczyzn, którzy chcą podtrzymać potencję. Trzy lata temu dałabym się oszukać i uwierzyłabym w twoją opowieść o kurwiącej się żonie. Słyszałam jednak relacje tych, którym pomagałeś ją osiąść, teraz zaczynam rozumieć.

— Kłamali — powiedział Justus bez drgnienia powieki.

— Naprawdę? Nie bawi cię już zatem Acja Oliwia Klemens i chcesz się jej pozbyć. Pewnie to i tak lepsze niż morderstwo. — Spojrzała na niego surowo, bez strachu napotykając jego wściekłe spojrzenie, i wstała. — Dostaniesz truciznę, Syliuszu. Zadziała dokładnie tak, jak tego pragniesz. Zachorujesz. — Odwróciła głowę i splunęła.

— Jesteś bezczelna, starucho! — nie wytrzymał w końcu Justus. Twarz pociemniała mu jak dojrzała śliwka.

— Chcesz powiedzieć, że jestem szczerą — odparła spokojnie. — Wypominasz mi bezczelność? Ty, który chcesz zniszczyć swoją żonę?! Cóż, świat się zmienia, ale gówno pozostaje gównem. Za moich czasów mordowaliśmy otwarcie, ale to już niemodne.

— Za twoich czasów — powtórzył szyderczym tonem Justus.

— Za moich czasów stałam wyżej niż ty, senatorze. — W jej małych, jasnych oczach błysnęło rozbawienie. — Odradzałabym próbę zabicia mnie. Teraz czy później. Wielu próbowało i ciągle żyję.

Justus chętnie by usłyszał, kogo miała na myśli. Którzy z patrycjuszy zwracali się przez lata do tej dziwnej kobiety? Co dla nich robiła? I jakim cudem pozostawała przy życiu, skoro miała tylu klientów? Zachował jednak te pytania dla siebie.

— Przechwałki nic nie kosztują — powiedział, mierząc ją spojrzeniem. — Jeśli twoja trucizna nie zadziała, jak powinna, jeden list wyślę do prefekta pretorianów, drugi przedstawię senatowi. Jeśli wszystko pójdzie, jak powinno, wyślę ci nagrodę w wysokości twojego wynagrodzenia...

— Zatrzymaj sobie te prezenty! — przerwała mu ze złością. — Gdybym chciała luksusów, dawno bym je miała. Poznałam kiedyś takie życie i odrzuca mnie od niego. — Podeszła do drzwi i spojrzała na Justusa. — Przekażę truciznę twojemu niewolnikowi. W mojej chacie. Wróci z nią po tym, jak mnie odwiezie. Jeśli będziesz nastawa! na mnie, pożałujesz. — Wyraźnie domyślała się, co chodziło

mu po głowie. — Gdybym nie miała ochrony, zniknęłabym już lata temu. Pamiętaj o tym.

— Dlaczego to robisz? — spytał Justus autentycznie zaintrygowany. W życiu nie widział tak lodowatego uśmiechu.

— Bo nienawidzę was wszystkich. Sądziłabym, że to oczywiste. — Przeszła przez próg i zamknęła za sobą drzwi.

— Idź za nią — rozkazał Justus, zwracając się do Monostadesa. — Nie chcę, żeby szwendała się po domu. Nie trać jej z oczu.

Monostades posłuchał, ale nie od razu.

— Zapewne ma rację co do ochrony, panie — powiedział z sarkastycznym uśmiechem na pełnych wargach.

— Zapewne. — Justus nie chciał dyskutować o tym z niewolnikiem.

— Chyba lepiej tego nie sprawdzać — dodał niewolnik. — Gdyby na pana doniosła, nie byłoby dobrze.

Justus spojrział na Monostadesa z otwartą wrogością.

— Nadal mam prawo karać niewolników za nieposłuszeństwo. Nikt mi złego słowa nie powie, jeśli obedrę ci batem skórę z grzbietu. I nawet będzie mnie to bawiło. — Zmierzył Monostadesa spojrzeniem od stóp do głów, tak jak patrzy się na zwierzę prowadzone na rzeź. — Nie jesteś słaby. Długo będziesz konał.

— Jestem posłuszny — powiedział szybko Monostades i zbladł, chociaż czy ze strachu, czy ze złości, trudno by orzec.

— Zatem idź za nią. — Poczekał, aż niewolnik wybiegnie z gabinetu.

Gdy został sam, siadł i napisał do Oliwii list informujący o zamiarze spożycia z nią obiadu za cztery dni od dzisiaj. Starannie dobierał zdania, chcąc ją przerazić bez dawania pretekstu do odmowy. Na razie i tak był to brudnopis, przygotowywany na woskowej tabliczce. Oryginał miał być naprawdę doszlifowany.

Kończył już list, gdy jeden z niewolników zapukał nieśmiało do

drzwi.

— Nie przeszkadzać — powiedział Justus, nie podnosząc głowy znad tabliczki.

Pukanie powtórzyło się.

— Panie, przyszedł pewien... szlachetnie urodzony. Mówi, że chce się z panem widzieć.

— Nie mam czasu — odparł ostrym tonem Justus. Jego zasoby cierpliwości wobec służby wyczerpały się.

— Ale on nalega — dobiegło z drugiej strony drzwi.

— Powiedz mu, że nie mogę się z nim zobaczyć. — Odłożył tabliczkę i sięgnął po atrament.

— Mówi, że to pilne. — Skomlenie urosło o co najmniej oktawę.

Justus zacisnął zęby.

— Trudno. Niech wejdzie na parę chwil. Jeśli to jakiś drobiazg, każę dać mu baty i wyrzucić na ulicę. — Spojrzał na drzwi. — Szybciej. Jestem zajęty. — Usłyszał, że niewolnik gdzieś pobiegł.

Nie musiał długo czekać. Krótco potem usłyszał zbliżające się kroki i pukanie. Gdy drzwi się otworzyły, ujrzał przystojnego młodego mężczyznę w eleganckich armeńskich brokatakach. Nieznajomy wszedł do gabinetu.

— Senator Syliusz? — spytał uprzejmym tonem.

— Tak. Możesz powiedzieć, czego chcesz, tylko szybko. — Justus musiał jednak przyznać, że gość zrobił na nim wrażenie.

— Nazywam się Led Araszur. Jestem Ormianinem i uczonym studiującym w Rzymie. Interesują mnie poczynania niejakiego Rakoczego Sanct' Germaina Franciskusa, który poza różnymi innymi rolami, jest także kochankiem pańskiej żony — powiedział nowo przybyły i poczekał na reakcję.

— Kochankiem mojej żony — powtórzył pod nosem Justus. Skinął w stronę miękkiego fotela pod ścianą. — Proszę usiąść, Araszurze.

Tekst spisanej staroegipskimi hieroglifami notatki, która została przemycona z więzienia niewolników do Sanct' Germaina:

Do mego pana od Tisztry, Kosrozda i ode mnie samego, z pełnymi szacunku pozdrowieniami.

Poznaliśmy dzisiaj wyrok wydany przez cesarza Wespazjana i nie jesteśmy zdziwieni. Możliwe było albo to, albo galery, ale skoro oskarża się nas o bunt, niezbyt mogli nas rzucić na okręty. Zostaje zatem arena. Dla mnie będzie to nowe doświadczenie, bo Tisztry i Kosrozd znają już arenę całkiem dobrze. Kosrozd mówi, że czuje się rozczarowany.

Wielu rzymskich niewolników zastało już ukrzyżowanych niczym zwykli kryminaliści. To samo spotka zapewne i nas. Takie przynajmniej krążą pogłoski.

Sądzę, że zdołasz odzyskać nasze dala, co powinno uchronić nas od różnych niedogodności. Kosrozd żartuje nawet z tego, ale Tisztry, która nie przeszła jeszcze pełnej zmiany, żywi pewne wątpliwości. Dobrze się złożyło, że przebywamy razem. Świetnie się rozumiemy. Tisztry wyśmiewa się z zalotów Kosrozda i powiada, że długo potrwa, nim zdoła Ci dorównać, panie. Zapewne dobrze, że i ja nie jestem Waszej krwi. Samo związanie z Tobą moim życiem już mi wystarczy.

Jesteśmy gotowi na kaźń i liczymy na to, że zrobisz swoje. Kosrozdowi brakuje cierpliwości i muszę przypominać mu, że zaraz potem przyjdzie mu opuścić Rzym. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zobaczył na mieście osobę, która zginęła wcześniej na arenie. Uprzedzam go, że zapewne zabronisz mu udziału w wyścigach rydwanów, i to gdziekolwiek, przez co najmniej kilka lat. Pamiętam o Twoim majątku w Galii i sądzę, że moglibyśmy się tam ukryć. Cokolwiek dla nas planujesz, przyjmujemy to. Za jakiś czas, gdy ludzie zapomną, będziemy zapewne mogli wrócić do Rzymu. Sądzę, że wystarczy sto lat, tak jak poprzednio.

Do spotkania zatem, pozdrawiamy z celi.

Aumtehoutep

dwudziestego siódmego marca 824 roku Miasta

Saint Germain skończył czytać dokument przyniesiony przez młodego trybuna pretorianów.

— Dziękuję — powiedział cicho, składając na powrót świetny, egipski papier. — Proszę przekazać prefektowi Tytusowi, że jestem mu dozgonnie wdzięczny. — Może jednak wszystkie te zabiegi wokół rzymskich urzędników coś dadzą, pomyślał. Liczył na inny wynik, ale i tak było lepiej, niż się obawiał. — Przejmę ciała, gdy tylko przejdą przez Bramę Śmierci.

Trybun spojrział na niego badawczo.

— To niewolnicy. Dlaczego odzyskanie ich ciał jest takie ważne?

Saint Germain zawahał się.

— Wśród mego ludu istnieje przekonanie, że niewolnicy zmarli przed właścicielem muszą zostać pochowani obok niego, w przeciwnym razie zniszczą i obrabują jego grób. — Była to prawda o tyle, że rzeczywiście znał kiedyś ludzi hołdujących podobnej wierze.

— A, to kwestia religijna — stwierdził z ulgą trybun. Słyszał już o najróżniejszych praktykach religijnych i nic go nie dziwiło, zwłaszcza w przypadku cudzoziemców. — Prefekt był ciekaw — wyjaśnił pospiesznie.

— Rzym ma swoje zwyczaje, my swoje — powiedział spokojnie Sanct' Germain, ciesząc się, że mieszka w kraju szczególnie tolerancyjnym dla różnych religii.

— Oczywiście — zgodził się pretorianin bez szczególnego zrozumienia.

— Czy mogę cię poczęstować winem, panie? Albo czymś do przegryzienia? — spytał uprzejmie gospodarz. — Chętnie po to poślę.

— Wskazał na wejście do błękitno-srebrnego pokoju. — Możesz, panie, zjeść tutaj albo w ogrodzie, który zaczął właśnie rozkwitać.

Trybun machnął uprzejmie ręką.

— Nie, nie. Nie mam czasu, ale dziękuję za propozycję. Prefekt mówił, że jesteś, panie, bardzo uprzejmą osobą. To prawda. — Skłonił się sztywno i ruszył do drzwi. — Piękna willa — dodał po namyśle.

— Zapewne — powiedział Sanct' Germain, odprowadzając gościa przed kolumnowy fronton budynku, gdzie trybun zostawił konia.

Począł, aż wskoczy na siodło, skinął mu głową i wrócił do środka. Nadal trzymał w dłoni oficjalne pismo Tytusa. Dopiero usłyszawszy oddalający się tętent kopyt, pospieszył do północnego skrzydła.

— Rogerianie! Rogerianie!

Mężczyzna, którego wzywał, doszedł już niemal do siebie po straszliwych ranach i daleko posuniętym zakażeniu. Poruszał się tak, jakby jego kości były nad wyraz kruche, a jego młoda, miła twarz była niezwykle poważna.

— Tak, panie? — spytał. Mówił z akcentem rodowitego mieszkańca Gadesu.

Saint Germain zamknął głośno zewnętrzne drzwi i skierował się do pokoju w głębi.

— Musimy działać szybko. Nie zostało wiele czasu.

— Czasu na co? — spytał Rogerian, starając się dotrzymać mu kroku.

— Tytus przysłał oficjalną zgodę. Zaraz po egzekucji będę mógł odebrać ciała Aumtehoutepe, Kosrozda i Tisztry. Potem będziemy musieli czym prędzej wywieźć ich z Rzymu. — Wpadł do biblioteki i od razu podszedł do biurka. — Muszę sprawdzić, gdzie są moje statki. Wiem, że jeden zawinął do Pizy i wypływa niebawem na Korsykę i do Utyki. Na razie przechodzi jakieś drobne naprawy. Muszę nakazać kapitanowi, aby poczekał jeden dzień. — Mówiąc to, usiadł przy

biurku i wyciągnął arkusz papieru. —Jeden z rydwanników musi pojechać dzisiaj na północ. Dam mu upoważnienie i pieniądze za konieczne zmiany koni. Wiadomość ma dotrzeć do adresata w ciągu sześciu dni.

Rogierian pokiwał głową i gdy Sanct' Germain zaczął spisywać instrukcje dla kapitana, młodzieniec poszedł do pokoju, gdzie trzymano raporty handlowe. Nie potrafił czytać starego pisma, wziął więc cały stos złożonych w harmonijkę manuskryptów i zaniósł je do biblioteki.

Obok pierwszego arkusza leżał teraz drugi i Sanct' Germain pisał jednocześnie dwa identyczne listy. Rogierian nigdy nie widział, aby ktoś posługiwał się tak obiema rękami, i przystanął zdumiony.

Oba listy zostały podpisane.

— Dobrze — powiedział Sanct' Germain, unosząc głowę. — Jeden z nich jest do Tisztry, drugi do pewnej osoby w Utyce, gdzie ją wysyłam. To stary człowiek, parający się magią. Chętnie przyjmie ją do gospodarstwa. Wie o jej potrzebach i będzie wiedział, jak je zaspokoić. — Chciał dodać coś jeszcze, ale rozmyślił się i sięgnął po kolejny arkusz papieru i znowu zaczął pisać, tym razem po grecku. — Gdy Tisztry będzie już bezpieczna, starczy, że zachowa podstawowe środki ostrożności. Nie jest głupia, a Sbratiusz jej pomoże.

— Czy to ktoś taki jak ty? — spytał trochę niespokojny Rogierian.

— Na pewno nie. — Sanct' Germain zaśmiał się cicho. — Bardziej jak ty.

Rogierian spojrzał na swego pana z konsternacją.

—Jak ja? Wielu nas jest?

Sanct' Germain nie odpowiedział od razu. Skupił się na pisanym liście. W końcu ponownie uniósł głowę.

— Osobiście wiem o sześciu, to jest sześciu naprawdę

wskrzeszonych. Z wieloma się nie udało. Słyszałem, że są jeszcze inni, ale nie wiem, kim są ani gdzie przebywają. — Złożył papirus i zapieczętował swoim sygnetem. — To dla Kosrozda.

Rogierian nie chciał jednak porzucać tematu Sbratiusza.

— Dlaczego on został wskrzeszony? — O to, dlaczego sam żył, bał się pytać.

— Dysponował szczególną wiedzą, poza tym kapłani Imhotepa powiedzieli, że spróbują. Udało nam się wtedy. — Nagle spojrzał przenikliwie na Rogieriana. — Dlaczego nie spytasz o siebie? Chciałbyś wiedzieć, prawda?

Rogierian pokiwał niepewnie głową.

— Tak. Chcę — wyszeptał, jakby zabrakło mu nagle odwagi.

— Gdybyś mógł siebie wtedy zobaczyć, zrobiłbyś to samo. Chociaż nie, to nie wszystko. Musiałem coś zrobić... dla kogoś. A ciebie właśnie dobijało to robactwo. Gdyby starczyło im czasu, zdarliby z ciebie skórę. — Sam zdumiał się własnymi emocjami. — Nie mogłem cię zostawić. Ostatecznie nie było innego powodu niż ten. Nie mogłem cię zostawić.

Rogierian milczał.

— Gdy byłem jeszcze niewoźnikiem w Betyce, straciłem syna. Pamiętam, jak się czułem, gdy umarł — powiedział cicho po dłuższej chwili. — Zranił się tylko. Nic wielkiego, drobna rana. Ale śmiertelna. Zanim skonał, zgiął się cały w pół, a my byliśmy całkiem bezradni. — Spojrzał w okno. — Czy mam kazać Raidesowi zaprząć konie do rydwanu i wybrać rydwannika, który pojedzie na północ?

— Tak. Zaraz wypiszę rozkaz dla rydwannika, ktokolwiek to będzie, aby żaden posterunek legionów po drodze go nie aresztował. Ma być gotowy za godzinę. Niech weźmie ubranie na zmianę.

— Zajmę się tym. I sakiewką dla niego. To nie zajmie wiele czasu. Raides wie, którzy rydwannicy będą najlepsi do tego zadania. —

Skinął głową i wyszedł z biblioteki.

Sanct' Germain uśmiechnął się smutno. Najlepszy byłby Kosrozd, ale cóż. Nie wątpił, że Raides wybierze któregoś z uczniów Kosrozda. Wziął raporty na temat statków i zaczął je przeglądać, szukając innych jeszcze możliwości wywiezienia trojga niewolników z dala od Rzymu i rzymskich garnizonów. Zanim Rogerian zjawił się z powrotem, wszystko było już rozpisane.

— *Sztormowa piana* płynie z Sipontum do Nowej Kartaginy. Kapitan ma zajrzeć do Rzymu na wesele swojego brata i wracając, zabierze Aumtehoutepea ze sobą. W Nowej Kartaginie znam pewnego handlarza sztuką i antykami, który zajmie się gościem. — Dojrzał grymas przebiegający po twarzy Rogeriana. — Nie wszyscy właściciele są okrutni dla swoich niewolników. Nie wysyłałbym Aumtehoutepea do kogoś, gdybym żywił jakieś obawy.

— Ale pewności nie masz — powiedział cicho Rogerian.

— Ale wiem, i on wie, że starczyłaby jedna skarga Aumtehoutepea, a ów kupiec mógłby się pożegnać z interesem. Nie zostawiam niczego przypadkowi, nawet wobec ludzi, których mam za szlachetnych. Czy aprobujesz takie postępowanie? — spytał sardonicznie.

— Nie jestem kimś, kto mógłby cokolwiek tu aprobować albo nie. — Rogerian wyprostował się sztywno.

— W rzeczy samej. — Sanct' Germain wskazał na kolejne złożone papirusy. — Te są dla Kosrozda. Czeka go trudniejsza droga, musi jednak opuścić granice imperium, przynajmniej na jakiś czas. Raz, że jest tutaj zbyt sławny, a dwa, że są w Persji ludzie, którzy chcieliby go dostać w swoje ręce z politycznych powodów. — Zaśmiał się krótko. — Gdyby teraz do tego doszło, zapewne byłiby bardzo zdumieni, otrzymując więcej, niż się spodziewali, ale nie ma co ryzykować.

— Gdzie popłynie? — spytał Rogerian, nie zastanawiając się, dlaczego Sanct' Germain zdecydował się obdarzyć go takim

zaufaniem.

— Wsiądzie na pokład *Trójzębu* i z Rhegium uda się najpierw do Poli w Histrii, potem łodem ruszy do Panonii i dalej rzeką Tłsia w górę, do Alba Lulia. To zapomniany przez ludzi zakątek, dobry, aby przeczekać tam jakiś czas w spokoju.

— Jesteś pewien?

— Urodziłem się w tych górach, Rogerianie, i chociaż działo się to bardzo dawno temu, tamtejsi mieszkańcy pamiętają ludzi naszej krwi. Jesteśmy dla nich legendą, ale oni szanują swoje legendy. — Spojrzał gdzieś przed siebie i z trudem powrócił duchem do bieżącej chwili. — Jeśli po jakimś czasie zatęskni za miastami, niedaleko jest Sinope, gdzie są ludzie gotowi przyjąć go w moim imieniu. — Wstał nagle. — W końcu znalazłem sposób, żeby ich uratować. A już się obawiałem... — Nie był w stanie dokończyć zdania.

— Czy to takie ważne, aby ich ratować? — spytał Rogerian, patrząc na swego pana.

Sanct' Germain jakby go nie usłyszał. Stał tylko bez ruchu, patrząc na trzy stosiki listów na biurku.

— Między ludźmi mojej krwi istnieje szczególna więź. Nie potrafię o nich zapomnieć. Krew nas jednoczy.

— A Aumtehoutep? — Rogerian był ciekaw także ze względu na siebie samego.

— Aumtehoutep jest związany ślubowaniem ciała. To co innego. — Spojrzał na Rogeriana i rysy mu złagodniały. — Nie. Nie jesteś ze mną nierozzerwalnie związany. Gdyby tak było, Sbratiusz też by tu mieszkał, a ja nie mógłbym nigdzie wysłać Aumtehoutepe. Jest pewna więź, ale nie tak silna, aby nie dało się o niej zdecydować. Istnieje wybór. Jeśli zostaniesz ze mną, to z własnej woli, nie z konieczności. Nie rzuciłem na ciebie zaklęcia. Cokolwiek wybierzesz, dotrzymam słowa. Twój były właściciel zostanie ukarany za to, jak cię

potraktował.

Rogerial nie poruszył się.

— Na razie wolałbym zatem zostać.

— Dziękuję. — Sanct' Germain zebrał listy. — Chodź ze mną. Chcę porozmawiać z wybranym przez Raidesa rydwannikiem i upewnić się, że prędko wyruszy w drogę. — Poruszał się płynnie, ze zwodniczą szybkością. Rogerial pospieszył za nim.

Raides stał przed rydwanem i uspokajał cztery trochę spłoszone konie.

— Są wypoczęte — zapewnił swojego pana, ledwo ujrzął go w stajni.

— Widzę. Kto pojedzie? — Ogarnął zaprzęg spojrzeniem. — Gniady się poci.

— To nie problem. Większość popołudnia przebywał na słońcu. Jest wypoczęty i chętny do biegu. — Raides poklepał drugiego z kolei konia. — Najbardziej martwiłem się o niego, ale sprawdziłem mu kopyta i będzie dobrze.

— Liczę, że tak — powiedział surowo Sanct' Germain.

Gdy to mówił, do stajni wszedł młody cymryjski woźnica. Był wysoki i zwinny, równie pewny siebie jak Kosrozd.

— Panie! — zawołał z daleka. — Będę w Pizie za pięć dni od teraz albo możesz mnie rzucić na pożarcie rekinom przy willi Tyberiusza.

— Jeśli ci się uda, możesz zyskać wolność i pięć kłaczy do hodowli — zapowiedział Sanct' Germain, gdy młodzieniec pakował swój tobołek do rydwanu.

— Pięć kłaczy i wolność? — Spojrzał na swego pana. — Za to gotów jestem jechać do Brytanii, nad ocean. — Wsiadł do rydwanu i skinął na Raidesa. — Teraz je przejmę. — Zaczął wybierać lejce. — To ta nowa uprząż — powiedział, uspokajając zaprzęg. — Jest lepsza niż stara. Z początku jej nie lubiłem, ale Kosrozd nauczył mnie kilku

sztuczek. Pomaga panować nad każdym koniem z osobna. Jeśli się wie, co trzeba robić. — Jego uśmiech wskazywał jasno, że młodzieniec nie ma z tym kłopotu.

Saint Germain położył dłoń na obramowaniu rydwanu, jakby chciał go zatrzymać.

— Nie szalej. Najważniejsze to dostarczyć nienaruszoną wiadomość na czas. Aby to zrobić, nie możesz zwracać na siebie uwagi. W twoim upoważnieniu zaznaczyłem, że szybkość jest drugorzędna i że wiesz rozkaz dla mojego dowódcy. To wszystko, co powinieneś teraz wiedzieć. Jeśli zostaniesz zatrzymany w drodze, wszyscy ucierpimy. — Nie było to upomnienie, ale czysta informacja, która ujęła trochę buńczuczności młodzieńcowi.

— Będę pamiętał, panie — odparł z poważnym obliczem.

— Też tak sędzę. — Sanct' Germain odsunął się od rydwanu i skinął, że można jechać.

Raides też cofnął się krok i pogonił konie, które wyjechały ze stajni, by skrócić w dół stoku, w kierunku drogi.

— Da radę — zapewnił Raides. — Jest młody i gorliwy, ale rozumny. Pozwoli koniom się wyszaleć i potem przytrzyma je w kłusie.

— Jeśli kopyta im wytrzymają — przypomniał Sanct' Germain, marszcząc brwi. Pokręcił głową. — Niepokój przeze mnie przemawia, Raidesie — dodał ze smutkiem. — To była taka długa bitwa, że nie mogę uwierzyć w wygraną.

Raides wzruszył ramionami.

— Nie każdy pan broniłby swoich niewolników. A już na pewno nie tak dzielnie. U nas wszyscy tak mówią. — Otrzepał rękaw tuniki i kurz zakłębił się wkoło jego ręki. — Wiemy, co się dzieje.

— Niewolnicy zawsze wiedzą — odparł z lekkim rozbawieniem Sanct' Germain.

— Wiemy więcej niż większość — powiedział Raides z godnością. — To właśnie chciałem powiedzieć. Wiemy i jesteśmy wdzięczni. Gdyby więcej właścicieli gotowych było zrobić chociaż połowę tego, co ty zrobiłeś dla tej trójki, mniej byłoby ucieczek i band na wzgórzach. — Założył ręce na piersi i uniósł głowę. — To wszystko.

Saint Germain milczał. Pomyślał, że jego niewolnicy nie do końca rozumieją, co właściwie i dlaczego robi. Kosrozd, Tisztry i Aumtehoutep nie byli dla niego zwykłymi niewolnikami. Czy zrobiłby tyle dla cymryjskiego woźnicy, Raidesa albo trzech treserów? Nie był tego pewien. Gdyby blisko ich znał, zapewne tak. Nawet bez szczególnej więzi.

— Może — powiedział.

— Może? — spytał Raides.

— Nieważne. To tylko niepokój. — Rozejrzał się i dostrzegł stojącego w pobliżu Rogeriana. — Chodź. Muszę przygotować kilka wiadomości. Rano wyślę je przez posłańca. — Zamyślony wrócił do prywatnego skrzydła, Rogerian zaraz za nim. Gdy byli już blisko wejścia i stojącego tam, odzianego na czarno strażnika, zwrócił się po cichu do młodzieńca: — Jesteśmy gotowi i teraz to już tylko kwestia czasu. — Zatrzymał się i spojrzał na fontannę.

— Panie? — spytał Rogerian. Ciągle nie wiedział, co myśleć o tym nowym, cudzoziemskim właścicielu. Był mu coraz bardziej wdzięczny za przywrócenie do życia, ale niepokoił się dostrzeżonymi w sobie zmianami. Rzeczywiście nie był taki jak Sanct' Germain, ale od innych ludzi też się teraz różnił. W głębi ducha był przekonany, że ten uprzejmy i wykształcony mężczyzna, którego z godziny na godzinę coraz bardziej szanował, jest naprawdę o wiele groźniejszy, niżby mogło się zdawać. Znacznie groźniejszy niż wielu znanych mu brutalnych i agresywnych ludzi. Stojąc obok niego w ogrodzie willi, pomyślał, że trudno mu zaakceptować wszystko, co Sanct' Germain

mu o sobie powiedział. I było to trudne, przynajmniej do chwili, gdy napotkał intensywne spojrzenie ciemnych oczu, które rozproszyło podpowiadane przez rozum wątpliwości.

Saint Germain potrzęsnał niecierpliwie głową.

— Nadal nie mam pewności, że się uda. — Wiele razy słyszał już ten głos przez stulecia i zawsze okazywało się, że ostrzeżenie było na miejscu. Gdy wszedł do północnego skrzydła, mroczne przecucie narosło jeszcze niczym coraz dłuższe, wieczorne cienie pochłaniające z wolna ogród.

Notatka od niewolnika Monostadesa do jego pana, Justusa Syliusza:

Panie,

Znowu spotkali się w domu jej ojca. Przybył późnym wieczorem i wszedł, wspinając się po szopach przy kuchni, na dach i tamtędy chyba przeszedł do atrium. Żaden z niewolników go nie okrzyknął, możliwe więc, że naprawdę ich przekupił. Wyszedł dopiero godzinę przed świtem, drzwiami niewolników w ogrodzie. Wszystko, co mówił Ormianin, wydaje się prawdą. Nie miałem jak podejść do jej sypialni i nie próbowałem, niczego więc konkretnego nie widziałem, ale czas, sposób wejścia i inne okoliczności pozwalają sądzić, że nie była to wizyta towarzyska.

Rozmawiałem z kobietą z kuchni (jest tam tylko troje niewolników). Powiedziała, że jej pani jest całkiem sama i nikt jej nie odwiedza, nie przychodzą też żadni niewolnicy z wiadomościami dla niej. Nie wiem, kto z gospodarstwa pomaga im umawiać spotkania. Powiedziałeś, panie, że Twoi niewolnicy nie lubią pańskiej żony. Może warto by sprawdzić, czy to się nie zmieniło. Nie miałbyś, panie, nad nią większej kontroli w tym domu, gdyby znalazła tu sojuszników.

Proponowałbym poczekać jeszcze z konfrontacją. Powiedziałeś, panie, że chcesz niepodważalnych dowodów jej niewierności, i muszę je dopiero

zdobyć. Kazałem kobiecie, która pierze pościel, zachować prześcieradła, gdyby cokolwiek na nich zobaczyła. Mówi jednak, że dotąd niczego nie było, a sądzę, że jest to osoba, która nie przeoczyłaby podobnych znaków. Być może Franciskus jest sprytniejszy, niż sądzimy, i bierze pańską żonę na podłódze albo podkłada wcześniej ubrania na łóżko, aby nie zostawić niczego, co dałoby się przedstawić w sądzie. Skoro wiadomo już, że nie odwiedza jej często, może potrwać trochę, nim do czegoś dojdziemy, ale wobec równoczesnej realizacji Twojego planu, panie, wszystko będzie proste. Jeśli jeszcze zobaczę, jak zlegają, sprawa będzie całkiem pewna i nikt nie pomyśli nawet, aby Cię, panie, o cokolwiek oskarżać. Uzyskanie rozwodu nie przysporzy kłopotów, a cały skandal z tym związany odbije się tylko i wyłącznie na niej. Gdyby jeszcze ci, którzy byli z nią wcześniej, zechcieli zeznawać na Twoją korzyść, panie, byłoby łatwiej i zaprzeczenia ze strony Franciskusa na nic by się nie zdały.

Uznałem, że z proponowanych przez Ciebie, panie, nagród najbardziej odpowiada mi tawerna w Ostii. Nie wiem dość o uprawie zbóż i hodowli zwierząt, żeby poprowadzić nawet mały majątek, ale tawerna byłaby w sam raz. Czekam na moje wyzwolenie, panie. Zawsze będziesz mile widziany w Ostii i pozostanę Ci wdzięczny przez resztę życia.

Możesz być pewien, że wobec takiej nagrody wykonam powierzone mi zadanie i nic nie powstrzyma mnie przed zdobyciem niezbędnych dowodów niewierności Twojej żony.

Wiernie spisane własną ręką i zapieczętowane rankiem dziewiątego dnia kwietnia 824 roku Miasta,

Monostades

. 15 .

Gdy dobiegła końca walka jazdy, która była czwartym punktem igrzysk, słońce stało w zenicie i upał panujący w Circus Maximus stał się trudny do zniesienia. Widoczny w łoży cesarskiej Wespazjan popijał wino z lodem, sprzedawcy zaś robili tego dnia znacznie lepszy interes na sokach niż kiełbaskach i plackach z nadzieniem.

Na spinie stał duży zespół wojskowy i grał popularne marsze. Wielki tłum próbował podejmować śpiew, z nadmiaru entuzjazmu nie trafiał jednak ani w tonację, ani we właściwe słowa. Przebrani za cherubinów chłopcy kołysali się nad linach nad widownią i rzucali ludziom kwiaty i monety. Liny zaczepiono na rusztowaniu osłaniających od słońca baldachimów, a chłopcy mieli na plecach malowane skrzydełka.

Modestyn Datus spojrział na swojego gościa i podał mu szeroki wachlarz.

— Proszę, Sanct' Germain. Na pewno się przyda.

— To nie jest konieczne.

Rakoczy nie pocił się, w odróżnieniu od Modestyna, ale przyjął wachlarz i zamieszał nim zastoje powietrza.

— Przykro mi z powodu twoich niewolników — powiedział Modestyn, poprawiając poduszki na marmurowej ławie.

— Tak. — Sanct' Germain nie chciał o tym rozmawiać, ale nie mógł milczeć, by nie urazić Modestyna.

— To wstyd, że cesarz dał się namówić Domicjanowi i żądania tłumy zostały wysłuchane. Egzekucje powinny być przeprowadzane zgodnie z prawem, niezależnie od czyichkolwiek kaprysów.

Sanct' Germain zdrętwiał. Nie słyszał już wrzawy czynionej przez

tysiące obecnych na trybunach Rzymian ani pokrzykiwań krążących po widowni handlarzy. Ledwo odnotował głos organów hydraulicznych.

— Jakich kaprysów? — spytał, odzyskawszy zdolność mowy.

— Co? — Modestyn odwrócił ku niemu głowę. — A, chodzi o egzekucje. Niewolnicy należący do obcokrajowców mają zostać rozdarci przez dzikie zwierzęta. Myślałem, że wiesz.

— Rozdarci? — wyszeptał Sanct' Germain. — Nie, nie wiedziałem. — Wstał półprzytomny. — Przepraszam — powiedział do Modestyna nieswoim głosem. — Muszę... muszę zająć się... — Wykonał trudny do zrozumienia gest.

— Nie dziwię się, że nie chcesz tego oglądać — zawołał za nim Modestyn, gdy Sanct' Germain schodził już do korytarza pod lożami patrycjuszy. — To niegodna śmierć. Podzielam twoje odczucia. To wstyd dla Rzymu.

— Tak! — odkrzyknął mu Sanct' Germain, próbując pozbierać myśli. Szczęściem ciało samo wybrało drogę. Przeszedł szybko korytarzem ku schodom pod trybuny. Może jeszcze zdążę, pomyślał z desperacją. Nie wiedział jednak, co mógłby zrobić, gdyby udało mu się dotrzeć do Aumtehoutepa, Kosrozda i Tisztry. Zostali skazani. Tyle że zamiast ukrzyżowania zaplanowano dla nich spotkanie z dzikimi bestiami, co oznaczało prawdziwą śmierć. Zacisnął zęby i zaczął przeskakiwać po dwa stopnie. Na dole trafił na strażnika, gotowego go zatrzymać. Gdy poznał Sanct' Germaina, szybko cofnął się w cień.

Po tej stronie cyrku treserzy wyciągali właśnie z niższego poziomu klatki ze zwierzętami przyuczonymi do atakowania ludzi. Grube liny jęczały pod ciężarem, treserzy pocili się od wysiłku.

Gdy Sanct' Germain przechodził obok, jedna z klatek pr/r chyliła się i spomiędzy prętów wystrzeliła pazurzasta łapa. Nirwolnik, w którego mierzyła, zdążył się uchylić i niedźwiedź zaryczał

rozczarowany.

Trochę dalej Sanct' Germain dojrzał znajomego trenera gladiatorów i podszedł do niego.

— Gdzie trzymają skazanych niewolników? — spytał bez wstępów.
— Powiedz, Tsoudesie.

Trener podniósł na niego wzrok.

— Po drugiej stronie cyrku — odparł, zanim pojawił, z kim rozmawia. Wtedy wstał i na jego pokrytej szramami twarzy pojawił się krzywy uśmiech. — Nie próbuj, Franciskusie. Tam jest pół centurii pretorianów. Aresztowali już dwóch ludzi, którzy podeszli za blisko. — Spojrzał ze zrozumieniem na Sanct' Germaina. — Bardzo szkoda tej Ormianki. Była naprawdę oddana cyrkowi, chociaż większość tych drani nie potrafiła jej docenić.

— Muszę jakoś tam dotrzeć — powiedział ze śmiertelnym spokojem Franciskus. — Nie wiedziałem o zwierzętach. Spodziewałem się ukrzyżowania.

Tsoudes westchnął.

—Ja też — powiedział, ruszając wraz z Sanct' Germainem przez ciemny korytarz. — To Domicjan wpadł na ten pomysł. Powiedział, że tak będzie lepiej, skoro to nie są niewolnicy Rzymian. Chce przypomnieć cudzoziemcom, że są tu tylko gośćmi.

Musieli zatrzymać się i przeczekać transport kolejnej klatki. Tam mieściła trzy tygrysy, wszystkie wściekłe i głodne. Sanct' Germain spojrzał na nie obojętnie.

Sądzę, że to błąd — stwierdził trener. — Gdyby ci niewolnicy uczestniczyli w spisku, wówczas należałoby potraktować ich jak buntowników, ale tak? Po co udawać?

— Nie musisz iść ze mną. Zwłaszcza jeśli tam są pretorianie — powiedział Sanct' Germain, jakby nie słyszał komentarza Tsoudesa. — Znajdę ich.

— Ale gdy ich znajdziesz, przyda się ktoś, kto powstrzyma cię przed zrobieniem głupstwa, które dodatkowo im zaszkodzi. — Byli już prawie przy stajniach i w korytarzu zrobiło się jaśniej. — Starczy, że posyłają ich na piasek przeciwko zwierzętom, ale jeśli dasz pretorianom pretekst, okaleczą twoich niewolników tak, że bestie od razu się nimi zajmą. — Położył olbrzymią dłoń na ramieniu Franciskusa. — To byłoby okrucieństwo skazywać ich na coś takiego. Pięćdziesięciu pretorianów z mieczami. Dostali jasny rozkaz, aby nikogo nie dopuszczać do skazanych. Co możesz zrobić przeciwko takiej sile? — Były gladiator chciał być uprzejmy i Sanct' Germain wiedział, że to dobra rada. Nie potrafił jednak pogodzić się ze swoją bezradnością.

— Muszę ich zobaczyć — powiedział.

Tsoudes westchnął.

— Posłuchaj, Franciskusie. Jeśli dasz mi słowo, że nie zrobisz niczego głupiego, mogę to załatwić. Ale jeśli wygadasz, będzie to oznaczało krzyż dla mnie i trudne czasy dla wielu innych. — Zmrużył oczy i uniósł dłoń do twarzy, gdy wyszli na słońce. — Dasz słowo?

— Tak — odparł z naciskiem Sanct' Germain, mimo wszystko nie porzucając całkowicie nadziei. — Nigdy już z nimi nie porozmawiam.

Tsoudes przyjrzał mu się uważnie i podjął decyzję.

— Chodź za mną. Zachowuj się cicho i ostrożnie stawiaj stopy. — Lekko kulejąc, ruszył przez stajnię i skinął na Sanct' Germaina, by do niego dołączył.

Franciskus nie wahał się. Był ledwie pół kroku za trenerem, gdy weszli w korytarz na końcu stajni.

W tej części cyrku było akurat pusto, ponieważ przejście służyło jeździe, której walka niedawno się skończyła. Następni konni mieli się zjawić dopiero za godzinę.

— Tędy. — Tsoudes zatrzymał się przed studnią, która wpuszczała

do środka blask słońca. Wszedł do niej i złapał metalową klamrę, potem ruszył w górę. — Szybko — szepnął. — Pospiesz się.

Saint Germain zamarł na chwilę, potem płynnym ruchem jego czarna postać zaczęła się wspinać za trenerem, który czekał przy bocznym korytarzu odchodzącym od studni.

— Tutaj. Szybko. Ktoś może zobaczyć nasze cienie. — Podał Franciskusowi rękę i wciągnął go do środka. — Od tego miejsca ani słowa — szepnął, przykładając dłoń do ust, i zanurkował w niski tunel prowadzący gdzieś w mrok.

Saint Germain słyszał różne plotki o istniejących w cyrku tajnych przejściach i nie dawał im specjalnie wiary, wiedział jednak, że olbrzymia budowla poprzecinana jest najróżniejszymi korytarzami i tunelami. Z pochyloną głową kluczył w ślad za Tsoudesem, podążając wzdłuż zewnętrznego muru cyrku. Podłoże było nierówne i ściany zbiegały się czasem tak bardzo, że trzeba się było przeciskać, zachowując przy tym całkowitą ciszę. Przypominało to wędrówkę we wnętrzu muszli, ponieważ wrzawa z trybun mieszała się tutaj przytłumionym szumem z odgłosami dochodzącymi z jawnych korytarzy poniżej.

Nagle Tsoudes zatrzymał się i skinął na Franciskusa, aby też przystanął. Potem wyjrzał za róg i pokiwał, że mogą iść dalej. Gdy Sanct' Germain do niego dołączył, były gladiator pokazał przed siebie i przysunął mu usta do ucha.

— Tędy. Kilka kroków i w prawo. Miejsca jest tylko dla jednego. Poczekam na ciebie tutaj, — Przycisnął się do nagiego muru. — Nie za długo. Zaraz będą ich wyprowadzać.

Saint Germain pokiwał głową i przecisnął się obok Tsoudesa. Było tak, jak mu powiedziano. Pięć kroków dalej trafił na płytką niszę z otworem wychodzącym na wielką celę, gdzie trzymano więźniów. Przysunął się ostrożnie bliżej i spojrzał w dół.

Tłoczyło się tam ponad osiemdziesięciu ludzi, w większości bardzo dobrze zbudowanych. Przez kraty widać było strzegących ich pretorianów. Upewniwszy się, że strażnicy nie powinni go zobaczyć, omiótł spojrzeniem tych w dole. Wielu z nich znał z imienia. Dostrzegł kilku essedariuszów z długimi włosami związanymi w potargane ogony. Byli też sekutorzy, sieciarze, andabaci, bestiariusze i rydwannicy. Większość nie kryła przygnębienia czekających im losem, niektórzy jednak grali w kości, chociaż nie było już o co grać. Inni kibicowali grającym. Jakaś kobieta należąca do drużyny gladiatorów leżała w kącie, zapraszając każdego, kto chciał po raz ostatni posmakować radości.

W końcu Saint Germain dojrzał Kosrozda, stojącego trochę z dala od innych. Za nim wypatrzył Tisztry i Aumtehoutepe. Byli bardzo poważni i spokojni, co dodatkowo zaniepokoiło Franciskusa. Nie mógł ich zawołać, nie zwracając na siebie powszechnej uwagi. Wpatrzył się więc w znajome sylwetki, siłą woli próbując przyciągnąć ich spojrzenie.

Pierwszy dostrzegł go Aumtehoutepe, chociaż zdradził się jedynie tym, że nieco głębiej wciągnął powietrze. Pochylił jednak głowę i chyba coś powiedział, ponieważ Tisztry przysunęła się bliżej i pociągnęła Kosrozda za rękaw. Na krótką chwilę skierowała spojrzenie na Saint Germaina i zaraz odwróciła głowę. Kosrozd stanął plecami do swego pana.

W końcu odwrócił się i zaczął coś, co mogło wyglądać na bezsensowną wędrówkę po celi. Inni też tak krążyli i nikt nie zwracał na to uwagi. Klucząc między więźniami, dotarł w końcu do muru pod otworem, w którym tkwił Sanct' Germain. Raz tylko spojrzął w górę.

— Słyszałeś zatem — wyszeptał.

— Tak. Nie mogę nic zrobić, jak tylko umrzeć z wami. — Mówił spokojnie i dość głośno, aby Kosrozd go usłyszał.

— Nie — odparł młodzieniec, wykonując gwałtowny ruch ręką. — To bez sensu.

— A co ma sens? — spytał Sanct' Germain, patrząc na Persa.

— Pomścij nas! — syknął Kosrozd i odszedł szybko od otworu.

Sanct' Germain patrzył za nim, czując narastającą w sobie zimną wściekłość. Nie wiedział jednak, na kim albo na czym mógłby ją wyładować.

— Dobra, nadszedł czas! — krzyknął z drugiej strony krat organizator igrzysk. — Na piach. Znacie drogę.

Zaraz po wyjściu z celi garstka gladiatorów rzuciła się na pretorianów. Walka była krótka, a jej wynik łatwy do przewidzenia. Więźniowie zostali powaleni i dodatkowo okaleczeni.

— To samo spotka każdego, kto spróbuje stawić opór — powiedział lodowatym głosem organizator. — Wszyscy już tu walczyliście i znacie zasady.

— Nigdy wcześniej nie wychodziliśmy na zwierzęta z gołymi rękami! — krzyknął ktoś i inni przyłączyli się do niego.

— Możecie mi wierzyć albo nie, ale prosiłem, żeby was ukrzyżowano — zawołał organizator, przekrzykując narastający pomruk. — Byłem przeciwny tej walce. Zasłużyliście na lepszy los. — Jego ton wskazywał, że mówi prawdę. — Gdyby nie osobisty rozkaz cesarza, nie uszanowałbym zaleceń sądu.

Pretorianie weszli do celi, żeby wygonić najbardziej opornych. Sanct' Germain skulił się w niszy i wrócił do Tsoudesa.

— Skąd mogę to zobaczyć? — wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

— Chcesz patrzeć? — spytał zdumiony trener.

— Nie. Ale muszę. — Pociągnął Tsoudesa za łokieć. — Pokaż mi. Szybko.

Były gladiator posłuchał i skierował się tam, skąd przyszli, po drodze skręcił jednak ku innej plamie słonecznego światła.

— Tu jest szczelina. Widać przez nią większość areny. — Niechętnie odsunął się od otworu. — Ja nie chcę tego widzieć.

— Idź zatem. — Sanct' Germain był mu autentycznie wdzięczny. — Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś, Tsoudesie.

— Nieważne — odparł stary trener i zniknął w korytarzu.

Sanct' Germain przekonał się, że większość niewolników wyszła już na piasek, wielu zaczęło formować oddziały mające razem stawić czoło nieznanym jeszcze bestiom. Jako bywalcy areny znali dobrze zwyczaje większości zwierząt, które na niej wykorzystywano. Jeden z bestiariuszy przechwalał się, że jeśli wyślą przeciwko nim lwy, wszystko będzie dobrze, bo zna je wszystkie i może kazać im położyć się nieruchomo, a wtedy nie zrobią nikomu krzywdy.

Jednak to nie lwy wybiegły zza spiny, ale sarmackie wilki, zwierzęta wielkie, nieustraszone i bardzo przez to groźne. Dwóch treserów, którzy z nimi pracowali, wykrzyknęło coś w rozpacz, kilku innych niewolników próbowało uciekać. Ktoś krzyknął, że trzeba łapać je po jednym i łamać im karki stopami.

Zza drugiego końca spiny wyłoniło się tymczasem kilkanaście niedźwiedzi. Biegły zdumiewająco szybko, oszalałe od wcześniejszego drażnienia ich w klatkach.

Saint Germain przycisnął się do muru, aby widzieć większą część areny.

Z Bramy Życia dobiegł przerażający odgłos — pochrząkiwania dzików. Te akurat były prawie dwa razy cięższe od człowieka, a kły i duża szybkość sprawiały, że nawet niedźwiedzie i wilki wołały schodzić im z drogi. Przegroda została uniesiona i ponad dwadzieścia wielkich zwierząt wypadło z najeżoną sierścią na arenę. Wilki wołały się wycofać.

Niewolnicy byli przerażeni. Paru podbiegło do pustych klatek, aby się w nich schować, ale wilki były szybsze. Rozległy się krzyki i

ohydny trzask pękających kości. Publiczność odpowiedziała wyciem.

Wespazjan pochylił się w fotelu i skinął głową do swego syna, Tytusa.

Powaliwszy pierwsze ofiary, wilki nabrały śmiałości. Teraz rzucały się na całe grupy i łapiąc za nogi i ręce, próbowały wyciągnąć pojedynczych ludzi ze zwartego szyku. Niedźwiedzie poszły za ich przykładem, stając podczas ataków na tylnych łapach.

Krzyki narastały. Cztery dziki uderzyły jednocześnie na najbliższą im grupę, rozbijając ją i rozganiając ludzi. Wszystkich, oprócz tych szczęśliwców, którzy od razu nadziali się na kły albo zginęli pod kopytami.

Wilki krążyły wkoło, aż dojrzały szansę kolejnego ataku. Dwa zaczęły się skradać do Kosroзда, Aumtehoutepa i Tisztry. Tłum ryknął, gdy pierwszy wilk rzucił się na ofiary, Kosrozd złapał go jednak w powietrzu w chwili, gdy ten otworzył paszczę.

Dysponując taką samą, nadnaturalną siłą jak jego pan, młody Pers przegiął łeb bestii daleko do tyłu, przetrącając jej kark. Zaraz cisnął truchło na piasek i zwrócił się ku kolejnemu wilkowi, który przymierzał się do Tisztry. Dziewczyna pokiwała głową i zaczęła zwodzić wilka, wystawiając go Kosrozdowi.

Zabili tak jeszcze cztery zwierzęta i tłum zaczął im nawet kibicować, gdy na arenę wypuszczono kolejną watahę wilków, wywołując przy okazji panikę wśród zwierząt, które już krążyły po piasku.

Sporo niewolników zginęło już lub umierało od kłów i pazurów specjalnie wytresowanych zwierząt. Na nogach trzymała się już tylko niecała połowa grupy, która wyszła na arenę. Z boku niedźwiedź ściskający gladiatora w paszczy został zaatakowany przez wilka i bestie wspólnie rozdarły podczas walki ciało na strzępy.

Saint Germain zamknął oczy z przerażenia, gdy jeden z dzików

zaszarżował na Aumtehoutepe, wyrzucając go wysoko w powietrze i rozpruwając ciało Egipcjanina od mostka po biodra. W wilgotnym powietrzu unosił się odór krwi i rozwleczonych wnętrzności, był tak gęsty, że prawie namacalny. Jeden z wilków podbiegł do Aumtehoutepe i wgryzł mu się w szyję.

Kosrozd dojrzał to i wstał od wilka, którego zabił właśnie wspólnie z Tisztry. Ruszył ku Egipcjaninowi z furią w oczach.

— Nie! — zakrzyknął szeptem Sanct' Germain, zobaczywszy niedźwiedzia skręcającego z szybkością galopującego konia. — Nie!

Niedźwiedź zadał Tisztry druzgocący cios, który cisnął ją prosto na nadbiegającego dzika. Rozwścieczone zwierzę zaczęło ją tratować.

Słyszac sapanie, Kosrozd odwrócił się i dojrzał niedźwiedzia idącego prosto na niego. Na chwilę przed tym, nim potężne pazury dopadły go i rozdarły, młody Pers stanął prosto, dumny jak książę, którym przecież był, bez strachu godząc się z porażką.

Sanct' Germain przycisnął dłonie do piersi i zgiął się w bólu, który nie był jego własnym. Czuł jednak wszystkie rany zadane przyjaciołom przez pazury, kły i zębiska i przez chwilę pragnął jedynie przebić się przez mur i skoczyć na arenę, aby dołączyć do bliskich. Oparł się o kamienie, a z jego gardła dobył się cichy, stłumiony jęk. Żal ogarnął go bez reszty, zmuszając do przeżycia w pełni śmierci Tisztry, Aumtehoutepe i Kosrozda tak, jakby był nimi. Przyciągnął kolana do piersi i zastygł w tej pozycji.

Nie wiedział, jak długo tak leżał. Gdy doszedł do siebie, ciała, czy raczej to, co z nich zostało, ściągano już ku Bramie Śmierci. Grupa konnych Galów zapędzała pikami dziki i pozostałe przy życiu wilki. Sanct' Germain wstał z wysiłkiem, zerknął tylko raz przez szczelinę i odwrócił głowę. Każde poruszenie sprawiało mu ból.

Zdołał przejść chwiejnie większą część korytarza, gdy usłyszał jakieś głosy i natychmiast się zatrzymał. Oparł się o ścianę i nastawił

ucha.

— Uwierzyłem ci na słowo, że to konieczne — powiedział ktoś, w kim Sanct' Germain rozpoznał po chwili młodszego syna cesarza. — Tłumowi się podobało, i dobrze, niemniej...

Drugi głos był ledwo słyszalny, słowa nierozpoznawalne.

— Nie obchodzi mnie, co ci powiedział. Nie będę o tym z wami dyskutował. Sprawa jest zamknięta. Ludzie byli zadowoleni i mój ojciec powiedział, że to ciekawa odmiana. — Przez chwilę było słychać tylko szmery świadczące, że ten drugi człowiek coś odpowiedział. Potem Domicjan odezwał się znowu, tym razem głośniej i gniewnie. — Niczego wam nie obiecywałem. Idź sobie!

Rozległy się jakieś przytłumione protesty zastąpione przez coraz odleglejsze stukanie sandałów. Sanct' Germain poczekał jeszcze chwilę, aż zrobi się całkiem cicho. Gdy nie słyszał już niczego prócz wrzawy widowni, dotarł szybko do studni i zszedł na dół.

Półprzytomny przeszedł przez stajnię. Pamiętał, że musi teraz odebrać ciała. Strzępy ciał. Tytus osobiście upoważnił go do tego i byłoby dziwne, gdyby odrzucił taki podarunek. Nie wiedział, czy zniesie widok połamanych kości i wyprutych wnętrzności, nie miał jednak wyboru. Musiał tylko zmienić się na te kilkanaście chwil w postać z lodu i granitu.

Dotarł już prawie do Bramy Śmierci, gdy usłyszał za sobą czyjś głos, wołający jego imię. Nie chciał się odwracać. Nie chciał z nikim rozmawiać.

— Franciskus! — rozległo się ponownie, tym razem bliżej.

Pomyślał, że to pewnie Nekredes chce się podzielić swoją radością ze śmierci Tisztry i Kosrozda. Gdyby próbował to zrobić, Sanct' Germain gotów byłby zabić go gołymi rękami, przybrał jednak maskę chłodu.

— Franciskus! — Mężczyzna był tuż za nim.

— Co? — Sanct' Germain odwrócił się gwałtownie i przekonał się, że to nie Nekredes, tylko Ormianin Led Arasznr. — Ty!

Szpieg posłał mu bezczelne spojrzenie.

— Nie powinieneś odrzucać mojej propozycji — powiedział ze śmiechem. — Teraz nikt nie będzie miał z niego użytku. Gdybyś mi go oddał, to wszystko by się nie zdarzyło.

— Co by się nie zdarzyło? — spytał Sanct' Germain tonem tak słodkim, że aż trującym.

— Aresztowanie, więzienie, egzekucja — pochwalił się Arasznr. — Kilka listów do właściwych osób i popatrz, co można osiągnąć. Chyba zgodzisz się, że Rzymianie są wyjątkowo wyczuleni na bunty niewolników.

— To twoja robota? — Było to bolesne pytanie, ale zadał je prawie obojętnym tonem. Stał bez ruchu, wyczulony jednak na każdy sygnał i drżący jak struna liry.

— Nie wszystko, naturalnie. Starczyło popchnąć, a Rzymianie sami załatwili resztę. Powinieneś mnie posłuchać. Gdybyśmy się dogadali...

Arasznr nigdy nie dokończył tego zdania. Sanct' Germain rzucił się na niego, łapiąc go drobnymi, ale bardzo silnymi dłońmi za ramiona, miażdżąc ciało i skryte pod nimi kośćmi. Przez przeszywający ból szpieg usłyszał jeszcze jego słowa.

— Ucieszyła cię ich śmierć, tak? — Dłonie zaciskały się coraz mocniej i Arasznurowi zaczęło brakować tchu. — To dołączysz do nich, rzeźniku i szumowino. — Szpieg zaskrzeczał raz, gdy obojczyk pękł mu z obu stron, a połamane końce kości wbiły się w ciało.

Sanct' Germain patrzył spokojnie, jak życie ucieka z jego przeciwnika, i powtarzał sobie, że oto jest zemsta, której pragnął Kosrozd. Zemsta za nich wszystkich. Nic jednak nie czuł. Ani złości, ani nienawiści, ani ulgi. Ciągle był jak odrętwiały.

Led Arasznr poczuł, jak coś jeszcze pękło mu w piersi, i krew

wypłynęła mu z ust. Spojrzał na zimne oblicze Sanct' Germaina i spróbował się zaśmiać, ale nic mu z tego nie wyszło. Musiał wypluć krew, żeby w ogóle się odezwać.

— Za późno, Franciskusie — wycharczał. — Za późno. On wie. — Zaraz potem rozległo się ohydne bulgotanie i Araszur zwałił się na bok, krwawiąc obficie z ust i z nosa. Po chwili zastygł na zawsze ze zwodniczym uśmiechem na twarzy.

Sanct' Germain stał jeszcze chwilę nad ciałem. Co miało znaczyć, że „on wie”? Kto wie? Co niby wie? Potem zdał sobie sprawę, że ma krew na ubraniu i świeżego trupa pod nogami, i odszedł, zrazu powoli, potem coraz szybciej, prawie biegnąc. Zal narastał w nim, przesłaniając cały świat.

Raport sporządzony przez Poluksa, medyka Justusa Syliusza:

Do dostojnego senatora Korneliusza Justusa Syliusza.

Z przykrością informuję, że pańskie obawy znalazły potwierdzenie. Zastosowane przeze mnie procedury wykorzystujące dostarczony mi materiał potwierdziły, że ataki, na które się, panie, skarżyłeś, zostały rzeczywiście wywołane przez truciznę.

Przy obu okazjach wspominałeś, panie, że wystąpiły one bezpośrednio po wczorze spędzonym z Twoją żoną w domu jej ojca, gdzie Acja Oliwia Klemens obecnie zamieszkuje. Wprawdzie to bolesna myśl, ale musisz, panie, wziąć pod uwagę, że być może ktoś z rodziny Twojej żony życzy Ci źle. Mówiłeś, panie, że Twoje kontakty z żoną nie są tak serdeczne, jak byś chciał, i podejrzewasz ją o posiadanie kochanka. Gdyby tak właśnie było, możliwe, że powinieneś zaproponować jej rozwód. Takie wielokrotne podawanie trucizny nie ma zwykle na celu' zabicia, ma raczej osłabić na różne sposoby. Kobiety, które nie pragną seksualnych kontaktów z

mężczyzną, podają mu niekiedy różne środki, które mają go uczynić niezdolnym do aktu albo do niego zniechęcić.

Proszę zrozumieć, panie, że to tylko przypuszczenia. Możliwe, że tylko nie służą Ci jakieś potrawy, o czym kucharz Twojej żony nie wie. Wielu ludzi cierpi na podobną nadwrażliwość. Wprawdzie badania dostarczonych próbek sugerują, że chodziło właśnie o truciznę, jednak wrażliwość na pewne potrawy też mogła odegrać swoją rolę.

To zaszczyt dla mnie, że mogę Ci, pomóc, panie, i żałuję, że wynik badań nie okazał się bardziej fortunny. W razie potrzeby gotów jestem zaświadczyć o wynikach moich badań i w tym celu dołączam do listu kopię raportu sporządzonego po ich zakończeniu. Przedstawiłem w nim kolejne kroki oraz wyniki. Gdybyś miał, panie, jakieś pytania dotyczące któregoś z punktów, proszę o informację, a niezwłocznie wyjaśnię wszystkie wątpliwości.

Poluks

Medyk

trzeciego dnia maja 824 roku Miasta

Zastosowane procedury:

Pewna ilość treści wymiotnej dostarczonej przez senatora została dodana do jedzenia podsunętego trzem dużym szczurom. Identyczne pożywienie, tyle że pozbawione wspomnianego powyżej dodatku, dostały trzy inne szczury. Te trzy, które zjadły mieszane jedzenie, zdechły.

Szczury zostały poddane badaniu na obecność śladów działania trucizny. U dwóch z nich stwierdzono poparzenia narządów wewnętrznych oraz podrażnienie jamy gębowej i odbytu.

Reszta dostarczonego materiału została wymieszana z różnymi ziołami i rozprowadzona na płytce z kości słoniowej, która poczerniała. Niektóre trucizny działają w ten sposób na kość słoniową.

W wysuszonych odchodach znaleziono krystaliczne formacje, które mogą, jakkolwiek nie muszą, świadczyć o obecności trucizny w ustroju.

. 16 .

W przyległym pokoju siedziało teraz aż dwóch niewolników, Oliwia wymknęła się więc do ogrodu w nadziei, że doczeka się wizyty Sanct' Germaina. Przez ostatnie dziesięć dni co noc czuwała pod drzewami owocowymi przy murze, kryjąc się w najgłębszym cieniu rzucanym przez gałęzie. Dodatkowo wkładała najciemniejszą z posiadanych palli. Zanedbane od dawna klomby rozrosły się, pokrywając kwiatami ścieżki i nieużywaną fontannę. Oliwia dobrze się czuła w tym gąszczu. Łatwiej mogła się tu oszukiwać, że skoro wszyscy zapomnieli o tym kawałku ziemi, zapomną również o niej.

Tylko niespełnione pożądanie zaburzało ten sen na jawie. To ono podtrzymywało ją przy życiu. Co noc tęskniła za Sanct' Germainem i co noc wracała do łóżka sama. W ciągu ostatnich kilku dni towarzyszyło jej przecucie, że stało się coś bardzo złego. Może został ranny? Nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej nic podobnego.

W końcu przyszedł. Było już po północy i księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Powietrze przesycił zwodniczy zapach kwiatów. Lekki wiatr kołysał gałęziami drzew ponad starą ławką, na której siedziała.

Usłyszała szelest niewiele głośniejszy od szmeru letniego podmuchu, cichy stukot butów na ścieżce, ujrzała ciemną postać w perskich spodniach i krótkiej tunice z szerokimi rękawami, błysnęły w blasku księżyca ciemne oczy, usłyszała tak znany i wytęskniony głos. Chociaż miała otwarte oczy, powtarzała sobie, że to może być tylko sen.

Zamiast przytulić ją, przyklęknął naprzeciwko, spojrzął jej w oczy i odwrócił głowę. Nie dotknął jej.

— Oliwio — szepnął.

Wiedziała, że nie powinna wyciągać ku niemu dłoni, i musiała przycisnąć ręce z całej siły do boków, żeby tego nie zrobić.

W cieniach za pustą stajnię pojawiła się jakaś postać, w ciszy zbliżająca się do ogrodu.

Oliwia chciała spytać go, co się stało, gdzie był i dlaczego jest taki obcy, ale pojmowała, że musi zachować milczenie. Ujrzała, jak skłania głowę. Był ledwie dwie dłonie od niej. Aż prosiło się, aby przeczesać mu czarne włosy. Ale był jakiś dziwny. Teraz sama wołała się wstrzymać.

On czuł jej bliskość, ale miał wrażenie, że dzieli ich głęboka przepaść. Oliwia była dla niego latarnią w mroku, źródłem ciepła w opustoszałym nagle świecie.

— Powiedz mi — odezwał się cicho z przerażającą pustką w oczach — jak się czułaś, gdy zginął twój ojciec, gdy zabrakło twoich braci. Czy tak, jakby wydzierano ci serce? Czy nienawidziłaś słońca za to, że wstaje co rano?

— Niekiedy tak — odpowiedziała miękkiem tonem, jakim rozmawia się z dziećmi. — Częściej jednak nie czułam nic, pełna nienawiści wobec Justusa. Moje życie płynęło jak coś obcego. Oddychałam, spałam, jadłam, kąpałam się i chodziłam, poruszając ciałem, w którym zostałam uwięziona. Sama przebywałam gdzieś daleko, zakuta w łańcuchy i uwięziona w lochu, wypłakując się ścianom z zimnego kamienia. Nie wiem, po co żyłam — dodała po chwili, przysłaniając dłonią oczy. — Każdy dzień był podobny do poprzedniego, żaden niczego mi nie przynosił. — Spojrzała na niebieskawy ogród. Księżyc prawie już zaszedł. Wiatr wydał się chłodniejszy. Zadrzała, gdy powiew zbłądził pod jej jabłoń.

— Dlaczego wówczas tego nie zakończyłaś? — spytał. Kamyki pod jego kolanem musiały chyba uwierać, ale nie czuł tego. Interesowało go jedynie, żeby się nie obsunęły, bo wówczas straciłby równowagę.

Dojrzał, że Oliwia zadrżała, ale nie wiedział, czy od chłodu, czy wspomnień.

— Dzięki tobie — powiedziała tonem pieśczości. — I przez moją złość. Nie chciałam sprawić mu tej satysfakcji. Z czasem wszystko złe minęło. Pojawiły się całe godziny, podczas których nie myślałam o śmierci. — Chciała się zaśmiać, że była tak niemądra, i prawie jej się to udało.

Saint Germain objął ją w pasie i złożył głowę na jej kolanach.

— Zabiłem człowieka, Oliwio, i nic nie czuję. Ani złości, ani nienawiści, ani żalu. Ani też satysfakcji. Myślałem, że przez to, co dane było mi widzieć... ich krew... ich śmierć.

— Czyją krew? — spytała, sztywniejac nagle.

— Moich niewolników, którzy zostali skazani. Byli mi bardzo bliscy. Nie jak zwykli niewolnicy.

W ogrodzie był kot. Skradał się między zaroślami. Gdy spojrzął jasnymi ślepiami na dwie złączone ludzkie postacie, syknął krótko i oddalił się w kierunku stajni.

— Byli tacy jak ty? — szepnęła, przyciskając policzek do jego głowy.

— Jeden tak — odparł, zauważając ze smutkiem, że nie wywołało to w nim żadnego echa. — Nie było czasu... Druga osoba miała stać się taka. Powinni zostać ukrzyżowani, a rzucono ich zwierzętom. Trzecia... — Zamilkł, czując, że pogrąża się w bezdennym mroku. Złapał jej dłonie. — Niech znowu coś poczuje, Oliwio. Jeśli mam prawo prosić cię o pomoc, obudź we mnie znowu uczucia.

Wsunęła dłonie w jego włosy, żeby unieść twarz Franciskusa, gdy na końcu ogrodu rozległ się jakiś dźwięk. Drgnęła gwałtownie.

— Och — szepnęła z bijącym sercem. — To kot.

Ciemność zalegała pod drzewami i musieli zbliżyć twarze, żeby się zobaczyć. Pocałowała go w czoło i powieki. Jej wargi

rozchyliły się i przez chwilę przypominała tonącego, który chwyta łapczywie powietrze.

Sanct' Germain poszukał jej spojrzenia.

— Oliwio — szepnął, jakby dopiero teraz ją poznał. Wstał i przyciągnął ją do siebie z całkiem nową dla obojga gwałtownością. Jego usta i dłonie zagarniały i chciały coraz więcej, — Tak, Oliwio — szepnął lekko chrapliwym głosem. — Więcej. — Stali przytuleni i jego pragnienie narastało, łącząc w jedno żalobę i pożądanie, smutek i ekstazę.

Przykucnięty w cieniu ogrodowego muru Monostades obserwował ich z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie słyszał, co mówili, ale nie śmiał podejść bliżej. W istocie dostrzegał tylko niewyraźne, poruszające się kształty, ale przecież nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by zrozumieć, co się tam dzieje, jak uznał cynicznie. W pewnej chwili dostrzegł biel ciała Oliwii, która została jednak zaraz zasłonięta przez cień jej kochanka. Zadowolony z siebie niewolnik wycofał się ostrożnie i wrócił do stajni. Oczekiwał, że nagroda go nie ominie.

Saint Germain oparł głowę na piersi Oliwii. Czuł palący ból, za który był jednak wdzięczny. Przesunął dłonią po jej skórze i poczuł drżenie.

— Nie mam łez. Znikają po zmianie. — Coś ścisnęło go w gardle i musiał zamilknąć na chwilę. — Gdybyś mi odmówiła...

— Nie trzeba — szepnęła.

— Gdy umierali, to było tak, jakbym trafił w płomienie. Dla nas tak samo śmiertelnie groźne, jak dla wszystkich. Teraz to czuję. — Znowu przesunął dłoń. — Czuję. — Dotknął ustami jej ust.

Odebrała ten pocałunek całą sobą, a gdy Sanct' Germain się odsunął, spojrzała w jego ciemne oczy.

— Czy... — zaczęła prawie bez tchu. — Chcę...

— Czego chcesz, Oliwio? — Jego dłonie zamarły w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Chcę uwolnić się... od siebie. Raz na zawsze zerwać z tyranią własnego umysłu, z niedoskonałością zmysłów, aby w pełni oddać się miłości. Uwolnij mnie od mojego ciała, Saint Germain. — Aż do tej chwili nie wiedziała, jak bardzo tęskni za tym rodzajem wolności, za radością leżącą po tej drugiej stronie jej cierpienia.

— Cóż — powiedział z uśmiechem Sanct' Germain. — Za największym strachem kryje się największe pożądanie. — Ledwie jej teraz dotykał, wyłącznie palcami i lekko niby piórkiem. — Wyobraź sobie płatki kwiatu otwierające się dla ciepłych promieni słońca — powiedział melodyjnie. — Kwiaty napęniające powietrze słodką wonią i kołyszące się niczym postaci pogrążone w tańcu. — Położył jedną dłoń na jej ramieniu, drugą objął ją w talii. — Pomyśl o ciepłe sięgającym coraz dalej niczym zielone pnącza młodych roślin, oplatających cię ze wszystkich stron, ale niekrępujących w żaden sposób ruchów. — Był teraz bardzo blisko, tuż przy niej. — Bądź jak ten blask słońca, który od bieli przechodzi w bursztyn i czerwień, jest ogniem, pochodnią i sunącą po niebie kometą.

Oliwia nie wiedziała, jak ani kiedy dokładnie nastąpił ten cud, ale nagle była taka, jak pragnęła. Przez jedną nieskończoną chwilę namiętności czuła się wolna od siebie samej, tej siebie, którą dotąd znała, i odczuwała tylko nieogarnioną siłę miłości.

Gdy Saint Germain uniósł się z kolan, w ogrodzie zaczęła już osiadać rosa. Poranny chór ptaków jeszcze nie dał o sobie znać, ale pojedynczy śpiewacy powtarzali już swoje dźwięczne dwie nuty. Daleko na wschodzie niebo zaczynało jaśnieć srebrzystym poblaskiem.

— Szkoda, że nie możesz zostać — szepnęła Oliwia, splatając swoje palce z jego palcami.

Saint Germain stał bez ruchu.

—Jeśli tego zapragniesz, zostanę. — Nigdy wcześniej o tym nie wspominał, a ona pierwszy raz go o to poprosiła.

— Naprawdę? — Usiadła na ławce i sięgnęła po zrzuconą palłę. Teraz, gdy jej nie obejmował, zrobiło się jej zimno.

— Tak.

—Justus... — Nie wiedziała, jak opisać wszystkie swoje lęki przed tym, co może zrobić jej mąż, dowiedziawszy się o kochanku, i to takim poznanym kilka lat wcześniej. Pamiętała, jak się zachował, gdy sprowadzony do jej sypialni mężczyzna nie okazał się skłonny do potraktowania kobiety w brutalny sposób. W tym przypadku jego gniew przekroczyłby zapewne wszystkie granice. — Nie, Sanct' Germain. Idź. Chcę cię tutaj, ale nie za cenę tego, co by z tego wynikło. Justus mógłby... posunąć się do ostateczności. Zrobić coś mnie albo tobie. — Nie chciała myśleć o swoim mężu, zwłaszcza w takiej chwili, gdy Sanct' Germain był blisko.

— Kiedy mam wrócić? — spytał. — Dziś wieczorem? Jutro? Powiedz mi i przyjdę. — Puścił jej palce, ale tylko po to, żeby ująć jej twarz w dłonie i unieść ku swojej. — Mam pewne zobowiązania wobec tych, którzy zginęli, ale poza tym nikt nie może mi rozkazywać. Oprócz ciebie. — Pochylił się i jeszcze raz ją pocałował. — Prześlij mi słowo, a przyjdę. Gdziekolwiek i kiedykolwiek. Musisz tylko dać mi znać. Stałem się sekretną częścią twego życia, a ty częścią mojego. Na to zawsze jest za mało czasu, nawet gdy ma się go wiele. — Przez chwilę nasłuchiwał kroków na przylegającej do ogrodu ulicy. —Jeśli mam iść, zanim służba się obudzi, to pora na mnie. Co myślą niewolnicy, którzy cię pilnują, gdy wychodzisz nocami do ogrodu?

— Mają mnie za głupią. Widzą z okna mury wkoło, inni pilnują na ulicy. Myślą, że jestem sama i tylko próbuję zejść im z oczu.

— Taka jesteś — powiedział z uśmiechem. Potem spoważniał. —

Mam iść?

Przytaknęła niechętnie.

— Skoro na ulicach pojawili się pierwsi ludzie, tak będzie lepiej. Moi strażnicy zejdą tu niebawem, aby pilnować, kiedy obudzę się rano. — Skończyła porządkować ubranie. — Napiszę do ciebie, gdy znowu będzie bezpiecznie. Gdybyś przychodził zbyt często, ktoś mógłby zauważyć, a wtedy...

— Nie martw się, Oliwio. — Ujął jej dłonie i pomógł wstać. — Objął ją i wtulił usta w pachnące włosy. — Dałaś mi znowu nadzieję, Oliwio. — Potem odsunął się od niej, obrócił gwałtownie i nie oglądając się za siebie, zniknął na zarośniętej ścieżce

Gdy poszedł, Oliwia usiadła znowu na ławce, powtarzając sobie w duchu, że i ona, i Sanct' Germain są bezpieczni.

Zanim zasnęła, jej ukochany dotarł do Bramy Wiminalskiej, a Monostades był już w domu Justuśa Syliusza i czekał, żeby opowiedzieć, co zaszło w ogrodzie.

Petycja złożona na ręce starszego prokuratora senatu.

Szanowni senatorowie:

Działając w imieniu podległej Rogeriana z Gadesu, zwracam się z wnioskiem o odszkodowanie oraz wszczęcie procedury, która umożliwi wspomnianemu podległemu dochodzenie swoich praw zgodnie z rzymskim prawodawstwem.

Człowiek ten był zatrudniony u niejakiego Linusa Eneasza Desidera, który ma domy w Gadesie i w Rzymie. Desider podpisał z Rogerianem zwykłą umowę i wyznaczył go do nadzorowania prac w swoim majątku pod Gadesem, które to zadanie podległy wykonywał ku zadowoleniu właściciela oraz innych zainteresowanych osób.

Podczas swojej ostatniej wizyty w Gadeńie Desider powiedział

podległemu, że zamierza zabrać go ze sobą do Rzymu. Rogerian nie był chętny do takiej zmiany, ponieważ radził sobie w majątku, ale niewiele wiedział o funkcjonowaniu rzymskiego gospodarstwa domowego. Poinformował o tym Desidera, który odparł, że to nieistotne.

Po przybyciu do Rzymu podległy Rogerian był, jak stwierdza, źle żywiony i przetrzymywany w złych warunkach. Nie otrzymał też przydziału obowiązków ani prac, zarówno na rzecz właściciela, jak samego gospodarstwa. Prosił wielokrotnie o ich wyznaczenie, ale usłyszał, że Desider zabronił tego robić. Dodatkowo gospodarz wyraził troskę o los Rogeriana w taki sposób, że onże Rogerian poczuł się zaniepokojony i zaczęły nawiedzać go złe przeczucia.

Okazały się me uzasadnione, ponieważ wróciwszy pewnego wieczoru do domu po wypiciu dużej ilości wina, Desider zarzucił mu lenistwo i niestaranne wykonywanie obowiązków. Gdy Rogerian zaprotestował, przypominając, że często prosił o przydzielenie mu pracy, dodatkowo został oskarżony o bezczelność. Potem Desider kazał go wychłostać, co powtarzane było jeszcze przez dziewięć kolejnych dni. Desider był obecny przy każdej chłście i nakłaniał nadzorcę do swobodniejszego używania flagellum.

Jeden z niewolników otrzymał zadanie utrzymania Rogeriana przy życiu podczas tych dziewięciu dni. Powiedział on, że Desider ma zwyczaj sprowadzać co pewien czas niewolników albo podległych i trzymać ich w Rzymie dla swojej rozrywki. Wybiera zawsze cudzoziemców, żeby domownicy nie zbuntowali się przeciwko temu okrucieństwu oraz żeby ofiara nie mogła liczyć na pomoc przyjaciół. Otoczenie współczuło Rogerianowi, ale nikt nie był skłonny złożyć skargi w jego imieniu do władz miasta z obawy, że właściciel potraktuje śmiałka tak samo jak Rogeriana. Nikt nie powiedział też Rogerianowi, że ma prawo zaskarżyć w takiej sytuacji Desidera o odszkodowanie.

Bez wątplenia rzymska sprawiedliwość to coś więcej. Niewątpliwie

człowiek, który został potraktowany tak jak Rogerian z Gadesu, ma prawo żądać pełnego wynagrodzenia szkód. Wypełniając całkowicie ze swojej strony warunki kontraktu, został nagrodzmy traktowaniem, które omal nie doprowadziło do jego śmierci.

Ja, Rakoczy Saint Germain Franciskus, przedstawiam Wam tę petycję, aby wielkie zło, które dotknęło wspomnianego zależnego, spotkało się z przewidzianą prawem karą. Oświadczam, że znalazłem wspomnianego Rogeriana ciężko rannego i porzucanego pod budowanym właśnie cyrkiem Flawiusza. Było to podczas deszczu, mężczyzna nie miał żadnej osłony, był ledwo przytomny i nie był w stanie się obronić ani o siebie zadbać. Wielu z mieszkających pod lukami cyrku widziało jego położenie, ale nie zdradzało chęci, aby mu pomóc.

Rozmyślne krzywdzenie niewolników i osób zależnych jest poważnym naruszeniem rzymskiego prawa, które stanowi wprost, że niewolnik nie może zostać celowo skrzywdzony przez swego pana. Za mniejsze przewiny wymierza się kary za pomocą witek, ciężkie flageum może zostać użyte jedynie w przypadku poważnych zbrodni. W tym przypadku jedyna zbrodnia została popełniona na szkodę wspomnianego Rogeriana.

Jawnie informuję, że onże Rogerian pracuje teraz w moim gospodarstwie i tutaj pozostanie. Gdyby pojawiły się jakieś wątpliwości odnośnie do jego kontraktu, gotów jestem spłacić w rozsądnym wymiarze pozostałe jego lata. Obecnie służy u mnie za jednego miedzianego brutusa, co jest najdrobniejszą monetą, jaką pożądałem. Nie chciał przyjąć wyższego wynagrodzenia.

Rogerian pozostanie do Waszej dyspozycji, szanowni senatorowie, i stawi się na każde żądanie. Jestem przekonany, że wnikliwie rozpatrzą jego sprawę i osądzicie maksymalne odszkodowanie, jakie możecie przyznać.

Z szacunkiem, spisane własnoręcznie, dziesiątego dnia czerwca 824

roku Miasta.

Rakoczy Sancl Germain Franciskus

. 17 .

Justus umiał zadbać o pozory. Leżał na łóżku, wsparty na pięciu potężnych poduchach i patrzył na pokój z wyrazem cierpliwej rezygnacji. Jego gość chodził tam i z powrotem w todzie w czerwone i beżowe paski, której poły łopotały na wysokości kostek. Spojrzał gniewnie na leżącego.

— Ależ Justusie, jesteś mi potrzebny. Powiedziałeś, że mi pomożesz.

— Pomogę — zapewnił chory. — Ale widzisz, w jakim jestem stanie.

— Źle się składa! — warknął gość. — Nie mogło gorzej. Ojciec waha się w sprawie Żydów. Zapomniał już lekcję, jakiej udzielili nam w Jerozolimie.

— A twój brat sypia z żydowską księżniczką. — Justus westchnął i wskazał gościowi krzesło. — Niedobrze mi się robi, gdy tak chodzisz.

Domicjan usiadł, nadal jednak patrząc na Justusa z niechęcią.

— A swoją drogą, co ci jest? Zachorowałeś?

— Nie, przyjacielu — odparł Justus ze smutnym uśmiechem. — Zostałem otruty. Mam raport lekarza. Teraz muszę się tylko dowiedzieć, w czym była ta trucizna...

— Ty mówisz poważnie! — odkrył nagle Domicjan i znowu zerwał się z miejsca. — Otruty? Straszne. Jacy wrogowie to zrobili?

Justus tylko czekał na to pytanie.

— Sądzę, że moja żona. Miałem trzy ataki, zawsze po wieczorze w jej towarzystwie. Mieszkamy akurat osobno. Myślałem, że zawziętość trochę jej przeszła, ale obawiam się, bardzo się obawiam, że jest teraz wraz ze swoim kochankiem zainteresowana moją śmiercią. —

Rozłożył ręce, aby podkreślić swoje refleksyjne podejście do kwestii. — Jest młoda, ale młodość szybko mija. Zapewne chce się zabawić, póki jeszcze może.

— Ale żeby knuć coś takiego z kochankiem! To nie do zaakceptowania, Justusie. Tolerować miłości, to jedno. Każdy, kto bierze żonę, powinien się z tym liczyć. Ale morderstwo, a nawet tylko próba zabójstwa nie powinna ująć bezkarnie. Jeśli nie zaczniesz działać, jeszcze dopnie swego, a wtedy i inni uznają, że mają prawo postąpić podobnie.

Justus odwrócił spojrzenie.

— Niestety, czuję, że jest w tym sporo i mojej winy — powiedział ze smutkiem, pewien, że Domicjan uwierzy w jego przygotowaną wcześniej opowieść. — To kobieta o dużych... potrzebach. Nie zawsze byłem zdolny spełniać jej życzenia. Z początku myślałem jednak, że to kwestia młodego wieku i że zmieni się z czasem pod wpływem troski i uczucia. Dopiero ostatnio dotarło do mnie, że mogłem się mylić, że to nie kaprysy, ale głęboka deprawacja. — Pozwolił, aby jego głos opadł prawie do ciszy. — Młody jesteś, Domicjanie, i nie wiesz, jak to jest w starszym wieku. Na razie starcza ci gorąca obietnica miłości. Mam nadzieję, że nigdy nie zdarzy ci się... — Odchrząknął i spojrzał na młodszego syna cesarza. — Nie powinienem ci tego mówić. Ale wiem, że zachowasz moje słowa dla siebie.

— Przecież rozmawiamy o spisku na twoje życie! — zaprotestował głośno Domicjan, podejmując wędrówkę po pokoju. — Nie możesz tak leżeć i czekać, aż ta kobieta cię zabije.

— Może pragnę śmierci — powiedział Justus z pełnym przygnębienia uśmiechem. — Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić, ale ona chyba uważa, że zleją traktowałem. To jak wyrok losu, Domicjanie.

— Poważnie czekasz na własną śmierć, aby zadowolić swoją żonę?

Chyba oszalałeś. Rozwiedź się z nią, dowiedz jej wiarygodności i tego, że dybała na twoje życie. To nie jest już małżeńska sprzeczka, ale poważna zbrodnia przeciwko ognisku domowemu i państwu. — Uderzył pięścią w otwartą dłoń i podniósł głos. — Kto jest jej kochankiem? — spytał, stając w nogach łóżka. — Wiesz, kto to jest?

— O tak, wiem. — Ułożył ręce na prześcieradle. — Jestem ci wdzięczny za troskę, Domicjanie. Naprawdę. Ale musisz mi pozwolić uporać się z tym tak, jak sam uznaję za stosowne.

— Nie! — wykrzyknął Domicjan. Od wejścia do pokoju mówił coraz głośniej, ale tym zaniepokoił stojącego za drzwiami niewolnika, który zajrzał do środka.

— Proszę mi nie przeszkadzać, gdy syn cesarza przychodzi w gości — powiedział Justus, kryjąc rozdrażnienie. Prawie udało mu się skłonić Domicjana do kategorycznego zażądania, żeby wyjawiał imię kochanka żony. Dla powodzenia planu miało to kluczowe znaczenie.

Młodzieniec spróbował się opanować.

— Nie znaleźliśmy mordercy tego ormiańskiego uczonego, którego do mnie przyprowadziłeś. Wstyd, ale nie.

— Zapewne jakiś cudzoziemski niewolnik go zabił. Wielu ich gotuje się teraz ze złości. Możliwe, że Araszur nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia czyhającego wkoło. — Po cichu Justus cieszył się ze śmierci Ormianina. Ten człowiek zbyt wiele wiedział o jego planach. W razie przesłuchania albo próby wywarcia zemsty byłby niebezpieczny. Poza tym Justus nie miał wątpliwości, że Araszur był perskim szpiegiem, co w razie ujawnienia też mogłoby mu zaszkodzić. — Szkoda — dodał. — Był taki młody.

— Szkoda, jak mówisz — zgodził się Domicjan, zostawiając temat. — Teraz powinniśmy martwić się twoją żoną.

— Nadal nalegasz na rozmowę o czymś tak bardzo dla mnie bolesnym... — mruknął Justus, udając urażonego.

— Powiedziałaś, że wiesz, kim jest jej kochanek — przypomniał Domicjan, siadając i opierając łokcie na kolanach, brodę zaś na dłoniach. Wyglądał teraz naprawdę młodo.

— Mój niewolnik biblioteczny, Grek, śledził ją na mój rozkaz, gdy wychodziła. Musisz zrozumieć, że niczego nie widziałem sam. Mam tylko jego zeznania na ten temat, a on widział ich zaledwie dwa razy.

— Przetarł twarz prześcieradłem. — To trudne. To szanowany człowiek. Ma potężnych przyjaciół.

— Tak potężnych jak twoi? — spytał Domicjan, w oczywisty sposób myśląc o sobie. — Kto to jest, jeden z chłopaczków mojego brata?

— On zna twojego brata — stwierdził Justus, nawiązując do wieloletniej rywalizacji między Tytusem a Domicjanem. Wiedział, że to może się przydać. — Pamiętam, że mieli jakieś kontakty, a twój brat bardzo dobrze o nim mówił.

— Oczywiście — parsknął młodzieniec. — Rzymianin, który zniża się do sypania z żydowską księżniczką, nie będzie miał nic przeciwko zepsuciu wśród rodowitych Rzymian.

— Ten człowiek nie jest Rzymianinem — powiedział cicho Justus, obserwując Domicjana kątem oka, z odwróconą lekko głową.

— Nie jest? Kto zatem? Co za cudzoziemiec śmiał...? Jak ona mogła...?

Zanim Domicjan nazbyt się podniecił, Justus podał mu ostatni kawałek układanki.

— To Rakoczy Saint Germain Franciskus.

— Franciskus? — Domicjan zerwał się na nogi. — Franciskus? Ale nigdy nie było żadnych... ani słowa... A ty twierdzisz, że jest kochankiem twojej żony? — Zamilkł zdumiony. — Owszem, widuje się czasem z moim bratem. Tytus go lubi. — W oczach Domicjana był to wystarczający powód do potępienia. Obrócił się do Justusa. — Jak się poznali? Kiedy?

Justus dał sobie chwilę na odpowiedź.

— Po raz pierwszy na przyjęciu organizowanym przez Tytusa Petroniusza Nigra. Nie żyje już od lat, ale kiedyś był w łaskach.

Franciskus też przyszedł. Przyprowadził jakichś niewolników z Hindustanu, którzy zabawiali nas tańcem. Warto było na nich popatrzeć...

— Chcesz powiedzieć, że twoja żona cudzołoży z tym człowiekiem już od ilu... siedmiu lat? — przerwał mu Domicjan, ponownie podnosząc głos.

— Nie wiem — odparł Justus, zaciskając szczęki. Przypomniał sobie ten wieczór, gdy Sanct' Germain po raz pierwszy zjawił się u jego żony i śmiał dać jej rozkosz. — Nie wiem, jak i kiedy dokładnie do tego doszło — dodał, bardziej na własny użytek niż dla Domicjana.

Nagle cesarski syn coś sobie przypomniał. Przerwał marsz i podszedł do łóżka Justusa.

— Czy wiesz, że były przeciwko niemu prowadzone śledztwa? Zostały zawieszane. Jedno dotyczyło oczywiście jego związków ze zbuntowanymi niewolnikami cyrkowymi, ale poza tym chodziło jeszcze o przemyt. Pewnie wiesz, że jest armatorem. Pamiętam, że u jednego z jego kapitanów znaleziono nielegalnie wwożone zboże. Było o tym w aktach pretorianów. Przeglądałem je, gdy to ja byłem prefektem. — Skrzywił się do Justusa. — Te śledztwa można wznowić. Nigdy nie zostały zamknięte. Jeśli ojciec zdecyduje, że cudzoziemcy w rodzaju Franciskusa, który daje schronienie buntującym się niewolnikom i którego kapitanowie trudnią się przemytem, powinni być sprawdzani co trzy lata... Cóż, w takiej sytuacji część twoich kłopotów z żoną sama by się rozwiązała. — Uśmiechnął się radośnie. — Gdy uda się go usunąć, na pewno pomyśli dwa razy, zanim spróbuje ci coś zrobić, zwłaszcza jeśli to nie ty usuniesz jej kochanka, tylko senat.

Nie należy godzić się zbyt łatwo, powiedział sobie w duchu Justus.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. Nie będzie niczego podejrzewać? Gdyby się domyśliła, wszystko to byłoby na nic.

— Justusie, Justusie — powiedział z autentyczną życzliwością Domicjan. — Ta kobieta jest twoją żoną. Daje jej to wir Ir praw, które bezwstydnie wykorzystuje. Możesz się z nią rozwieść. Pewnie dobrze by było, gdybyś to zrobił. Ojciec jest przyjaźnie do ciebie nastawiony i chętnie pomoże ci w tym, aby nasze rody się zjednoczyły.

— Zastanawiałem się na rozwodem — powiedział niespiesznie Justus. — Chyba nawet wspominałem o tym twojemu ojcu. Dla mnie jest to bardzo trudne. Żaden mężczyzna nie chce myśleć źle o swojej żonie. — Opadł na poduszki. — Ale niech będzie. Masz dar przekonywania. Sprawdź, czy gwardia pretoriańska ma jeszcze coś na temat tego człowieka, i jeśli znajdzie się sposób, usuń go, aby nie mógł się spotykać z moją żoną. Nie chcę tylko, aby ona ucierpiała z powodu jego grzechów. Może wtedy zacznie być dla mnie miłsza.

— Oszukujesz się, Justusie — stwierdził spokojnym tonem Domicjan. — Pozbądź się jej kochanka i jej także. Nie zapominaj, jaka ona jest. Cieszy ją przygoda z tym cudzoziemcem i pewnie ma jeszcze innych. Zaproponuj jej jakąś cichą posiadłość na wsi i już. — Staraj się przemawiać rzeczowo i nie podnosić głosu.

Justusowi chciało się śmiać. Gdy pozbędzie się Oliwii, zostanie skazana na śmierć. Nie miał zamiaru zostawiać kolejnej żony przy życiu. Mogłaby zacząć rozpowszechniać plotki na jego temat. Miał raport lekarza oraz raporty Monostadesa i spisane przez niego zeznania niewolników, którzy pilnowali Oliwii. To powinno starczyć. Gdy będzie gotowy, udowodni jej winę. Ponad wszelką wątpliwość i raz na zawsze. — Zastanowię się nad tym, ale musisz zrozumieć, że gdy mężczyzna w moim wieku żeni się z młodą i piękną kobietą, ma powody, aby niejedno jej wybacząć.

Domicjan pokręcił głową.

— Gdy wybacza się zbyt wiele, zaczyna to być szkodliwe. Może wzbudzić jedynie pogardę. Zastanów się więc. — Stał przy głowach łoża. — Bardzo mi pomogłeś, Justusie, i zasmuciłoby mnie, gdyby coś cię spotkało. Na przykład, gdybyś znowu zachorował. Nalegałbym wtedy na przesłuchanie twojej żony. Jak najdokładniej. Mówisz, że podziwiasz jej urodę. Czy nie lepiej byłoby się z nią rozwieść i oddać ją specjalistom od przesłuchań, aby pozbawili ją i urody, i zdrowia? — Poklepał Justusa po ramieniu i wyszedł z pokoju.

— Młody głupiec! — wybuchnął Justus, gdy Domicjan opuścił już dom. — Jest za szybki. Jeśli zmusi mnie do działania, zanim będę gotowy... — Odrzucił prześcieradło i wstał. — Muszę go czymś zająć. Jeśli poszczuję go na Franciskusa... — Uderzył w gong i po chwili w drzwiach pojawił się niewolnik.

— Tak, panie? — Na wszelki wypadek zatrzymał się poza zasięgiem rąk Justusa.

— Przyślij tu Monostadesa. Natychmiast. Za godzinę przynieś wina. — Czekając na Monostadesa, zrzucił strój nocny, włożył przez głowę długą tunikę i opasał ją złotym łańcuchem.

— Panie? — odezwał się Monostades, wchodząc do pokoju. Było w nim coś szyderczego, ledwo dostrzegalny, pełen obrzydzenia grymas twarzy, który zirytował Justusa bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

— Zbyt zadowoleni z siebie niewolnicy zawierają w tym domu bliższą znajomość z batem. Nie zapominaj o tym, Monostadesie.

Twarz niewolnika ani drgnęła.

— Czego sobie życzysz, panie? — Gdyby otworzył usta jeszcze odrobinę mniej, w ogóle nie mógłby mówić.

— Masz wszystkie raporty na temat Sanct' Germaina? Nie tylko te dotyczące nocy z moją żoną, ale całość na jego temat?

— Tak — odparł ostrożnie Monostades. — Wszystko, co dało się

łatwo znaleźć. Są zapisy własności ziemi, niewolników i statków. Te najłatwiej było zdobyć. Reszta informacji jest niepewna, opiera się na plotkach i pogłoskach. Też możesz je, panie, przeczytać, jeśli taka woła. — Trudno mu było nie zdemaskować hipokryzji Justusa, ale niewolnik nie powinien robić takich rzeczy dla własnego dobra. Obiecywał sobie, że gdy już będzie wolny, zadenuncjuje Justusa Syliusza. W głębi ducha wiedział jednak, że nigdy się na to nie zdobędzie.

— Chcę tych najgorszych plotek. Przygotuj je dla mnie i przynieś. — Nie chciało mu się nawet spoglądać na Monostadesa. — Potem wyślę cię z wiadomością do... pewnej ważnej osoby. Nikt nie ma wiedzieć, gdzie pójdziesz. Czy to rozumiało?

— Zrozumiało. Chcesz, panie, zestawienia najgorszych plotek o Sanct' Germainie, a potem mam dostarczyć dyskretnie pewną wiadomość. — Wyrecytował to beznamietnym głosem, ze wzrokiem wbitym w zmięte prześcieradła.

— I wszystko to wykonać jak należy. Tyle na razie, aż przyniesiesz raporty. — Stojąc tyłem do drzwi, poczekał, aż niewolnik zamknie je z drugiej strony. Potem podszedł do stolika i spróbował przypomnieć sobie, co słyszał o Sanct' Germainie od jednego z gladiatorów. Były to jakieś bzdury, że podobno nie można go zranić. Po tym, jak jego perski rydwannik wyszedł z wypadku na arenie i nawet wrócił do wyścigów z ledwie paroma bliznami, pojawiło się wiele spekulacji. Większość musiała być bezzasadna, skoro ostatecznie pozbierano go z piasku w kawałkach. Niemniej, przy odpowiednim naświetleniu, nawet takie historie mogą być użyteczne. Człowiek, który potrafi przekonać innych, że jest niezwyciężony, to bardzo niebezpieczna osoba.

Justus wstał i podszedł do okna, spojrzeć na Rzym. Uśmiechał się chciwie. Cesarz, powiedział, sobie w duchu, jest starszy od niego.

Miał już sporo lat, gdy po raz pierwszy pomyślał u purpurze. Sam cesarz też późno zaczął karierę. Skoro tak, niejedno było możliwe. Jeśli zdoła wżenić się w ród Flawiuszów, nie powinien mieć problemów z przekonaniem Domicjana, aby uczynił jego dzieci pretendentami do tronu. Bo dzieci być muszą, to oczywiste. Potem, jeśli Domicjan nie pożyje dość długo, aby objąć rządy, Justus wprowadzi swojego potomka na tron. Wespazjan nie miał prawa wytrwać więcej niż pięć lat, Tytus zaś w ogóle nie miał szans utrzymać się dość długo, aby brać go pod uwagę. Domicjan był wszakże dość zgorzkniały i zdesperowany, aby podjąć spore ryzyko. Na pewno wpadnie na wiele pomysłów, które jego bratu nawet nie przysłyby do głowy. Tak, to Domicjan będzie dla Justusa stopniem do władzy. Zachichotał, wiedząc, że młodzieniec jest pewien, że to on wykorzystuje Justusa, i nie domyśla się nawet, że jest odwrotnie. Góra siedem lat, stwierdził. Siedem lat i będzie cezarem. Żądza władzy dawała mu nowe siły i żałował, że Oliwia jest tak daleko. W takich chwilach najbardziej tęsknił za widokiem żony wijącej się w rękach jakiegoś muskularnego prostaczka. Zmusił się, aby skupić się na innych sprawach.

Wyjął z biurka arkusz welinu i zaczął pisać upoważnienie dla prefekta głównego rzymskiego więzienia. Od czasu do czasu pogwizdywał sobie przy tym.

Gdy Monostades wrócił, arkusz był już złożony i zapieczętowany. Justus wziął plik papirusów od niewolnika i dał mu welin.

— To do prefekta więzienia na Mamertynie. Masz oddać mu to do rąk własnych i poczekać, aż przeczyta. Rozumiesz?

— Tak, oczywiście. — Monostades wziął list. — Upewnię się, że przeczytał. Czy mam poczekać na odpowiedź?

Justus zawahał się.

— Nie. To nie będzie pewnie konieczne. — Założył ręce. — Tylko żebyś nie zamarudził nigdzie po drodze na konto tego oczekiwania.

Grecki niewolnik zbladł, skłonił się lekko i szybko wyszedł z pokoju, przez co nie widział kpiącego uśmiešku rozkwitającego na wargach Justusa. W rzeczy samej, Monostades poszedł prosto do więzienia, niosąc list, w którym jego pan przekazał prefektowi, iż niewolnika, który doręczy pismo, należy aresztować, wykastrować i pozbawić języka, następnie zaś posłać do pracy razem z żydowskimi więźniami wznoszącymi cyrk Flawiusza. Jak pisał Justus, niewolnik ów zmusił żonę senatora do współżycia, przez co, czując się zhańbiona, usunęła się z domu męża. Potem próbował szantażować swego pana i z tych to powodów Justus będzie wdzięczny prefektowi, jeśli sprawa zostanie załatwiona jak najciszej.

Godzinę po zachodzie słońca pod domem Syliusza zjawił się niewolnik z małą, zakrwawioną sakwą, prezentem od prefekta więzienia.

Nakaz aresztowania przekazany gwardii pretoriańskiej:

Do prefekta, trybunów, centurionów i członków gwardii pretoriańskiej od cesarza z pozdrowieniami.

Upoważniam was do pojmania cudzoziemca Rakoczego Sand' Germaina Franciskusa, który mieszka, w rozległym majątku trzy tysiące kroków na wschód od Rzymu. Jesteście też upoważnieni, żeby przetrzymać go przez pięć dni, aż zakończy się pełne dochodzenie w sprawie jego działalności. Możecie przesłuchiwać go i pozbawiać pożywienia, nie zezwalam jednak na tortury, ponieważ nie postawiono mu jeszcze formalnych zarzutów.

Ponieważ gwardia pretoriańska prowadziła już wstępne dochodzenie w sprawie tego człowieka, wszystkie istniejące materiały na jego temat mają zostać udostępnione starszemu prokuratorowi senatu oraz mojej osobie, jeśli tego zażądam.

Wspomniany Franciskus był dotychczas dobrze nastawiony do Rzymu i

z tego powodu należy okazać mu pewien szacunek, jak długo me zostanie ustalone, że naprawdę naruszył prawa naszego państwa.

Uczyńcie to w jak największej tajemnicy. Konieczna jest najwyższa ostrożność, człowiek ów bowiem cieszy się wielkim szacunkiem. Strzeżcie go w dzień i w nocy i zapisujcie dokładnie wszystko, co powie. Sam zdecyduję, co robić dalej, zapoznawszy się z dowodami.

Wespazjan

drugiego dnia sierpnia 824 roku Miasta

. 18 .

Stary i garbaty sprzedawca owoców zachwalał swoje jabłka za murem ogrodu przez większą część ranka, aż w końcu Oliwia zwróciła się do jednego z pilnujących jej niewolników.

— Pójdę i kupię, cokolwiek tam ma. Nie mogę już dłużej słuchać tego skrzeczenia.

— Każę obić go batem — odparł sługa. — Wtedy już nie wróci.

— Nie — zaprotestowała szybko Oliwia. — Zapłacę, ile będzie chciał, i powiem, że dwie przecznice dalej jest większy ruch. Sądzę, że to wystarczy, aby dał nam spokój. — Spojrzała na niewolnika. — Nie zamierzam uciec. Możesz pójść ze mną, jeśli chcesz. — W innej sytuacji sługa pewnie by się zawstydził, ten znał jednak dobrze swego pana. — Będę stał w drzwiach i zrobię, co będę musiał.

— Matko Izydo! — zakrzyknęła Oliwia, spoglądając na niego z góry. — Stój sobie zatem. — Narzuciła na głowę stolę, którą nosiła zwykle na ramionach, przybierając wygląd statecznej kobiety w swoich latach. W biurku miała pięć złotych denarów i kilka miedziaków dla kucharza i to były wszystkie pieniądze, które pozwolono jej posiadać. Pozwolono! Ciągłe ją to irytowało, pamiętała bowiem, że ona i siostra miały trzy majątki, których nigdy nie widziała i nie była nawet świadoma, ile dochodu przynoszą. Wzięła jednego denara. Powinien starczyć po dziesięciokroć na wykupienie całego towaru garbusa, ale chciała zapłacić też za trochę ciszy. Naprawdę dość miała nieustannego zawodzenia: „Jabłuszka, winogrona, dziś rano zerwane, jabłuszka winogrona, dziś rano zerwane, jabłuszka, winogrona...” Z monetą w dłoni wyszła na wąską uliczkę.

Garbus siedział na jednej skrzynce, obok miał drugą, pełną owoców. Był w średnim wieku, z melancholijną twarzą. Zamilkł, widząc podchodzącą kobietę, i uniósł kiście winogron.

— Same najlepsze — powiedział i zniżył głos do szeptu. — Z willi Rakoczego.

Oliwia musiała się opanować, aby nie zacząć skakać w miejscu, krzyczeć lub wielkim głosem zacząć się domagać od tego dziwaka wyjaśnień. Zamiast tego wzięła winogrona i spytała:

— Na pewno rano zerwane?

— Na pewno, proszę pani. Nie znajdzie pani lepszych. — Pochylił się nad skrzynką po jeszcze jedną kiść. — Dziesięć dni temu pretorianie aresztowali go bez wyjaśnienia — powiedział szeptem. — Nie ma go na Mamertynie, nie ma go w więzieniu niewolników. Szukałem.

— Pokaż mi lepiej jabłka — powiedziała Oliwia dość głośno, aby strażnik ją usłyszał. — Kim jesteś.

— Rogerian. Teraz chyba jego gospodarz. — Wyjął trzy jabłka i przytrzymał, aby mogła je dokładnie obejrzeć. — Bardzo świeże. Nieobtłuczone. W ogóle nierobaczywe.

Oliwia wzięła owoce.

— Dlaczego został aresztowany?

— Nie wiem — wyznał cicho Rogerian. — Nie powiedzieli mu. Pięć dni temu miał stanąć przed cesarzem, ale słyszałem, że do tego nie doszło.

— Został skazany? — spytała ze strachem. — Te są naprawdę dobre, garbusie. — Przyjrzała mu się uważnie. — Naprawdę jesteś garbaty?

— Nie. Jeśli się podobają, jutro przyniosę więcej, pani.

— Dobrze, ale muszę je zobaczyć, nim dasz je do kuchni. Czasem handlarze pokazują dobry towar, a potem cichcem podrzucają byle

co. Tutaj masz pieniądze za wszystko. Jutro dostaniesz połowę tej sumy. — Wzięła podaną jej skrzynkę. — Dziękuję.

— Jutro, pani — powiedział z szacunkiem Rogerian. — Na pewno będą smaczne.

— Mam nadzieję. — Ze skrzynką opartą na biodrze wróciła do domu. Nie zwróciła uwagi na niewolnika w drzwiach, tylko poszła prosto do kuchni i przekazała owoce kucharce. — Świeże i czyste. Przydadzą się do czegoś?

Kobieta przyjrzała się podejrzliwie zawartości skrzynki.

— Kto wie. Wielu handlarzy kombinuje, jak się da.

— Sama je sprawdziłam. Są dobre. Chyba mam dzisiaj ochotę na kurczaka w winogronach. Jeśli zechcesz go przygotować, oczywiście. — Błysk w jej oczach podpowiadał, że nie oczekuje sprzeciwu.

— Kurczak w winogronach. Oczywiście — powiedziała kucharka, stawiając skrzynkę obok wielkiego paleniska.

Około południa Oliwia siedziała w atrium i udawała, że czyta jedną ze starych, szytych ksiąg ojca. Do niektórych akapitów wracała cztery czy pięć razy, nie rozumiejąc ani słowa. Gdzie jest Saint Germain? Czy został skazany? Nie miała kogo spytać. Nie wiedziała nawet, jak mogłaby to zrobić bez wiedzy Justusa. Spojrzała na ustęp o wojnie prowadzonej przez Larsa Porsenę, którą opisał Tytus Liwiusz. Co mnie obchodzi Etruskowie, pomyślała i wstała z krzesła. Miała szycie do dokończenia, chciała też zaprowadzić trochę porządku w ogrodzie, ale te rzeczy nie były dość absorbujące. Krążąc po korytarzach domu ojca, cały czas wracała myślami do Sanct' Germaina.

Gdy wstawiała od posiłku, który pochwaliła, chociaż w ogóle nie poczuła smaku drobiu, jeden ze strażników obwieścił o przybyciu jej męża, który chciał z nią porozmawiać.

— W rzeczy samej — powiedział Justus, wyłaniając się zza pleców niewolnika i rozglądając po zaniedbanym wnętrzu. — Przykro

widzieć tak znakomite domostwo w podobnym stanie, niemniej... — Wzruszył ramionami.

— Może gdybym miała pieniądze z majątków mojej rodziny, ten dom wyglądałby inaczej — stwierdziła, unosząc głowę.

Justus zaśmiał się.

— Nadal masz ochotę się droczyć, Oliwio? Lepiej by było, gdybyś odpuściła trochę z tą swoją dumą.

— Lepiej dla kogo, Justusie?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Justus założył ręce na plecach i przeszedł przez małą jadalnię. Przystanął przy oknie i odwrócił się do żony.

— Twój kochanek niebawem pożegna się z życiem — powiedział całkiem zwyczajnym tonem.

Oliwia miała wrażenie, jakby ktoś zdzielił ją toporem. Zachwiała się, ale zaraz odzyskała spokój.

— Mój kochanek? — spytała lodowatym tonem.

— Mężczyzna, z którym sypiasz, od kiedy postanowiłaś tutaj zamieszkać — powiedział ledwie dosłyszalnie Justus.

— Nie postanawiałam, że tu zamieszkam. Ty mnie tu zesłałeś, żeby móc swobodnie realizować swoje ambicje polityczne. — Założyła ręce na piersi i ujęła łokcie dłońmi. Justus nie wiedział najwyraźniej, od jak dawna spotykała się z Franciskusem, i dobrze. Jedno drobne zwycięstwo.

— Zgodziłaś się, żono. — Spojrzał na nią spod wydatnych brwi.

— A miałam wybór? — Usiadła na jednym z pięciu łóż. — Czego chcesz tym razem, Justusie? Dlaczego tu jesteś?

Rozłożył ręce w geście skrzywdzonej niewinności.

— A czy mąż nie może odwiedzić swojej żony, gdy ma na to ochotę? Musi mieć po temu specjalny powód?

— Czyli przyszedłeś bez powodu? — spytała zmęczona jego

gadaniną.

— Cóż, jeśli nie miałaś kochanka, to rzeczywiście. Chciałem ci powiedzieć, że Rakoczy Sanct' Germain Franciskus, może go pamiętasz, to ten, który przyszedł do ciebie ubrany na czarno, jeden z tak wielu... Ale jakkolwiek było, tenże Rakoczy Sanct' Germain Franciskus został aresztowany pod bardzo poważnymi zarzutami. Bardzo poważnymi. Sam Domicjan mi o tym powiedział. Skoro jednak mówisz, że nie był on twoim kochankiem, nie ma co się rozwodzić na ten temat. — Wziął do ręki kubek z niebieskiego szkła. — Co za tandeta — powiedział i upuścił naczynie, które stłukło się u jego stóp.

— Mów, co miałaś powiedzieć, i zostaw mnie! — Z trudem wciągnęła powietrze. Chciało jej się płakać, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić.

— Powiedzieć, co miałem — powtórzył w zamyśleniu. — Potem cię zostawić. Chyba na to właśnie liczysz. Dobrze, Oliwio. Powiem, po co przyszedłem. — Oparł jedną rękę na biodrze. — Chcę się ożenić. Z Flawią Lesbią Fabulens Marko. Na razie to jeszcze nieoficjalne, ale cesarz powiedział, że zaaprobuje ten związek. Zachęca mnie nawet do niego. Oczywiście jest pewien problem.

— Ja jestem tym problemem — powiedziała obojętnym tonem Oliwia. — Zgadzam się na rozwód. Mów sobie o mnie, co chcesz. Rozwiędę się z tobą i nawet miedziaka nie zażądam tytułem odprawy. — Wiedziała, że mówi zbyt otwarcie. To nie mogło być takie proste. Justus na pewno zamierzał wykorzystać i tę okazję, aby przydać jej udręki.

— Wiesz, że rozwodziłem się już wcześniej, i drugi rozwód, nawet z tak niewierną żoną jak ty... — Uśmiechnął się, widząc jej oburzenie. — Tak, mam cały rejestr twoich zrad. Marny masz gust, gladiatorzy, szumowiny, prostaczkowie. Senat będzie wstrząśnięty, gdy się o tym dowie.

— Mów, co chcesz — stwierdziła spokojnym głosem Oliwia. — Kłam, ile chcesz, skoro tak to lubisz, ale daj mi odejść. Wiem, że moja matka nie interesuje się moim losem, ale pojedę do Briksellum. Nie obchodzi mnie, jaki to majątek, biedny czy bogaty...

— Biedna, nieświadoma niczego Oliwia — przerwał jej słodkim głosem Justus. — Przypadł mi w udziale przykry obowiązek przekazania ci, że nie możesz pojechać do matki. Ona nie żyje.

Na twarzy Oliwii odmalowało się prawdziwe przerażenie.

— Nie żyje? Jak to nie żyje? To niemożliwe...

— Zmarła jakiś czas temu. Rok albo dwa. Obawiam się, że nie pamiętam dokładnie. — Przesunął palcem po oparciu krzesła, jakby zbierał kurz.

— Rok albo dwa temu? — Oliwia wstała, blada ze złości. — Pozwalałam się wykorzystywać. Pozwalałam sobą manipulować. Pozwalałam na wszystko, ponieważ groziłeś, że zabijesz moją matkę, jeśli nie będę posłuszna. Milczałam, gdy traktowałeś mnie jak niewolnicę, nie jak żonę, bo chciałam oszczędzić matce dalszych krzywd z twojej strony. — Podeszła blisko do męża. Po raz pierwszy się go nie bała. Nie mógł już głębiej jej zranić, nawet gdyby ją zabił. — Uczyniłeś ze mnie kogoś gorszego niż niewolnicy. — Rzuciła się na niego z rozpostartymi palcami i zębami gotowymi kąsać. Wściekłość dodała jej sił i z przyjemnością usłyszała trzask rwanej tkaniny, gdy Justus upadł na podłogę.

Potem czyjeś ręce odciągnęły ją od męża i przytrzymały na drugim końcu pokoju. Justus zbierał się powoli na nogi.

— Trzymaj ją — powiedział do niewolnika. — Widziałeś, co zrobiła? Nie dość, że chciała mnie otruć, to jeszcze rzuciła mi się do gardła.

— Otruć? — spytała Oliwia. — Co to za nowe szaleństwo?

— Żadne szaleństwo, Oliwio. — Justus podszedł do niej powoli. —

Mam raport medyka, który dowodzi, że próbowałaś mnie otruć. Miałem trzy ataki choroby, zawsze po wieczorze spędzonym tutaj z tobą. Medyk gotów jest zeznawać przed sądem, inni też. Mam relacje na temat twojej rozwiązłości. To bardzo proste. — Ścisnął jej brodę w dłoni. — Oczywiście coś takiego musi skończyć się procesem.

— Zaprzeczę! Na każde twoje kłamstwo odpowiem prawdą! Przedstawię dowody na to, jak mnie wykorzystywałeś. — Wywinęła się z jego uścisku i splunęła mu w twarz.

Odpowiedział, uderzając ją otwartą dłonią. Zaskoczony niewolnik nie zdołał jej utrzymać i prawie upadła.

— Bezczelne dziecko! — syknął Justus i wytarł twarz. — Skoro tak, oczekuj najgorszego. Sprowadzę do sądu mężczyzn, którzy opowiedzą, co z tobą robili. Okryję cię hańbą, tak że nikt w Rzymie nie zechce na ciebie spojrzeć. Obiecuję ci to.

Oliwia pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego, i coś z dawnego strachu jednak powróciło.

— Szkoda, że cię nie zabiłam — powiedziała przez ściśnięte gardło. — Chętnie podałamby ci truciznę. Albo wbiła ci sztylet w serce. Lub rozbiła ci łeb.

Justus uśmiechnął się cynicznie.

— Słyszałeś, co powiedziała?

— Tak — odparł niewolnik.

— Ponieważ nie możesz zeznawać, podyktujesz raport. — Spojrzał z ukosa na Oliwię i zmarszczył brwi. — Takie kobiety bywają niebezpieczne.

— Mam podyktować go Monostadesowi? — spytał niewolnik.

— Monostadesowi? Nie. Przyślę kogoś innego. Monostades... wyjechał na jakiś czas. — Zaczął bawić się fibulą na ramieniu Oliwii. — Gdybym miał trochę czasu, zdarłbym to z ciebie i wziął cię na podłódze, jak to się robi z dziwkami i morderczyniami. — Zaczął

rozdierać tkaninę jej palli. — Nie zasłużyłaś na nic lepszego. Powinienem sprezentować cię legionom. Obsłużyłabyś kohortę, prawda? Sześciuset mężczyzn. Co to dla ciebie? — Rozdarcie sięgnęło do pasa. — Chyba zgodzisz się, że z taką skórą byłabyś dla legionistów miłą odmianą. Zapewne nie na długo, bo skóra by tego nie wytrzymała... — Dotarł prawie do kolan. — Wiem, że szkoły gladiatorów trzymają kobiety dla swoich uczniów, ale to niełatwy kawałek chleba. Mam cię wysłać do Kapui?

Oliwia próbowała się wyrywać, ale teraz niewolnik trzymał ją naprawdę mocno.

— Nie masz nade mną władzy. Nie masz prawa o mnie decydować. Jeśli wyślesz mnie do Kapui, doniosę na ciebie. Jeśli oddasz mnie legionom, trafisz pod rąbki batów! — Wiedziała, że Justus kłamał. To była jego gra, a ona niepotrzebnie się w nią włączyła.

Palla była już rozdarta w pół. Materia opadła, ukazując ciało. Dłonie niewolnika zacisnęły się mocniej.

— Prawdę mówiąc, nie muszę robić żadnej z tych rzeczy — powiedział Justus, lustrując ją krytycznym okiem. — Zostaniesz skazana za usiłowanie morderstwa i wszystko sprowadzi się do wyboru właściwego rodzaju śmierci. Jaką byś preferowała? — Ujrzał, że Oliwia zadrżała. — Zamurowanie w grobie? To oszczędza wydatków. W obecnych czasach krzywią się na wbijanie kobiet na pal, ale może dla ciebie zrobią wyjątek. — Obrócił się do niewolnika. — Masz jej od teraz pilnować cały czas. Jest bystra i sam widziałeś, że nie cofa się przed użyciem przemocy. — Odsunął się od niej, — To już niedługo, Oliwio. Trzeba jeszcze ustalić kilka rzeczy, żeby wszystko było gotowe, ale gdy tylko to nastąpi, zaraz się dowiesz.

— Justusie — powiedziała zdumiewająco spokojnym głosem. — Dlaczego? Dlaczego po prostu się ze mną nie rozwiedziesz? Ludzie robią to i żyją.

— To nie byłoby dość — odparł krótko.

— Ale dlaczego? Cesarza nie obejdzie, że dwie twoje poprzednie żony żyją, jeśli dotrzymasz warunków umowy z czwartą. — Nie ustępowała. Chciała wiedzieć, co jest dla niego aż tak ważne, że wymaga jej śmierci.

Podszedł ponownie do okna, jednak tym razem pytanie poruszyło go. Twarz mu aż pociemniała.

— Trzy razy, trzy razy mój ród był tak blisko purpury. — Uniósł dłoń i zbliżył palec wskazujący i kciuk tak, że prawie się stykały. — Za każdym razem traciliśmy szansę przez głupotę albo złośliwość. Jesteśmy starym rodem, szlacheckim. Mamy prawo do purpury. Ja mam to prawo. Mój kuzyn nie zdołał dojść do władzy. Mój ojciec próbował i przegrał, ale powiem ci, Oliwio, że ja nie przegram. Bardzo niewiele już trzeba, żeby się udało.

— Tak niewiele? — spytała kpiącym tonem. — I moja śmierć ma ci to zapewnić?

Justus nie odpowiedział. Kopnął resztki rozbitego kubka i zwrócił się do niewolnika.

— Musi być cały czas pod obserwacją. Cały czas na widoku. W przeciwnym razie... — Spojrzał na nią, potem znowu na sługę. — Mogłaby uciec. Nie można do tego dopuścić. Jeśli ucieknie, wszyscy z tego domu otrzymacie po trzydzieści razów pejczem.

Niewolnik lekko pobladł. Taka kara oznaczała śmierć.

— Przekaż to innym — powiedział i spojrzał po raz ostatni na Oliwię. — Gdybyś dała mi dzieci, to mogłoby nie być konieczne.

Uśmiechnęła się z oczami lśniącymi jak w gorączce.

— Nie, Justusie, to ty nie dałeś mi dzieci. I zawiedziesz swoją czwartą żonę, tak jak zawiodłeś poprzednie. — Stała prosto, widząc, że trafiła.

Justus spojrzał na nią z jawną nienawiścią.

— Zapłacisz mi za to, droga żono. Obiecuję, że zapłacisz. — Potem wyszedł z pokoju i Oliwia poczuła, że cała jej siła gdzieś się ulatnia. Zakaszłała, aby powstrzymać się od płaczu.

— Możesz mnie już puścić — powiedziała do niewolnika i poczekała, aż posłucha.

— Nie mogę zostawić cię samej, pani — stwierdził, niemal przepraszając. — Pejcz...

— Tak — odparła tonem, który słyszała u Sanct' Germaina. — Chcę wyjść na chwilę do ogrodu. Muszę wyjść na zewnątrz. Możecie obserwować mnie z okien, drzwi. Wszystko mi jedno. — Odsunęła się od niego gwałtownie, złapała palę, narzuciła ją na siebie i pobiegła korytarzem z twarzą mokrą od łez. Teraz liczyła już tylko na jedno: że następnego ranka Rogerian zjawi się pod jej domem jako żywe świadectwo istnienia Sanct' Germaina.

Raport wewnętrzny skierowany przez Tytusa Flawiusza Wsgpazjana, prefekta pretorianów, do jego młodszego brata, Tytusa Flawiusza Domicjana:

Do Tytusa Flawiusza Domicjana z braterskim pozdrowieniem.

Przejrzałem przysłane przez Ciebie 'materiały na temat Rakoczego Saint Germaina Franciskusa i muszę stwierdzić, że byłaby to całkiem solidna podstawa do oskarżenia go, gdyby cokolwiek z tego dało się potwierdzić. Problem w tym, że mamy tam jedynie przypuszczenia i pogłoski, i nic więcej. Nawet najbardziej naiwny senator nie uwierzy w połowę tego, co tam zawarłeś. Możliwe, że ma więcej statków, niż wiemy, ale jak długo działa w granicach prawa i przestrzega zasad handlu, nic nam do tego. Możliwe, że praktykuje czary w prywatnej części swojego domu i owszem,

byłoby to niebezpieczne, gdyby naprawdę tak czynił, ale brak potwierdzenia, że rzeczywiście ma podobne zdolności. Albo, jeśli je ma, wykorzystuje je dla złych celów. Możliwe, że jest nadzwyczajnie silny, ale bardziej prawdopodobne, że potrafi po prostu walczyć i rzadko przegrywa. Możliwe nawet, że pije krew, kładąc się z kobietą, ale słyszałem o dziwniejszych rzeczach, które ludzie robią w łożu. Poza tym, jak długo żadna z jego partnerek się nie skarży, co szkodzi, że zostawi im na skórze kilka śladów. Nigdy nie używałeś zębów w trakcie gry miłosnej?

Sugerujesz, że nie chcę występować przeciwko Saint Germainowi, i masz rację. Lubię tego człowieka i nie sądzę, żeby zabicie go przyniosło cokolwiek dobrego. Wtrącasz się w sprawy, których nie powinieneś ruszać. Jeśli Sanct' Germain popełnił jakąś prawdziwą zbrodnię (w co mocno wątpię), niech senat zarządzi ojcjalne postępowanie przeciwko niemu. Rzym nie lubi takich dziwnych, pospiesznie zapadających wyroków. Poza tym ani Ty, ani ja jeszcze tu nie rządzymy, i dobrze by było, gdybyś o tym pamiętał. Jeśli jako cesarz postanowisz wymordować połowę miasta, to będzie Twoja sprawa. Na razie jednak to nasz ojciec podejmuje podobne decyzje, a jeśli któryś z nas wdzieje kiedyś purpurę, to dlatego że Rzym go polubi, nie przez swoje nadzwyczajne zdolności czyniącego lepszym niż połowa młodych patrycjuszy na ulicy.

Jeśli naprawdę wierzysz, że Rzymianie nie zwrócą uwagi na podobne potraktowanie cudzoziemca w rodzaju Franciskusa, sam się chyba oszukujesz, bracie. Jak zaznaczyłeś, ma on wielu potężnych przyjaciół i jest bogaty. Żaden cesarz nie może sobie pozwolić na lekceważenie bogactwa, Domicajnie. Przypomnij sobie nasze egipskie czasy, gdy mieliśmy tak mało. Żyliśmy całkiem inaczej niż teraz, w pałacu Klaudiusza. Byłeś za młody, żeby to rozumieć, ale wiesz, jak to jest, być biednym. Pomysł, ile bogactwa przysporzył Rzymowi ten człowiek. Ile jeszcze może przysporzyć. Czy warto zabijać kogoś, kto wzmacnia nasz kraj?

Jeśli nadal pragniesz śmierci tego człowieka, poprę Cię, bo za dużo już było konfliktów w naszej rodzinie. Jednak to przykre, że tak się na niego zawzięłeś. Powiedziałeś, że to Korneliusz Justus Syliusz zwrócił Twoją uwagę na dwulicowość tego człowieka. Darzę senatora Syliusza równie wielką estymą jak wielu innych, sądzę jednak, że myli się co do Saint Germaina. Czasem trudno się z kimś zgodzić i to jest właśnie taki przypadek. Pomyśl o tym, zanim uznasz jego przypuszczenia za fakty.

Czy mogę liczyć, że odpowiesz mi jutro? Chcę spędzić trochę czasu na plaży i wyjeżdżam za dwa dni. Możesz się do nas przyłączyć. Grupa będzie nieliczna i zgrana, będzie też dobra muzyka, wino, tańce i odrobina prywatności, gdy ktoś jej zapragnie z dowolnie wybranym towarzystwem. Chętnie Cię powitamy.

Własnoręcznie, ósmego dnia września 824 roku Miasta.

Tytus

prefekt gwardii pretoriańskiej

. 19 .

Jedyne światło docierało do podziemi przez wąską studnię. Ci, którzy mieszkali pod trybunami cyrku, często wrzucali do niej wszelkie śmieci oraz inne jeszcze, mniej atrakcyjne odpadki. W to wilgotne popołudnie studnia śmierdziała nieziemsko.

Pośrodku małej celi wznosiły się dwa słupy, między którymi stał podtrzymywany łańcuchami Sanct' Germain. Stał tak, z nadgarstkami w górze, już dwanaście dni.

— Nadal oddycha? — spytał szyderczo mistrz bestiariuszy. Przychodził codziennie i stawał w drzwiach, aby naśmiewać się z więźnia. — Zabiją cię, cudzoziemcze.

— Odejdz, Nekredesie — powiedział zmęczonym głosem Sanct' Germain. Wargi miał obrzmiałe i popękane.

— Tutaj nie możesz mi rozkazywać. To moje królestwo i ja wydaję rozkazy. Mogę kazać znowu cię wybatożyć. — Był to nowy poniekąd pomysł, odmienny od codziennego zestawu. — Jeszcze dwadzieścia batów. Co ty na to?

Saint Germain milczał. Wiedział, że flagellum pojawi się niezależnie od tego, co powie. Plecy miał obolałe od poprzedniego razu, a jego czarna tunika wisiała w strzępach. Zamknął oczy i poczekał, aż Ngkredes wypowie resztę swojej roli.

— Mówiłem ci, że taki dzień nadejdzie, ale nie wierzyłeś — powiedział, niezmiennie smakując sytuację. — Nie powinieneś mnie obrażać. Twoja niewolnica zasłużyła na karę i przyjmiesz baty za nią. — Przycisnął się do krat. — Będę liczyć uderzenia, Franciskusie. Chcę usłyszeć twój krzyk.

— Nie słyszałeś jeszcze? — spytał ironicznie Sanct' Germain. Jego

milczenie rozwścieczało mistrza bestiariuszy. — Gdybym ci schlebiał, mniej byś mnie bił? — Wyprostował się i poruszył palcami. Trochę kręciło mu się w głowie. Nie pożywiał się od chwili uwięzienia, odmawiając jedzenia tego, co mu przynosili. Nie przypuszczał, aby dało się go zagłodzić, ale istniała możliwość, że narastający głód, ten szczególnie głód, doprowadzi go do szaleństwa. Dwa razy zdarzyło mu się już wcześniej spędzić wiele dni w więzieniu i w obu przypadkach skończyło się to napadem drapieżności. Nie miał ochoty wspominać tych doświadczeń ani tym bardziej ich powtarzać.

— Odpowiadaj! — warknął Nekredes i Sanct' Germain zorientował się, że nie słuchał.

— Dlaczego? — To była bezpieczna odpowiedź, niezdradzająca, że odwędrował myślami.

— Więc krokodyle cię nie przerażają? — spytał z niedowierzaniem Nekredes. — Duże są, trzy razy takie jak ty. Prawie cztery. Szczęki duże jak bochny chleba. Pomyśl, co mogą z tobą zrobić.

Sanct' Germain nie poruszył się. Krokodyle. Woda, płynąca woda. Nawet wampir nie potrafił sprawić, aby utracona kończyna odrosła jak nowa. Rozszarpany na strzępy, umiera jak każdy. Woda zatem. I blask słońca. Jeśli zdejmą mu buty, straci ochronę, a już teraz jest osłabiony. Owszem, wielki głód może dodać mu sił na jakiś czas, ale po ataku desperacji krokodyle dobiorą się do niego. Krokodyle, woda i słońce.

Szczęknął rygiel. To Nekredes wszedł do celi z flagellum zakończonym metalowymi ciężarkami. Stanąwszy obok Saint Germaina, przycisnął rękojeść bata do jego twarzy i spojrzał na zaschniętą krew.

— Żadnych śladów — powiedział rozczarowany.

— Uprzedzałem cię, że ich nie będzie. — Wiedział, że Nekredes mu nie uwierzy. — Dalej, rób swoje.

Mężczyzna zaśmiał się, smakując chwilę. Odstąpił trzy kroki, aby móc się zamachnąć, i wymierzył uderzenie.

Sanct' Germain wstrzymał oddech, wdzięczny po raz kolejny za utrzymujące go w jednej pozycji łańcuchy. Nie chciałby upaść przed Nekredesem. Ból przeszył go jak żywy ogień, zawężając postrzeganie świata do tych miejsc, gdzie rzemienie i metal wbiły się w ciało. Wraz z bólem pojawiło się uczucie skrajnego zmęczenia, bardzo niebezpieczne połączenie.

— Do jutra, Franciskusie — obiecał Nekredes, skończywszy chłostę. Był czerwony od wysiłku, oczy miał lekko zamglone. — Jutro będzie ostatnia. A potem trafisz na arenę. — Zebrał w dłoni jego włosy i uniósł mu głowę. — Będę patrzył, jak umierasz. I będzie mnie to bawiło. — Z zakrwawionym batem w ręku podszedł do drzwi i zamknął je za sobą z wystudiowaną powolnością.

Aby zapomnieć o bólu, Sanct' Germain ponownie odplynał myślami we wspomnienia, które obejmowały prawie dwa tysiące lat. Wobec perspektywy wodnego polowania, w którym miał wziąć udział za dwa dni, było to o wiele za mało.

Srebrzysta plama słońca wędrowała przez podłogę. W tym otoczeniu wydawała się nienaturalnie jasna i zwracała uwagę. Potem wspięła się na ścianę i przygasła bursztynowo. Sanct' Germain nie zwracał już uwagi na smród. Nie czuł w ogóle rąk, oczy piekły go, jakby wypalały sobie drogę w głąb czaszki. Pomyślał, że gdy zdejmą mu za dwa dni łańcuchy, niechybnie upadnie, a tego wolałby uniknąć. Wyprostował nogi i grzbiet i trwał tak, aż uda zaczęły się trząść. Jednak łatwiej było wisieć na łańcuchach. Mniej bolało. Noc zapadała nad miastem, otulając Siedem Wzgórz swoim welonem i rozsnuwając nad Tybrem iluminację gwiazd.

Coś zaszeleściło obok jego ręki. Przypomniawszy sobie wielkie szczury ganiające nocami po celi. Jednego z nich skusiła zakrzepła na jego

plecach krew i wspiął się po nogawkach i resztkach tuniki, aby przysiąść na jego ramieniu i posmakować znaleźiska. Sanct' Germain nie mógł opanować obrzydzenia i aż się zaśmiał nad tą ironią losu. Zęby właśnie on, spośród wszystkich ludzi, odczuwał niechęć do zwierząt gustujących w smaku krwi. Niemniej tak właśnie było. Trudno. Musiał znosić i szczury.

Kolejny dźwięk, głośniejszy i metaliczny, wyrwał go z zamyślenia. Próbował odwrócić głowę i dojrzeć, kto wchodzi do celi, ale ból ramion nie dał mu na to szans. Stał więc nieruchomo, czekając, co będzie dalej. Nigdy jeszcze nie był chłostany dwa razy tego samego dnia, ale i to mogło się zdarzyć. Czy to Nekredes odwiedzał go w ten cichy i piękny wieczór?

— Saint Germain? — Dłoń, która musnęła jego ramię, była delikatna, o długich palcach. Życzliwa dłoń.

Odsunął wszystkie trapiące go lęki.

— Oliwia? — spytał z niedowierzaniem.

Dotknęła jego twarzy. W jej oczach malowało się przerażenie.

— Co oni z tobą zrobili?

— Oliwia? — powtórzył, chłonąc jej widok. Wydawała mu się tak jasna i ulotna jak płomień pochodni na wietrze. Pocałowała go delikatnie. Dłonie jej drżały. — Jak...?

— Rogerian cię znalazł — odpowiedziała szybko. — Wypytał dzieci, które mieszkają pod cyrkiem, porozmawiał ze starym trenerem, który cię zna, i słyszał, jak mistrz bestiariuszy mówił o tobie. Szukaliśmy cię od wielu dni. — Zamilkła na krótką chwilę. — Uciekłam. Zostawiłam dom i Justusa. Moja matka nie żyje. Zmarła już jakiś czas temu. — Zacisnęła usta w wąską linię.

— Przykro mi — powiedział Sanct' Germain, odczuwając bezradność. Chciałby objąć Oliwię, przytulić do siebie, aby uśmierzyć ból ich obojga. Niczego więcej od niej nie pragnął i nie mógł myśleć o

niczym innym. Ale musiał.

— Mówił mi różne rzeczy... i zachowywał się jak wcześniej. — Rozejrzała się i nagle dostrzegła przemykającego po klepisku szczura. — Jak ty tu możesz wytrzymać? — wyrwało się jej. Od chwili wejścia do lochów ledwie nad sobą panowała.

— Nie mam wielkiego wyboru w tej kwestii — zauważył z dozą sardonicznego humoru.

— Ale... to loch! — Spojrzała na jego nadgarstki.

— Loch to loch, czy w Niniwie, w Rzymie czy w Luoyang. Tamte miejsca też odwiedzałem. Nie ma większej różnicy. Gdy już człowiek znajdzie się w celi, staje się ona całym jego światem i nie jest ważne, czy na zewnątrz chodzą Rzymianie, Partowie czy hiperborejscy barbarzyńcy. — Wyciągnął się na tyle, aby musnąć wargami jej twarz. — Cieszę się, że przyszedłeś. Wiele o tobie myślałem.

— Gdybym wiedziała, gdzie jesteś, przyszedłabym wcześniej. Bardzo cię boli?

Zdumiał go aż tak intensywny wyraz troski na jej twarzy.

— Bywało gorzej — odparł zdawkowo.

— Zajmują się tu tobą? — Wiedziała, że to naiwne pytanie.

— Jak sama widzisz. — Oliwia sięgnęła do żelaznych obręczy na jego nadgarstkach. — Nie rób tego — szepnął.

— Ale twoje ręce...

— Po pierwsze, wolę już stać, niż leżeć, a bez nich nie miałbym na to szans. Po drugie, obręcze mają kolce od wewnętrznej strony. Jeśli je ruszysz, poranią mnie.

Cofnęła dłoń, jakby metal był biały z gorąca.

— Kolce... to nie do przyjęcia!

— Zatem może nie wracajmy do tematu. — Nie chciał opowiadać, co się działo z nim od chwili uwięzienia. — Jak tu weszłaś? — spytał z autentyczną ciekawością.

Oliwia z trudem spojrzała mu w oczy.

— Jeden z gladiatorów... którego kiedyś poznałam, zgodził się pokazać mi, gdzie jesteś — wyznała szeptem. — Słyszał o więźniu przetrzymywanym na drugim poziomie. Sprowadził mnie bocznymi schodami i pokazał drogę.

— Jaka była cena? — spytał łagodnie, szukając jej spojrzenia. Coraz bardziej pragnął jej bliskości i pasji, nawet w tej cuchnącej celi.

— Nie wyznaczył ceny. Nic nie chciał.

Saint Germain odetchnął z ulgą.

— Dlaczego to ważne? — spytała. — Przecież wiesz, jakie życie prowadziłam. Jeden więcej to chyba żadna różnica.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Byłaby różnica. Tym razem cierpiałybyś przeze mnie. Na Charona, Oliwio, o czym innym mógłbym myśleć? Rzymska moralność niewiele mnie obchodzi. — Spróbował się roześmiać. — Dlaczego miałaby mnie obchodzić? Kobiety opuszczają moje ramiona nietknięte, w takim samym dokładnie stanie, w jakim mnie poznały. Oczywiście, jeśli uznać pełen akt za miarę czystości. — Spojrzał na nią z żalem. — Będzie mi cię brakować, Oliwio. Bardziej niż czegokolwiek na świecie. — Ledwo to powiedział, zaraz pożałował swoich słów, ponieważ na jej twarzy pojawił się grymas złości.

— Nie — rzuciła z przejęciem. — Nie umrzesz. — W jej oczach błysnęło łagodne szaleństwo.

— Też wolałbym nie — powiedział, siląc się na lekki ton. — Rogerian jest u mnie od niedawna, ale ma dobre serce i szybko się uczy. Dobrze będzie, jeśli będziesz trzymać go gdzieś blisko siebie. Musisz nauczyć się wielu rzeczy na później. Nie ma czasu, abym przekazał ci wszystko, co powinnaś wiedzieć. — Czyhało na nią mnóstwo niebezpieczeństw, a nie miała wiele czasu, aby nauczyć się stawiać im czoło. — Niech któryś z twoich ogrodników wypełni kilka

skrzyń ziemią z twojego ogrodu. Pilnuj ich, aby były w każdej chwili dostępne. Będą ci potrzebne podczas podróży. Bo musisz podróżować. Zmiana sprawia, że prawie przestajemy się starzeć. Ludzie zauważają to z czasem. Zamieszkuj w jednym miejscu dziesięć, góra dwadzieścia lat, potem szukaj nowego. Zawsze możesz wrócić po latach, gdzie już byłeś. Mam wiele statków i przedsiębiorstw handlowych. To dobry sposób zarabiania i daje możliwość szybkiej ucieczki, gdy trzeba. Nie przerywaj — powiedział poważnie. — Uważaj przy wyborze miejsca zamieszkania. Miasta są lepsze niż wioski.

— Nie mów tak! — Przerwała mu z pasją. — Jeśli muszę wiedzieć to wszystko, później cię spytam.

— Później może mnie już nie być w pobliżu — rzekł ze smutkiem i czułością. — Nie utrudniaj, Oliwio. Nie chcę cię zranić, ale musisz teraz posłuchać. Zapomnij o wszystkim innym, po prostu to konieczne. W przeciwnym razie zawiodę cię bardziej niż Kosrozda, Tisztry i Aumtehoutepea.

Jej spojrzenie trochę złagodniało.

— Słucham, Saint Germain.

— Gdy pojawiłaś się w moim życiu — powiedział jakiś czas później — bliski byłem odsunięcia się. To łatwe. Zdarzało mi się już wcześniej, chociaż taka pustka prowadzi ostatecznie do prawdziwej śmierci. Samotność jest lepsza niż wykorzystywanie innych, pamiętaj o tym, moja Oliwio. Niełatwo jest oprzeć się uwodzicielskiej mocy cynizmu, ale on sam to już jest mała śmierć. Strzeż się przed nim. Nie możemy pozwolić sobie na brak uczuć. Niekiedy będzie to trudne, zwłaszcza gdy trafi się na kogoś przesiąkniętego złem i pełnego pogardy wobec ciebie, gdy ci, o których będziesz się troszczyć, odsuną się od ciebie. To będzie się zdarzać, Oliwio. Gdy już do tego dojdzie, nie poddawaj się złości. Bliskość, której potrzebujemy, może przerażać ludzi, którzy w ogóle nie znali bliskości. Chciałem być z

tobą, gdy się obudzisz, ale to może się okazać niemożliwe — dodał ciszej. — Jeśli mnie nie będzie...

— Sanct' Germain... — przerwała mu. Nie chciała słuchać dalej.

— Jeśli mnie nie będzie, pamiętaj, że w twoich pragnieniach nie ma nic złego. I pamiętaj, że krew jest niczym, jeśli nie ma niczego oprócz krwi.

— Jedyne kochanek, którego pragnę, to ty — wyszeptała łamiącym się głosem i starła łzy z twarzy, zostawiając na policzkach ciemne smugi.

— Będą inni — powiedział z wyrozumiałym i smutnym uśmiechem. — Taka nasza natura.

— A teraz? — Widziała, w jakim stanie były jego wargi, ale i tak go pocałowała. — Teraz nie chcesz:¹

— Nie pożywiałem się od czasu naszego spotkania w ogrodzie. — Uśmiechnął się, widząc jej zdumienie. — Przyznaję, że chciałbym od ciebie tej siły. Bardziej jednak pragnę twojej miłości. — Poruszył rękami i skrzywił się z bólu. — Nie mogę cię objąć, nie mogę cię pieścić. Jeśli to cię odrzuca, ucałuj mnie tylko i idź. Wolałbym, abyś nie stała blisko mnie, gdy jestem równie głodny.

Ołivia spojrzała na niego tak czule, jak jeszcze nigdy wcześniej.

— Kochaj mnie zatem. — Przysunęła się jeszcze bliżej i zsunęła penulę. Długi płaszcz spadł na podłogę i Oliwia została tylko w lekkim sapparum, jakby szykowała się do wyścigów albo innego sportowego punktu igrzysk. Dostrzegła, że uniósł pytająco brwi, i spojrzała na niego krytycznie. — Musiałam jakoś tu wejść, więc ubrałam się po tutejszemu — wyjaśniła z powagą.

— Mądrze — przyznał. — Dobrze ci w tym.

Uniosła głowę, chociaż w jej oczach pojawiły się łzy.

— Co teraz?

— Oprzyj się o mnie — odparł ze zwykłą dla siebie godnością i

czułością.

— Oprzeć się o ciebie? — szepnęła. — Ale twoje nadgarstki... Nie mogę.

— Moje nadgarstki to nie problem — skłamał. — Tylko dzięki łańcuchom jeszcze nie upadłem. — Zacisnął szczęki i poruszył na dowód rękami, czując gorącą wilgoć w miejscach, gdzie kolce dotykały ciała.

Zrobiła, o co prosił, i ich ciała się zetknęły.

— Chcę cię objąć... — wyznała cicho. — Ale twoje ramiona...

— Obejmij mnie w pasie — podpowiedział z wargami w jej włosach.

Obróciła głowę, żeby go pocałować, tym razem ogniście i nie zważając na nic. Wydawać się mogło, że całą jej duszę wciągnął w siebie przy tym pocałunku, w ten sposób obejmując ją i przytulając, zamiast odrętwiałymi i zakrwawionymi ramionami.

Wydany przez senat nakaz aresztowania Acji Oliwii Klemeim, żony Syliusza:

Do straży i gwardii pretoriańskiej, z pozdrowieniami.

Upoważniamy i zobowiązujemy do odszukania i zatrzymania Acji Oliwii Klemens, żony Syliusza. Kobieta ta opuściła dom swego męża oraz dom swego ojca i jej obecne miejsce pobytu nie jest nam znane.

Ciążą na niej poważne zarzuty, które zostaną przedstawione sądowi, gdy tylko zostanie odnaleziona i będzie mogła przemawiać w swojej obronie. O naturze tych zarzutów nie możemy w obecnej chwili powiedzieć nic więcej ponad to, że chodzi o zbrodnię główną. Z tego powodu oczekujemy, że będzie traktowana w szczególny sposób.

Po odnalezieniu i zatrzymaniu tej kobiety należy niezwłocznie zawiadomić senat, który zapewni jej stosowne warunki. W razie

niewłaściwego jej potraktowania, bez szacunku dla niej, jej pozycji i pochodzenia, należy się spodziewać bardzo poważnych konsekwencji wobec winnych takiego naruszenia prawa.

Za senat, własną ręką i przez posłańca,

Alastor

starszy prokurator

. 20 .

Tysiące widzów zgromadzonych na trybunach Circus Maximus miały godzinę przerwy, a organizator igrzysk i liczni podlegli mu niewolnicy układali na miejscu resztę nasmołowanych belek, żeby można było zalać arenę. Organizator miał za sobą trudny dzień. Najpierw podczas wyścigu rydwanów zderzyły się trzy pojazdy, tworząc jedno kłębowisko połamanego drewna i poranionych ciał, z jęczącymi ludźmi i zawodzącymi boleśnie końmi, i tylko czwarty rydwan wykonał wszystkie siedem okrążeń spiny. Walka pigmejów ze strusiami poszła dobrze, była jednak krótka, co zirytowało ludzi. Trzy kobiety skazane za zamordowanie swoich dzieci zostały rozpostarte na piasku i zgwałcone przez specjalnie wytresowane pantery. A teraz miał jeszcze przygotować arenę do wodnego polowania. Westchnął głęboko i powrócił do wykrzykiwania rozkazów.

Cesarz posilał się wraz z rodziną, jedząc żeberka w miodzie i przyprawach, owoce i małże gotowane z boczkiem. Lekka muzyka poprawiała im trawienie. Tytus i Domicjan siedzieli jak najdalej od siebie i prawie ze sobą nie rozmawiali.

— Źle robicie — powiedział cesarz, oblizawszy palce. — Rzym na was patrzy. Jutro pojawią się pogłoski o sporze między wami i spiskach, które nawzajem przeciwko sobie knujecie. Dość mamy wojen domowych. — Nalał sobie szczerze wina i rozcieńczył je sokiem z granatów.

— Źle się tu dzisiaj czuję — powiedział Tytus, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Słońce zbrązowiło jego ciało i rozjaśniło włosy, tak że w miękkim blasku docierającym pod baldachim wyglądał jak pokryty złotem. Iluzję pogłębiała bezrękawna tunika z jedwabiu w

kolorze mosiądzu. — Franciskus był mi prawie przyjacielem.

— Mądrze z jego strony — wtrącił się Domicjan.

— Miał dość rozumu, aby nie zaprzyjaźniać się z tobą — odciął się Tytus.

— Przestańcie zaraz — odezwał się Wespazjan. — Ten człowiek jest cudzoziemcem i mamy podstawy przypuszczać, że może być zagrożeniem dla Rzymu.

— Ale większość z tych zarzutów nie została udowodniona — zaprotestował Tytus z niezwykłym dla niego zaangażowaniem. — Jeśli jest winien, niech ktoś przedstawi dowody. I to jak najszybciej, bo inaczej wyjdzie, że cała ta egzekucja to kaprys Domicjana.

— O to właśnie chodzi — warknął Domicjan, czerwieniejąc na twarzy. — Ze ja tego chcę, bo ja uważam, że to niebezpieczny człowiek. Gdyby to ojciec go wskazał, zaraz byś się zgodził, ale gdy młodszy brat z czymś się wyrwie....

— Cokolwiek zrobił, rzucanie go krokodylom to przesada — nie wytrzymał Tytus. — Nie jest niewolnikiem.

— Byłbym wdzięczny, gdybyście znaleźli sobie inny temat — przerwał im Wespazjan. — Obaj jesteście głupi. Tytusie, wiem, że Franciskus wyświadczył ci kilka przysług i że nie lubisz, gdy Domicjan wtrąca się w twoje sprawy, ale musisz przyznać, że to podejrzana postać.

— Podejrzenia to za mało, aby go skazywać i tracić, zwłaszcza w ten sposób — powiedział spokojnie Tytus, trwając przy swoim. Rozejrzał się po cyrku i nagle dostrzegł muzyków. Wskazał na nich znacząco, — Kto ich dla nas wyszukał? Sanct' Germain. Nie można go stracić, ciesząc się jednocześnie prezentem od niego.

Wespazjan zachichotał.

— Nie takie rzeczy już się zdarzały, mój synu.

W korytarzu rozległy się pospieszne kroki i chwilę później w łoży

pojawił się Justus Syliusz.

— Wzywałeś mnie, cesarze? — spytał Wespazjana, kłaniając się Tytusowi i Domicjanowi.

—Przykro mi z powodu twojej żony — powiedział cesarz, unosząc brwi.

— Ciągłe jej nie znaleziono. Wysłałem zastęp niewolników na poszukiwania, ale obawiam się... Obawiam się, że mogła ulec desperacji. Posłałem wiadomość w dół rzeki, aby mieli oczy otwarte.

— Podejrzewasz samobójstwo? — spytał umiarkowanie zaskoczony Wespazjan. — Nie przypuszczam, aby ktoś z rodu Klemensów gotów był to zrobić. Gdyby chciała umrzeć, zrobiłaby to godnie, przy świadkach, nie zostawiając nas w podobnej niepewności. — Był naprawdę przekonany do tego, co mówił. — Arystokratka nie rzuca się do Tybru jak zwykła kurwa. Trzeba szukać. Ale ostrzegam cię, Justusie, że nie ma wiele czasu. Lesbia chce wyjść za mąż jeszcze w tym roku. Nie obchodzi mnie, jeśli twoja żona wolała samobójstwo zamiast procesu, ale musimy wiedzieć na pewno.—Postukał w marmurowy podłokietnik tronu. — Napisz jutro petycję do senatu, a załatwimy tymczasowy rozwód. Wydam też rozkaz natychmiastowego osądzenia twojej żony, gdy tylko się znajdzie. Na to mogę się zgodzić.

Justus wysilił się na uśmiech. Znowu musiał się podporządkować. Kątem oka spojrzał na Domicjana.

— Dokumenty są już gotowe. Muszę tylko dostarczyć je do Kurii.

— Zrób to — powiedział Wespazjan życzliwym tonem, jednak nie dodał nic, co pozwoliłoby sądzić, iż nie był to rozkaz.

— Oczywiście — odparł Justus, starając się stworzyć wrażenie, że jest cały chętny do realizacji cesarskiego planu.

— Gdy ją znajdziemy, dobrze, żeby była cała i zdrowa — dodał Wespazjan, spoglądając Justusowi w oczy. — Dwie pomyłone żony to trochę za wiele, jak na jednego mężczyznę. Ktoś mógłby zacząć

podejrzewać go o brak spostrzegawczości. — To było już oczywiste ostrzeżenie i Justus wiedział, że nie powinien go lekceważyć.

— Jeśli jakaś kobieta zachowuje się tak jak żona Syliusza, to musi być pomyłona — powiedział Domicjan, przychodząc Justusowi na pomoc. — Zęby sypiać z gladiatorami i odmawiać mężowi, a potem jeszcze próbować go otruć... Co innego można o niej pomyśleć oprócz tego, że jest szalona?

Justus postanowił się nie odzywać. Wbit spojrzenie w swoje założone ramiona.

— O tym już senat zdecyduje — stwierdził Wespazjan. — Nie zapomnij przekazać jutro dokumentów. — To był wyraźny znak, że rozmowa dobiegła końca.

— Czuję się zaszczycony troską o moje sprawy — powiedział Justus.

— Przecież zależy ci na tym, prawda? — Cesarz spojrział na przyszłego krewniaka spod przymrużonych powiek.

— Oczywiście, ale musisz wiedzieć, cesarze, że wielu zabiega o twoją uwagę, ale niewielu ją otrzymuje. Jestem świadom, że znaczna w tym zasługa twojego syna — dodał innym tonem. — Jest dla mnie bardzo miły. — Posłał Domicjanowi uśmiech. Równie szeroki jak nieszczerzy.

Trąby uratowały rodzinę cesarską przed koniecznością udzielenia jakiejś odpowiedzi na to nachalne wazelinarstwo. Dochodzące ze spiny granie uciszyło tłum i skłoniło wszystkich, którzy wyszli na przerwę, do powrotu na miejsca.

— Aha, zaczyna się — powiedział Wespazjan, moszcząc się na poduszkach. — Polowanie na wodzie. Krokodyle pochodzą aż zza drugiej katarakty. Nigdy nie widziałem, jak się łapie takie bestie, a szkoda. Ciekaw jestem, jak oni to robią.

— Muszę wracać do mojej łóżki — powiedział Justus, nie

doczekawszy się zaproszenia do cesarskiej świty.

— Tak, jasne — rzucił Wespazjan, wpatrując się w Bramę Życia, gdzie pojawiły się już pierwsze tratwy. — Czekam na petycję.

Justus opuścił łóżę z ledwo skrywaną irytacją.

— Nie rozumiem, jak możesz znosić tę ropuchę, Domicjanie — powiedział z niesmakiem Tytus.

— To porządny i szanowany człowiek — odparł Domicjan, gotów do ponownego starcia z bratem.

— Polowanie się zaczyna — oznajmił cesarz i kazał muzykom zamilknąć.

Trąby zagrały po raz drugi, potem przeszły do rytmicznej wersji popularnej ostatnio piosenki *Nie smuć się, gdy odjadę*.

Tytus podjął melodię, gwizdząc przez zęby.

— Rzygać mi się chce, gdy to słyszę — powiedział Domicjan ze wzrokiem wbitym w niebo.

W końcu wszystkie cztery tratwy znalazły się na wodach areny. Każdą ciągnęły dwie łodzie z obsadą pięciu wioślarzy. Na dwóch pierwszych stali wysocy i czarnoskórzy Numidyjczycy z plecionymi tarczami i szerokimi włóczniami. Pozostałe wypełniali jasnowłosi mieszkańcy Północy z Lugdunum Bataworum, uzbrojeni w trójzęby, z prostymi brązowymi napierśnikami.

— Oni będą walczyć pierwsi — powiedział Nekredes do Sanct' Germaina, który wraz z sześcioma innymi ludźmi stał na końcu spiny. — Gdy skończą, wypuści się krokodyle, żeby posprzątały. Potem wy tam wskoczycie, żeby sprzątnąć krokodyle, gdy będziemy wypuszczać wodę. Na pewno zrobimy to powoli, będziesz miał prawie godzinę. Sądziś, że to ci wystarczy? — Pokręcił głową w szyderczej trosce nad stanem pleców więźnia. — To może być problem. Krew przyciąga krokodyle. Pewnie sam o tym wiesz, Franciskusie.

— Do tego czasu w wodzie będzie dość krwi — odparł Sanct'

Germain, spoglądając na zalaną arenę. Było mu trochę niedobrze. Słońce paliło mu skórę, woda wywoływała osłabienie. Żałował, że nie mógł zatrzymać swoich butów. Od ponad tysiąca lat nie stawał bez nich w jasnym blasku dnia. Za jedyny przyodziewek miał opaskę, jako broń jedynie niewielki nóż.

— Gdy cię zgryzą, będziesz wrzeszczał jak kobieta przy porodzie — mruknął z satysfakcją Nekredes.

Saint Germain nie odpowiedział. Przyglądał się ustawianym do walki tratwom.

Trębacze po drugiej stronie spiny przestali grać.

Łódki odwiosłowały czym prędzej z areny i chwilę później wzleciała w powietrze pierwsza numidyjska włócznia.

Bez łodzi i wiosłarzy tratwy zaczęły dryfować. Numidyjczycy znowu rzucili i wszystkie ich włócznie, oprócz dwóch, znalazły cel. To było to, co tłum lubił najbardziej. Rozległy się głośne zachęty do dalszej rzezi.

Na jednej z tratw jasnowłosych doszło do krótkiej narady, zakończonej tym, że trzech ludzi odłożyło trójzęby i siadło przy burcie, wiosłując dłońmi. Numidyjczycy natychmiast też wyznaczyli wiosłujących i bitwa zaczęła się na dobre.

Sanct' Germain przyglądał się jej z niechęcią. Tyle umiejętności i starań, myślał, tylko dla zabawienia znudzonego tłumy, czekającego na czyjąś śmierć. Przebiegł spojrzeniem po trybunach, gdzie ludzie tłoczyli się i pocili pod wielkimi baldachimami. Mężczyźni wrzeszczeli z twarzami naznaczonymi żądzą i okrucieństwem, kobiety dyszały ze lśniącymi niezdrowo oczami. Widział kochanków tulących się do siebie, podczas gdy ludzie na tratwach krwawili i umierali. Cały czas słońce waliło weń jak młotem, a woda oślepiła odbłaskami.

W wodzie było już pięć czy sześć ciał i ktoś dał sygnał, żeby wypuścić krokodyle. Długie, śmiercionośne sylwetki wypłynęły z

klatek po bokach areny. Numidyjczycy krzyknęli ze strachu, dojrzawszy bestie. Jasnowłosi, którzy zostali dostarczeni do Rzymu ledwie dwa tygodnie wcześniej i nie znali w ogóle krokodyli, wymienili zdumione spojrzenia, gdy gady dopadły do ciał i otworzyły paszcze.

Niemal natychmiast walka między tratwami ustała i kto żyw, zaczął uciekać przed krokodylami' Nie było jednak dokąd uciekać. Woda była głęboka na ponad dwanaście długości ramienia, niemal tyle samo zostawało do obramowania trybun w górze. Brama Życia została zamknięta, Bramę Śmierci zabarykadowano na czas zalania areny.

W końcu krokodyle zaatakowały tratwy, przewracając jedną z nich i strącając jasnowłosych do wody, gdzie czekały już otwarte paszcze. Niemal dokładnie pod sobą Sanct' Germain dojrzał dwa gady, które złapały Numidyjczyka, jeden za stopę, drugi za przedramię, i tak wciągnęły go pod wodę, gdzie każdy z krokodyli skrzył w swoją stronę, dosłownie rozdzierając ofiarę na pół.

— Ciebie też to czeka — powiedział mu na ucho Nekredes. —Już niebawem.

Saint Germain spojrział raz jeszcze na widownię w nadziei, że ujrzy znajomą twarz. Jednak w takim tłumie nie miał szans dojrzeć Oliwii. Jeśli była w cyrku, oczywiście. Obejrzał się na resztę skazanych.

— Na co czekamy? —spytał i zanim ktokolwiek zdołał zareagować, podszedł do krawędzi spiny i zanurkował gładko do wody. Gdy wypłynął na powierzchnię, wyciągnął nóż z za przepaski i popłynął niezgrabnie w stronę najbliższej tratwy.

Ludzie z Północy spojrzeli zdumieni, gdy ktoś obcy wdrapał się na pokład, byli jednak zbyt zajęci odpędzaniem krokodyla, by zaczepiać przybysza.

Saint Germain wstał powoli. Przebywanie na wodzie nie było tak dokuczliwe jak pływanie, ale i tak czuł się mocno ospały. Podniósł

jeden z dwóch porzuconych trójzębów i zwrócił się do Swebów w ich własnym języku.

— Nie ma co kłuć ich z boku. Niewiele czują i mają bardzo grubą skórę. Musicie wrazić im to w gardziel. Najgłębiej, jak się da.

Jasnowłosi zamarli na moment.

— Jesteś jednym z nas? — spytał najstarszy. — Nie wyglądasz.

Krokodyl trącił tratwę jakby na próbę i zmierzył stojących na niej ludzi spojrzeniem małych oczu.

— Nieważne. Trzymaj. — Sanct' Germain wcisnął jeden z trójzębów w dłoń starego. — Gdy otworzy paszczę, wbij jak najgłębiej. Potem puść zaraz, bo wciągnie cię do wody.

Swebowie nie zastanawiali się długo. Jeden zajął stanowisko na skraju tratwy i gdy tylko krokodyl pojawił się obok i rzucił na przód z rozdziawioną paszczą, mężczyzna wraził trójzęb głębi > kn w gardziel bestii. Gad chrząknął dziwnie i zniknął pod wodą, rzucając się w daremnej próbie usunięcia trójzębu. Jasnowłosi spojrzeli na Sanct' Germaina.

— Działa.

— Ten krokodyl nie jest jeszcze martwy — dopowiedział Franciskus, wciągając na tratwę czyjeś zmasakrowane ciało.

— Wyrzucić to! — krzyknął stary. — To nieczyste!

— Wolisz, żeby bestia odgryzła ci rękę? Gdy znowu zaatakuje, niech wgryzie się w to ciało zamiast w ciebie.

Sweb zrozumiał i kiwnął na innych.

— Róbcie, jak mówi.

Krokodyl obok tratwy zamknął nagle paszczę, miażdżąc sterczące zeń drzewce. Jasnowłosi spojrzeli na niego ponuro.

— Ile ich wypuścili? — spytał cicho jeden ze Swebów.

— Dziesięć albo dwanaście — odparł Sanct' Germain. — Za wiele.

— Dwanaście? — zdumiał się stary.

— Będą chciały staranować tratwę, jak zrobiły to z innymi. Musimy być gotowi, gdy do tego dojdzie.

Kolejny krokodyl podpłynął blisko. Tym razem jasnowłosi czekali, aż będzie tuż obok, żeby spróbować go zabić.

— Paszcza i ślepia! — krzyknął Sanct' Germain. — Paszcza i ślepia. Nic innego się nie liczy. — Mówiąc to, wziął ułamane drzewce i wbił je w oko przepływającego obok krokodyla. Bestia warknęła i szarpnęła się wściekle. — Uważajcie na niego! — krzyknął, wskazując ranne zwierzę. — Będzie szalał.

Swebowie tylko pokiwali głowami i rozejrzeli się za kolejnymi krokodylami.

Jedna z numidyjskich tratw rozpadła się pod uderzeniami pyska i ogona-bestii. Woda zagotowała się zaraz w tym miejscu i dały się słyszeć okrutne krzyki zagryzanych ludzi, zagłuszone natychmiast przez wycie tysięcy zachwyconych Rzymian, którzy zerwali się z miejsc, żeby lepiej widzieć.

— Bliżej! — krzyknął Sanct' Germain.

— Bliżej? — spytał przerażony stary.

— Zabijemy kilka, gdy będą zajęte, zanim zapolują i na nas. — Głowa bolała go od słońca i musiał przywoływać wszystkie siły, aby zachować przytomność umysłu. Czuł się stary, chory i słaby.

Pozostali Numidyjczycy zrozumieli, co zamierzają jasnowłosi, i przyłączyli się do nich. Siódmy krokodyl rozstał się z życiem, gdy tratwa Swebów również została wywrócona i wszyscy wpadli do wody. Sanct' Germain upuścił przy tym swój trójzab, zaraz jednak sięgnął po nóż.

Długi pysk otarł mu się o ramię. Franciskus odepchnął się od niego, tłumiąc w sobie pierwotny strach. Krokodyl otworzył leniwie szczęki i zacisnął je na biodrze starego Sweba, który krzyknął raz i zamilkł na zawsze.

Tratwa Numidyjczyków przepływała akurat Sanct' Germainowi nad głową, spróbował więc do niej dotrzeć. Gdy przebił głową powierzchnię wody, ujrzał dwa krokodyle przymierzające się do czarnoskórych, odpłynął więc trochę dalej, rozglądając się za unoszącymi się na wodzie ludzkimi szczątkami. Znalazł część ręki i całą nogę. Gdy kolejna bestia runęła w jego kierunku, ledwo zdążył wcisnąć jej oderwaną nogę do paszczy i zanurkować. Krokodyl przemknął powyżej, wystawiając ku niedosłej ofierze jasny i nieosłonięty prawie brzuch. Sanct' Germain uniósł rękę z nożem i wbił ostrze w skórę zwierzęcia. Wyszarpnął je potem, ale za późno. Olbrzymi ogon zdzielił go w ramię, pozbawiając niemal przytomności i posyłając w kierunku dna. Gdy wypłynął, spojrzął na spinę, zastanawiając się, czy mógłby tam dotrzeć. Był też ciekaw, co z pozostałymi skazańcami. Nie dojrzał ich na górze, a w panującej na dole krwawej kotłowninie i tak nie miałby szansy ich wypatrzeć. Nagle zauważył wilgotny pas na murze spiny. Zaczęli wypuszczać wodę, aczkolwiek rzeczywiście ubywało jej bardzo powoli. Niemal roześmiał się, widząc ten znak nadziei

Niektórzy wdrapywali się na połamane szczątki tratw, stamtąd oganiając się przed krokodylami z determinacją skażam mv, którzy nie mieli żadnego innego wyjścia prócz zagłady. Jak dotąd udało im się zabić dziewięć krokodyli za cenę życia trzydziestu ośmiu ludzi.

Pod powierzchnią czerwonej wody przesunął się cień kolejnego krokodyla. Sanct' Germain oddalił się od szczątków tratwy, ale bestia popłynęła za nim. Nieco dalej dojrzał prostokąt cienia od zawieszzonego wyżej baldachimu i skierował się w tę stronę. . Był cały obolały i każdy ruch ramion wymagał coraz większego wysiłku. Cień dawał nadzieję na drobną poprawę. Przynajmniej nie cierpiałby wtedy od bezpośredniego blasku słońca.

Prąd wody na karku ostrzegł go, że krokodyl jest już blisko. Sanct'

Germain rzucił się na bok, docierając równocześnie do cienia przy murze. Wiedział, że nie ma co oczekiwać nagłego powrotu sił, ale poprawa była tak nieznaczna, że omal się nie poddał. Krokodyl zawrócił i zaatakował ponownie. Płynął powoli z zamkniętą paszczą. Obserwując go, Sanct' Germain przypomniał sobie dni sprzed wieków, gdy obserwował kapłanów karmiących krokodyle w świątyni drugiej katarakty. Śpiewali przy tym bestiom, które wyrastały czasem dwa razy większe niż te tutaj okazy. Niekiedy też zwabiali je na brzeg i dowodzili swej mocy, nie pozwalając krokodylom otworzyć paszczy. Robili to gołymi rękami, ale jeden z kapłanów wyjaśnił Sanct' Germainowi, że w gruncie rzeczy to nic trudnego. O wiele trudniej było zmusić bestie do otworzenia paszczy, niż przytrzymać ją w pozycji zamkniętej. Dodał też, że prawdziwa i jedyna właściwie siła krokodyli wiąże się właśnie z gryzieniem. Sanct' Germain odwiązał swoją przepaskę, odsłaniając przy tym rozległe blizny przecinające białymi smugami dolną część brzucha.

Krokodyl był przede wszystkim zdumiony, gdy ujrzał człowieka nurkującego z czymś, co dziwnie się za nim ciągnęło. Podpłynął do owego czegoś i trącił to nosem. Sanct' Germain tylko na to czekał. Zawrócił i jak mógł najmocniej owinął pas płótna wkoło pyska zwierzęcia trzy, potem cztery razy. Nie było to zbyt zgrabne, ale trzymało. Bestia zaczęła się rzucać, ale Sanct' Germain złapał za koniec wężła i pociągnął jej łeb do tyłu, pilnując, aby nie dostać się w zasięg zawzięcie bijącego wódę ogona.

Tłum zaczął wiwatować, widząc, jak nieliczni ocaleni z załóg tratw są odholowywani przez łodzie, które wróciły specjalnie po nich. Wody było już wyraźnie mniej, jednak Sanct' Germain gonił ostatkiem sił. Wiedział, że jeśli teraz zemdleje, bestia zajmie się nim w ciągu kilku sekund. Cały jego świat ograniczył się do jednego wężła.

Krokodyl odbił się tylnymi łapami od dna i spróbował uciec od

swego prześladowcy, jednak Sanct' Germain nie puszczał, przeginając łeb zwierzęcia coraz bardziej do tyłu. Ostatnim wysiłkiem zdołał w końcu złamać mu kark. Bestia zadrżała i znieruchomiała.

Gdy Sanct' Germain opuścił nogi, odkrył ze zdumieniem, że woda sięga mu już tylko do pasa. Wziął nóż i wbił go w podgardle krokodyla z taką siłą, że upadłby od impetu, gdyby nie podpływająca akurat do niego łódź. Błady i słaby odepchnął ją ręką. Łoża cesarska była tylko paręnaście kroków dalej i ruszył powoli w jej kierunku.

Nagły krzyk tłumu podpowiedział mu, że coś się dzieje, ale odwrócił się o mgnienie oka za późno. Cztery ostre jak brzytwa zębiska drasnęły go z boku, nieomal pozbawiając przytomności. Krokodyl szykował się już do następnego ataku, gdy ludzie z łodzi dopadli go z ostrymi, żelaznymi kolcami. Jeden z nich przebił skórę na grzbiecie i zwierzę zdechło po serii drgawek.

Saint Germain przycisnął dłoń do krwawiących ran na boku i zrobił jeszcze kilka kroków w stronę cesarskiej łoży. Wody było już tylko do pół łydki. Trochę naśmiewał się sam z siebie za ten gest, ale uznał, że jego honor tego wymaga. Zatrzymał się i uniósł rękę w rzymskim pozdrowieniu.

— Ave, cesarze — wychrypiął do Wespazjana. — Chociaż ja nie umarłem.

Wespazjan pochylił się ku niemu.

— Jednak łatwo nie było — powiedział z ożywieniem. — Doceniam twój gest, Franciskusie.

— Czy mam się zwrócić do ciebie, czy do westalek? — spytał słabo Sanct' Germain.

— Do mnie. Sądzę, że odpokutowałeś za wszystko, co zrobiłeś. Wysoka była to cena, ale sądząc po tych bliznach, nie zdarzyło się to pierwszy raz. Byłbym jednak szczęśliwy, gdybyś na jakiś czas zniknął teraz z Rzymu. Na pewno będziesz potrzebował dłuższego

wypoczynku, żeby dojść do zdrowia. — Poklepał starszego syna po ramieniu. — Tytus ma miłą posiadłość w Egipcie. Na pewno ci się tam spodoba.

— Mógłbym pojechać z tobą — dodał szybko Tytus, uśmiechając się przy tym ostentacyjnie. Uśmiech był jednak przeznaczony dla Domicjana, nie dla Saint Germaina.

— Dziękuję, ale potrafię o siebie zadbać. — Sam nie wiedział, kiedy opadł na kolana. Słyszał, że cesarz mówił coś jeszcze, a tłum wiwatował, jednak świat wirował mu przed oczami. Oczy go piekły, obrazy były rozmazane. Ktoś, być może organizator igrzysk, podszedł do niego przez resztki wody i nałożył wieniec na jego mokre i zmatowiałe od krwi włosy. Wszystko to wydało mu się bardzo śmieszne. Oto stał przed cesarzem i osiemdziesięcioma tysiącami Rzymian całkiem nagi, jedynie z wieńcem laurowym na głowie. Wiedział, że jeszcze chwila, a roześmieje się głośno.

Organizator dał znak i chwilę później na ramionach Sanct' Germaina pojawiła się czerwona karakalla. Ucieszył się, że dotyk tkaniny nie jest bolesny. Ale tylko tyle. Świat wirował coraz szybciej.

— Przynieście mi buty — wymamrotał i zemdłał.

Wyjątki ze skargi złożonej przez Korneliusza Justusa Sylusza, skierowanej przeciwko jego żonie, Acji Oliwii Klemens.

Wprawdzie żaden mąż nie pragnie myśleć źle o swej żonie, musiałem zacząć traktować tę kobietę nieufnie i zaliczyć ją w poczet niejawnych wrogów. Widzieliście już raport sporządzony przez medyka, potwierdzający trzykrotną próbę otrucia. Zawsze działało się to po wieczorach spędzonych w towarzystwie mojej żony. Możliwe, że jakiś nieznany mój wróg wszedł z nią w porozumienie, może też została wykorzystana bez swojej wiedzy i to jej kucharka została wciągnięta w

spisek. Zdaję sobie sprawę, że to raczej mało prawdopodobne wersje zdarzeń, jednak biorę je pod uwagę, nie chcąc przyjmować z góry, że Acja Oliwia Klemens czuła się aż tak nieszczęśliwa albo że aż taka ambicja ją rozpieęła, żeby chcieć definitywnie się mnie pozbyć, zamiast wyrazić po prostu zgodę na rozwód. Nie wierzę, żeby tak szlachetna i wykształcona kobieta posunęła się do podobnego czynu.

Wśród dołączonych dokumentów znajduje się oświadczenie na temat seksualnych pragnień mojej żony, która gustowała w gladiatorach i innych brutalnych w obejściu mężczyznach i najwięcej przyjemności znajdowała w aktach o gwałtownym charakterze. Domyślałem się, że proceder ów trwał od chwili zawarcia naszego małżeństwa, ja jednak dowiedziałem się o nim dopiero po ponad pięciu latach. Zdarza się, że starszy mężczyzna nie jest dość sprawnym kochankiem dla młodej żony, i być może to było powodem jej zachowania, oczekiwała bowiem ode mnie często wywiązywania się z obowiązków małżeńskich. Nie wykluczam, iż zblądziła, ponieważ jej potrzeby były większe, niż nawet ja mogłem się domyślać, ponieważ zaś pochodzi ze szlachetnej rodziny, nie chciała okrywać mnie niestawą, szukając partnerów wśród wspólnych znajomych, zwróciła się zatem ku ludziom z całkiem innej sfery. Chciałbym myśleć, że właśnie tak było. Przypuszczam, że nikt nie pragnie widzieć swojej żony w objęciach innego, a rzymskie żony wiedzą o tym bardzo dobrze, co sprawia, że ich prowadzenie się może być powodem do dumy. Czy złe to o mnie świadczy, że wolałem myśleć o mojej żonie jak o prawdziwej Rzymiance? Owszem, rozważałem możliwość, że weźmie kochanka, zawsze jednak oczekiwałem, że będzie to ktoś jej godny, nie barbarzyńca traktujący ją w brutalny sposób i spełniający tym jej skryte marzenia.

Niektórzy z Was byli na tyle nieczuli, aby wspomnieć o egzekucji jej ojca i braci, i to prawda, że jej rodzina okryła się niestawą, jednak działało się to za panowania Nerona, kiedy sprzeciw wobec purpury nie był tak niegodnym czynem jak dzisiaj. Acja Oliwia Klemens mocno przeżyła

śmierć swoich bliskich, podobnie jak i wielu patrycjuszy, wstrząśniętych ich zdradą. Niemniej sugerować, że była dotknięta jakąś rodzinną skazą, która nie pozwalała jej na porządne prowadzenie się, to już isticie teatralny gest. Nie było w tej kobiecie nic, co wyjaśniałoby jej zdradziecką naturę, i nie mieszajmy do tego zmarłych.

Oświadczenie mojego byłego niewolnika bibliotecznego, Monostadesa, przekazuje to, czego się dowiedział o tajnych schadzkach mojej żony i cudzoziemca Rakoczego Sonet' Germaina Franciskusa. Zaczęły się one po tym, gdy przeprowadziła się do domu swego ojca, i jak ustalił Monostades, nie zdarzały się zbyt często. Moi niewolnicy pracujący w tamtym domu powiadali, że dziwnie się czasem zachowywała, nie podejrzewałem jednak, że powodem naszej separacji była właśnie owa znajomość. Dołączyłem też spisane po grecku oświadczenie pewnego armeńskiego uczonego imieniem Led Arasznur, który widział ich razem, aczkolwiek też nie wielokrotnie. Tym, którzy wiążą moją żonę z niewyjaśnionym do dzisiaj morderstwem popełnionym na osobie owego Ormianina, powiadam, że nie ma żadnych dowodów, żeby kiedykolwiek był jej kochankiem. Jeśli będziecie nalegać na poszukiwanie podobnych związków, poczuję się zmuszony do złożenia zdecydowanego protestu.

Wiele z tego, co zawierają dołączone dokumenty, byłoby wystarczającą podstawą do wniesienia o karę śmierci dla mojej żony. Nie chciałbym, żeby do tego doszło, ale nie zamierzam też sprzeciwiać się wymierzaniu sprawiedliwości zgodnie z literą prawa, prawo jest bowiem gwarantem siły imperium. Pozwólcie jednak, abym w razie gdy uznacie moją żonę za winną zarzucanych jej zbrodni, mógł zgłosić wniosek o pozwolenie jej na odejście z godnością, z oszczędzeniem jej publicznej egzekucji, kiedy to wszyscy obywatele miasta mogliby być świadkami jej cierpienia. Niech wymierzenie kary przebiegnie w spokoju, niejako z zachowaniem prywatności. Jako osoba najbardziej dotknięta jej czynami mam chyba prawo zwrócić się z taką prośbą.

To prawda, że jej ucieczka zdaje się ukazywać ją w szczególnie niekorzystnym świetle, mogą istnieć jednak okoliczności, które ten czyn do pewnego stopnia by wyjaśniały. Być może popadła w przygnębienie tak wielkie, że woląta odejść raczej, niż stawić czoło nieuniknionemu końcowi, z którego charakteru musiała zdawać sobie sprawę. Proszę Was zatem, abyście nie oceniali jej zbyt surowo. W zagubieniu ostatniego czasu nie wszystkie jej działania były zapewne racjonalne i nie da się z góry uznać ich za przyznanie się do winy. Wprawdzie trudno oczekiwać od Was, byście myśleli o niej dobrze, weźcie wszakże pod uwagę również jej problemy.

Z tego, co słyszałem, rozpowszechniała w umiarkowanym zakresie zdanie, że to ja zniszczyłem jej rodzinę. Ponieważ w oczywisty sposób darzy mnie nienawiścią, można poniekąd zrozumieć, że ogólnie nie ma o mnie dobrego zdania. Żywię nadzieję, że będziecie o tym pamiętać, słuchając jej zeznań, i będziecie świadomi, że to nie pragnienie wygłaszania kłamstw nią kieruje, ale ogólne nastawienie sprawiające, iż autentycznie zaczęła wierzyć w to, co na mój temat wymyśliła. Okażcie jej wówczas miłosierdzie. Wiele już wycierpiała przez niełaskę, którą otoczyła się jej rodzina, i przez własne skłonności, i wszystko to musiało odbić się na stanie jej umysłu. Miłosierdzie też jest rzymską cnotą, nie mniej ważną niż czystość moralna, i apetyję do Was, abyście mieli to na względzie podczas przesłuchania mojej żony.

Dokumenty jasno ukazują jej zamiary, ale nie zapominajcie, że dokumenty to nie wszystko. Nie będzie można w pełni sprawiedliwie osądzić jej czynów, jak długo sama nie przemówi w swoim imieniu. Zawsze mogą istnieć jeszcze okoliczności i czynniki, o których nic nie wiemy.

Pamiętajcie, że Acja Oliwia Klemens ma się za osobę nieszczęśliwą, doświadczoną przez los. Jaka kobieta, myśląc tak o sobie, byłaby zadowolona z życia, nawet życia w luksusie? Jest w tym podobna do

swojego ojca, który nie umiał poprzestać na roztrwonieniu fortuny. Ale tylko pod tym względem. Możecie być pewni, że porównanie nie rozciąga się na inne dziedziny życia, chociaż dzieci zawsze dziedziczą jakieś cechy rodziców.

Szczerze muszę przyznać, że nasze małżeństwo nie było szczęśliwe i że moja żona może mieć zapewne sporo racji, uważając, że to również moja wina.

Dla uniknięcia dalszego narastania wrogości między nami, ufam, że szybko podejmiecie decyzję w tej sprawie i że jakakolwiek ona będzie, zostanie bez zwłoki 'wprowadzona w życie. Niech cała ta godna pożałowania sprawa skończy się jak najszybciej. Po co przedłużającej cierpienia? Po co przysparzać jej większej niesławy niż ta, którą już na siebie ściągnęła?

Uniżenie zwracam się do Was z prośbą, abyście wysłuchali jej cierpliwie i z wyrozumiałością. Nie potępiajcie jej z góry. Gdy stanie przed Wami, pamiętajcie, że przemawiać będzie przez nią jej rozgoryczenie, nie brak szacunku wobec izby albo kogokolwiek z Was. Gdy będzie mnie oskarżać, niech powie, co leży jej na sercu. Niech ulży swemu cierpieniu, nie zaszkodzi mi przez to bardziej, niż czyniła to do tej pory.

Korneliusz Justus Syliusz

. 21 .

Saint Germain opuszczał swoją willę w otoczeniu zbrojnych i tak też wracał, tyle że obecnie towarzyszyło mu aż czterdziestu pretorianów, którzy stanowili jego eskortę honorową. Niewolnicy ustawili się wzdłuż drogi do domu, żeby przywitać swego pana.

Wieniec laurowy ciągle tkwił na jego głowie, ale krótkie kręcone włosy były już czyste i lśniące. Nadal nosił karakallę, którą otrzymał na arenie, pod nią miał sięgającą do kolan tunikę z rzadkiego, brokatowanego czarnego jedwabiu, na nogach zaś czerwone scytyjskie buty. Błady i zmęczony, z ironicznym uśmiechem na twarzy, zwrócił się do towarzyszących mu ludzi.

— Dziękuję, trybunie. To był dla mnie zaszczyt.

Trybun stanął prosto pod kolumnadą willi.

— Bardzo jesteś miły, panie — odpowiedział wojskowym tonem i rozkazał oddziałowi pozdrowić kierującego się do ogrodu gospodarza.

Rogierian czekał przy drzwiach północnego skrzydła.

— Miło widzieć cię z powrotem, panie — powiedział całkiem naturalnym tonem.

Sanct' Germain skinął mu głową na powitanie.

— Jak widzisz, nie jestem sam. Mamy coś gotowego, żeby ich poczęstować?

Zmieszany Rogierian zamrugął.

— Nie wiem. To były dziwne dni. Chyba ani wczoraj, ani dzisiaj nikt nie robił nic w kuchni. Ale jestem pewien, że starczy trochę ponad pół godziny, a kucharze coś przygotowują.

— Trochę ponad pół godziny? — spytał Sanct' Germain, unosząc brew. Wiedział, jakie zamieszanie wywołała to w kuchni. — Jeśli

zdołasz przekonać kucharzy, żeby to zrobili, zyskacie moją dozgonną wdzięczność. — Pokonał trzy niskie stopnie i wszedł do swojego królestwa, budynku wzniesionego na fundamentach wypełnionych jego ojczystą ziemią. Ledwie to zrobił, zmęczenie zaczęło z wolna ustępować.

— Tam, na arenie... — zaczął niezręcznie Rogerian. — Bardzo się martwiliśmy.

— Ja też... — odparł jak najłżej Sanct' Germain i wróciwszy na schody, zaprosił czterdziestu pretorianów: — Panowie, bądźcie moimi gośćmi. Niebawem podadzą wam coś do jedzenia, a tymczasem możecie obejrzeć moje stajnie i zagrody oraz klatki wokoło. Jestem pewien, że Raides chętnie was oprowadzi. — Skinął na Rogeriana. — Idź do stajni i powiedz, że to ja przysyłam tych żołnierzy — powiedział ciszej. — Niech odpowiadają na ich pytania, a gdyby żołnierze chcieli wypróbować konie, to też im pozwólcie. Wszystkie, oprócz moich osobistych.

Rogerian skinął głową i zniknął w ogrodzie. Sanct' Germain skinął pretorianom i zaprowadził ich do południowego skrzydła domu. Nie zabrał ich do błękitno-srebrnego pokoju, ale do największej jadalni.

— Pójdę teraz do kuchni, wydać dyspozycje w kwestii wina — powiedział trybunowi. — Trochę mnie nie było i część służby źle to zniosła.

— Z niewolnikami tak zawsze — zgodził się trybun, nie wyczuwając sarkazmu obecnego w głosie gospodarza.

W kuchni okazało się, że nie jest wcale tak źle.

—Jeśli jest jeszcze młoda wieprzowina, podajcie ją z cebulką i rodzynkami.' To będzie dziewięć potraw. Dacie radę przygotować coś jeszcze przez godzinę?

Kucharz poklepał się po brzuchu.

— Mogę zasugerować gęś z różną? To jako dziesiąte danie, a poza

tym owoce i pieczywo. Chyba wystarczy, nawet dla żołnierzy. Skoro rydwannicy nie narzekają, to żołnierze tym bardziej nie powinni — stwierdził szef kuchni i dostrzegł smutek na twarzy swego pana. — Jednak to są pretorianie, więc może będzie dobrze dodać im coś szczególnego. Pomyślę o tym, gdy już coś dostaną. Przygotuję dla nich zakończenie uczyty na słodko.

— Dziękuję — odparł Sanct' Germain świadom, że kucharz źle go zrozumiał. Nie chciał jednak tłumaczyć teraz temu życzliwemu człowiekowi, że bezwiednie przypomniał mu o Kosrozdzie i Tisztry, dwojgu rydwannikach, których śmierci jeszcze nie odżałował, oraz Aumtehoutepie, słudze, który towarzyszył mu przez ponad pięćset lat. Zmusił się do przybrania pogodnego wyrazu twarzy. — To niewybaczalne, że każę wam zrobić tak wiele w tak krótkim czasie, i zrozumiałbym, gdybyście podali wszystkim tylko placki. Bardzo jestem wdzięczny.

— To przyjemność gotować dla ciebie, panie — powiedział kucharz z promiennym uśmiechem, zapominając całkowicie, że Sanct' Germain nigdy nawet nie posmakował jego dań.

Pewien, że pretorianie będą mieli co jeść, wrócił przez ogród do prywatnego skrzydła. Spokój i promieniująca z tego miejsca moc działały na niego ożywczo. Dotarł do łoża, wąskiego i twardego legowiska stojącego nad skrzynią z jego rodzinną ziemią. Nie trudząc się zdejmowaniem ubrania, położył się, otulił ciasniej żołnierską peleryną i zapadł w sen.

Obudził się już dobrze po zmroku. Rana w boku bolała go pod bandażami, którymi medyk cyrkowy owinął go zaraz po zniesieniu z areny. Poruszył się, sprawdzając swój stan, i wstał powoli. Czuł się trochę lepiej, co było dobrym znakiem. Gdyby mógł zobaczyć swoją twarz w lustrze, byłby zadowolony ze zniknięcia głębokich, wywołanych wyczerpaniem bruzd.

W jego gabinecie płonęły jasno trzy lampy i Sanct' Germain skierował się ku ich blaskowi.

Rogierian siedział na jednym z miękkich krzeseł, a na blacie przed nim piętrzył się stos welinów. Uniósł głowę, usłyszawszy stukanie butów swego pana.

— To chyba już raczej noc niż wieczór — powiedział Sanct' Germain. — Co czytasz?

— Prawo rzymskie — odparł Rogierian, kładąc dłoń na gęsto zapisanych kartach.

— O zobowiązaniach wobec kontraktowych? — spytał z uprzejmości gospodarz.

— O postępowaniu rozwodowym i niewierności małżeńskiej. — Rogierian spojrzał poważnie na Sanct' Germaina. — Wczoraj wpłynął pozew przeciwko Acji Oliwii Klemens. Jej mąż dołączył do niego wszystkie swoje „dowody”. Utrzymuje, że próbowała go otruć.

— To śmieszne — powiedział z irytacją Sanct' Germain. — Naprawdę wierzy, że senat da temu posłuch?

— Ma raport medyka potwierdzający obecność trucizny w organizmie.

— Na pewno nie dostał jej od Oliwii. — Sanct' Germain założył ręce na piersi i rana z boku zaraz się odezwała. Zbladł trochę, ale nawet się nie skrzywił.

— Nie. Ale senat mu zapewne uwierzy. — Rogierian przełożył kolejny arkusz. — Nie wiem, czy uda się jej przekonać zgromadzenie, że Justus kłamie.

— Zęby ją przesłuchać, najpierw musieliby ją znaleźć. — Z podsłuchanych plotek wiedział, że połowa Rzymu szuka pilnie Oliwii.

— Już ją mają. Od wczoraj — powiedział Rogierian, przyglądając się swojemu panu.

— Ale jak ją znaleźli? To było bardzo bezpieczne schronienie.

— Sama pozwoliła się znaleźć.

Spojrzał z wyrzutem na Rogeriana.

— Jak to? Nie mogłeś jej powstrzymać?

— Powstrzymać Ację Oliwię Klemens, gdy zdecyduje się coś zrobić?

— spytał Rogerian. — Powiedziałem jej, że przetrwałes i że niebawem opuścicie spokojnie Rzym. Ona jednak odmówiła, stwierdziwszy, że przy takich zarzutach nigdzie nie będzie bezpieczna, i zamierza się tym zająć. Jej proces ma się zacząć za trzy dni, wyrok zapadnie dwa dni później. Cesarzowi zależy na szybkim zakończeniu sprawy.

— Wiesz, gdzie ją trzymają? Czy jest jakiś sposób, aby wyciągnąć ją, nim stanie przed senatem?

— Nie będzie chciała uciekać. Uprzedziła mnie, że wpadniesz na taki pomysł, i dodała, że odmówi ucieczki, nim to załatwi. — Rogerian westchnął. — Przekonywałem, że mężowi zależy na skazaniu jej za próbę morderstwa, była jednak przekonana, że jeśli stanie przed senatem i opowie o wszystkich jego niegodziwościach, jak wydanie jej ojca i braci i molestowanie jej przez całe lata, dokona pewnej zemsty. — Spojrzał na swoje smukłe dłonie. — Niewiele wiem o tym, co ją spotkało, ale rozumiem, że ma się za co mścić.

— To się nie uda — stwierdził z przekonaniem Sanct' Germain. — Nie ma najmniejszej szansy, żeby się udało. Justus nie jest taki głupi. Nie pozwoli się Oliwii przelicytować. Tytus powiedział mi, że Sylusz chce wżenić się do rodu Flawiuszów, a to znaczy, że wyrok w tym procesie już zapadł. — Spojrzał na ścianę, gdzie wisiał cenny obraz złotego Buddy, jednak samego malunku nie dostrzegął. — Wespazjan chce szybkiego zakończenia sprawy? Popiera zatem Justusa. Senat zrobi, co cesarz mu powie.

— Skąd ta pewność? — spytał Rogerian, znacznie mniej spokojny od swego pana. — Senat nie jest zabawką cesarza.

— Niektórzy tak twierdzą — zgodził się Sanct' Germain. — Tyle że

dziwnym trafem decyzje senatu zawsze są zbieżne z oczekiwaniami Wespazjana. — Zaciśnął usta i przeszedł przez pokój. — Nie pozwolę im jej zabić. Nie chcę jej stracić.

— Ale co można zrobić? — spytał po chwili Rogerian. — Skoro jest tak zdeterminowana, a jej mąż zrobi wszystko, żeby ją skazano... — Odwrócił welin na drugą stronę. — Egzekucja jest nieunikniona.

Sanct' Germain przetarł twarz dłońmi. Żałował, że nie ma czasu, by bardziej wypocząć.

— Jaki rodzaj egzekucji wchodzi w grę?

Rogerian przejrzał kilka kart i powiedział, co znalazł.

— Jest. Zona może poprosić o zgodę na śmierć z własnej ręki. Potrzebni są tylko świadkowie. Za zgodą senatu może zostać ścięta za dzieciobójstwo. Może zostać pogrzebana żywcem. Może zostać zachłostana na śmierć, gdyby udało się jej zabić męża. Są jeszcze inne możliwości, ale te są najważniejsze.

‘ — Ścięcie nie wchodzi w grę — powiedział ponurym głosem Sanct' Germain, obawiając się, że Oliwia umrze prawdziwą śmiercią i zniknie z jego życia.— Przy chłóście może przeżyć, jeśli któryś z ciężarków nie złamie kręgosłupa. Jeśli zginie z własnej ręki, przy świadkach czy bez nich, pewnie zdołamy jej pomóc. Pogrzebanie żywcem to niepewna sprawa. Nie umarłaby. Żyłaby dalej, coraz słabsza w ciemności. — Zamilkł. To pasowałoby do Justusa, aby udreńczyć ją do granic. Zadrżał. Oliwia, zamurowana w fundamentach albo w filarze mostu? Słyszał, że traktowano tak czasem kryminalistów. Co się z nią stanie, jeśli obudzi się w miejscu, którego nie zdoła opuścić? Wyobraźnia podsuwała mu coraz straszniejsze obrazy Oliwii z palcami poranionymi od poszukiwania luźnych cegieł, drżącej w kącie grobowca, śpiewającej coś w malignie, oszalałej, zbierającej siły, aby roztrzaskać sobie czaszkę o mur...

— Panie... — odezwał się Rogerian i Sanct' Germain ocknął się z

zamyślenia.

— Wybacz — powiedział, przyciągając sobie krzesło. — Nie doszedłem jeszcze do siebie. Chyba trzeba poszukać sposobu, żeby dotrzeć do niej i porozmawiać chwilę. Jeśli nie jest...

Rogierian ułożył karty w zgrabny stos przy swoim łokciu.

— Z tego, co wiem, mąż zabronił jej przyjmowania gości, jak długo nie stawi się przed senatem. Obawia się, że ktoś mógłby jej zrobić krzywdę — dodał Rogierian pogardliwym tonem. — Bardzo się stara, aby wszystko przebiegało po jego myśli. Strażników dostarczył Domicjan. — Zawahał się, nie wiedząc, jak przekazać resztę tego, co miał do powiedzenia.

— Nie urazisz mnie — domyślił się Sanct' Germain. — Co jeszcze kazał?

— Jesteś wymieniony w rozkazie z imienia. Każda podjęta przez ciebie próba kontaktu z nią będzie traktowana jako pełne potwierdzenie słów jej męża.

Saint Germain zacisnął zęby.

— Rozumiem — mruknął, kręcąc się na krześle. — Zawsze był przebiegły, ale nie sądziłem... — Zbeształ się w duchu. Rzeczywiście nie zastanowił się nad wszystkim. Działał zbyt pośpiesznie i teraz Oliwia za to zapłaci. Nie pozwolił jednak, aby czarne myśli wzięły górę. — Rogierianie, ile można się dowiedzieć od niewolników senatorów?

— To zależy od niewolnika, oczywiście — odpowiedział Rogierian po chwili zastanowienia. — Są wśród nich i wiarygodni, którzy mogą coś powiedzieć. Wiedzą, że jestem kontraktowy, i mogą nie chcieć ze mną o tym rozmawiać. Są jednak jeszcze inni, którzy mnie nie znają, i może coś zdradzą, jeśli postawię im kubek wina. Będę musiał uważać.

— Cenię twój osąd. Zrób, jak uważasz, że będzie najlepiej — powiedział Sanct' Germain.

— Przebioreę się. Zrobiłem to już, żeby zobaczyć się z Oliwią. Może w ten sposób uda mi się do niej dostać — zastanawiał się głośno. — Dodałem sobie garb, nakleiłem trochę skrawków skóry na twarz i po paru jeszcze dodatkach wziąłem skrzynkę owoców i poszedłem sprzedawać je przed domem Oliwii. Wyszła wtedy i mogliśmy porozmawiać. Powtórzę to. Jej strażnicy już mnie znają, a ja powiem, że chcę złożyć wyrazy uszanowania nieszczęsnej pani, która dała mi tyle pieniędzy za owoce. — Zaczął nabierać przekonania, że to może się udać. Spojrzał na swego pana i dostrzegł w jego oczach podziw.

— Moje gratulacje — powiedział szczerze Sanct' Germain. — To wystarczy. Mamy czas, żeby dopracować ten plan. Gdy jeszcze dowiemy się, co zamierzają z nią zrobić, uczynimy wszystko, żeby oszczędzić jej cierpień. Wespazjan oczekuje, że wyjadę jak najszybciej. Gdybym mógł zostać, Justus pożałowałby gorzko każdej minuty, kiedy się nad nią znęcał.

— Może później... — zaczął Rogerian.

— Daj spokój. Gdybyś żył tak długo jak ja, wiedziałbyś, że nie należy się przywiązywać do podobnych myśli. Ludzie w rodzaju Justusa potrafią wiele przetrwać i wygrywają, kiedy tylko mogą, zostawiając za sobą szlak ludzkich wraków, ludzi, których zniszczyli dla swego powodzenia. Zazdrośni zważ ich mądrymi, ambitni wartościowymi. Justus ma teraz jeden cel i dąży do niego, nie oglądając się na nic i na nikogo. Chce połączyć się z rodem Flawiuszów. Tęskni za purpurą i jeśli jej nie zdobędzie, to nie dlatego, że zaniedba jakąś sposobność. Znałem takich ludzi w Egipcie, doprowadzili kraj do ruiny. Byli też w Atenach, w Damaszku, w Eridu. — Wstał powoli i spojrzał z góry na Rogeriana. — To może być ryzykowne.

— Gdy brałeś mnie spod cyrku Flawiusza, to też było ryzykowne. Ale zrobiłeś to. — Odpowiedział śmiało na spojrzenie Sanct'

Germaina.

Jego pan skapitulował.

— Dobrze, spróbuj zatem. — Zaczął chodzić po pokoju. — Gdy tylko będzie bezpieczna, przyjdzie nam szybko wyjechać. Będziemy potrzebowali rydwanów, skrzyń z właściwą ziemią, ubrań, pieniędzy... — Przeczesał palcami włosy. — Trzeba będzie zadbać o zmiany koni po drodze do portu, który wybierzemy. Sprawdź zapisy i znajdź statek, na którym moglibyśmy szybko odpłynąć. — Po raz pierwszy od chwili, gdy się ocknął, naprawdę się uśmiechnął. — Wprawdzie podróż morską bywa dla nas dość przykra, ale da się wytrzymać. Większość drogi prześpiemy.

— Zajmę się tym — powiedział z rezerwą Rogerian.

— Trzeba też znaleźć kogoś, kto przejmie twoje obowiązki tutaj. Nie wiem, kogo poprosić. — Rany znowu zaczęły go boleć i dotknął bandaży przez tunikę.

— Chcesz, ‘abym pojechał w wami? — spytał Rogerian takim tonem, jakby obawiał się odpowiedzi.

— Oczywiście — stwierdził zdumiony Saint Germain. — Z czasem przekonasz się, że mam raczej ustalone nawyki i nie zwykłem zmieniać moich osobistych niewolników co kilka lat.

Powiedziałeś wcześniej, że chciałbyś przy mnie zostać. Myślałem, czy raczej miałem nadzieję, że to już ustalone? — dodał, starając się nie zdradzić ze swoimi oczekiwaniami.

Rogierian wstał energicznie.

— Przypilnuję, aby wszystko było gotowe dla trzech osób — powiedział z godnością i zaczął pakować weliny do pokrowca.

List od chrześcijańskiego niewolnika Jadeusza do jego brata w wierze i wyzwolenca, urzędnika Lizandra:

Do mego brata w Chrystusie, Lizandra, z pozdrowieniami.

Modłę się, żeby ten list dotarł do Ciebie bezpiecznie, ponieważ dotyczy sprawy o wielkiej istotności i polegam na Tobie, że zdołasz tak sprawę w nim poruszoną przeprowadzić, aby sprawiedliwości ziemskiej stało się zadość, bo chociaż moje nadzieje związane są ze sprawiedliwością niebieską, to i na tym świecie można coś czasem osiągnąć, a sam już się przekonałem, że jeśli nie rani się tym Jezusa, warto w takich chwilach zwrócić się do surowych trybunałów rzymskich.

Jest tu nowy niewolnik, nie Żyd i nie chrześcijanin, który przybył w łańcuchach pewnego późnego wieczoru. Nie jest z nim najlepiej. Ci, którzy go pojмали, obeszli się z nim bardzo brutalnie. Zmiażdżono mu prawą dłoń, obcięto jądra i język. Wstyd mi powiedzieć, ale z początku drwiłem z niego wraz z innymi niewolnikami. Usłyszał jednak pewnego wieczoru, jak czytałem nasze teksty, ipodszedł do mnie i gestami dał mi do zrozumienia, że chce mi przekazać coś ważnego. Myślałem, że jest Grekiem (co zresztą okazało się prawdą, jednak podszedł do mnie, ponieważ odkrył, że jestem piśmienny), i odezwałem się do niego w tym języku, na co wydał kilka bełkotliwych dźwięków i przesunął palcom po ziemi. Niech Pan mi wybaczy, ale z początku chciałem przegonić tego kalekę. On jednak pociągnął mnie za rękę, tak że spojrzałem na ziemię, i ku memu zdumieniu ujrzałem nakreślone na niej niezgrabnie greckie litery.

Niewolnik ów nazywa się Monostades i był własnością senatora Korneliusza Justusa Syliusza. Przekazał mi, że został okaleczany i wysłany do pracy, ponieważ wcześniej pomagał swemu panu sfabrykować dowody mające świadczyć o zbrodniczej działalności jego żony, która miała go rzekomo otruć, tak że był umierający. W rzeczywistości sam zażył tę truciznę zaraz po tym, gdy ją odwiedził, aby wyglądało, że to ma go skrzywdziła. Biedna kobieta była też przez niego wykorzystywana w ten sposób, że zmuszał ją do przyjmowania najbardziej odrażających mężczyzn, a sam czerpał przyjemność z oglądania, jak była gwałcona.

Sądzi też, że to jego pan wydał ojca i braci swojej żony władzom, w czasach gdy Neron był cesarzem.

Wszystko to brzmi bardzo niepokojąco i Monostades uprosił mnie, abym spisał to, co m palcem kreślił na ziemi, i spróbował przekazać te informacje odpowiednim władzom.

Wiem, że nie znamy się blisko, ale nasza miłość do Pana to dość, jak sądzę, abyśmy byli w stanie działać zgodnie, gdy sytuacja tego wymaga. Spisałem wszystko, co mi przekazał, na tylnych stronach nauk naszej wiary. Ty, będąc urzędnikiem, masz dostęp do senatu. Może mógłbyś przedstawić ten list i przekład komuś, kto ma jakąś władzę? Proszę, w imię Chrystusa Miłosiernego, zrób to dla spokoju duszy Monostadesa. Teraz jest chory i może wkrótce umrzeć. Zanim opuści ten straszny świat, chciałby przede wszystkim wyjawić, jak bardzo jego pan skrzywdził swoją żonę. Przekazał też w chwili rozpacz, że chciałby strącić swego pana niżej jeszcze, niż sam się obecnie znajduje, jednak był wówczas bardzo rozgoryczony. Posłuchał mnie, gdy zaczęłam mówić o tym, że w Dniu Sądu wszyscy będą równi wobec Boga i że osądzone zostanie wszystko, co zrobiliśmy i czego nie zrobiliśmy, i każdy z nas odpowie za swoje życie.

Monostades przysiągł na Boga Żywego i na rzymskich bogów, że wszystko, co mi przekazał, to prawda i tylko prawda, której w żadnym momencie nie ubarwił ani nie przeinaczył. Gotów jest przekazać to samo w każdym innym czasie i miejscu, gdyby było to konieczne.

Zastanów się nad jego losem, Lizandrze, i pomóż mu, aby wielkie zło wyrządzone niewinnej kobiecie nie pozostało bezkarne. Wesprzyjgo w próbie ujawnienia światu zbrodni tego człowieka wobec niej i innych jeszcze ludzi. Jeśli tacy właśnie, jak mąż onej kobiety, będą mieli władzę na ziemi, Królestwo Chrystusa nieprędko do nas zawita. Jeśli to, o co Cię proszę, nie jest zgodne z naukami naszego Pana, to nie wiem, co mogłoby być.

Jak posuwa się nasza praca, widzi każdy, komu chce się spojrzeć, ale

wbrew plotkom krążącym po Rzymie powiem ci, że cyrk Flawiusza nie zostanie ukończony ani w tym, ani w przyszłym, ani nawet zaprzyszłym roku. Już teraz jest to wielka budowla, a urośnie jeszcze większa. Żadne zwierzę robocze prócz człowieka nie jest w stanie wytrzymać długo na tej budowie.

Musimy modlić się za chrześcijanina, który podążył za zgubnymi naukami Pawła, bo odszedł on już z tego świata, przygnieciony przez marmurową kolumnę, która przewróciła się na budowie. Bardzo cierpiał, ale zachował się godnie. Ukląkłem przy nim i modliłem się, zostając obok, aż jego dusza wróciła do Boga i Chrystusa. Przykro było patrzeć na to, jak surowe życie prowadził, był jednak silny w wierze i taki pozostał. Należał do bractwa, które spotyka się w Oberży Rybaka w północnej części miasta. Spełniłbyś dobry uczynek, przekazując im wiadomość o jego śmierci, tak aby mogli pomodlić się o radość jego duszy.

Polegam na Tobie, że przedstawiś załączone oświadczenie komuś, kto zanieś je do senatu, i dziękuję Tobie i Chrystusowi, że mogę pomóc w naprawianiu wielkiego zła. Modłę się za Was wszystkich, wypatrując dnia, gdy Chrystus powoła mnie do siebie, kończąc moją ziemską wędrówkę. Nie ma słodszej obietnicy niż nadzieja na zmartwychwstanie i życie wieczne. Pomyśl o miłości Chrystusa i wiecznym życiu u boku tych, którzy Go przyjęli, pomyśl o Jego Świętej Krwi, za nas rozlanej, o tym, jak uczył nas kochać się nawzajem tak mocno, jak On nas kochał.

W imię Chrystusa, błogosławię Cię za wszystko, co zrobisz dla Monostadesa, który będzie wychwalał Ciebie w ów Dzień, który nadejdzie kiedyś i który zaraz rozpoznamy.

Na Rybę, Krzyż i Gołębicę

Jadeusz

. 22 .

Pomiędzy Tybrem a via Appia ciągnął się długi rząd grobów, którego początek wypadał pod murami miejskimi, koniec zaś przy szerokim zakolu rzeki, jakieś dwa tysiące kroków na południe. Znajdowały się tu mauzolea wielkie niczym małe świątynie, niskie nagrobki z kamienia, wieże z blankami, jakby zmarli oczekiwali, że będą musieli bronić się przed żywymi, grobowce w kształcie piramid, skrzynek, uli i cylindrów.

Księżyc świecił jasno i do pełni zostały tylko cztery dni, niebem ciągnęły rozjaśnione jego blaskiem chmury. Była piękna noc, a że Rzymianie unikali pozostawiania między grobami po zachodzie słońca, bojąc się duchów i widm, na cmentarzu było także cicho.

Sanct' Germain jechał via Appia na swoim niebieskawym dereszku i wpatrywał się uważnie w noc. Wśród tysięcy grobów szukał tego jednego, w którym czekała na niego Oliwia.

Trzy dni wcześniej została zamurowana żywcem na rozkaz senatu, a przy jej grobowcu postawiono na warcie dwóch żołnierzy. Ich służba kończyła się o zachodzie słońca i nikt nie powinien przeszkodzić Sanct' Germainowi, który nie chciał czekać już dłużej. Trzy dni to było dość w podobnym miejscu. Sam wiedział, jak można się wtedy czuć, i był pewien, że Oliwia jest u kresu wytrzymałości.

Ród Syliuszów miał tu trzy grobowce, z których dwa były wielkie i dostojne. Kryły urny z prochami najbardziej dostojnych przedstawicieli rodziny, należących do osiemnastu pokoleń, począwszy od skromnego trybuna z okresu republiki, skończywszy na wysoko postawionych członkach świty boskiego Juliusza i Gajusza Syliuszu, który okazał się na tyle niemądry, aby pokochać żonę

Klaudiusza, Messalinę.

Za tymi dwoma znajdowało się trzecie mauzoleum, skromniejszy znacznie kamienny prostopadłocian z nazwiskiem Syliusza wrytym nad wejściem, które blokował świeży, ceglany mur. Jeszcze cztery dni wcześniej znajdowały się tutaj żelazne drzwi. W tym właśnie miejscu chowano mniej dostojnych członków rodu, skazując ich na zapomnienie ze strony wielkich tego świata. Na murze brakło pochwalnych wierszy, nikt nie kładł na progu kwiatów ani owoców.

Sanct' Germain zsiadł z konia i zaprowadził go za misterny grobowiec rodu Marko i tam go przywiązał. Wziął przyczepiony do siodła łom. Chciał zabrać ze sobą również młot, ale taki zestaw narzędzi mógłby wzbudzić podejrzenia straży. Z łomem zawsze mógł powiedzieć, że jedzie ustawić na drodze rydwan, który wpadł do rowu. Obecność młota stwarzałaby inne całkiem możliwości.

Trawa rosła tu wysoko, z wyjątkiem miejsc wydeptanych przez strażników. Wkoło grobowca było zimno, a sam budynek jakby wiedział o swej szpetocie, krył się bowiem w cieniach innych, znacznie wystawniejszych mauzoleów. Saint Germain dotknął świeżych cegieł, badając zaprawę w nadziei, że może ciągle jeszcze będzie na tyle wilgotna, że da się usunąć bez wielkiego wysiłku. Rzymscy robotnicy dodawali do zaprawy całe jajka i otrzymywali dzięki temu produkt naprawdę trwały, jeden z najlepszych, jaki Saint Germain kiedykolwiek spotkał. Chciał zawołać Oliwię, ale nie usłyszałaby go, za to niosący daleko głos mógłby tu ściągnąć żołnierzy. Niedaleko wznosiło się więzienie dla niewolników i widoczne co jakiś czas smugi światła podpowiadały, że straż nie śpią.

Sięgnął pod tunikę i rozplątał spowijające go bandaże. Przy okazji przesunął palcami po miejscu niedawnego zranienia, gdzie zostało kilka wyraźnych zagłębień. Miały pozostać mu już na zawsze. Nie blizny, ale właśnie zagłębienia.

Bandaże były z gęsto tkanego płótna, mocnego i dość grubego, aby wytrzymać mało delikatne traktowanie. Sanct' Germain pochylił się i zerwał kępę trawy, którą przywiązał bandażem do jednego końca łożu. To miało przytłumić odgłosy uderzeń. Postukał w cegły i rzeczywiście nie było to głośniejsze niż tętent konia biegnącego po piasku. Trochę podbudowany zaczął systematycznie sprawdzać cegły, poczynając od najwyższych położonych. Żadna nie była obluźniona, murarze dobrze wykonali swą robotę. W zasadzie nie było się czemu dziwić, ale i tak należało się przekonać.

Rogierian czekał w zajeździe siedem tysięcy kroków na południe. Razem z nim czekał rydwan podróżny z czwórką silnych i zgranych koni. Na trasie do Terraciny czekały na nich konie do wymiany, w samym porcie zaś stał z kolei jego statek, *Koziorożec*, mający płynąć na Krete, do Efezu i Bizancjum.

Sanct' Germain wybrał jedną cegłę i zaczął pracę, cierpliwie skrobiąc i obstukując, obstukując i skrobiąc, nie zwracając przy tym uwagi na zbyt szybko, jego zdaniem, przesuwaną się po niebie księżyc.

Chmury naszyły gęściej, zasłaniając niebo. Było za wcześnie na deszcz, ale możliwe, że jesień przyjdzie prędko tego roku, pomyślał, przerwawszy na chwilę pracę. Sprawdził, czy metal nie przebił się przez płótno i trawę.

Chwilę później usłyszał zbliżające się konie i schował się w cieniu przy grobowcu. Znieruchomiał tam, wpatrując się czujnie w ciemność.

Odgłos kopyt stawał się coraz bliższy i ostatecznie w polu widzenia pojawiło się trzech jeźdźców, z których jeden trzymał latarnię. Jej blask ukazywał kolory stosowane przez żołnierzy. Mieli ze sobą rzymskiego orła osadzonego na mosiężnym pręcie, co znamionowało cesarskich posłańców.

Minęli już prawie grobowce Syliuszów, gdy koń Sanct' Germaina zarżał nagle.

Żołnierze zatrzymali się, a jeden z nich podjechał bliżej.

— Nie przejmuj się. To pewnie jakaś parka. Lubią takie zaciszne miejsca — zawołał ten z latarnią.

— Może ktoś chce przechwycić wiadomość. Te grobowce należą do Syliuszów — dodał znajdujący się najbliżej.

— Chyba nie sądzisz, że ktoś czekałby po nocy akurat przy grobie jego żony? — zakpił trzeci. — Gdyby chciał nas zatrzymać, nie pozwoliłby, żeby jego koń ostrzegł nas rżeniem.

Pierwszy z nich podjechał jeszcze bliżej miejsca, gdzie ukrywał się Sanct' Germain.

— Jeśli chcesz nas zaatakować, uczyn to teraz! — zawołał żołnierz.

Sanct' Germain nawet nie drgnął.

— Większą część dnia spędziłem dzisiaj w siodle, Brutusie. Jestem zmęczony, obolały i od wschodu słońca prawie nic nie jadłem — odezwał się ten z latarnią. — Jedźmy.

Brutus wsunął się między dwa duże grobowce i spojrzał na trzeci.

— Wygląda w porządku — powiedział podejrzliwie.

— Gdy wrócimy do koszar, zameldujesz o tym trybunowi i wyśle oddział, który sprawdzi teren. Jeśli uważasz oczywiście, że warto i że ktoś naprawdę narusza spokój cmentarza — dodał trzeci z żołnierzy. — Na cycki Wenus, ale jestem zmęczony.

— Sądzicie, że ona jeszcze żyje? — spytał jeździec z latarnią.

— Po trzech dniach? Bez wody, jedzenia i powietrza? Nie ma szans. Na pewno nie żyje.

Brutus zawrócił konia.

— Ruszajmy. Ale ktoś powinien zajrzeć tu przed świtem. Może znowu Syliusz próbuje nas oszukać...

— Powiesz o tym trybunowi, Brutusie — jęknął jego towarzysz. —

Jedziemy.

— Dobrze. — Jeździec dołączył do grupy na drodze. — Lepiej, żeby trybun wysłał oddział jeszcze przed świtem, inaczej może już niczego nie znaleźć. — Skłonił konia do biegu i cała trójka odjechała w kierunku murów Rzymu.

Saint Germain tkwił oparty o mur grobowca. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Oczekiwał, że będzie miał więcej czasu, teraz obawiał się jednak, że Brutus rzeczywiście sprowadzi tu patrol jeszcze przed pierwszym brzaskiem. Z ponurą miną uniósł łom i wziął się ponownie do pracy.

Pierwszą cegłę zdołał obluzować dopiero ponad godzinę później. Wpadła z hałasem do wnętrza grobowca. Saint Germain przysunął zaraz usta do otworu.

— Oliwio! — Coś zaszeleściło w środku i przez chwilę Sanct' Germain obawiał się, że jego ukochana została dodatkowo zakuta w łańcuchy i nie będzie mogła zbliżyć się do wejścia. — Oliwio! — zawołał trochę głośniej.

Tym razem odpowiedziała mu cisza, w której rozległo się kilka niepewnych kroków.

— Sanct' Germain? — spytała Oliwia, jakby obawiała się odpowiedzi.

— Tak! Nic ci nie jest? — W tych okolicznościach było to niemądre pytanie.

— Chyba nie. Wczoraj... czy to było wczoraj? Czułam się słabo. Chyba zemdlałam albo miałam zwidy, ale teraz jest już dobrze. Wszystko ze mną w porządku — powtórzyła głośniej.

— Świetnie. — Miał dość miejsca, aby wsunąć dłoń w otwór i poczuć po drugiej stronie jej palce. Były mocne i jak najbardziej żywe. — Posłuchaj mnie, Oliwio — powiedział, wycofawszy rękę. — Jest bardzo późno, a o pierwszym brzasku zjawią się tu żołnierze. Musimy

się pospieszyć albo zostaniemy przyłapani. — Przypomniał sobie, że jeden z żołnierzy mówił coś o Syliuszu i jego oszustwach. Zastanowił się, co też mogło to znaczyć, ale zaraz skupił się na tym, co było w tej chwili ważniejsze. — Nie możemy robić za dużo hałasu. Jak tylko otwór będzie dość duży, wdrapiasz się na górę i wszystko pójdzie dobrze. Teraz wsunę tam łom i chcę abyś napała nim na cegły ze swojej strony, podczas gdy zrobię to samo z mojej. Powiem ci, kiedy pchać. — Mówiąc to, ostrożnie wsunął żelazo w otwór. — Czujesz go?

Poczuł drgnienie żelaza.

— Tak — odpowiedziała pewnym głosem.

— Musimy zachować ciszę — przypomniał jej, ustawiając łom w dobrej pozycji.

— Pamiętam — wyszeptała.

Gdy pierwszy raz dał komendę, nic się nie wydarzyło. Metal zgrzytał tylko, ocierając się o cegły, ale nic ponadto.

— Co teraz? — spytała Oliwia, nie poddając się rozczarowaniu.

— Spróbujemy raz jeszcze — poinformował ją Saint Germain. Zmienił trochę ustawienie łomu. — Dobrze. Teraz! — Napał z dołu na żelazo z całej siły i tym razem cegły poddały się z trzaskiem. — Świetnie! — zawołał szeptem. — Bardzo dobrze. Oliwio, czy trzymasz łom za sam koniec?

— Nie. A powinnam?

— Tak. I zawieś się na nim całym ciężarem. — Starannie umieścił go w nowym miejscu. — Teraz!

Kolejne dwie cegły pękły i Sanct* Germain poczuł przyływ nadziei.

— Jedna chyba się poluzowała — zawołała Oliwia z grobu. — Po twojej prawej. Zaprawa mi się tu sypie — dodała bardzo z siebie zadowolona.

— I dobrze. — Tym razem stanął trochę inaczej, przez co mógł

silniej naprzeć na łom. Jeszcze dwie cegły się obluzowały. — Oliwio! — zawołał cicho. — Teraz przesunę łom. Wiem, że niewygodnie będzie ci go złapać, ale postaraj się. Jeśli tego nie zrobię, cegły mogą wpaść do środka, zamiast wylądować na zewnątrz. Nie chcę, żeby cię zraniły.

— Tak jak teraz jest łatwiej... — zaczęła.

— Ale po nowemu będę miał więcej miejsca — stwierdził, ucinając jej protesty. — Zrób, co będziesz mogła. — Teraz jego koniec żelaza znajdował się na dole i mógł naprzeć na niego całym swoim ciężarem. Metal jęknął, jakby z trudem znosił tę torturę.

— Znowu jest kilka luźnych cegieł — zawołała Oliwia dla zachęty. — Zaprawa się kruszy.

Saint Germain zdwoił wysiłek z takim skutkiem, że tynk się posypał, a łom zaczął się wyginać. Nie oznaczało to jednak końca pracy.

O zachodzie księżyca zerwał się lekki wiatr, pierwsza zapowiedź świtu. Niebawem zjawią się tu żołnierze, pomyślał Saint Germain, gotowi sprawdzać, co tak zaniepokoiło posłańca Brutusa. W razie złapania oboje trafiliby do więzienia. Jedyne, co mógł zrobić, to jeszcze bardziej natężyć mięśnie. Łom znów się wygiął.

— Jak tam cegły? — spytał lekko zniechęcony.

— Reszta trzyma — odparła Oliwia smutnym głosem.

— Obróć łom, tak aby wgięta część była z drugiej strony. — To musiała być ostatnia próba. Dłużej nie mógł już tu zostać. Musiał ją wyciągnąć i już. Chwytał łom w obie dłonie i przycisnął go, jak mógł najsilniej.

Coś trzasnęło, jakby burza przetaczała się w dalszej okolicy, i wkoło niego posypały się cegły. Jedna uderzyła go nawet w ramię. Cała górna część muru blokującego wejście po prostu się rozsypała.

Saint Germain czym prędzej sięgnął w głąb ciemnego otworu.

— Pospiesz się!

Z dali dobiegał już śpiew pierwszych ptaków i trawy szeleściły głośniejsze, gdy wszelka nocna zwierzyna wracała do swych nor i legowisk. Od strony więzienia dały się słyszeć trąbki, co znaczyło, że zjawiała się poranna zmiana warty. Niebawem via Appia miała wypełnić się ludźmi zdążającymi do Rzymu na targ.

— Tu jest strasznie wysoko — jęknęła Oliwia. — Nie wiem, czy zdo...

— Wspinaj się! — rzucił jej tonem rozkazu. Wyciągnął do niej rękę i chwilę później złapał jej dłonie.

Chociaż jej pełne wysiłku wyjście nie mogła trwać dłużej niż kwadrans, Saint Germainowi ciągnęły się te chwile niczym godziny. Oto było zwieńczenie tego, na co czekał bardzo długo.

Oliwia była podrapana, jej strój pogrzebowy okazał się brudny, a włosy wisiały wkoło twarzy w strąkach. Gdy tylko znalazła się po drugiej stronie, Saint Germain podstawił rękę i chwycił ją, gdy skoczyła.

Obejmowali się długo i czule. Przytulał ją, dopóki nie przestała się trząść.

— Myślałam już, że nie przyjdiesz — powiedziała ze wstydem.

— Co? Chyba nie myślałaś, że cię zostawię? — Potrząsnął nią lekko, po przyjacielsku. — Naprawdę mogłaś tak pomyśleć? Tyle dla mnie znaczysz...

— Wiem — odparła, kładąc mu dłonie na ramionach. — Ale gdy nie otrzymałam po procesie żadnej wiadomości od ciebie...

— Żadnej? — powtórzył z niedowierzaniem. — Rogerian zostawił dla ciebie kosz owoców. Na dnie była mała karteczka z wiadomością. Byłem pewien...

— Nie dostałam żadnych owoców. Powiedziano mi, że nikt niczego dla mnie nie zostawił. — Wtuliła głowę w zagłębienie jego szyi. —

Tak się bałam. Cały czas sama w ciemności. Miałam wrażenie, że ściany napierają na mnie ze wszystkich stron. Całkiem jakbym umarła.

— Naprawdę? — spytał z ironią w głosie.

Wkoło odzywało się coraz więcej ptaków, a w więzieniu zagrała ponownie trąbka.

Saint Germain oderwał się od Oliwii.

— Chodź. Już prawie świt. Musimy jechać. Rogerian czeka w oberży, jest statek, który nas stąd zabierze. — Wziął Oliwię za rękę. — Rzeczywiście uwierzyłaś, że mógłbym cię porzucić?

Pokręciła głową.

— Powiedziałaś, że tego nie zrobisz. Jednak w takim miejscu... — Głos jej się załamał i uniosła wolną rękę do oczu. — To trwało tak długo i bardzo się bałam — dodała tonem przeprosin.

Pocałował ją w czoło.

— Mniejsza z tym. Jesteś już wolna, tylko to się liczy. — Pociągnął ją za sobą. — Musimy jechać. Niebawem będą tu żołnierze i musimy zniknąć przed ich przybyciem.

Dała się poprowadzić przez wysoką, suchą trawę za grobowiec rodu Marko, gdzie czekał wierzchowiec.

— Umiesz jeździć konno? — spytał, uspokajając konia.

— Nigdy nie próbowałam, ale mogę się nauczyć. — Spojrzała na deresza z lekką obawą.

— Nie ma siodła. Musiałem je ukryć, poza tym byłoby za małe dla dwojga. Musisz usiąść za mną i mocno się mnie trzymać. Może być? — Nie miał pojęcia, co zrobią, jeśli odmówi.

— Oczywiście — odparła rezolutnie, niemal z rozbawieniem. Poczekała, aż Sanct' Germain zbierze wodze i wskoczy na górę. Deresz zaraz zatańczył, chętny do drogi. Uspokoił konia i podał Oliwii rękę.

— Proszę. Siadaj za mną i obejmij mnie w pasie.

Wzięła jego rękę bez słowa i wskoczyła na miejsce zaraz za nim. Objęła go, zwiesiwszy nogi po bokach. Poruszył stopą, muskając skórę deresza, i koń ruszył w stronę via Appia.

Gdy dotarli na grzbiet pierwszego wzgórza na południe od miasta, Sanct' Germain obejrzał się i w blasku poranka dojrzał konnych wyjeżdżających z koszar pretorianów. Przyglądał im się chwilę, poklepując konia, ale zaraz grzbiet wzgórza zasłonił miasto. Oliwia objęła go mocniej i spojrzał na południe, w stronę oberży, gdzie czekał na nich Rogerian.

Upoważnienie przygotowane przez Rakoczego Saint Germaina Franciskusa:

Do senatu i prokuratora gwardii pretorianów:

Cieszę mnie, że cesarz uwolnił mnie od zarzutów i unieważnił ciężący na mnie wyrok. Poprosił mnie też, abym opuścił Rzym, co z chęcią czynię. Zorganizowałem już wszystko, żeby odbyć podróż z moim osobistym niewolnikiem oraz dodatkowym towarzystwem, i niezwłocznie wybieram się w drogę.

Ponieważ brakło czasu na oficjalne kroki, nie miałem kiedy zadbać należycie o moją własność. Dlatego też pozostawiam mój majątek ziemski pod nadzorem Konstantyna Modestyna Datusa i przyznaję mu wszelkie konieczne da wykonywania obowiązków pełnomocnictwa. Ma mi przekazywać kopie rocznych obrotów, a jego decyzje mają być przyjmowane jak moje. Poinformuję go także o miejscu mojego pobytu, na mało prawdopodobny wypadek, gdyby konieczne były oficjalne działania prawne dotyczące mojej posiadłości.

Mam trzy prośby do władz oraz do Konstantyna Modestyna Datusa. Po pierwsze, niewolnicy, którzy spędzili w moim gospodarstwie więcej niż

dziesięć lat, mają uzyskać wolność, jeśli sobie tego zażyczą, i otrzymać każdy po nadaniu ziemi. Rejestr moich gruntów do wykorzystania w tym celu znajduje się wśród moich dokumentów i K.M. Datus ma prawo dysponować nimi wedle uznania. Przy wyzwaniu każdy niewolnik ma otrzymać także dwa muły i trzy świnie oraz sto sestercji. Po drugie, prywatne skrzydło mojej willi zostawiam zamknięte i zapieczętowane aż do czasu, gdy ja albo osoba przeze mnie upoważniona dokumentem noszącym mój podpis oraz mój znak, zaćmienie, pojawi się, aby w nim zamieszkać. Po trzecie, moje statki będą poddawane regularnym przeglądom i utrzymywane w jak najlepszym stanie, ich kapitanowie zaś będą otrzymywać premię od dochodu z handlu, nie wyższą jednak niż piętnaście procent dochodu, który mi przynoszą. Wszystkie rozsądne prośby o modernizacje i doposażenie statków mają być załatwiane pozytywnie.

Aż do czasu, gdy znowu postawię stopę w Rzymie, polecam się sprawiedliwości i mądrości cesarza i senatu.

Własnoręcznie, z pieczęcią, przez zaufanego posłańca cesarza.

Rakoczy Saint Germain Franciskus

. 23 .

Tego wieczoru cesarz bardzo starannie dobrał gości, zapraszając jedynie szesnastu najbardziej szanowanych senatorów i patrycjuszy. Tym razem zdarzyło się też, że w gronie obecnych zabrakło kobiet.

— Nie chcę, aby skomplikowały nam sprawę swoimi intrygami — wyjaśnił Wespazjan, gdy spytano go o powody takiej decyzji. — Nie mam nic przeciwko kobietom, ale i tak dzierżą już zbyt wiele władzy. Są rzeczy, które powinny pozostać między mężczyznami.

— Bardzo mądrze — powiedział mu Justus Syliusz jeszcze po południu, a teraz, w oświetlonej blaskiem pochodni jadalni, powtórzył swą pochwałę w bardziej kwiecistej formie. — Kobiety są potrzebne mężczyznom jak powietrze i nikt z nas nie usunąłby ich dobrowolnie ze swego życia, niezależnie od tego, o jaki jego aspekt by chodziło. Jednak cesarz ma rację. Kobiety lubią intrygi i mądrze czyni ten, kto nie dzieli się z nimi swoimi sekretami.

— Zgorzknienie przez ciebie przemawia, Justusie — powiedział ze śmiechem Domicjan.

Justus opuścił głowę i przeklął w duchu młodszego syna cesarza. Wszystko potrafi zepsuć! Kundel o niewyparzonym jęzorze! Odezwał się ponownie dopiero wtedy, gdy opanował już grymas złości i mógł pokazać twarz.

— Zapewne tak — powiedział ze smutkiem. — Chociaż próbowałem mu się nie poddać. Oliwia miała nienaturalne potrzeby i żaden, nawet najsilniejszy mężczyzna nie byłby w stanie sprostać jej oczekiwaniom. Pochodziła z rodziny z wielką plamą na honorze i nie powinienem oszukiwać się, że jej ta skaza nie dotyczyła. — Uniósł złoty puchar. — Za twoją mądrość, cesarze. — Natychmiast też wypił

całe wino.

Wespazjan pokiwał głową, mierząc nadgorliwego gościa spojrzeniem.

— Za sprawiedliwość — odpowiedział i uśmiechnął się, pomyślawszy, że dwuznaczny to toast.

— Za sprawiedliwość — powtórzył Justus i uniósł puchar, aby pokazać, że nie wierzy w to, co cesarz poniekąd zasugerował na jego temat.

— Widziałeś się już z Lesbią? — spytał Wespazjan i skinął na niewolników, że pora przynieść drugie danie.

— Dwa razy. Wspaniała i kochana dziewczyna, inteligentna i czarująca, otoczona aurą niewinności. Jest bardzo miłą odmianą po...

— Przerwał nagle, jakby zakłopotany. — Nie, nie chciałem ich porównywać, cesarze.

— Z pewnością nie — zgodził się Wespazjan z dziwnie surowym obliczem.

— To była mimowolna niezręczność — dodał Justus, zdecydowany zmasać złe wrażenie. — Gdyby pamięć minionego nie była tak świeża, pewnie nie powiedziałbym...

— Pamięć... — powtórzył z zastanowieniem cesarz i odłamał kawałek chleba, aby zgarnąć na niego kawałki wieprzowiny z daktylami i rodzynkami, która właśnie się przed nim pojawiła. — Lesbia będzie chciała spytać cię o kilka rzeczy, skoro myślisz się z nią ożenić. Bo tego właśnie pragniesz, zgadza się?

Domicjan chwał coś powiedzieć, ale ojciec powstrzymał go spojrzeniem. Zerknął na Justusa i rozłożył bezradnie ręce. Dwóch senatorów zaśmiało się cicho.

— Oczywiście, pragnę się z nią ożenić, jeśli ona i jej rodzina mnie zechcą. — Justus czuł wypęczający na policzki rumieniec, oddech trochę mu przyspieszył.

— Czy tak samo byś ją odbierał, gdyby nie była moją kuzynką? — spytał Wespazjan, nie patrząc na Justusa. Wrzucił kawałek chleba do soku z pieczeni, aby nasiąknął.

Justus najchętniej rzuciłby się w tej chwili na cesarza, żeby ukarać go za zuchwalstwo. Chciał ujrzeć, jak jego pospolita twarz sinieje, jak czarny język wystaje z ust i życie go opuszcza. Musiał bardzo się postarać, żeby powściągnąć emocje i utrzymać pełen szacunku ton.

— Z pewnością też bym jej pragnął. Takie dziewczęta zawsze są pożądane. Ale małżeństwo to druga sprawa. Gdyby zaproponowano mi ważne małżeństwo, starałbym się z nią porozumieć. — Wiedział, że stąpa po niebezpiecznym gruncie, ale nie miał wyboru. Jedno kłamstwo teraz mogło spowodować szereg trudności w późniejszym czasie. — Przyznaję, że jestem ambitny. Nigdy nie próbowałem tego ukrywać. Moje trzy dotychczasowe małżeństwa zostały zawarte głównie z przyczyn politycznych. Podobnie jak małżeństwa wszystkich tu obecnych. — Spojrzał na łoża i wybrał senatora młodszego od siebie. — Na przykład Arminiusz Alojzjusz Wulpinus Solis — tu skłonił mu się lekko — wszedł w związek, który przyniósł ważne korzyści jego rodzinie, i jest to rzecz powszechnie wiadoma. Kto z nas jest inny? Czy Wulpinus zakwestionowałby moje słowa? Z pewnością nie. Uważa się go za odpowiedzialnego i praktycznego mężczyznę. On i jego małżonka nie obracają się w tym samym towarzystwie, co może jest przykre, ale wcale nie niezwykle. Zobowiązał ją do kilku rzeczy, poza tym prowadzi takie życie, na jakie ma ochotę. Prawo wspiera taką mądrość. Doceniam twoją troskę, cesarze, zwłaszcza po tym, czego dowiedziałeś o Acji Oliwii Klemens.

— Nie chciałbym, żeby Lesbię spotkał podobny los — powiedział Wespazjan cicho, unosząc puchar dla napełnienia.

Justus zdobył się na coś, co jego zdaniem było heroicznym

uśmiechem mężczyzny, który wiele w życiu wycierpiał.

— Jeśli nie będzie gustowała w gladiatorach i innych...

— Powiedziała mi, że jesteś wobec nich uprzejmy i pełen szacunku — przerwał mu cesarz. — Powiedziała też, że nie ma nic przeciwko poślubieniu ciebie za mniej więcej rok, gdy skandal wkoło twojej żony ucichnie.

Rok? Justus miał ochotę zerwać się z miejsca i wykrzyknąć, co sądzi o tym pomyśle. Rok to za długo. Przez ten czas może stracić wpływ na Wespazjana i jego synów. Wkoło są przecież jeszcze inni równie ambitni, którzy też marzą o małżeństwie z którąś z kuzynek cesarza.

— Nie... — przerwał, aby zapanować nad głosem. — Nie jestem już młody, cesarze. Trudno mi czekać tak długo.

— Nie wątpię. Cóż, może zmieni zdanie, gdy ludzie przestaną gadać. Ty też możesz spróbować ją przekonać. — Wziął ciężki od sosu chleb i wrzucił go sobie do ust.

Justus nie miał zamiaru dać się usidlić w ten sposób.

— A co ty byś radził, cesarze? Nie chciałbym podejmować działań sprzecznych z twoim życzeniem.

Zapadła chwila ciszy. Wespazjan kołysał pucharem, mieszając wino.

— Zostawiam to tobie, Justusie.

— Czyli wolałbyś, żebym jej nie przekonywał—powiedział Justus przez zaciśnięte zęby. — Przyznaję, że zależy mi na tym małżeństwie, tak z powodów osobistych, jak politycznych. Kto z tutaj obecnych — skinął głową pozostałym — myślałby inaczej na moim miejscu? — Ulżyło mu, gdy Liwianus Septimus Oralen, senator liczący aż sześćdziesiąt osiem wiosen, przyszedł mu z pomocą.

— Nie zwracaj uwagi na ten skandal, cesarze — powiedział, posapując. — Rzym taki jest. Gdyby nie Justus, gadaliby o nas, o tobie. Plotki to oddech Rzymu, skandal zaś jest jego chlebem. Gdyby dawać wiarę chociaż połowie tego gadania, wszyscy powinniśmy

zostać skazani za ciężkie zbrodnie.

Wespazjan pokiwał głową.

— To prawda, Septimusic. Niestety, to prawda.

— A jeśli Lesbia go lubi... — odezwał się Domicjan i zaczął raz jeszcze, innym tonem. — Cóż, lubi go tak samo jak wielu innych. Czemu nie miałyby go lubić?

Gdyby tylko zdołał skłonić Wespazjana do jednego słowa zachęty. Tutaj, przed kwiatem senatu, pomyślał Justus. Gdyby głośno przyznał, że uznaje go jako członka rodziny cesarskiej...

— Miło mi to słyszeć — powiedział, ukrywając zniecierpliwienie. — Rozumiem, że zachowuje wobec mnie pewną rezerwę, zwłaszcza usłyszawszy wszystkie opowieści o tym, co moja żona mówiła na procesie.

— A tak — powiedział Wespazjan, przeciągając głoski. — To, co mówiła.

— Całkiem niewiarygodne opowieści — mruknął Justus.

— Całkiem niewiarygodne — powtórzył cesarz. — Jestem zdumiony, że się z tobą nie rozwiodła.

Zaskoczony Justus uniósł głowę.

— Nie rozwiodła? — O co mu teraz chodzi? — pomyślał.

— Skoro miała o tobie takie złe zdanie i przypisywała ci wszystkie te dziwne skłonności... — zaczął Wespazjan.

Justus zakaszłał cicho.

— Jeśli o to chodzi, cesarzu, jej rodzina prawie wymarła. Została tylko jedna siostra, która mieszka w Galii. Nie miała gdzie się udać.

— Do Franciskusa też nie? Z tego, co mówiono, był jej kochankiem. — Wespazjan znowu bawił się pucharem.

W pokoju zapadła cisza i dopiero teraz Justus zauważył, że niewolnicy zostali odprawieni. Cesarz sięgnął po amforę i sam nalał sobie wina.

— On i połowa mężczyzn z cyrku — parsknął Justus. Nie widział, kiedy niewolnicy wyszli, ale wyczuwał teraz, że jego potężni i cyniczni koledzy dziwnie mu się przyglądają.

— Tak — stwierdził cesarz naturalnym tonem. — Spodziewał się, że skoro tak niewiele zyskiwałeś na tym związku, już dawno powinieneś dojść z nią do porozumienia.

Justus wyprostował się.

— Jest jeszcze honor, cesarze. Niewielu obecnie o nim pamięta, ale jest. Zdradliwi i bezlitośni ludzie maskują nim czynione przez siebie zło, ale prawda pozostaje i jej dowodzenie warte jest każdego cierpienia.

Jeden z senatorów roześmiał się głośno.

— Nie rozwiodła się z tobą. To mnie zdumiewa — powiedział cesarz w taki sposób, jakby rozmawiali o tegorocznych plonach w Luzytanii. — Zgodzę się, że większość małżeństw zawiera się z powodów politycznych, dla sojuszy czy dziedziczenia, jednak w tym przypadku, przypadku żony rozwiązałej i z upadłej rodziny, żony, której nie byłeś w stanie, jak sam mówisz, zaspokoić... To naprawdę dziwne.

Tym razem Justus naprawdę musiał odchrząknąć, nim się odezwał.

— Dałem jej ojcu słowo, że będę troszczył się o Oliwię. Musisz mi wybaczyć, cesarze, ale to bolesny dla mnie temat. Czy moglibyśmy porozmawiać o czymś innym?

— Nie sądzę — powiedział cicho Wespazjan.

— Ale... — zaprotestował Justus, nie zdążywszy się opamiętać.

— Ale co, senatorze? Z pewnością zechcesz mnie przekonać, że plotki, które słyszeliśmy, to tylko plotki. Ludzie gadają i nic nie można na to poradzić. Ja mogę jednak zadbać, aby moja rodzina nie cierpiała dalszych poniżeń. — Odstawił puchar i oparł się na łokciu.

— Nie rozumiem, dlaczego jestem tak traktowany — powiedział

Justus, starając się zachować lekki ton. — Jeśli naprawdę obawiasz się plotek, może powinniśmy porozmawiać w bardziej prywatnym...

— Jeśli chcesz wejść do mojej rodziny, odpowiesz na to pytanie i wszystkie inne, które jeszcze mogę ci zadać — stwierdził twardo Wespazjan ku ogromnemu zdumieniu swego młodszego syna. — Dlaczego Acja Oliwia Klemens nie rozwiodła się z tobą?

Justus przełknął ciężko.

— Zapewne uważała, że zyskuje coś, pozostając w związku.

— Dlaczego utrzymywała, że poprosiła cię o rozwód, a ty odmówiłeś, grożąc zszarganiem jej opinii, jeśli pójdzie do sądu? — Słowa padały ciężko niczym kamienie.

— Nie wiem. Przypuszczam, że chciała stworzyć wrażenie, że nie byłem tolerancyjny wobec jej skłonności.

— Tak przypuszczasz? — Wespazjan zachichotał nieprzyjemnie. — Na pewno nie chodziło o to, że groziłeś jej i jej rodzinie, a gdy zabrakło jej ojca i braci, groziłeś nękaniami jej matki?

Justus wciągnął powietrze. Czy cesarz to wiedział, czy powtarzał tylko zeznania Oliwii?

— To niedorzeczne — powiedział drżącym głosem.

— Czy to nie ty wydałeś jej ojca i braci? Czy to też sobie wymyśliła? — Oczy cesarza miały teraz iskry i cała jego dobroduszość gdzieś się ulotniła. — Odpowiedz, Korneliuszu Justusie Syliuszu.

— Oczywiście, przykro słyszeć takie oskarżenia — wyjąkał i próbował się zaśmiać, ale całkiem mu nie wyszło. — Sądziłem jednak, że sprawa została już wyjaśniona. — Spojrzał na pozostałych gości, szukając poparcia, ale go nie znalazł. — Jak możesz sądzić, że naprawdę zachowywałem się tak, jak powiedziała? Ze robiłem to, o co mnie oskarżała? To... to absurd. Ktoś o mojej pozycji, mający tak wiele do stracenia...

— I jeszcze więcej do zyskania — powiedział ktoś za jego plecami.

Justus musiał przywołać niemal całą siłę woli, żeby opanować złość. Jednak wybuch wściekłości był właśnie tym, czego pragnęli jego wrogowie, miał zdyskredytować jego osobę i zniszczyć wszystko, na co tak długo pracował. Jego jasnobrązowe oczy nabrały szklistego połysku.

— To nie tajemnica, że zacząłem działać po rozmowie z tobą, cesarze. Rozmowie o możliwości małżeństwa, które zwiąże mnie z twoim rodem. Aż do tamtej pory nie chciałem robić Oliwii wstydu, a wiedziałem, że żaden publiczny proces się bez tego nie obejdzie. Nie wydaje mi się, abym mógł zrobić cokolwiek innego.

Możliwe, że nie kończyłem tego małżeństwa z przyzwyczajenia. Owszem, mógłbym ją odesłać i może zrobiłbym to, gdyby plotek było więcej. Trudno powiedzieć jednoznacznie, bo moja sytuacja się zmieniała. To prawda, że jestem zainteresowany możliwością, którą mi stworzyłeś. Nie zaprzeczam. — Spróbował coś wywnioskować z wyrazu twarzy cesarza, ale okazała się całkiem nieprzenikniona. — Dało mi to impuls konieczny do tego, aby zacząć działać i zakończyć małżeństwo, które nie było... udane.

— Naprawdę? — spytał sarkastycznie Wespazjan.

Domicjan pospieszył przyjacielowi z odsieczą.

— Rozmawialiśmy o tym, ojczu. Zgodziliśmy się, że jeśli plotki o żonie Syliusza okażą się prawdziwe, powinien rozwieść się z nią i poślubić Lesbę. Powiedziałeś, że senat zaaprobuje ten rozwód.

— I zrobił to — zgodził się Wespazjan. — Senatorowie też słyszeli te plotki i czytali materiały świadczące przeciwko niej. Subtelny jesteś, Justusie.

— Cesarze? — Ton cesarza znowu się zmienił i Justus poczuł przyływ nadziei.

— Mam pewnego niewolnika — powiedział Wespazjan, zwracając

się do wszystkich obecnych. — To nieszczęsny człowiek. Stracił rękę, język i męskość, jednak miał dość ducha, aby opowiedzieć pewną bardzo interesującą historię. — Cesarz uderzył w mały gong stojący obok jego łoża.

Justusowi zrobiło się zimno.

— A co ten niewolnik ma wspólnego ze mną?

— Wydaje się, że całkiem sporo. — Wespazjan ułożył się znowu na leżance i spojrzał w sufit.

Strach ogarnął Justusa. Strach, który narastał już od dłuższej chwili, chociaż Justus powtarzał sobie, że przecież to niemożliwe. Wespazjan nie miał jak poznać prawdy. Tę znali tylko sam Syliusz, Sybiniusz oraz Monostades. Sybiniusz nie żył, Monostades zaś... Twarz Syliusza zamarła w parodii uśmiechu... Monostades został wykastrowany, obcięto mu język i zgruchotano dłonie.

Intarsjowane drzwi sali otworzyły się i rozległy się odgłosy kroków. Szesnastu gości spojrzało na wejście, w którym pojawiło się sześciu pretorianów eskortujących obdartą i okaleczoną postać.

Niewiele zostało z dawnego Monostadesa. Był przygarbiony, ręce i nogi miał powykręcane w stawach. Jego włosy, jeszcze rok wcześniej lśniące, były teraz prawie białe i matowe jak kreda. Wydawać by się mogło, że nie sposób aż tak okaleczyć człowieka, nie zabijając go przy tym, całe jego ciało nosiło bowiem ślady obrażeń. Tylko oczy były nadal żywe, chociaż zapadły się głęboko i pociemniały.

— Poznajesz tego niewolnika? — spytał Wespazjan, patrząc na Syliusza, który zerwał się na równe nogi.

— Ni... Nie... — wyjąkał Syliusz, chwając się pod ognistym spojrzeniem.

— Może nie powinienem pytać, czy go poznajesz, bo mocno się zmienił. Czy wiesz, kto to jest? — Wespazjan zeskoczył z podwyższenia i podszedł do pretorianów. — Nie może mówić.

Zdawałoby się, że nie może też pisać. To zdumiewające, ile siły może dać nienawiść. — Odwrócił się do Monostadesa. — Unieś lewą rękę, jeśli ten człowiek, to twój pan. — Wskazał na Justusa.

Ramię niewolnika wyskoczyło energicznie ku górze.

— Jest inteligentny i zdeterminowany — wyjaśnił cesarz zebranym. — Pozbawiony prawej dłoni nauczył się pisać lewą i znalazł innego niewolnika, który potrafił odczytać jego pismo i zanotował wszystko, co ten nieszczęśnik mu przekazał, rysując litery na ziemi. Drugi niewolnik okazał się na tyle odważny, żeby przemycić list do pewnego wyzwolenca, który przekazał go z kolei właściwym władzom. Pierwszy z nich to żydowski niewolnik, drugi zaś jest Grekiem. Gdyby wszyscy ludzie wokół mnie byli równie słowni i odważni jak tych dwóch, nie musiałbym się obawiać o mój los i los moich następców.

Justus pokręcił powoli głową. To było niemożliwe, to nie mogło się zdarzyć. Nie jemu.

— Nie! — krzyknął rozgłośnie i skoczył przed siebie, trudno powiedzieć, czy w kierunku cesarza, czy stojącego tuż obok władcy niewolnika.

Doszło do krótkiej szamotaniny i dwóch pretorianów podbiegło błyskawicznie i przytrzymało krzyczącego ciągle Justusa.

Domicjan i Tytus też wstali. Ten drugi z szerokim uśmiechem na twarzy, pierwszy z wytrzeszczem i bladą twarzą. Senatorowie i patrycjusze śmiali się albo szeptali między sobą.

Wespazjan odsunął się. Oblicze mu poczerwieniało, oddychał trochę szybciej. Spojrzał na centuriona.

— Więzienie na Mamertynie. Wiecie, co robić.

Centurion skinął głową i wydał rozkazy. Potrzeba było aż sześciu ludzi, żeby wynieść Justusa z jadalni. Jego krzyki i przekleństwa słychać było aż do chwili, gdy żołnierze wywlekli go z pałacu.

Wespazjan zwrócił się do Modestyna.

— Nadal chcesz pomóc w jego przesłuchaniu?

Greki wydał okropny, bełkotliwy dźwięk i uniósł energicznie lewą rękę.

— Dobrze zatem — powiedział cesarz. — Będziesz miał swoją zemstę. — Odwrócił głowę od ognia nienawiści rozświetlającego martwe oczy niewolnika.

Nakaz egzekucji wydany przez cesarza Tytusa Flawiusza Wespazjana:

Do dowódcy i prefekta gwardii pretoriańskiej i starszego trybuna więzienia na Mamertynie, ave.

Dotyczy sprawy senatora Korneliusza Justusa Syliusza. Świadczenie niewolnika Modestyna zostało zbadane pod kątem prawdziwości i okazało się wolne od przekłamań, celowego oszustwa i wymysłów. Świadczenia gladiatorów Frontuksa i Keledesa zostały zbadane i uznano je za wiarygodne. Świadczenia niewolników wspomnianego senatora Korneliusza Justusa Syliusza zastały zbadane we wszystkich punktach i okazały się, w przeważającej części, szczerze i dokładne.

Prokurator pretorianów skłonny jest sądzić, że Syliusz jest odpowiedzialny także za śmierć Ormianina Led Arasznura, ale nie sposób teraz dowieść, że miał z tym związek albo wręcz przeciwnie, sam zaś oskarżony odmawia zeznań w tej sprawie, podobnie jak i w wielu innych. Przesłuchany w tej kwestii niewolnik Monostades napisał, że Syliusz zapewne mógł być zainteresowany śmiercią Arasznura, ale nie wie, czy uczestniczył w jego zabójstwie.

Idąc za sugestią Monostadesa, przeszukano prywatne zapiski Syliusza i ustalono z dużym prawdopodobieństwem, że dowody na zdradę jego teścia oraz jego synów zostały przez Syliusza w dużej części sfabrykowane, co

uczynił dla własnych korzyści. Ich zgładzenie miast wygnania zostało zasugerowane senatowi i cesarzowi przez Syliusza. Wprawdzie jego motywy pozostają w tym przypadku niejasne, oczywiste jest dla tronu i gwardii pretorianów, że człowiek ten wykorzystał swoich bliskich w haniebnym sposób, skazując ich na publiczną pogardę, na którą w rzeczywistości nie zasłużyli.

Świadectwa dotyczące barbarzyńskiego postępowania Syliusza wobec jego żony nie będą tu szczegółowo przedstawiane. Starczy powiedzieć, że to, co Acja Oliwia Klemens przedstawiła w senacie, było złagodzoną wersją prawdziwej historii cierpień, jakich doznała z ręki męża. Fakt, że była długo i systematycznie poniżana przez niego i mężczyzn, do współżycia z którymi ją zmuszał, jest hańbą dla nas wszystkich.

Nie ustaliliśmy dotąd, czy to senator Syliusz włamał się do grobu swojej żony, by wykraść jej ciało, chociaż zdaniem prokuratora gwardii pretoriańskiej mógł to uczynić w okresie przed aresztowaniem dla dalszego znieważania jej ciała.

Z tego, co się o nim dowiedzieliśmy, wynika, że człowiek ten korzystał z każdej okazji, aby krzywdzić tych, którzy mu zaufali, zdradzać tych, których przysięgał chronić, i wykorzystywać tych, którym winien był szacunek. Sądząc po tym, czego się dowiedzieliśmy, zamierzał wejść do naszej rodziny i wykorzystywać ją tak samo niegodziwie jak w wielu wcześniejszych przypadkach.

Tym samym w sprawie jego egzekucji postanawiamy, co następuje. Zwykle podobne egzekucje odbywają się niepublicznie poprzez ścięcie, czasem też dozwala się skazanym samodzielnie użyć na sobie miecza. Ponieważ jednak ten człowiek nie dozwalał nigdy innym, aby sami decydowali o swoim życiu, też będzie pozbawiony wyboru. Egzekucja zostanie przeprowadzona publicznie, wraz z ujawnieniem skali jego zbrodni oraz ich charakteru.

Mistrz bestiariuszy, człowiek o imieniu Nekredes, poinformował mnie, że

cyrkowy zwierzynek wzbogacił się ostatnio o orła tak wytresowanego, aby odtwarzał torturę Prometeusza, czyli atakował powieszzonego na łańcuchach człowieka tak długo, aż uda mu się wyrwać jego wątrobę, Postanowiłem, że Korneliusza Justusa Syliusza spotka taki właśnie los. Zostanie przewieziony do cyrku i zawieszony na spinię na tak długo, aż orzeł spowoduje jego śmierć. Potem ciało skazanego zostanie pocięte na kawałki, z których każdy zostanie zakopany gdzie indziej, bez oznaczeń i ceremonii. Jego majątek zostanie przekazany siostrze jego żony tytułem częściowego odszkodowania za wielkie zło, które Syliusz wyrządził jej rodzinie.

Gdy uda się odnaleźć szczątki Acji Oliwii Klemens, jeśli uda się je odnaleźć, zostaną one skremowane i złożone w mauzoleum jej rodziny. Do tego czasu stać tam będzie pusta urna z tabliczką przedstawiającą rozmiar cierpienia tej kobiety.

*Spisane własnoręcznie i z całą stanowczością
czwartego dnia października 824 roku Miasta.*

Wespazjan

EPILOG

List od Acji Oliwii Klemens, przebywającej w Rzymie, do Rakoczego Saint Germaina Franciskusa przebywającego w Pantikapajonie nad Jeziorem Meockim:

Do najdroższego Saint Germaina z pozdrowieniami.

Jak sam widzisz, znowu jestem w Rzymie. Jak mato i jak wiele jednocześnie tu się zmieniło! Cyrk Flawiusza, czy raczej już Flawiuszów, został ukończony i zostawił w pobitym polu Circus Maximus. Przede wszystkim dlatego, że ścisk panuje w nim jeszcze większy. Igrzyska organizowane są częściej niż wtedy, gdy tu mieszkałeś, i kosztują krocie. Brak im dawnej finezji, teraz to po prostu rąbanka, ale tłum nie oczekuje niczego lepszego. Nigdy nie widziałeś tak nieudolnych gladiatorów, którzy nawet nie zasługują na to miano, jednak nie warto inwestować w nich, żeby walczyli lepiej. Nowymi bohaterami są treserzy, którzy uczą swoje zwierzęta zabijania. Jest jeden z czterema słoniami przyuczonymi do mordowania ludzi. Nauczył je nadziewać ich na kły. Widzowie uwielbiają to, ja dostaję od tego mdłości.

Twój majątek kwitnie i chętnie skorzystam z propozycji, żeby zamieszkać w Willi Rakoczy podczas pobytu w Rzymie. Jest dobrze utrzymana, chociaż co rzadsze rośliny w ogrodzie uschły z braku właściwej opieki. Obok placu ćwiczeń wzniesiono czwarty pawilon dla niewolników. Bardzo porządny, dokładnie taki, jak byś chciał.

Miałam okazję spotkać mojego siostrzeńca. Wyobraź sobie, że ma teraz prawie pięćdziesiąt lat. Był dość uprzejmy, aby powiedzieć, że przypominam mu jego matkę. Dziwnie się czułam, widząc tego mężczyznę będącego synem mojej siostry, skoro sama wyglądam na znacznie młodszą

od niego. Jak uprzedzałeś, nie było to zachęcające doświadczenie.

Obecny cesarz, Marek Ulpiusz Trajan, wpadł w szal budowania. Postanowił odcisnąć swoje piętno na Rzymie i gotów jest to zrobić, choćby przyszło mu wznieść to miasto od nowa. Wydaje się nawet łubiany i wyjąwszy obsesję budowlaną, jest ogólnie dorzecznym władcą. Wykorzystał to, co zostało ze Złotego Domu Nerona, do budowy term oraz łuków wyrosłych w różnych częściach miasta. Pamiętasz nasze spotkanie w ogrodach Nerona? Tam, gdzie było jezioro, stoi teraz cyrk Flawńuszów, a ze Złotego Domu zostały już tylko transitorium i westybul. Przykro, że nadzwyczajne marzenie spotkał taki koniec.

Chodząc po ulicach Rzymu, nie dowierzam niekiedy, że nie było mnie tu trzydzieści lat. Świński rynek jest tam, gdzie był, i wygląda tak samo. Kupcy są nachalni jak zawsze, a stawki czynszów niezmiennie przebijają sufit. W takich chwilach mam wrażenie, jakbym w ogóle nie wyjeżdżała, ale potem trafiam na nowy budynek albo słyszę dzisiejszą muzykę i już wiem, że to nie jest dokładnie ten Rzym, w którym się urodziłam. Jedną z zmian wiąże się z Żydami nazareńskimi, którzy nazywają siebie chrześcijanami. Połowa spotkanych przeze mnie urzędników jest właśnie tej wiary. Można by sądzić, że chcą podbić imperium z pomocą naszej własnej biurokracji.

Poznałam dwóch młodych mężczyzn i jedną atrakcyjną, wykształconą i obytą kobietę, z którymi dzielę czasem łóżę. Ofiarowywanie im miłości daje mi wiele satysfakcji. Sądzę, że miałaś rację, mówiąc, że na zbyt długo wyjechałam z Rzymu.

Jednak brakuje mi Ciebie, Sanct' Germain. Brakuje mi Twoich przemyśleń, Twojej dobroci, wiedzy i miłości. Pewnego dnia znowu będziemy razem i opowiesz mi o swoich podróżach po świecie. Czy podróże pomagają? Czy też może czujesz się przez nie jeszcze bardziej samotny? Tak, wiem, jak bardzo chciałbyś znaleźć kogoś, kto zbliżyłby się do Ciebie z własnej woli i niczym nieprzymuszony, bez rezerwy i

oceniań. Kto nie chciałby takiej miłości? Gdyby rzeczywiście tylko i wyłącznie taka miłość Cię interesowała, Ty i ja nigdy byśmy się nie spotkali, a ja umarłabym z rozpaczy ponad czterdzieści lat temu. Twoja szczodrość mnie uratowała i wspierała mnie przez ostatnie trzy dziesięciolecia. Byłabym niewdzięczna i nieuczciwa wobec Ciebie, gdybym nie ceniła ponad wszystko tego daru, który mi ofiarowałeś, czyniąc mnie podobną sobie.

Jest coś, co może cię rozbawić. Pokazała się nowa książka, która zyskała już w Rzymie wielką popularność. Autor sugeruje, że oparł opowieść na autentycznych zdarzeniach. Jest to historia pewnego zawistnego senatora, który gnębił własną żonę, spiskował przeciwko senatowi, fałszywie oskarżał różne osoby, zmuszając swoich niewolników do fabrykowania dowodów. Pod koniec ów senator ginie samobójczą śmiercią. Dzieje się to w okresie republiki, jednak starsi senatorowie kręcą głowami, a niektórzy powiadają, że wydawca powinien przeprosić, chociaż nikt nie wie dokładnie kogo. Justus by się wściekł, gdyby wiedział, jak jest teraz postrzegany. Właśnie, zauważyłeś? Mogę napisać jego imię, wymówić je albo usłyszeć bez strachu, nienawiści czy złości. Nie, nie zapomniałam, co zrobił, i zapewne nigdy tego nie zapomnę, ale jak mi kiedyś wspominałeś, „nigdy” to jest skończony czas. Może stulecie, może dwa, ale pewnego dnia nie będzie dla mnie znaczył więcej niż imiona wypisane na tabliczkach przy via Appia. Zwykle ciekawostki o niezdrawym podtekście.

Przy okazji, odwiedziłam mój grób, ten, z którego mnie wyciągnąłeś tyle lat temu. Nie zastał naprawiony i zarósł ostami. Wielu ludzi mieszkających w południowej części miasta twierdzi, że to nawiedzane miejsce. Czasem z grobu, ma wychodzić duch w zakrwawionym gieźle i przeklinać męża, który zdradził. Wspaniała sprawa, daję słowo. Z jednej strony chciało mi się śmiać, z drugiej jednak poczułam się trochę nieswojo. Przy samym grobie miałam wrażenie, jakbym stała w mroku gdzieś

wysoko i widziała w dali jedno małe światełko.

Rogerian był tak miły, że przysłał mi plan Twoich podróży na najbliższe kilka lat. Nie wiedziałam, że masz tyle majątków w Persji. Zabierasz ze sobą tę tańczącą kapłankę czy masz nadzieję znaleźć na miejscu kogoś nowego? Przywykłam do życia z Tobą i czasem muszę sobie przypominać, że nie wystarczy mi przejść przez dziedziniec, żeby z tobą porozmawiać. Wiedza, gdzie będziesz przebywał, może się okazać pomocna, chociaż tylko Izyda wie, jak długo list będzie do Ciebie wędrował. Albo ile potrwa, nim Twój mnie znajdzie. Niemniej to właśnie, kochany, najukochańszy przyjacielu, jest rozkaz. Albo będę dostawała od Ciebie listy, albo spakuję kilka skrzyń dobrej, rzymskiej ziemi i ruszę w świat, żeby cię znaleźć.

Jedno, czego żałuję po zmianie, to że położyła ona kres naszej intymnej zażyłości. Szkoda, że nie możemy pożywiać się na kimś naszego rodzaju. Do dziś pamiętam, gdy ostatni raz byliśmy ze sobą w tej strasznej celi pod cyrkiem. Wydawało się, że nie zostanie po tamtym czasie dość, aby przetrwało przez lata, aż do teraz, jednak to prawda. Niemniej, jak wspominałeś, zostaje jeszcze kompensacja.

Muszę już iść. Dziś po południu odbędzie się pogrzeb państwowy i cały świat się tam wybiera. Szanownym zmarłym jest pewien mistrz bestiariuszy w Circus Maximus. Zaprzyjaźnił się z Domicjanem w czasie jego rządów, dostał trzy majątki i wziął się do hodowli koni wyścigowych, aż zmarł w podeszłym wieku, otoczony rodziną. Domicjan ożenił go ze swoją kuzynką, tak więc stary Nekredes wygodnie dożył swoich siedemdziesięciu jeden lat. Mawiają, że trzydzieści lat temu sam jeden zapobiegł buntowi gladiatorów i gdyby nie on, niewolnicy złupiliby Rzym. Obiecuję, że nie będę się śmiała zbyt głośno.

Spisane własnoręcznie

siedemnastego dnia kwietnia 855 roku Miasta,
choć trudno w to do końca uwierzyć.

Oliwia